

NINA
MAJEWSKA-BROWN

Z POWSTANIA DO AUSCHWITZ

BELLONA

PRAWDZIWA HISTORIA O TYM,
JAK MIŁOŚĆ I MŁODOŚĆ GINĘŁY W POWSTANIU

NINA
MAJEWSKA-BROWN

Z POWSTANIA DO AUSCHWITZ

**PRAWDZIWA HISTORIA O TYM,
JAK MIŁOŚĆ I MŁODOŚĆ GINĘŁY W POWSTANIU**

BELLONA
Warszawa

Spis treści

Maria

Zofia

Maria

Maria

Maria

Zofia

Maria

Zofia

Maria

Maria

Zofia

Maria

Zofia

Posłowie

Relacje

Charakterystyczne punkty na mapie Warszawy z okresu Powstania Warszawskiego

Najważniejsze pojęcia

Kalendarium

Aneks do przypisów

Podziękowania

Przypisy

Projekt okładki i stron tytułowych: Piotr Majewski
Redaktor prowadzący: Beata Kołodziejska, Joanna Markiewicz
Redakcja: Agnieszka Horzowska
Korekta: Ewa Grabowska, Joanna Markiewicz
Redaktor techniczny: Marcin Adamczyk

Copyright © by Nina Majewska-Brown, 2023
Copyright © for this edition by Dressler Dublin Sp. z o.o., 2023

ISBN 978-83-11-17073-5

Materiały wykorzystane w tekście pochodzą z Archiwum Muzeum Auschwitz-Birkenau oraz Archiwum Muzeum Powstania Warszawskiego.

Autorem rysunków na stronie 35 jest Marek Michta.

Na prośbę rodziny niektóre imiona i nazwiska zostały zmienione.

Wydawca:
Bellona
ul. Hankiewicza 2, 02-103 Warszawa
www.bellona.pl
www.facebook.com/Wydawnictwo.Bellona

Księgarnie internetowe: www.swiatksiazki.pl www.ksiazki.pl

Dystrybucja:
Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel.: (+ 48 22) 733 50 31/32
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl
www.dressler.com.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

Dla „Grzesia”

Pamięci Jadwigi i Jana Roguskich

Gdy komuś zaufasz,
dajesz mu władzę, by cię zniszczył.

Maria

– Niech Zula postawi to na podłodze. Nie, nie tutaj! – protestuję głośno, bo gosposia, którą dostaliśmy w spadku po poprzednich właścicielach mieszkania, nie nawykła do przejmowania się porządkiem i jak zwykle władowała się z wiklinowym koszem, pełnym zapiaszczonych kartofli, na mój dopiero co kupiony jasny dywan.

– To niby gdzie?

– Tyle razy mówiłam, że od takich rzeczy są wycieraczki.

– Skaranie boskie z panią – biadoli, jak to ma w zwyczaju, gdy nie podobają jej się moje polecenia. – Świętej pamięci, świeć, Panie, nad jej duszą, panna Koradowska nigdy na mnie nie narzekała.

– Ależ moja droga. – Siłę się na spokój. – Ja nie narzekam, tylko proszę, żebyś stosowała się do nowych wytycznych.

– A że niby stare były złe? – Bierze się pod boki, pochyla jak przekupka na straganie i przekrzywiwszy głowę w lewo, zaczyna dobrze znaną tyradę: – Jakim przyszła tu ze wsi, od mamusi, a było to w 1932 roku, to żem powiedziała, że nie będę...

– Dobrze, już dobrze. – Jestem coraz bardziej zniecierpliwiona. – Wiem, mówiła to Zula już kilka razy, ale musi Zula zrozumieć, że ja przy czwórce dzieci i wiecznie zapracowanym mężu muszę prowadzić inne życie niż wspomniana starsza pani. I jeśli nie będę dbać o porządek, to ani ja, ani Zula się w tym wszystkim za chwilę nie połapiemy.

– Było dobrze. – Wzrusza ramionami.

– Ale może być jeszcze lepiej.

Nie zwracam już na nią większej uwagi i odkładam trzymany w rękę słomkowy kapelusz na półkę nad paltami, przy czym odruchowo zerkam do lustra i poprawiam niesforne kosmyki, które korzystając z okazji, rozbiegły się na wszystkie strony.

Właśnie wróciłam ze spaceru z małym Jasiem. Na placu Trzech Krzyży umówiłam się z siostrą, by omówić dostawę mięsa od przyjaciół w Aninie. Ma je dla nas przemycić jej mąż Waław, a my drżymy, zastanawiając się,

czy powinien się tak narażać. Róża jednak upiera się, że dieta dzieci jest tak beznadziejnie uboga, że kawał solidnego mięsa będzie na wagę złota i nie ma co się oglądać.

Nie sposób się z nią nie zgodzić. Niemcy racjonowaniem żywności i skromnymi porcjami wydzielanymi na kartki najchętniej by nas zagłodzili i jeśli człowiek czegoś nie skombinuje na boku, trudno przeżyć. Z niedożywienia i braku witamin szerzą się choroby z gruźlicą na czele.

– Ja to nawet myślałam, żeby od państwa odejść.

– Wydawało mi się, że ten temat również wyczerpałyśmy, ale skoro Zuli nie odpowiada praca u nas, to...

– A niby gdzie miałabym pójść?



Maria z synem na spacerze w parku Ujazdowskim ¹

Dąsa się jeszcze bardziej, zupełnie jakbym miała udział w jej rodzinnym nieszczęściu, i ostentacyjnie odwraca bokiem. A przecież w żadnym razie nie ponoszę odpowiedzialności za to, że jej rodzice z dwójką młodszych dzieci, po tym jak sprzedali niewielki majątek, który z trudem pokrył koszt biletów na transatlantyk, wyruszyli szukać szczęścia w odległej, obiecującej lepsze życie Ameryce. Z dzisiejszej perspektywy trzeba przyznać, że mieli rację, bo z pewnością wojna nie dotknie ich w takim stopniu jak nas.

I choć jej również proponowali wyjazd, to zakochana do szaleństwa Zula nie chciała opuścić narzeczonego, za którym dosłownie poczłapała, z małym zawiniątkiem na plecach, do stolicy, która w ich młodzińskich oczach miała zagwarantować dobrą pracę w fabryce, mieszkanie i życie na jako takim poziomie. Ale już w pierwszych dniach pobytu w Warszawie okazało się, że przede wszystkim zapewnia życie rozrywkowe, zapełniając je kamratami spod ciemnej gwiazdy, i naręczony ochnoczo rzucił się w jego wir, który tak go pochłoniął, że stracił zainteresowanie naiwną dziewczyną.

I Bóg raczy wiedzieć, co by się z nią stało i jak by skończyła, gdyby nie przypadkowe spotkanie z panną Koralowską. Hrabina po kilku dniach obserwacji i zagadywania wreszcie ulitowała się nad żebrzącą, zrozpaczoną dziewczyną i ofiarowała jej posadę służącej oraz zakwaterowanie w niewielkim pokoiku tuż za kuchnią. Wkrótce okazało się, że panie pasują do siebie jak ulał, a w zasadzie Zuli pasuje to, że jej nowa pracodawczyni nie jest szczególnie wymagająca i traktuje utrzymanie porządku w mieszkaniu z przymrużeniem oka. Zwykła powtarzać, że życie nie powinno sprowadzać się do tańcowania na szmacie z miotłą w ręku, choć to przecież nie ona płażałyby ze ścierką.

Z rezultatem tej życiowej filozofii boleśnie się zderzyliśmy, kupując lokum po staruszce. Wszystko domagało się gruntownego remontu, napraw i czyszczenia, ale powierzchnia mieszkania i lokalizacja przy prestiżowej Żurawiej ² w centrum miasta przeważały nad potencjalnymi wydatkami, dając mi przy okazji możliwość wykazania się fantazją i gustem przy projektowaniu wnętrza.

Obawiałam się tylko, czy uda nam się pozbyć smrodu stęchłego tytoniowego dymu, którym przez lata konserwowała każdy centymetr mieszkania jego była właścicielka. Nieznośny fetor wbił się w obicia mebli, ściany, futryny, osiadł nawet na zakurzonym, powyginanym artretycznie ze starości fikusie, który najwyraźniej regularnie podsuszany, gubił co rusz kolejne liście, by wreszcie upodobnić się bardziej do szkieletu niż ozdobnej rośliny.

Projektując nasze nowe, przytulne gniazdko, wzorowałam się oczywiście na najlepszych zagranicznych magazynach, głównie pochodzących z eleganckiej, nowoczesnej Francji i staromodnej, tradycyjnej Anglii. Swobodnie łącząc style, sprawiłam, że nasze mieszkanko stało się wyjątkowo urocze.

Wysokie, duże pokoje, sufity z fikuśnymi kasetonami i zdobnymi listwami, złote karnisze z ciężkimi, gęsto drapowanymi kremowymi welurowymi zasłonami dodały szyku i stały się inspiracją, by całe mieszkanie utonęło w bielach, beżach i połyskliwej kości słoniowej, przetykanych naturalnym odcieniem drewna. Pozwoliłam sobie nawet na spełnienie marzenia i odrobinę nonszalancji. Mimo protestów męża i jego utyskiwania na koszty sprowadziłam prosto z Paryża stary, brzuchaty zegar Boulle, rozparty na zabawnych złotych nóżkach i zwieńczony dmącym w trąbkę aniołem. W kilka pracowitych tygodni, drenujących portfel męża, uwiliśmy z Heniem wygodne gniazdko dla czwórki naszych dzieci: niemal dorosłych Zosi i Anieli oraz małych synów Jasia i Stasia.

To, co nas cieszy i napawa dumą, dla Zuli stało się przekleństwem.

Szybko się okazało, że nieprzyzwyczajona do sumiennej pracy gosposia nie radzi sobie z czyszczeniem, pucowaniem i polerowaniem nowych powierzchni, a moje polecenia coraz łatwiej wytrącają ją z równowagi. W dodatku, nie zważając na materiały, delikatność obić i połysk mebli, wszystko najchętniej czyściłaby sodą oczyszczoną albo domowej roboty pastą na bazie drobnego popiołu.

Mogłabym się jej pozbyć, ale żal mi tej skądinąd z gruntu dobrej dziewczyny. Tłumacząc sobie, że po prostu nikt jej nie wychował w poszanowaniu ładu i porządku ani nie przyuczył do wykonywania zawodu. A ponieważ lokum przy Żurawiej Zula od lat traktuje jak swój dom, bez protestów ze strony poprzedniej właścicielki, zwyczajnie wprowadziła w nim standardy, w jakich sama dorastała.

Przy okazji remontu chciałam odświeżyć jej całkiem sporą jak na kamienicę służbówkę, ale Zula kategorycznie odmówiła, zgodziła się jedynie, niechętnie i po długich namowach, na odmalowanie ścian, i to w osobiście przez siebie wybranym, okropnym różowym kolorze. Gdy sporadycznie zdarza mi się zajrzeć do jej pokoiku, mam wrażenie, jakbym wchodziła w wielkie damskie reformy, w dodatku niezbyt świeże, bo gosposia nie toleruje wietrzenia – przekonuje, że przez otwarte okna tylko wpadają zarazki i człowiek może się co najwyżej rozchorować.

Gdy tak o tym myślę, to nie mogę wyjść z podziwu, że jako ludzie tak bardzo się od siebie różnimy. Ale to dobrze, przynajmniej jest ciekawie.

Ostatni raz przeglądam się w lustrze, wydymając przy tym usta, tak że wargi robią się jeszcze pełniejsze, i nim pomyślę, że może powinnam jednak użyć szminki w nieco ciemniejszym kolorze, do mych uszu dociera perlisty śmiech córek, któremu towarzyszy dobrze znany Tadeuszowy baryton. Jestem zmęczona wyprawą po Śródmieściu ³ i z tym większą przyjemnością posłucham młodych.

– Nie wierzę! – woła roześmiana Zosia, a ja oczami wyobraźni widzę, jak onieśmielona własną radością po chwili zasłania usta dłonią, skromnie spuszcza oczy i milknie na dłuższą chwilę.

Jestem bardzo ciekawa, co też wprowadziło ich w taką wesołość.

Bez wahania skradam się ostrożnie i staję w uchylonych drzwiach salonu, przy okazji dostrzegając szarą plamę niewiadomego pochodzenia tuż obok klamki. Znowu Zula jej nie doczyściła!

Chcę młodych przyłapać w tym radosnym nastroju. Spojrzeć na roześmiane twarze, choć przez chwilę beztroskie i szczęśliwe. Najwyraźniej puszysty dywan skutecznie tłumi odgłos kroków, bo towarzystwo wydaje się zaskoczzone moim nagłym pojawieniem się.

– Klnę się... – Rozbawiony Tadeusz milknie w pół słowa, purpurowieje i zrywa się z krzesła. Wyprężony jak struna strzela cholewami i z udawaną galanterią podchodzi, by się przywitać. Kurtuazyjnie całuje moją dłoń, a migotliwe, łobuzerskie chochliki pobłyskują w jego brązowych oczach.

– Dzień dobry. A co wy tacy zadowoleni? – Cofam dłoń i uśmiecham się do chłopaka.

– Witamy szanowną panią. – Energicznie zgina się w ukłonie niczym cyrkowiec po udanym występie.

– Tadek, nie wygłupiaj się.

Usiłuję go wyminąć, by opaść na stojący pod oknem skórzany fotel, dumę Henia, który z lubością pali w nim cygaro, popijając armaniak i czytając gazetę. To znaczy kiedyś stojący pod oknem, bo teraz mebel jest wcisnięty między masywną biblioteczkę a ścianę; po incydencie z ubiegłego roku przesunęliśmy go w ten kąt, żeby w razie ostrzału szkło okienne nikogo nie zraniło.

– Ależ...

– Lepiej powiedz, co was tak rozbawiło – nalegam z ciekawością, masując dłońmi skronie, bo czuję nadchodzący ból głowy. W tych smutnych

wojennych czasach jest tak niewiele powodów do śmiechu, że nie odpuszczę okazji, by poprawić sobie nastrój.

– Ee, nic, tak sobie tylko opowiadamy. – Tadeusz wymiguje się od odpowiedzi i pospiesznie zmienia temat: – A co nowego u pani?

– Właśnie wróciłam ze spaceru.

– Wspaniale!

– Ty mi tu nie zmieniaj tematu, słyszałam, jak się śmialiście.

– Mamuś, tylko się nie denerwuj. – Aniela spogląda na mnie z niepokojem, zupełnie jakbym przyłapała ją na psocie.

– Ale mnie uspokoiłaś! – Strwożone serce przyspiesza, usiłując wyrwać się z klatki żeber, i sprawia, że z niepokojem czuję mrowienie na karku, a w głowie coraz bardziej mi pulsuje. – Co się stało? – dopytuję niecierpliwie.



Jaś w parku Ujazdowskim

– Na szczęście nic, ale Tadeusz właśnie opowiadał, jak...

– Cicho! – Chłopak rzuca jej ostrzegawcze spojrzenie, usiłując powstrzymać przyjaciółkę, która ma fatalny zwyczaj mówienia, co jej ślina na język przyniesie, bez wcześniejszego zastanowienia się nad konsekwencjami, co szczególnie w czasie okupacji może okazać się niezwykle niebezpieczne.

– Teraz to już musicie mi powiedzieć, bo chyba nie chcesz, żebym wspomniała twojej matce... – Spoglądam surowo na Tadka i z rozmysłem biorę głęboki wdech, by jednym tchem wyrzucić z siebie uzasadnioną pretensję: – Żebym wspomniała twojej matce – powtarzam dobitnie, ciskając iskry z oczu – że wyprawiasz na mieście nie wiadomo co i z kim. Z pewnością nie będzie zachwycona, a zważywszy na jej słabe serce...

– Nie, nie ma takiej potrzeby. – Chłopak natychmiast poważnieje i macha rękoma, jakby oganiał się od namolnej muchy. – Lepiej mamy nie denerwować.

– Też jestem tego zdania.

Niby od niechcienia wodzę palcem po gęstym splocie koronkowej serwetki, który układa się w finezyjny bukiet róż. Zrobiłam ją na szydełku w ostatnie przedwojenne wakacje, gdy nic nie zapowiadało nieszczęścia, teraz stała się drogim sercu reliktem dawnego, spokojnego życia. Z premedytacją każę Zuli prac i krochmalic ją co tydzień, bo przywodzi przemiłe wspomnienia i daje nadzieję, że jeszcze będzie normalnie. Że wojna wreszcie się skończy i będziemy mogli wrócić do naszego nudnego życia.

Choć oczywiście nigdy już nie będzie tak samo.

Bo przecież nie sposób zapomnieć o tych, którzy zginęli, zniknęli albo wyemigrowali. O mojej przyjaciółce Alinie, która wracając do domu, przypadkowo znalazła się nie w tym miejscu i nie w tym czasie, trafiła w środek łapanki i ślad po niej zaginął.

Jestem pełna obaw i podejrzeń, że znalazła się w jednym z tych piekielnych miejsc, o których tyle się słyszy. Rzecz jasna, nikt oficjalnie niczego nie ogłosił, ale mało to się mówi o tych całych niemieckich obozach? Majdanek, Auschwitz, Dachau? Nowe, przeklęte nazwy, które sieją strach i budzą przerażenie. Ponoć prowadzi tam droga tylko w jedną stronę i nie znam nikogo, kto wydostałby się ze szponów tego koszmaru. Ale mimo że w rzeczywistości rzadko kto spotkał byłego więźnia i wysłuchał jego relacji, plotki rozprzestrzeniają się po całym kraju, niosąc ze sobą aurę grozy ⁴.

– Bo... – Do Anieli dociera, że niepotrzebnie się odezwała, i teraz, jak to ma w zwyczaju, najchętniej uciekłaby z płaczem i trzasnąwszy drzwiami,

zaszyła się pod pierzyną w swoim pokoju.

Jednak obecność chłopaka, który jak ostatnimi dniami z wielkim zdziwieniem zauważyłam, zawrócił jej w głowie, budząc w niej pierwsze młodzieńcze zauroczenie, osadza ją w miejscu.

– Bo co? – Jestem coraz bardziej zniecierpliwiona. – Mam nadzieję, że nie zrobiliście niczego głupiego. Prawda? – W zasadzie powinnam powiedzieć „niebezpiecznego”, ale podświadomie odsuwam od siebie możliwość, że coś złego mogłoby się przydarzyć dzieciom.

– Nie ma co panikować. My tylko, to znaczy ja – Tadek porozumiewawczo spogląda na Zośkę – napisałem wczoraj na murze „tylko świnie siedzą w kinie”.

– O Boże! Mam nadzieję, że nikt cię nie zauważył! – Z przerażenia wybałuszam oczy, bo nie spodziewałam się, że moje dziecko za sprawą przesympatycznego i zdawałoby się, rozsądnego sąsiada może otrzeć się o takie niebezpieczeństwo.

– No, nie do końca. Niestety, nie zauważyłem zbliżającego się niemieckiego patrolu, ale chociaż zaczęli strzelać, udało mi się uciec. – Wzrusza nonszalancko ramionami, czym doprowadza mnie do szału. – W sumie nic się nie stało, ale nie powiem, strach dodał mi skrzydeł i jeszcze nigdy w życiu tak szybko nie zwiewałem.

Aniela spogląda na niego z nieskrywanym uwielbieniem i podziwem.

– Do jasnej ciasnej! – Zaczynam panikować. – Tyle razy prosiłam, żebyście się w nic nie angażowali!

– Mamo, my niczego...

– Błagałam, tłumaczyłam, ale to jak rzucać grochem o ścianę. Dlaczego nie słuchacie?! Czy wy w ogóle zdajecie sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie wam grozi? Czasami zachowujecie się jak dzieci!

– Bo ktoś, proszę pani, musi to robić. Najprościej byłoby siedzieć z założonymi rękami, ale wtedy... – Tadeusz poważnie, szykując się do długiej patriotycznej mowy, którą już kilkakrotnie wygłaszał podczas kolacyjnych spotkań przy naszym stole, zażarcie dyskutując z Henrykiem, jednak tym razem przerywam mu w pół słowa.

– Przestań! Nie chcę nawet tego słuchać!

– Właśnie! – rzuca entuzjastycznie starsza córka, buńczucznie unosząc podbródek. – Tadeusz ma rację. Mamo, ty...

– Ja to wszystko rozumiem, tylko dlaczego akurat wy musicie mieszać się w takie sprawy? – pieklę się. – To niebezpieczne!

– A dlaczego nie? – Aniela piskliwie wtóruje siostrze. – Młodszy od nas się angażują i próbują coś zrobić.

– Tak, mam, nie można zdawać się na to, że inni będą się dla nas poświęcać. – Zosia przychodzi siostrze w sukurs. – Niby w czym jesteśmy lepsi? – Gwałtownie zrywa się z krzesła, tak że niemal je wywraca, i wbija we mnie wściekły wzrok, jednocześnie oskarżycielsko wyrzucając przed siebie dłoń z wyciągniętym przeraźliwie chudym palcem.

– W niczym! – krzyczę bezradnie. – Tylko innych nie znam, a was tak! W dodatku was kocham i nie zniosłabym, gdyby coś złego któremuś z was się przytrafiło! Wystarczy, że ojciec się naraża.

– Ja opiekuję się...

– Tadeusz, z całym szacunkiem, ale o czym ty, chłopcze, mówisz? Jakie „opiekuję”? Wobec Niemców jesteśmy wszyscy tak samo bezradni i zdani na ich łaskę!

Gdyby nie to, że Tadeusz jest najstarszym synem mojej przyjaciółki z lat szkolnych, Magdy, która mieszka na naszej ulicy pod czwórka⁵ i którą bardzo sobie cenię, zabroniłabym im się spotykać! Stają się coraz bardziej podejrzliwa i niespokojna. Obawiam się, że jeśli młodzi nadal będą się spotykać na pogaduszkach, skończy się to nieszczęściem i moje wychuchane córki z młodzieńczą naiwnością oddadzą się sprawom, o których nie mają zielonego pojęcia.

Dobrze, polemizuję sama z sobą, Tadeusza też nikt nie uczył walczyć, strzelać, robić benzynowe koktajle, ale to chłopak! Młody mężczyzna, który ma we krwi smykałkę do wojaczki. Rywalizacji! A przecież nie sposób zaprzeczyć, że wojna to swoista rywalizacja między nami i nimi, wrogami, choć o wysoką, najwyższą stawkę!

Ale młoda dziewczyna? Dorastająca, bezradna, prostoduszna? Co ona może o tym wszystkim wiedzieć?! Nic! Zupełnie nic! Jeszcze, nie daj Boże, ktoś niegodziwy ją wykorzysta!

W dodatku najwyraźniej przestałam być autorytetem dla moich panien. Na nic zdają się matczyne perswazje. Wystarczy, że Tadeusz napnie mięśnie, mrugnie okiem, uśmiechnie się, przy okazji rzuci górnolotnym słowem, i jak bezmyślne kozy pociągnie je za sobą w szary obłok wojennego pyłu.

Zofia

Mama jak zwykle przesadza.

Nie pojmuję, dlaczego zachowuje się jak zazdrosna o pisklęta kwoka.

Mam nadzieję, że niebawem zrozumie, że jesteśmy już dorosłe i w jej czasach, jak zwykła mawiać, dawno byłybyśmy po słowie z jakimiś dobrze zapowiadającymi się kawalerami z jeszcze lepszych domów niż nasz, z nobliwą przeszłością i połyskującą obietnicą sukcesów przyszłością. A może nawet miałybyśmy dzieci?

Nie wiem, czy tak na nią wpływa wojna, czy po prostu tak już ma, że pilnuje nas jak oka w głowie. A prawda jest taka, że gdyby wszyscy rodzice mieli podobne podejście, to nikt nie chwyciłby za broń, żeby dać odpór okupantowi. Siedzielibyśmy w kącie jak zahukane myszy.

To zupełnie oczywiste, że skoro nasi żołnierze walczą, a w zasadzie walczyli na froncie, to my, cywile i młodzi, musimy być dla nich wsparciem na każdej innej płaszczyźnie. A niby jak mielibyśmy stawić czoło Niemcom? Przecież nie zaczniemy do nich strzelać ani tym bardziej nie ruszymy na nich z nożami, kosami czy siekierami. Konsekwencje byłyby niewyobrażalne, straszne, w dodatku swoimi mackami sięgnęłyby najdalszych członków rodziny. Poza tym jak tu walczyć z tak przeważającym wrogiem?

Jestem zdania, że skoro nie mamy broni, to trzeba zdać się na regularne, małe, uszczypliwe, uporczywe i burzące ład okupanta działania. Mogą się one okazać równie dotkliwe. Dadzą wyraz temu, jak bardzo nie akceptujemy życia pod niemieckim butem, jak mocno marzymy i zrobimy wszystko, by na powrót odzyskać wolność. Musimy działać, bo tylko tak możemy zmienić sytuację. A skoro Tadek coraz częściej przebąkuje o powstaniu, to nie sposób nie wziąć w nim udziału. Zupełnie sobie nie wyobrażam, żebym biernie siedziała i zdała się na ślepy los.

Ponadto Tadeusz mi imponuje.

Jest taki mądry, pewny siebie, przekonany o słuszności sprawy, za którą nadstawia karku. Lubię patrzeć na jego wystające spod podwiniętych ręka-

wów koszuli ogorzałe ramiona, z wyraźnie zarysowanymi bicepsami i siateczką nabrzmiąłych żył.

Nie mam pojęcia, skąd czerpie zapał, by tak intensywnie ćwiczyć, ale twierdzi, że tylko wysportowani i silni mężczyźni przydadzą się na froncie.

Przez tydzień usiłowałam brać z niego przykład: robiłam przysiady, pajacyki i ku zdziwieniu Zuli wymachiwałam nogami na boki. Skończyło się na tym, że niechcący pantoflem, który spadł mi ze stopy podczas jednego z wymachów, zrzuciłam rodzinną fotografię ze ściany. Mamidło było bardzo niezadowolone, bo rama potłukła się w drobny mak.

Nieustannie przeglądając się w lustrze i sprawdzając, czy widać już efekty wysiłku, których oczywiście nie dostrzegałam, szybko zarzuciłam pomysł zostania gimnastyczką i skupiłam się ponownie na książkach i marzeniach. Również tych związanych ze wstąpieniem w harcerskie Szare Szeregi ⁶, o czym rodzice nawet nie chcą słuchać. I jeśli tak dalej pójdzie, to po raz pierwszy sprzeniewierzę się ich woli i w sekrecie zapiszę do organizacji skupiającej rówieśników, a jeśli będzie trzeba, to nawet ucieknę z domu. Co prawda, nie wiem, gdzie miałabym się podziać. Może przeno-cowałiby mnie rodzice Tadeusza albo pani Jadwiga, sąsiadka zza ściany? Skoro nie mogę chodzić do szkoły, to przynajmniej tu będę miała kontakt z osobami w moim wieku.

Tadek co rusz przynosi nowe, zaskakujące wieści z miasta, których słuchamy z wielkim zaciekawieniem. I choć rodzice czasem mają wątpliwości co do zasłyszanych rewelacji, to ja wierzę w to, co on mówi, i ufam mu we wszystkim. Peroruje z takim przekonaniem, zacięciem, zupełnie jakby ktoś zdradził mu jakąś wielką tajemnicę, o której istnieniu my, mali, przeciętni ludzie, nawet nie mamy prawa wiedzieć. A poza tym, włócząc się po mieście, trzyma rękę na pulsie i wie, co w trawie piszczy.

Wie o powstaniu ⁷.

O tym zapowiadany, przeczuwanym dniu przełomu, który niczym krwawi jeźdźcy Apokalipsy runie na Niemców i sprawi, że z podkulonymi ogonami uciekną za Odrę. Że się odrodzimy niczym feniks z popiołów i staniemy na powrót silną, dumną Polską. Tak bardzo o tym marzę! Już niemal zapomniałam, jak to jest być wolną. Niezależną.

Tylko czy to możliwe? Jak miałyby wyglądać taki zryw? Czy jest nas aż tylu? Desperatów? Marzycieli? Kto nas poprowadzi? Kto da broń? Mamy w ogóle jakąś broń? Tyle broni? Czy potrafimy jej używać? Czy ktoś nauczy nas walczyć?

Co rusz zapadam się w siebie, a moje myśli fruną w nieznane. Już nawet nie pamiętam, jak to jest żyć w niepodległym, spokojnym i bezpiecznym kraju. Móc wszystko i nie lękać się nikogo i niczego. Bez godziny policyjnej, paraliżującego strachu przed łapankami. Bez kartek, bez oglądania się za siebie, bez ograniczeń.

Ze zdumieniem obserwuję Anielę.

Moja młodsza sentymentalna siostra, której oczy zachodzą łzami wzruszenia przy niemal każdej okazji, gdy ktoś ją skarci albo pochwali, która jest tak delikatnej konstrukcji psychicznej, że nie potrafi sama poradzić sobie z napływającymi emocjami i co rusz biega do mamy, żeby ją przytuliła i pocieszyła, dziwnie sztywnieje na widok naszego młodego sąsiada, a jej policzki purpurowieją.

Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że podobnie jak ja zadurzyła się w Tadku i nie umie zapanować nad tym jakże nowym i niespodziewanym uczuciem. Że dzieje się w jej wnętrzu coś, czego nie potrafi okiełznać i co sprawia, że stała się nerwowa i jeszcze bardziej, choć wydawało się to niemożliwe, przewrażliwiona.

Jest mi przykro i rodzi się we mnie podejrzenie, że mogę mieć w niej rywalkę do serca Tadka.

Śmiać mi się chce, gdy Aniela stroi się przed lustrem, przebierając się w kolejne sukienki i poprawiając fryzurę. Przerzuca loki z jednej strony twarzy na drugą, upina je w wyszukane koki lub splata tuż nad karkiem, gdy tylko dowiaduje się, że przyjaciel ma wpaść do nas z wizytą. I w sumie trochę mi jej też żal, bo przecież wiem, że Tadeusz zainteresowany jest kimś innym. Tak przynajmniej sędzę.

Łudzę się, że to ja stałam się obiektem jego westchnień.

Inaczej nie odwiedzałyby nas tak ochoczo i nie spędzał długich godzin, sącząc lurowatą ziołową herbatkę i opowiadając stare anegdoty. Ten napój to w rzeczywistości żadna herbata. Ot, napar z suszonych obierków po jabłkach i mięty, ale muszę przyznać, że smakuje i orzeźwia o wiele lepiej niż przedwojenne ulung albo assam, które kiedyś z taką lubością zaparzała mama, zimową porą dodając łyżkę miodu, goździki, cynamon i gruby plaster cytryny.

Wiązał się z tym cały skomplikowany rytuał zarezerwowany tylko dla niej.

Mamidło w takich chwilach zachowywało się jak bogini na Olimpie, do której nie należy się zbliżać, dopytywać ani tym bardziej jej wyręczać. Nie

wiem, czy bardziej bała się, że potłuczemy drogocenną, cienką niczym skorupka jajka zastawę, czy że narobimy herbacianych plam na serwecie albo rozsypiemy drogocenny susz, który sprowadzała z samego Berlina. Fakt jest taki, że tylko jej było wolno obsługiwać połyskujący srebrem samowar, który od czasu wybuchu wojny stoi nieużywany, głęboko schowany w kredensie, czekając na lepsze lata i prawdziwy czaj, jak zwykła mawiać babka.

Dla odmiany do dziś w brzuchatym kredensie na honorowym miejscu pyszni się jej ulubiony porcelanowy dzbanuszek.

Pamiętam, jak z pełną powagą wsypywała, w zależności od liczby biesiadników, ściśle określoną ilość herbaty, którą potem zalewała wrzątkiem. Odmierzając czas parzenia, zerknęła na ulubiony zegar Boule. Wreszcie odstawiała dzbanuszek na porcelanową tackę ze srebrnym otokiem, osadzoną na trzech okrągłych nóżkach.

W tym czasie na stoliku pojawiały się rodzinne, odziedziczone po prababci pozłacane, białe porcelanowe filiżanki. Po pięciu skrupulatnie odmierzonych minutach kolejno na każdej filiżance lądowało fikuśne srebrne siteczko, przez które mama przelewała z wielką precyzją i atencją aromatyczną burgundową herbacianą esencję.

Dziś od wielkiego święta zaparza w nim co najwyżej cienką herbacianą plujkę. Z całą powagą, nie chcąc robić jej przykrości, udajemy, że delektujemy się nią jak za dawnych czasów. Siteczko dawno temu gdzieś się zagubiło.

Mama nieraz powtarza, że bardzo tęskni za tymi południowymi godzinami, gdy z przyjaciółkami dzieliły się ploteczkami z miasta, rodzinnymi troskami i narzekaniami na służbę, popijając mokkę i rozkoszując się ciasteczkami od Wiśniewskiego ⁸ z cukierni na rogu. W takich chwilach bardzo mi żal mamidła, które w dzisiejszych czasach niewiele ma rozrywki, za to ogromnie dużo trosk i zmartwień.

Ale nie zmienia to faktu, że jestem na nią bardzo zła, a może rozczarowana tym, że nie potrafi zrozumieć, iż przeszłość minęła i tamten świat nigdy nie powróci. Że w tej wojnie nie możemy tylko polegać na innych, musimy również dać coś od siebie. Utoczyć krwi w obronie ukochanej ojczyzny.

– Co robisz?

Niespodziewanie rozczochrana głowa Anieli pojawia się w drzwiach.

– Nic. A co miałabym robić? – Pospiesznie zamykam brulion.

– Widziałam, że coś piszesz.

Siostra wchodzi do sypialni i od niechcienia opada na dopiero co zaścielone przez Zulę łóżko, rozpierając się niczym pasza na poduszkach.

– Ali, skoro widzisz, to po co pytasz? – Wzruszam ramionami. – Tyle razy powtarzałam, żebyś nie siadała na pierzynie – marudzę jak zwykle, gdy ktoś burzy ład w moim pokoju.

Czasami zastanawiam się, czy nie jestem aby zbyt pedantyczna, ale nie potrafię się przełamać. Im bardziej uporządkowana jest przestrzeń wokół mnie, tym więcej spokoju mam w sobie. Zupełnie jakby porządek w szufladzie z pończochami wpływał na mój nastrój i samopoczucie. I choć może wydawać się to przedziwne, to właśnie tak mam.

Świadomość, że gdzieś tam czyha zabałaganiona przestrzeń albo kłęb kurzu, sprawia, że niemal słyszę błagalny lament niedbale rzuconych w kącie szpargałów i ich prośby o uporządkowanie. Co jednak nie wyklucza tego, że tak jak wszyscy sama bałaganie. Ale tłumaczę sobie, że skoro sama sprzątam swój pokój, Zula tylko pastuje co sobotą parkiet i wyciera kurze, to mogę w nim również od czasu do czasu siać chaos.

– Przecież jest przykryta kapą.

Aniela najwyraźniej nie przejmuje się moimi potrzebami i zamiast mnie posłuchać, wyśpiewuje:

*Siekiera, motyka, bimber, szklanka
W nocy nalot, w dzień łapanka.
Siekiera, motyka, światło, prąd,
Kiedyż oni pójda stąd?
Już nie mamy gdzie się skryć,
Hycle nam nie dają żyć,
Po ulicach gonią wciąż,
Patrzą, kogo jeszcze wziąć.*

– Przestań! – Coraz bardziej irytują mnie te wszystkie idiotyczne wojenne piosneczki i wyliczanki.

– O, widzę, że humoru nie ma.

– Pierzyna była równo pościelona. – Puszczam mimo uszu jej uwagę. – A teraz będą w niej doły i góry, a wiesz, jak bardzo tego nie lubię. Proszę, zejdz – nalegam, ze złością spoglądając na dziewczusysko.

– Kiedy zrobiłaś się taka wrażliwa? – siostra się wyzłośliwia. – Tatko mawia, że ludzie giną na wojnie, a tobie przeszkadza...

– Nie zaczynaj! Wiesz, że nie o to chodzi! – Boże, jak ona czasami mnie denerwuje!

– Może tak, może nie – drażni się jak dziecko.

Niestety, zawsze tak robi, gdy jest znudzona.

Chowana pod maminy kłosem uprzedzeń i lęków sporadycznie wychodzi z domu. Nie pojmuję, dlaczego mamidło maluje przed nami świat pełen strachów i zagrożeń, opowiadając o okropnych rzeczach, które albo od kogoś usłyszała, albo zna tylko z gazet. Ja wpuszczam te wszystkie opowieści jednym uchem, a wypuszczam drugim. Niestety, Aniela bierze je sobie głęboko do serca.

Mama rozkręciła się zwłaszcza teraz, w wojennej rzeczywistości. Oczywiście okupacja nie służy zawieraniu nowych przyjaźni i znajomości, ale siostrę trudno gdziekolwiek wyciągnąć. Choćby na spacer. Zresztą Ali najlepiej czuje się sama z sobą. Zawsze stroniła od rówieśników, prosto po lekcjach wracała do domu, z rzadka tylko odwiedzając najbliższe koleżanki, by nie przyczepiły jej łatki odludka i nie odwróciły się od niej w szkole.

– Chyba możesz usiąść na krześle jak człowiek.

– Marudzisz!

– Wiesz, że to dla mnie ważne, chociaż tobie może się wydawać banalne.

– Przesadzasz!

– Nie, po prostu lubię porządek!

– Nie musisz być od razu taka niemiła. – Aniela niechętnie się dźwiga, uwalniając sprężyny materaca, które nieprzyjemnie, skrzekliwie jęczą, zupełnie jakby one również lamentowały, że ktoś niepotrzebnie zburzył ich spokój.

– Nie jestem niemiła! – protestuję.

– Co tam skrobiesz?

– Nie pojmuję, dlaczego ciągle o to pytasz. Piszę sobie i tyle.

– Znowu piszesz pamiętnik?

– I tak, i nie – mówię wymijająco.

– Wiesz, co mówił Tadeusz?

– Tadeusz to, Tadeusz tamto. Co ty masz z tym Tadeuszem? – Spoglądam na nią złośliwie spod rzęs, przez chwilę bawiąc się jej zawstydzaniem.

Może dzięki temu wreszcie da sobie spokój ze szpiegowaniem i zajmie się własnymi sprawami.

Aniela jak zwykle oblewa się pąsem, spuszcza wzrok, tak że przez dłuższy czas wpatruje się w noski materiałowych granatowych czólenek, w których chodzi po domu zamiast papci, i zaplata dłonie na podółku. Niestety, nic nie wskazuje na to, by miała ochotę szybko wrócić do siebie.

– Nie chodzi o Tadeusza! – Nadyma się, kąciki ust lekko jej drżą, a oczy połyskują łzawo. – Tylko o to, co powiedział.

Plącze się nieporadnie jak dziecko przyłapano na wyjadaniu słodyczy.

– Tak? – Podpuszczam ją, jednocześnie otwierając szufladę. Oczywiście się zacięła i muszę się odwołać do siłowych rozwiązań, przytrzymując nogą biurko i szarpiąc z całej siły za porcelanową, obluzowaną białą gałkę. Jeśli tak dalej pójdzie, to w końcu ją urwę. Notuję w pamięci, by poprosić mamę o sprowadzenie dozorczy, który poza pełnieniem obowiązków stróża jest znaną w kamienicy złotą rączką.

Przesuwam kilka ołówków i śmieszna, zrobiona w dzieciństwie dla mamy papierowo-druciana bransoletkę.

Śmiać mi się chce na wspomnienie miny mamidła, gdy otrzymało, wśród achów i ochów ciotek, ten wyjątkowy prezent. W dodatku chwilę po wręczeniu dostałam niemal hysterii, gdy mama niepewnie odłożyła to unikatowe jubilerskie dzieło sztuki na półkę nad kominkiem, zamiast z godnością nosić je na nadgarstku.

Jakimś dziwnym trafem ozdoba szybko się zgubiła i przypadkowo została odnaleziona kilka tygodni temu przez Zulę w jednym z pudeł na strychu. Z sentymentu zachowałam ją na pamiątkę, oczywiście wcześniej zaprezentowałam znalezisko rodzinie i przypomniałam anegdotkę. Uśmialiśmy się wszyscy i ku naszemu zdumieniu okazało się, że to nie jedyny rękocznie robiony prezent, który wprowadził w konsternację rodziców, a który ku uciesze dzieci na długie miesiące stawał się wątpliwą ozdobą domu.

Wśród wręczonych śliczności był krzywy, dziurawy, wykonany własnoręcznie przez Anielę gliniany wazonik, makaronowe korale zrobione w ubiegłym roku przez Stasia z pomocą Zuli i wydziergany przeze mnie szalik, który nie dość, że wściekle pomarańczowy, to w dodatku tak koślawy i wąski, że bardziej przypominał sznurówkę niż elegancką etolę.

– Pamiętasz przecież, jak Tadzio mówił, że zostawianie śladów na papierze, jakichkolwiek, mogłoby ściągnąć na nas nieszczęście, gdyby wpadły one w ręce Niemców – duka pospiesznie, za wszelką cenę usiłując odwrócić uwagę od chłopaka.

W zasadzie nie jestem pewna, czy powoduje mną siostrzana troska, czy zazdrość, ale na myśl o Tadeuszu robi mi się ciepło na sercu, a żołądek przeszywa dziwny skurcz.

Mam tylko nadzieję, że jakby co, to jednak wybierze mnie, nie ją.

Z drugiej strony, gdy pomyślę o tym, w jaką melancholię wpadłaby Ali, to robi mi się jej tak żal, że byłabym gotowa, oczywiście gdyby Tadek wyraził zainteresowanie moją skromną osobą, zrezygnować z jego miłości. Pewnie cierpiałabym do końca życia, może poświęciłabym się jakimś sierotom albo zamknęła w klasztornej celi, ale nie pozwoliłabym, by moja siostrzyczka rozpaczała.

Niespodziewany rozbłysk w głowie rodzi nagłą refleksję, że najlepiej by było, gdyby chłopak zakochał się w zupełnie innej dziewczynie. Obcej. Jednak bolesne ukłucie w sercu uświadamia, jak bardzo stał mi się bliski.

– Ali, nie sądzę, żeby Niemców interesowało, co wypisuję w swoim brulionie. Możesz odetchnąć z ulgą i zapomnieć o sprawie.

– A co piszesz? – Aniela gwałtownie prostuje się na krześle, unosi podbródek i przewierca mnie świdrującym spojrzeniem.

Najwyraźniej ma nadzieję, że przerzucając na mnie ciężar odpowiedzi, uniknie zaczepek związanych z Tadekiem.

– Dobrze, powiem ci – mówię z ociąganiem.

Zdaję sobie sprawę, że im większym sekretem wyda się jej to, czym się zajmuję, tym więcej będzie snuć dziwnych domysłów i tym chętniej dopytywać wszystkich wokół, czy wiedzą, co zaprzęta moje myśli.

– Piszesz wiersze! – zgaduje z przejęciem. – Miłosne? O jejku, zakochałaś się! W kim? – Składa błagalnie dłonie. – Powiesz mi, prawda?

– Oszalałaś? – Denerwuję się, bo trafiła w sedno i gdybym tylko potrafiła, oddałabym się miłosnemu rymowaniu. – Ja i wiersze miłosne? A niby do kogo miałabym je adresować? – Udaję oburzenie, ale w rzeczywistości moje trzepotliwe serce zaczyna stepować, wybijając coraz gwałtowniejszy rytm, i nie wiedzieć dlaczego przed oczami pojawia mi się roześmiana, piegowata twarz Tadeusza.

– Ty mi powiedz.

– Nie powiem, bo nie ma czego opowiadać.

– Widziałam tomik poezji...

– To, że czytam wiersze, niczego nie dowodzi. – Śmieję się nieszczercze, odruchowo zakrywając usta i usiłując zbić ją z pantałyku, bo smarkula coraz celniej trafia w czułe punkty.

– Mama mówiła... – zaczyna niebezpiecznie drążyć.
– Dobrze. – Wzdycham. – Przyznam ci się, nad czym pracuję, ale musisz obiecać, że nikomu, absolutnie nikomu o tym nie powiesz.
– Słowo honoru. – Aniela kładzie prawą dłoń na piersi, jej oczy w sekundę stają się jeszcze większe i bardziej błyszczące. – Obiecuję! Poważnie! Przecież wiesz, że możesz mi zaufać.
Wygląda tak, jakby była gotowa wyskoczyć ze skóry i stanąć obok, żeby tylko odkryć moją tajemnicę.
– Piszę bajki. I rysuję – dodaję niepotrzebnie, bo oczywiście Aniela zaraz dopomina się o pokazanie szkiców.
– Pokaż, co narysowałaś.
– Nie teraz. – To mówiąc, chwytam brulion i wsuwam go do górnej szuflady biurka, dając do zrozumienia, że nie mam zamiaru dzielić się pozostałymi szczegółami.
Przez chwilę mocuję się z szufladą, a gdy wreszcie udaje mi się ją zamknąć, boleśnie przycinam sobie palec.





– Au! Kurczę! – Wsuwam obolałą opuszkę do ust. Czuję, jak pulsuje, zupełnie jakbym miała tam drugie serce.

– Bajki? Ale po co? Dla kogo?

Coraz bardziej rozdrażniona z rumorem odsuwam krzesło, wstaję i opieram się o biurko, jakbym własnym ciałem chciała chronić dostęp do brulionu.

– Dla nikogo. Dla siebie. – Wzruszam ramionami, bo w rzeczywistości sama nie jestem pewna, czy kiedykolwiek je komuś pokażę.

Czy jakieś dziecko wysłucha opowieści o skrzatach, które mieszkają pod ciężką żeliwną wanną?

Rura odpływowa jest zjeżdżalnią do ich zaczarowanego świata, z którego cichaczem wychodzą tylko ciemną nocą, by wyjadać marmoladę ze słoika w kuchni, robić bałagan i plątać włosy śpiącym dzieciom.

– Przecież to nie ma sensu!

– Ma, bo sprawia mi przyjemność i choć przez chwilę nie myślę o tym, co dzieje się za oknem. O wojnie, o tym, że nie wiadomo, co wydarzy się jutro. Tak jest bezpiecznie, miło i trochę bardziej kolorowo.

– O tym nie pomyślałam.

– Może też powinnaś spróbować?

– Bo ja wiem...

– Wyczarowałabyś sobie własny magiczny świat, do którego mogłabyś uciec w każdej smutnej chwili, o którym byś myślała, zasypiając, i który śniłby ci się w nocy. To ty ustalałabyś reguły, sprawiała, że ktoś jest dobry, a ktoś inny staje po złej stronie – nawijam jak nakręcona, czym sama jestem zdumiona, bo dopiero mówiąc o tym głośno, uświadamiam sobie, jak ważne dla mojej duszy jest to, co robię.

Coś, co wydawało się zwykłą głupią zabawą, okazuje się tak kojące dla umysłu. Mój wymyślony świat to jedyne bezpieczne miejsce, w którym mogę się zanurzyć.

Nie ma w nim Niemców, śmierci, strachu.

– Zastanowię się. Dasz mi je do przeczytania?

– Może kiedyś przeczytam je dzieciom, ale teraz nie chcę pokazywać ich nawet tobie, są niedo...

– Staszek i Janek pewnie by... – przerywa mi w pół słowa.

– Myślę o jakichś małych dzieciakach, których pewnie nie ma jeszcze na tym świecie! Nie o braciach! Rozumiesz?

Najwyraźniej nie, bo jeszcze przez chwilę Aniela drąży temat, dopraszając się o przeczytanie fragmentu.

– Daj już spokój. – Ziewam coraz bardziej znudzona.

– Przejdiesz się ze mną do biblioteki? ⁹

– Przecież jeszcze nie przeczytałaś tego, co ostatnio wypożyczyłaś.

– Ee, nie podoba mi się ta cała Rodziewiczówna.

– Żartujesz? Jak może ci się nie...

– A jednak. To co, przejdziemy się?

– Przecież kropi.

– I co z tego? To niedaleko.

– Nie, nie gniewaj się, ale nie mam ochoty.

– A może obejrzymy zdjęcia? – Ali robi wszystko, żebym skupiła na niej uwagę i zorganizowała jej jakieś zajęcie.

Jako że ma siedemnaście lat i jest zaledwie dwa lata ode mnie młodsza, wydaje się to absurdalne. Ale wojna zmieniła wszystko, przedefiniowała normalność świata i jego przyjemności. Teraz, po pięciu latach okupacji, normalnością stały się godzina policyjna, kartki, nieustanne oglądanie się za siebie, paraliżujący lęk, że nagle zostaniemy zatrzymani. Wsłuchujemy się w każdy hałas na schodach z nadzieją, że nie jest to stukot czarnych, wypolerowanych oficerów należących do tych, którzy dali sobie prawo zburzenia

naszego spokoju, zrewidowania domu i aresztowania pod byle pretekstem Bogu ducha winnych ludzi, a nawet zadania im śmierci.

Nie możemy jak dawniej spokojnie wyjechać za miasto, nie ma mowy o kilkutygodniowych wakacjach. Praca papy jest niepewna i kiepsko płatna, mamidło przestało się uśmiechać, my nie możemy chodzić do szkoły. Chciałam studiować medycynę, może stomatologię, a zamiast tego dostałam nakaz pracy i zajmuję się szyciem. Oczywiście są tajne komplety, wykłady, ale co to za nauka? Jesteśmy zdani na siebie. Może przez to bardziej zacięci, dociekliwi, ale sami.

I ta samotność jest najgorsza.

Odbiera marzenia.

O szczęśliwym życiu, o miłości, dzieciach i radosnym, bezpiecznym domu. Takim małym, zupełnie malutkim, z białym drewnianym płotem wokół niewielkiego ogródka, z białymi różami na rabacie i warzywnikiem na tyłach. O słodkim, zabawnym szczeniaku bawiącym się na trawniku i uginających się pod ciężarem dojrzałych, słonecznie żółtych antonówek gałęziach starej jabłoni.

Tęsknię też za radosną, beztroską zimą, gdy chodziłyśmy na łyżwy i zjeżdżałyśmy na sankach. Chodziło się na koniec ulicy i tam, korzystając z niewielkiego spadku, z piskiem radości zjeżdżało w kierunku placu Trzech Krzyży.



Saneczkowa zabawa na Żurawiej, Maria z Anielą, około 1935 roku

Nasze marzenia scherlały i skurczyły się do tego, co jest na wyciągnięcie dłoni. Do spokojnego wieczoru i dobrego kolejnego dnia. Modlimy się tylko o to, by nie było gorzej. By przeżyć. By nikogo nie zabrakło wieczorem w łóżku. Byśmy byli wszyscy na śniadaniu o poranku. Pewnie dlatego z taką ufnością i radością zatapiam się w słowach Tadeusza, że rodzi się bunt i nadciąga przesilenie, że organizuje się rewolucja, powstanie, nowa walka. Tylko one niosą nadzieję. Że nareszcie pogonimy Niemca. Wszyscy żyjemy tą nadzieją, że po porażce na Wschodzie już się nie podniosą.



Pierwsze wiśnie w Aninie, 1939 rok

Miałam czternaście lat, gdy wybuchła wojna, i niewiele pamiętam z tamtego okresu. W zasadzie tylko chaos, panikę, dyskusje i niepewność rodziców co do tego, czy uciekać, czy jednak zostać. A jeśli wyjechać, to dokąd? Do rodziny na wieś? Czy do dalekiej kuzynki ojca w Kanadzie? A może tylko wynająć mieszkancko na obrzeżach miasta?

Nieustająca obawa o to, czy wysiedlą, czy nie. Przecież to prestiżowa, modna część Warszawy. I moi mali bracia, wiecznie chorzy, niedomagający, zasmarkani. Strach mamy, zaciśnięte usta ojca, niedająca się opanować, co rusz wybuchająca na nowo histeria Zuli, że to już koniec, że umrze, a umierać nie chce!



Plażowanie na basenie Legii, 1939 rok

Ciągle dopadająca nas przytłaczająca cisza, w której słyhać nawet poruszające się skrzydełka muchy, o jej brzęczeniu i tłuczeniu o szyby w oknach nie wspominając, bo te są jak nieprzyzwoicie głośne, irytujące fanfary. I to nasłuchiwanie wiadomości w radiu. Skupienie, wstrzymywanie oddechu podczas przemówień tych, którzy mieli dać siłę, wlać w serca otuchę, a którzy sami wydawali się niepewni, co należy uczynić. Mieliśmy być silni, zwarci i gotowi, bronić każdej piędzi ziemi, nie oddać nawet guzika od munduru, a co? Oddaliśmy wszystko. I ziemię, i guziki. Domy, poczucie bezpieczeństwa, wizję przyszłości, a wielu to, co mieli najcenniejszego – życie.

Może dlatego tak lubimy przeglądać zdjęcia. Przypominać sobie, jak byliśmy takie malutkie, gdy wszyscy byliśmy tacy szczęśliwi.

Narodziny dzieci sprawiły, że pasją mamidła stała się fotografia i gdyby tylko mogło, nie rozstawałoby się z aparatem. Kochany tatko spełnił jej największe marzenie, kupując czarną, nowoczesną leicę ze srebrnymi okuciami.



Zosia na swoim pierwszym rowerku, Ogród Saski, 1930 rok

Jej bzikowi uległa przyjaciółka Jadzia Roguska, która okazała się równie wdzięcznym jak dzieci obiektem fotografowania. Pamiętam nasze wspólne spacerunki, wypadki wakacyjne, gdy prześcigały się w pstrykaniu zdjęć. Ile było potem wzruszeń i wspomnień, gdy w jesienne wieczory uzupełnialiśmy rodzinne albumy.

Tęskno mi za tamtymi beztroskimi chwilami, gdy nikt nawet nie myślał, że może wybuchnąć wojna. Zawsze wydawało mi się, że okopy odeszły

w niepamięć wraz z zakończeniem wojny w 1918 roku. A tu taka przykra niespodzianka.



Zosia, Krynica, 1929 rok

Fotografie są przepustką do innego, dobrego świata. Świata, którego nie ma, a o którym snujemy marzenia każdego dnia. Do wakacji w Zaleszczykach w pensjonacie Morela i wakacji w Aninie, gdzie odwiedzaliśmy sąsiadów, Jana i Jadwigę Roguskich. I choć mgliście pamiętam te wakacyjne wypadki, to kąpiele, kajaki i opony nad jeziorem Narocz uplasowały się w katalogu miłych letnich wspomnień na pierwszym miejscu. Ojciec odgraża się, że jak tylko wojna się skończy, to pokażemy tym Szwabom, że nas nie pokonali, i pierwsze, co zrobimy, to pojedziemy nad Narocz. Biedny tato nie ma pojęcia, że gdy zakończy się wojna, Narocz i cały ten bajkowy świat znajdą się poza granicami naszego kraju i już nigdy go nie zobaczymy.



Zosia i Anielka w drodze na lodowisko, w objęciach góralki, Krynica, 1929 rok

– Co byś zjadła? – zagajam Anielę, bo jakoś nie mam ochoty na przeglądanie albumu, za to czuję, jak kiszki grają marsza, i sięgam po starą, zniszczoną książkę kucharską Marii Dissłowej.

– Coś słodkiego?

– Może być. – Ślinię palec i z namaszczeniem przekładam kolejne karty, by wreszcie znaleźć nasz ulubiony przepis na orzechowy tort z kajmakiem i konfiturą z wiśni.



Rodzinny wypad do zoo, Warszawa, około 1930 roku

W biedawojennym jałłospisie to jedyna kulinarna rozrywka, bo nie chodzimy ani do restauracji i cukierni, zresztą i tak do tych najlepszych wpuszczają tylko Niemców, ani do składów oferujących rarytasy z najodleglejszych stron świata. O pieczonych jabłkach z moim ulubionym cynamonem czy rodzynkach zwyczajnie możemy zapomnieć.



Maria i Jadwiga Roguska pływają w jeziorze Narocz

Maria

– Heniu, coś ty taki nerwowy? – Z niepokojem spoglądam na męża, który ze zwiniętą w rulon gazetą, starą gadzinówką sprzed tygodnia, zakrada się w stronę okna, by przyłożyć osie, która co rusz z brzęczeniem wzbija się ku sufitowi, zataczając coraz to mniejsze elipsy i tłukąc się nerwowo o kłosze żyrandola.

– A nic. Cicho! – syczy niezadowolony, zupełnie jakby osie robiło różnicę, czy zginie w ciszy, czy nie.

A tak swoją drogą, czy owady słyszą? [10](#) Milknę i przez chwilę zajmuję się kwestią owadziego słuchu, nie dochodząc do żadnych rozstrzygnięć tego skądinąd interesującego zagadnienia. Choć gdy pomyślę o brzęczeniu komara, to jestem niemal przekonana, że muszą być głuche, bo który owad chciałby znosić taki paskudny dźwięk? A może jednak słyszą i to sprawia, że są zaburzone i tak złośliwe? Czort je wie.

Mąż, najwyraźniej zadowolony z jak mu się wydaje posłuchu, zamarł z uniesioną ręką, szpiegując osę. Lewie zauważalnym ruchem gałek ocznych śledzi intruza i wreszcie, gdy ten nieopatrznie kolejny raz atakuje okienną szybę, daje susa do przodu. Uginające się pod jego ciężarem parkietowe klepki nieprzyjemnie trzeszczą, mąż robi zamach i chlast! Z całej siły wali gazetą po szybie.

– A! Boże! A! Ratunku! – krzyczę oszalała z przerażenia.

Henryk odskakuje jak oparzony od framugi, szkło z brzękiem rozpryskuje się po dywanie, a świeże, przesiąknięte deszczem powietrze z animuszem wpada do salonu.

– Co się stało?!

Spanikowane, pobladłe dziewczynki wpadają do pokoju, a tuż za nimi roztrzęsiona Zula, która nie zważając na moje wcześniejsze połajanki, z ubłoconymi buciorami i znieprawionym wiklinowym koszykiem w dłoni, z którego wiecznie coś się wysypuje, pcha się do środka.

– Jezu przenajświętszy!

– Nic się nie stało. Spokojnie. – Dyszę, z trudem łapiąc oddech.

Usiłuję opanować dygot i uspokoić siebie i innych. Jestem oszołomiona i nie pojmuję, co się właśnie wydarzyło. Przed oczami pojawiają się jak w zwolnionym tempie kolejne obrazy. Osy, polującego na nią męża, płaszczyka gazety o szybę. Ale skąd tyle szkła? Przecież to niemożliwe, by Henio zbił szybę kawałkiem papieru!

– Ale...

– Tatko polował na osę.

– I zbił szybę? – Zosia patrzy na mnie z niedowierzaniem. – Papa...

– Tak jakoś wyszło. – Pobladły, równie osłupiały jak my, niczego nierozumiejący Henio spogląda na mnie z nieskrywanym zdziwieniem. – Nie, niczego nie zbiłem! – To mówiąc, pokazuje ślad, a w zasadzie dziurę wybitą w ścianie tuż za mną, i jeszcze bardziej szarzeje na twarzy.

Na jej widok robi mi się niedobrze, a nogi mam jak z waty i gdyby nie stojący obok fotel, runęłabym na podłogę. Wreszcie wszystko staje się jasne. Uświadamiam sobie, że tym dziwnym hukiem był karabinowy wystrzał. Że tak niewiele brakowało, a przypłaciłabym go śmiercią! Że ktoś do nas strzelał! Celował w nas, we mnie!

Ale jak to możliwe?

Mieszkamy na drugim piętrze! Do tej pory baliśmy się bomb, a nie pojedynczych wystrzałów! Jak? Skąd został oddany strzał? To nie mieści się w głowie! Odruchowo kulę się w sobie i krzyczę ile sił w płucach:

– Wszyscy na korytarz!

– Mamo...

– Cicho, nie teraz! – Popycham dziewczęta. – Szybko! No już! – drę się jak opętana, a strużka potu płynie mi po plecach.

Korytarz to jedno z nielicznych miejsc w mieszkaniu, w którym nie ma okien. Tu jesteśmy względnie bezpieczni.

– Nie panikuj! – Henryk, choć posłusznie człapie za mną, jest równie popielaty jak ja, ale usiłuje zgrywać chojraka, czym doprowadza mnie do szału.

– Oszalałeś? Jak możesz tak mówić!

– Kochanie...

– Nie mów do mnie kochanie, nie w takiej chwili! Przecież mogłam zginąć! Ty mogłeś! Co byśmy zrobili?

– Ale na szczęście nikomu nic nie jest, nikt nie zginął.

– Ale mógł! – upieram się.

– Przestań! – wybucha. – Myślisz, że się nie boję? Próbuję tylko zachować spokój, żebyście jeszcze bardziej się nie bały. Rozumiesz?

Nim zdążę odpowiedzieć, wtrąca się Zula:

– Na ulicy strzelają. Jakem szła do domu...

– Co też Zula mówi? – przerywam jej, przez co gospościa niemal się obraża, bo jak zwykle za wszelką cenę chce, byśmy liczyli się z jej zdaniem, a teraz ma okazję być kimś ważnym. Znaleźć się w centrum uwagi.

– To, co pani słyszy! – Boczy się i odwraca na pięcie, jakby miała zamiar odejść, ale ciekawość i chęć zabłyśnięcia osadzają ją jednak w miejscu. – A bo to nie widzieli państwo, że Niemcy po ulicy latają?

– Łapanka?

– Jak na moje, to kogoś szukają, po mieszkaniach łązą od rana. – Dumnie wypina pierś, jakby osobiście miała udział w zamieszaniu.

– A skąd ty, kobieto, to wiesz? – Mąż patrzy na nią z niedowierzaniem.

– Stróż mówił.

– No tak, on wie wszystko. – Wzdycham.

– Bramę zamykał, to i słowo się z nim zamieniło. – Zula odstawia brudny kosz na dywan, a ja nie mam siły oponować i napominać, że od tego są wycieraczki.

Jak bym mogła przejmować się śmieciami na podłodze, podczas gdy po drugiej stronie ulicy rozgrywa się dramat.

– O tej porze? – Nie potrafię ukryć zdumienia.

– Kochanie – Henryk kładzie dłoń na moim ramieniu – przecież wiesz, że chłop jest ostrożny i chyba lepiej, że pilnuje wejścia do kamienicy i zamyka, kiedy trzeba.

– Oczywiście. – Uchylam się i opieram o ścianę. Nawet takie drobne gesty czułości w tych okolicznościach wydają mi się zupełnie nie na miejscu. – Ale to się w głowie nie mieści. Żeby takie rzeczy się u nas działy!

– Ponoć jakiegoś chłopaka szukają.

– O Boże! – Przed oczami przemykają mi twarze sąsiadów. O którego może chodzić? Nad kim zbierają się czarne chmury?

– Widziałam – Zula cedzi słowa, jakby chciała się nimi nacieszyć – że kogoś tam prowadzili i muszę powiedzieć – puszy się z zadowolenia – że mamy szczęście, że weszli do domu po drugiej stronie, a nie do nas.

– Boże przenajśłodszy.

Aniela opiera się o Zosię, wkładając rękę pod jej łokieć, i zaczyna, jak to ma w zwyczaju, cicho płakać. Po policzkach kulają się kolejne, coraz gwał-

towniej wypływające z oczu łzy i po chwili córka chlipie na całego.

– Cii, no już, nie płacz. – Henryk pocieszająco klepie ją po ramieniu. – Wszystko będzie dobrze, tylko nie płacz.

Mąż zupełnie nie radzi sobie w sytuacjach, gdy któraś z nas zalewa się łzami. Ten silny, zdecydowany mężczyzna, twardy w interesach, mięknie jak wosk w obliczu kobiecego szloch. Zachowuje się tak, jakby znalazł się w wypełnionym kosztowną porcelaną składziku i nie miał pojęcia, jak się ruszyć. Nie wie, co powiedzieć, jak nas pocieszyć, a kiedyś nocną porą zwierzył mi się, że zawsze wyrzuca sobie, iż to przez niego ronimy łzy.

Na nic się zdało tłumaczenie, że z nami, kobietami, po prostu tak już jest, że miewamy humory, nad którymi nie panujemy, i pewnie dlatego tak chętnie dajemy upust złym emocjom poprzez płacz. Moja przemowa jednak widać go nie przekonała, bo teraz bardziej przejmuję się zapłakaną Anielą niż tym, że ktoś do nas celował, co z kolei nie podoba się Zuli, która niespodziewanie przestała być w centrum uwagi.

– Szymański mówił, że ponoć młodzi coś kombinują – usiłuje o sobie przypomnieć.

– Zula, na wojnie zawsze się kombinuje. Ty też kombinujesz.

– No wie pani? – Rozindycza się, a kłykcie jej szorstkich, zaciśniętych w pięści dłoni bieleją.

– Nie mam niczego złego na myśli, to wręcz pochwała.

Kobiecina natychmiast się rozpogadza i popatruje na mnie z nadzieją, że oto właśnie zostanie pochwalona. Nie pojmuję, jak dorosła, zdawałoby się, dojrzała osoba może łaknąć pochwał jak dziecko słodczy, tak że jej nastrój zmienia się w mgnieniu oka.

– Tak?

– Gdyby nie to, że Zula wie, gdzie co kupić, z kim pohandlować, do kogo zagadać, to nie mielibyśmy tak dobrze zaopatrzonej spiżarni. Mimo wojny – dodaje po chwili namysłu.

– Co prawda, to prawda. – Rumieni się ze szczęścia i rozluźnia, przez co jej policzki obwisają jeszcze bardziej niż zazwyczaj i nie mogę oprzeć się wrażeniu, że z każdym nawijającym się na kalendarz miesiącem nasza gosposia coraz bardziej upodabnia się do buldożka pani Kwiatkowskiej z naprzeciwka.

– Tak jest.

– Ale to chłopaczysko musiało coś przeszkrobać. – Bierze się pod boki. – Oj, musiało. – Jej oczy zmieniają się w szparki i lustruje nas uważnie,

zupełnie jakby podejrzewała, że też maczaliśmy w tym palce.

Po chwili jednak zwyczajowo zapada się w sobie, zamyśla i przygarbia, a ja błogosławię ciszę i to, że mogę się skupić na sobie, na galopadzie niespokojnych myśli, a nie humorach gosposi.

Całe szczęście, że chłopcy poszli bawić się do sąsiadki naprzeciwko. Anna mieszka od strony podwórza, więc nie mają pojęcia, co dzieje się na ulicy. Tym samym synowie nie doświadczą kolejnej traumy, która śniłaby im się po nocach.

Stasio, choć ma dopiero pięć lat, doskonale rozumie, czym są strach i śmierć, czym jest wojna. Urodzony w gorące lipcowe popołudnie 1939 roku nie zna innego świata. Jasiek ma trzy latka i niby jeszcze nie orientuje się w rzeczywistości, ale biega po domu z patykiem i wołając „tratata”, udaje, że strzela do Niemców.

Pamiętam, jak na naszych oczach kilka miesięcy temu na zdawałoby się spokojnej ulicy gestapo zastrzeliło dwóch mężczyzn. Ja nie mogłam sobie poradzić z mrocznymi wspomnieniami, a co dopiero takie maluchy.

Biedne są te nasze wojenne dzieci. Zamiast rozbawionego, beztroskiego dzieciństwa, zawierania przyjaźni w szkołach i radosnych wypadów za miasto, jeżdżenia na rowerach, pływania, biwakowania doświadczają czegoś, czego obrazy pozostaną im w głowach aż do śmierci. Tak bardzo mi ich żal, tak chciałabym cofnąć czas, wrócić do tych słodkich, pełnych uśmiechu przedwojennych lat. Może gdybym wiedziała, co nas czeka, nie planowałabym kolejnych dzieci?

Swoją drogą z tego planowania niewiele nam wyszło. Owszem, dziewczynki urodziły się zgodnie z naszymi oczekiwaniami, ale kolejne dwie ciąży wprawiły nas w zdumienie. Bo ani nie oczekiwaliśmy dzieci, ani szczególnie o nie nie zabiegaliśmy. A już całkowitym szokiem było odkrycie kilka tygodni temu, że znowu spodziewam się dziecka! Sprowadzę kolejne maleństwo na ten okropny, niewdzięczny świat.

I choć pewnie to marzenie ściętej głowy, to gdzieś podskórnie czuję, mam nadzieję, a w zasadzie pewność, że będzie dobrze, że to wszystko minie. Jeszcze będzie normalnie. Pytanie tylko kiedy.

Maria

*Ukochana, ja wrócę, wiesz,
choćbym cały zmierzył świat
wzdłuż i wszerz [...],
moja miłość jest silniejsza niż wojna,
ufnie czekaj, otrzyj łzy,
bądź spokojna.*

Zula fałszuje jak mało kto, co rusz wyśpiewując nowy szlagier Fogga. A raczej w jej przekonaniu nowy. Podkochuje się w Mieczysławie, od kiedy go przypadkowo spotkała, jak zwykła opowiadać, czyli po prostu dostrzegła na ulicy.

Muszę przyznać, że zdecydowanie wolę podśpiewywanie szlagierów niż ciągle odmawianie różańca i litanii. Nie żebym sama się nie modliła. Gorliwie proszę Boga i wszystkich świętych o wsparcie każdego dnia, ale wysłuchiwanie godzinami tej samej modlitwy, tych samych słów, może zmęczyć. I nie ma znaczenia, czy chodzi o modlitwę, czy o piosenkę.

Dzięki naszemu artyście przynajmniej raz na jakiś czas zmienia się repertuar gosposi, zupełnie jakby Zula godzinami uczyła się słów kolejnego utworu, by tygodniami zawodzić jedną piosenkę. Gdyby odtwarzać ją na gramofonie tak często, jak śpiewa nasza gospoia, płyta zdarłaby się po zaledwie kilku dniach.

Co gorsza, po paru wykonaniach Zula nieodmiennie uznaje, że może sobie pozwolić na modernizację z piekła rodem, i dokłada do utworu własne, zazwyczaj bezsensowne słowa oraz zmienia melodię. Wszyscy chodzimy po domu, przewracając oczami i zatykając uszy, nie mogąc znieść jej wokalnych popisów.

Chłopcy zamykają się z drewnianymi klockami i kolejką w pokoju, Henio, farciarz, znika w pracy, a my jesteśmy nieszczęśliwym audytorium, które nie ma gdzie się podziać i czymś na stałe zatkać uszu.

A swoją drogą uwielbiam naszego sąsiada Miecicia Fogga. Zwykłam tak o nim myśleć, bo przecież skoro mieszka czy do niedawna mieszkał przy placu Trzech Krzyży 8, to całkiem blisko naszej kamienicy.

Nie wiem, jakim cudem Niemcy przymykają oczy na jego występy w Café Bodo przy Foksal 17. Jeszcze przed wojną byliśmy z mężem na jednym z jego fantastycznych, wzruszających recitali i był to niezwykle miły wieczór. Słyszałam, że od czasu do czasu występuje też U Aktorek i Pod Znachorem, ale jakoś nie mam odwagi zapuszczać się w te kabaretowe przestrzenie.

– „To ostatnia niedziela, dzisiaj się rozstaniemy” – wyśpiewywane na wysokim, bardzo wysokim C rozlega się za moimi plecami. – O, pani tutaj?

– Tutaj, a o co chodzi?

– A ino chciałam wyjrzeć na ulicę. Tabaczyńska mówiła, że coś się zapowiada.

Cesia Tabaczyńska jest gosposią u rodziców Tadeusza. Zaniepokojona nadstawiam uszu, bo jeśli już pomoce domowe zaczynają plotkować o czymś tajemniczym, to może to tylko wróżyć katastrofę. Jeszcze, nie daj Boże, ktoś doniesie na gestapo i będzie z tego wielkie nieszczęście. Koniecznie muszę ostrzec Marysię, że muszą być ostrożniejsi.

– Niby co?

– Pani, a skąd mam wiedzieć?! Panna Koralowska...

– Dobrze, już dobrze. – Powstrzymuję ją w pół słowa, nim zacznie jedną ze swych tyrad, jak to kiedyś dobrze jej się żyło, a jak to teraz pod moimi rządami jest źle. – Lepiej niech Zula oskrobie ziemniaki na obiad.

– Pani! – wypała obrażona. – Już wszystko dawno na ogniu postawione, za chwilę kartofle będą miękkie!

– To świetnie, bo wszyscy mocno zgłodnieliśmy.

Zamiast odpowiedzi słyszę, nie wiem który już raz tego dnia, „to ostatnia niedziela, dzisiaj się rozstaniemy”.

– Co też Zula tak wyśpiewuje w kółko to samo?

– A bo ja Fogga lubię – mówi dobitnie, jakby ogłaszała światu dobrą nowinę.

– Domyślam się. A może by tak Ordonównę zanucić od czasu do czasu?

– Robię głęboki wdech i intonuję: – „Miłość ci wszystko wybaczy, smutek zamieni ci w śmiech”, piękne, nieprawdaż?

– A daj mi pani żyć! – Zniecierpliwiona Zula macha ręką poczerwieniałą na skutek lekkiego odmrożenia w młodości. – Jaka tam miłość? – Wychyla

się niebezpiecznie przez otwarte okno, po czym, nie dostrzegłszy niczego interesującego, odwraca się na pięcie.

– Miłość jest zawsze piękna. To uczucie jedyne w swoim rodzaju – wyrzucam z siebie niepotrzebnie, niepomna jej złamanego serca.

– Ordonówny to ja nie znam. – Robi krok do przodu, tak że wyraźnie wyczuwam jej nieświeży czosnkowy oddech. – A Fogga widziałam w kuguarach, na ulicy, to prawie jak znajomy. Niech się pani nie dziwi, że właśnie jego lubię najbardziej. Jakbym młodsza była, tobym się za niego od razu wzięła.

Pochyliła się do mnie tak blisko, że dostrzegam jej rozszerzone, poczerńnięte pory na nosie i niewielką brodawkę, z której wyrasta długi czarny włos. Gosposia pręży się, z dumą wypinając klatkę piersiową i prezentując obfite, obwisłe piersi, które sięgają niemal pasa. Kilka razy proponowałam jej nabycie biustonosza i pokrycie kosztów jego zakupu u mojej zaprzyjaźnionej gorseciarki, ale zawsze kończyło się to awanturą, że nie włoży niczego, co w jakikolwiek sposób by ją ograniczało.

– Kularach.

– A jak zwał, tak zwał. – Obrażona, głośno tupiąc, wymaszerowuje z pokoju, mrużąc coś pod nosem.

Zaintrygowana ostrożnie podchodzę do okna i nieznacznie odsuwam firankę, by rzucić okiem na ulicę. Od wybuchu wojny jest nieprzyjemnie wyludniona, ludzie przemykają jakby chyłkiem, czujni niczym zające obawiające się wilka. Mniej jest dorożek, a samochody prawie zniknęły. Co najwyżej pojawiają się te niemieckie, z esesmanami i ich żonami, a raczej wyfiokowanymi kochankami w modnych futrzanych etolach i kapelusi-
kach.



Jan Roguski

Dostrzegam sąsiada i dobrego znajomego Janka Roguskiego [11](#). Jest mężem mojej przyjaciółki Jadzi, która mieszka za ścianą. Podobnie jak mąż, ukończyła medycynę, ale w przeciwieństwie do niego pracuje, a w zasadzie pracowała w Miejskim Instytucie Higieny, a nie w szpitalu. Janek jak zwykle wraca do domu zamyślony, z pochyloną głową, zapewne z kolejnego dyżuru albo tajnego wykładu dla studentów w Szpitalu Wolskim. Jest takim dobrym człowiekiem, oddanym lekarzem i że też akurat takie nieszczęście musiało go spotkać. Ich malutki synek Grześ [12](#) zachoro-

wał na gruźlicę kości. Mam nadzieję, że jakimś cudem uda się go wyleczyć, choć to podobno wyjątkowo paskudna przypadłość.

Ze zdumieniem dostrzegam, że znowu pojawił się pucybut. Starszy, nieprzyjemny człowiek, który rozkłada się na chodnikach z dziwnie wysokim ni to wózkiem, ni to krzesłem. Jak zwykle paląc papierosa, przygląda się spod wypłowiałego kaszkietu okolicznym domom, zagląda ludziom w twarze, czekając na klientów. Nie pojmuję, że też nie jest mu wstyd czyścić niemieckie oficerki podtykane mu pod nos przez tych, których tak bardzo nienawidzimy. Kiedyś nawet z Heniem zastanawialiśmy się, czy nie jest szpiegiem. Od tej rozmowy staramy się nie wchodzić mu w drogę.





Jadwiga Roguska w Miejskim Instytucie Higieny, kwiecień 1938 roku

Opuszczam firankę i teraz dla odmiany skupiam się na kłujących, sztywnych liściach palmy daktylowej. Za punkt honoru wzięłam sobie wyhodowanie jak największej rośliny, stając w szranki z siostrą, którą tego samego dnia obdarowałam jednym z dwóch egzotycznych wiechci otrzymanych przeze mnie w ramach wdzięczności od znajomej.

I choć było to lata temu, nie minął nam zapół w rywalizacji o palmę – dosłownie – pierwszeństwa. Zupełnie jakby dorodność rośliny miała udowodnić, która z nas troskliwiej zajmuje się domem. Mamy dokładnie przeliczone liście i cieszymy się z każdego kiełkującego pędu. A najgorsze jest to, że chętnie pozbyłabym się tego cholerstwa, bo zajmuje już pół pokoju, ale przecież nie mogę dać Róży satysfakcji.



Palma wyhodowana przez Marię

W ubiegłym tygodniu ze zdziwieniem odkryłam na ziemi w doniczce kolonię maleńkich, za to ruchliwych niczym mrówki białych skoczogonków.

Jak ja nie znoszę tych robaków!

Pojawiają się nie wiedzieć skąd, a gdy się je wreszcie zauważy, to okazuje się, że już całymi chmarami migrują z doniczki na doniczkę. Trzy dni temu, ku rozpaczy męża, osobiście połamałam jego papierosy, by wrzucić tytoń do donicy i obficie go podlać, licząc na to, że skoczogonki same się wyniosą. Najchętniej zanurzyłabym cały pojemnik z kwiatem w wodzie i zalała po brzegi, żeby się potopiły, ale nie sposób w pojedynkę przesunąć wielkiej rośliny, a co dopiero zatargać ją do wanny.

Zgięta wpół jestem tak skupiona na analizie gleby, że nie słyszę kroków męża za sobą, i gdy ten niespodziewanie kładzie dłoń na moich plecach, gwałtownie podskakuję i krzyczę jak oparzona:

– Aa! – Wybałuszam oczy, z trudem łapiąc powietrze, i choć dostrzegam ukochaną twarz, nie jestem w stanie się uspokoić. Nagły wyrzut adrenaliny sprawił, że kołacze mi serce, a w głowie szumi.

– Marysiu! Kochanie, to ja!

– Widzę. – Naburmuszona oddycham głęboko, kładąc dłoń na piersi. – Musisz się tak skradać? Tyle razy prosiłam...

– Przecież się nie skradam, wszedłem jak zwykle.

– Prosiłam, żebyś wołał.

– Nie przesadzaj. – Gładzi mój policzek delikatnymi muśnięciami kciuka. – Przecież nie będę się anonsował na progu każdego pokoju!

– Ale...

– Nie ma żadnego ale, chodź tu do mnie. – Przyciąga mnie ku sobie, obejmując w talii. – No już, nie obrażaj się. Lepiej daj buziaka.

Usiłuje mnie pocałować, a ja zachowuję się jak spłoszona dziewczica.

– Przestań, bo jeszcze dzieci zobaczą.

– I co z tego?

– A to, że nie wypada! – Śmieję się zalotnie. – Zdajesz sobie sprawę, że to nie widok dla dorastających pańienek.

– Chyba dorosłych kobiet.

– Ale...

– Widziały strzelaninę, śmierć, trupy, a ty zamartwiasz się tym, że zobaczą kochających się ludzi, w dodatku rodziców, okazujących sobie czułość?

– Spogląda na mnie łobuzersko.

– No właśnie: rodziców!

Śmieje się, po czym niby polubownie ujmuje delikatnie moją prawą dłoń i pochyliwszy się, składa na niej świdrujący uszy, przesadnie głośny pocałunek.

Donośny cmok rozlega się w pomieszczeniu, a ja stoję rozbrojona jak zwykle jego poczuciem humoru.

– Daj spokój, nie wygłupiaj się!

– Skarbów szukasz pod palmą? – żartuje. – Uważaj, żeby nie wyskoczył ci z niej dzinn albo jakiś inny cudak.

– Co ty powiesz? – przekomarzam się. – Na razie to mi tylko robaki z niej wyłazą, choć zdaje się, że po kuracji tytoniowej jest ich zdecydowanie mniej.

– Mam nadzieję, że nie sugerujesz, iż będę musiał poświęcić kolejny zapas z trudem zdobytych cygaretek na twoje fanaberie.

– Wiesz dobrze, że nie mogę dać satysfakcji Róży. Gdyby nie ta głupia rywalizacja, pewnie już dawno pozbyłabym się tego zielska z domu. Jak ostatnio byliśmy w kościele, to nawet zastanawiałam się, czy nie podarować palmy proboszczowi.

– Wyborny pomysł.

– Wiem, ale obawiam się, że ją zmarnują. I co powie Róża? Będzie mieć satysfakcję. Gdyby w naszym kościele był dawny proboszcz, to może poważnie bym to rozważyła. A tak? Szkoda gadać.

Mamy szczęście, że kościół na placu Trzech Krzyży jest otwarty i odprawiane są w nim msze. Ale strach w nich uczestniczyć, bo zdarzyło się, że Niemcy w czasie nabożeństwa wpadli, aresztowali wszystkich wiernych i wywieźli, Bóg raczy wiedzieć dokąd. Pewnie do obozu. Większość kościołów, niestety, jest zamknięta, zrujnowana albo przerobiona na składy broni i amunicji. W zasadzie zamiast w świątyniach chętniej na wspólną modlitwę gromadzimy się na podwórkach przy niewielkich kapliczkach, by chóralnie błagać Tego, który włada światem, o wybaczenie, litość, zmiłowanie i pokój. O wytłumaczenie, dlaczego tak cierpimy. Za jakie grzechy?

– Oj wy, kobiety, i te wasze problemy. Czym ty się zajmujesz?

– To może się wydawać głupie, ale przynajmniej mam złudzenie, że coś jeszcze jest jak za dawnych lat. Tak bardzo tęsknię za tamtym przedwojennym czasem.

– Wiem, kochanie, ale zobaczysz, niebawem wojna się skończy i będziemy żyć, jak jeszcze nie żyliśmy.

– Czy jest coś, o czym nie wiem?

– Nie, chodzi mi tylko o radość, która nas ogarnie, gdy zakończy się to wszystko. Odetchniemy z ulgą, będzie cicho i spokojnie, znowu zaczniemy marzyć i planować.

– O, z pewnością.

Niepomna własnych obaw przytulam się do niego i pozwalam, by objął mnie ramionami i pocałował w czubek głowy. Szkoda, że muszę myć włosy w szarym mydle, bo dawno temu skończył mi się mój ulubiony rumiankowy szampon. W dodatku ze względów bezpieczeństwa przefarbowałam ciemnobrązowe włosy na jasny blond. Nie jestem Żydówką, przynajmniej nic o tym nie wiem, ale mój typ urody i ciemne tęczówki nieraz były powodem wylegitymowania na ulicy i niewygodnych pytań.

Teraz szampon przygotowuję sama według starego przepisu babki Teodory, który znalazłam przez przypadek na końcu jej kuchennego zeszytu z przepisami.

Tęsknię za wszystkim: za dobrym kremem i prawdziwym szamponem, herbatą, o porannej filiżance czarnej mokki nie wspominając. Mam dość tych wszystkich ersatzów: zbożowej kawy z domieszką suszonych mielonych kasztanów i żołądzi, ziołowych naparów, które pijemy do śniadania, margaryny zamiast masła, konfitury z buraków i kartofli podawanych na tysiąc sposobów. Szarych klusek, placków ziemniaczanych, babki ziemniaczanej, kartaczy i kopytek, purée z cebulką, zapiekanek i kartoflanki.

Choć muszę uczciwie przyznać, że tylko dzięki pewnym starym znajomościom i pieniądзом na naszym stole lądują owe ziemniaki, o których większość rodzin może tylko pomarzyć jako o niedostępnym rarytasie.

Doszło do tego, że zaczęłam z sentymentem wspominać zupę z żółwi. Zaskakujący, trudno powiedzieć przysmak, ale z pewnością uzupełnienie ubogiej w mięso diety. W 1941 roku, jeśli mnie pamięć nie myli, greckie żółwie dosłownie zalały „czarny rynek”, rodząc egzotyczne plotki i domysły. Mówiło się na mieście, że to delicje dla elit w Rzeszy, zapchajdziura żywieniowa dla Wehrmachtu na froncie, ale przede wszystkim było to kulinarne wyzwanie dla naszych gospoń, które na wszelkie sposoby usiłowały dobrać się do żółwiego mięsa.

– Kochanie, co się dzieje? – Henryk odsuwa się i przygląda mi się z niepokojem.

– Nic, nic, zamyśliłam się.

– Na jaki temat, jeśli można wiedzieć?

Domowy szampon z szarego mydła

Utrzeć trochę szarego mydła na tarce, dodać świeże żółtko, kilka kropli cytryny i płaską łyżeczkę oliwy. Skrawki mydła rozpuścić w minimalnej ilości wody, rozbełtać żółtko z oliwą i cytryną, dodać do mydlin i dokładnie wymieszać.

Kolejny ciepły pocałunek ląduje tym razem na mojej szyi, tuż obok ucha. A potem jego usta sięgają małżowiny i delikatnie całują raz za razem. Osuwam się bezwładnie w ramiona męża i gdybyśmy byli sami w domu, pozwoliłabym zaprowadzić się do sypialni. Tak bardzo go kocham. Jest całym moim światem.

– Zatęskniłam za kawą, herbatą...

– Przecież przyniosłem ostatnio English tea – mówi z dumą, rozkoszując się angielskimi słowami wypowiedzianymi z prawdziwie londyńskim akcentem.

– Daj spokój, ta odrobina wystarczy zaledwie na kilka małych filiżanek.

– Wzdycham. – Choć oczywiście jestem ci wdzięczna, kochanie, że wykopales ją spod ziemi.

– Ma się znajomości. – Puszy się z zadowoleniem i łobuzersko mruga. – Wszystko dla mojej drogiej żoneczki.

– Wiem, wiem, mój drogi. – Uśmiecham się, bo bardzo lubię, gdy tak troszczy się o mnie, mówi z taką czułością. – Marzę o samowarze pełnym...

– Daj nam czas, niebawem będziesz miała nie tylko herbatę, ale też inne rzeczy. Daj nam czas, a zdziwisz się, jak szybko wszystko się zmieni.

I podczas gdy on staje się coraz bardziej tajemniczy, odpowiadając półsłówkami, we mnie kiełkują nowe obawy.

– Czy jest coś, o czym nie wiem? – ponawiam pytanie.

– Pamiętasz *Lambeth walk*? – zmienia temat. – Zatańczysz?

– Teraz, tutaj?

– A dlaczego nie? Pamiętasz te dancingi? Przetkańczone noce? Blask świec, czułe słówka?

– Oczywiście, jak mogłabym zapomnieć? A wakacje w Aninie?

– Ba! Jeszcze nieraz tam pojedziemy.

– Obiecujesz?

– Przysięgam – mówi poważnie, podczas gdy ja zaklinam rzeczywistość, targuję się z losem, obiecując, że będę dobrym, pomocnym człowiekiem, byleby tylko wszystko to nam się ziściło.

– Jeszcze będzie przepięknie – szepczę bardziej do siebie niż do niego, choć jakoś trudno mi uwierzyć w te pobożne życzenia. – I pewnie znowu zaczniesz chodzić na te swoje walki bokserskie.

– Ma się rozumieć!

– Jak można ekscytować się tym, że ludzie okładają się pięściami? Nigdy tego nie zrozumiem.

– I nie musisz, zostaw to mnie. Też mam prawo do swoich przyjemności.

– Wolałabym, żebyś zagrał ze mną w brydża.

Henio podchodzi do gramofonu i z atencją kręci korbą, by po chwili z jeszcze większą ostrożnością położyć igłę na czarnej wirującej winylowej płycie. I zaczyna płynąć cicha, kojąca melodia...

Umówiłem się z nią na dziewiątą,

Tak mi do niej tęskno już.

Zaraz wezmę od szefa akonto,

Kupię jej bukietik róż.

Potem kino, cukiernia i spacer

W księżycową jasną noc.

*I będziemy szczęśliwi, weseli,
Aż przyjdzie północ i nas rozdzieli* [13](#).

– Też zagram, spokojna głowa! – Uśmiecha się promiennie, znowu mrugając okiem i robiąc zadziorną minę. – Pani pozwoli. – Bierze mnie w ramiona i przez chwilę wirujemy po pokoju, pogrążeni we wspomnieniach.

Wreszcie ze śmiechem opadamy na kanapę. Wtulamy się w siebie, trzymając się za ręce i co rusz czule całując. Gdybym tylko mogła zaczarować tę chwilę, aby trwała wiecznie, żeby nic się nie zmieniło. By zniknął świat. Zniknęła wojna.

Gdyby tak już mogło zostać. Z rozrzewnieniem wodzę wzrokiem po modnym, wygodnym saloniku, który miał być wieczną oazą ciszy i spokoju. Naszym najbezpieczniejszym miejscem na świecie. Miękkich tkaninach, stylowych meblach. Przypominam sobie, z jakim entuzjazmem je zdobywałam w modnych składach i salonach. Tuż przed wybuchem tej przeklętej, niespodziewanej wojny, dwudziestego piątego sierpnia, w dniu naszej rocznicy ślubu, wbity został ostatni gwóźdź w ścianę, na której zawisło nasze wspólne, oprawione w złotą fikuśną ramę rodzinne zdjęcie.

Nagle mój wzrok skupia się na szarej, brzydkiej dykcie, która pojawiła się w oknie po przestrelonej szybie.

– Rozmawiałeś ze szklarzem?

– Oczywiście, już mnie o to pytałaś. – Henryk poprawia się na sofie i sztywnieje. Wracamy do przykrej rzeczywistości.

– Patrzeć nie mogę na tę sklejkę.

– Przykro mi, musisz uzbroić się w cierpliwość. Wiesz, że brakuje szkła.

– Ciekawe dlaczego.

– No cóż, pewnych rzeczy nie przeskoczymy.

– Wszystkiego brakuje, poza Szwabami.

Nagle zmienia się nastrój. Pryska bańka szczęśliwości.

– Co prawda, to prawda. – Cmoka, sięgając jednocześnie do kieszeni marynarki po papierośnicę. – Ale daję im jeszcze kilka tygodni, no, może miesiąc albo dwa. Dostali baty pod Stalingradem i jak na moje, to już się nie pozbierają.

– Proszę cię, nie pal w mieszkaniu.

– Dobrze, już dobrze, moja ty porządnicka, wyjdę na balkon.

Henio po chwili namysłu i niepojętej dla mnie analizie skreślenia kolejnych cygaretek sięga po stojącą na stoliczku kryształową popielniczkę, wyjmując wreszcie papierosa z posrebrzanego pudełeczka, które lata temu dostał od brata w prezencie pod choinkę. Znowu przygląda mu się uważnie, jednocześnie miętosząc w palcach, jakby chciał wygładzić jego zawartość i sprawdzić, czy jest dobrze ubita.

– Poczekaj.

– Tak?

– Mam wrażenie, że nie mówisz mi wszystkiego, i zaczynam się martwić. W dodatku zbliża się trzeci sierpnia i urodziny Stasia. Nie planuję niczego spektakularnego, ale myślałam, żeby zaprosić chociaż Różę z rodziną.

– Jak sobie życzysz, tylko że może być z tym problem.

– Wiem, nie posiedzimy długo, ale najważniejsze, żeby się spotkać. Jest tak niewiele okazji.

– Wiesz, w dzisiejszych czasach nie powinniśmy niczego planować.

– Czego mi nie mówisz? Czuję, że skrywasz jakąś tajemnicę, i oby nie okazała się długonogą blondynką z sarnimi oczami i wąskimi pęciami, bo czego jak czego, ale kobiet w tym domu masz aż nadto.

– Kochanie, nie mam romansu, jeśli o to ci chodzi.

– A która by się połączyła na takiego staruszkę? – Śmieję się w głos.

Wypada to bardzo sztucznie i nieszczerze. Jak zwykle nie wiem, jak się zachować w stresujących sytuacjach. W takich chwilach najczęściej pokrywam zmieszanie idiotycznym chichotem. Tak było również podczas naszego ślubu. Byłam tak przejęta i sparaliżowana myślą o tym, że biorę sobie tego mężczyznę na towarzysza na resztę życia, że co rusz, ku konsternacji gości, wstrząsał mną krępujący rechot.

Nawet nie chcę sobie przypominać, co wiedziałam, a w zasadzie czego nie wiedziałam o nocy poślubnej. O obowiązkach małżeńskich, które postrzegałam jako dbanie o męża pod względem kulinarnym i odzieżowym. Już nie pamiętam, jak wyobrażałam sobie sypialniane tête-à-tête, ale to, co wydarzyło się tamtej nocy, przerosło moje oczekiwania, jednocześnie wprawiając w zakłopotanie i wstyd. Również po dziewięciu miesiącach, co do dnia i niemal co do godziny, na świecie pojawiła się nasza pierworodna córka Zosia. Maleńka kruszynka, która skradła nasze serca, pochłonęła cały wolny czas, opróżniła portfele, bo oczywiście musiała mieć wszystko, co najlepsze, i prawie przyprawiła o zawał, gdy w trzecim miesiącu życia

konieczna okazała się chirurgiczna interwencja i usunięcie pachwinowej przepukliny.

– Żebyś się nie zdziwiła. – Henryk marszczy czoło i celuje we mnie palcem wskazującym.

Przypomina mi tego radosnego, tryskającego poczuciem humoru chłopaka sprzed dwudziestu kilku lat, w którym tak bardzo się zakochałam, a który teraz stał się statecznym, poważnym mężczyzną, na którego ramieniu mogę bezpiecznie się oprzeć w wędrówce przez świat.

Jak to dobrze, że jesteśmy razem. Że nic nas nie poróżniło. Że trudy, problemy i wojna tylko nas do siebie zbliżyły. I to chyba jedyny pozytywny aspekt tej ostatniej.

– Mój koguciku! Ale tak poważnie, powiesz mi, co się dzieje? Nawet Zula chodzi bardziej przejęta niż zazwyczaj. Widzę, że ludzie są coraz bardziej czymś podekscytowani, i wydaje mi się, że...

– Dobrze, powiem ci, ale się nie denerwuj.

– Po tych słowach zamieniam się w Charytę, boginię radości i szczęścia – mówię z nieskrywaną złością. – Bardziej nie mogłeś mnie zdenerwować. – Zaniepokojona składam dłonie na podołku i zaciskam tak, że bieleją mi kłykcie. W gardle mam pustynię. Ulotnił się dobry nastrój i zniknęły miłe wspomnienia. Ich miejsce zajął duszący strach.

– Szykuje się rewolta.

– Co ty mówisz? – Jestem szczerze zdziwiona, bo do tej pory słowa Tadeusza, optymizm dziewczynek i atmosfera podniecenia ogarniająca ulice wydawały mi się nieuzasadnione. Jak mogłam być taka ślepa? I głucha?

– Na mieście coraz częściej mówi się o powstaniu, ale błagam, nie rozmawiajmy o tym w obecności dzieci.

– Oczywiście.

– Nigdy nie wiadomo, jak zareagują, czy nie zaczną panikować. Czy się nie wystraszą!

– Czego miałybyśmy się bać?

Jak na zawołanie Aniela z książką w dłoni i szydełkową robótką pod pachą pojawia się w drzwiach, a tuż za nią, z kubkiem ciepłego rumiankowego naparu wkracza Zośka.

– Niczego, tak tylko sobie rozmawiamy. – Usiłuję bagatelizować. – Jak ci idzie praca nad bołerką?

– Mamo, nie jesteśmy dziećmi. – Aniela fuka niezadowolona.

Zauważyłam, że ostatnio stała się dziwnie przewrażliwiona i robi wszystko, by traktować ją jak dorosłą. Nie wiem, skąd taka zmiana, bo dotychczas bardzo odpowiadała jej rola córeczki tatusia. Czyżby nagle dorosła? A może zadurzyła się w Tadeuszu?

Postanawiam, że przyjrzę się jej podczas kolejnej wizyty chłopaka.

Swoją drogą, jak ten czas szybko mija. Moje dziewczynki nie wiedzieć kiedy stały się kobietami. Dobrze, że mamy jeszcze w domu małe berbecie, przynajmniej przez kilka najbliższych lat nie będziemy czuć się jak staruszkowie, którzy wypuściwszy dzieci w świat, zostali sami w opuszczonym gnieździe.

– Nieładnie podsłuchiwać. – Mąż spogląda na nie groźnie.

Córki, które wiedzą, jak za nimi przepada i rozpieszcza je na każdym kroku, jak tylko i czym tylko może, nic sobie nie robią z tych połajanek. Bez troski ładują się na kanapę, zsuwają miękkie kapcie, podciągają blade, chude nogi, by na nich przysiąść, i poprawiają spódniczki. Śmiać mi się chce, gdy widzę ich podobne gesty i strojone minki. Mimo że stale jedna drugiej usiłuje udowodnić, jak bardzo się od siebie różnią, nie mogą się wyprzeć podobieństwa. Gdyby nie różnica wieku, można by je wziąć za bliźniaczki.

– Tatko, daj spokój. Jakie podsłuchiwać? – Zośka, wzruszając ramionami, zrywa się, podchodzi do ojca i całuje go w policzek. – Śmiejecie się i rozmawiacie tak głośno, że w całym mieszkaniu was słychać.

– Kochane. – Postępuję krok w stronę Anieli i zanurzywszy palce w jej gęstych lokach, jak za dawnych lat delikatnie ją tarmoszę.

– Mamuś, daj spokój. Ciągłe te czułości... – Robi unik i spogląda na mnie z oburzeniem.

– Kiedyś jeszcze za nimi zatęsknisz. – Udaję, że się dąsam.

– Nie mów tak.

– Mamidło ma rację. Niebawem zaczniesz tulić się do ukochanego i mamine uściski nie będą...

– Przestań! – Aniela złości się jeszcze bardziej i jak na zawołanie oblewa pąsem. – Dlaczego ze mnie kpisz?!

– Dziewczęta, uspokójcie się. – Śmiać mi się chce, gdy jestem świadkiem ich przekomarzenia. Aby żadnej nie zranić, a tym bardziej nie brać strony żadnej z córek, tłumię w sobie chichot i wznoszę się na wyżyny powagi. – Kochane, rozmawiamy z tatą o poważnych sprawach, więc może zostawiłybyście nas na chwilę.

Lata temu mieliśmy przywilej rozmawiania z Heniem po francusku, tak by dzieci, no i gosposia nas nie rozumiały, ale odkąd dziewczęta zaczęły się uczyć języka żabojadów, ten wybieg przestał działać.

– Jesteśmy dorosłe! – protestuje Aniela, najwyraźniej nie mając ochoty spełnić mojej prośby. – Jeśli jeszcze nie zauważyliście.

– A poza tym rozmawiacie o powstaniu. – Zosia przerywa siostrze i staje się czujna jak tropione zwierzę. Spogląda na ojca z niepokojem. – Nieprawdaż?

– Skąd ten pomysł? – Zdezorientowany Henryk, w potrzasku między wyjawieniem prawdy a chronieniem córek przed problemami tego świata, chcąc zyskać na czasie, przygląda się czubkom palców.

– Tato, nie udawaj, wiemy, co się szykuje. Tylko nie wiedziałyśmy, kiedy wybije godzina zero.

– Godzina „W”.

– Słucham? – Zosia wpatruje się w ojca. – Ty też wiesz o powstaniu? Dlaczego nic nam nie powiedziałeś? Nie sądzisz, że należałoby uprzedzić...

– O czym, do jasnej ciasnej, mówicie?! – zdenerwowana podnoszę głos. – Czy jestem jedyną osobą, która nie ma o niczym pojęcia? Henryk, powiedz coś wreszcie! Jakie powstanie, do cholery?

– Czyli wiecie. – Mąż nie zwraca na mnie uwagi, dokładnie lustrując córki. – Te sprawy nie powinny was dotyczyć!

– Tak, wiemy od Tade...

– Cicho, głupia!

– Zosiu, nie mów tak do siostry.

– Zawsze musisz wszystko wypaplać! – Rozzłoszczona Zośka z hukiem odstawia kubek na stojący przy kanapie mały podręczny stolik i rozchlapuje napar, tak że na serwecie rozkwita bura plama.

– Ja nie, nie... – Aniela się hiperwentyluje, a oczy nabiegają jej łzami. – Ja nie, nie... nie chciałam.

– Cisza! Przestańcie! Do cholery! Powiedzcie, o co chodzi. – Walę dłonią w kanapę, wzbijając obłoczek kurzu, który radośnie wiruje w plamie słonecznego światła, po czym na powrót osiada na aksamitnym obiciu.

Ja też opadam na kanapę i wpatruję się w rodzinę, nie pojmując, jakim cudem zostałam pominięta w tak ważnym temacie. Jestem wściekła. Przecież dom trzeba przygotować na każdą ewentualność, zrobić zapasy. O Boże! A może będą potrzebne jakieś leki, opatrunki? A jeśli trzeba się

gdzieś przenieść, nie spakujemy się w kilka chwil! Jak oni mogli zataić taką sprawę!

– Mamo...

– Jesteście zupełnie nieodpowiedzialni! Jak mogliście mi nie powiedzieć?! Przecież trzeba się przygotować! – krzyczę.

– Dobrze, usiądźmy wszyscy. – Przyparty do muru Henryk ulega presji.
– Chyba rzeczywiście musimy porozmawiać.

Jestem przerażona, bo jak zwykle spodziewam się najgorszego. Chociaż nie wiem, co mogłoby się jeszcze wydarzyć, co jest gorsze od wojny. Tylko śmierć. A tę można ponieść na tysiące sposobów, o każdej porze dnia i nocy. I gdyby stale się nad tym zastanawiać, można by tylko oszaleć, nic więcej.

– Zamieniam się w słuch.

Poprawiam się na poduszkach, tak by całymi plecami przylgnąć do oparcia, zupełnie jakbym szukała w nim pocieszenia.

– Więc...

– Dlaczego akurat ja nic nie wiem? Czy powinnam się martwić? Henryk, jeśli nie powiesz dokładnie, o co chodzi, to przysięgam, że się z tobą rozwiodę! – Spoglądam groźnie na męża, który dla odmiany podchodzi do kaflowego pieca, jak ma to w zwyczaju zimową porą, gdy chce się ogrzać. Ale latem piec jest zimny i przypomina bezpieczną, niezdobytą twierdzę, która najwyraźniej daje mu poczucie ochrony przed moją furią.

– Nie chciałem cię denerwować w twoim stanie – wypala niespodziewanie, po czym natychmiast się mityguje, a czerwone plamy na szyi zdradzają, że stracił nad sobą panowanie. Oczy córek wychodzą z orbit.

– Mamo, jesteś chora?! – Przerażonej Anieli zaczyna drżeć podbródek. – Mamusiu, dlaczego nie...

Zapada nieprzyjemna cisza.

– Znowu będziesz miała dziecko?! – Rozsądniejsza i bystrzejsza Zosia jest zdegustowana. Patrzy na mnie oskarżycielsko i niemal z obrzydzeniem. Odchyła się z niesmakiem, chyba oburzona tym, że jeszcze robimy „te” rzeczy w łóżku.

– Dziękuję. – Jestem wściekła jak osa i gdyby wzrok mógł zabijać, Henryk leżałby martwy u mych stóp.

– Przepraszam, wymknęło mi się.

– Prosiłam, żeby nikomu nie mówić! Jesteś jak dziecko! Jak sztubak, któremu nie można powierzyć tajemnicy! Już nigdy ci nie zaufam! Niczego

nie powiem! A prosiłam! Prosiłam, że póki nic nie jest pewne....

– Kochanie, wybacz. – Robi krok w moją stronę, niechętnie odklejając się od pieca, ale nim zdąży mnie dotknąć, zrywam się jak oparzona i odska-
kuję pod ścianę.

Mąż z ulgą wycofuje się na poprzednią pozycję, ponownie szukając
wsparcia w zimnych kaflach.

– Jesteśmy waszymi córkami i mamy prawo wiedzieć, co się dzieje
w domu. – Rezulutna jak zwykle Zosia uderza w poważne tony.

– Dobrze, już dobrze.

Jest mi przykro. Wielokrotnie zastanawiałam się, w jaki sposób
powiemy dzieciom o powiększeniu rodziny. W każdej z pojawiających się
w mojej głowie wersji zakładałam, że będzie to miły, uroczysty moment.
Może wieczorem przy kolacji? Albo w urodziny syna? Ale w żadnej wizji
nie pojawiła się taka scena.

Robi mi się słabo i niechętnie opadam na ulubiony skórzany fotel Hen-
ryka. Macham ręką z rezygnacją, jednocześnie zakładając nogę na nogę, po
czym odruchowo sięgam dłonią do brzucha, zupełnie jakbym tym drobnym
gestem chciała ochronić tę małą istotkę, która od czterech miesięcy rozpy-
cha się w moim brzuchu.

– Nie chcieliśmy wam mówić – nadal spocona z nerwów pospiesznie
szukam racjonalnych argumentów – bo to jeszcze nic pewnego, ale rzeczy-
wiście wszystko wskazuje na to, że spodziewam się dziecka.

– Nie!

– Tak?

Wołają jednocześnie, a ich miny nie zdradzają radości.

– Przecież masz jeszcze małe dzieci!

– I co z tego?

Racjonalna jak zawsze Zosia wylicza na palcach nasz przychówek.

– Nie wystarczy wam?

– Czasami jest tak – silę się na spokój, choć palę się ze wstydu, że muszę
się tak tłumaczyć przed córkami – że człowiek coś planuje, a los przynosi
coś zgoła innego.

– Właśnie. – Henryk przekazał mi pałeczkę i ciągle podpierając piec,
patrzy wprost przed siebie.

Podejrzewam, że najchętniej uciekłyby z domu.

– Tak było i tym razem. Też jesteśmy z tatą, byliśmy... zaskoczeni. Ale
to Bóg zsyła nam cuda i to kolejny dar Boży, z którego bardzo się cieszymy.

– Jest wojna! – Aniela łapie oddech otwartymi ustami.

Wygląda jak przedwigilijny karp, którego tradycyjnie trzymamy żywego przez kilka dni w wielkiej blaszanej balii. Nie pojmuję tego dziwnego zwyczaju przynoszenia do domu żywego zwierzęcia, żeby potem je osobiście ukatrupić i zjeść. Przecież gdy mamy ochotę na kielbasę, nie przyciągamy do mieszkania świni!

Usiłowałam wytłumaczyć to Zuli, ale ona uparła się, że jak żyje, zawsze był na Boże Narodzenie żywy karp, więc póki u nas służy, tak będzie.

Już nawet nie zadaję sobie trudu, by wyjaśniać jej, że na naszym stole zawsze gościły sumy i sandacze, a karp pojawił się z biedy dopiero po wybuchu wojny, gdy zdobycie jakiegokolwiek ryby na świąteczny stół graniczyło z cudem.

– W czasie wojny też rodzą się dzieci – mówię pojednawczo.

– Że też chcecie jeszcze kogoś sprowadzać na ten straszny świat! – biadoli z niedowierzaniem młodsza córka.

– Dajcie już spokój. Co się stało, to się nie odstanie – rzucam dobitnie, a w moim głosie pobrzmiwa nutka irytacji.

Nie mam zamiaru omawiać z córkami planów prokreacyjnych ani żadnych innych.

– Dobrze, dobrze – burczy Zosia nieprzyjemnie.

– A ja sądziłem, że nasze dobrze ułożone córki nam pogratulują. – Henryk wydaje się równie zawiedziony postawą dziewczyn jak ja.

– Gratulacje – niechętnie mówią jednocześnie.

– Powiecie wreszcie, co się święci? – Wracam do głównego tematu. – O co chodzi z tym całym powstaniem? Myślicie, że tym razem to prawda?

Przez kolejną godzinę dowiaduję się niesłychanych rzeczy. Że na poważnie szykuje się powstanie. Przez lata okupacji przywykłam do różnorodnych plotek o tym, że wydarzy się coś niezwykłego. Jakiś przełom. Kolejny zamach. Że Hitler został zabity.

– Ale tu, w Warszawie? Przecież to szaleństwo!

– A właśnie że nie! – Henryk ostro protestuje. – U Niemców spada morale, tym bardziej po tym całym zamachu.

– No tak. – Wzdycham. – I pomyśleć, że dwudziestego lipca mogło być po wszystkim. Że też ten... jak mu tam było? – Mam nazwisko na końcu języka, ale jakoś nie potrafię sobie przypomnieć. Nie wiem, jaki wpływ wywiera stan błogosławiony na mózg, ale mam wrażenie, że każda kolejna ciąża coraz bardziej mnie ogłupia. Nagle brakuje mi słów, nie mogę się

wysławić, zapominam, po co dokądś idę, i jestem nieobecna. Boże, jak ja nie lubię tego niby błogosławionego stanu, ponoć najpiękniejszego w życiu kobiety! Choć mam ogromne szczęście, że w przeciwieństwie do większości moich przyjaciółek nie wymiotuję, nawet nie mam mdłości.

– Claus von Stauffenberg – podrzuca Henryk.

– No właśnie! – Macham palcem wskazującym jak bona przed leniwym dzieckiem. – Że też temu biedakowi się nie udało, obwołano by go świętym!

– Nie jestem pewna – Zosia jak zwykle zaczyna filozoficzny wywód – czy zabójca może zostać świętym. Z drugiej strony, jeśli chodzi o zabicie Hitlera, to...

– Wróćmy do meritum. – Powstrzymuję ją przed deliberowaniem, do którego w miarę upływu lat wykazuje coraz większe skłonności.

– Niemcy dostali wciroy w Rosji, Hitler otarł się o śmierć, Stalin jest coraz bliżej. Zresztą chyba zauważyłyście, że na ulicach jest spokojniej.

– Rzeczywiście! – wołam.

– Niemcy uciekają. Całymi rodzinami. A to może oznaczać tylko jedno! Że mają dosyć. Już wiedzą, że co jak co, ale tej wojny nie wygrają!

– Boże, oby to były prorocze słowa! Musimy wieczorem pomodlić się w tej intencji. O rychły koniec wojny! Nareszcie!

– Oczywiście modlitwa się przyda, ale przede wszystkim – mąż splata dłonie za plecami i odkleiwszy się od pieca, zamaszystymi, długimi krokami zaczyna wędrować po pokoju – musimy się zmobilizować, pomóc...

– Niby komu? – pytam zaskoczona. – Rosjanom?

– Sobie. Głównie sobie.

– Tadeusz mówi – Aniela włącza się do dyskusji – że ma wybuchnąć prawdziwe powstanie. Jeszcze dokładnie nie wiadomo kiedy, ale podobno wszyscy się na nie szykują.

– Wszyscy to znaczy kto? – dopytuję zaniepokojona, bo owo „wszyscy” może oznaczać, że dziewczyny też coś knują za naszymi plecami. Nie zniosłabym, gdyby dobrowolnie narażały się na niebezpieczeństwo. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby coś im się stało! Do końca życia nie darowałabym sobie, że ich nie uchroniłam.

– Młodzi, podziemie, gromadzą broń, szkolą się. Niebawem wybuchnie wielkie powstanie ¹⁴. To pewne – stwierdza z przekonaniem Zosia.

– Głupie gadanie. Jak mogą się szkolić, skoro w Warszawie prawie nie ma broni.

- Jak to?
- Powstanie, owszem, od dawna jest planowane, ale poza dużymi miastami. Akcja „Burza”. Słyszaliście o „Burzy” [15](#)?
- Skąd!
- No właśnie.
- My słyszaliśmy.

Spoglądam na dziewczynki z niedowierzaniem, ale w miarę jak opowiadają, uświadamiam sobie, w jakim stopniu rodzina uśpiła moją czujność. Z uwagi na mój stan Henryk robił wszystko, żeby mnie nie denerwować. Ale skąd smarkule wiedzą tyle o działalności podziemia, o Armii Krajowej?

Już ja sobie poważnie porozmawiam z tym Tadeuszem i jeśli będzie taka potrzeba, to aby chronić dziewczynki, postaram się uciąć ich znajomość. O wszystkim powiem Magdzie, może ona powstrzyma syna!

– Coś wam przeczytam. – To mówiąc, Henryk sięga po rzuconą na fotel gazetę i jak gdyby nigdy nic zanurza się w tym, co lubi najbardziej: w polityce.

„Dwa rządy [16](#)

Zwykła to prawda polityczna, że tam, gdzie są dwa rządy, istnieje nierząd. Polska znalazła się w tej właśnie sytuacji.

Mamy rząd londyński i mamy rząd «kranowski».

Pierwszy jest niewątpliwie reakcyjno-sanacyjny, choć «zdobi» go osoba ludowca – Mikołajczyka; jest oderwany od Kraju; uważa się za legalny, powołujący się na Konstytucję 1935 roku, choć jest zlepkim przypadkowych jednostronnie osób; zależy od Anglii i okazuje tragiczną nieudolność.

Drugi jest komunistyczny, powołuje się na formalnie nieobowiązującą Konstytucję z roku 1921 jako demokratyczną, całkowicie zależny od Moskwy.

Pierwszy chce Polskę od Odry do granic z 1939 roku, drugiemu wystarczy Polska od Odry po Bug.

Między tymi dwoma rządami stoi Naród Polski, którym obie strony – angielska i rosyjska – usiłują grać jako atutem w rozgrywkach międzynarodowych. Temu nie można się dziwić ani tym bardziej obruszać. Trzeba pamiętać tylko o tym, by w tej grze nie utracić wolności i niepodległości oraz mieć możliwość swobodnego budowania demokratycznej Polski Ludowej.

Trzeba więc nam jak najszybszego zebrania się rzeczywistego Przedstawicielstwa Narodu, które by wyłoniło jeden, oparty na zaufaniu powszech-

nym rząd ludowy. Obydwa wymienione wyżej rządy tego powszechnego zaufania nie mają”.

„Atak rosyjski na Warszawę [17](#)

Do stolicy Polski zbliżył się front. Garwolin i Pilawa zostały zajęte. Wojska rosyjskie zbliżają się do Otwocka. Tak brzmią doniesienia z frontu podwarszawskiego z dnia 28 lipca. Sytuacja zmienia się z godziny na godzinę. Najbliższe dni, nawet godziny, mogą przynieść atak na Pragę”.

– Daj spokój, mam już dość tej polityki – irytuję się. – Wszyscy tylko gadają, deliberują, planują, a dla zwykłych ludzi jakoś nic z tego nie wynika!

Maria

– Co o tym wszystkim sądzisz?
– Sama nie wiem, ale najwyraźniej coś wisi w powietrzu. Tak bym się cieszyła, gdyby tym razem spełniły się nasze nadzieje. – Jadwiga wzdycha rozmarzona. – Pojechałybyśmy do Krynicy.

– Anina.

– Albo nad morze, chłopcy jeszcze go nie widzieli – fantazjuję.

Jak zwykle stoimy przechylone przez balustradę jej balkonu, obserwując ruch na ulicy. Pospiesznie przemykających ludzi, dostojnie kroczącego żołnierza w mundurze Wehrmachtu, kobietę w eleganckiej garsonce, na której ramieniu wisi zapłakane dziecko.

Niespodziewanie ruch na ulicy gęstnieje. Pojawiają się młodzi zaaferowani ludzie. Wbiegają w bramy kamienic i z nich wybiegają, jakby kogoś szukali.

– Pod szóstką ¹⁸ jest laboratorium, wiesz coś o tym? Może coś się tam stało?

– Kto wie? Henio mówi, że w tym, jak to nazywają, „lokaliku rozrywkowym” przede wszystkim rozrywają się produkcją granatów i butelek zapalających.

– Przecież tam była rusznikarnia.

– Widocznie na coś się przydała.

Wybuchamy śmiechem. Z dnia na dzień jesteśmy coraz bardziej zdenerwowane, ale też podekscytowane i uniesione nadzieją, że koniec wojny przyjdzie szybciej, niżbyśmy mogły się spodziewać.

– A powiedz tak szczerze, czy Janek, jakby co, przystąpi do powstańców? Przepraszam, że tak dopytuję, ale wasz Grzesio taki chory...

– Marysiu, co mam ci powiedzieć? Rozmawialiśmy o tym tyle razy, Janek jest rozdarty. Powtarza, że synek jest najważniejszy, i nie sposób się z tym nie zgodzić, ale odgraża się, że u nas w domu otworzy szpitalik.

– Co ty powiesz?



Z Jadwigą Roguską (po prawej) na balkonie kamienicy przy ul. Żurawiej 28
w Warszawie, lato 1944 roku

– Namawiam go, żeby raczej zaangażował się w Szpitalu Wolskim, choć sama już nie wiem... No i jakoś nie daje się przekonać. Może ma rację, że tu, na miejscu, będzie swobodniejszy. Zresztą sędzę, że jeśli zajdzie taka potrzeba, będzie niósł wszelką pomoc.

– Pewnie tak.

– Zmartwień mam aż nadto i wolałabym mieć go pod ręką. Gdy przypominam sobie, jak jeździł z drewnianą skrzynią z kardiografem, żeby leczyć Rydza-Śmigłego, to robi mi się słabo.

– Sam?

– No coś ty! Z asystentem.

– Co ty powiesz? Że też się nie bali.

– Oczywiście, że się bali, ale co było robić. Taszczyli ze sobą ten wielki, nieporęczny grat. Tyle razy oczami wyobraźni widziałam, jak go aresztują.

I jak by się tłumaczył? Że dokąd się wybiera z tym ustrojem? Sama powiedz!

– Daj spokój, to już minęło. A ten kardioGRAF naprawdę taki duży? Sądziłam, że jest co najwyżej wielkości ciśnieniomierza.

– Gdzie tam! Wielki, nawet we dwóch trudno go nieść. Powiem ci szczerze, że panikowałam.

– I strach pozostał. Tego, co przeżyliśmy, nie da się zapomnieć. Do dziś pamiętam pierwszego trupa na ulicy. Ty jesteś lekarzem, więc pewnie inaczej na to patrzysz.

– Raczej nie. Zmarły w szpitalu i trupy zastrzelonych na ulicach ludzi, w kałużach krwi, to zupełnie coś innego.

– Hm. W sumie racja. Obie mamy świadomość, że to nie my dokonujemy wyborów. Jakże inaczej wyglądałby świat, gdybyśmy miały coś do powiedzenia. Kilka dni temu Henio z jakąś służbową sprawą, tak przynajmniej powiedział, był wysłany za miasto i wyznam ci, że ze zgrozą słuchałam jego opowieści o tych powracających niemieckich czołgach. A ludzie jak chętnie hajlowali! To się w głowie nie mieści!

– No patrz, a jeszcze kilka dni temu wydawało się, że Szwaby na dobre uciekły.

– Tak łatwo nie odpuszczą, to pewne. – Odwracam się i skupiam na przyjaciółce. – Ale zmieniając temat, mam nadzieję, że znajdziecie czas i wpadniecie na urodziny Stasia? Serdecznie zapraszamy.

– Oczywiście, z przyjemnością. A kiedy? Dzieciaki się ucieszą, szczególnie Grześ. Przepada za Stasiem.

– Myślałam o trzecim sierpnia. Może skromny obiad i popołudniowa kawa. Prawdziwa – dodaję po chwili. – Mam jeszcze kilka ziaren.

– Teraz to już mnie naprawdę zachęciłaś! Tylko muszę zdobyć jakiś prezent dla mojego ulubieńca.

– Daj spokój. Nie trzeba.

– Nie, nie, nie ma mowy! Urodziny to urodziny! Podarek się należy! Widziałam, że chłopcy chętnie bawią się drewnianymi klockami, i chyba już mam coś na oku. Tylko kiedy to wypada? Mam nadzieję, że zdążę do sklepu.



Grześ Roguski na balkonie rodzinnej kamienicy

- W czwartek.
- Biorąc pod uwagę, że dziś mamy poniedziałek – Jadźka zaciera dłonie i uśmiecha się promiennie – to cioteczka nie ma czasu do stracenia. Znowu wybuchamy śmiechem.
- Patrz, jak ten czas szybko mija. Już trzydziesty pierwszy lipca i za miesiąc minie pięć lat od rozpoczęcia wojny.
- Szmat zmarnowanego czasu.
- Oj tak. Ale nie ma co narzekać. Najważniejsze, że żyjemy.
- Oczywiście.
- Przez chwilę plotkujemy o wszystkim i o niczym, zarzekając się jednocześnie, że pozostaniemy rozsądne i nie zaangażujemy się w nic niemądrego i niebezpiecznego.
- Musicie uważać na dziewczęta.
- Co masz na myśli? – Spoglądam na przyjaciółkę z niepokojem. – Wiesz coś, o czym nie mam pojęcia, choć powinnam?

– Nie, skąd, tylko tak sobie myślę, że młoda krew zawsze jest gorąca. W ich wieku człowiekowi się wydaje, że może góry przenosić, że jest nieśmiertelny.

– Wiem, o czym mówisz. W dodatku ten Tadeusz...

– Zakochały się w nim? No proszę, jak dobrze pójdzie, to babcią zostaniesz! – Szturcha mnie radośnie.

– A wypluj te słowa! Jeszcze by tego brakowało.

– Życie ma swoje prawa. Swoją drogą skoro urodzisz za kilka miesięcy, to chyba nie warto wydawać śpioszków i powijaków.

– Nie denerwuj mnie! Przecież wiesz, że nie planowaliśmy kolejnego dziecka, i mam coraz większe obawy, czy w tym wieku wypada niańczyć niemowlę.

– A masz jakieś inne wyjście?

– Raczej nie – przyznaję posępnie.

– To przestań roztrząsać, co inni powiedzą. Wolałabyś córkę czy syna? Tylko szczerze.

– Nie zastanawiałam się. Ta ciąża tak mnie przytłoczyła. W dodatku wyjątkowo źle ją znoszę, więc nawet nie pomyślałam. Najważniejsze, żeby było zdrowe.

Wizja powiększającej się rodziny zupełnie mnie dobija. I nie daj Boże, żeby pod naszym dachem pojawiło się jeszcze panińskie dziecko! Mam nadzieję, że Zosia nie wpadnie przed ślubem na pomysł sprawdzenia, na czym polega ten rodzaj miłości. Zakładam, że dziecinnej Anieli do zauroczenia jeszcze daleko. Postanawiam, że natychmiast po powrocie do mieszkania odbędę z córkami poważną rozmowę. Najwyższy czas je uświadomić w tych sprawach i przede wszystkim ostrzec.

Postanawiam też opowiedzieć o bólu, z którym musi zmierzyć się kobieta w chwili wydawania dziecka na świat i podczas położu. Skóra cierpnie mi na plecach, gdy pomyślę, jakie tematy będę zmuszona poruszyć.

Na samą myśl o pogadance robi mi się niedobrze. Jak mam im przyznać się do tego, co robimy nocą z Heniem? Gdy dostały pierwszy period, coś tam napomknęłam, celowo nie zagłębiając się w szczegóły i niuanse. Jednak teraz, gdy sobie myślę, że ktoś mógłby je zbałamucić, choć syna przyjaciółki nie chcę nawet o to podejrzewać, niemal osuwam się po barierce.

Zofia

Mamidło oszalało z niepokoju.

Dziś rano okazało się, że wraz z kompletem sreber, a w zasadzie pudełkiem srebrnych rodowych sztuczków, które mama otrzymała od babki w dniu ślubu, ciepłą pierzyną i zapasem kawy przeznaczonej na urodziny Stasia zniknęła Zula.

Jej wypačkany na różowo, duszny pokoik wygląda jak po przejściu tornado.

Otwarta szafa wypluwa wygniecione stare łachy gosposi. Wśród nich znalazła się czerwona góralska chusta, którą przywiozłam sobie z Zakopanego, a która dziwnym trafem zniknęła z mojej komody kilka miesięcy temu, i srebrne sitko do przecedzania herbaty, ukryte przez spryčiułę w bucie. Napawa mnie to takim obrzydzeniem, że nawet gdyby mama uparła się, by je odzyskać, umyć i wygotować, nie tknęłabym go palcem. Na szczęście mama jeszcze tego samego dnia zawołała Szymańskiego i kazała wszystko wynieść na śmietnik albo rozdać potrzebującym.

Ogołoczone z pierzyny łóżko z zapadniętym siennikiem jest jak stare niedźwiedzie legowisko, a brudny metalowy, do połowy pełen nocnik stanowi szczyt wszystkiego. Cuchnie tak, że mam odruch wymiotny. Zula najwyraźniej nie doceniła cierpliwości i hojności rodziców i odpłaciła im się we wstrętny, poniżający sposób.

W dodatku wieczorem okazuje się, że z bawialni zniknęła piękna srebrna papierośnica papy.

I choć mamcia w pierwszej chwili się łudziła, że Zula jeszcze wróci, to szybko zmieniła zdanie i teraz prorokuje, że już jej nie zobaczymy. Gdyby tylko wiedziała, w jakich okolicznościach spotkam tę niewdzięcznicę!

Kłops w tym, że teraz same będziemy musiały dbać o zaopatrzenie kuchni. Oczywiście jak na złość brudny wiklinowy kosz stoi na jasnym dywanie w salonie, jakby złośliwa gosposia na odchodnym chciała pokazać matce język.

– I co teraz będzie?! – lamentuje mama od chwili odkrycia, że nie ma komu pojechać na Pragę po obstalowane ziemniaki.

– Mamo, daj spokój – usiłuję ją pocieszyć. – Jakoś to będzie. Nie martw się.

– Boże, Boże, Boże... Żeby jeszcze coś takiego na człowieka spadło! Przecież dziś już pierwszy sierpnia, za chwilę urodziny Stasia i jak my to wszystko przygotujemy? Wredne, paskudne babsko!

– Mamo!

– I pomyśleć, że człowiek tyle czasu się nad nią litował!

– Mamuś, ludzie mają nie takie problemy – staram się ją uspokoić. – Dawaj ten koszyk. Pojadę z Anielą po kartofle.

– Ja nie chcę! – Siostra patrzy na mnie z wyrzutem.

– Głupia! – złoszczę się na nią. – Nie marudź. Nie mamy wyjścia, jeśli chcemy coś zjeść na obiad.

– A nie możesz sama?

– A jak to sobie wyobrażasz? Że przez całą Warszawę będę wlokła ciężki koszyk? Nie ma mowy – protestuję gwałtownie. – Jedziemy razem.

Po chwili człapiemy w kierunku tramwaju.

Niezadowolona, naburmuszona Anieli wlecze się dwa kroki za mną i mamrocze coś pod nosem. Zupełnie się tym nie przejmuję i nie interesuje mnie litania jej wyrzutów. Może wreszcie weźmie się do jakiejś pożytecznej roboty. Pochłania mnie obraz zabieganej ulicy. Nie mam pojęcia, o co chodzi i czym jest spowodowany taki niecodzienny ruch. Sprawia to wrażenie, jakby ludzie byli dzisiaj wyjątkowo podekscytowani.

W pierwszej chwili oglądam się za siebie wystraszona, że może gdzieś nieopodal Niemcy organizują łapankę. Ale na szczęście nic na to nie wskazuje, choć faktycznie jakby więcej patroli było na ulicach.

Nas też, zaraz po tym, jak wchodzimy na Kruczą, legitymuje dwóch roślących Szwabów, którzy z wielką skrupulatnością i w skupieniu oglądają dokumenty z każdej strony i ostrożnie zaglądając do pustego, przykrytego ścierką koszyka, wypytują, dokąd się wybieramy.

Spanikowana pokazuję kartki żywnościowe i odpowiadam, że idziemy wykupić przydział mąki i chleb.

Jak na złość mama kazała nam rozmienić „górala”, czyli pięćset złotych. Ale w żadnym sklepiku ani nawet w banku nikt nie chciał o tym słyszeć, zupełnie jakby ludzie się obawiali fałszywek. Na szczęście na Marszałkowskiej spotkałyśmy przypadkiem męża cioci Róży, wujka Wacka, który

zaprowadził nas do znajomego w banku, i dopiero on, po dłuższej chwili marudzenia, nam pomógł, wyraźnie zaznaczając, że robi to tylko ze względu na wujka. Nie pojmuję, o co tyle ceregieli, przecież pieniądz to pieniądz.

Gdyby nie wujek, miałybyśmy poważny problem, bo zapewne sprzedawca ziemniaków, kimkolwiek jest, też nie wzięłyby od nas banknotu o tak wysokim nominale. A innego nie miałyśmy. Zaczynam podejrzewać, że rodzice wyciągają z zakamarków ostatnie oszczędności.

Summa summarum stoimy teraz na tylnej, chwiejnej, zatłoczonej platformie tramwaju, z zaciekawieniem rozglądając się po mieście. Dawno nie byliśmy w tej części Warszawy i z zainteresowaniem przyglądamy się mijanym ulicom, niemieckim flagom powiewającym na budynkach urzędów.

Stojący nieopodal nas dwaj młodzi mężczyźni cicho, lecz z przejęciem rozmawiają o tym, jak blisko są wojska radzieckie. W euforycznym nastroju przekonują się nawzajem, że teraz to już kwestia dni, a ruszą nam z pomocą i pogonią Niemców gdzie pieprz rośnie.

Radosna atmosfera udziela się wszystkim pasażerom. Podekscytowani ludzie szeptem przekazują sobie plotki, że w niedzielę Ruscy stanęli na przedpolach Pragi, że Radzymin, Wołomin i jeszcze jakaś miejscowość, o której wcześniej nie słyszałam, są w ich rękach.

Ktoś wciska w dłoń Anieli biuletyn i nim zdążę podziękować, wysiada na kolejnym przystanku. Wszyscy są jakby sobie życzliwsi i miłsi. Wyczuwa się podniecenie, które mogę porównać tylko do przedświątecznego, bożonarodzeniowego okresu.

– A słyszała pani, że Mikołajczyk w niedzielę poleciał do Moskwy układać się ze Stalinem?

– Co pani powie? – Starsza blondynka o twarzy z siateczką drobnych zmarszczek, okutana w chustę, patrzy ze zdumieniem na wysoką, szczupłą brunetkę z niewielkim koszykiem w ręku. – Pani Błońska! Bogu niech będą dzięki! No to teraz już Niemca pogonimy! Oj, pogonimy!

– Oby tylko nie padało, żeby Ruskie jak najszybciej przeszły przez Wisłę.

– Przecie czołgów nawet ulewa nie powstrzyma.

– Pewnie ma pani rację, ale tak się modlę, zaklinam los, żeby nic im na przeszkodzie nie stanęło.

– Ależ to kwestia godzin – włącza się młodzieniec ubrany w zbyt duży czarny garnitur, w którym groteskowo tonie jego szczupłe ciało.

– A mnie mąż mówił, że Szwaby mosty zaminowały.

– A niech sobie nawet ulice minują, co to dla Stalina?

– Ano tak, to teraz już koniec, pani kochana, koniec nadchodzi [19](#).

I cieszą się jak dzieci na myśl o Świętym Mikołaju, nie zważając na niebezpieczeństwo.

Nie powiem, nastrój udziela się również nam.

– Myślisz, że to prawda? – Aniela spogląda na mnie wielkimi z przejęcia oczami.

– Bardzo bym chciała, żeby to była prawda, i mam nadzieję, że rzeczywiście zbliża się koniec tego koszmaru.

– Wiesz, już zapomniałam, jak to jest żyć normalnie. Chodzić do szkoły, spotykać się ze znajomymi. Nie bać się.

– Planować i marzyć.

– Gdy tak sobie o tym wszystkim myślę, to dociera do mnie, że jedną czwartą życia zabrała mi okupacja.

– Ale gdy pomyślisz o tym w wieku lat osiemdziesięciu, to tylko się uśmiechniesz, bo okaże się, że to zaledwie niewielki ułamek tego, co jeszcze przed nami.

Wreszcie wysiadamy na Pradze i rozpytujemy ludzi, jak dojść na ulicę Środkową. Jesteśmy przytłoczone, bo tej dzielnicy zupełnie nie znamy, a wydaje się ona tak obca i nawet nieco niebezpieczna z uwagi na zasłyszane plotki. A co będzie, jeśli rzeczywiście spotkamy rosyjski czołg? Jeśli zacnie się bitwa? Będą strzelać?

Wygrzebuję z kieszeni zmiętą karteczkę z adresem, po czym upewniwszy się, że zmierzamy we właściwym kierunku, przyspieszamy kroku.

Zapuszczamy się w nieznane podwórka, mylimy drogę, ale wreszcie stajemy przed zielonymi, odrapanymi drzwiami mieszkania w suterenie.

Pukamy raz. Pukamy znowu. I nic.

Głucha cisza.

Za drzwiami panuje niczym niezmacony spokój. Za to obszczekują nas, obnażając kły, dwa czarne zajadłe kundle, które nie wiedzieć skąd pojawiły się za naszymi plecami. Robi się coraz nieprzyjemniej. Ujadanie przybiera na sile i odbija się echem od ścian kamienic.

– Myślisz, że nikogo nie ma?

– Cholibka. Mam nadzieję, że się nie pomyliłyśmy. – Choć staram się tego nie okazywać, tracę rezon. – Sio! – Machając koszem, odganiem czarną bestię.

Ponownie wyjmuję karteczkę, uważnie studiuje zapisany adres i wyrysowaną prymitywną mapkę. Upewniam się, że jesteśmy we właściwym miejscu, i kolejny raz, zdecydowanie mocniej, desperacko walę pięścią w drzwi.

Ktoś z łoskotem otwiera okno i drze się jak opętany:

– Cisza tam!

Psiska, jakby wyczuły błogosławieństwo i przyzwolenie ze strony sąsiadów, jeszcze bardziej rozsierdzone dopadają do kosza, którym usiłujemy się osłonić, i chwytając go zębami, szarpią w swoją stronę.

Wreszcie dociera do naszych uszu odległe, przytłumione szuranie i jeszcze odleglejsze wołanie. Co za ulga.

– Idzie się! Idzie! Pali się czy jak?

– Mam dosyć! – Aniela usiłuje odgonić szczególnie zawziętego psa, który z żądzą mordy w ślepiach usiłuje dopaść naszych nóg.

W końcu drzwi się otwierają i staje w nich chuda kobiecina w opiętej do granic możliwości czarnej sukni, której szwy dzielnie walczą o przetrwanie. Na czubku głowy siwe, splątane włosy tworzą imponujący kołtun. Uśmiecha się bezzębnymi ustami spod osadzonych na koniuszku nosa okrągłych okularów i przygląda nam się niczym czarownica zagubionym w lesie i wystraszoną Małgosi i Jasiowi.

Ze środka bucha nieprzyjemny, kwaskowy piwniczny smród, który korzystając z okazji, usiłuje uwolnić się i zbiec z przypominającego loch pomieszczenia. Najchętniej, podobnie ja on, wzięłabym nogi za pas i zwyczajnie uciekła. Ale nie po to przebyłyśmy taki szmat drogi, żeby teraz stchórzyć. Poza tym co byśmy powiedziały mamie?

– A cego wy, kochanieńkie, tutaj sukacie? – sepleni kobieta.

Pies ujada jeszcze głośniejsze i wykorzystując chwilę nieuwagi, chwyta za brzeg sukienki Anieli i ciągnie ile wlezie. Jestem przerażona, siostra jeszcze bardziej, ale jednocześnie cieszę się, że nie dopadł łydki. Jeszcze tego by brakowało, żeby pogryzł nas jakiś wściekły kundel.

– Aa! – krzyczę wystraszona.

– A pasoł won! – Kobieta przychodzi nam z odsieczą i chwyciwszy stojącą w kącie za drzwiami miotłę, wymachuje nią zawzięcie. – Reks, do budy! Sybko!

Na widok miotły oba psy podkulają ogony i ze skowytem znikają gdzieś w ciemnym zakamarku podwórza. Widać nieraz poczuły na grzbiecie siłowe argumenty staruszki.

– No, kochanieńkie, to co tu robicie?

– Dzień dobry, proszę pani. – Odruchowo dygamy przed kobieciną. – Przyszliśmy po ziemniaki.

– A po jakie ziemniaki? – Robi krok do przodu i rozgląda się uważnie, jakby spodziewała się zasadzki, a jednocześnie łąpie na nas podejrzliwie.

– Te, które miałyśmy odebrać. – Jestem coraz bardziej skołowana. – Mam tu na kartce adres, pod który...

– Ja tam nic nie wiem. – Gospodyni mruży oczy, aż gęsta siatka zmarszczek wbija się w nasadę włosów, po czym wzrusza ramionami. – Sybko mi stąd idźcie.

I gdy już ma zamiar odwrócić się na pięcie i zatrasnąć nam drzwi przed nosem, niespodziewanie odzywa się Aniela:

– Zula mówiła, że...

– A, Zula! – Staruszka nagle się ożywia i ponownie lustruje nas uważnie. – Zula. – powtarza i wyraźnie oddycha z ulgą. – Tseba było tak od razu. Dalej, wchodźcie sybciutko, zeby kto was nie psyuwazył.

Nim się zorientujemy, wciąga nas do mieszkania.

W zasadzie sama nie wiem, czy do brudnego i zapuszczonego mieszkania, czy raczej do zatęchłej piwniczki. W pomieszczeniu panuje półmrok, smród stęchlizny jest nie do zniesienia i najchętniej zatkałabym nos palcami i oddychała przez usta. Ale nie chcąc urazić babiny, w ostatniej chwili się powstrzymuję. W oczach mi wiruje, a płuca bronią się przed kolejnym oddechem.

Stoimy niepewnie tuż za drzwiami, usiłując się rozejrzeć. Ku naszemu zdumieniu wszędzie stoją kosze, worki, skrzynie. Wygląda to bardziej na wysypisko śmieci niż dziuplę, w której można zaopatrzyć się w coś deficytowego do jedzenia.

– A dlacego Zulki nie ma z wami? Zachorowała biedula cy co? Tyle razy mówiłam, że tak ciężko tyra, że tylko patseć, jak zdrowiem to psyplaci. Ponoć ta cała jej pani, jak jej tam... Maria to okropna kobieta jest. Moze ją znacie? – Patrzy na nas z zaciekawieniem i jednocześnie nadzieją, że przyłączymy się do narzekania i opowiemy o okropnościach wyczynianych przez ową Marię, zdradzając co pikantniejsze szczegóły i dzieląc się nowymi ploteczkami.

– Ta nasza mama.

Kobiecina nie wydaje się przejęta ani zawstydzona. Zasysa dolną wargę, tak że nos dotyka brody, i drapie się długim, czarnym paznokciem małego palca po głowie.

– A tak, ten tego...

– Przyszliśmy po kartofle – powtarzam z naciskiem, sądząc, że im szybciej załatwimy sprawę, tym szybciej uwolnimy się od potwornego zaduchu i wreszcie stąd wyjdziemy.

Po powrocie do domu będziemy musiały porządnie się wykąpać, umyć włosy i przeprać sukienki. Inaczej się nie pozbędziemy tego smrodu, nie ma mowy.

– Dobrze, a ile tego miało być? – pyta chytrze.

Dotychczas myślałam, że wszystko zostało ustalone z Zulą i po prostu przyjdziemy po przyszykowane w worku ziemniaki. Tymczasem okazuje się, że muszę podjąć decyzję, zupełnie się nie orientując, ani jakie mamy zapasy, ani z czego byłaby zadowolona mama.

– To znaczy... zaraz, niech pomyślę. – Pospiesznie kalkuluję, ile jesteśmy w stanie z Ali unieść, i dochodzę do wniosku, że dziesięć kilogramów będzie w sam raz. – Dziesięć.

– A dziesięć ziemniaków to akurat mam. – Cieszy się kobiecina, zacieraając ręce. – Dobrze, dobrze.

– Kilogramów – prostuję.

– O, kochanieńka, tyle to ja...

– Zula mówiła, że mamy dziesięć kilo odebrać – gram *va banque*. – Inaczej nie jechałybyśmy taki szmat drogi.

– A jak Zula mówiła... Dobrze, dobrze.

Gestem dłoni pokazuje, że powinniśmy iść za nią w głąb pomieszczenia, które przypomina długi, niekończący się korytarz. Wreszcie zatrzymujemy się gwałtownie w pół kroku, niemal wpadając na plecy babiny. Staruszka tym samym paluchem, którym poprzednio się drapała, wskazuje na wielki worek. Chwytam go obiema rękami i z trudem przesuwam ku sobie ledwie o kilka centymetrów.

– Nie dam rady. Aniela, pomóż.

Wspólnie go podnosimy, jednocześnie usiłując oszacować, czy jest w nim dziesięć kilogramów bulw czy mniej. Oczywiście nie umiem tego stwierdzić, więc podejrzliwie pytam:

– Na pewno jest tu dziesięć kilogramów?

– A gdzie tam, dużo więcej. Musicie sobie odsypać – fuka. – Najpierw se zobaccie, czy towar dobry, żeby potem pretensji nie było. – To mówiąc, rozwiązuje worek.

Na ile to możliwe w tych ciemnościach przyglądam się zawartości. Kartofle jak kartofle. Ani ładne, ani brzydkie. A że nie wydają się zwiędnięte ani nie kiełkują, uznaję, że towar jest w porządku.

Nim się zorientujemy, kobiecina chwytając ciężki wór, przechyla nad naszym koszykiem i powoli, ostrożnie przesypuje.

– Juz. – Zadowolona z siebie odstawia worek.

– A skąd pani wie, że to dziesięć kilo? – dopytuję nieufnie, nie mogąc wyjść z podziwu dla krzepy tej, zdawałoby się, rachitycznej osóbką.

– Co też panienka? – rzuca oburzona. – Jak się nie podoba, to niech idzie. Może gdzie indziej se kupić.

– Nie, nie, tylko tak się upewniam. Jestem zaskoczona, że ma pani taką siłę. I wyczucie – dodaję po chwili.

– Psecie całe życie się pracowało.

– Tak, oczywiście.

– Jakem Maliniakowa, klnę się pod Bogiem, że ucciwa handlarka jestem. I wy, kochanieńkie, mi tu nie wybydzajcie, bo jak nie, to inni chętnie wezmą. Mozecie iść. Z Panem Bogiem.

– Przepraszam, nie chciałam pani urazić.

Aniela stoi obok, niepewna, co począć.

Po jej poszarzałej twarzy domyślam się, że jest bliska z wymiotowania, i tylko obawa przed kundlami powstrzymuje ją przed wybiegnięciem na podwórko.

– A słoniny nie chceta?

– A ma pani? – pytam jak kretyńka.

– Jak bym nie miała, tobym nie pytała.

– A po ile?

– Kochanieńka, dogadamy się.

W efekcie po dłuższych negocjacjach zadowolone, wręcz dumne z siebie, tarabanimy się do tramwaju, by wyruszyć w drogę powrotną.

Mam nadzieję, że mama będzie przeszczęśliwa, a wieczorem zjemy prawdziwą kolację, jak za dawnych czasów.

Co to jest: zaczyna się na „g” kończy na „o”, bardzo śmierdzi i każdy to dookoła obchodzi?

Odpowiedź: gestapo.

– Kto jest idealnym człowiekiem?

– Hitler.

– ???

– Nie potrzebuje mięsa – poza armatnim. Nie pali – z wyjątkiem krematoriów. Nie bierze do ręki kart – z wyjątkiem geograficznych. Nie ugania się za kobietami – poza Italią.

Hess ląduje w Anglii.

– Kim pan jest? – pyta Anglik.

– Rudolf Hess.

– Ten wariat?

– Nie, pierwszy zastępca Führera.

„Okupacyjny Kurier Warszawski” – drze się gazeciarz. – Wielkie zwycięstwo pod Stalingradem: zdobyto dwa pokoje z kuchnią.

Kto jest prawdziwie niemieckim człowiekiem?

Ten, kto urodził się w Austrii, udaje Napoleona, nosi angielski wąsik i wita się jak włoski faszysta.

Triumfujemy jak rycerze po zwycięskim turnieju. W koszu między ziemniakami wieziemy kawał słoniny, do tego kilka cebul i bochen porządnego wiejskiego chleba. Nie jakiegoś wojennego ersatzu z trocin i nie wiedzieć czego, po którym tylko puszcza się bąki i boli brzuch. Nie dziwota, że dowcipni ludzie nazwali go dźwiękowcem.

Zresztą mimo wojny dowcipu i poczucia humoru nam nie brakuje, choć to śmiech przez łzy. Potrafimy kpić ze wszystkiego.

– Ej! Uwaga! – Aniela usiłuje stopą przesunąć kosz, by wepchnąć go głębiej w kąt wagonu.

Źródłem jej niepokoju jest niemiecki patrol z psem, stojący na przystanku, do którego nieuchronnie się zbliżamy.

– O kurczę, niedobrze. – Krew spływa mi do pięt, a pot rosi czoło.

– Wysiadamy? – Pobladła Aniela nie może oderwać od nich wzroku.

– Nie wiem. Poczekaj. I nie gap się tak, bo od razu wyczują, że mamy coś za uszami. Oddychajmy. Powoli. Wdech, wydech.

Nagle uderzenie gorąca sprawia, że mam mokre dłonie, a w głowie rozgrywa się bitwa szarych myśli z tymi najczarniejszymi. Co tu robić? Co robić?

Handel mięsem jest surowo zakazany, a pies oczywiście od razu wyczuje słoninę i będziemy miały poważne kłopoty. Nie ma mowy, by uwierzyli, że tak smaczny aromatyczny połącz dostaliśmy na kartki. I tak źle, i tak niedobrze.

Jeśli się z nimi minimy w drzwiach, na pewno będzie po nas. Nie ruszając się z miejsca i nie okazując nerwowości, zyskamy szansę, że nie zwrócą na nas uwagi. Choć przede wszystkim potrzebne jest nam szczęście, ogromnie dużo szczęścia, by Niemcy nie wsiedli do wagonu.

Nim się zorientujemy, stojąca obok elegancko ubrana kobieta chwytając nasz ciężki kosz i przysuwa ku sobie.

– Spokojnie. Jestem Niemką. – Mruga filuternie.

Nie rozumiemy, co się właśnie wydarzyło. Dopiero później dociera do nas, iż nieznajoma chciała zeznać w razie kontroli, że to jej wiktuały. Wieczorem, gdy opowiadamy o tym rodzicom, nadal nie możemy wyjść ze zdumienia.

Ale udaje się i pomoc kobiety okazuje się zbyteczna.

Tuż przed tym, nim tramwaj zatrzymał się na przystanku, żołnierze zajęli się legitymowaniem jakiegoś nieszczęśnika. Wszystko to sprawia, że marzymy tylko o tym, by jak najszybciej dotrzeć na Żurawią. Poza tym w mieście wyczuwa się jakieś okropne, niemal elektryzujące napięcie, jeszcze większe niż w chwili, gdy wyruszyliśmy z domu. Mam nieodparte wrażenie, że ludzie głośniejszą mówią po polsku, od czasu do czasu słychać gdzieś polską modlitwę albo patriotyczną pieśń. Jakbyśmy nagle przestali się bać.

Mnóstwo młodych ludzi biegnie w tę i z powrotem. Wszyscy są dziwnie ożywieni, jakby napili się szaleju. W oddali słychać strzały.

Oczywiście nie mamy pojęcia, że za dwie godziny, o siedemnastej, historycznej godzinie „W”, wybuchnie powstanie. Że celowo rozpoczęcie zrywu zaplanowano na popołudnie, by ludzie zdążyli wrócić z pracy i stać się w wyznaczonych miejscach. Szkoda tylko, iż nikt nie przewidział, że nim ruszą do walki i stawią się na wyznaczonych pozycjach, będą chcieli pożegnać się z rodziną. A to nie umknie uwagi Niemców. I nie zostaną zaskoczeni.

Dziś jest wtorek, pierwszy sierpnia 1944 roku ²⁰, dzień, który stanie się początkiem naszego dramatu. Zaledwie trzy lata temu na mocy dekretu Adolfa Hitlera tereny dawnych województw lwowskiego, tarnopolskiego i stanisławowskiego, pod nazwą dystryktu galicyjskiego, weszły w skład Generalnego Gubernatorstwa; rok temu Niemcy rozstrzelali jedenaście męczennic z Nowogródka i wybuchło powstanie w getcie Będzińsko-Sosnowieckim, a teraz to my zapiszemy się na kartach historii.

Na razie, by opanować rozdygotane nerwy, skupiam się na wręczonym mi przez obcego człowieka wczorajszym „Biuletynie”.

„Dzień zapłaty. Już tylko niewielki czas dzieli Warszawę od chwili, na którą stolica Polski czekała pięć niekończących się lat męki, poniżenia i grozy. Warszawa lada dzień przedstawi Niemcom swój rachunek do pokrycia. Długi, bardzo długi rachunek krwi, męczarni, poniewierki, upokorzeń.

Ci, którzy w pierwszym rządzie zasłużyli na odwet Warszawy – odjechali lub odjeżdżają dziś cało. Bunt i dławiąca gorycz targają niejednym sercem i niejedną dłonią na widok najpodlejszych zbrodniarzy odjeżdżających bezpiecznie z miasta. Społeczeństwo stolicy rozumie jednak dobrze powód zwlekania władz Polski Podziemnej z wydaniem hasła [...] ponad uczuciem jakże słusznej zemsty góruje przemożny nakaz rzemiosła wojennego, o terminie dnia zapłaty decydować mogą tylko i wyłącznie względy czysto wojskowe.

Ręka nasza spaść winna na niemieckie karki nie wcześniej, nim sytuacja frontu zapewni szansę powodzenia naszym działaniom. Gdybyśmy poszli za głosem uczucia – moglibyśmy tylko bezcelowo wydłużyć ów straszliwy rachunek strat. Musimy mieć pełne zaufanie do naszego kierownictwa wojskowego. Znak nie zostanie dany ani o godzinę za późno!

I choć odjechały najściślejsze psy i najpodlejsze z niemieckich kanalii – będzie dość Niemców w Warszawie i w jej pobliżu. Teraz oni poznają, czym jest zasada «zbiorowej odpowiedzialności». Żaden z narodów Europy nie zasłużył tak na zastosowanie tej niemieckiej zasady jak właśnie sami Niemcy.

Albowiem nie ma Niemców dobrych. Są tylko Niemcy zbrodniarze lub Niemcy tolerujący i popierający zbrodniarzy. Gdzież bowiem byli dobrzy Niemcy, gdy setkami rozstrzeliwano niemal co dnia niewinnych na ulicach Warszawy? Czy rozległ się choć jeden głos protestu w armii niemieckiej przeciwko koszmarom obozów koncentracyjnych? Czy to nie lotnicy nie-

mieccy przeprowadzali w Warszawie masowe łapanki do bud? Czy odezwał się jakikolwiek publiczny niemiecki głos przeciwko bestialstwom badań policyjnych, przeciwko komorom gazowym i wytraceniu rzesz ludzkich za pomocą mrozu i głodu?

Naród niemiecki to naród wściekłych psów. Nie doczekają się od Polaków litości ci, których mamy pod ręką” [21](#).

Wracamy umordowane ze zdobyczami. Ręce nas bolą od dźwigania ciężkiego kosza i nie możemy doczekać się miny mamidła na widok naszych wiktuałów. Mam tylko nadzieję, że nie będzie złe, że się porządziłam i wydałam więcej pieniędzy, niż to było zaplanowane.

Myślę, że w dzisiejszych czasach w niektórych domach jest więcej pieniędzy niż jedzenia. Pieniądze stały się niemal bezwartościowe, choć pewnie dla tych, którzy ich nie posiadają, stanowią z kolei jedyną przepustkę do lepszego świata.

Jakież to wszystko zagmatwane...

Idziemy mokrą od deszczu ulicą.

W połyskujących jak lustra kałużach odbijają się piękne, zdobione płaskorzeźbami i ornamentami fasady kamienic. Mimo gorącej atmosfery panującej na ulicach wyraźnie się ochłodziło. Zaczynam żałować, że nie zabrałam ze sobą sweterka, choć mama tak namawiała. Aniela okazała się mądrzejsza, a teraz poprawia biały, własnoręcznie wydziergany kardigan i zapina go pod szyją na dwa różowe guziczki.

Maria

Wczorajszy dzień był absolutnym koszmarem. Nie dość, że niespodziewanie, zupełnie bez ostrzeżenia zniknęła Zula, to w dodatku, w chwili gdy podśpiewując pod nosem, cała upačkana sokiem, drylowałam wiśnie na nalewkę, rozpoczęło się powstanie. Ludzie w euforycznym szale rzucili się do walki i wszyscy pomagają sobie nawzajem, jak tylko mogą. Jestem przerażona. Na ulicach tyle się dzieje. Strzały, wybuchy, krzyki mieszają się z polskimi pieśniami, modlitwami. Zrobiło się tak niebezpiecznie, że strach wyściubić nos z domu. W dodatku Henio nie ma jak wrócić z pracy.

Mam nadzieję, że został w biurze i nic mu nie grozi, że nie zaangażuje się w nic głupiego. Wyszedł z domu jak zwykle o poranku, z jedną kanapką, i miał wrócić na siedemnastą na obiad.

Martwię się tak przepotwornie, że nie potrafię znaleźć sobie miejsca. I jak na ironię, cieszę się, że gosposia zniknęła, bo przynajmniej, krzątając się w kuchni, zajmuję myśli czymś innym. Teoretycznie oczywiście.

Całe szczęście, że dziewczynki zdążyły dotrzeć bezpiecznie z wielkim koszem jedzenia! Mam nadzieję, że zgromadzone zapasy pozwolą nam przetrwać te kilka dni, zanim w mieście na powrót zapanuje spokój.

Od samego rana ludzie zebrali się na podwórku kamienicy, by rozprawić o tym, co się dzieje. Jedni uspokajali sąsiadów, inni zagrzewali do walki, wlewając w nas optymizm. Jeszcze inni dzielili się informacjami z miasta. Każde podwórko wyglądało jak mała rozgłośnia radiowa połączona z kościołem. Po wysłuchaniu wiadomości odczytywanych przez lektora, jak nazywamy naszego pocziwego stróża, tłumnie przemierzamy się pod naszą podwórkową kapliczkę, by gorliwie się modlić w intencji powstańców i zwycięstwa.

Czasem się zastanawiam, co Bóg myśli o naszych modłach, bo błagając o litość dla nas, siłą rzeczy modlimy się o śmierć dla Niemców...



Podwórce kamienicy przy ul. Żurawiej, sierpień 1944 roku

Całe szczęście, że z Jadwigą mieszkamy na tym samym piętrze i nadal możemy się spotykać, choć nie ma mowy o tym, by wyjść na balkon. To zbyt niebezpieczne. To ona przed chwilą zawołała mnie do siebie, by przez boczne okienko pokazać niemiecki czołg, który nie wieciec po co wjechał na naszą ulicę. Byłyśmy zatrwożone, że zacznie strzelać. Wystarczyłby jeden pocisk, żeby kamienica runęła, tak przynajmniej mi się wydaje. Czołg usiłował rozjechać barykadę zbudowaną z byle czego, głównie z koszy na śmieci, mebli i płyt chodnikowych; wyskakujący z bram chłopcy rzucali w niego butelkami z benzyną, niestety, nie wyrządzając mu większych szkód, a stojący w oknach na wyższych piętrach ludzie bili brawo.



Mieszkańcy zbierają się, by wysłuchać wieści z miasta

Byliśmy z Jadzią zszokowane, bo oglądane sceny bardziej przypominały groteskowe przedstawienie w kiepskim kabarecie niż wojnę. Zresztą po chwili czołg się wycofał i tyle go widziałyśmy.

Zewsząd słycać strzały. Z daleka widać dymy. Nie wiadomo, co się dzieje w mieście, co się pali, gdzie strzelają.

Jesteśmy zdani na wiadomości od tych, którzy przebiegają nieopodal albo jakimś cudem docierają pod nasz adres. Armaty albo czołgi, nie potrafię stwierdzić, wałają jak oszalałe. Nie sposób choć na chwilę zapomnieć o tym, co się wyprawia na zewnątrz.

Noc była bardzo niespokojna. Nie zmrużyłam oka, czekając na męża i nerwowo nasłuchując. Zrywałam się na każdy głośniejszy dźwięk, każdy świst.

W rezultacie witam nowy dzień, ze zmęczenia słaniając się na nogach. Dopiero drugi sierpnia, a ja mam wrażenie, jakby minął tydzień ²².

Z samego rana pospiesznie się ubieram i razem z Jadźką idziemy na dół wypytać Szymańskiego o najnowsze wieści. Nikt nic nie wie, wszyscy się jedynie domyślają, podpuszczają nawzajem. Denerwują. Wiemy tylko, że rzeczywiście wybuchło powstanie, że nasi dzielnie walczą i wkrótce będzie po wszystkim.

Ale nie potrafię się tym cieszyć, za bardzo się zamartwiam.

Gdzie jest Henio?

Już od pierwszych chwil na ulicach pojawiły się zasieki. Wszyscy znosiliśmy i nadal znosimy, co tylko mamy pod ręką: meble, kubły na śmieci. Co tylko się da. Nikt nie żałuje tego, co posiada, niektórzy taszczyli nawet cenne antyki. Aż żal było patrzeć na ludwikowskie krzesła, biedermaierowskie stoliki, które poniewierały się na kupie z deskami i płytami chodnikowymi.

Pierwsze barykady stanęły na rogu Żurawiej i placu Trzech Krzyży oraz przy Kruczej. Nigdy w życiu czegoś takiego nie widziałam: takiego optymizmu, ożywienia, zapału. Wiary!

Ludzie od razu ruszyli robić przekopy między piwnicami i teraz ze wszystkich stron rozlega się dźwięk młotów i kilofów, zupełnie jakbyśmy się znaleźli na wielkiej budowie albo w lesie pełnym dzięciołów.

– Mamo, masz jakieś wieści od papy?

Wystraszona Zosia, z uwieszoną ramienia Anielą, znowu przychodzi z tym samym pytaniem.

– Nie, nic nie wiem. Przecież obiecałam, że jak tylko...

– Wiem, mamuś, ale tak bardzo się martwię. Gdzie on może być? Przecież jego biuro jest zaledwie kilka przecznic dalej. Pomyślałam nawet, żeby go poszukać. Gdybym poszła...

– Chyba oszalałaś?! Nie ma mowy! Za bramę nie da się wyjść, wszędzie strzelają, a ty chcesz się wybrać w miasto!

– Trzeba coś zrobić.

– Tato jest dorosły, rozsądny, poradzi sobie. I nie darowałby mi, gdybym was wypuściła z domu. Musimy czekać. A co, jeśli on wróci, a was nie będzie?

– Ale...

– Tutaj jesteś bardziej potrzebna. Zaopiekuj się chłopcami, bo nastawiłam zupę i nie mogę ruszyć się z kuchni.

– Ludzie mówią, że w piwnicach jest najbezpieczniej.

– I mają rację, ale Bogu niech będą dzięki, na razie jeszcze nic nam nie grozi.

– Tadek mówi, że dzień, dwa i będzie po sprawie.

– Oj wy, młodzi, naiwni jesteście. – Nagle staję się czujna. – Kiedy się widzieliście?

– Dzisiaj rano.

– I nic mi nie powiedziałaś?

– A co miałam mówić? Nie patrz tak na mnie, nie zrobiłam nic złego!

- Skaranie boskie z wami.
- Ale...
- Nie ma co roztrząsać. Musimy na wszelki wypadek spakować najcenniejsze rzeczy i przygotować się na zejście do piwnicy w każdej chwili.
- Może niech Anielka zajmie się Jaśkiem i Stasiem, a ja ci pomogę.
- Róbcie, jak chcecie, a pomoc zdecydowanie by mi się przydała. Trzeba toboły przyszykować. Wiesz, gdzie Zula trzyma nasze walizki?
- W komórcie na strychu.
- O Boże, tylko nie tam.
- Czemu...

Uprzedzam cię dalszy jej pytania i ze złością wyrzucam z siebie:

– Bo najłatwiej trafić w dach! Zapali się i cała kamienica zaraz stanie w ogniu. Myśl trochę. A teraz dalej, do roboty. Aniela! Chodź tutaj! – krzyczę zupełnie niepotrzebnie, ale nie potrafię się opanować.

Jestem na skraju wyczerpania.

Najchętniej zwinęłabym się w kłębek i schowała pod łóżkiem. Tak bardzo bym chciała, żeby był tu Henryk. Żeby mnie pocieszył, powiedział, że wszystko będzie dobrze. Tymczasem sama muszę wziąć sprawy w swoje ręce.

Muszę zaplanować, spakować, co trzeba, wziąć pod uwagę różne ewentualności, być zaradna, przebiegła i sprytna, by ograć los. Całe szczęście, że już kilka tygodni temu kazałam Zuli przygotowywać zapas sucharów. Zdo byłam też kilka kilogramów kaszy i grochu, które upchnęłam w kącie na dnie szafy pod pościelą, by nie skusiły gosposi. Zula, choć dobrze gotowała i wiedziała, gdzie zdobyć różne produkty, nie zwykła się ograniczać, gdy widziała większy zapas jedzenia. A każdą moją uwagę, że musimy oszczędnie gospodarować tym, co mamy, bo nie możemy być pewni dnia ani godziny, zbywała machnięciem ręki i gderaniem pod nosem, wyzywając mnie od głupich skner. Udawałam, że tego nie słyszę.

- Szymański mówił, że całe Śródmieście jest zabarykadowane.
- Co ty powiesz? – Zamieram z chochlą w dłoni nad cienkim krupnikiem z kilkoma ziemniakami, okraszonym jedynie podsmażoną cebulką, bo jakoś żal mi słoniny. – Będę musiała zaraz zejść na podwórze, to może dowiem się czegoś więcej.
- Teraz przechodzi się z podwórka na podwórko przez dziury wybite w murach, ale łatwo się zgubić.

Po dłuższej chwili narzucam na siebie cienki stary płaszcz, zbiegam co dwa stopnie po schodach i mieszam się z tłumem sąsiadów. Pan Brzeziński z pierwszego piętra głośno odczytuje „Biuletyn”, ponoć działa też jakaś radiostacja, ale bez Henia zupełnie nie wiem, jak nastawić radio, by posłuchać wiadomości.

Boże, jak bardzo brakuje mi męża! Gdzie się podziewa mój ukochany, czy ktoś go przygarnął? Może poszedł do Róży? Ich dom jest nieopodal jego biura.

– A dzień dobry, sąsiadko!

– Dzień dobry, choć raczej niezbyt. – Irena spod piątki wita się ze mną zdenerwowana. – Słyszała pani o naszym Lolku?

– Jakim Lolku? – Wpatruję się w nią, zupełnie nie kojarząc, o kim mowa.

– Od stróżów.

– Szymańskim?

– No, o tym! Da pani wiarę, że podobno zginął na Marszałkowskiej?

Mówi to tak spokojnie, że w pierwszej chwili odnoszę irracjonalne wrażenie, iż jest zadowolona. Tylko nie pojmuję, czy z tego, że mamy w kamienicy bohatera, pierwszego dzielnego powstańca, a w zasadzie pierwszą ofiarę powstania, czy bardziej z tego, że może podzielić się ze mną plotką.

Otrząsam się zła na siebie, że w takiej chwili dopadają mnie głupie refleksje. Zamiast tego usiłuję przywołać z pamięci obraz chłopaka. Jego zawsze uśmiechniętą piegowatą twarz i wiecznie sterczące, niedające się ujarzmić rude włosy. Znam, a może właśnie należałoby użyć czasu przeszłego... znałam go od berbecia.

Nim uda nam się wymienić dalsze uwagi, głos stojącego na ławce stróża dominuje nad podwórkiem.

„Dowódca Armii Krajowej
dał rozkaz do walki z wrogiem

ŻOŁNIERZE STOLICY

Wydałem dziś upragniony przez was rozkaz do jawnej walki z odwiecznym wrogiem Polski, najeżdźcą niemieckim. Po blisko pięciu latach nieprzerwanej i trwałej walki prowadzonej w podziemiach konspiracji stajecie dziś otwarcie z bronią w rękę, by ojczyźnie przywrócić wolność i wymie-

rzyć zbrodniarzom niemieckim przykładową karę za terror i zbrodnie dokonane na ziemiach Polski.

Warszawa, 1 sierpnia 1944 roku. Dowódca Armii Krajowej (–) «Bór»»

„Warszawa powstała.

Nareszcie nadszedł dzień, na który w męce i w zaciętości czekaliśmy pięć jakże nieskończenie długich lat.

Warszawa walczy!

Warszawa szarpie wroga. Nareszcie na rękach naszych niemiecka krew tych wściekłych psów, tych zbójców, którzy poniewierali i plugawili przez pięć niekończących się lat wszystko, co dla nas było święte.

Generał Bór wydał rozkaz. Pierwsze strzały padły w stolicy z pistoletów i karabinów żołnierzy Armii Krajowej. Żołnierze ci rozpoczęli dzieło. Teraz już jednak duch walki ogarnął całe miasto. Lud Warszawy jest w tych godzinach ze swym podziemnym wojskiem, sercem i dłonią – cały warszawski lud.

Nie pierwszy raz Warszawa powstaje, nigdy jednak wola walki nie była tak powszechna jak dziś. Warszawa jest zjednoczona bez reszty w nienawiści, w zemście, w jednolitym pragnieniu wolności.

Robotnicy i inteligenci, kobiety, mężczyźni i młodzież, ludzie wszystkich grup politycznych, wszystkich warstw, to jeden dzisiaj lud, lud Warszawy.

Polacy! Powiew historii idzie ulicami i placami Warszawy. Staje się rzecz wielka, której echa pójdą w pokolenia całe.

Każdy, kto dziś walczy – bierze udział w dziele nieśmiertelnym. Ci, co padną – padną w wolności i sławie. Ci, co zwyciężą – będą mieli poczucie dokonania wielkiego czynu swego życia.

Zorza wolności już wschodzi nad stolicą Polski. Alarm powstańczej pobudki wzywa wszystkich do broni. Oto dziś dzień krwi i chwały. Dzień sprawiedliwej zemsty, zemsty bezlitosnej.

Do broni!”.

ODEZWA WŁADZ STOLICY DO LUDNOŚCI

Od dawna oczekiwana godzina wybiła. Oddziały Armii Krajowej walczą z najeźdźcą niemieckim we wszystkich punktach Okręgu Stołecznego.

Wzywam ludność Okręgu Stołecznego do zachowania spokoju i zimnej krwi we współdziałaniu z walczącymi i równocześnie zarządzam:

– Poległych, zarówno Polaków, jak i Niemców po rozpoznaniu grzebać prowizorycznie – dokumenty zaś przechowywać i na żądanie zgłosić.

– Wszelkie samosądy są zakazane.

– Wrogowie narodu polskiego, Niemcy i folksdojcze, będą ukarani z całą surowością prawa przez właściwe sądy. Tymczasem należy ich unieszkodliwić, zatrzymując w zamknięciu do dyspozycji ujawniających się władz bezpieczeństwa.

– Mienie władzy i obywateli niemieckich należy zabezpieczyć protokółarnie w każdym domu.

Za należyte wykonanie powyższego, jak również za ład i porządek w poszczególnych domach są odpowiedzialne lokalne organy OPL i Straży Porządkowej [23](#).

Zofia

Okropnie kłócę się z mamą. Nie potrafię usiedzieć na miejscu, wiedząc, że inni, moi rówieśnicy, wyszli na ulice i walczą. Niepotrzebnie się jej zwierzyłam, że mam zamiar złożyć przysięgę.

Zastanawiałam się, czym mogłabym się zająć, i uznałam, że jest wiele obszarów, w których mogłabym okazać się pomocna. Mogłabym zostać sanitariuszką, gotować posiłki dla powstańców. Doskonale znam naszą dzielnicę, więc mogłabym roznosić rozkazy, meldunki. Tak bardzo chcę być przydatna!

Mamidło oczywiście nie chce o niczym słyszeć. Jestem zła, bo boleśnie dociera do mnie, że dla niej ważniejsze jest nasze życie niż wolna ojczyzna. A przecież bez poświęcenia, naszej krwi, wolna nigdy się nie stanie.

– Mało mam zmartwień? – Pierwszy raz widzę mamę tak zdenerwowaną. – Wystarczy, że ojciec gdzieś przepadł i nie ma z nim kontaktu.

– Nie możemy siedzieć z założonymi rękoma.

– A kto ci każe siedzieć? – rzuca. – Oczywiście, że możesz, a nawet powinnaś robić różne rzeczy, angażować się, pomagać, ale to wszystko trzeba robić z głową.

– Tak, jasne, zaraz mi powiesz, że mam zajmować się braćmi albo gotować obiady – odpyskuję, nie zważając na to, że mamidło może wściec się jeszcze bardziej. – Nie chcę tego słuchać, nic nie rozumiesz! Mam cię dość!

– No nie, oczywiście ty wiesz lepiej!

– Mamuś, to nie tak. Po prostu bezczynne siedzenie jest nie w porządku wobec tych wszystkich, którzy nadstawiają za nas karku.

– Ja to wszystko rozumiem, tylko że sama sobie z niczym nie radzę.

Mama zaczyna płakać. Skołowana patrzę na nią z niedowierzaniem. Zupełnie nie wiem, jak powinnam się zachować. Co robić? Ona płacze! Jest jak mała, bezradna, zagubiona dziewczynka, a jej stan sprawia, że boję się o nią jeszcze bardziej. Nie spodziewałam się łez, nie spodziewałam się

takiej reakcji po kobiecie, która zawsze była taka silna i wiedziała, co robić. Po kobiecie, która kierowała całym domem. Wszystko planowała, nad wszystkim panowała, łącznie z ojcem, któremu tylko się wydawało, że to on jest głową rodziny.

Nic bardziej mylnego.

To mama potrafiła wybiec myślami w przyszłość. Przewidzieć niebezpieczeństwa i przygotować się na każdą ewentualność. Była jak wróżka. To mama powtarzała, że ze wszystkim damy sobie radę i że nie ma co panikować. Gdy ojciec wracał zdenerwowany do domu i krzyczał, że to wszystko rzuci w diabły, że to nie ma sensu, bo Niemcy sami nie wiedzą, czego chcą, mama powtarzała, że nie takie rzeczy przetrwaliśmy i że mamy zacisnąć zęby i przeczekać.

W gorszych chwilach mawiała, że zawsze możemy wyprowadzić się do babci na wieś. To ona wierzyła, że nie zdarzy się taka choroba, której by nie pokonała. To ona wiedziała, jak leczyć kaszel, koklusz, katar, ból brzucha, i przytulała, gdy z dziecięcego dramatu pękało serce któregoś z nas. Ciocia Róża, pani Jagoda, sąsiadki przychodziły do niej po radę, pocieszenie, a ona zawsze wiedziała, co trzeba zrobić, żeby było lepiej. Umiała podnieść na duchu. Pokazać nową szansę, nowe możliwości.

I teraz ta moja silna, niepokonana mama siedzi na podłodze w kuchni i szlocha jak dziecko. Z jej oczu płyną strumienie łez, które mieszając się ze smarkami, spływają po bruzdach wokół zaciśniętych ust, z bąblami śliny w kącikach. Jestem przerażona i mam wrażenie, że dopiero teraz świat zwałił mi się na głowę. Że wszystko przedtem, o czym myślałam, że jest straszne, wcale takie nie było.

Dociera do mnie, jaka jestem przy niej słaba, a wobec jej rozpaczy bezradna. Mam wyrzuty sumienia i nie wiem, kiedy sama zacznę płakać i ją przeproszać.

– Mamuś, nie chciałam.

– Nic, nic...

– Masz. – Podaję jej wymiętą lnianą kuchenną ścierkę. – Proszę, nie płacz. Tylko już nie płacz!

– Ja... – Zachłystuje się kolejnymi falami łez.

– Nie chciałam nic złego, tylko też pomóc, ale jeśli chcesz, to zostanę w domu. Ja cię przeproszam. Mamo, proszę, nie płacz.

Ciałem mamy wstrząsają spazmy, a jej szloch staje się coraz gwałtowniejszy, przybiera na sile, przypomina zwierzęce, przerażające wycie.

Boże, żeby tylko nie usłyszała nas Aniela, a tym bardziej chłopcy! Niepotrzebnie by się przestraszyli.

– Yhm. – Mama wyciera głośno nos, przyciąga kolana do brody i obejmując je, zaczyna lekko się kołysać.

– Mamo, nie płacz.

Stoję bezradnie. Nie wiem, czy powinnam ją objąć, czy się wycofać i pozwolić, żeby się wyplakała. Słyszałam, że to też pomaga.

Z drugiej strony raczej nie powinnam zostawiać jej w takim stanie samej. Nagle dopada mnie strach: a jeśli jest tak zrozpaczona, że coś sobie zrobi? Co wtedy? Mama jest taka dzielna, odważna, że może nawet miałyby siłę chwycić za kuchenny nóż i podciąć sobie żyły.

Ale przecież kocha nas najbardziej na świecie. Jesteśmy jej skarbami, jej małymi cudami. Czy umiałyby nas zostawić? Byłaby tak bezduszna? Czy miałyby odwagę, uśmiercając siebie, zabić nienarodzone dziecko, które nosi pod sercem?

– Mamuś, nie płacz, proszę. – Wreszcie podejmuję decyzję. Kucam, a potem siadam obok niej.

Opieramy się o ścianę ramię w ramię, ale to nie ja przytulam się do mamy, tylko ona tuli się do mnie. Głaszczę ją po miękkich, jedwabistych włosach, dostrzegając siwe pasemko na skroni. Jeszcze nigdy nie byliśmy tak blisko. To znaczy ona nie była tak blisko mnie. Nigdy jej tak nie dotykałam. Nigdy aż tak się do siebie nie zbliżyliśmy.

Znikła granica między córką a matką i już wiem, że nigdy nie będzie jak dawniej. Że ta chwila jej słabości pozostanie naszą najbardziej strzeżoną tajemnicą. Że od tej chwili będę jej słuchać, będę jej największym wsparciem. Nie pozwolę, aby była w tym wszystkim sama.

– Mamuś, no już. Uśmiechnij się. Poradzimy sobie. Tata niebawem wróci. Zobaczysz, wszystko się ułoży.

Ale nie ułożyło się nic.

Wieczorem dowiedziałyśmy się, że tatko zginął kilka przecnic dalej od snajperskiej kuli. Że jak zwykle wracał po pracy do domu. Do nas.

Nasze serca eksplodowały rozpaczą. Niemal fizyczny ból rozrywał nasze ciała, tym bardziej że nawet nie mogłyśmy go pożegnać. Pochować.

Mama zapadła się w sobie. Postarzała się w jednej chwili, a o poranku okazało się, że do pierwszego siwego pasma dołączyły kolejne. Gdybym na własne oczy tego nie widziała, tobym nie uwierzyła. Ale tak właśnie się stało. Mamidło wygląda tak, jakby ktoś spuścił z niego powietrze.

Straciła przyjaciela, miłość swojego życia, mężczyznę, który zawsze potrafił ją rozbawić. Z którym przetańczyła wiele wieczorów i w którego ramionach szukała ukojenia. Który zarabiał i nas utrzymywał. Zapewniał bezpieczeństwo.

Przestałam widzieć przed nami jakąkolwiek przyszłość.

Jest tylko czarna ściana niepewności. Bezradności i wszystkiego, co najgorsze. Boję się, że bez tatki sobie nie poradzimy. Że wyrzucą nas z mieszkania, że pójdziemy na ulicę, umrzemy z głodu. Że bez papy mama umrze.

Gdyby nie jej wcześniejsze załamanie, mogłabym naiwnie wierzyć, że wszystko się jakoś poukłada. Ale już nie potrafię.

Ustaliłyśmy też, że na razie o niczym nie powiemy Anieli. Tej córeczce tatusia, z którą wiązała go magiczna, silna więź. Nie zniosłybyśmy teraz jej lamentu, hysterii. Pewnie rzuciłaby się na łóżko i zrozpaczona, zapłakana, zostałyby w nim przez kolejne nieznośnie długie dni.

Żadna z nas nie jest też gotowa na pytania chłopców. A gdzie tata? Co to znaczy, że zmarł? Co to jest dusza i dlaczego nie można jej zobaczyć? Jak wygląda niebo i dlaczego tata poszedł do aniołków, do Bożi? Na zapewnianie ich, że w niebie się spotkamy. Wiem, że na nic nie zdadzą się tłumaczenia, że mieszka w nas nieśmiertelna dusza i choć ciała się psują, starzeją i niszczą, to ona kiedyś wróci na ziemię. Przynajmniej ja głęboko w to wierzę.

À propos wiary.

Zawsze sądziłam, że im większa bieda i nieszczęście, tym żarliwsza staje się nasza wiara, i to się sprawdza. Ludzie zupełnie oszaleli z rozpacz. Na każdym podwórku powstają nowe kapliczki wypełnione świętymi obrazami, suszonymi kwiatami, w otulinie koronek, wstążek i wszystkiego, co tam kto ma i co uznaje za godne Najwyższego. Mieszkańcom nie szkoda palić świeczek, tak że niemal wieczny ogień ogrzewa stopy niebiesko-białej figurki Matki Boskiej Fatimskiej, którą przyniosła nowa sąsiadka, co zaledwie przed kilkoma tygodniami sprowadziła się do oficyny.

Wszyscy modlą się zapamiętale, licząc na cud.

Oczywiście przyłączamy się do błagań o litość, pokój, spokój i zdrowie. W obliczu powstania, walki, która rozgrywa się tuż obok, nasze żarliwe modły zyskują nowy wymiar. Są bardziej napastliwe, ale i szczere, głębokie, tylko nie pojmuję, dlaczego dobry Bóg nie jest skłonny ich wysłuchać. Dlaczego każdego dnia słyszymy o kolejnych zabitych, o tych, których znałiśmy, kochaliśmy, a których nie ma już między nami.

Wczoraj widziałam się przelotnie z Tadeuszem. Wpadł na chwilę do mieszkania. Chudy, brudny, zabiedzony, wystrojony w żołnierską panterkę z białą-czerwoną opaską na ramieniu, ale uśmiechnięty i przekonany, że zwycięstwo już blisko. Tak bym chciała wierzyć, że ma rację. Tak bym chciała mu zaufać.

Gdybyśmy wiedzieli, jaki koniec gotuje nam los!

– Obiecay, że nie wplącesz się w nic złego.

– Złego nie. – Uśmiecha się ironicznie. – Ale wplątać już się wplątałem.

– Wiesz, że... – Milknę w pół zdania, bo miałabym ochotę wyznać, że bardzo go kocham i strasznie się o niego martwię, że stał mi się bardzo bliiski. Jest mi wstyd, bo przecież nie wypada wyznawać miłości komuś, kto być może nie odwzajemnia tego uczucia. Nie wypada, żeby dziewczyna mówiła to chłopcu. Jednak nim się zorientuję, jestem już w jego ramionach, a na moich ustach ląduje słodki pierwszy całus.

– Ja ciebie też, głuptasie.

– Ale... – bąkam, bo nie wiem, co w takiej chwili powinno się powiedzieć.

Nogi mam jak z waty. Rój motyli zerwał się i wiruje w żołądku, a przed oczami pojawiają się radosne iskry.

– Kocham cię.

– Ja ciebie też. – Z trudem przeciskam wyznanie miłości przez gardło.

Znowu się pochyła i nasze usta ponownie się spotykają. Jest taki delikatny, a jednocześnie silny i choć pachnie ziemią i kurzem, jest w tym coś magicznego. Nie zważamy na to, że ktoś może nas zauważyć. W tych okolicznościach, wobec niepewności kolejnego dnia, następnej godziny, nie liczy się nic.

Świat zniknął, odsunął się. Zamilkł. Jesteśmy tylko my.

W najdzikszych snach nie śniłam, nie marzyłam o takiej chwili. Chciałabym, żeby trwała wiecznie. Daje mi szczęście, bezpieczeństwo, radość, miłość i spełnienie. Już nie myślę o Anieli, nie wyobrażam sobie, że mogłabym wyrzec się takich uczuć. Czuję się jak piękna, wartościowa kobieta, jak bogini, i chciałabym tą radością podzielić się ze światem. Wiem, że ten dzień, te minuty staną się najdroższymi wspomnieniami, które będę pielęgnować do końca życia. Włożę je do najcenniejszej szkatuły i nie oddam nigdy nikomu.

Co prawda, nie tak wyobrażałam sobie mój pierwszy pocałunek, ale jest idealnie. Miało być romantycznie, z zachodem słońca i śpiewem ptaków

w tle. Zamiast tego jest odległy grzechot karabinu, unoszący się nad miastem dym i swąd spalenizny.

– Uważaj na siebie. Obiecujesz? – mówi Tadeusz.

– To ty na siebie uważaj. Nie przeżyję, jeśli coś ci się stanie. Tadek, przysięgnij, że do mnie wrócisz. Proszę. Kocham cię.

– Przysięgam. Przecież wiesz, że jestem największym szczęściarzem w okolicy, zwłaszcza teraz, gdy mam ciebie.

– Obyś miał rację.

– Nie zapeszej, kochana, nie zapeszej. Nie zepsuj tego złymi myślami. Nigdzie się stąd nie ruszaj, a ja wrócę, gdy tylko będę mógł. Czekaj na mnie.

– Wiesz, chcę się udzielać w szpitalu pod czwórką, może...

– Dobrze, to akurat niezły pomysł, ale trzymaj się naszej ulicy. Tu są porządne kamienice. Stropy powinny niejedno wytrzymać.

– Tak?

– To stosunkowo nowe budynki. Żebyś wiedziała, co jest na Starówce, trzcina, glina, jedna bieda...

– Nie rozmawiajmy już o...

– Chodź, przytul się.

Stoimy przez dłuższą chwilę w rozpaczliwym uścisku.

On wie, że musi odejść. Ja wiem, że możemy się już nie zobaczyć. Nie chcę go puścić. Gdybym mogła, zaszyłabym się z nim w najciemniejszej dziurze, żeby tylko przeczekać zły czas, aby nic i nikt mi go nie odebrał.

Tak się cieszę, że w tych złych dniach przeznaczenie zgotowało mi cudowną niespodziankę.

Kocham i jestem kochana.

I nie mogę powiedzieć o tym nikomu. To mój największy skarb, który muszę tylko wynieść z wojny, z powstania, by gdy to się skończy, żyć szczęśliwie w moim domku z maleńkim ogródkiem.

Maria

Jest okropnie. Koszmarnie. Przerazająco. Nie znajduję słów, żeby to opisać. Ktoś, kto nie doświadczył takiego piekła, nie zrozumie, o czym mówię.

Co rusz strzelanina. Jęki rannych. Wrzaski Niemców. Nowe kałuże krwi na ulicach. Trupy. Ranni. Zbiorowe mogiły. Każdego dnia ktoś kogoś opłakuje. Zamiast wolności mamy żałobę. Każdego dnia coraz większą, czarniejszą, głębszą.

Mam do siebie żal, że rozkleiłam się przy Zosi. Nie powinna widzieć mojej słabości. Powinnam być silna, opanowana, pewna siebie, niezłomna i przekonująca, żeby dzieci czuły się przy mnie bezpiecznie. Tymczasem nie radzę sobie z samą sobą. Czuję się, jakby ktoś wcisnął mi na głowę za mały hełm, który uciska z każdej strony i którego nie sposób poprawić ani zdjąć.

Nadal przebywamy w naszym mieszkaniu, choć coraz trudniej czuć się w nim bezpiecznie. Chłopcy ciągle płaczą, są marudni i jak na złość zaczęli się kłócić.

W kącie stoją trzy walizeczki, z którymi w chwilach alarmu zbiegamy do piwnicy. Każda z nas ma jedną, chłopcy zabierają tylko po pluszaku i do tych dwóch małych, wytartych misiów skurczył się ich świat.

Jednak najgorsza jest bezczynność.

Bezowocne czekanie nie wiadomo na co.

Na koniec.

Na koniec ostrzału. Ciszę i spokój. Na koniec powstania. Dobrze by było, gdyby krok za nim postępowało zakończenie wojny. Ale sama już nie wiem, czy to możliwe. Dla mnie wybuch powstania zarówno był, jak i nie był zaskoczeniem. Już w lipcu czuło się w mieście niezwykle napięcie, ludzie byli jacyś nerwowi, a jednocześnie podekscytowani, Niemcy wydawali się mniej pewni siebie. Taka cisza przed burzą.

Jednak zupełnie czymś innym było słuchanie Henia, który nawet nie przeczuwał, tylko już wiedział, że za chwilę się zacznie. Zacznie się najgor-

sze, teraz już mogę tak powiedzieć. A czym innym okazała się rzeczywistość.

Zaskoczyły mnie dzień i godzina.

Tyle rzeczy nie zdążyło się wydarzyć, nie wyprawiliśmy urodzin synkowi, nie przygotowaliśmy się należycie, nie uciekliśmy.

Ogromnie żałuję, że nikt mnie nie uprzedził. Może zdążyłabym wyjechać z dziećmi do znajomych w Aninie? Spakowałabym najpotrzebniejsze rzeczy. Ocalała rodzinne pamiątki. Teraz nie ma na to szans.

Nie wydostaniemy się z miasta.

W takich chwilach okazuje się, że człowiek ma tylko tyle, ile jest w stanie ze sobą zabrać w jednej walizce czy plecaku. A wtedy od obrazu lub pamiątkowej filiżanki ważniejsze są praktyczne rzeczy.

Do starego wojskowego plecaka Henia zapakowałam nasze rodzinne albumy. I w zasadzie tyle. Są ważniejsze od trzech walizek stojących w kącie. Postanowiłam ocalić wspomnienia, twarze ukochanych ludzi, których niestety w części już między nami nie ma. Tak bardzo mi ich brakuje.

Tak bym chciała, żeby był z nami Henryk, żeby nie musiała być w tym wszystkim sama. On by wiedział, co robić, dokąd pójść. To on podjąłby najtrudniejsze decyzje, a ja z ufnością, niewiele się zastanawiając, poszłabym za nim. A tak wszystko spadło na moją głowę.

Mimo to staram się dostrzegać małe okruchy szczęścia. Powtarzam sobie, że na razie mamy co jeść, że na szczęście jest lato i nie marzniemy, że nie chorujemy. I jeśli tylko tak będzie dalej, przetrwamy. Muszę to zrobić dla męża, on tak mi ufał. Nie mogę go zawieść, muszę ocalić nasze dzieci. To takie proste i oczywiste, a jednocześnie niezwykle trudne. Może nawet niewykonalne.

– Mamo! – wrzeszczy spanikowana Aniela, a jej głos zagłusza wycie alarmu. – Znowu się zaczyna!

– Już! Szybko!

Pospiesznie chwytam plecak, zbieram chłopców z dywanu i nie zważając na ich protesty i opór, wlokę za sobą w stronę tylnej klatki schodowej, żeby zbiec do piwnicy. Całe szczęście, że nie mieszkamy na wyższym piętrze!

– Ali! Bierz walizki!

– Ale ja chcę się bawić klockami! – marudzi Staszek.

– Nie teraz, ja nie chcę! – Janek wtóruje bratu.

– Bez dyskusji! Szybko! – Popycham ich przed sobą. – Aniela, uważaj, żeby nie spadli ze schodów!

Nim zbiegniemy do piwnicy, alarm zostaje odwołany i wracamy zdyszane do mieszkania. Nie sposób się przyzwyczaić. Za każdym razem tak samo. Pocę się z nerwów, w głowie zaczyna mi pulsować i przez dłuższy czas nie mogę wyrównać oddechu.

Poza tym nie znoszę zostawać sama z dziećmi.

Zosi nie dało się wytłumaczyć, że jest potrzebna tu, na miejscu.

Uparła się, że nie może siedzieć z założonymi rękoma, że musi bardziej się zaangażować. Początkowo zaglądała do Roguskich i pomagała przy opatrywaniu rannych, ale kilka dni temu kategorycznie oświadczyła, że będzie chodziła do zorganizowanego przez harcerzy szpitala pod czwórka. Są w nim nawet cztery non stop zajęte chirurgiczne łóżka.

Oczywiście w pierwszej chwili wyraziłam swoje zdanie, okrasiałam je argumentami i oprószyłam wątpliwościami, ale niczego nie wskórałam. A potem odetchnęłam z ulgą na myśl o tym, że Zosia będzie zaledwie kilka domów dalej i choć nie da się do niej dotrzeć ulicą, to piwnicami już tak.

Oprócz pomocy przy opatrywaniu rannych, tak powstańców, jak i cywilów, podekscytowana Zosia zaangażowała się w przygotowywanie posiłków dla powstańców pod siedemnastką, w kuchni RGO ²⁴ wydającej posiłki dla sanitariuszek i żołnierzy. Z zapalem sieka cebulę i biega po sąsiadach z pytaniem, czym mogą się podzielić. O dziwo, ludzie, choć sami niewiele mają, przekazują, co tylko są w stanie. Wczoraj ktoś nawet przyniósł dwie puszki sardynek, a Jadzia przekazała płócienny woreczek suszonych prawdziwków, wruszając ramionami i tłumacząc, że w tych okolicznościach jej wigilijny zapasik i tak pewnie na nic się nie przyda.

Niestety, ma rację.

Skoro nie mamy nawet pewności, czy dożyjemy grudnia, tym dziwniejsze byłoby planowanie świąt.

Śmiać mi się chce na myśl o tym, że moja najstarsza córka, ledwie potrafiąca zgotować wodę na herbatę, teraz warzy zupy dla obcych ludzi. Zupełnie niezainteresowana kulinarną stroną życia zawsze mnie przekonywała, że będzie miała kucharkę. Na nic się zdawały tłumaczenia, że nawet mając do pomocy taką Zulę, trzeba w miarę orientować się w jej działaniach, żeby nie zostać oszukaną czy okradzioną.

Błogosławię charakter bojaźliwej Anieli, która jeszcze przed wojną niechętnie wychodziła z domu. Teraz przynajmniej ona trzyma się blisko mnie,

nie stwarzając większych problemów.

– Mamo! – Spanikowana młodsza córka wpada do kuchni.

– Co się stało?

Zaraz myślę o chłopcach, zastanawiając się, co tym razem zbroili. Mam tylko nadzieję, że nie zrobili sobie krzywdy. Wystarczy, że tydzień temu podczas zabawy Janek uchwycił od drewnianej kaczki na kiju, która głośno i denerwująco człapie przed nim po pokoju, przyłożył bratu tak, że ukruszył mu górną jędynkę. Mleczak nie wypadł, ale i tak wymagało to interwencji stomatologa. Całe szczęście, że na naszej ulicy mieszka dobry znajomy Henryka, który co prawda, przede wszystkim zajmuje się opatrywaniem powstańców, ale znalazł dla nas czas i posadził małego na dentystrycznym fotelu. Ciarki przebiegają mi po plecach na wspomnienie tego, jak synek się wyrywał, wydzierał i opierał przed otworzeniem buzi. Byłyśmy z Zosią zmuszone trzymać go z całych sił, żeby doktor mógł nieco spiłować i wyrównać złamany ząb.

– Mamo!

– Nie wrzeszcz tak, tylko powiedz, co się dzieje.

Zaczynam się irytować, bo Aniela, zamiast wytłumaczyć, o co chodzi, jak zwykle zaczyna od krzyku, płaczu, i dopiero potem, powoli oswoiwszy dramat, który rozgrywa się w jej przewrażliwionej głowie, dochodzi do meritum. Zazwyczaj okazuje się, że to nic ważnego. Mam nadzieję, że tak jest i tym razem.

– Pali się!

– Matko Boska! Gdzie?

Zasycha mi w ustach, serce wali jak oszalałe, na sztywnych nogach nie mogę się ruszyć, w dodatku z trudem łapię powietrze. Jestem bliska utraty przytomności. Wyobraźnia podsuwa straszne obrazy: płonącego salonu, palących się firanek, zajętych ogniem mebli. Czuję się jak zaszczute zwierzę.

– W kamienicy naprzeciwno.

– O Boże. – Osuwam się po ścianie na podłogę.

Wczoraj zapalił się nasz dach i zawalił się strych, zupełnie jakby jakiś potwór ogryzał budynki od góry. Na szczęście udało się ugasić pożar, ale to znak, że trzeba będzie w końcu porzucić wszystko i wynieść się z mieszkania. Serce nadal wyrywa mi się z klatki piersiowej i jest mi słabo, ale jednocześnie czuję ogromną ulgę, że tym razem pocisk nie trafił w naszą kamienicę.

Kończę sprzątać kuchnię i myjąc ostatni talerz, dochodzę do wniosku, że nie ma co dłużej czekać. Trzeba natychmiast przenieść się do sąsiadów na parterze.

Pakuję tylko najpotrzebniejsze rzeczy, zakładając, że mogę w każdej chwili wrócić do naszego mieszkania i zabrać to, o czym w pośpiechu zapomniałem.

– Aniela, pospiesz się!

– Tak, mam?

– Zanieś, proszę, na parter mąkę, suchary i wróć po pościel. Przyszykuję też ciepłe rzeczy dla chłopców. A, koniecznie spakuj płaszcze! Jak się z tym uwiniesz, też zacznij się pakować. Co ja mówię! Przecież masz już wszystko w walizce.

– Mam, po co płaszcze? Przecież jest lato. – Aniela wpatruje się we mnie. – Moim zdaniem przesadzasz.

– Nie dyskutuj, tylko zrób to, o co cię proszę.

Boże, jak ta dziewczyna mnie denerwuje! Niby taka bojaźliwa, wiecznie zadumana i dzieląca włos na czworo, a nie potrafi zrozumieć, że człowiek musi być przygotowany na każdą okoliczność.

– Ale...

– Nie ma żadnego „ale”, pakujesz wszystko, o co proszę, i znosisz na dół – rozkazuję. – Zrozumiałaś?

– Dobrze, już dobrze, nie krzycz na mnie.

– Kochanie, nie krzyczę, po prostu zaczynasz mnie irytować. I włóż najsolidniejsze buty, jakie masz. To samo dotyczy dzieci.

– Wolałabym sznurowane sandaalki.

– Jeśli trzeba będzie uciekać, nie zajdziesz w nich daleko, więc proszę włożyć buty z wysokimi cholewkami.

– Przecież się w nich ugotuję.

– To w tej chwili najmniejszy problem.

Na szczęście wkrótce do mieszkania wraca Zosia i teraz obie posłusznie wykonują moje polecenia. Wlecemy ze sobą dwa materace, zakładając, że jakoś się na nich pomieścimy. Wcześniej w piwnicy wylądowały te najgrubsze z naszej małżeńskiej sypialni. Ułożyłyśmy je w ciemnym kącie i przykryłyśmy pierzynami. Na wszelki wypadek zakopałyśmy pod nimi kilka słoików z kaszą, mąką i suszonym domowym makaronem.

Jestem zachwycona tym, jak ludzie współpracują. Niespodziewanie staliśmy się jedną wielką rodziną, która troszczy się o siebie i razem stara się

przetrwać. Jeszcze nie słyszałam, żeby komuś coś zginęło. Nieszczęście, strach, niepewność, bliskość Niemców sprawiły, że wszyscy jedziemy na tym samym wózku. Jedyne, na czym nam zależy i co posiadamy, to życie. Przestały się liczyć dobra materialne: rodzinne bibeloty, modne dodatki, antyczne meble i filizanki.

Jedynym zbytkiem, na jaki pozwoliłam sobie, wychodząc z mieszkania i zamykając je skrupulatnie na klucz, była stara książka ze stronicami poszarpanymi od wielokrotnego czytania. Moja ulubiona *Ania z Zielonego Wzgórza*, którą dostałam od ciotki Heli w prezencie urodzinowym w 1920 roku. Zdumiał mnie ten podarek, bo przecież nie byłam już dziewczynką, która mogłaby się utożsamić z bohaterką. Uprzejmie podziękowałam i odłożyłam tom na najwyższą półkę biblioteczki. Szybko o nim zapomniałam. Natknęłam się na tę książkę przez przypadek dopiero podczas przeprowadzki i od niechcienia przerzuciłam kilka kartek. Jakież było moje zdziwienie, gdy historia pochłonęła mnie całkowicie i przeczytałam ją, pochlipując, jednego dnia, od deski do deski. A potem wracałam do niej wielokrotnie, wzruszając się w tych samych miejscach i śmiejąc w tych samych momentach.

I teraz pocieszam się tym, że skoro mała, bezbronna sierotka uporała się z problemami i traumami, zdawałoby się, nie do przeskoczenia, to mnie, dorosłej kobiecie, też się to uda. Choć Ania nie była ani w Warszawie, ani tym bardziej na tak brutalnej wojnie.

W mieszkaniu sąsiadów na parterze jest ciasno i gwarnie. Mam wrażenie, że wszyscy z wyższych pięter wdarli się do najniżej położonego lokalu. Pobladli, zmęczeni, ale nad wyraz serdeczni właściciele, już starsi ludzie, co prawda, zapraszają wszystkich z otwartymi ramionami, ale widzę, że są wyczerpani tą sytuacją.

Jest między nami, nowymi lokatorami, niepisana umowa, że niewielka sypialnia stanowi ich azyl i nikt z nas nie wpada nawet na pomysł, żeby tam się rozkładać ze swoim barłogiem. Niech mają choć odrobinę intymności i spokoju.

My, kobiety, bardzo szybko się zorganizowałyśmy. Jedne zajmują się małymi dziećmi, których siłą rzeczy jest coraz więcej, inne z kolei razem gotują. Część zaangażowała się w wyrastających jak grzyby po deszczu szpitalikach w prywatnych mieszkaniach. Mam szczęście, że udało mi się zahaczyć w kuchni, bo nie wyobrażam sobie opiekowania się stadkiem dzieciaków. Są takie pełne energii, wiecznie biegają, krzyczą, kombinują,

nie sposób za nimi nadążyć. Stale trzeba uważać, czy nie psocą, czy nie zrobią sobie krzywdy, czy czegoś nie zepsują, czy się nie zgubią, czy są bezpieczne. Dobrze, że w naszej kamienicy mieszkają dwie nauczycielki, które, choć z umiarkowanym entuzjazmem, przejmują ferajnę i wymyślają różne zabawy i zajęcia.

Aż żał się robi, gdy dzieciaki wychodzą na podwórko, na którym przed wojną tak radośnie się bawiły na trzepaku i huśtawce. Teraz, niczym pieski na spacer, wyprowadzane są tylko na chwilę, by obejrzały niebo, odechnęły świeżym powietrzem i szybciotko schowały się w pozornie bezpiecznych murach.

Z tym świeżym powietrzem też jest wielki kłopot.

W całym mieście śmierdzi spalenizną. Ten nieznośny smród budzi strach i atawistyczny odruch ucieczki. A uciec nie ma gdzie! Nie potrafię przywyknąć, że jestem osaczona. Nie umiem przyzwyczać się do tego obrzydliwego odoru. Marzę o hańście świeżego, letniego, przepelnionego poranną rosą i aromatem kwiatów powietrza.

Przeraża mnie liczba rannych, zabitych. Niemoc. Całkowita bezradność. Powoli zaczyna brakować wszystkiego: bandaży, leków i jodyny. Lekarzy. Ludzie umierają na naszych oczach, w ostatnich sekundach życia przywołując bliskich. Powstańcy, zazwyczaj młodzi ludzie, chłopcy i dziewczęta, którzy musieli szybko dojrzeć i stać się mężczyznami, kobietami, zawsze wołają matki. Mamusie. Maminki.

Byłam świadkiem takiej śmierci i do tej pory nie potrafię zapomnieć zielonych jak trawa oczu trzynastoletniego chłopca z tak rozerwaną klatką piersiową, że nie dało się jej zszyć ani zatamować krwawienia. Jedyne, co mogłam zrobić, to trzymać go za rękę i głaskać po rozpalonym czole. Czułam się tak, jakbym żegnała własne dziecko. Jakbym własnego syna wyprawiała na tamten świat. A on tylko szeptał: Mama. Chcę do mamy.

– Mamo, a gdzie to dać?

Zosia dla odmiany postanowiła zabrać niewielkie lustro na mosiężnych nóżkach, które dotychczas stało na jej toalecie. Zupełnie nie pojmuję, po co jej taki drobiazg. Od dawna żadna z nas nie myśli o malowaniu się i układaniu włosów. Ale córka się uparła i powiedziała, że to jej najcenniejsza pamiątka, bo lustro należało do babci i ona sobie nie wyobraża, żeby miało gdzieś przepaść. Wzruszyłam ramionami, co mi do tego? Obawiam się tylko, że będzie bardzo trudno ocalić ten kawałek szkła.

Maria

Jadwiga jest roztrzęsiona i zupełnie nie radzi sobie z emocjami. Usiłuję ją uspokoić, ale sama nie mogę pogodzić się z tym, co wydarzyło się kilka dni temu, 5 sierpnia, a co historia nazwie „czarną niedzielą”.

To jeden z najbardziej dramatycznych momentów naszego życia, który mógł zaważyć na życiu rodziny Roguskich. Tak niewiele brakowało, a Janek również by zginął, w szpitalu na Woli, w okrutnej rzezi zgotowanej przez oddziały SS i niemiecką policję, która bez mrugnięcia okiem wymordowała personel i pacjentów Szpitala Wolskiego i Szpitala Świętego Łazarza. I jakby było im mało, kolejnego dnia dorwali się do Szpitala Dziecięcego Karola i Marii ²⁵. Ten na szczęście cudem ocalał.

– Kochanie, dobrze, że tak się nie stało.

– Boże, jak pomyślę, że tak niewiele brakowało... Gdyby tamtego dnia nasz Grześ nie poczuł się gorzej, Janek byłby w szpitalu. Umówił się wtedy z przyjaciółmi, z Januszem...

– Cii. – Głaszczę ją po dłoni. – Wiem, kochana, mówiłaś to już kilka razy.

– Przecież pracuje tam od wiosny 1938 roku! ²⁶ Było tak niewiarygodnie blisko... Na szczęście ocalał. Ale pomyśleć, że akurat tego dnia był umówiony z Józkiem Piaseckim i Zeylandem – powtarza raz za razem. – Stale ich ostrzegałam, że mieszanie się w konspirację nie jest najlepszym pomysłem.

– Jeśli nie oni, to kto? Myślę, że wszyscy siedzimy w tym po uszy, a oni jako lekarze mogą więcej...

– Ja to wszystko rozumiem, ale dlaczego oni?

– Sama wspominałaś z dumą, że ukrywacie Żydów, broń...

– Cii! – syczy Jadzia i rozgląda się wystraszona. – W dzisiejszych czasach ściany mają uszy, nie mów...

– Przepraszam, nie pomyślałam.

Siedzimy na podwórku na zbitej z krzywych, nieheblowanych desek ławeczce, objęte, przytulone do siebie, i rozmawiamy półszepsem. Ale faktycznie nad nami jest okno, a ludzie uwijają się jak w ukropie, niespokojni, niepewni, przejęci.

Personel Szpitala Wolskiego od dłuższego czasu zaangażowany był w działania, które miały pomóc pogonić okupantów. W jego murach odbywało się tajne nauczanie, a Janek również miał wykłady. Staże odbywali studenci. Tu miało odprawy kierownictwo Służby Zwycięstwu Polski ²⁷, Okręgu Warszawskiego ZWZ (AK) ²⁸ i Delegatury Rządu na Kraj. Ale też ku mojemu ogromnemu zdziwieniu w przepastnych piwnicach, salach chorych, na strychu ukrywano Żydów, broń i bibułę, o okolicznej ludności nie wspominając. Wydawało się, że to bezpieczna twierdza, którą sami rozważaliśmy jako miejsce ewentualnego schronienia.

Rzecz jasna z Jadźką nie miałyśmy pojęcia, że podczas powstania planowano właśnie tu zorganizować centralny punkt opatrunkowy i sanitarny dla Woli. Ale życie zazwyczaj weryfikuje nasze plany, tak też się stało i tym razem, gdy okazało się, że nieszczęsny szpital znajduje się na granicy walk Niemców z powstańcami, a jego niespełna pięćset łóżek szybko zapełniło się rannymi, których już w pierwszych dniach układano na korytarzach i gdzie tylko się dało.

- Przeklęty SS-Gruppenführer Heinz Reinefarth!
- Gdyby nie on, znalazłby się ktoś inny.
- Jak możesz go bronić! – Zniesmaczona Jadźka odsuwa się ze zdenerwowaniem i puszcza moją rękę.
- Broń Boże! Nikogo nie bronię! Tylko przeraża mnie to, że jest ich tyle, że każdego zabitego bydlaka są w stanie zaraz zastąpić innym.
- A to akurat prawda! – Wzdycha głośno. – Słyszałam plotki, że akowcy ich ostrzegali. Nie mogę sobie darować, że Leon i Janusz ²⁹, który akurat musiał wykazać się znajomością niemieckiego, mając nadzieję na jakieś pertraktacje...
- Przestań się zadreczać.
- Nie mogę. Bo jak pomyślę, że Janek też miał tam być, to wszystko we mnie zamiera. Mówi się, że nawet Niemcy ich ostrzegali, że niby Wehrmacht to bułka z masłem, ale jak wejdzie SS, to dopiero się zacznie.
- A dla mnie Szwab to Szwab.
- Dobrze, że Piasecki ³⁰ ostrzegł chociaż tych biedaków z piwnic. Wyobrażasz sobie, że uciekasz z domu, chowasz się, w zdawałoby się, bez-

piecznej szpitalnej piwnicy, a ta okazuje się pułapką! – Jadzia ociera oczy wierzchem dłoni.

Nigdy nie widziałam przyjaciółki tak poruszonej. Ale rozumiem jej ból najlepiej na świecie. Wiem, co to znaczy stracić ukochaną osobę.

– Janinka mówiła, że wyrzucano na ulicę nawet tych, którzy dopiero co przeszli operację, jakąś kobietę, która właśnie urodziła. Wiesz – zwraca się w moją stronę – pojąć nie mogę, dlaczego ich wtedy nie rozstrzelali. Były przygotowane doły, ludzie ustawieni w kolumnę, po drugiej stronie Niemcy z odbezpieczonymi karabinami...

– Przecież mówiłaś, że przyszedł jakiś rozkaz.

– No tak, tylko po co tych biedaków potem zagoniono do hal przy Moczydło? ³¹ Po co ich wlekli taki kawał, żeby tam spalić? No po co?!

Patrzy na mnie wyczekująco, zupełnie jakbym miała znać odpowiedź, której, co oczywiste, nie znam. Coraz częściej mam wrażenie, że sami Niemcy się miotają od ściany do ściany, niepewni, co właściwie robić.

– Kochana, nie wiem, ale najważniejsze, że 5 sierpnia ten idiota SS-Obergruppenführer Erich von dem Bach-Zelewski uchylił rozkaz drugiego durnia, Hitlera. Inaczej wymordowaliby całą ludność Warszawy.

– Bez względu na płeć, wiek, wykształcenie, religię. Ale co z tego – Jadźka znowu się irytuje – skoro pogнали ich ³² pieszo przez Jelonki do Fortu Bema. Nie wiedzieć, co ich tam czeka!

– Najważniejsze, że Janinka ³³ ubłagała Szwabów, by wypuścili pacjentów.

– Ale co z resztą?!

– Kochana, skup się na tym, co dobre. Masz męża, synka, który z pewnością niebawem wyzdrowieje, zdrową córeczkę. Wszystko się jakoś ułoży, zobaczysz!

Pocieszamy się, jak umiemy, ale obie mamy świadomość, że śmierć rozpostarła nad nami swoje czarne skrzydła. Krąży niecierpliwa, złąkniona, tylko czeka na okazję, żeby nas dopaść. Tak trudno myśleć pozytywnie. Ciężko w tej beznadziejnej sytuacji znaleźć choć drobną otuchę.

Zofia

Mamidło oczywiście strasznie marudziło i robiło wszystko, żeby mnie powstrzymać. Ale ja nie potrafię tak siedzieć, mając świadomość, że rówieśnicy ofiarnie walczą. Jednak pomaganie w szpitalu to koszmarne przeżycie.

Co dzień pojawiają się nowi ranni. Ludzie bez rąk, nóg, poparzeni, okropnie okaleczeni, tak że chciałyby się od ich poszarpanych ciał odwrócić wzrok. Zdarza się, że udzielamy pomocy jakiemuś Niemcowi, co niektórych oburza. Ale przecież to też ludzie, którzy mają gdzieś daleko swoje rodziny, bliskich, i nie sposób w takich chwilach ich po prostu zostawić. Przynajmniej ja nie potrafię.

Z dnia na dzień rannych jest więcej i co gorsza, trafiają nam się coraz trudniejsze przypadki. To bardzo przykre, gdy na naszych rękach umierają kolejni powstańcy, ale również pechowcy, którzy zaplątali się gdzieś w obszar walk. Wczoraj opatrywałam starszą babinę, która bezzębnymi dźwiągami odmawiała zdrowaśki, przesuując kościste palce po czarnych drewnianych koralikach różańca. Nim doszła do ostatniej tajemnicy, przyszła po nią niezapowiedziana śmierć. Byłam zdumiona, bo kobieta nie była ciężko ranna i nic nie wskazywało na to, że wyzionie ducha. Już dawno skończyły się trumny, więc nie pozostało nam nic innego, jak zawinąć ją, podobnie jak innych, w stare prześcieradło, zasypać wapnem i zakopać na podwórku między innymi grobami. Nie wiedzieliśmy, jak się nazywała ani jak miała na imię, gdzie mieszkała i skąd pochodziła. Na koślawym, nieporadnie zbitym krzyżu zawisł jej czarny różaniec, a ona sama dołączyła do tysięcy bezimiennych ofiar tej bitwy.

Zatrważające są spisy ofiar z kolejnych adresów, gdy trzeba odnotować wszystkich lokatorów danego mieszkania. Giną całe rodziny, razem z pupilami: psami, kanarkami, kotami, papugami. Po większości z nich ginie też pamięć. Nie będzie komu wspominać dziadków, rodziców i dzieci. Bo zginęli wszyscy.

Szczerze mówiąc, jestem już tym wszystkim wyczerpana. Pamiętam przemówienia sprzed kilku dni dotyczące dwóch smutnych rocznic: pięcioletnia wybuchu wojny i miesięcznicy powstania. Mam wrażenie, że przemawiali wszyscy możliwi oficjele, od prezydenta i premiera poczynając, na komendancie Armii Krajowej „Borze” kończąc. Wzniosłe słowa, wielkie obietnice, wlewanie w serca nadziei.

Premier Stanisław Mikołajczyk grzmiał z Radia Londyn: „Pięć lat minęło od chwili, gdy Polska stawiała czoło zbrojnej napaści niemieckiej. Linia walki przesuwa się obecnie po ziemiach Polski. W ciągu tych pięciu lat, po raz trzeci siejąc pożogę i zniszczenie, a po raz wtóry Warszawa, serce i stolica Polski, stanęła w ogniu walki, podjąwszy bój nierówny z wrogiem i stając się ponownie symbolem tych podstaw, na których oparła Polska swój udział w wojnie – umiłowania wolności, niezłomnej wierności zasadom i gotowości ofiary. [...]

Niech nikt nie próbuje pomniejszać czynu Warszawy podyktowanego pełnym samozaparcia się umiłowaniem wolności i Ojczyzny. Przed rozpaczliwą bohaterską walką Warszawy należy schylić czoło, a nie występować z krzywdzącą krytyką, gdy przede wszystkim jej jest potrzebna pomoc. O pomoc tę staramy się tu wszyscy. A przede wszystkim Rząd z Premierem na czele i Naczelny Wódz ze swym sztabem. Wyteżamy wszystkie siły, aby zwalczyć napotymane trudności.

Warszawo, dumna i niezłomna stolico Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, krwawy symbolu ukochania wolności i ciągłości polskiej ofiary, dla tego ukochania składam ci w dniu piątej rocznicy hołd, a twym poległym cześć. Ofiarna walka twoja nie może pójść na marne, jeśli na marne nie mają pójść głoszone przez Narody Zjednoczone hasła i cele tej wojny i uświęcona przez prawo Boskie wyższość praw moralnych ludzkości nad prawem brutalnej siły”.

Te słowa powinny nas ucieszyć. Tymczasem chyba wszyscy mamy dosyć górnolotnych przemówień i obietnic bez pokrycia. My, zwyczajni ludzie, chcielibyśmy, żeby to wszystko już się skończyło. Niech się przewali albo na prawo, albo na lewo, ale niech się wreszcie skończy. Po miesiącu walk mamy coraz mniejszą nadzieję na zwycięstwo. A w rzeczywistości wierzą w nie tylko nieliczni. Sowietci nie zamierzają przyjść nam z pomocą i aliantów jakoś też nie widać na ulicach. Są ponoć jakieś zrzuty, nawet sowieckie, ktoś wspominał o skoczkach, ale to wszystko na nic. Niemcy robią z nami, co chcą. Mordują, zabijają, prześladują. Metodycznie

unicestwiają kolejne domy, ulice, dzielnice. Warszawa staje się coraz bardziej wyludniona, poorana coraz głębszymi bliznami. Za to przy ulicach, na skwerach, podwórkach wyrastają nowe zagony krzyży.

Staram się dodawać mamie otuchy i pocieszać Anielę, ale szczerze mówiąc, jest we mnie coraz mniej optymizmu. Tak bardzo bym chciała stąd uciec, tak żałuję, że nie zostaliśmy na wsi. Wtedy tatko na pewno by żył. Kochałam go tak mocno, że na myśl o tym człowieku, który zawsze potrafił mnie pocieszyć, który uczył, a nie pouczał, dla którego byłam ważna, aż ściska mi się żołądek.

– Ej! A co ty taka zamyślona? – Magda w białym, upstrzonym burymi plamami fartuchu z błyszczącymi kroplami świeżej krwi, która jeszcze nie zdążyła wsiąknąć w tkaninę, przygląda mi się uważnie. – Gdybym cię tak dobrze nie znała, to pomyślałabym, że się zakochałaś.

– Oszalałaś? Niby w kim? – I jak na komendę robi mi się gorąco i już wiem, że na policzkach i szyi wykwitają zdradzieckie czerwone plamy. A pod powiekami pojawia się uśmiechnięta twarz Tadeusza.

– A jednak! Zgadłam. – Przyjaciółka radośnie klaszcze w dłonie, zupełnie jakby wygrała los na loterii. – Opowiesz? Znam go?

– Nie, daj spokój, coś ci się uroiło.

– Nie bądź taka. Ja ci się zwierzyłam, teraz twoja kolej.

– Dobrze. – Poddaję się, bo w sumie od dawna mam ochotę przed kimś się otworzyć i wygadać. – Jest ktoś, kto wpadł mi w oko, ale tak naprawdę...

– On nie wie o twoim istnieniu?

– Nie, nie o to chodzi. Nawet powiedział mi...

– Robi się coraz ciekawiej.

– No, że mnie lubi.

– Brzmi poważnie.

– I szczerze mówiąc, chciałabym, żeby tak było. Szkoda tylko, że od dłuższego czasu nie mam z nim kontaktu.

– Niestety, takie podłe terminy na nas przyszły. Nic na to nie poradzimy. Ale pamiętaj, że trzeba być dobrej myśli.

– Oj tak, oczywiście! – Śmieję się. – Bo co sobie wymyślisz, to ci się ziści, jak mawiała babcia Teodora.

– Mądra kobieta.

– Myślę o nim każdego dnia i modłę się, żeby nic mu się nie stało. Gdy patrzę na tych chłopaków, którzy leżą u nas w szpitaliku, to serce mi się

kraje. Całe szczęście, że przeniosłyśmy się do piwnic.

– A byłaś w punkcie sanitarnym pod trzydzieści jeden? [34](#)

– Tak, trzy razy, ale zdecydowanie wolę pracować tutaj na dole. Dużo też pomagałam doktorowi Roguskiemu. Miałam ogromnie dużo szczęścia, gdy 8 września szpitalik został zbombardowany. Na szczęście wcześniej ewakuowano go pod 4a. Zdążyłam zejść do piwnicy, gdy gruchnęło tak, że zachwiały się mury, a ze ścian sypnął się tynk. Myślałam, że ogłuchnę, tak mi w uszach dzwoniło! Nim doszłam do nas, byłam cała w kurzu, w gardle mnie drapało i marzyłam, żeby napić się wody. Okropne uczucie, tym bardziej gdy człowiek sobie uświadomi, że mógł zostać w gruzach na zawsze.

– Dobrze, dobrze, już mnie tak nie zagaduj. Lepiej powiedz, czy go znam.

– Wydaje mi się, że nie. Tadeusz, co prawda, mieszka tutaj...

– Tadeusz? Ten Tadeusz?

– Jak to?

– Przecież kiedyś mnie z nim poznałaś. Nie pamiętasz? Byliśmy u was w mieszkaniu na popołudniowej herbatce.

– Tak? Zupełnie tego nie pamiętam.

– Proszę. – Uśmiecha się łobuzersko. – Udało ci się go usidlić! Widziałam, jak z siostrą robicie do niego maślane oczy, i zastanawiałam się, która skradnie mu serce.

– Posłuchaj, kochana, tak ci się wygadałam, ale to, że coś do siebie czujemy, to wielka tajemnica. Nie mówiłam o tym jeszcze nikomu, tym bardziej Anieli. Nie chciałam, żeby poczuła się zawiedziona. Przecież nie wiadomo, czy nam się ułoży i czy cokolwiek z tej miłości będzie.

– A co ma nie być! Nie przesadzaj, wszystko się ułoży. Nie wiesz, że miłość potrafi góry przenosić?

– W czasie wojny też?

– Zawsze.

Przez dłuższą chwilę plotkujemy, opowiadając sobie o naszych pierwszych zauroczeniach. Jestem przekonana, że mojego Tadka i jej Maćka muszą nieźle piec uszy. Ale to takie przyjemne przypominać sobie pierwsze nieśmiałe spojrzenia, pierwszy dotyk dłoni, pierwszy pocałunek.

Okazuje się, że Madzia ma o wiele większe doświadczenie, bo wyszła z założenia, że skoro nie jest pewna, czy dożyje jutra, to nie ma nic do stracenia i poszła z Maćkiem do łóżka. Zawstydzona, ale i podekscytowana opowiadała o tym przeżyciu, unikając szczegółów, ale przekonując, że to

coś najcudowniejszego, co ją spotkało. A ja naiwna i kompletnie zielona oczywiście chciałabym wiedzieć wszystko. Mam nadzieję, że niebawem również będę mogła obudzić się w ramionach ukochanego, i obiecuję sobie, że muszę przekonać się na własnej skórze, jak to jest.

Miło na chwilę oderwać się od przyziemnych spraw. Zapomnieć o wojnie, o bombardowaniach, o rannych, o tym, że za chwilę skończą nam się ostatnie zapasy. Mama jest niezmordowana i nie da sobie wytłumaczyć, że nie powinna chodzić do mieszkania i wygrzebywać resztek z kuchennych szaf.

Kilka dni temu triumfalnie wkroczyła do lokum na parterze z paczką zeschniętych na wiór rodzynek. Ależ była radość! Wszyscy chętnie się częstowali i przez długie minuty ciamkali delicje w ustach. Cudowna słodycz rozlewała się na języku, przywołując wspomnienia wspaniałych tortów, keksów i ciast drożdżowych. Jak niewiele potrzeba w dzisiejszym świecie, by mieć małą przyjemność. Jak drobne rzeczy, na które dotychczas nie zwracaliśmy uwagi, dają nam promyk szczęścia.

W powietrzu czuć nadchodzącą zmianę, a mamidło jeszcze bardziej, jeśli to w ogóle możliwe, zamartwia się i wróży, że zapowiada się jakieś przełamanie. Obawiam się tylko, że nie takie, na które czekamy.

Któregoś dnia pojawiło się ogłoszenie Delegata Rządu, że w porozumieniu z Niemcami z miasta mogą wyjść kobiety i dzieci, starcy i chorzy. Ewakuacja odbyła się tego samego dnia między dwunastą a drugą. Oczywiście było wiadomo, że wszyscy trafią do obozu przejściowego w Pruszkowie, a tam po selekcji Szwaby zdecydują, co z kim zrobić. Dla nas to jasne, że część trafi do obozów, a pozostali zostaną wywiezieni w głąb Rzeszy na roboty albo jeszcze dalej.

Trzeba być szaleńcem, żeby zgodzić się na takie warunki. Mamy dobrowolnie oddać się w niemieckie ręce? Ale czy mamy wybór? Albo umrzeć tu, na gruzowisku, albo spróbować przeżyć gdzieś tam, nie wiedzieć gdzie. Mama przekonuje, że zawsze możemy wrócić do Warszawy. Chciałabym jej wierzyć, ale sama już nie wiem...

Ponoć kilka osób z naszej ulicy zdecydowało się i skorzystało z nadarzącej się możliwości. Długo rozmawialiśmy z mamą na ten temat i uznałyśmy, że jeszcze poczekamy. Same nie wiemy na co. Na cud? Przecież cuda się nie zdarzają.

Wczoraj też doszło do dziwnej sytuacji. Niespodziewanie gdzieś z góry naszego rozpadającego się budynku zszedł Żyd. Wszyscy byliśmy tym

poruszeni, nie mając pewności, w którym mieszkaniu się ukrywał. Jego czarne, zmrużone przed słońcem oczy z firankami długich, gęstych rzęs uważnie przypatrywały się każdemu. Zamienił kilka słów z Szymańskim, który przyjaźnie poklepał go po plecach, po czym jak gdyby nigdy nic zszedł do piwnicy i zniknął. Więcej go nie zobaczyliśmy. Mama przekonuje, że nie powinniśmy się niczemu dziwić i że osobiście cieszy się, że tyle czasu wytrwał w kryjówce. Nawet zaczęłam podejrzewać, że miała w tym jakiś udział.

Gdybym wtedy wiedziała... Po latach okazało się, że jej serdeczna przyjaciółka Jadzia była Żydówką, która z dwójką dzieci, Grzesiem i małą Jadzią, ukrywała się w murach swojego mieszkania, ograniczając wyjścia na miasto do minimum. Obie ukrywały tego biedaka, skrycie go dokarmiając. Gdybym mogła zapytać mamę, jak jej się to udało, jakim cudem zmyliła nawet mnie.

Ale cóż tu się dziwić, skoro w kamienicy numer dwadzieścia cztery mieszkała się Żegota ³⁵.

Każdego dnia odprawiamy mszę i żarliwie się modlimy. Ale choć boję się powiedzieć to na głos, znowu wątpię, czy Bóg istnieje. Bo to chyba niemożliwe, żeby nie wysłuchał błagań setek tysięcy bezbronnych, niczemu niewinnych ludzi.

Zastanawiam się czasami, czy z mamą wszystko w porządku, czy przypadkiem nie oszalała. Któregoś dnia poszłam za nią na górę i stanęłam jak wryta, gdy zobaczyłam, jak krząta się po mieszkaniu z miotłą w dłoni, usiłując uporządkować salon. Zdaje mi się, że nawet nie przeszkadzało jej to, że nie ma już jednej ściany, wraz z którą zniknął portret dziadków i bruchaty kredens z cenną miśnieńską porcelaną.

- Mamuś, zostaw, to nie ma sensu.
- Wiesz, jak nie lubię bałaganu.
- Wiem, ale to naprawdę nic nie da.
- Zobacz, jak wygląda dywan. I pomyśleć, że tyle za niego zapłaciłam. – Stała wsparta na miotle, bliska płaczu.
- Teraz to bez znaczenia. Przecież nie ma ściany.
- Wiesz, że też do tej pory nie pomyślałam, że trzeba uratować zegar.
- Dobrze. Jak chcesz, zniemiemy go na dół.
- To prawdziwy Boule.
- Wiem, mamuś, wiem.

Zataszczyłam ulubiony zegar mamy przez zawaaloną gruzem i tynkiem klatkę schodową, na której zacinał przez wybite szyby deszcz, do naszego grajdoła w piwnicy. Ale nie udało się go ocalić. Kilka dni później po kolejnym wściekłym bombardowaniu zawalił się na niego strop i rozbił go w drobne drzazgi. Została po nim tylko jedna wygięta wskazówka.

Maria

Mijają kolejne, wlokące się, monotonne, pełne przerażenia i grozy dni i jeszcze dłuższe noce. Jest okropnie. Nie da się opowiedzieć strachu. Nie da się wyrazić tego, jak bardzo się boimy, jak czuwamy nawet we śnie, jak wiecznie nasłuchujemy.

Zaczęliśmy nawet rozróżniać, czy strzelają nasi, czy Niemcy. Biorąc pod uwagę, jak niewielkie mamy zasoby sprzętu wojskowego, jak niedo-zbrojeni ruszyli w bój powstańcy, trudno się spodziewać polskiego odwetu. Poza tym nasi nie strzelaliby do cywilów, nie niszczyli naszych domów. Przynajmniej tak mi się wydaje.

Z napięciem wsłuchujemy się w kolejne łup, bum, huk, mając zapewne płonną nadzieję, że może alianci albo Sowieci przychodzą nam na ratunek. Wczoraj Szymański, jak zwykle stojąc na cegle na podwórzu, głośno odczytał artykuł z gazety. O tym, jak zdradzili nas ci, na których liczyliśmy. Jak bardzo jesteśmy sami. Odebrało nam to resztki otuchy.

GENERAL SOSNKOWSKI OSKARŻA ALIANTÓW

„Warszawa tragiczną zagadką”. Rozgoryczenie wśród emigrantów w Londynie.

W kołach emigracji polskiej panuje głębokie niezadowolenie i rozgoryczenie. Musieli bowiem przyjąć do wiadomości, że alianci ostatecznie pozostawili swemu losowi powstańców warszawskich.

Naczelną wódz generał Sosnkowski w rozkazie dziennym stwierdza, że ludność Warszawy pozostała samotna i opuszczona mimo wszelkich nawiązań o pomoc. Los powstania w Warszawie stanowi dla nas straszną i tragiczną zagadkę. My, Polacy, nie jesteśmy w stanie jej odgadnąć, szczególnie gdy zastanawiamy się nad tym, jakimi siłami zbrojnymi i środkami pomocniczymi rozporządzali alianci.

Generał Sosnkowski wyjaśnia, że wszystkie narody sprzymierzone straciły razem nad Warszawą w ostatnim miesiącu tylko 27 samolotów, jest to znikoma liczba dla potęgi powietrznej dysponującej dziesiątkami tysięcy samolotów wszelkiego typu.

Chociaż rozkaz dzienny utrzymany jest w tonie powściągliwym, jednak zawiera ciężkie oskarżenie skierowane nie tylko przeciwko Sowieta. Przedmiotem krytyki są również i inne państwa, przeważnie Anglia i Ameryka, które według poglądu polskiego straciły odwagę wobec nieprzychylnego stanowiska Moskwy.

Polacy są zdania, że Brytyjczycy, gdyby tylko chcieli, mogliby bez trudności wysłać drogą powietrzną żywność i amunicję z Włoch do Warszawy i że te maszyny transportowe mogłyby bez uprzedniego zapytania lądować poza liniami bolszewickich armii. Polskie pisma imigracyjne w Londynie zaznaczają, że Sowiety nigdy by się nie odważyły odmówić lądowania pilotom brytyjskim albo amerykańskim nadlatującym z kierunku Warszawy po wyczerpaniu zapasu materiałów pędnych.

Ale Churchill – zdaje się – pragnął uniknąć tego rodzaju „braku taktu”. Zdaniem aliantów powstańcy warszawscy nie byli chyba warci narażenia się na niezadowolenie, które zostałyby ewentualnie wywołane w Moskwie takim postępowaniem.

Dociekania prasy londyńskiej

Sztokholm, 7 września – angielskie pismo „Tablet” ponownie zajmuje się sprawą nieudzielenia pomocy powstańcom przez Sowiety. Pismo wskazuje na różne głosy z Warszawy wołające o pomoc oraz na prośby lotników brytyjskich dostarczania amunicji do Warszawy mimo olbrzymiej odległości lotu i niemieckiej obrony powietrznej. Zdaniem „Tabletu” odpowiedź na pytanie, dlaczego Sowiety nie udzieliły żadnej pomocy, przyczyniłaby się do wyjaśnienia stosunków polsko-sowieckich, pismo jednak uważa za bezcelowe dalej zajmować się tym pytaniem, ponieważ brak dostatecznych dowodów dla wydania sądu. Pewnym jest jedynie to, że powstanie warszawskie rozpoczęło się w chwili, gdy armia sowiecka stała pod

miastem, ale że następnie wojska sowieckie „z powodów całkiem niezrozumiałych” zostały wstrzymane i nie nawiązały żadnej łączności z powstańcami.

Sowiety, stojąc tuż pod miastem, zaczęły mówić o gwałtownych kontratakach niemieckich, skutkiem których nastąpił odwrót bolszewików. (W rzeczywistości kontrataków niemieckich wtedy wcale jeszcze nie było). Pismo uwypukla tylko związki między poszczególnymi wydarzeniami, nie będąc jednak w stanie rozwiązać samemu problemu nieudzielenia pomocy przez Sowiety ³⁶.

Obserwuję zmieniający się nastrój ludzi. Początkowo, gdy wydawało się, że powstanie będzie trwać może dzień, może trzy, najwyżej tydzień, wszyscy byli pełni optymizmu i euforii. Teraz coraz częściej pojawiają się głosy, że ten zryw był zupełnie niepotrzebny.

I choć dalej jesteśmy w tym nieszczęściu razem, to jednak zaczynają się dyskusje, a czasem nawet wybuchają kłótnie.

Wczoraj doszło do przykrego incydentu. Niespodziewanie włącz na naszym podwórku się uniósł i wyszedł z niego umorusany, zabiedzony chłopak z białą-czerwoną opaską na ramieniu. Był tak wyczerpany, że ledwo trzymał się na nogach. Od razu poczciwi ludzie ruszyli mu na pomoc. Obmyli, nakarmili zupą. Z tymi zupami jest niezła zabawa. Każdego dnia w południe zbieramy się z kobietami, roztrzásając, co która ma w dramatycznie topniejących zapasach i co mogłaby dorzucić do garnka.

Początkowo każda z nas gotowała dla swojej rodziny, ale okazało się, że brakuje opału i za chwilę nikt nie będzie już miał na czym podgrzać jedzenia. Dlatego ustawiamy teraz na kuchence największe garnki, jakie mamy, i wrzucamy do nich a to groch, a to jakieś suszone warzywa. Na szczęście nie brakuje soli, bo inaczej te nasze wywary byłyby zupełnie niesmaczne i nie do zjedzenia. I choć nasze spiżarnie są w zasadzie puste, to i tak codziennie wymieniamy się przepisami, opowiadając, co która by ugotowała. Osobie stojącej z boku mogłoby wydawać się to śmieszne i głupie, ale nam daje poczucie, że jest choć odrobinę normalnie. Tak bardzo nam tej normalności brakuje, tak tęsknimy za przedwojennymi dniami. A teraz chyba już nawet ośmielę się powiedzieć, że za dniami sprzed powstania.

Oczywiście było okropnie, ale przynajmniej względnie spokojnie.

Jeśli w ogóle można tak mówić, bo przecież codzienne łapanki, wieczne zagrożenie, podejrzliwość, Niemcy na ulicach, coś okropnego! Pamiętam dramat, gdy likwidowano getto, które było obok nas, kilka przecznic dalej. I to, co się działo w mieście, przerastało najbardziej wyobraźnię.

Jednak mimo wszystko wtedy nikt do nas tak często nie strzelał, mieliśmy co jeść.

Mało to się słyszy, że Szwaby wrzucają granaty do piwnic, w których ukrywają się ludzie? Albo wpuszczają trujący gaz? Zawalają się całe ostrzeliwane kamienice. W tych budynkach może być z pięćdziesiąt lokali, a w każdym mieszka kilka osób. Ludzie giną pod gruzami własnych domów, które do niedawna były oazami ciszy i spokoju. Bezpiecznymi gniazdami, do których tak chętnie się wracało. Jediną pamiątką po nich są klucze w kieszeniach.

Ale wracając do tego umorusanego dzieciaka, który pojawił się nie wiedzieć skąd: ludzie zebrali się nad dziurą i zamarli w oczekiwaniu i jeszcze większej ciekawości, jak to jest przeciskać się kanałami. Sądziliśmy, że wyjdą kolejni powstańcy, ale Adam był sam. Zmęczony, wystraszony chłopak, który nie wiedział, gdzie się znajduje, i nie potrafił określić, skąd przyszedł. Wszystko wskazuje na to, że zwyczajnie oddzielił się od grupy i zgubił. I być może to go uratowało. Któż to wie?

W każdym razie, gdy został już opatrzony i przepytany na okoliczność toczących się walk, przyszedł sąsiad z domu obok, niejaki Walasek. Przed wojną chodziło się do niego noże ostrzyć i choć każdy korzystał z jego usług, to nikt nie potrafił powiedzieć, jak ma na imię.

– Ty draniu niemyty!

– Ależ proszę pana! – Adam gwałtownie się cofnął, potykając się o własne nogi. Prawie się przewrócił, nim oparł się o odartą z tynku ścianę.

– Zobacz, coście narobili! – To mówiąc, Walasek wykonał szeroki gest, pokazując złowrogo sterczące poczerniałe żebra dachów spalonych kamienic.

– Ale to nie ja... – Adam skulił się w sobie, a broda zaczęła mu się trząść.

– Daj pan spokój, zostaw chłopaka. – Szymański bezceremonialnie odciągał nachalnego sąsiada.

Ten jednak zapał się i nakręcony jak katarynka głośno, agresywnie wyrzaskiwał swoje żale do świata:

– Po pioruna zrobiliście to całe powstanie?! Trzeba było siedzieć na dupie, a nie łązić z bronią po mieście.

– Panie, odpuść. – Szymański ciągnął go za łokieć.

– A właśnie że nie odpuszczę! Miałem mieszkanie, dach miałem nad głową, a teraz nie mam nic. Całe życie harowałem na bezpieczną starość

i co! Nic, zupełnie nic!

– Tak nie można – wtrąciła się otyła kobieta ze złotymi, nieprzyzwoicie wielkimi pierścieniami na palcach, owinięta kolorową góralską chustą, przez co wydawała się jeszcze bardziej monstrualna niż w rzeczywistości.

Przemknęła mi przez głowę myśl, jak to się stało, że w tej biedzie uchowała się taka grubiutka.

– Mam prawo się wypowiedzieć i mam zamiar z tego prawa skorzystać.
– Walasek denerwował się coraz bardziej. – Czy wy, ludziska, nie widzicie, co tu się wyprawia? Nie żal wam waszych domów?

– Panie, nie o domy tu chodzi, tylko o wolność!

– Głupie gadanie. A na co wam ta cała wolność, jak pomrzecie jako bezdomni?!

– Panie, uspokój się pan!

– A nie będę spokojny! Cała moja rodzina zginęła! I szwagier, i jego dzieciaki. A mogli żyć spokojnie!

– Trzeba było spróbować...

– Może i trzeba było, ale przede wszystkim trzeba się było do tego przygotować! A nie z gołymi rękami iść na czołgi. Rozum trzeba mieć. Rozum powiadam.

Ku mojemu zdziwieniu do Walaska przyłączyło się kilku sąsiadów i niewiele brakowało, a na podwórku wybuchłaby regularna bitwa. Okazało się bowiem, że było prawie po równo przeciwników i zwolenników powstania.

Ze smutkiem musiałam w duchu przyznać rację tym pierwszym, bo zdaje się, że decydując o powstaniu, nikt nie pomyślał o nas, zwykłych ludziach, którzy po prostu chcieli żyć. Obawiam się, że to właśnie my płacimy najwyższą cenę. Co więcej, nikt nie zapytał nas o zdanie.

Te wieczne pożary, łomot walących się pięt. Kamienice składają się jak domki z kart, a ich szczątki trawią pożary.

Początkowo trzymaliśmy straż na strychu, sprawdzając, czy nasz dach się nie zajął i czy nie palą się dachy sąsiednich kamienic. Ale wreszcie zrobiło się tak niebezpiecznie, ostrzał stał się tak gęsty, że nie sposób już było nawet wychodzić z piwnicy. Sporadycznie zdarzali się śmiałkowie, którzy przypomniawszy sobie o resztkach zapasów w kredensie, wbiegali szybko po schodach, by chwycić woreczek sucharów albo przyslaną z zagranicy puszkę sardynek będących w tym czasie wielkim rarytasem. W końcu i nasz dach został zdmuchnięty wraz z częścią ścian.

Moim największym spizarnianym odkryciem był zapas budyniu, który nie wiedzieć czemu z wielką ochotą kupowała Zula. Dzieciaki go uwielbiały i co rusz dopominały się o słodki deser polany sokiem z malin albo wiśni. Ale gdy przestałam go robić na mleku, tylko się krzywiły, dziobiąc łyżeczką w kremie. To dziwne, bo nie lubią mleka, ale teraz, gdy go brakuje, nawet ja miałabym ochotę na filiżankę.

Człowiek jest przedziwnym stworzeniem.

Gdy tylko czegoś mu nie wolno albo coś jest zakazane, natychmiast miałby chęć to zrobić. Niespecjalnie lubiałam spacerować, a teraz wybierałabym się na przechadzkę każdego dnia. Nigdy nie paliłam papierosów, teraz chętnie sięgnęłabym po cygaretkę. Nienawidziłam prania i prasowania, zrzucając te obowiązki na gosposię, a teraz chętnie zajęłabym się czymś tak prozaicznym.

Mieliśmy swoje mieszkania i swoje przyzwyczajenia. Małe, drobne rytuały dnia codziennego. Przede wszystkim miałam Henia.

– Ma ktoś wodę?

– A co, nie ma znowu?

– Ano nie ma. Mógłby kto z wiadrem skoczyć.

– Może wy byście poszły? – Niechętnie zwracam się do córek, bo boję się, gdy wychodzą z kamienicy.



Bieg po wodę (pocztówka)

Od kilku dni siedzimy już tylko w piwnicy, sporadycznie wracając do mieszkania na parterze. Z jednej strony cały czas planujemy, jak je jeszcze urządzimy, żeby wszystkim było wygodniej, ale z drugiej lękamy się pozostać choćby w przyziemiu.

Niedawne skrytki na warzywa zamieniły się w pseudopokoje.

I to jest kluczowe.

Rodziny starają się zagospodarować sobie przestrzeń tak, by chociaż odrobinę przypominała dom. Legowiska są obok siebie, toboły i pakunki wyznaczają granice, tak by inni nie kładli się na naszych posłaniach, które w rzeczywistości bardziej przypominają barłogi niż łóżka. Ludzie uważają,

by nie zająć miejsce sąsiada. Ale co mnie najbardziej zdziwiło, to że regularnie odbywają się podziemne spacery. Trochę z nudów, trochę z ciekawości. Nie sposób przebiec przez ulicę, to oczywiste, ale idąc od piwnicy do piwnicy, można przejść z jednego końca ulicy na drugi. Nasze piwnice stykają się z piwnicami innych kamienic i w ten sposób Warszawa zyskała nową podziemną tkanę.

Wszyscy są złąknieni nowinek, czytanie biuletynów już nie wystarcza. Zresztą tyle się dzieje. Pod koniec sierpnia paliły się domy na Nowogrodzkiej, Brackiej, Rakowieckiej, Asfaltowej. Ale też świętujemy małe sukcesy, gdy na przykład powstańcy zdobyli PAST-ę [37](#), której Niemcy zażarcie bronili. Ludzie z taką radością opowiadali sobie, jak to Szwaby uciekały niczym szczury z tonącego statku. To oczywiście cieszy, ale w ogólnym rozrachunku nie mamy się czego ucześcić. Znikąd nadziei.

Nie mamy prądu, wody, z kanalizacji też nie da się korzystać. W kątach poustawiane są upokarzające wiadra, w które załatwiamy swoje potrzeby. Początkowo mężczyźni wykopali dół i postawili coś na kształt latryny w rogu podwórza, ale coraz trudniej z niej korzystać, bo strzelają tak blisko. Strach wyściubić nos z piwnicy.

Niemcy panicznie boją się zarazy, dlatego wszystko, co się da, palą i oczyszczają z trupów. Kazik Słupnicki spod dziesiątki opowiadał, jak Niemcy zmusili go do pracy w komandzie, które zajmowało się oczyszczaniem kamienica po kamienicy z ciał tych, którzy nie przeżyli bombardowania. Nie wyobrażam sobie, żebym mogła w czymś takim uczestniczyć. Kazik miał szczęście, bo po dwóch dniach udało mu się uciec, ale mówi, że do teraz czuje odór spalonych ciał. Kazali im przeszukiwać gruzy, wyciągać trupy, układać je na środku podwórza, potem polewali benzyną i podpalali.

Na naszym podwórku też wyrastają prowizoryczne groby i krzyże, głównie przypadkowych ludzi, którzy się tutaj zabłąkali. Nie wiem, jak bliscy ich potem odnajdą, ale słyszałam, że niektórzy są chowani z butelką pod pachą, do której wkłada się karteczkę z imieniem i nazwiskiem. Z tego, co zauważyłam, to zakopywani są całkiem płytko. Dobrze, że chociaż w części zwłoki zasypywane są wapnem, może dzięki temu uda się uniknąć zarazy.

Myślę, że wszyscy mają nadzieję, że niebawem będzie można ich ekshumować i przenieść na prawdziwe cmentarze. Mam wrażenie, jakby cała Warszawa stawała się jednym wielkim cmentarzyskiem, i coraz częściej zastanawiam się, czy po wojnie będę chciała tu mieszkać. Budować swoje szczęście na szkieletach innych.



Pogrzeb poległych powstańców (pocztówka)

Wczoraj ku mojej wielkiej radości odwiedziła nas Róża.

Jakimś cudem dotarła na naszą ulicę, a potem przeszła piwnicami i trafiła do nas. Jest taka wymizerowana, jeszcze chudsza, niż gdy ją ostatnio widziałam. Sterczące obojczyki wyzierają spod prostej granatowej sukienki, a mały medalik z Matką Boską Częstochowską na złotym łańcuszku obija się o kości przy każdym jej ruchu. Twarz ma poszarzałą i zapadniętą, zupełnie jakby nagle mocno się postarzała. Robi mi się jej potwornie żal. Była taką śliczną, radosną dziewczyną, a teraz przypomina zaniedbaną staruszkę w zdeptanych sandałach. Gdzieś rozplynęła się szykowna kobieta, którą była przed wojną.

Nagle uświadamiam sobie, że pewnie wyglądam równie nieciekawie. Wszyscy jesteśmy niedożywieni, niedomocy, chlerawi i bladzi. Kiedyś chociaż człowiek wystawiał twarz do słońca, a teraz, w tej ponurej i coraz niższej wraz z kolejnymi bombardowaniami kamienicznej studni, trudno złapać jego promienie.

Obskoczyli ją wszyscy sąsiedzi ciekawi plotek i wieści z miasta. Oczywiście chcielibyśmy usłyszeć, że Niemcy się poddają i wycofują, ale na to nie ma co liczyć. Jest wręcz odwrotnie.

– Ludzie mówią, że alianci zrzucają broń pod miastem. Mam nadzieję, że to prawda i że nasi z niej skorzystają – wyrzucą z siebie między kolejnymi łyżkami zupy.

– Panie Jezu, spraw, żeby tak było! – Pani Jola spod piętnastki, która modli się w każdej możliwej intencji, natychmiast obiecuje, że do końca dnia będzie w tej sprawie gorliwie odmawiać różaniec.

- Wczoraj w nocy tak walili, że myśleliśmy, że to już koniec.
- Ale na szczęście nic wam się nie stało? – rzucam pełną niepokojem.
- Jakimś cudem nie, ale nadal nie wiem, co z tym moim chłopem.

Wacek pierwszego dnia poszedł walczyć i tyle go widziałam.

Róża wydaje mi się jakaś nieswoja. Przyglądam się jej uważnie i dostrzegam, że zachowuje się inaczej niż zazwyczaj. Jest cała spięta, rozkojarzona, ma trudności z doбором słów. Zupełnie jakby była w szoku i nie potrafiła zebrać myśli.

– Zobaczysz, wróci – pocieszam ją, choć sama już chyba w to nie wierzę. Co rusz słyszy się o tym czy o tamtym, który przepadł, stracił życie albo nie ma z nim kontaktu. Coraz więcej z nas przestaje żywić jakąkolwiek wiarę w to, że jeszcze będzie dobrze. Światelko w tunelu zgasło, dla niektórych bezpowrotnie. Mam tylko nadzieję, że chociaż tam, po drugiej stronie, jest im lepiej. Muszę w to wierzyć, bo inaczej bym oszalała.

W dodatku wszyscy boją się wejścia bolszewików. Mówi się o nich okropne rzeczy, podobnie jak o Ukraińcach czy własowcach, którzy potrafią nawet z uszu kobiet zrywać kolczyki i gwałcić nieszczęśnice w nieskończoność. Mam szczęście, że nikogo takiego na swojej drodze nie spotkałam i chyba gdybym miała wybierać, to wolałabym oddać się w niewolę Niemcom niż tym ze Wschodu. Zresztą zupełnie nie wiem, po co snuję takie rozważania. Przecież stąd nie ma wyjścia. I jeśli nikt się nie ulituje i nas stąd nie wywiezie, cała Warszawa stanie się jednym wielkim grobowcem.

Dlaczego naszym chłopcom nie dostarczono broni?! Dlaczego zostawiono nas samym sobie? Przecież gdyby byli porządnie uzbrojeni, powstanie trwałoby kilka dni, no, może tydzień, a nie długich osiem tygodni, podczas których tylko się wykrwawiamy. Moglibyśmy odwrócić kartę historii, dokonać przełomu, pogonić Szwabów! Z pogodą ducha znieśliśmy tych kilka dni niewygód, ale trwać tygodniami bez zaopatrzenia w żywność, bez prądu, wody, gazu zwyczajnie się nie da. Całe szczęście, że na naszej ulicy pod szóstką, dziesiątką i numerem dwadzieścia jeden nadal jest woda w studniach, ale zdarza się, że nawet w studniach woda wysycha, tak stało się na przykład pod czwórką ³⁸. Może od pożarów ziemia się nagrzała i coś się zmieniło w podziemnych ciekach? To też nas trwoży.

Pojawiło się nawet obiegowe pismo Komendy OPL Odcinka II do Działu Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwpożarowej Rejonowej Delegatury Rządu Warszawa Południe w sprawie zabezpieczenia porządku przy pobieraniu wody ze studzien na terenie Śródmieścia Południe, tak by ludzie się

nie przepychali. Myślę, że coś musi się tutaj dziać, bo Komenda Odcinka II znajduje się przy Żurawiej 21 w mieszkaniu numer trzy [39](#).

– Słuchasz mnie? – Róża niecierpliwie trąca mnie w ramię.

– Przepraszam, zamyśliłam się. Co mówiłaś?

– Twój Henio też miał wrócić, a jakoś nie wrócił – burczy pod nosem. – Więc proszę, nie pocieszaj mnie tak.

– Widzisz, nasza rodzina poniosła już ofiarę. Naprawdę się nie martw, twój mąż wróci do ciebie, jak tylko będzie mógł.

– Obyś miała rację, kochana.

– Mam i jestem pewna, że wszystko się dobrze skończy. – Tulę ją w ramionach i klepię pocieszająco po plecach, które nie wiedzieć kiedy tak się przygarbiły.

– Przestaję w to wszystko powoli wierzyć. Wczoraj straciliśmy mieszkanie. – Wzrusza ramionami. Wygląda jak pozbawiony resztek nadziei czarownik, który widzi przed sobą tylko śmierć.

– Cholera, jak to się stało? – Jestem oszołomiona. Jak może mówić o tym z takim spokojem?

– Tak samo jak zawsze. Zrzucili bombę zapalającą. Wszystko stanęło w płomieniach, zawaliło się i tyle.

– Uratowaliście coś?

– A gdzie tam, nie było czasu. Tak jak staliśmy, zbiegliśmy do piwnicy i w ostatniej chwili ocaliliśmy życie. Mam tylko trochę biżuterii zaszytej w płaszczu, ale na niewiele się to zda.

– Spokojnie, damy radę, pomożemy wam.

– Sama niewiele masz.

– Ale to, co moje, jest i twoje, rozumiesz? Będziemy się trzymać razem, dobrze? Wrócisz po chłopców, przyprowadzisz ich tutaj i jakoś sobie poradzimy.

– Miałam palmę, nie mam palmy.

Siostra zaczyna mówić od rzeczy, co rusz powtarza: miałam palmę, nie mam palmy, miałam palmę, nie mam palmy. Jednocześnie kołysze się jak dziecko cierpiące na chorobę sierocą. Najwyraźniej naprawdę jest w szoku.

Trwa to dłuższą chwilę i nie sposób jej uspokoić. Wreszcie ustalamy, że wróci do swojego mieszkania, to jest do piwnicy, spakuje chłopców i jak tylko będzie to możliwe, spróbują z powrotem przedrzeć się do nas. Mam nadzieję, że jej się uda. Zawsze lepiej być we dwie. Łatwiej będzie podjąć decyzje, zorganizować się, będziemy dodawać sobie wzajemnie otuchy.

I choć za całą tą sytuacją skrywa się ogromny dramat, to jednak cieszę się, że siostra z dziećmi do mnie dołączy. Odruchowo zaczynam rozmyślać, jak się wspólnie urządzimy. Ufam, że nasi gospodarze nie obrażą się, że sprowadzam do mieszkania kolejne osoby. Zresztą i tak większość czasu spędzamy w piwnicy.

Żegnam się z Różą i zaczynam wszystko planować. Skrupulatnie i systematycznie. Po chwili namysłu dochodzę do wniosku, że Róży z pewnością nie uda się zabrać wielu rzeczy. Nie ma mowy, by przeciskała się piwnicami z materacem i pierzyną. Podejrzewam, że przy dwojce maluchów skupi się przede wszystkim na nich, nie na sobie. Z tego, co opowiadała, nie ma też wiele zapasów, ponoć zostało im tylko kilka sucharów i mała puszka z prawdziwą kawą, której zaparzenie może się wydać głodującym niefortunne. Ale przecież można ją na coś wymienić.

Postanawiam, że z naszego mieszkania zabiorę dodatkowe dwa matrace, jakieś koce i pierzynę. Nie ma co targać poduszek, będą tylko zbędnym balastem, a z tobołkiem pod głową też można się wyspać. Jeśli w ogóle w tych warunkach da się spać. Poza tym jest coraz ciasniej i coraz częściej śpimy, kucając lub klęcząc.

Jest także głośno. Wokół pełno lamentujących, zmęczonych ludzi; jedni chrapią, inni się modlą, dzieciaki marudzą, ktoś zawodzi, oplakując bliskich. Odgłosy strzałów, syreny, bombardowania i huk walących się domów, które upadając, wprawiają w rezonans sąsiednie budynki. Zupełnie jakby kamienice się ze sobą żegnały. Jakby resztki tych jeszcze stojących mruzczały niezadowolone i zasmucone tym, że ich sąsiadki znikają z powierzchni ziemi.

Dopada mnie permanentne zmęczenie, przez które coraz gorzej funkcjonuję. Marzę o tak banalnych rzeczach, jak ciepła kąpiel w dużej wannie i długi, beztroski, pełen kolorowych obrazów sen w wygodnym łóżku pod puchową pierzynką, ze szkandełą w stopach i pachnącą lawendowym krochmalem poduszką.

Zamiast tego skrobię na marginesie świstka oderwanego ze starej gazety listę rzeczy, które muszę koniecznie spakować. Tak bardzo się boję tych wypraw na drugie piętro, że muszę zrobić wszystko tak, by załatwić sprawę za jednym wdrapaniem się na górę. W zestawieniu rzeczy niezbędnych ładują: nocnik dla dwuletniego Frania, matrace, pierzyna, dwa sztywne wełniane koce w kratę, ostatnie dwa słoiki z jabłkową konfiturą, blaszane miseczki, kubek i schowany na czarną godzinę biały płócienny worek

z łuskanym grochem, o którym na śmierć zapomniałam. A, i jeszcze porządne buty dla Róży, bo te jej sandałki ledwie trzymają się na nogach.

– Mamo, pójdziemy z tobą. – Zosia jak zwykle oferuje pomoc. – Nie zabierzesz się z tym wszystkim.

– Dam sobie radę, chłopcy mi pomogą.

– A co oni uniosą?

– Oj, nie marudź już. Wezmę plecak i wspólnymi siłami przyniesiemy wszystko, co potrzeba.

– Ja pani chętnie pomogę.

Nieznajomy młody mężczyzna z brzydką różową szramą na policzku oferuje pomoc, na którą przystaję z ochotą.

– Bardzo panu dziękuję.

– Ależ to nic takiego.

– Widzisz, pan mi pomoże, chłopcy też coś wezmą i nim wy wrócićie z wiadrem wody, będziemy się już urządzać na dole.

– Może w takim razie pan pójdzie po wodę, a my...

– Pani wybaczy, ale jestem ranny w nogę i obawiam się, że daleko nie zajdę. Po schodach to co innego. Jakoś się wdrapię.

– Skoro tak pan uważa.

Obrażona Zosia wzrusza ramionami i nieładnie wydyma usta. Nie wiem, co wstąpiło w tę dziewczynę, ale nieustannie ze mną dyskutuje, przy okazji dezawuuując moje poglądy. Może to jeszcze młodzieńczy bunt? A może też zamartwia się wszystkim?

Nim podejmę próbę odpowiedzenia sobie na nurtujące mnie pytania, wspinam się niczym słońca po skrzypiących schodach usianych szkłem z rozbitych okien. Za mną posłusznie wdrapują się zaciekawieni chłopcy, a pochód zamyka młody człowiek z workiem w dłoni.

Zofia

Kurczowo ściskam wiadro w rękę i przepycham się przez tłumek. Najwyraźniej nie tylko my cierpimy z braku wody. Ludzie z wiadrami, garnkami, dzbankami rozpychają się, torując drogę.

– Cholera, trzeba będzie poczekać.

– Powiedziałaś brzydkie słowo. – Aniela chichocze za moimi plecami.

– Tak, teraz rzeczywiście powinniśmy się przejmować etykietą. Cholera! Cholera! Cholera! – wykrzykuję radośnie, jakby wulgaryzm mógł mi przynieść ulgę.

– Co też panienka? – Starszy jegomość spogląda na nas z dezaprobatą.

– Cholera! – wołam radośnie. – Cholera jasna!

– Świat schodzi na psy. Za moich czasów to było nie do pomyślenia, żeby panienka z porządnego domu używała takich słów.

– A widzi pan tu gdzieś porządny dom?

– Słucham? – Osłupiały lustruje nas uważnie, zapewne podejrzewając, że popadłyśmy w obłąd. – Przecież to dobra, co ja mówię, jedna z najlepszych ulic w mieście!

– Której już nie ma, proszę pana – mówię dobitnie. – Niech pan też sobie powie cholera – proponuję bezczelnie. – Lżej się panu na duszy zrobi.

– Słyszał kto coś takiego! Ta dzisiejsza młodzież...

Nie dowiadujemy się, co jest nie tak z dzisiejszą młodzieżą, bo ludzie raptownie przesuwiają się do przodu.

Jak zwykle w drodze powrotnej obie chwycimy za pałąk ciężkiego wiadra i uważając, by jak najmniej z niego uronić, będziemy się tarabanić do naszej piwniczki. Kiedyś była nasza kamienica, nasze mieszkanie, mój pokój, teraz świat skurczył się do kilku metrów piwnicy. Mamy szczęście, że tak wykuto przejścia, że wpada do niej świeże powietrze, bo w niektórych panuje taki zaduch, że nie wytrzymałabym tam godziny.

Wreszcie z wiadrem napełnionym wodą szykujemy się do odwrotu. Powoli, niespiesznie, co rusz przepaszając tych, o których się potykamy,

idziemy w kierunku domu, a w zasadzie tego, co z niego zostało, choć i tak jak na taki ostrzał to ma się nieźle, jeszcze dumnie preży się przy ulicy. Marzy mi się, by z balkonu, jak to miałam w zwyczaju, przyglądać się przechodniom, postojowi dorożek, zapalającym się co wieczór ulicznym latarniom. Z kawałkiem torciku z cukierni Wiśniewskiego albo cukierkami od Wedla snułabym domysły, dokąd i skąd ludzie zmierzają. Może dołączyłaby do mnie mama z kieliszkiem armaniaku albo ajerkoniaku w rękę i rzucałybyśmy luźne uwagi, kto jest dobrze ubrany, a komu czegoś brakuje.



Mała Zosia z Marią częstująca się cukierkami od Wedla, balkon kamienicy przy Żurawiej 28, około 1935 roku

To były takie przyjemne, beztroskie chwile, gdy miało się wrażenie, że jest się ponad zwykłym światem. Sądzę, że większość przechodniów nawet nie dostrzegła tej balkonowej łoży prześmiewców.

Gdy dochodzimy do naszej kamienicy, a ja się zatrzymuję, by wytrzeć nos w poszarzałą płócienną chusteczkę, rozlega się potężny huk, aż dzwoni w uszach, a instynktownie zaciśnięte zęby ocierają się o siebie. Ściany niebezpiecznie się trzęsą, przerażeni ludzie krzyczą, żeby uciekać, bo budynek się wali. Ale nie potrafię ruszyć się z miejsca. Równie ogłuszona Aniela przywarła do moich pleców, obejmuje mnie tak mocno, że z trudem łapię oddech.

- Uciekać! Wali się!
- To koniec!

- O słodka Madonno, trafili w nas.
- Pali się! Pożar!

Ludzie niczym mrówki w rozgrzebanym patykiem mrowisku biegną przed siebie, nie zważając na kierunek, i zderzają się z innymi. Zupełnie jakby wyłączyli myślenie i tylko gwałtowne przemieszczanie się mogło ich ocalić. Jeśli tak wygląda panika, to już się nie dziwię, że łatwo wtedy stratać słabszych.

Hałas jest okropny. Chaos z sekundy na sekundę coraz większy. A my stoimy wtulone w siebie jak jeden słup soli.

- To nie w nas! Trafiło tych obok.
- Zawaliła się!
- Co się zawaliło?! – krzyczę jak opętana. – Gdzie się zawaliło?!

Panika osiąga apogeum.

Sparaliżowana strachem zaczynam się trząść i przestaję działać racjonalnie. Biję się z myślami, czy uciekać gdzieś w bezpieczne miejsce, czy gnać przed siebie na oślep, byle tylko dalej stąd. Ale przecież nigdzie nie jest bezpiecznie! Oddech przyspiesza, oczy wychodzą z orbit, krew pulsuje w skroniach, a ciśnienie rośnie tak, że za chwilę eksploduje mi głowa.

Serce kołacze coraz gwałtowniej i wyraźnie słyszę jego bicie. Łup, łup, łup.

Nie potrafię złapać powietrza, a gdy wreszcie mi się to udaje, unoszący się wokół kurz powoduje, że zaczynam kasłać i się dusić. Mam zawroty głowy, w uszach szumi coraz głośniejsze, świat wiruje niczym karuzela. Oblewam się zimnym potem, a przez zawroty głowy wszystko wydaje się nierealne i odległe. Prawie tracę kontakt z rzeczywistością.

- A ta kamienica obok!

– Jezu, mamó! Mama! – Nie zważając na przyssaną do mnie niczym pijawka siostrę, gnam przed siebie ile sił z cholernym, ciężkim wiadrem w rękę. Woda z chlupotem się wylewa, moczy nam buty i sukienki, a wyszczerbiony rant boleśnie wbija mi się w łydkę i kaleczy skórę. Przestaję czuć cokolwiek, jakaś nadludzka siła pcha mnie do przodu. Z krzykiem przedzieram się przez ludzi i nie myśląc racjonalnie, usiłuję ulicą biec do domu.

W obłoku opadającego pyłu nie widać nic.

– Chusta! – Wzorem powstańców naciągam na nos kolorową apaszkę, którą noszę od kilku tygodni na szyi. Nie jest idealnym filtrem, tym bardziej nie sprawdza się jako maska, ale choć trochę chroni płuca przed zapy-

leniem. Z trudem łapię chropowate powietrze, które nieprzyjemnie drażni gardło.

– Co robisz?

Silne męskie ramię chwyta mnie za łokieć i brutalnie przyciska do framugi.

– Puść! – protestuję wściekle, kopiąc i wyrywając się z żelaznego uścisku.

– Co robisz? Niemcy są tuż obok! Zginiesz!

– Muszę biec do mamy! Tam jest moja mama!

– Oszalałaś? Nie możesz!

– Puść! Au! Ludzie, pomocy! Ratunku!

Jestem jak wściekła kotka. Ciskam się, klnę, usiłuję gryźć i tłukę wiadrem na oślep.

– Uspokój się.

Te słowa doprowadzają mnie do szału. Jakim prawem ten obcy człowiek decyduje, co mam robić? Jakim prawem każe mi się uspokoić? Jakim prawem kurczowo trzyma mnie za ramiona? A zaciekawieni i zatroskani ludzie zbierają się wokół i biorą jego stronę.

– Chodź! Szybko.

– Zostaw to wiadro!

– Co?

– Zostaw wiadro! – krzyczy Aniela i szarpiąc za pałąk, usiłuje uwolnić mnie od niewygodnego żelastwa, które, już puste, nadal boleśnie obija się o nogi.

Tyle razy się przydawało, gdy gasiliśmy pożary w okolicy, i może dlatego tak kurczowo się go uczepiłam. Może poczucie, że coś ściskam w dłoni, daje złudne wrażenie bezpieczeństwa. To takie idiotyczne, irracjonalne, ale w tej chwili głupie wiadro wydaje się najcenniejszą z rzeczy.

Czuję się, jakbym obuchem dostała po głowie.

Zginęli wszyscy. Nie ma już nikogo. Nie ma już niczego. Nie ma mojego szczęśliwego świata. Nie ma rodziny. Braci. Mamy. Taty. Nie mam domu. Nie mam nic. Nie mam po co żyć. Nie mam o co walczyć.

Świadomość, że jestem sama na świecie, przeraża mnie i powoduje, że nie jestem w stanie wykrzesać z siebie siły, by zrobić choć krok. Wykonać jakiś ruch. Gdy wydaje się, że ostrzał ucichł, wychodzimy na podwórze. Bezradnie patrzą na tłoczących się ludzi, którzy usiłują gołymi rękoma rozrzuć gruzy naszej kamienicy w płonnej nadziei, że może w tym zwałowisku cegieł, desek, szmat ktoś przetrwał. Kogoś jeszcze można uratować. Ale nie ma czego ratować. Nie ma szans, by ktokolwiek przeżył. Ze zdumieniem przyglądam się hałdzie, zastanawiając się, jak to możliwe, że nie jest zbrukana krwią tych, których pochłoneła. Zupełnie jakby ci ludzie nie istnieli. Wiedza, że gdzieś tam pod zwałami śmieci leżą moi ukochani, jest zatrważająca.

Aniela zachowuje się jak wariatka. Na przemian płacze, krzyczy, przeklina, a potem błaga Boga o wybaczenie. Targuje się z Tym w niebiosach, obiecuje, że wstąpi do zakonu, jeśli tylko uratuje naszych bliskich. Jej wycie zarzynanego zwierzęcia niesie się wokół i paraliżuje wszystkich. Roztrzęsiona i nieobliczalna nie słucha nikogo. Nie trafiają do niej żadne argumenty. Wygaduje jakieś bzdury i w żaden sposób nie jestem w stanie jej uciszyć. Sama nie radzę sobie z sytuacją.

Mam ochotę umrzeć.

Najchętniej wyszłabym na ulicę, żeby Niemcy mnie zastrzelili. Żeby z tym wszystkim skończyć.

Tymczasem wiem, że jeśli nie zajmę się Anielą, ona nie przetrwa.

Albo zrobi coś skrajnie głupiego, albo zwyczajnie zamknie się w sobie i z otępienia przestanie jeść, walczyć; sprawi, że ciało, umysł i dusza zapadną się w sobie, ulegając nieodwracalnej destrukcji.

Boże, dlaczego to spotkało akurat nas? Dlaczego spotkało mnie? Wiem, że rodzice nie wybaczyliby mi, gdybym nie zaopiekowała się siostrą. Przeklinam los, przeklinam Niemców, przeklinam to wszystko. Przeklęta wojna, przeklęte przekonanie, że jeden jest lepszy od drugiego. Przeklęty ten, kto wymyślił proch, przeklęty ten, co zaprojektował karabiny, wyprodukował bomby. Parszywa wojna!

Jeśli istnieje piekło, z pewnością tak właśnie wygląda.

Nie pamiętam kolejnych dramatycznych dni. Zlewają się w pamięci w jeden nieskończony strach, ból, przerażenie. Bezradność. I to koszarne przeświadczenie, że oto niecierpliwa kostucha kręci się wokół nas. Coraz bliżej. Zagląda w oczy. Ujmuje podbródki, żeby przyjrzeć się naszym twarzom. Ociera się o nas niczym kot.

Zresztą i tak nie chce nam się żyć.

Zmartwiona, wymizerowana kobiecina, która ze swoim barłogiem ulokowała się nieopodal, wmusza w nas resztki zeschniętego chleba. Żujemy bez apetytu, niechętnie przerykamy. W naszym stanie nieprzeżytej żałoby, bo w tych warunkach nie sposób należycie jej przeżyć, niechętnie utrzymujemy się na powierzchni życia. Zobojętniałe. Ogłuchłe. Pozbawione nadziei.

Materace mamy i braci oddaliśmy biedakom, którzy do nas dołączyli. Nie mamy na co narzekać, większość śpi na siennikach, a nam się trafiły całkiem wygodne piernaty. W piwnicy robi się coraz ciasniej, dlatego z siostrą śpimy przytulone do siebie, co rusz zsuwając się na zimne klepisko. Od wczoraj sypiamy w pozycji półsiedzącej, nie mogąc wyprostować nóg.

Coraz częściej się słyszy, że bolszewicy jednak podejmują walkę z Niemcami, i opada nas nowy strach. Jeśli to w ogóle możliwe, by kolejne uczucie niepokoju nawarstwiło się jeszcze na przerażenie, w którym trwamy. Ludzie plotkują, że Praga jest ostrzeliwana, że pojawiają się rosyjskie bombowce i artyleria. Sama już nie wiem, czy w to wierzyć, ale rzeczywiście, kiedy bolszewicy nadlatują nad Warszawę, panuje jako taki spokój. Podobno nawet zaczęli zrzucać broń.

Niemcy jakby się wściekli. Niszczą wszystko wokół. Pali się Praga, płoną Mokotów, Wola, Wspólna, Krucza, Marszałkowska, plac Trzech Krzyży. Nad miastem nieustannie bije łuna pożarów, a dym wciska się w płuca. Dramatycznie brakuje wody, zupełnie jakby wszystkie studnie niespodziewanie wyschły. Zrozpaczeni ludzie stoją w długich ogonkach, by zdobyć jej choć odrobinę. W dodatku krążą pogłoski, a może to prawda, że Szwaby zatrwały wodę w mieście.

Nie ma mowy o tym, żeby się umyć. Każda kropla jest bezcenna. Już nawet nie myjemy naczyń, wycieramy je tylko do sucha papierem albo szmatkami. Udaje nam się ugotować pomidorową lurę, która niewiele ma wspólnego z zupą, ale ludzie cieszą się i dziękują Bogu, że mają jeszcze co jeść. Wczorajszy zaciekły atak był tak potworny, że nie odprawiliśmy mszy, każdy odmawiał litanie i różaniec we własnym piwnicznym kącie. Nie

zapalamy też świeczki w kapliczce na podwórzu, bo ani nie mamy świec, ani nie sposób wyjść na powierzchnię. Każdy ogarek jest skrupulatnie przechowywany, by choć trochę rozjaśnić ciemne piwniczne życie.

Ludzie są przerażeni, zdesperowani i pozbawieni nadziei. Zupełnie nie wiemy, co robić. Ponoć Niemcy pozwalają cywilom wyjść z miasta, ale czy można im ufać? Kilka dni temu kilka osób opuściło nas z nadzieją na ocalenie życia, ale czy im się udało, nikt nie wie.

Nasz kamieniczny spiker, jak nazywamy tych, co na głos czytają prasę, sugeruje, że to może być jedyne rozsądne wyjście.

Ćwierć miliona pod opieką wojska. Daleko idące poparcie RGO przez władze wojskowe. Wyratowani spod ostrzału artylerii sowieckiej.

W sprawozdaniu korespondenta wojennego w obozie w Pruszkowie czytamy:

8 sierpnia 1944 roku rozpoczął się w Warszawie taniec śmierci. Armia niemiecka została zaskoczona wielkim zadaniem zaopiekowania się setkami tysięcy ludności cywilnej. Na obszarze, który przez noc stał się terenem działań wojennych, nie mogło być mowy o uruchomieniu jakiejś rozgałęzionej organizacji, lecz tylko o zaimprovizowaniu jako takiej pomocy w warsztatach kolejowych w Pruszkowie. W byłych warsztatach kolejowych w Pruszkowie urządzono prowizoryczną stację przejściową, w której w ciągu sześciu tygodni znalazło dwu-, trzydniowe pomieszczenie 250 000 uchodźców. W ten sposób uratowano ich z ognia bezpośrednich działań wojennych w Warszawie, gdzie szalały walki z powstańcami, oraz w ostatnich dniach z wojskami sowieckimi posuwającymi się ku wschodniemu brzegowi Wisły.

250 000 mężczyzn i kobiet wszelkiego wieku i stanu znalazło tu w wysokich i jasnych halach warsztatów pierwsze bezpieczne pomieszczenie po tygodniach ukrywania się w ciemnych piwnicach, szybach kanalizacyjnych, prowizorycznych schronach i pod gruzami domów. Liczba przechodzących uchodźców wahała się między 6000 a 45 000, w tej liczbie są setki dzieci. Z inicjatywy armii i przy jej daleko idącym poparciu RGO rozwinęło działalność na wielką skalę. Wojsko dało do dyspozycji lekarzy, leki, kuchnie oraz personel.

Dzień i noc trwała praca przy kuchniach ogólnych oraz specjalistycznych (dla dzieci). Uchodźcom wydawano w ciągu dwóch, trzech dni ich pobytu na stacji dwa razy dziennie ciepłe jedzenie. Polacy i cudzoziemcy, którzy mieli sposobność przyjrzeć się w obozie pruszkowskim czynnościom oficerów i żołnierzy, stwierdzają wysiłki dowództwa niemieckiego nacechowane prawdziwą ludzkością. Chodziło tu o pomoc dla ludzi, którzy w politywanym godnym stanie ciała i duszy wyratowali się spod ruin Warszawy.

Jak już przed kilku dniami podano do wiadomości, zarówno administrator archidiecezji warszawskiej, jak i kierownik RGO w Pruszkowie wraz z szeregiem swych najbliższych współpracowników potwierdzili fakt wybitnej opieki władzy niemieckiej nad uchodźcami. Należy podkreślić między innymi akcje obu niemieckich lekarzy sztabowych w hali numer dwa przekształconej na ambulatorium. Na tej stacji udzielono najkonieczniejszej pomocy lekarskiej co najmniej 15 000 chorych, starców i kalek. Z niemieckimi lekarzami współpracowali polscy lekarze i polskie siostry miłosierdzia, którzy mogli w ten sposób bliżej zapoznać się z rozległymi środkami pomocy danymi do dyspozycji przez armię niemiecką.

W halach numer 3, 4, 5 i 7 niemieccy lekarze sztabowi również udzielali wraz z członkami polskiego Komitetu Pomocy Uchodźcom pierwszej pomocy.

Jeżeli mimo tych niezaprzeczalnych faktów Polska agitacja probolszewicka usiłuje przedstawić niemieckie dzieło pomocy w Pruszkowie jako barbarzyńskie

zarządzenie, to oszczerstwo tego rodzaju piętnuje przede wszystkim tych, którzy je wymyślili. Jest faktem, że przeszło 150 polskich lekarzy, lekarek, sióstr miłosierdzia i innych osób z personelu pomocniczego było od pierwszego dnia istnienia obozu pruszkowskiego świadkami wszystkich szczegółów całej akcji pomocy, gdyż ludzie ci przeważnie mieszkali i nocowali w obozie pruszkowskim.

Sprawozdawca wojenny kończy: ćwierć miliona warszawskich uchodźców wyprowadziła armia niemiecka z zagrożonych ruin, z tego dziesiątki tysięcy jeszcze w ostatnich dniach, gdy dzielnice nadwiślańskie miasta znajdowały się już pod bezlitosnym ostrzałem artylerii sowieckiej od strony Pragi [40](#).

Ale czy można temu wszystkiemu ufać?

– Co robimy? – pytam zatroskana wymizerowaną Aniełę. – Jak uważasz, powinniśmy wyjść czy zostać?

– Obojętnie.

– Jest albo wyjść, albo zostać. Nie ma obojętnie. Musimy coś wreszcie postanowić – tłumaczę cierpliwie kolejny raz.

– A co by zrobiła mama?

– Skąd mam wiedzieć?

– Gdyby tu była, powiedziałaaby nam, co robić. – Aniela upiera się jak rozkapryszone dziecko.

A ja nie mogę pojąć, że choć jesteśmy siostrami, tak bardzo się różnimy. Podczas gdy ona jest jak meduza unosząca się na wodzie, zdana jedynie na kapryśny nurt, który poniesie ją w tę czy w inną stronę, ja lubię sama decydować o tym, dokąd powinno zaprowadzić mnie przeznaczenie. Bo choć wierzę, że to los sprawia, iż pojawiajemy się w tym, a nie w innym miejscu na ziemi, to jednocześnie jestem głęboko przekonana, że planując i podejmując decyzje, mamy też pewną sprawczą moc.

Zawsze miałam wszystko przemyślane, przeanalizowane. Tylko że w tych okolicznościach to się nie sprawdza. Bo jak podjąć konkretną decyzję, nie mając pojęcia, co będzie pod koniec kolejnej godziny, o następnych dniach nawet nie wspominając. Nie mając pojęcia, co czeka na końcu drogi. To jak wybór między dżumą a cholera.

Jednego jestem pewna: jeśli zostaniemy w tym przeklętym miejscu, czeka nas tylko śmierć. I tak dochodzę do wniosku, że nie ma wyjścia, trzeba się ruszyć. A skoro nie ma możliwości ucieczki, to musimy zdać się na to, co proponuje okupant. Za nic w świecie nie chciałabym wpaść w ręce Rosjan.

W świetle zapalek układamy się na naszym barłogu. Jest coraz ciasniej, coraz trudniej. Marzę o tym, żeby się przebrać, położyć pod prawdziwą kołdrą, żeby ten koszmar wreszcie się skończył. Śpimy w butach, bo w każdej chwili może się okazać, że trzeba będzie uciekać.

Wczoraj dotarła do nas tragiczna informacja. Kilka dni temu, jeśli dobrze pamiętam, jedenastego, a może dziewiątego września, Marysia Stadnicka z naszej kamienicy, którą doskonale pamiętam jeszcze ze szkoły jako cichą i nieśmiałą brunetkę z przenikliwymi, smutnymi, chabrowymi oczami, brała cichy ślub w kościele z Jankiem od Zagórskich, znajomych rodziców. Oboje przystąpili do powstania, wiem o tym doskonale, bo Marysia kilkakrotnie przemykała z meldunkami przez nasze piwnice. Była taka dumna, szczęśliwa i ufna w szczęśliwe zakończenie. Ze śmiechem powtarzała, że będzie miała co opowiadać wnukom. Tymczasem okazało się, że potajemny ślub wcale nie był dla Niemców sekretem. O wyznaczonej porze, gdy młodzi w towarzystwie innych powstańców mówili sobie sakramentalne „tak”, przysięgając miłość aż po grób, Niemcy wpadli i rozstrzelali wszystkich uczestników uroczystości, a potem metodycznie zbombardowali świątynię i sąsiednie budynki.

Przysięga spełniła się, nim młodzi wyszli z kościoła. Póki śmierć...

Każdego dnia zamartwiam się o Tadeusza. Od chwili naszego uścisku, niespodziewanego pocałunku i wyznania miłości minęło już tyle czasu, a o Tadku słuch zaginął. Rozpytuję wszystkich, zaczepiam nawet przypadkowych ludzi, ale nikt nie wie, co się stało z Tadeuszem. Nikt go nie widział, nikt o nim nie słyszał.

Tęsknota wywraca mi żołądek na drugą stronę. Mam tylko nadzieję, że żyje, że gdzieś tam, być może na drugim końcu Warszawy, śni o mnie tak jak ja o nim. Tak bym chciała opowiedzieć mu o swojej rozpacz, o śmierci rodziców, o braciszkach. O nienarodzonym dziecku. Tak bardzo bym chciała, żeby mnie pocieszył, przytulił, pogłaskał po głowie i powiedział, że wszystko będzie dobrze.

Gdy pomyślę, że w innych okolicznościach, gdyby nie było wojny, powstania, moglibyśmy cieszyć się beztroską, szczęśliwą miłością, łzy napływają mi do oczu. Coraz częściej zamiast wirujących kolorowych motyli w moim brzuchu budzi się stado czarnych, złowrogich nietoperzy. Złośliwa wyobraźnia podsuwa najgorsze wizje.

Tadka aresztowanego przez gestapo, osadzonego w celi, bitego i maltretowanego, torturowanego. A potem nie wiedzieć skąd pod powiekami poja-

wiają się obrazy jego ciała wśród gruzów, przysypywanego ziemią w płytkim grobie na podwórku, którego nie znam. Boję się, że już nigdy go nie zobaczę, że nawet się nie dowiem, gdzie został pochowany.

Ubolewam, że nie mam kontaktu z przyjaciółką mamy, panią Jadwigą, ona byłaby mi oparciem. Po bombardowaniu słyszałam, że z całą rodziną przenieśli się kilka przecznic dalej. Mam nadzieję, że to prawda. Że chociaż oni są bezpieczni. Liczę też na to, że, tak jak pani Jadwiga się zarzekła, uratują rodzinne albumy, bo wśród ich zdjęć są też nasze rodzinne. Że dzięki nim będę mogła jeszcze spojrzeć na twarze mamy, papy, braciszków. Już teraz mam wrażenie, że powoli zacierają się w mojej pamięci, nie chcę nawet myśleć, co będzie za kilka miesięcy, kilka długich lat.

Tak bardzo chcę ich ocalić we wspomnieniach, tak bym chciała, żeby przychodzili do mnie w snach. Miałabym ułudną namiastkę dalszego wspólnego życia. Boże, jak ja potwornie za nimi tęsknię.

Od tego wszystkiego zaczyna boleć mnie głowa. Zupełnie jakby ktoś wcisnął mi na czaszkę koronę cierniową, której kolce kaleczą i zabijają nadzieję. Od której nie sposób się uwolnić.

Jakby tego było mało, Aniela choruje.

Nie potrafię powiedzieć, co jej dolega, ale marnieje w oczach. Jest coraz słabsza, a z jej poszarzałej, zapadniętej, pozbawionej wyrazu twarzy niemal wychodzą puste, nienaturalnie wytrzeszczone oczy. Strasznie się boję, żeby nie popadła w obłąd.

Pamiętam, co się stało z ciotką Fryderyką, daleką kuzynką mamy, po tragicznej śmierci synów, którzy zginęli podczas polowania. Radosna kobieta zmieniła się w złowrogiego upiora, który siał wokół siebie grozę. Coś jej się w głowie pomieszało. Ku zdziwieniu wszystkich przekonywała otoczenie, że ma kontakt ze zmarłymi, przy okazji przepowiadając każdej napotkanej osobie śmierć w tragicznych okolicznościach. Doszło do tego, że wszyscy omijali ją szerokim łukiem, a po wielomiesięcznych próbach leczenia z „nerwów”, jak mawiała babka, znalazła się w domu dla obłąkanych, w którym wkrótce popełniła samobójstwo, podcinając sobie żyły.

– Słyszałaś, kochanieńka, co się stało?

Nasz dawny dozorca Szymański niespodziewanie wyrasta za moimi plecami.

– Dzień dobry – mówię cicho, zadowolona, że widzę znajomą twarz.

Coraz ich mniej. Coraz szybciej znikają. Zacierają się w pamięci. Odchodzą nie wiedzieć dokąd. Podobnie jak ciotka Róża, która mimo zło-

żonej mamie obietnicy się nie pojawiła. Może ją też spotkało coś złego?

Oby nie.

– A jaki tam dobry. – Spluwa z niesmakiem pod moje buty, a ja się zastanawiam, czy przypadkiem go nie uraziłam, i wyrzucam sobie, że nie powitałam go jak wielu z nas kościelnym „Pochwalony”.

– Przepraszam...

– A za co ty, dziecko, mnie przepraszasz? – Klepie mnie ze smutkiem po ramieniu. – Za co? Nie ty powinnaś przepraszać. – Zachnął się i chwycił mnie za bark kościstymi niczym szpony palcami, przysunął się bliżej, zmuszając, bym spojrzała mu prosto w oczy. – Posłuchaj. Mówi się, że „Bór” i „Monter” oddali się w niemieckie ręce.

– Kto? – W pierwszej chwili nie dociera do mnie, o kim mówi.

– Przywódcy po...

– A tak, przepraszam. – Rumienię się ze wstydu, że nie od razu skojarzyłam tych, którzy od tygodni są na językach wszystkich. Początkowo podkorycytowani, pełni ufności i optymizmu ludzie ich błogosławili, teraz coraz częściej przeklinają.

– Już mówiłem: nie przepraszaj.

– Tak, to znaczy...

– Posłuchaj, musicie z Aliną uciekać.

– Anielą.

– Co?

– Z Anielą, nie Aliną – poprawiam go.

Zniecierpliwiony stróż macha z lekceważeniem dłonią.

– Skorzystajcie z okazji i wynoście się stąd, póki jeszcze czas.

– Ale ja...

– Dziecko, nie ma już na co czekać. Przykro mi to mówić, ale nie macie tu nikogo. Ratujcie się. O bolszewikach mówi się okropne rzeczy. Wasza matka z pewnością chciałaby...

– Proszę mamusi w to nie mieszać. – Złoszczę się, bo traktuje mnie jak bezradną dziewczynkę. A przecież ktoś, kto widział śmierć i stracił najbliższych, kto od tyłu dni żyje w nieustającym strachu, musiał przedwcześnie dojrzeć. Zabić w sobie radosne, małe, naiwne dziecko.

– Cokolwiek sobie myślisz, już czas. Moi wychodzą dzisiaj.

Nie mam odwagi spytać, kim są owi moi, bo każdy z nas stracił już tylu bliskich, że takie pytanie wydaje się nie na miejscu. Mogłabym go tylko

zranić, a nie chcę tego robić tej przygarbionej, zafrasowanej lichocie. On też stracił dom. Stracił wszystko.

Szymański, nie czekając na moją odpowiedź, niczym gazeciarz zaczyna głośno odczytywać z kartki:

– „Polscy parlamentariusze prowadzili w siedzibie generała von dem Bacha w Ożarowie pertraktacje w sprawie ewakuacji ludności cywilnej ze Śródmieścia. Uzyskali zgodę na zawieszenie broni w dniach 1 i 2 ⁴¹ października od godz. 5.00 do 19.00. Strona niemiecka wyznacza pięć punktów u zachodnich wylotów ulic Grzybowskiej, Pańskiej, Piusa i Śniadeckich przy politechnice oraz w Alejach Jerozolimskich, którymi ludność cywilna ma opuszczać miasto. W Londynie, po dymisji generała Kazimierza Sosnkowskiego, prezydent Władysław Raczkiewicz mianuje generała Tadeusza Komorowskiego „Bora” Naczelnym Wodzem Polskich Sił Zbrojnych”. Ludzie, to czas na podjęcie decyzji! Nie wiadomo, co będzie dalej. Zastanówcie się, może to ostatni moment, żeby się ratować.

Ani on, ani nikt z nas nie ma pojęcia o tym, że już za kilka dni, 9 października, Heinrich Himmler, po opuszczeniu miasta przez powstańców i ludność cywilną wyda rozkaz całkowitego zniszczenia Warszawy. Że nie ma zamiaru respektować obietnic złożonych podczas podpisywania aktu kapitulacji powstania, dotyczących ocalenia zabytków, kościołów, muzeów i tego, co dla Polaków tak cenne i ważne. Że niebawem w powietrze wyleci Pałac Saski, spłoną biblioteki i archiwa. I choć działania te nie będą miały żadnego znaczenia militarnego, to Niemcy poświęcą czas, deficytową benzynę i materiały wybuchowe, by w akcie zemsty zetrzeć Warszawę z powierzchni ziemi. Grabież, śmierć, zniszczenie to drugie imię Trzeciej Rzeszy.

Jeszcze tego samego dnia, mimo wątpliwości i oporu siostry, postanawiam wyrwać Anielę z oklejającej ją niczym galareta melancholii i zmusić, by powlokła się za mną przez gruzowisko w stronę niemieckiego posterunku.

Wygrzebuję z przygotowanego przez mamidło zawiniątka w kącie dwa ciepłe swetry i zastanawiam się, czy powinnyśmy zabrać też płaszcze. W końcu ustalamy, że włożymy je do wiadra, bo może za nimi zatęsknimy. Nie wiemy przecież, dokąd nas zabiorą. Z rozrzewnieniem spoglądam na popękane lustro, które tak bardzo chciałam ocalić, i próbuję sobie przypomnieć, dlaczego wydawało mi się tak drogą pamiątką. Zamiast niego

w wiaderku lądują ulubiona książka mamy, dwie pary ciepłych wełnianych skarpet i kuchenny nożyk.

Ubrania nieprzyjemnie przesiąkły piwniczną stęchlizną. Podejrzewam, że my pachniemy, a raczej śmierdziemy podobnie. Od wielu dni niemyte, przetłuszczone włosy spięłyśmy w ciasne kucyki, mając nadzieję, że tak wyglądają lepiej niż strąki, w które nie wiedzieć kiedy zmieniły się nasze jedwabiste loki. Połamane paznokcie są równie żałosne. Każdy innej długości, za to pod wszystkimi osadziła się gruba warstwa czarnego brudu. Żałuję, że zamiast lusterka nie wzięłam metalowego pilniczka. Teraz zastępuje go nam kawałek ostrej, długiej drzazgi, którą usiłujemy wydłubać paskudztwo spod paznokci.

Tyle miałyśmy cennych rzeczy: rodzinne pamiątki, modne bibeloty, antyki po dalszej i bliższej rodzinie, rodowe srebra, cenne obrazy, kilimy i piękny maminy zegar. Teraz nawet zwykłe poduszki, pierzyna, ręcznik i mydło są towarami luksusowymi, za którymi tęsknimy.

Przypominam sobie o zaszytej w fałdach płaszczka biżuterii. Jest tego niewiele, ale może się przydać w jakiejś trudnej sytuacji. Dziękuję opatrności, że go nie zostawiłam, choć mnie kusilo.

Jest 1 października 1944 roku, sześćdziesiąty drugi dzień powstania. Na szczęście od godziny piątej obowiązuje zawieszenie broni, żebyśmy mogli opuścić miasto. Jesteśmy z Anielą wśród zaledwie 8000 osób, które tego dnia opuszczają Śródmieście, z 200, a może i 250 tysięcy podlegających ewakuacji [42](#).

Człapiemy z wiadrem w dłoniach przez zrujnowaną Żurawią. Z trudem rozpoznajemy miejsce, w którym dorastałyśmy, z którym wiąże się tyle dobrych wspomnień, a które teraz czarnym cieniem traumy będzie towarzyszyć nam do końca życia. Jestem zdumiona, ile nas jest. Ludzie nieśmiało, niepewnie, niczym wypłoszone pożarem szczury opuszczają swoje nory. Piwnice, cudem ocalałe mieszkania na parterach kamienic. Zabiedzeni, wymizerowani, skrajnie zmęczeni, są wśród nas ranni, którzy podpierani przez przyjaciół i nowych znajomych z trudem wloką się noga za nogą.

Jesteśmy jak upiorny pochód żywych trupów, który sunie w czeluście nowego, kolejnego już piekła. Jestem półprzytomna z emocji, żalu, rozpacz. Na co zdały się te dwa miesiące walki, dwa miesiące powstania? Nic nie zmieniło się na lepsze, tak jak obiecywali, tak jak wierzyliśmy. Po sześćdziesięciu dwóch dniach apokalipsy każdy z nas ma w sercu żałobę.

Przybyło wdów i wdowców, pod gruzami zniknęły całe rodziny, wszyscy mieszkańcy kamienicy. W pył obróciły się ulice. Nie ma nic.

Opłakujemy zmarłych, lamentujemy nad ukochanym miastem, użalamy się nad sobą. Po co to wszystko? Tyle lat wysiłku, dorabiania się, trudów, by teraz nieść w jednej ręce cały żałosny majątek. Mamy tylko tyle, ile zdołamy unieść. I nie są to rzeczy, które uratować byśmy chcieli, to kilka zwykłych szmat, dzięki którym być może przeżyjemy. Zbliża się zima, spadnie śnieg i będzie jeszcze gorzej.

Apatycznie, w milczeniu brniemy krok za krokiem. Zniknęły całe kwartały, ich miejsce zajęły gruzowiska. Nie sposób określić, gdzie kończy się chodnik, gdzie zaczyna jezdnia. Wszystko jest przemieszane. Kamienice w strasznym uścisku zwały się z sobą w jeden wielki, płaski organizm, wymieniając się cegłami, tynkiem, szkłem i szmatami. Trupy, kałuże krwi, urwana dłoń.

Mijamy rozwalone barykady, leje po bombach, stąpając ostrożnie, by nie deptać po ciałach tych, co zginęli, których nie ma już komu pochować. Ale uważamy też, by nie skrócić nogi, bo mamy świadomość, że ta pozornie błaha kontuzja mogłaby zaważyć na naszym życiu. Już teraz niektórzy się zatrzymują, by częściowo opróżnić zbyt ciężkie bagaże. Wychudzeni, wygłodniali ludzie nie mają siły. Tobołki, walizki, pospiesznie uszyte z worków niekształtne plecaki.

Jakaś kobieta z dzieckiem w wózku lamentuje, bo nie jest w stanie poruszać się z nim po gruzowisku. Ktoś jęczy, że ma dosyć, chce zostać. Młodzi ludzie niosą chorych na prowizorycznych noszach. Aniela protestuje i przekonuje mnie, że nie można opuszczać domu, że może pod jego zwalami żyją jeszcze nasi bliscy.

Wszędzie brud, pył i smród spalenizny.

Idąc krok za krokiem, z uwieszoną pałką wiadra Anielą, która bardziej mi ciąży, niż pomaga, zastanawiam się, czy to wszystko ma jakiś sens. Mijamy uszkodzony czołg, prowizoryczne, anonimowe groby.

W plątaniu myśli dochodzę kolejny raz do tego samego przerażającego wniosku, że może łatwiej byłoby schować się w jakiejś dziurze i poczekać na śmierć. Czy nasze miasto jeszcze kiedyś odżyje, czy stanie się tylko wspomnieniem w podręcznikach historii? Pytanie tylko jakich: niemieckich, rosyjskich czy jednak polskich. Mam nadzieję, że polskich. Że i Polska, i Warszawa się odrodzą. Że wreszcie skończy się ta piekielna wojna.

Żurawia, Krucza, Koszykowa, Śniadeckich i dalej przed siebie w deszczu. Nieznośnej ulewie, jakby niebo płakało nad naszym losem. Mam dość.

Zobojętniałe, skrajnie zmęczone, na wozie z obcymi ludźmi docieramy do posterunku, gdzie Niemcy uważnie sprawdzają dokumenty. A potem pociąg towarowy i docieramy do Pruszkowa.

Durchgangslager, czyli Dulag 121 [43](#).

Jesteśmy zaledwie kilkanaście kilometrów od zachodniej granicy Warszawy, a jednocześnie w innym, nieznanym świecie. Podobno tu Niemcy robią pierwszą barbarzyńską, bezwzględną selekcję, podczas której brutalnie rozdzielają rodziny, odciągając dzieci od rodziców. To tu decydują, kto trafi do obozu koncentracyjnego, kto będzie miał szczęście i znajdzie się w obozie pracy, a kto pojedzie na roboty do Niemiec.

Po raz pierwszy widzę, jak wygląda obóz, i moje przerażenie, spotęgowane przez ulewny deszcz i ciemność, sięga zenitu. Okleją mnie złowrogie myśli, a bezradność i poczucie opuszczenia wiąże pętlę na szyi. Bardzo chce mi się pić.

- Już nie mogę.
- Ali, dasz radę.
- Nie chcę.
- Nie mów głupstw. Nie możesz zostawić mnie z tym samej. Tyle już przetrwałyśmy, to wytrzymamy jeszcze trochę. Wszystko będzie dobrze.
- Skąd wiesz? – Podejrzliwie spogląda na mnie, a ja, niestety, muszę jej przyznać rację, bo nic nie wiem, niczego już nie jestem pewna.
- Musi być.
- Mama też tak mówiła i co? I jej nie ma! – krzyczy. – Nie ma! Nie ma nic! Naszej rodziny nie ma! Domu! Nie ma...
- Chodź. – Pospiesznie tulę ją w ramionach, pozwalając, by nasze łzy splukiwały kolejne fale zacinającego deszczu.

Stoimy tak nie wiedząc jak długo i gdyby nie jakaś kobieta, która popchnęła nas przed sobą do jednego z baraków, pewnie zostałybyśmy na tym placu do rana.

Nie wiem, czy z powodu strachu, czy wyczerpania wszystko zlewa się w jedną całość. Ktoś wcisnął nam w dłonie kubek letniej, niesmacznej zupy

i odrobinę chleba. Wrażenie jest koszmarne. Tłum ludzkich cieni, które niczym upiory obsiadły przywleczone przez siebie tobołki. Na zbutwiałej słomie leżą ci, którym jest już wszystko jedno.

Śmierdzi paskudnie mieszaniną smarów, benzyny, ludzkich odchodów, potem i specyficznym zapachem śmierci. Czymś, czego nie da się nazwać, a co unosi się ponad tłumem.

Straciłam rachubę czasu i sama nie wiem, czy jest drugi, czy trzeci [44](#) października. Przyglądam się ludziom, zastanawiam się, kogo zostawili za sobą, jednocześnie wypatrując znajomych twarzy. Ale ich nie dostrzegam. Ani Tadeusza, ani pani Jadwigi. Nie znam tu nikogo i jest mi z tym bardzo źle.

Siedzę i potwornie się nudzę. Gdy ze zmęczenia przymykają mi się oczy, po chwili wybudza mnie jakiś hałas, jęk, czyjeś chrapanie. Jestem na skraju wyczerpania. Z braku innych zajęć czytamy na zmianę z Anielą na głos *Anię z Zielonego Wzgórza*. Ulubioną książkę mamy, co daje poczucie, jakby była z nami. Niewidzialna, milcząca, przezroczyista, nieprzytulalna. Zasycha nam w ustach tak, że nie jesteśmy w stanie wykrztusić słowa. Potem rysuję zabawne rysunekzki nawiązujące do powstania, małych powstańców, domy. Może się to wydawać obrazoburcze i niestosowne, ale pomaga rozładować choć odrobinę złe emocje.

Selekcja i nowe tsunami strachu. Żeby tylko nas nie rozdzielili. Jednocześnie przez falujący tłum cisnących się ludzi przebiegają złowróżbne słowa: Oświęcim, Ravensbrück, Dachau, Mauthausen.

– Ali. – Ściskam siostrę za rękę.

– Co? – Jej puste oczy patrzą na mnie niewidzącym wzrokiem, jakbym była przezroczyista, a ja z godziny na godzinę martwię się o nią coraz bardziej.

– Posłuchaj, jeśli nas rozdzielią...

– Powiedz, że tego nie zrobią.

Siostra zachowuje się jak dziecko, czym doprowadza mnie do szału. Nie panując nad emocjami, uderzam ją otwartą dłońią w twarz. Mam nadzieję, że to ją otrzeźwi. Oczywiście natychmiast dopadają mnie wyrzuty sumienia, że zadałam jej ból.

Ale o dziwo, to działa. Anieli jakby obudziła się ze snu. Wraz z wykwiatającą czerwoną plamą na policzku przybierającą kształt moich palców w jej oczach pojawiają się zdumienie i błysk.

– Oszalałaś? – Przestraszona robi krok wstecz.

Nie zważając na jej protesty, pospiesznie wyrzucam z siebie:

– Mogą nas rozdzielić, więc musimy ustalić, gdzie spotkamy się po wojnie. Rozumiesz? – Potrząsam nią z całej siły, tak że niemal słyszę jej grzechoczące kości.

– Tak, tak, tak zrobimy. Puszczaj! – Wije się niczym węgorz i wysuwa z mojego uścisku.

– Przepraszam. Posłuchaj, jeśli wszystko dobrze się skończy, spotkamy się w Warszawie pod dawnym adresem.

– A jeśli Warszawy nie będzie? – pyta po raz pierwszy racjonalnie. – Co wtedy?

– Będzie – mówię bezradnie i milknę na chwilę, usiłując znaleźć inne rozwiązanie.

– Może w Aninie, w tym domu, gdzie spędzaliśmy wakacje u...

– Dokumenty! – Niemiec, znudzony i najwyraźniej niezadowolony z roli, jaka mu przypadła, wyciąga w naszą stronę rękę, oczekując na stosowne papiery.

Nieznacznie kiwam głową na zgodę i notuję w pamięci, że wakacyjny Anin to nasz drugi sekretny adres.

Jednak na szczęście po uważnym przyjrzeniu się nam, dokumentom i sprawdzeniu wszystkiego nie rozdzielają nas. Uff. Oddychamy z ulgą. Trafiamy do grupy dziewcząt równie zdenerwowanych jak my.

Wszystko po to, by za kilka godzin wyruszyć do Auschwitz.

To koniec.

Czwartego października, dwa dni po zakończeniu powstania, gdy zgodnie z kapitulacyjną umową ostatni powstańcy zdają broń, gdy pierwsze oddziały AK opuszczają stolicę, gdy w eter płyną ostatnie audycje Powstańczego Radia, my bydlęcym, krytym wagonem, upchnięte niczym sardynki w puszcze, głodne, spragnione, w niewyobrażalnym smrodzie, jedziemy do miejsca, które napawa paraliżującą grozą. Do obozu Auschwitz [45](#).

Niespodziewanie pociąg z nieznośnym piskiem się zatrzymuje. Rzucamy nami to do przodu, to do tyłu, tak że ledwo utrzymujemy się na nogach. Ludzie krzyczą i jeszcze głośniejszymi lamentują. Niektórzy co silniejsi usiłują wyłamać deski.

Rozlegają się rozpaczliwe wołania:

- Wypuście nas!
- Pić, dajcie nam coś do picia!
- Ludzie, powietrza! Ludzie, to już nasz koniec. Podusimy się!
- Aa, ja chcę do mamy! Mamusiu! Mamusiu, gdzie jesteś?!
- Kurwa, co oni sobie wyobrażają? Bydlaki! Jak możecie tak więzić ludzi? Niemieckie szwabskie bydło, jak możecie nas tak traktować?

Stoimy. Stoimy tak i stoimy i zupełnie nic się nie dzieje.

W wagonie robi się coraz duszniej. Ludzie załatwiają się pod siebie; sikają, ktoś nie wytrzymał i zrobił kupę, inny wymiotuje. Jeśli się nie mylę, to też umierają, a przynajmniej tracą przytomność.

Nie ma jak się od nich odsunąć. Nie ma jak się odseparować. Nigdy w życiu nie czułam się taka brudna, sponiewierana, odczłowieczona. My, panienki z dobrego domu, wychowywane z największą starannością, o które troszczono się i które kochano, miałyśmy się stać ozdobami kolejnego, już męzowskiego domu, a nagle zostałyśmy zrzucone na samo społeczne dno. Niemcy przestali widzieć w nas ludzi. Tylko dlaczego nam to robią? Przecież tak jak oni chcemy po prostu żyć. Wychowywać dzieci, cieszyć się szczęściem. Zupełnie nie mogą tego pojąć.

Czuję się jak łajno oklejające esesmańskie oficerki, które można jedynie z obrzydzeniem strząsnąć, zdrapać z podeszwy patykiem. Jeszcze nigdy nikt mnie tak nie upodlił. W życiu nie czułam się takim zerem.

Nadal nic się nie dzieje. Zupełnie straciłyśmy z Anielą rachubę czasu. Jesteśmy tak głodne i spragnione, że pewnie nasze jelita już się posklejały, przez co odechciało nam się wszystkiego. Nie jestem pewna, czy gdyby ktoś postawił przed nami aromatyczną pieczeń polaną śliwkowym sosem, otuloną wianuszkiem młodych ziemniaczków posypanych koperkiem i okraszonych masłem, miałybyśmy siłę chwycić za widelce.

Wreszcie po nieznośnym długim oczekiwaniu, gdy minuty zwały się w niezliczone godziny, wokół wagonu zaczyna się jakiś ruch. Docierają do nas niemieckie rozkazy. Psy szczekają, a ludzie w wagonach jak na komendę znowu zaczynają krzyczeć i lamentować.

Jednak ich głosy są mniej donośne, jakby już opadli z sił. I nie mam najmniejszych wątpliwości, że właśnie tak jest. Rozlega się zdecydowanie słabsze łomotanie w deski. Niemrawe pokrzykiwania, żeby nas wypuścili, żeby ktoś się nami zajął. Gdy drzwi wagonu rozsuwają się z łomotem, jesteśmy kompletnie oszołomieni.

Zalewa nas łuna przeraźliwie jasnego, przenikliwego światła, zupełnie jakby sam Bóg zstąpił z niebios.

Przywykłe do ciemności rozszerzone źrenice zwężają się do maleńkich czarnych kropeczek, ledwie widocznych w otoczonych stawami siniaków tęczęwkach. Odruchowo zasłaniam dłonią oczy, niepewna, co teraz mam robić. Jednak napierający tłum zmusza nas do podjęcia decyzji. Wyskakujemy, a w zasadzie zostajemy z Anielą i naszym nieszczęsnym wiaderkiem wypchnięte przez innych na zewnątrz.

Z wiadrem uwieszonym na ręku ląduję na twardej rampie. Anieli ma mniej szczęścia, bo jej noga wykrzywia się nienaturalnie, i już wiem, że prawdopodobnie skręciła ją w kostce. Jeszcze tylko tego brakowało.

– Au!

– *Schnell!*

Paskudne czarne owczarki niemieckie i jeszcze wścieklejsze dobermany ujadają jak szalone, obnażając ostre kły, warczą i toczą pianę z pysków. Są jak diabelskie pomioty, które za wszelką cenę usiłują dopaść naszych nóg. Rzucają się, jakby nie były karmione od miesięcy. Zachowują się tak, jakby właśnie przyjechało dla nich mięso, a nie ludzie, których w normalnych okolicznościach powinny słuchać.

Rażące światło boleśnie wbija się w oczy. Mam wrażenie, jakby szpikulcem przebijało się do mózgu. Dopiero po chwili trzeźwieję na tyle, by uświadomić sobie, że ten niezwykle blask emitują rozmieszczone w regularnych odstępach wysokie reflektory. Mimo że jest ciemna noc, wokół nas rozlewa się taka jasność, jakby był środek słonecznego letniego dnia.

I smród. Niewyobrażalny, słodkawy odór, który wwierca się w nozdrza, zatyka płuca. Ten pierwszy haust powietrza po wydostaniu się z cuchnącego pociągu jest wręcz odurzający. Zaczynamy się krztusić i odruchowo chwytamy się za nosy. Coś okropnego, co okaże się jeszcze bardziej przerażające. Choć trudno w to uwierzyć, źródłem tego smrodu są palone ciała.

Jakim trzeba być człowiekiem, diabłem, potworem, by tak precyzyjnie opracować fabrykę śmierci?

– Au!

– Kochanie, widziałam, co się stało.

– Chyba skręciłam nogę.

– Obawiam się, że możesz mieć rację. Ale nie martw się, zaraz znajdziemy jakiegoś lekarza.

– Okropnie boli i chyba już zaczyna puchnąć.

– Musimy tylko dać radę dojść do lekarza i wszystko będzie dobrze. Obiecuję, zobaczysz.

– Jezu, tak bardzo cię przepraszam.

– Głupia jesteś? Za co mnie przepraszasz?

– Masz ze mną tylko kłopoty.

– Przecież równie dobrze to ja mogłam się potknąć i skrócić kostkę. I co, zostawiłabyś mnie? – przekomarzam się, choć jestem sparaliżowana strachem.

– Oczywiście, że nie.

– Sama widzisz. – Usiłuję wyszczerzyć zęby, ale przez twarz przemyka tylko niewyraźny grymas, który niewiele ma wspólnego z uśmiechem. – Jesteśmy skazane na siebie, zdane na siebie i całe szczęście, że mamy siebie. Rozumiesz? Tylko to się liczy.

To, co dzieje się później, jest nie do wyobrażenia.

Gdy już myślę, że najgorsze mamy za sobą, okazuje się, że Niemcy mają jeszcze kilka innych, gorszych propozycji, a każda przerasta koszmarem poprzednią.

Każą nam zostawić wszystkie bagaże na rampie. Spoglądam niepewnie, nie rozumiejąc, o co im chodzi. Jakie bagaże? Przecież nie mamy żadnego bagażu. Tylko to cholerne wiaderko. Tymczasem oni niczego nie tłumaczą. Ich jedynymi argumentami są wrzaski, bicie, szczucie psami.

I powiem szczerze: nie sposób z tym siłowym przekazem polemizować. Ludzie oczywiście protestują, dowodzą, że to, co ze sobą przywieźli, jest wszystkim, co mają. Za wszelką cenę chcą ocalić resztki dobytku, zdjęcia, odzież.

Niemcy są na to głusi. Bezpardonowo leją nas po grzbietach, wyrrywając toboły, które rzucają na jeden wielki stos. Z otwartych, popękanych kartonowych walizek wysypują się ciepłe swetry, koronkowa bielizna, książki, srebrne łyżeczki, perły, dziecięce śpioszki. Jak można tak traktować ludzi? Jak można odbierać im resztki nadziei? Jak można dziecko pozbawiać ubrań? Jak można starej, zgiętej w pół kobiecie wyrwać koślawą, zwieńczoną srebrną głową kaczki, wysłużoną laskę?

Nim zdążę się zorientować, nasze wiadro z cennymi płaszczami i ukochaną książką mamy, której pewnie już nie odzyskamy, również ląduje na górze rzeczy, które już zapewne nikomu do niczego się nie przydadzą. Nie mam świadomości, że wszystko, co zostawiamy na rampie, trafi do Kanady, czyli magazynów z odzieżą. Że w tym przeklętym miejscu powinnam

marzyć, by również się tam znaleźć. W tych samych barakach co nasze rzeczy. Że w obozie praca przy nich traktowana jest jako najbezpieczniejsze zajęcie, ponadto, co ważne, odbywa się w zadaszonym, suchym pomieszczeniu. Nie mam pojęcia, że ktoś przejrzy i posegreguje skrupulatnie nasz niewielki majątek, wypruje kosztowności z płaszczy, zapasek i fałd. Że bezceremonialnie zbezczesci to, co dla nas jest świętością.

Tymczasem pod czujnym okiem uzbrojonych esesmanów, z których część napawa się naszym lękiem, dla zabawy szczując psami, jesteśmy poddawane kolejnej selekcji. To jedno z doświadczeń, które na zawsze zapisze mi się w pamięci.

Rozdzieleni na mężczyzn i kobiety z małymi dziećmi zostajemy zagnani do sauny. Koszmarnego, śmierdzącego czymś chemicznym, czego nie jestem w stanie zidentyfikować, zięjącego wilgocią i chłodem budynku, w którym, o zgrozo, każą nam się rozebrać do naga. Zawstydzone usiłujemy zakryć się przed wzrokiem złośliwych Niemców, którzy przyglądają się nam z nieskrywaną ciekawością, lubieżnością i bezpardonowo, ordynarnie komentują kształt ciał, urodę, rozmiar piersi.

Myślę, że już nigdy nie rozbiore się przed nikim.

Staramy się na siebie nie patrzeć. Wbijając oczy w czubki palców, bezgłośnie przesuujemy się w kierunku kolejnego pomieszczenia. Jedyne dzieci przyglądają się nam z żywym zainteresowaniem i zdziwieniem. Podejrzewam, że żadne z nich nie widziało wcześniej gołego rodzica. Dla nich również musi to być wstrząsające doświadczenie.

Nim się zorientujemy, lodowate strumienie wody spadają na gołe, wychudzone, zaskoczone ciała. Odruchowo piszczymy, usiłując odsunąć się w bezpieczne, suche miejsca, ale takich nie ma. Wydaje się, jakby sufit był sitkiem gigantycznej konewki, z której leje się paskudna, zimna ciecz.

O ironio. Tak niedawno marzyłam o wodzie. Przecież niczego innego nie pragnęłam tak jak kąpieli. Chciałam się odświeżyć, zmyć warszawski pył, pozbyć się ze skóry brudu, smrodu spalonych domów, odoru wagonu. Teraz to jednak zwyczajna tortura.

Gdy wreszcie zakręcają kurek i mamy nadzieję, że dopadniemy naszych ubrań, czeka nas kolejna niemiła niespodzianka. Trafiamy w ręce oprawców z nożyczkami. Gołą nam włosy tam, gdzie nikt nie zagląda, zalewają krocza i pachy paskudną mazią, po której skóra piecze jak poparzona. Obcinają włosy na głowach. Z niedowierzaniem spoglądamy na siebie. Oszpecone,

bez loków, koków, warkoczy i modnych fal, jesteśmy tak podobne, że trudno nam się rozpoznać.

I gdy myślę, że to już koniec, że wreszcie dadzą nam spokój, okazuje się, że zniknęły nasze ubrania, wygodne buty, a mają je nam zastąpić łachmany, brudne szmaty z czerwonym pasem wymalowanym olejną farbą na plecach.

Potem dowiem się, że na szczęście ominął nas najbardziej brutalny gwóźdź programu: tatuowanie. Że nie wiedzieć dlaczego nie wytatuowano nam numerów na ręce, tylko wręczono trójkątne szmatki z wielkim czerwonym P pośrodku, które mamy naszyć na ubrania.

Mam zapamiętać swój numer. Jestem oszołomiona i już po chwili mam problem, by sobie przypomnieć pierwsze cyfry. Całe szczęście, że obok jest Aniela ze swoją niemal fotograficzną pamięcią i przychodzi mi na ratunek.

Tego parszywego dnia pozbawiono mnie imienia, nazwiska, płci, kobiecości, człowieczeństwa. Stałam się numerem.

Jesteśmy jak hodowlane bydło, które zarządca majątku kazał dla porządku i rachuby oznaczyć wypalonym na zadzie numerem. Boże prze-najśłodszy, Święta Panienko, co z nami będzie? Co będzie? O Matko Boska! Co to będzie?

Ranek przynosi zatrważające obrazy, obnażając to, co wczoraj skrywała ciemność nocy. Jak sięgnąć wzrokiem, wszędzie rozciągają się drewniane, wypłowiałe zielone stodoły ze sterczącymi wysokimi kominami. I wszędzie jest okropne błoto. Z trudem dostrzegam nieśmiałą kępę rachitycznej trawy, która tuli się do ściany jednej z bud. Niebawem przekonamy się, że to nasze nowe lokum, którego nigdy nie nazwiemy domem, a do którego będziemy, wyczerpani, z ulgą i nadzieją wracać każdego dnia po ciężkiej, morderczej, okupionej trupami pracy.

Stodoły okazują się prymitywnymi blokami wypełnionymi trzypiętrowymi pryzmami, na których tłoczą się zapchlone, pogryzione przez pluskwy ludzkie cienie. Obciążone skórą czaszki, duże, odstające uszy i nienaturalnie wielkie, smutne oczy. Szkielety, które popatrują na nas z mieszaniną niezadowolenia i ciekawości. Niektóre uśmiechają się bezzębnymi ustami. Panuje niewyobrażalny zaduch niemytych ciał. Przez środek przebiega mur

będący kominem, gdzie toczy się życie towarzyskie tych, którym odebrano godność, wolność i nadzieję.

Trafiamy tu po kwarantannie i powoli usiłujemy dokonać niemożliwego – oswoić się z tym niewyobrażalnym piekłem. Wystraszone wciskamy się na wskazane przez blokową prycze, przepaszając sąsiadki, że zajmujemy tę odrobinę ich przestrzeni. Jest tak upiornie ciasno, że w nocy nie sposób obrócić się na drugi bok. Jesteśmy jak domino. Poruszenie jednej wprawia w ruch wszystkie ciała na pryczy, z wyjątkiem tych, które niezauważenie, w samotności i opuszczeniu umarły. Nie ma dnia, nie ma nocy, by któraś ze współtowarzyszek nie przeniosła się na tamten świat. Obracamy się wszystkie w prawo lub w lewo, na wznak nie sposób spać, bo jest za ciasno.

Zaczynam rozumieć, dlaczego z takim strachem mówiło się w mieście, w mojej ukochanej Warszawie, o obozach koncentracyjnych, o Auschwitz, ale nikt z nas nie byłby w stanie w najgorszych koszmarach, najdramatyczniejszych snach, choćby zbliżyć się do tego, co dla nas urzeczywistnili Niemcy.

Mam szczęście, że z Anielą znajdujemy miejsce na najwyższej pryczy obok siebie. I choć cieszymy się, że nad nami nie ma już nikogo, to trudno się tu wdrapać, a z dachu zwisają sopele, z których kapie woda.

Wtulamy się w siebie, usiłując uniknąć kontaktu z nieznanymi. Co w tych warunkach jest niemożliwe. Brzydzę się tego miejsca, pryczy z resztkami stęchłej, brudnej słomy, brzydzę się ludzi i tego paskudnego świata, który na najbliższe tygodnie ma stać się naszym jedynym dachem nad głową.

Przez pierwsze dni stajemy się towarzyską atrakcją bloku.

Wszystkie kobiety chcą się dowiedzieć, skąd przyjechałyśmy i co się stało w Warszawie. Już wiedzą, że wybuchło powstanie, słyszały też o jego klęsce. Z niedowierzaniem po raz setny dopytują, czy to prawda, że Warszawa to jedna wielka ruina. Ogromne morze gruzów.

Opowiadamy o zburzonych domach, o rzezi na Woli, w szpitalach. O znajomych, którzy oddali życie, oraz o tych, o których słuch zaginął. Padają imiona, nazwiska, adresy, z nadzieją, że może ktoś coś wie. Zachowujemy się tak, jakbyśmy pochodziły z małej wioseczki, gdzie wszyscy się znają i wiedzą wszystko o kolejnej chałupie. Krążą między nami plotki, dociekania. Dziwne teorie. Przypuszczenia, kiedy wojna się skończy i czy rzeczywiście Sowieci pogonią Szwabów. Wszyscy zakładamy, że to oczywiste, tylko pytanie kiedy. Czy do tego czasu wytrwamy?

Atmosfera jest bardzo napięta.

Zwłaszcza w chwilach, gdy spotykamy warszawianki, które zostały przywiezione do Auschwitz przed pierwszym sierpnia. Są przerażone, nie dowierzają. Mają pretensje, że niepotrzebnie wywołano powstanie. Na nic się zdają tłumaczenia, że my nie maczałyśmy w tym palców i że to nie my podjęłyśmy decyzję o zrywie. Usiłujemy im wyjaśnić, że również jesteśmy ofiarami. One jednak nie słuchają. Dla nich wszystko jest proste i mało skomplikowane. Mieszkamy w Warszawie, jesteśmy warszawiankami, więc skoro tam wybuchło powstanie, to z pewnością brałyśmy w nim udział.

Jestem zdumiona, bo sądziłam, że raczej będą się cieszyć, że próbowano, że się starano, w końcu chodzi też o ich wolność. Tymczasem one zdają się bardziej myśleć o domach, mieszkaniach, zostawionych majątkach. O grozie tego, że nie będą miały do czego i do kogo wrócić. I nie sposób nie rozumieć tych kobiet, bo same straciłyśmy tak wiele! Odeszła nasza mama, zginął tato, umarli braciszkanie. Nie mamy już niczego i nikogo, nawet ciocia Róża gdzieś przepadła. Moje szkolne przyjaciółki. Pani Jadwiga, stary Szymański i tylu innych.

Już nigdy nie umebujemy naszego rodzinnego mieszkania, już nigdy nie będziemy miały dawnej rodziny. To przeszywa serce sztyletem takiego bólu i cierpienia, że czuję w sobie już tylko pustkę. I pewnie gdyby nie poczucie odpowiedzialności za Anielę i świadomość, że zawiodłabym rodziców, gdybym się nią nie zaopiekowała, pierwszego dnia poszłabym na druty. Słyszałam, że tak można.

Niby nie można, ale idąc w ich kierunku, ma się gwarancję śmierci. Co najwyżej nie zdąży się ich dotknąć, ale strażnicza kula zawsze nas dosięgnie. Tylko czy to jest jakieś pocieszenie?

– Tyle razy mówiłam, że Czesi są jednak mądrzy. Nie trzeba było walczyć. Siedzielibyśmy teraz w ciepłych chałupach – burczy stara Malkova.

– Co też ty, kobieto, opowiadasz? Jak to nie walczyć? To Niemką chciałabyś być? Tfu! Jak można takie bzdury wygadywać?

– No, za takie gadanie to kulka w łeb!

– Boże, kobiety, nie kłóćcie się!

– A co, prawdy powiedzieć nie wolno? – Malkova upiera się przy swoim. – Psu na budę było to całe powstanie.

Głosy są podzielone i szczerze mówiąc, jest mi zupełnie obojętne, co myślą nasze współtowarzyszki. Czy zryw był potrzebny, czy nie. Czy miał prawo się udać, czy nie. Liczy się tylko tu i teraz.

Mimo zmęczenia nie potrafimy zasnąć. Rozpaczamy, szlochamy całe noce, użalamy się nad sobą i panikujemy, co najwyraźniej irytuje jedną z kobiet śpiących na dole, bo co rusz syczy ze złością:

– Zamknąć się tam.

Rano, właściwie o brzasku, trafiamy jak zwykle na apel. Ta nieodmienna, nieznośnie długa procedura, gdy trzeba stać, bez względu na pogodę, czasem godzinami, przed blokiem, czeka nas o poranku i wieczorem, a czasem też w ciągu dnia, gdy Niemcy chcą się nami zabawić. Urządzają bezsensowne, wyjątkowo wyczerpujące ćwiczenia tylko po to, żeby nas zmęczyć, jeszcze bardziej upodlić.

Wiecznie głodne wlecemy się noga za nogą. Ledwo jesteśmy w stanie wstać z pryczy, tymczasem trzymają nas w deszczu i każą robić przysiady, potem skłony i idiotyczne pajacyki. Z przerażeniem słyszę, że kobieta tuż za mną coraz głośniejszy dyszy, coraz trudniej jej złapać oddech, a po chwili słabnie tak, że nie jest zdolna wykonać żadnego ruchu. Pociągam Anielę za wykończony koronką rękaw kretyńskiej jedwabnej balowej sukni, tutaj zupełnie nie na miejscu, wymazanej na plecach czerwoną farbą.

– Przysuń się.

– Co? – Zdyszana i zmęczona spogląda na mnie tępym wzrokiem.

– Nic nie mów, przysuń się, ta za nami nie daje już rady.

– *Schnell! Eins, zwei!*

– Już nie mogę!

– *Schnell!*

Chlup, chlup, chlup.

Woda przelewa się w butach, ślizgamy się w błocie, starając się nie upaść. Najgorsze jest skakanie na jednej nodze, a przecież większość z nas nie jest w stanie nawet ustać na dwóch. Niestety, wydaje się, że właśnie to sprawia Niemcom największą frajdę.

Przemoknięty esesman jest chyba równie niezadowolony z rozkazu, który przyszło mu wykonać. Strużka wody skapuje mu z daszka czapki i spływa po ramionach okrytych ciepłym płaszczem. Co rusz uderza szpicrutą: to w swoje czarne oficerki wypolerowane tak, że można się w nich przejrzeć jak w lustrze, to znowu wali którąś z nas po głowie. I już nieważne, czy się starasz, czy nie, czy masz siły, czy z nich opadasz. Wściekły wali na oślep, wyładowując na nas frustrację.

Po dłuższej chwili najwyraźniej sam jest już wyczerpany wymyślaniami nam od starych krów, durnych Polaczków i zawszonych Żydów, bo po tym, jak skrupulatnie kolejny raz przelicza nasz stan, każe nam rozejść się do baraków.

Na placu, zanurzone w gęstym, głębokim błocie, zostają ciała czterech kobiet. Nie chcę, nie mam siły na to patrzeć. Pospiesznie wciskam się w tłum i pociągając za sobą siostrę, przepycham się do naszej pryczy.

Jesteśmy przemoczone tak, że można by wyźymać kręgosłupy, i mimo pozornego rozgrzania ćwiczeniami natychmiast robi się nam zimno.

– Kurde, że akurat musiała przypaść mi ta suknia. Oni chyba celowo dali mi tę szmatę, żeby się...

– Nie myśl o tym. Już rozmawiałam z Maliką, wiesz, tą w zielonej chustce. Jej koleżanka pracuje w Kanadzie i obiecała, że coś ciepłego dla ciebie skombinuje. To znaczy dla nas – poprawiam się pośpiesznie, bo wiem, że za chwilę empatyczna Aniela zacznie przekonywać, że jest jej dobrze i wygodnie i cokolwiek trafi w nasze ręce, bardziej się przyda mnie.

Sądziłam, że podobnie jak innym więźniarkom, przypadną nam okropne, sztywne i szorstkie pasiaki, ale Szwaby chyba nie zakładały, że w obozie znajdzie się nas aż tyle, i zwyczajnie skończyły im się zapasy. Dlatego jesteśmy ubrane jak cudaki. Ja mam na sobie ciepłą wełnianą sukienkę, którą usiłowałam oddać siostrze; Aniela ma wspomniany balowy łaszek; Kaśka z naszej pryczy dla odmiany nosi czarną prostą sukienkę, a Józefie trafiła się szara, okropna suknia w kratę, która jest za obszerna, za krótka i zbyt wydekoltowana.

Boże, gdyby zobaczył nas ktoś z dawnych znajomych! Spaliłabym się ze wstydu.

Jakież jest nasze zdziwienie, gdy kolejnego dnia w baraku pojawia się pewna kobieta. W pierwszej chwili nie możemy dopasować jej twarzy do znajomego nazwiska, ale w jej rysach jest coś, co powoduje, że nasze umysły pracują pełną parą. Uważnie się sobie przyglądamy i dłuższą chwilę zabiera mi zrozumienie, że skądś znam tę małą, charakterystyczną brodawkę ze sterczącym czarnym włosem. Zula.

Nasza Zula.

Początkowo mam ochotę radośnie do niej podbiec, przywitać się, ale w jej oczach jest coś takiego, co mnie powstrzymuje. Osadza w miejscu. Na jej przedramieniu dostrzegam wytatuowany numer, co świadczy o tym, że trafiła do obozu dużo wcześniej niż my.

Na nasz widok szczyrzy zęby w ironicznym uśmiechu i coś szepcze blokowej. Paskudnemu babsku, które najchętniej, gdyby mu na to pozwolić, spaliłoby nas żywcem. Jest wyjątkowo wrzaskliwa, brutalna i interesowna. Słyszałam, że okrada więźniarki z zawartości paczek otrzymywanych od bliskich.

Nam to nie grozi, bo zwyczajnie nie mamy kogo zawiadomić, że tu jesteśmy. Nie ma nikogo, kto mógłby nam cokolwiek podesłać.

Jeśli jeszcze niedawno sądziłam, że gorzej być nie może, to od kilku dni już wiem, że owszem, może. Czy to na skutek naszego spotkania, czy też nie, to nieistotne, Zula załatwiła sobie przeniesienie na nasz blok i teraz nas prześladowuje.

– Przyszła kryska na matyska. No proszę, co za spotkanie.

– Dzień dobry.

– Teraz takie miłe, a w domu mną poniewierałyście, traktowałyście jak jakiego kundla!

– Co proszę? Co też Zula opowiada? – Jestem oszołomiona, bo nigdy nie sądziłam, że może odnieść takie wrażenie. Przecież mama robiła wszystko, żeby jej nie wyrzucić. Karmiła, pozwoliła mieszkać za darmo i jeszcze całkiem hojnie płaciła.

– Pani Zula. A w zasadzie Zuzanna. Dla ciebie pani Zuzanna! Rozumiesz! Stój prosto, jak do ciebie mówię.

– Dobrze.

– Dobrze, pani Zuzanno, powtórz!

– Dobrze, pani Zuzanno – powtarzamy posłusznie.

– A co tam u szanownej mamusi? Mam nadzieję, że piekło ją pochłonięło! – Rechocze tak, że aż brzuch jej się trzęsie.

– Nie wiem. – Ku zdziwieniu siostry kłamię jak z nut. Nie chcę, żeby babsko miało choć odrobinę satysfakcji.

– No nic. Zobaczycie, jak to jest być źle traktowanym. Już ja wam pokażę.

I faktycznie przez kolejne dni Zula wyżywa się na nas, jak tylko może, bo jakoś dziwnym trafem przypadają nam najgorsze zadania. Pracujemy przy budowie kolejnego odcinka obozu, waląc kilofami, pchając ciężkie

wózki i nosząc kamienie, i z utęsknieniem słuchamy plotek o tym, jak Niemcy przegrywają i oddają Sowiecom i aliantom kolejne miejscowości. Ponoć front się zbliża i jest szansa, że podobnie jak inni zostaniemy wywiezione do innych obozów. Obozów pracy.

Ale to wszystko jedna wielka niewiadoma. Pogłoski się szerzą, namnażają jak pchły, skacząc od pryczy do pryczy, a po chwili cały obóz od nich huczy, ale w rzeczywistości nikt niczego nie jest pewien.

Najbardziej martwię się tym, że noga Anieli nie chce wydobrzeć, mimo że już kilka tygodni minęło od czasu, gdy się tu znalazłyśmy. I choć, jak naiwnie zakładałam pierwszego dnia, nie trafiłyśmy do lekarza, czyli na rewir ⁴⁶, co być może uratowało siostrze życie, to młoda lekarka na naszym bloku nastawiła Anieli stopę, zaleciła, by ją oszczędzała, i zapewniła, że wszystko się zagoi.

Ale najprawdopodobniej na skutek ciężkiej pracy jest tylko gorzej, tak że Ali kuleje coraz bardziej. Panicznie się boję, by nie dostrzegli tego Niemcy, bo mam świadomość, z jaką łatwością pozbywają się kalek.

Pocieszenie znajduję w naszym klubie pod pająkiem.

Tydzień po przyjeździe udało nam się przenieść na pryczę niżej. W sumie to żadne szczęście, bo zmarły tam trzy kobiety i my zajęłyśmy ich miejsce. Ale jest zdecydowanie luźniej i nieco przyjemniej. Poza tym spotkałyśmy też warszawianki i dzięki temu rozmowa kleiła nam się lepiej niż z innymi. Po zmarłych zaś został dziurawy, stary koc, którym na spółkę możemy się przykryć.

– Aa! Pająk. – Cierpiąca na arachnofobię Aniela przeżywa szok. – Weź go!

– Cicho, cicho. – Lucia, gospodyni pryczy, jak mi się zdaje, uspokaja siostrę i proponuje, żeby przeniosła się w drugi jej kąt. – To Waluś. Jest z nami od kilku miesięcy. To nasz przyjaciel.

– Oszalałyście? Pajaka hodować?

– Z braku laku dobre i to. Nawet z nim rozmawiamy, a od czasu do czasu podrzucamy muszkę czy komara. Zobaczysz, przyzwyczaisz się.

I rzeczywiście, siostra o dziwo przestała krzywić się na jego widok i może nie tyle zaakceptowała, ile zaczęła tolerować jego obecność.

Śmiejemy się, że mamy, niczym kawiarenkę w mieście, swój mały klubik. To miło myśleć, że ma się do czego wracać. Dołączają też do niego co rusz nowe dziewczyny, zamieniając się miejscami. Snujemy wspomnienia, marzenia, gadamy o bzdurach i jakoś mija dzień za dniem. Choć coraz bar-

dziej my, warszawskie, powstańcze szkielety, upodabniamy się do tych obozowych.

Głównie spacerujemy po Warszawie, tej starej, przedpowstańczej. Opowiadamy, w jakich bywałyśmy kabaretach, szkołach, kawiarniach, jak przechadzałyśmy się po parkach. A potem toczą się historie miłości, zdrad i rozczarowań. To najtrudniejsze.

Bo mam za kim tęsknić. Za cudownym, kochającym, choć trochę zasadniczym mamidłem, za tryskającym humorem tatką, za Jasiem i Stasiem, naszymi rodzinnymi gapcami, którym usta się nie zamykały. Zastanawiam się coraz częściej, co by było gdyby...

Tworzę nierealne scenariusze, wyrzucając sobie, że tak źle podjęliśmy decyzje. Te małe i te duże. Co by było, gdyby nie powstanie? Pewnie Rosjanie weszliby do Warszawy jak do siebie, pytanie tylko, czy obróciliby ją w pył. Tego oczywiście nigdy się nie dowiemy.

Co by było, gdybyśmy wyjechali do dziadków na wieś, może gdzieś w góry albo, jak rodzice Zuli, do odległej Ameryki? Najbardziej jednak żałuję, że posłuchałam mamy, że nie poszłam z Tadeuszem. Że nie możemy teraz być razem.

Od czasu do czasu, gdy upewnię się, że moje sąsiadki śpią, zaciskam brudną, spracowaną dłoń w pięść i delikatnie muskam ustami, udając pocałunek. Szukam na rękę słodkich ust ukochanego. Miłości, czułych słów.

Boże, jaka ja byłam głupia, że wcześniej nie powiedziałam mu o swoich uczuciach! Żałuję, że nigdy nie spędziłam dnia sam na sam, że nie poznałam, co to rozkosz, że nie poszłam z nim do łóżka.

Martwię się, bo coraz częściej przeczuwam coś złego i boję się nawet to nazwać. Zaciskam mocniej powieki, przywołując jego obraz. Mam nadzieję, że chociaż on nigdy nie rozplynie się we mgle.

Od samego rana wyczuwa się dziwny niepokój. Niemcy się miotają, zauważam, że część z nich zaczyna się pakować. Słyszałam też, że ewakuują się pierwsze niemieckie rodziny zamieszkujące pobliskie domy. Powietrze co rusz rozrywa ryk silników samolotów i pada na nas blady strach, że zacznie się bombardowanie.

– Jak się czujesz? – Z troską pochylam się nad Anielą, wyczuwając wyraźnie, że siostra gorączkuje.

– Tak sobie, ale nie martw się.

– Boli cię coś?

– Głowa i noga, ale to nic nowego.

– Zapytam o jakieś leki.

Postanawiam znowu oddać porcję zupy, żeby tylko zdobyć jakiś lek. Porozmawiam z tą znajomą lekarką, może Ali powinna jednak trafić na rewir? Jeśli tylko znajdę kogoś, kto się nią zaopiekuje, umieszczę ją tam bez wahania.

Na razie musimy się zwlec i odbębnić koszmarny apel. Jak zwykle nas przeliczą, wściekną się, że kilku brakuje, odkryją kilka trupów na pryzkach, każą je wynieść i złożyć pod ścianą, ku uciesze szczurów, po czym przydzielą nas do odpowiednich komand. Tyle razy wypytywałam, jak się dostać do Kanady, ale wszyscy spoglądali na mnie z ubolewaniem i tłumaczyli, że mogę o tym zapomnieć. Dla Anieli byłby to ratunek.

Zula jak zwykle ustawia się tak, żeby razem z nami trafić do jednego komanda. Nie pojmuję, skąd w tej z pozoru poczciwej kobiecie tyle zawziętości i złośliwości. Myślę, że jej życiowym celem stało się gnębienie nas.

I choć jeszcze tego nie wiem, ten dzień złamie nieodwracalnie moje życie.

Tym razem mamy więcej szczęścia, bo zamiast do ciężkiej pracy przy budowie mamy się udać w pole do zbierania kamieni. Dość daleko od obozu, co dla Anieli jest sporym wyzwaniem. Na szczęście kamienie nie są szczególnie duże, a pilnujący nas esesman znany jest z tego, że niespecjalnie przykłada się do pracy. Będzie więc można trochę odpocząć.

Ponadto świeci piękne słońce, po niebie przemykają puszyste niczym baranki chmury i w innych okolicznościach, w innym miejscu byłby to cudowny dzień. Nauczyłyśmy się z takich drobiazgów czerpać siłę i radość. Gdzieś w oddali niespodziewanie huknęło, więc wszystkie jak na komendę prostujemy się i zaciekawione spoglądamy w tamtą stronę.

Nawet nasz strażnik nieprzyjemnie się wzdrygnął i zaklął pod nosem.

Dzień jak co dzień.

Zula kręci się wokół nas i głośno wygaduje, by inne więźniarki słyszały jej słowa.

– I co, warto było znęcać się nad innymi?

Nie odpowiadamy.

– W życiu jest tak, że wszystko do człowieka wraca. Żebyście wiedziały, jakie to jedno z drugim wredne, złośliwe było. Jak musiałam tyrać!

Cisza.

Najwyraźniej żadna z pracujących kobiet nie jest zainteresowana jej tyradą, co przyjmuję z wielką ulgą.

– Dokładnie rób! – Wyrywa mi kamień z ręki, czym zwraca uwagę esesmana, który zaciekawiony podchodzi do naszej grupki.

Udaję, że nie widzę zbliżającego się cienia, i intensywnie wpatruję się w kolana. Klęczę od dłuższego czasu na ziemi i czuję, że ścierpły mi nogi.

– Pan zobaczy, pracować się nie chce! – wykrzykuje Zula kulawą niemczyzną, tak że strażnik chyba nie rozumie.

– Co się tu wyprawia?

– Nic. Pracujemy bez wytchnienia – odpowiadam płynnym niemieckim, z satysfakcją patrząc na rozeźloną dawną gosposię.

I nie wiadomo, jak dalej potoczyłaby się ta dyskusja, bo niespodziewanie w tumanie kurzu zbliża się do nas z dużą prędkością buda z czterema esesmanami i kilkoma więźniami na pace. Machają do nas przyjaźnie, jakby wybierali się na wycieczkę marzeń. Samochód gwałtownie hamuje i z paki wyskakuje dwóch wyjątkowo nieprzyjemnych oprychów.

Coś tam ustalają z naszym strażnikiem, po czym łamaną polszczyzną jeden z nich każe nam się ustawić w szeregu. Sprawdzają nasz stan liczebny, przeliczając raz i drugi, i gdy wreszcie dochodzą do wniosku, że wszystko się zgadza, ten wyglądający na dowódcę, jako że zachowuje się najbardziej beczelnie, woła:

– Macie natychmiast wrócić do obozu.

Jesteśmy zdumione, bo dopiero co dotarliśmy na miejsce.

– Co się tak gapicie? Ustawiać się i marsz. Sprawa jest pilna, dlatego te, które są słabe albo nie mogą szybko iść, niech wsiądą na samochód. Zawieziemy je do obozu.

Dziwna wydaje mi się ta propozycja. Ale skoro, jak głosi plotka, obóz ma się niebawem ewakuować, skoro coraz częściej więźniowie wysyłani są w głąb Rzeszy, może ten pośpiech jest uzasadniony.

Zula jakby tylko na to czekała. Pierwsza się wyrwała, pokaszując i udając, że pociąga nogą. Jej entuzjazm udzielił się jeszcze sześciu kobietom i, o zgrozo, Anieli, która bez porozumienia ze mną zrobiła dwa kroki do przodu.

– Aniela! – wołam przerażona.

Jestem zaskoczona i w pierwszej chwili nie wiem, co począć. Ali, nie oglądając się za siebie, jakby mnie nie słyszała, idzie krok za krokiem do cholernego samochodu, kulejąc, z oczami błyszczącymi od gorączki. Zrywam się za nią i podbiegam, ale zostaję gwałtownie odepchnięta.

Brutalnie uderzona kolbą karabinu słaniam się na nogach i wracam do szeregu. To nie miało prawa się wydarzyć, miałyśmy być nierozłączne. Jak ja ją teraz odnajdę?

– Nie martw się, pewnie zabiorą ją na rewir. Znajdziesz ją. – Krystyna, z którą od pewnego czasu się przyjaźnimy, a która mieszkała w Warszawie na Hożej, trąca mnie delikatnie w ramię.

– Mam złe przeczucia.

Postowie

Los sprawił, że przecucia mnie nie zawiodły.

Już nigdy nie spotkałam, nawet nie zobaczyłam siostry.

Niemcy zakpili z nas wszystkich.

Zula, Aniela i pozostałe kobiety nie zostały przewiezione ani do swoich bloków, ani do obozowych szpitali. Prosto z samochodu trafiły do komory gazowej. Niemcy w ten złośliwy sposób skłonili nas do autoselekcji.

Nie był to jedyny taki przypadek.

Tego dnia moje życie się skończyło. Wraz z innymi więźniarkami zostałam przewieziona do Ravensbrück i tam doczekałam wyzwolenia. Ale nie miałam do kogo ani do czego wracać. Sentyment sprawił, że skierowałam swoje kroki do ukochanej Warszawy.

Miasta, którego już nie było.



Jadwiga i Jan Roguscy

Może naiwnie spodziewałam się cudu, że jednak ktoś z bliskich przeżył, że komuś się udało. Ale poza Jadwigą i jej rodziną nie przetrwał nikt. Zniknęło mieszkanie, kamienica już nigdy nie została odbudowana. Na jej miejscu stoi obcy mi budynek.

Nie odnaleźli się ciocia Róża z wujkiem Wackiem i dziećmi.

Ślad zaginął po Tadeuszu. Szukałam go wszędzie, wszelkimi dostępnymi środkami, przez Czerwony Krzyż, rozwieszałam ogłoszenia, pytałam, czekałam.

Mój ukochany zniknął.

Nikt o nim nie słyszał, nikt go nie widział. Jakby w ogóle go nie było. Pozostało po nim wspomnienie. Po latach zaczęłam się zastanawiać, czy nie był to sen. Czy mi się nie przywidział. Czy Tadzio istniał naprawdę. Czy był ktoś tak cudowny, dobry, czuły, kto mógł pokochać właśnie mnie. Taką zwyczajną mnie.

Jego zdjęcia nie znalazłam w albumach pani Jadzi. Ocalały tylko niewyraźne fotografie mamy, moje i siostry, brata. Tatusia też na nich nie ma. Przetrwały na nich obrazy ukochanej ulicy mojego dzieciństwa – Żurawiej, nasz dawny balkon, palma mamy.

Państwu Roguskim razem z dziećmi udało się wydostać z oblężonej Warszawy. Po wojnie zamieszkali w Poznaniu, a po latach dołączyli na tamtym świecie do bliskich, przyjaciół, rodziny, do mojego Tadzia. Do warszawiaków z nieistniejącej Warszawy.

Nigdy nie pokochałam już nikogo.

Nie wyszłam za mąż, nie urodziłam dzieci.

Nikt nie leczył mojej traumy, a ja z nikim nie dzieliłam się wspomnieniami ⁴⁷. Zabrałam je do grobu w 1961 roku.

Zostałam pochowana gdzieś tam, na zwykłym cmentarzu, zapewne tuż obok szczątków tak bliskich mi ludzi.

Moich ukochanych warszawiaków.

Dziękuję „Grzesiowi” Józefowi Roguskiemu, że po latach nagabywań zmierzył się z własną traumą i podzielił ze mną historią rodziny Marii oraz przekazał zdjęcia.

„Grzesiu”, jestem Ci bardzo wdzięczna.

Relacje

JANINA KOTAŃSKA [48](#)

Sierpień, 1944 rok

Miałam wówczas piętnaście lat. Byłam właściwie jeszcze dzieckiem, choć czasami wydawało mi się, że jestem starą, zmęczoną życiem kobietą.

Wojna, okupacja, moja choroba, szpital, powstanie – były to dla nas, dzieci, zbyt ciężkie doświadczenia.

Powstanie zastało mnie w Szpitalu Wolskim przy ulicy Płockiej. Pierwsze dni powstania były nadzieją na wolność, a zarazem jedną wielką rozpaczą. Walki toczyły się wokół szpitala – zginęło tyle młodzieży. Ciała grzebano w zbiorowej mogile na dziedzińcu szpitala. Zwłoki chwymano za ręce i nogi i wrzucano do olbrzymiego dołu, układano warstwami, a każda warstwa polewana czy posypywana – nie pamiętam – była wapnem.

Stałyśmy z koleżankami Lidią Zembruską, Ireną Oleśkiewicz, z Olą [...] przy oknie. Był to dla nas szok. Pamiętam, że byłam wtedy kawałkiem drewna lub kamienia, ale nie człowiekiem. Widoku tego nie zapomnę do końca życia. I w tej chwili, pisząc swoje wspomnienia, mam przed oczyma ten makabryczny widok.

Do szpitala napływali ranni powstańcy. Lokowano ich wszędzie tam, gdzie było jakiegokolwiek miejsce. Do nas również przywieziono powstańca. Był to mężczyzna w średnim wieku. Był nieprzytomny. Chwilami odzyskiwał częściowo świadomość. Wołał wówczas, żeby zaciemnić okna, bo przyjdą Niemcy i nas zabiją. Nie zdawał sobie zupełnie sprawy z tego, że został ciężko ranny w powstaniu.

Zacięte walki toczyły się do 5 sierpnia. W dniu tym Wola, jako pierwsza dzielnica Warszawy, została spacyfikowana. Niemcy burzyli domy, ludność mordowano lub wywożono z Warszawy.

Rankiem 5 sierpnia wpadli do szpitala Niemcy wraz z Ukraińcami. Spędzono chorych oraz rannych na dół do holu. Była ze mną mama, która jak co dzień wcześniej rano przyszła do szpitala. Pamiętam, jak była ubrana: miała na sobie stary płaszcz, w którym schodziła do piwnicy. Miał on wszytą wewnętrzną kieszeń, do której włożyła, wychodząc z domu, swoją biżuterię: złoty zegarek Omega ze złotą bransoletką, obrączkę, pierścione. Kolczyki miała w uszach. W rękę trzymała duży ogórek. Dlaczego tak dokładnie o tym piszę? Po prostu dlatego, że widzę ją jak żywą (biżuteria cudem ocalała, przetrwała wszelkie zawieruchy i stanowi dla mnie wielką pamiątkę po mamie i tamtych tragicznych dniach).

Mama była w szoku. Wprawdzie zabranie z domu biżuterii świadczyłoby o trzeźwości jej umysłu, jednak o czym innym świadczył fakt, że w chwili, gdy dom, w którym mieszkaliśmy, zamieniał się na jej oczach w stos gruzu – cenniejszy wydawał się jej po prostu ogórek, a nie na przykład futro czy walizka z odzieżą, która zawsze awaryjnie była przygotowana do wnieśienia.

Pamiętam, jak w holu stałyśmy ściśnięte w tłumie. Mama w zniszczonym, starym płaszczu, ja w koszuli, szlafroku i rannych pantoflach. Inni pacjenci również w szpitalnym odzieniu. Otoczeni byliśmy łańcuszkiem Ukraińców uzbrojonych po zęby i zachowujących się bardzo głośno i agresywnie. W kancelarii szpitala mieszczącej się z lewej strony od wejścia z ulicy – na podłodze (drzwi były otwarte) leżały zwłoki profesora Janusza Zeylanda (byłam od początku pobytu w szpitalu jego pacjentką), dyrektora szpitala doktora Piaseckiego ⁴⁹ (imienia nie pamiętam) i księdza kapelana.

Był to widok wstrząsający. Przeczuwaliśmy, że i nas to czeka.

Mama szeptała mi do ucha: „Jak zaczną strzelać, od razu padaj, może ocalejesz”. Gdy mama zobaczyła, że Ukraińcy zdejmują kobietom obrączki i pierścienie, wyrywają z uszu kolczyki, zdjęła szybko kolczyki i schowała je do tamtej spodniej kieszeni. Dzicz ukraińska (trudno to inaczej nazwać) wyciągała z tłumy młode dziewczęta. Żołnierze ciągnęli je na korytarze i tam gwałcili. I mnie spotkałby podobny los, gdyby nie jedna z lekarek, która odciągnęła ode mnie Ukraińca, mówiąc mu prawdopodobnie (mówiła po rosyjsku), że jestem chora na jakąś zakaźną, groźną chorobę. Odepchnął mnie z wyraźnym wstrętem, a ja szybko wcisnęłam się w tłum. Nie zapomnę przerażonych oczu mamy.

Wśród nas, pacjentów, krążyły różne przypuszczenia. Jedni mówili, że zrobią z nas tarcze ochronne dla czołgów, inni, że mają nas na ulicy roz-

strzelać.

Niemcy kazali mężczyznom wychodzić ze szpitala. Pamiętam, że minął nas znajomy mojej mamy, ubrany był w biały fartuch. Mama później przypuszczała, że ktoś z personelu dał mu ten fartuch, myśląc, że lekarze i sanitariusze ocaleją (nie pracował w służbie zdrowia i prawdopodobnie ktoś z jego bliskich leżał w szpitalu, a on przyszedł go odwiedzić).

Z tego, co pamiętam, wyprowadzono ze szpitala wszystkich lekarzy, pielęgniarzy, salowych, studentów medycyny, którzy odbywali tam praktyki. [...]

Wszystkich wymordowali [50](#).

Losów ludzkich przewidzieć nie sposób.

W szpitalu został jeden tylko lekarz, doktor Wesołowski (nie jestem pewna, czy dokładnie zapamiętałam nazwisko), który leczył chorą Niemkę czy folksdojczkę. Wyprowadzono nas przed szpital pod eskortą Ukraińców. Pamiętam, że poruszali bez przerwy pasami z nabojami, które mieli przewieszane przez piersi. Robili to chyba celowo, żeby jeszcze bardziej potęgować grozę wśród nas.

Przed szpitalem, wzdłuż ulicy Płockiej wykopane były dość głębokie rowy. W chwili, gdy Ukraińcy czy Niemcy, już nie pamiętam, kazali nam przy nich stanąć – śmierć była prawie nieunikniona. Jednak nie sądzono nam było zginąć. Uformowano z nas olbrzymi pochód. Był to pochód naprawdę tragiczny. Ludzie w bieliźnie i kapciach, ranni o kulach, z rękami na „samolotach”, niektórzy obandażowani jak mumie, wielu chorych i rannych na noszach, niewiele osób cywilnych, które, tak jak mama, przyszły do swoich bliskich. Spośród tego tłumu wyróżniały się duże, białe kapelusze siostr szarytek. Byłam wraz z mamą w środku tego pochodu, którego obrzeże stanowili Niemcy z psami na smyczy oraz Ukraińcy. Pochód przechodził ulicą Górczewską. Na jezdni leżały walizki i tobołki z porzrzuconymi rzeczami. Niemcy strzelali do każdego, kto usiłował cokolwiek z ubrania podnieść. A przecież szliśmy prawie nadszy i bosi.

Byliśmy pędzeni jak zwierzęta. Po raz drugi w życiu miałam wrażenie, że jestem wewnątrz skamieniała, że porusza mną jakiś mechanizm. Zasłaniałam sobą mamę, która była kaleką i ledwie szła. Wiedziała, że nie może upaść. Kto upadł, ten już nie wstawał. Ponadto kalectwo mamy było bardzo widoczne (była niska, ułomna, z wielkim garbem na plecach), a Niemcy nie tolerowali kalek. Szliśmy przytulone do siebie, w środku tego ogromnego tłumu – omijając kałuże krwi i rozkładające się zwłoki. Potworny był

widok zwęglonych zwłok starej kobiety. Cudem ocalały tylko długie, siwe włosy.

W pewnym momencie, gdy chciałam ominąć wielką plamę krwi, ktoś popchnął mnie do środka. Kapcie nasiąkły krwią i właściwie były już nie do użytku. Gdybym się jednak ich pozbyła, musiałabym iść dalej boso. A to byłoby jeszcze gorsze. Szliśmy więc dalej wśród płonących domów i ruin, a w mojej głowie tkwiła tylko jedna, jedyna myśl: nie będę już miała nigdy umeblowanego mieszkania. Był to na pewno objaw patologiczny, ale i sytuacja była patologiczna. Do dziś nie mogę zrozumieć, dlaczego idąc na śmierć, myślałam o nieumeblowanym mieszkaniu.

Doprowadzono nas do wiaduktu kolejowego na ulicy Górczewskiej. Stałiśmy na jezdni w dole, a na zboczach, na górze, po obu stronach kordon Niemców i Ukraińców. Rechotali głośno i zacierając ręce, mówili: „*Fleisch, Fleisch!*”.

W pewnym momencie Ukraińcy przywieźli na taczce zwłoki zabitego Niemca. Jego pobratymcy z wściekłością zaczęli nabijać karabiny maszynowe i lufy kierować w naszą stronę. I znowu mama powiedziała: „Natycho, miast padaj!”.

I znowu nie sążone nam było zginąć. Ktoś przekazał Niemcom rozkaz, który uratował nam życie. Mówiono później, że był to rozkaz od Reinhardta, aby nie rozstrzeliwać ludności cywilnej. Nie wiem, czy tak właśnie było, faktem jest jednak, że ustawiono nas znowu w kolumnę i popędzono do znajdujących się w pobliżu wiaduktu baraków kolejowych, w których mieściły się warsztaty naprawcze. Nie pamiętam już, czy były to dwa, czy trzy ciemne baraki. Wpędzono nas do jednego z nich. Stało w nich dużo maszyn i było bardzo brudno. Był to brud, powiedziałabym, „produkcyjny”, to znaczy taki, jaki pracując po wojnie w inspekcji, widywałam w halach produkcyjnych. Maszyny tamte kojarzą mi się teraz z tokarkami, frezarkami i innymi urządzeniami. [...]

Ubito nas w tym baraku tak, że nie można się było poruszyć. Duszno było potwornie, a okratowane okna były szczelnie zamknięte. W nocy Niemcy spalili sąsiedni barak wraz z ludźmi. Słysząc było jedno wielkie wycie żywcem palonych. Przez nasze okienka widzieliśmy ogień i czekaliśmy na naszą kolej. Nie ma sensu pisać, co wówczas czułam, bo zrozumie to tylko ten, kto to przeżył. Przetrzymano nas w tym baraku do rana, a rano, jeśli dobrze pamiętam, popędzono ulicą Sokołowską do Wolskiej i Wolską na Jelonki. Przed zakładami Gerlacha mieszczącymi się przy ulicy Wolskiej

leżał stos trupów, na szczycie tego stosu leżało małe dziecko w jasnej, pokrwawionej koszulce. Dziecko to jeszcze żyło, gdyż widać było, jak się porusza.

Szliśmy otepiali tym, co się wokół nas działo. Byliśmy brudni, głodni, zmęczeni. Gdy przechodziliśmy przez pola, udawało nam się czasem podnieść pomidora, ogórek czy coś innego, co nadawałoby się do zjedzenia. Czasami ktoś wynosił wodę, którą łąpczywie pili ci, którzy szli z brzegu. I tak doszliśmy do obozu na Jelonkach. Był to olbrzymi teren ogrodzony siatką (obóz był pod gołym niebem). Nie pamiętam, jak długo nas tam trzymano.

Na Jelonkach mieszkała moja koleżanka ze szkoły podstawowej numer 139, Wanda Malewska. Był tam niewielki murowany domek z ogródkiem. Nie pamiętam już, w jaki sposób udało nam się wyjść poza ogrodzenie obozu. Wyszłam z mamą i koleżankami. Poszłyśmy do Wandy i tam byłyśmy chyba kilka dni. Jelonki jednak były przeczesywane przez Niemców i Ukraińców, którzy szukali uciekinierów z obozu i ukrywających się powstańców. Docierały do nas wieści, że dziewczęta i kobiety gwałcone są w okrutny sposób, a później zabijane. Pamiętam, jak uciekłyśmy z koleżankami przez okno do sadu i tam schowałyśmy się w dole wypełnionym jakimiś gałęziami i liśćmi. Na szczęście Ukraińcy nas nie znaleźli.

Dowiedziawszy się, że szpital ma zostać ulokowany w Podkowie Leśnej, wróciłyśmy do obozu. I rzeczywiście wywieziono nas kolejką EKD do Podkowie Leśnej. Daty niestety nie pamiętam. W pobliżu stacji (z lewej strony, jadąc z Warszawy) znajdował się ozdobny piętrowy budynek nazywany kasynem. Zostałyśmy wraz z koleżankami ulokowane w dużej sali, której ściany wyłożone były wielkimi lustrami. Stało w niej kilkadziesiąt łóżek (może kilkanaście, ale wydawało mi się, że było ich bardzo dużo) dookoła pod ścianami i na środku. Były również niezależne od wejściowych drugie drzwi zamknięte na stałe. Okazało się później, że część budynku zajmują Niemcy i że za tamtymi drzwiami znajduje się kasyno oficerskie. Gdy wracam do tamtych przeżyć i wspomnień, wydaje mi się dziwne, że Niemcy, którzy panicznie bali się wszelkich chorób, a zwłaszcza chorób zakaźnych, nie rozstrzelali nas, ale przebywali z dziećmi chorymi na gruźlicę. A choroba zbierała wtedy żniwo. Brak było podstawowych leków, nie mówiąc o specjalistycznych, nie było środków higieny, ba! nie było nawet wody.

Pamiętam, jak z Alą Wcisło chodziłyśmy prawie do końca listopada do lasu, żeby myć się w jakimś stawie.

Siostry zakonne, siostra Stasia i siostra Róża, opiekowały się nami pełne poświęcenia. Zdobywały cudem żywność.

W piekle powstania. Młodzież na barykadach

Pierwsze strzały zwiastujące wybuch Powstania Warszawskiego padły 1 sierpnia około godziny trzeciej po południu w północnej dzielnicy miasta. Pojedyncze początkowo strzały pistoletowe i karabinowe zwały się stopniowo w jeden drgający akord, akcentowany częstymi wybuchami granatów. O piątej po południu nie było już chyba dzielnicy miasta, w której by nie walczone.

Ludzie powracający z pracy do domów lub pracujący w otwartych jeszcze sklepach czy zakładach zostali całkowicie zaskoczeni przez wybuch powstania. Każdy schronił się pospiesznie, gdzie popadło, licząc na to, że strzelanina niedługo się skończy. Huk strzałów nie należał ostatnio do rzadkości na ulicach Warszawy, wszyscy więc byli pewni, że i tym razem chodzi o jakąś lokalną „akcję”.

Tymczasem godziny mijały, a odgłosy walki zamiast przycichać, przybierały na natężeniu. Zapadł zmrok. Równocześnie warunki atmosferyczne uległy dalszemu pogorszeniu. Lunął uporczywy rzęsisty deszcz. Nisko pędzące napęczniałe wilgocią chmury oświetliła krwawa łuna pożarów. Tym razem nikt już nie miał wątpliwości. To nie była lokalna potyczka, ale regularna bitwa. Wybuchło powstanie!

Tej nocy mało kto spał w Warszawie, chociaż nareszcie prywatne domy mieszkalne nie były na ogół niepokojone. Walki toczyły się na ulicach w pobliżu punktów strategicznych, które powstańcy pragnęli opanować za pierwszym uderzeniem. Zamiar ten udał się tylko częściowo, powodując przerwanie komunikacji na głównych arteriach przelotowych miasta oraz otoczenie i odcięcie niektórych niemieckich punktów oporu. Opanowanie za jednym zamachem całego miasta nie powiodło się jednak i fakt ten z góry przesądził cały los powstania, stanowiąc równocześnie tragiczny wyrok śmierci, zniszczenia i nędzy dla całego miasta i jego nieszczęsnych mieszkańców.

Ktokolwiek tylko umiał patrzeć i wyciągać ze swych spostrzeżeń logiczne wnioski, już w drugim dniu powstania nie mógł mieć co do tego jakichkolwiek wątpliwości. W dniu tym pojawili się w prywatnych domach

pierwsi powstańcy, niemal bez wyjątku młodzi chłopcy w wieku lat 16–18, przeważnie w cywilnych ubraniach z biało-czerwonymi opaskami na ramieniu. Dowódcami ich byli niewiele starsi porucznicy z dumą obnoszący swoje gwiazdki na wyciągniętych z ukrycia przedwojennych kurtkach oficerskich. Wielu powstańców posiadało hełmy szturmowe. Uzbrojenie natomiast było słabe i niejednolite, przeważnie pistolety kalibru 7 i 9, rzadziej karabiny, gdzieś tam „rozpylacze” i „filipinki”, czyli lekka broń szybkostrzelna. Uzupełnieniem tego ekwipunku były granaty ręczne w ilości raczej niewystarczającej oraz butelki z benzyną.

Widok tego kwiatu warszawskiej młodzieży, porywającej się na czyn o nieobliczalnych skutkach, wywołał w reszcie społeczeństwa dwojakie uczucia. Młodzież entuzjazmowała się każdą wiadomością z pola walki, poczytując każde rozbrojenie posterunku niemieckiego, każde zdobycie przejeżdżającego samochodu za decydujące zwycięstwo. Na gwałt szyto sobie biało-czerwone opaski, co prowadziło do gorszących nieporozumień, gdy dowódcy musieli odstawić niepowołanych ochotników, wyjaśniając, że ważne są tylko opaski z nadrukiem i numerem. Starsze pokolenie, które obiecywało sobie w spokoju dożyć do końca wojny, zajęło w stosunku do powstania stanowisko raczej chłodne. Nierzadkie były wypadki, że powstańców sadowiących się w domach proszono ze łzami w oczach, aby poszli sobie gdzieś dalej i nie ściągali na głowy kobiet, dzieci i starców niespodziewanej kontrakcji niemieckiej. Naturalnie młodzi fanatycy byli głusi na tego rodzaju prośby.

Dla bezstronnego obserwatora tych wszystkich faktów i objawów z każdą upływającą chwilą stawało się rzeczą coraz bardziej jasną, że cały ten młodzieńczy poryw do niczego dobrego nie doprowadzi. Siły i uzbrojenie powstańców oraz ich organizacja i kredyt moralny w społeczeństwie były za słabe dla samodzielnego uzyskania rozstrzygających sukcesów. Szalę walki mogło przechylić na ich korzyść tylko nadejście pomocy z zewnątrz. Tymczasem komunikat niemiecki doniósł o dotarciu sił bolszewickich na wschód od Pragi. Ucichł huk armat zza Wisły, zniknęły sowieckie samoloty, a z nimi nadzieja rychłej odsieczy dla powstańców.

A Anglicy? A polski rząd w Londynie? I z tej strony nie można sobie było robić żadnych nadziei. W oficjalnym powstańczym „Biuletynie Informacyjnym”, w powodzi zwykłych podnoszących na duchu frazesów, można było wyczytać, że urzędowe czynniki emigracyjne ciągle konkurują, podróżują, zabiegają, zapewniają, przesyłają słowa podziwu i otuchy, ale o żadnej

konkretnej pomocy nie było ani słowa. Już po paru dniach powstania stało się jasne jak na dłoni, że Warszawa została pozostawiona swojemu tragicznemu losowi, stojąc osamotniona w obliczu potęgującej się z każdą chwilą akcji bojowej wojsk niemieckich [51](#).

WANDA CHMIELEWSKA [52](#)

Trochę wspomnień o moim domu przy ulicy Żurawiej 20 i chwilę przed wybuchem Powstania Warszawskiego.

Nasz dom czteropiętrowy był duży, o dwóch podwórkach, były w nim pięćdziesiąt dwa mieszkania.

Mieszkali w nim różni ludzie: byli lekarze, doktor Zaremba, doktor Klimkiewicz, byli adwokaci, był Precel (wyprowadził się w czasie okupacji), był A. Prymak, który podjął chyba w 1942 roku współpracę z Niemcami, ale mieszkał w naszym domu do końca, na dwa, trzy dni przed wybuchem powstania z całą rodziną (żona lekarz stomatolog i dwie córki) ulotnili się z naszego domu.

Mieszkała pani Wejnauch, której starszy syn z pierwszego małżeństwa był w niewoli niemieckiej, a młodszy syn był w gestapo.

Mieszkali szewc, krawiec, kuśnierz, był warsztat mojego ojca. Mieszkała hrabina Żaba oraz wielu miłych prostych ludzi, którzy nie przeszkadzali sobie i żyli w zgodzie. Było dużo młodzieży i dzieci, było bardzo miło i spokojnie. Czasy okupacji zbliżyły mieszkańców do siebie, po godzinie policyjnej zbierali się na pierwszym podwórku lub w bramie, gdzie były ławeczki, i rozmawiali.

Pod koniec okupacji cywilnym komendantem naszego domu był pan Antoni Stelik, lokator mieszkania dwadzieścia siedem. Zorganizował dwie drużyny, które pilnowały naszego domu już od 1 sierpnia 1944 roku, szczególnie pilnowano dachu przed pożarem.

Na kilka dni przed powstaniem wyczuwało się napiętą atmosferę.

Dwa dni przed powstaniem wyszedł z naszego mieszkania starszy brat Jerzy Waszkiewicz „Paweł” do swojego zgromadzenia i już go więcej nie zobaczyłam.

Uciekli Prymakowie z córkami, coś się zaczęło dziać dziwnego. Nie wszyscy wiedzieli, że Prymak był na usługach Niemców, nawet nie zdawała sobie z tego sprawy młodsza córka Hanka, która była moją rówieśniczką

i dzień wcześniej oznajmiła mi z radością, że Niemcy kapitulują i ona nie musi wyjeżdżać (wysłuchała w radiu, które mieli, że Niemcy szybko opuszczają nasz kraj). Nazajutrz już ich nie było, cała rodzina uciekła.

1 sierpnia było spotkanie młodzieży w naszym mieszkaniu. Kolegów młodszego brata Bohdana „Szymona”. Po spotkaniu chłopcy zaczęli wychodzić w odstępach co kilka minut. Ostatni wyszedł przed godziną „W” mój brat Bohdan i zaraz potem słychać było pojedyncze strzały na ulicach.

Wszyscy bardzo się cieszyli, że będziemy wolni, ale nikt nie przewidywał, co nas jeszcze czeka. Zaczęły się dni euforii, ludzie spotykali się, cieszyli.

Wiele obcych osób znalazło się wśród nas, byli to ludzie, którzy nie zdołali dotrzeć do swoich domów. W naszym domu zorganizowano punkt sanitarny, który prowadził doktor Saunor. Kilka dziewcząt, między innymi ja, starało się być potrzebne, ale było spokojnie, nic złego się nie działo. Ludzie spotykali się na pierwszym podwórku, bo było duże i zaglądało tu słońce. Można było odetchnąć świeżym powietrzem i poczytać prasę powstańczą, którą dostarczali harcerze.

Przebito przejścia w piwnicach między budynkami, więc można było przechodzić bez obaw.

Szokiem dla wszystkich było pojawienie się Zofii Makowieckiej, która przysła od ulicy przez bramę Żurawiej 20, mimo strzałów, z dwoma wózkami i trójką dzieci. Młodszy Michał miał cztery miesiące, córka Krysia dwa lata, a Elżbieta cztery.

1 sierpnia wyruszyła z domu na Saskiej Kępie, wybuch powstania zastał ją na środku mostu Poniatowskiego. Szła dalej, chciała być bliżej rodziny i męża, który był w zgrupowaniu „Bełt” (na Żurawiej). Bardzo silna strzelanina zmusiła ją do zatrzymania się na ulicy Smolnej, ale na drugi dzień rano, czyli 2 sierpnia, ruszyła dalej i ku zdziwieniu i radości rodziny znalazła się u nas na Żurawiej 20. Wieczorem rozpoczęto budować barykadę na naszej ulicy między numerem szesnaście a dziewiętnaście.

Minęło spokojnie kilka dni.

10 sierpnia w bardzo słoneczny dzień na pierwszym podwórku było jasno i wesoło. Zebrało się sporo ludzi, ponad dwadzieścia osób, które jak zwykle czytały prasę, siedziały po prawej stronie podwórka, gdzie było najwięcej słońca.

To, co nastąpiło, było straszne. Rozległ się huk i zrobiło się ciemno, wszystkich ogarnął tuman pyłu i słychać było jęki.

Są to słowa pani Ireny Franke, która była wśród tych ludzi i została ranna. Żyje do dziś i ma dziewięćdziesiąt lat. Okazało się, że w nasze podwórko z lewej strony, w moją klatkę schodową trafił pocisk – granatnik z Ogrodu Saskiego, odłamki poleciały na grupę ludzi, którzy byli po prawej stronie. Wszyscy zostali ranni, wielu zginęło lub zmarło od odniesionych ran. Niewielu przeżyło i żyje do dziś. Wtedy została ranna moja mama i w nocy zmarła, zginęła młoda dziewczyna, młody chłopak, mała dziewczynka, którą mama zносиła po schodach, bo miała nogę w gipsie, matka nie widziała, że znosi już martwe dziecko. Była ranna pani, która zatrzymała się w naszym domu i sprzedawała gazety, zmarła w nocy.

Lokator z drugiego podwórka, ciężko ranny w brzuch, leżał na schodach i niedługo zmarł. Do dzisiaj żyją pani Irena Franke, ciężko ranna w nogę. [...] Andrzej Olczak (brat cioteczny), bardzo ciężko ranny, żyje, miał dziesięć lat. Gospoia Prymaków, ranna, żyła do kapitulacji, potem już nie wiem (po ucieczce pracodawców nie miała gdzie się podziać i została w naszym domu).

W czasie tego wypadku nie było mnie w domu, zostałam wysłana na Żurawią 4 po środki opatrunkowe, gdzie dotarła do mnie wiadomość, co się w moim domu stało.

Biegłam piwnicami do domu, byłam już przy schodach piwnicy, ale nie byłam w stanie przejść po ciężko rannym człowieku, który leżał na schodach z otwartym brzuchem.

Musiałam się wycofać i przejść piwnicami do Kruczej, potem do Nowogrodzkiej i dopiero od tyłu wejść do naszego domu.

To, co zobaczyłam, nie mieściło mi się w mojej czternastoletniej głowie. Podwórko było zupełnie inne, zrobiło się całe w kolorze cegieł, bo tynk odpadł. Dom stał, to był już zupełnie inny dom. Zabici i ranni zostali zabrani z podwórka i przeniesieni do szpitali, zanim przyszedłam do domu. W naszym punkcie sanitarnym zobaczyłam ranną moją mamę i jeszcze kilka osób, małego kuzyna Andrzeja Olczaka, dziesięciolatek, którego nie poznałam, bo cały był w bandażach, ciężko ranny.

Doznałam szoku, nie wiedziałam, co się stało, dlaczego ludzie są ranni. Dlaczego nie żyją. Nie wiem, co robiłam, jak się znalazłam w mieszkaniu. Dowiedziałam się, że mamę i tę panią, co sprzedawała gazety, przenieśli do szpitala na Wspólną 27, gdzie w nocy obydwie zmarły.

Byłam ciągle w szoku, wiedziałam tylko, że ojciec i mój najmłodszy brat, sześciolatek Adam, żyją, bo byli w tym czasie na strychu. Ojciec miał

sprawdzić, czy na dachu wszystko w porządku.

Nie mogłam dojść do siebie, nie mogłam zrozumieć, przecież to początek powstania. Było u nas spokojnie, ludzie cieszyli się wolnością, a to, co się stało, było straszne i trudne do zrozumienia.

Nie wiedziałam, że spotka mnie jeszcze wiele nieszczęść i stracę dwóch braci, żołnierzy Armii Krajowej, którzy zginęli, walcząc. Jerzy pseudonim „Paweł” zgrupowanie „Baszta” i Bohdan pseudonim „Szymon” zgrupowanie „Chrobry II”. O śmierci braci dowiedziałam się w dniu kapitulacji.

Trzy osoby, które straciłam w czasie Powstania Warszawskiego, mama i bracia, to za dużo na moje czternaście lat. Nigdy nie zapomnę tych tragicznych chwil. Każda rocznica Powstania Warszawskiego to dla mnie wielki ból i żal.

1. Jerzy Waszkiewicz, urodził się 4 lutego 1925 roku w Warszawie, pseudonim „Paweł”, strzelec batalionu „Baszta”, kompania K-2, zginął w walce 13/14 sierpnia 1944 roku przy Madalińskiego róg Kazimierzowskiej (jest tam tablica pułku „Baszta”, na której są upamiętnieni żołnierze polegli w tym miejscu, jest ich pięciu, w tym mój brat). Odznaczony pośmiertnie Krzyżem Walecznych i Krzyżem Powstańczym.
2. Bohdan, urodził się 4 października 1926 roku w Warszawie, pseudonim „Szymon”, starszy strzelec pierwszej kompanii I baonu zgrupowanie „Chrobry II”, ranny na posterunku 16 września 1944 roku, zmarł 17 września. Odznaczony pośmiertnie Krzyżem Walecznych i Krzyżem Powstańczym.
3. Helena Waszkiewicz, matka dwóch powstańców, ranna 10 sierpnia 1944 roku na ulicy Żurawiej 20, zmarła 11 sierpnia 1944 roku.

1 sierpnia 1944 roku w naszym mieszkaniu przy ulicy Żurawiej 20 było ostatnie spotkanie młodzieży przed wybuchem powstania. Młodzież wychodziła do akcji w odstępach kilkuminutowych, ostatni chłopiec wyszedł o godzinie 16.45, tuż przed godziną „W”. Nie dotarli jednak do swojej jednostki, pięciu z nich dotarło do zgrupowania „Chrobry II”, w tym mój brat, który wymienił ich nazwiska w liście do domu.

Ojciec, Wincenty Waszkiewicz, miał warsztat, pracownię blacharską w naszym domu przy ulicy Żurawiej 20, gdzie po godzinie policyjnej (zamknięta brama wejściowa) pod koniec roku 1943 robił czerepy do granatów na potrzeby Armii Krajowej (ja nazywałam te czerepy pudełeczkami). Mieliśmy dużo szczęścia, bo nakrył ojca przy pracy gestapowiec, który przyszedł w odwiedziny do swojej matki mieszkającej w naszym domu. Jeden syn był w gestapo, a drugi w niewoli niemieckiej.

Ponieważ znał nas od dziecka i często zaglądał do warsztatu, dał ojcu dwadzieścia cztery godziny na pozbycie się tej produkcji i całe szczęście, że tak się stało.

W czasie powstania ojciec też udzielał się społecznie; wiercił studnię artezyjską w trójkącie Mokotowska, Piusa XI i Krucza (skwer na Mokotowskiej). [...]

Pamiętam, jak ojciec wrócił do domu i powiedział, że zwrócił uwagę młodemu człowiekowi, który robił zdjęcia: „Lepiej byś nam pomógł, niż zajmował się głupotami” (częste słowa mojego ojca).

Młody fotograf, Sylwester Braun, odpowiedział: „Kto wie, może dzięki temu, że zrobiłem ci zdjęcia, będzie wiadomość, żeś kopał studnię”.

I tak dla historii zostały zdjęcia i słowa Sylwestra Brauna.

RADA ŻYDOWSKA

7 października 1939 roku Niemcy utworzyli w Warszawie Radę Żydowską (Judenrat) złożoną z 24 osób. Na jej czele stanął Adam Czerniaków. Pierwsze prześladowania Żydów ze strony władz niemieckich miały miejsce już w październiku 1939 roku. Zablokowano im konta bankowe i depozyty. Na Żydów między 14 a 60 rokiem życia nałożono przymus pracy. Wprowadzono specjalne kartki na żywność. W tym czasie w Warszawie mieszkało 359 827 Żydów. Dodatkowo do jesieni 1940 roku do Warszawy przybyło około 90 000 uciekinierów z ziem polskich włączonych do Rzeszy, a także z innych części kraju.

Niemcy stopniowo ograniczali prawa i swobody ludności żydowskiej. Wprowadzono nakaz noszenia na prawym ramieniu opasek z gwiazdą Dawida. Oznakowane miały zostać wszystkie sklepy i zakłady. Na początku 1940 roku zamknięto synagogi i zabroniono zbiorowych modlitw w domach.

Wczesną wiosną teren dawnej dzielnicy żydowskiej został odgradzony od reszty miasta drutem kolczastym i oznaczony jako obszar epidemii. Pod koniec marca władze niemieckie nakazały Judenratowi wzniesienie murów.

Jesienią wprowadzono zakaz wstępu Żydom do określonych części miasta. Mogli oni poruszać się tylko specjalnie oznaczonym tramwajem. 12 października 1940 roku gubernator dystryktu warszawskiego, Ludwig Fischer, wydał rozporządzenie o utworzeniu getta w Warszawie. Wszyscy

Żydzi mieszkający w innych częściach miasta mieli się tam przenieść. Ostatnim dniem przeprowadzki do getta był 14 listopada 1940 roku. Dwa dni później getto zostało zamknięte.

Getto warszawskie było największe w okupowanej przez Niemcy Europie. Pierwotnie zajmowało obszar 307 ha. Największą liczbę przebywających w getcie zanotowano w kwietniu 1941 roku – około 450 000 osób. Stopniowo liczba ta się zmniejszała na skutek głodu, chorób czy prześladowań ze strony władz niemieckich. W lipcu 1942 roku Niemcy zarządzili akcję wysiedleńczą. W rzeczywistości oznaczało to wywiezienie ludności żydowskiej do nazistowskiego obozu zagłady w Treblince i śmierć w komorach gazowych. W czasie od 22 lipca do 21 września 1942 roku wywieziono i zamordowano ponad 275 000 Żydów z getta warszawskiego.

W Warszawie pozostało około 35 000 Żydów. Byli to przeważnie ludzie młodzi, samotni, często już zubożeli na rzeczywistość po stracie najbliższych. Jednak w tej atmosferze rezygnacji pojawił się pomysł zbrojnego oporu przeciwko Niemcom. W marcu 1942 roku, z inicjatywy działaczy lewicowych – Józefa Lewartowskiego, Mordechaja Anielewicza, Josefa Kapłana, Szachno Sagana, Józefa Saka, Icchaka Cukiermana i Cywii Lubetkin – doszło do powstania Bloku Antyfaszystowskiego. Organizacja ta stała się załącznikiem utworzonej kilka miesięcy później Żydowskiej Organizacji Bojowej (ŻOB). Jesienią 1942 roku powstał Żydowski Związek Wojskowy (ŻZW) – formacja zbrojna utworzona przez syjonistów rewizjonistów z Organizacji Syjonistycznej, Nowej Organizacji Syjonistycznej i Betaru – dowodzona przez Leona Rodala i Pawła Frenkla. Ich główna kwatera mieściła się pod adresem Muranowska 7. Nawiązano kontakt z polskim podziemiem.

Na początku kwietnia 1943 roku pojawiły się informacje o likwidacji fabryk na terenie getta i wywiezieniu wszystkich pracowników. 19 kwietnia 1943 roku, kiedy Niemcy wkroczyli do getta, aby je zlikwidować, zaatakowali ich żydowscy bojownicy. Wybuchło powstanie. Walki trwały do połowy maja. 8 maja 1943 roku Niemcy otoczyli bunkier komendy ŻOB. Dowodzący Mordechaj Anielewicz razem z innymi bojownikami popełnili samobójstwo. Potem powstańcy prowadzili jeszcze sporadyczne potyczki. Nielicznym udało się wydostać kanałami poza obszar getta. 16 maja 1943 roku została wysadzona Wielka Synagoga na Tłomackiem. Miało to być symboliczne potwierdzenie zdławienia powstania i likwidacji warszaw-

skiego getta. W kolejnych miesiącach Niemcy zrównali z ziemią dawną dzielnicę żydowską.

Jedynie nieliczni warszawscy Żydzi przeżyli Zagładę. W 1946 roku w Warszawie przebywało około 18 000 Żydów. Większość z nich nie wróciła do miasta, osiedliła się na tzw. Ziemiach Odzyskanych lub wyjechała z Polski. Życie Żydów zamieszkałych w Warszawie koncentrowało się głównie na Pradze, wokół ul. Jagiellońskiej i Targowej, gdzie swoje siedziby miały żydowskie organizacje; natomiast po drugiej stronie Wisły – w okolicach ulicy Poznańskiej i Alej Jerozolimskich, funkcjonowała organizacja Ha-Szomer Ha-Cair.

W lutym 1945 roku przeniesiono do Warszawy, utworzony jesienią poprzedniego roku w Lublinie, Centralny Komitet Żydów w Polsce (CKŻwP). Jego siedziba znajdowała się na Pradze przy ul. Targowej 44. W komitecie zasiadali przedstawiciele wszystkich funkcjonujących wówczas ugrupowań żydowskich. Pierwszym przewodniczącym został dr Emil Sommerstein, później funkcję tę sprawował Adolf Berman. Działalność CKŻwP była dofinansowywana m.in. przez Joint. Najważniejszy cel komitetu stanowiła pomoc materialna i psychologiczna Żydom ocalałym z Zagłady. Rejestrowano ich i pomagano im w poszukiwaniach rodzin. CKŻwP koordynował działalność wszystkich żydowskich instytucji, towarzystw i szkół. Organem prasowym było pismo w jidysz „Dos Naje Lebń” (początkowo wydawane w Łodzi) oraz „Biuletyn Żydowskiej Agencji Prasowej” (wydawany w postaci maszynopisu powielanego od jesieni 1944 roku, początkowo w Lublinie, następnie w Warszawie do 1950 roku). W Warszawie istniał również Warszawski Komitet Żydowski ze swoimi miejscowymi oddziałami, podlegający CKŻwP. W 1950 roku został przekształcony w Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Żydów w Polsce (TSKŻ), którego organem prasowym było pismo „Folks Sztyme”.

**RELACJA BYŁEJ WIĘŹNIARKI KL AUSCHWITZ-BIRKENAU
IRENY JERUSZKI, W OBOZIE ADAMCZYK, NUMER OBOZOWY
87664, DEPORTOWANEJ DO KL AUSCHWITZ WRAZ Z MĘŻEM
Z OBOZU W PRUSZKOWIE 4 WRZEŚNIA 1944 ROKU [53](#)**

W dniu wybuchu powstania umówiliśmy się z mężem, że spotkamy się o godzinie 13.00 na obiedzie u moich teściów, którzy mieszkali na Krakowskim Przedmieściu. Kiedy przyjechałam do nich z dzieckiem, był tam już brat męża, Józef Adamczyk, oficer AK w Wolbromiu, który przyjechał specjalnie wziąć udział w powstaniu.

Po obiedzie zostawiłam dziecko i potrzebne dla niego rzeczy matce i wysłałam z mężem i szwagrem. Z tym, że szwagier od razu odłączył się od nas. Nie wiedziałam jednak, dokąd idzie. Nie znałam też jego pseudonimu, dopiero potem spotkaliśmy się przypadkiem na Starówce.

My z mężem udaliśmy się na Żoliborz. Zbiórka miała być o piątej. O wpół do piątej poszliśmy na Dworzec Gdański, ale zostaliśmy ostrzelani przez Niemców. To był straszny ostrzał, mnóstwo ludzi wtedy zginęło. Dosłownie trzeba było się czołgać i tak dotarliśmy do Szpitala Jana Bożego. Tam dostaliśmy opaski i stawialiśmy pierwszą barykadę. [...]

Następnego dnia rano kazano nam zgłosić się na Starówce, bo na Żoliborz nie było już dojścia, ponieważ ustawiono tam pociąg pancerny. Dotarliśmy na ulicę Kilińskiego 1, usiedliśmy na schodach i zastanawialiśmy się, co robić dalej. Jak dotrzeć do komendy. [...]

Zostałam kierownikiem punktu zaopatrzenia żywnościowego odcinka Kilińskiego–Podwale. Miałam do dyspozycji harcerzy, którzy roznosili żywność w dużych wiklinowych koszach. Poza tym rejestrowałam ochotników zgłaszających się do oddziałów i pomagałam w opiece nad chorymi w szpitalu przy ulicy Kilińskiego 1. [...]

Potem było już coraz gorzej. Starówkę zaczęli strasznie nękać. 27 sierpnia bomba uderzyła w budynek numer 3. Tam był zakład dla sierot prowadzony przez siostry zakonne, które miały na trzecim piętrze swoje mieszkania. Słyszałam codziennie modlitwy tych dziewczynek. Kiedy bomba tam wpadła i rozbiła ten dom, miałam ochotę tam pójść, ale mąż przytrzymał mnie i tylko trochę gruzu na mnie spadło. Po jakimś czasie nastąpił drugi wybuch i prawie wszystkich zasypało. [...]

Kiedy już było wiadomo, że Starówka się nie utrzyma, dostaliśmy rozkaz, że powstańcy mają przejść kanałami do Śródmieścia albo zdjęć panterki i zostawić w gruzach wraz z dokumentami. Nie wolno było mieć żadnego dowodu, że brało się czynny udział w powstaniu, bo powstańcy byli rozstrzeliwani od razu. Przede wszystkim ewakuowaliśmy do kanału rannych, a sami wróciliśmy, schowaliśmy nasze panterki i dokumenty. Nigdy już ich nie odnalazłam. [...]

Szliśmy przez płonące Krakowskie Przedmieście, aż dotarliśmy na Wolę. Tam nas rozdzielili; mężczyzn od razu zawieźli do Pruszkowa, a kobiety i dzieci wpędzili do kościoła Świętego Wojciecha. Po drodze rozstrzeliwali ludzi. [...]

Następnego dnia zawieźli nas do Pruszkowa, siedzieliśmy w tych halach, rozglądaliśmy się, czy nie ma kogoś ze znajomych. Ja myślę, że nie trwało to dłużej niż dwa dni. Tam spotkałam się z mężem i szwagrem. Słyszeliśmy, że będą nas wywozić na roboty do Niemiec, z czego się ucieszyłam, bo pomyślałam, że będę mogła być razem z mężem. [...]

Nas natomiast wywieźli nie na roboty, tylko do Oświęcimia.

PAMIĘTNIK Z POWSTANIA 54 **RELACJA ROMANY GOŁĘBIEWSKIEJ**

Od 1939 roku mieszkałam w jednopiętrowym domu, w mieszkaniu dwupokojowym z kuchnią, na parterze przy ulicy Chryzostoma Paska 3 na Marymoncie. Mieszkałam wraz z rodzicami, Kazimierą i Ignacym Gołębiowskimi, siostrą Marią (nazywaną w domu Dziką) młodszą ode mnie o rok oraz najmłodszą Jolą, urodzoną w 1942 roku.

Ulica Chryzostoma Paska miała charakter wiejskiej drogi, z rosnącymi chwastami na poboczach, zaczynała się od skrzyżowania z ulicą Marii Kazimiery i dobiegała do ulicy Gdańskiej. Mój dom sąsiedował z murowanym, nieotynkowanym, dwupiętrowym domem przy ulicy Marii Kazimiery 3. Popularnie nazywanym „czerwonym domem”, ogrodzonym murem ceglany. Obok tego domu, w kierunku ulicy Potockiej, znajdował się murowany budynek w stylu pałacowym i dlatego przez okolicznych mieszkańców był nazywany „pałacykiem”.

Po tej samej stronie ulicy co mój dom stały wille poprzedzielane wolnymi parcelami: państwa Ferchów, Zielińskich, jeszcze jedna willa, następnie mury niewykończonego domu i na końcu, już na skrzyżowaniu z ulicą Gdańską, wielopiętrowy budynek mieszkalny.

Natomiast po drugiej stronie, przy samej ulicy Gdańskiej, istniały tylko fundamenty dość rozległego budynku. Murowane, dlatego przez okoliczne dzieci nazywane „murowankami”. Następnie był kawałek wolnej przestrzeni i zaczynała się zabudowa dawnej szkoły gazowej, w czasie okupacji zajętej przez Niemców (chyba nawet Wehrmacht) na koszary wojskowe.

Ogrodzona wysokim parkanem drewnianym, z budkami strzelniczymi na wartowniach. Za tymi „koszarami” był kawałek wolnej przestrzeni, następnie willa jednopiętrowa i znowu przestrzeń, już przy samej ulicy Gdańskiej. Trochę w bok, na górze, sąsiadował kościółek pod wezwaniem Matki Bożej Królowej Polski.

Jako dziewięcioletnią dziewczynkę wybuch powstania zastał mnie w „czerwonym domu” (ul. Marii Kazimierzy 3) u pani Żelazkowskiej, na zabawie z jej dziećmi Alą i Leszkiem. Usłyszeliśmy strzelaninę, najpierw w oddali, a po jakimś czasie w pobliżu domu i od strony „koszar”. Gdy ukradkiem wyjrzelśmy przez okno, zobaczyliśmy grupę młodych chłopców, którzy zza rogu naszego domu strzelali w przestrzeń w kierunku „koszar”. I jeden z tych chłopców po jakimś czasie został śmiertelnie raniony, a reszta się wycofała. A ja się bardzo denerwowałam, jak wrócę do domu. I moja mama również. Podwójnie, bo tata też nie wrócił z pracy. Ale przeżył te dwa miesiące powstania wśród obcych ludzi w okolicy ulicy Filtrowej i odnalazł nas na wysiedleniu we wsi Gruszów, koło miasteczka Łomianki.

Dopiero wieczorem, jak strzelanina trochę ucichła, mama przyszła po mnie i byliśmy już razem.

Pierwsze dni powstania jeszcze przebywaliśmy w swoich mieszkaniach, bo walki toczyły się jakby w oddali. Niemcy z „koszar” nawet wstrzymywali na krótki czas ostrzał i pozwalali ludziom wybiec na okoliczne działki zebrać trochę warzyw. A każdy niezabudowany kawałek ziemi był zagospodarowany przez mieszkańców z naszej okolicy. Nasza działka znajdowała się na niezabudowanej parceli pomiędzy domami państwa Ferchów i Zielińskich, nasza mama uprawiała ją przez całą okupację.

A najlepiej rosły na niej fasola pieszka, pomidory, cebula i ziemniaki.

To był widok niesamowity. Bo jak zbliżała się godzina tych zbiorów, to ze wszystkich pobliskich domów wybiegał tłum ludzi z workami, płachtami i kubłami i tym, co kto miał pod ręką. I szybko zbierał, rwał, kopał, aby zdążyć zebrać jak najwięcej w tym określonym czasie. Bo jak zbliżały się ostatnie minuty, Niemcy zaczęli strzelać do spóźnialskich.

Nasza mama wraz z sąsiadami również wybiegła na działkę. Pewnego razu już prawie wszyscy biegiem wracali do domu, a tylko sąsiadka, pani Marysia (Mania) Chojnacka, dalej rwała w płachtę fasolę. Mama ją przynaglała, ale ona wciąż tę fasolę rwała. I gdy zarzuciła tę płachtę z fasolą na plecy, zdążyła tylko dobiec do bunkra, który znajdował się w ogrodzeniu

„koszar”. I pod nim przykucnęła. A kule świstały jej nad głową. Jak Niemcy przestawali strzelać, to wstawiała i chciała biec dalej. Znowu zaczęli strzelać. Tak wielokrotnie. Wstawiała i kuciała. Aż jakiś Niemiec się zdenerwował i krzyknął do niej: Pójdiesz, babo, wreszcie stąd! A pani Marysia zapytała: A nie będziecie strzelać? Niemiec odpowiedział: Nie będziemy, tylko prędko wracaj do domu! I pani Marysia biegiem udała się w kierunku własnego domu. Gdy była już na schodach prowadzących do drzwi wejściowych, Niemcy puścili serię z karabinów. Ale obok drzwi, w ściany budynku. Może dla postrachu?

Ale to była połowa przygody pani Marysi tego dnia. Bo gdy ochłonęła trochę z tych wrażeń po wejściu za drzwi domu i chciała dostać się do swojego mieszkania, okazało się, że nie ma kluczy. A klucze zostały między grządkami na naszej działce. Ale następnego dnia odnalazła je i już bardzo pilnowała się, żeby zmieścić się w wyznaczonym czasie na te zbiory.

Jeszcze wtedy przebywaliśmy w swoich mieszkaniach. Tylko nie można było pokazywać się w oknach, bo zaraz Niemcy z „koszar” zaczęli strzelać. Do kuchni wchodziło się na czworakach, bo drzwi były naprzeciwko okna. A z okna był widok na całą ulicę Chryzostoma Paska aż do ulicy Gdańskiej i na „koszary”. Mama czasami próbowała nam i sąsiadom coś ugotować. Sąsiad z sutereny, pan Romaniuk, bardzo lękliwy, wyciągał tylko rękę zza futryny drzwi i podawał nam garnuszek z jakąś potrawą. I bardzo się denerwował, jak mama biegała po schodach w drewniakach, że Niemcy mogą usłyszeć.

Pewnego razu mama coś gotowała w kuchni. Na oknie stał w misce ugotowany kisiel z czarnych jagód, które w lipcu jeszcze zdążyła zrobić w butelkach na zimę. A ja, moje dwie siostry i pani Marysia Chojnacka siedzieliśmy na podłodze pod oknem.

W pewnym momencie pani Marysia wstała i zaczęła przedrzeźniać Niemców. Tylko zdążyła przykucnąć pod oknem, jak zaraz rozległ się huk i cała szyba z okna posypała się na nas. Nam się nic nie stało, tylko kawałek szkła wbił się w ramię pani Marysi. Z wielkim wrzaskiem pobiegła do sutereny, że jest ranna. Sąsiedzi szkło wyjęli i było już po krzyku.

Natomiast my i zastygnięty kisiel byliśmy przysypani szklanym pyłem. Szkoda było kisielu, więc mama zdjęła ten kożuch ze szkłem i zjadłyśmy kisiel. I jakoś nam nie zaszkodził.

Po tym wydarzeniu przestało się już gotować w kuchni, bo i nie było co. I mieszkańcy z pierwszego piętra i parteru przenieśli się do sutereny.

Mama bardzo się martwiła o ciocię taty, Leokadię Witecką, która mieszkała w bloku przy ulicy Gdańskiej 2 mieszkanie 5, będącym pod ostrym ostrzałem. Mama poprosiła jakichś mężczyzn, żeby przyprowadzili ciocię do nas. Zgodzili się za pół litra wódki. I poszli po ciocię. Zastali ciocię, starszą już osobę, w szoku chodzącą po mieszkaniu z szufelką i szczoteczką i zmiatającą gruz i szkło. I rozpaczającą, że nie ma już saloniku. Bo po uderzeniu w budynek tzw. krowy cały jego pion zapadł się do piwnic. I salonik również. I jakoś przeprowadzili szczęśliwie ciocię wraz ze stołem kuchennym z odstrzelonym rogiem blatu, którym się zastawiali.

Ale ciocia, dawna nauczycielka muzyki, nie mogła przeboleć, że może zostać zniszczone jej pianino. Więc za drugie pół litra wódki zostało zniesione pianino na parter do znajomych, do mieszkania w skrzydle budynku od strony ulicy Potockiej. I pech chciał, że to mieszkanie zostało później spalone, a cioci, choć zniszczone, ocalało.

I tak sutereny się zagęściły. Tam były jednoizbowe pomieszczenia z kuchnią węglową. W jednym mieszkała pani Marysia Chojnacka, drugie obok, nie pamiętam czyje, zajęliśmy my wszyscy z góry. Z parteru mama z nami, trójką dzieci, Romcią, Marysią (Dzidką) i Jolą oraz ciocią. I sąsiedzi z naprzeciwka, pan Bajkowski, cudem wydostany z Pawiaka, z żoną w ciąży i jej matką. A z pierwszego piętra: pani Smarska, której mąż był w obozie jenieckim, z dwójką dzieci, córką, kilkunastoletnią Danusią, młodszym synem Gienkiem i swoją siostrą, panią Marią Świaćkiewicz. Oni mieszkali nad nami. I pani Czamańska, która mieszkała naprzeciwko nich.

Obok tego pomieszczenia, gdzie myśmy przebywali, mieszkał pan Romaniuk, szewc z zawodu, z siostrą. Pan Romaniuk jeszcze przed wybuchem powstania zrobił nam wszystkim sznurowane buciki, które miałyśmy przez całe powstanie na nogach. Oczywiście zapłatą była wódka.

A dalej były mała pralnia i suterena pana Chojnackiego, dozorca naszego domu, brata pani Marysi, które zajmował wraz z żoną i synem kilkunastoletnim.

Czas upływał pod coraz silniejszym ostrzałem i bombardowaniem. I na modlitwach, które prowadziła pani Maria Świaćkiewicz. Gdzieś pod koniec sierpnia Niemcy podpalili drewnianą zabudowę ulicy Marii Kazimierzy. I część mieszkańców tych spalonych domów schroniła się w piwnicach „czerwonego domu”, a w naszym domu powstał popłoch, że przez fruującą iskry może się nasz dom zapalić. Dopiero po chwili ktoś uświadomił sobie, że odległość jest trochę za duża, a dom kryty jest blachą.

Którejś nocy posłyszeliśmy silne wybuchy i nieustającą strzelaninę bardzo blisko naszego domu. Ukradkiem ktoś wyrzwał przez drzwi wyjściowe i zobaczył, że „koszary” płoną.

A zmagazynowana tam broń i pociski, wybuchając, powodowały taką niesamowitą kanonadę. Wszyscy wyszliśmy przed dom i oglądaliśmy ten niesamowity widok. Ponieważ „koszary” miały stropy drewniane, to w tych rozświetlonych ogniem oknach widać było, jak piętrowe, żelazne łóżka spadały do samego parteru. Później okazało się, że Niemcy, wycofując się, celowo podpálili te „koszary”, aby zgromadzona tam broń nie dostała się w ręce powstańców. A w nas wstąpiła jakaś nadzieja, ale przedwczesna, bo najgorsze było jeszcze przed nami.

Nie wiem jak, ale dotarła do nas wiadomość, że powstańcy zdobyli Olejarnię na ulicy Gdańskiej i rozdają ludziom olej. Ponieważ było już krucho z wyżywieniem, to nasza Mania, pani Marysia Chojnacka, i jeszcze parę osób postanowiły wyprawić się po ten olej. Wzięły kubły, dzbanki, co kto miał, i pobiegły odkrytym polem za „koszarami”, które było pod silnym ostrzałem z Bielan i tzw. Blaszanki na ulicy Gwiaździstej. Szczęśliwie udało się im dobiec do spalonej plebanii przy ulicy Gdańskiej. Tam po krótkim odpoczynku pobiegły już ogrodami wzdłuż ulicy Gdańskiej. Wracały bezpieczniejszą drogą między zabudowaniami i działkami.

Z wyżywienia niewiele już posiadaliśmy. Trochę tych warzyw z działek i suchary, których każdy miał zapas na czarną godzinę. Naszą potrawą stały się te suchary, rozmiękczone trochę wodą i smaźone na zdobytym oleju.

Chyba na początku września rozeszła się wieść, że w „pałacyku” będzie odprawiał mszę świętą ksiądz Zygmunt Trószyński dla okolicznych mieszkańców. Więc kto mógł, rowerami dotarł do „pałacyku”. Tam w olbrzymim pokoju zgromadziło się bardzo wielu ludzi. Msza święta odprawiała się przy głośnej kanonadzie wybuchów i strzelaninie. W pewnym momencie uderzyła gdzieś niedaleko tzw. krowa. „Pałacyk” się cały zakołysał, ale nie runął. Tylko pokój wypełnił się białym pyłem, żeśmy się nawzajem nie widzieli. A msza święta trwała nadal. Na zakończenie ksiądz Zygmunt udzielił nam wszystkim ogólnego rozgrzeszenia i przyjęliśmy komunię świętą. I nie przypuszczaliśmy, że zostaliśmy przygotowani na najgorsze, które miało nas wkrótce spotkać.

Nastał dzień 14 września. Dzień, który w mojej pamięci i oczach pozostanie do końca życia. Przed południem wokół naszego domu usłyszeliśmy krzyki po niemiecku. Nie wiedzieliśmy, o co chodzi. I co mamy robić.

Potem posłyszeliśmy jakieś syczenie w pomieszczeniu pralni i całe sutereny zaczęły się wypełniać słodkim, duszącym dymem. Więc wszyscy zaczęli prędko wychodzić przez okno w suterenie pana Romaniuka i kierować się w stronę „pałacyku”. Mama z nami wychodziła jako jedna z ostatnich, przynaglała ciocię taty, Leokadię Witecką, do pośpiechu, bo zaraz Niemcy mogą nas wystrzelać. Na to ciocia odpowiedziała: Jak taki kulturalny naród może strzelać do osób cywilnych. Zabrała jeszcze pierzynę puchową, z którą się nie rozstawała, jako ostatnia wyszła z naszego domu.

Gdy doszliśmy do „pałacyku”, zastałyśmy już tłum ludzi, z samego „pałacyku”, z „czerwonego domu” i mieszkańców ze spalonych domów przy ulicy Marii Kazimiery. I Niemców, strasznie wyglądających w hełmach z zatkniętymi gałęziami dla zamaskowania, i czołg ustawiony na ulicy Marii Kazimiery, naprzeciwko „pałacyku”. Niemcy ustawiali mężczyzn pod murem ogrodzeniowym pomiędzy „pałacykiem” a „czerwonym domem”. A kobiety z dziećmi pod ścianą „pałacyku”. Dlatego wszyscy przypuszczali, że będą nas kierować do obozów.

Jak mama przyszła z nami, stał już wielki tłum ludzi i nam wypadło miejsce naprzeciwko drzwi wejściowych do „pałacyku”. I to nas uratowało.

Nagle z kierunku, gdzie stał czołg, rozległy się strzały. Nastąpił wielki krzyk i płacz. A ludzie rzucili się w kierunku tych drzwi, przy których myśmy stały, i wepchnęli nas siłą do środka. Biegłyśmy długim korytarzem. Kule gwizdały obok. Zobaczyłyśmy po lewej stronie otwarte drzwi i wpałyśmy do jakiegoś ciemnego pomieszczenia zastawionego poprzewracanymi krzesłami, i padłyśmy na podłogę. A w korytarzu świstały kule. Strzelanina trwała nadal. W pewnym momencie usłyszałyśmy również warkot tzw. kukuruźnika ⁵⁵. Po jakimś czasie zapadła grobowa cisza. Leżałyśmy w tej ciszy dłuższy czas, aż posłyszłyśmy jakieś ciche jęki i rozmowy z pomieszczenia po drugiej stronie korytarza. Więc mama postanowiła z nami pójść na tę drugą stronę korytarza. To był niewielki pokoik. Jak się wchodziło, naprzeciwko były drzwi do następnego pokoju. Po lewej stronie było okno, a po przeciwnej w rogu przy ścianie stał piec kaflowy. Do dzisiaj mam ten obraz w oczach. Pod oknem na podłodze leżała umierająca kilkunastoletnia córka pani Wójcikowej z „czerwonego domu”. Prosiła, żeby dać jej pić. Obok stała beczka z jakąś brudną wodą, pani Wójcikowa nabierała tej wody w ręce i tak ją poila. Na krześle pod piecem siedziała ranna kobieta, a z jej ust płynęła krew. Nawet na podłodze pod ścianami

siedziało jeszcze kilka ocalałych osób. Niektórzy również ranni. Z sąsiedniego pokoju słychać było tak samo jęki rannych i przyciszone głosy.

Po jakimś czasie posłyszeliśmy odgłosy za oknem, jakby ktoś po tłuczonym szkle się skradał. Wielki strach ogarnął wszystkich, bo myśleliśmy, że Niemcy idą nas dobijać. A to przeczołgała się ranna w rękę pani Marysia Chojnacka. I opowiedziała, co się działo na zewnątrz „pałacyku”. Ciocia naszego taty, Leokadia Witecka, jeszcze nie zdołała dojść na miejsce egzekucji, jak Niemcy zaczęli strzelać. Została ranna w dłoń i wołała naszą mamę: Kazia, Kazia, zobacz, co mi zrobili! Następna seria strzałów raniła śmiertelnie ciocię w płuca.

Egzekucja trwała, gdy nadleciał radziecki kukuruźnik. Latał bardzo nisko, więc musiał słyszeć i widzieć, co się działo. I zaczął ostrzeliwać ten niemiecki czołg, co stał na ulicy Marii Kazimiery. Podobno zabili jednego Niemca, dlatego być może egzekucja została przerwana. I czołg odjechał. A wszyscy ocaleli i ranni leżeli na ziemi wśród zabitych i bali się poruszyć. Myśleli, że Niemcy niedługo wrócą. I wrócili, ale chyba na drugi czy trzeci dzień, i podpalili „pałacyk”.

My, zgromadzeni wewnątrz „pałacyku”, również bardzo baliśmy się powrotu Niemców. Ktoś odkrył, że pod podłogą pokoju, gdzie byliśmy zgromadzeni, jest piwniczka. Więc wszyscy się tam schowaliśmy. Jola, moja najmłodsza siostra, zaczęła bardzo płakać i wołać: Bój, bój, co oznaczało, że się boi. Jeszcze nie bardzo umiała mówić. Ranny w rękę syn pani Wójcikowej w zdenerwowaniu, że przez ten Joli płacz Niemcy mogą nas odkryć, powiedział do mamy: Jak to dziecko nie przestanie płakać, to je uduszę. Jakoś mamie udało się Jolę uspokoić. I tak siedzieliśmy w tej piwniczce prawie do północy. Około północy usłyszeliśmy jakieś kroki nad nami. Nikt nie miał odwagi podnieść kłapy piwniczki, pomyśleliśmy, że to wrócili Niemcy. I to jest już nasz koniec. Wreszcie doszliśmy do wniosku, że trzeba zaryzykować. Albo zostaniemy rozstrzelani, albo spaleni. I ktoś z odważniejszych lekko uchylił wieko i zobaczył, że to sanitariuszki z latarkami w ręku szukające rannych. Rannych zabierały do szpitala powstańczego przy ulicy Krechowickiej. Pytamy sanitariuszek, co my mamy robić. Odpowiedziały, że jak skończą zbierać rannych, żebyśmy szli za nimi również na ulicę Krechowicką. Więc wyszliśmy na korytarz i czekaliśmy na koniec akcji zbierania rannych.

I tam, przy drzwiach wejściowych, pod podłużną ławą zobaczyłyśmy leżącą ranną panią Marię Świaćkiewicz. Z przestrzelonymi piersiami.

A obok niej siedziała Danusia, jej siostrzenica. Jej matka Zofia została zabita, a kilkunastoletni brat w szoku gdzieś zaginął. I nigdy się nie odnalazł.

Z naszego domu zginął również pan Bajkowski, który jakiś czas przed powstaniem został wydostany z Pawiaka i wraz z żoną i jej matką zamieszkali w naszym domu, naprzeciwko naszego mieszkania. Żona jego, która była w zaawansowanej ciąży, wraz z matką uratowały się, wyczołgały się na tyły „pałacyku” i schroniły w piwnicy niewykończonego domu, który stał niedaleko. Siedziały tam parę dni bez wody i pożywienia. Przeżyły dzięki przybłąkanemu kotu, którego zwabiły i udusiły. Po powstaniu już ich nie spotkałyśmy, ale słyszałam, że pani Bajkowska urodziła zdrowego syna.

Gdy sanitariuszki zabierały panią Marysię Świaćkiewicz, poprosiła ona naszą mamę o zaopiekowanie się Danusią. I tak pobiegłyśmy za sanitariuszkami. Mama z Jolą na rękę, a my trzy za nią, rowem do placu Lelewela i dalej wzdłuż placu. Staraliśmy się nadążyć za sanitariuszkami. W połowie drogi zgubiłyśmy je i pobłądziłyśmy. Poszłyśmy innym rowem i dotarłyśmy do wolno stojącego w polu budynku przy ulicy Mickiewicza. Z krótkiego pobytu w piwnicach tego budynku prawie nic nie pamiętam. Jedynie, że był tam kot, który wydawał się mi ogromny. Na pewno ludzie dali nam wody do picia, a może również coś do jedzenia. Bo nie miałyśmy w ustach nic od południa poprzedniego dnia. I po krótkim odpoczynku pobiegłyśmy wskazanym nam rowem pod górę, do budynku szpitalnego przy ulicy Krechowickiej. Żeby zdążyć przed świtem.

To był duży budynek zbudowany w kształcie prostokąta. W środku miał podwórze, na którym znajdowała się pompa do wody oraz szopa, gdzie składano zwłoki ze szpitala.

Jakoś dotarłyśmy i weszłyśmy do piwnic. A tam wielkie było zatłoczenie. Korytarzami, przez otwory wybite w ściankach poprzecznych szłyśmy dalej, szukając jakiegoś wolnego miejsca. Wreszcie znalazłyśmy jakiś skrawek pod ścianą z kominem. I tam na betonowej podłodze usiadłyśmy. A mama poszła sprawdzić, gdzie są pomieszczenia szpitala, i odnaleźć ciocię Danusi oraz poprosić o zrobienie opatrunku kolana, które rozcięła, gdy wychodziła przez okno z sutereny naszego domu. Później jeszcze parokrotnie musiała chodzić na zmianę opatrunku i przy okazji odwiedzała ciocię Danusi.

Ktoś z mieszkańców tego domu dał nam jakiś dywanik, żebyśmy nie musiały siedzieć na tym gołym betonie. A może i coś do jedzenia, bo

myśmy nic nie miały. Tylko Danusia posiadała mały woreczek zakrwawionych sucharów. I oszczędnie je zjadałyśmy. Czasami mamie udało się przynieść z kuchni szpitalnej trochę jakiejś zupy.

Naprzeciwko nas w piwniczce siedziała jakaś pani ze służącą, która bardzo się bała chodzić po wodę do tej pompy na podwórku. Bo pompa była pod nieustającym ostrzałem. Któregoś dnia zaproponowała mamie trochę cukru w kostkach w zamian za przyniesienie wody. I mama się zgodziła. Pobieranie wody zawsze bardzo długo trwało, bo pierwszeństwo miał szpital i kolejka ludzi była bardzo długa. W pewnym momencie usłyszeliśmy silny wybuch. Piwnice wypełniły się pyłem ceglanym, a z komina, pod którym siedziałyśmy, posypały się sadze. Za chwilę biegiem wpadli do piwnic przerażeni ludzie i krzyczeli, że bomba trafiła w kolejkę. Wszystkie zaczęłyśmy okropnie szlochać. I to był dla mnie najtragiczniejszy moment podczas całego powstania. Nie egzekucja pod „pałacykiem”, bo tam byliśmy razem z mamą i czułyśmy się bezpiecznie. Teraz myśl, że zostałyśmy same, w obcym domu, wśród obcych ludzi, była przerażająca. I siedziałyśmy w tej rozpaczycie dłuższy czas, zapłakane i umazane sadzą. Na szczęście po długim wyczekiwaniu pojawiła się nasza mama, cała i zdrowa. A nas ogarnęły wielka ulga i ukojenie.

Okazało się, że jak bomba trafiła w ludzi stojących w kolejce, to kto ocalał, biegiem starał się schować w jakiegokolwiek klatce schodowej. Mama wpadła do klatki mieszczącej się po przeciwnej stronie budynku. Zanim ochłonęła z wrażenia i przedarła się korytarzem wokół budynku, upłynęło sporo czasu. I poczułyśmy się znowu „bezpieczne”. Mimo że ostrzał się wciąż nasilał. Bo teren powstańczy coraz bardziej się kurczył.

Do piwnic przybyli ludzie z domu przy ulicy Gdańskiej 2, który Niemcy już zajęli. I wtedy mama spotkała znajomego taty. Jak zobaczył, że my już nie mamy nic do jedzenia, to podarował mamie torbę, gdzie było trochę produktów żywnościowych. Jakiś groch, cukier, kasza, sól, mąka w jednej mieszance. I z tej mieszanki mama ugotowała w kuchni szpitalnej zupę. Ale mimo głodu z trudem ją jadłyśmy. Bo miała smak mydlano-słodko-słony.

Już pod koniec września do naszego korytarza przybyli powstańcy, młodzi chłopcy z budynku straży pożarnej, z rogu ulicy Słowackiego i Potockiej, którzy musieli opuścić pod silnym natarciem niemieckim. Usiedli pod ścianą korytarza i natychmiast się pospali, bo byli tak okropnie zmęczeni. Hełmy im się pozsuwały z głów i potoczyły na podłogę.

Wszyscy przeczuwali, że zbliża się koniec powstania. Niektórzy powstańcy zaczęli gorączkowo przebierać się w cywilne ubrania, które dostali od życzliwych mieszkańców piwnic.

I nadszedł dzień 30 września. Kapitulacja. Rano Niemcy wkroczyli na teren tego domu i rozkazali wszystkim wychodzić z piwnic. Jak wyszliśmy z tych ciasnych piwnic, to świat wydał mi się taki jasny i słoneczny. A widok podwórka był straszny. Całe zasypane gruzem, w lejach po bombach i pociskach. A wokół poniszczone ściany budynku. Gdzieś na środku podwórka stała otwarta szopa, obok której przechodziłyśmy, wypełniona po brzegi pobandażowanymi zwłokami. Nie pamiętam, ale chyba już za bramą Niemcy gromadzili ludzi i ustawiali czwórkami, a może ósemkami.

I po prawie dwumiesięcznym przebywaniu w piwnicznych ciemnościach znalazłyśmy się w świetle dnia jesiennego. I tak wyruszyłyśmy przez gruzy, doły i wertepy, między zburzonymi albo wypalonymi domami w niepewne i nieznane. Mama w żrebakowym futerku, my w płaszczkach jesiennych i sznurowanych bucikach, które przed samym powstaniem zdążył nam zrobić sąsiad, pan Romaniuk.

Jakimi ulicami szliśmy, nie pamiętam. Tylko mam przed oczami tłum ludzi przed nami i za nami. I mijamy zwłoki osób, które nie miały sił iść dalej i zostały zastrzelone przez Niemców, i ich okrzyki, żeby szybciej. Doszliśmy do takiego pola na Powązkach, ogrodzonego drutem kolczastym, z kilkoma drewnianymi barakami wewnątrz. I tam zmęczeni usiedliśmy wszyscy na trawie. W pewnym momencie zaczęły przelatywać nad nami samoloty. Kilkakrotnie. Ogarnęło nas przerażenie. Myśleliśmy, że po to nas tu gromadzą, aby wszystkich wystrzelać. Ale samoloty odleciały, a nas popędzili dalej.

Dalszej drogi, czy doszliśmy do Dworca Zachodniego, jak dojechaliśmy do obozu w Pruszkowie, nie zapamiętałam. Dopiero wprowadzenie nas do olbrzymiej hali, zatłoczonej do granic możliwości ludzkim tłumem, pamiętam jak dziś. Mama z trudem znalazła jakieś wolne miejsce. Na betonowej posadzce ludzie siedzieli albo leżeli, na czym kto miał. Na walizkach, tobołkach i na kawałkach płyt wiórowo-cementowych. My nie miałyśmy nawet tobołków. Gwar był okropny, ludzie się nawoływali i szukali jedni drugich. Myśmy spotkały naszą sąsiadkę, panią Czamańską, która stała się dla nas wielką pomocą. Była osobą zaradną i energiczną. Dzięki jej ofiarności i poświęceniu jakoś przeżyłyśmy te dni w obozie.

Raz przyniosła nam w wielkim garnku zupę. I był problem, jak tę zupę mamy jeść. Mama znalazła, a może od kogoś dostała, butelkę, obtukła szyjkę i kolejno nas wszystkich karmiła tą zupą w tej dziobatej butelce. Innym razem przyniosła zdobyczny bochenek chleba. Jakoś udało się jej ten bochenek złapać, jak Niemcy rzucali chleb w tłum ludzi.

Codziennie Niemcy otwierali takie żelazne wrota, jakie znajdowały się w tej hali. I potem wypuszczali ludzi. Każdy starał się być jak najbliżej tego wyjścia, jak najszybciej wydostać się z tego obozu. Z trudem nam się to udało trzeciego dnia. A ponieważ samotne osoby były kierowane do obozów w Niemczech, to pani Czamańska umówiła się z naszą mamą, że weźmie Danusię jako swoją córkę. I udało się. Przepchnęliśmy się przez te żelazne wrota i poszliśmy drogą do podstawionego pociągu. Wzdłuż drogi stali Niemcy i pilnowali porządku oraz pielęgniarce, które rozdawały matkom z dziećmi jakąś żywność.

Załadowaliśmy się do odkrytych wagonów towarowych i pociąg ruszył. Przejeżdżaliśmy przez jakieś miejscowości, w których były wiadukty, takie nad torami. A tam na górze stali ludzie i rzucali do przejeżdżających wagonów chleb, owoce i warzywa.

Nie pamiętam, jak długo tak jechaliśmy. Dobę, a może dwie. Wreszcie pociąg się zatrzymał na stacji Słomniki. Kazano nam wysiadać i skierowano do punktu rozdziału na kwatery. Tymczasowo, na dwa dni, przydzielono nas wraz z panią Czamańską do mieszkania miejscowego szewca. Tam po raz pierwszy od około dwóch miesięcy mogliśmy się trochę umyć. I wtedy okazało się, jak wszyscy jesteśmy zawszeni. A gdy mama pierwszy raz od dwóch miesięcy rozsznurowała Joli buciki, ona się roześmiała.

Po dwóch dniach zostałyśmy przydzielone do gospodarzy Wojcików we wsi Gruszów, a pani Czamańska z Danusią, która z nią już została, do gospodarzy w innej wsi. Gospodarze przyjeżdżali wozami i zabierali do siebie wysiedlonych z Warszawy.

Gospodarze Wojcikowie byli ludźmi dość zamożnymi. Ich dom mieszkalny, piętrowy, i zabudowania gospodarskie były murowane. Posiadali ogromny sad śliw węgierek. Właśnie jak do nich trafiłyśmy, był czas zbiorów tych śliwek. W dzień zrywali śliwki, a nocami na ogniskach smażyli w wielkich kotłach powidła, a część suszyli. W tym czasie jedliśmy je pod różnymi postaciami. Jak utłuczone ziemniaki polane gęstym kompotem albo ugotowaną fasolę na sypko zalaną kompotem, ale suszonych śliwek nie.

Dom był spory. Na dole była dość duża kuchnia, a obok pokój, gdzie spali gospodarze. A na górze jeden pokój zajmowała ich dorosła córka, a drugi wynajmowała burmistrzowa z okolicznego miasteczka z chorowitym kilkuletnim synem.

Nasi gospodarze przez kilkanaście lat ciężko pracowali w Ameryce, a gdy wrócili do Polski, zakupili to gospodarstwo i udoskonalili je. Podwórce między budynkami gospodarczymi było wybetonowane, a w pomieszczeniach stało wiele maszyn rolnych. Zнали język angielski i nim się porozumiewali, gdy musieli temat rozmowy ukryć przed nami.

Nas umieszczono w tej wielkiej kuchni, w której kącie stało wielkie drewniane łóżko, i na nim myśmy wszystkie spały. A mama zaczęła wojać z tymi wszami. Wykąpała nas, wszystko poprała, a głowy nasze ogoliła do zera.

W nocy przychodzili czasami różni okoliczni partyzanci. Pierwszy raz, jak przyszli i zobaczyli, że my wszystkie śpimy na jednym łóżku, zrobili gospodyni awanturę. Powiedzieli, żeby drugie łóżko wstawiła. Wzięli trochę żywności i poszli sobie. Następnym razem przyszli inni i zażądali sporo żywności i męskiej bielizny. Gdy gospodarze powiedzieli, że bielizny już nie mają, pobiegli na górę do burmistrzowej i zabrali wszystko, co miała.

A drugiego łóżka gospodyni nam nie wstawiła, bo mamę z Jolą przeniesiono gdzie indziej. Zostałam tylko ja z siostrą Dziką. Mamę przydzielili do trzech biedniejszych gospodarzy, Kozerów, Zawartków i Bujaków. Przebywała po dwa tygodnie u każdego na zmianę. Przychodziła nas odwiedzać albo my chodziłyśmy do mamy.

Mama zaprzyjaźniła się z innymi wysiedlonymi warszawiakami. Między innymi z państwem Gosińskimi. Starszym małżeństwem z córeczką Asią, trochę starszą od Joli, oraz z innymi osobami, z którymi od czasu do czasu chodziła do łaźni w Proszowicach.

W grudniu, gdzieś przed Bożym Narodzeniem, zjawił się tata. Cały czas nas szukał. Po powstaniu znalazł się również w obozie pruszkowskim. I gdy jechał już w pociągu do obozu w Niemczech, wyskoczył z wagonu i zatrzymał się u jakiejś kobiety w Milanówku. Żeby z czegoś żyć, zajął się drobnym handlem. A żeby zdobyć jakieś ubranie na zmianę, dołączył do brygady, którą Niemcy wysłali do Warszawy na szaber. Wtedy wziął sobie tylko jakieś palto, parasol i kalosze. Niemiec popatrzył i był ogromnie zdziwiony. Wtedy tato mu odpowiedział: Jest jesień, idzie zima, więc wziąłem tylko to, co mi będzie potrzebne.

Tato najpierw odnalazł mamę z Jolą. A później razem przyszli do nas. Radość była wielka. Czy został z nami na święta w Gruszowie, nie pamiętam. Później wrócił do Milanówka.

Ja z Dzidką byliśmy u państwa Wojcików tylko do końca grudnia 1944 roku. W styczniu 1945 roku rozdzielili nas. Dzidka została umieszczona u gospodarza o nazwisku Szostak, a ja u Twardowskiego. Na pożegnanie pani Wojcikowa uszyła nam granatowe sukieneczki.

Gospodarstwo Twardowskiego było położone na skraju wsi. Spory kawałek drogi od mamy. Miło ich wspominam, bo traktowali mnie jak swoją córkę. Nawet gdy mieliśmy już wracać do Warszawy, prosili mamę, żeby mnie zostawiła u nich do czasu, jak urządzi się w Warszawie.

Wreszcie radziecki front dotarł do naszej wsi. W każdym gospodarstwie stacjonowali sowieccy żołnierze. Mama opowiadała, że tam, gdzie akurat mieszkała, popili się okropnie i zaczęli się awanturować. Najpierw uwzięli się na chorego syna gospodarzy. Mówili, że to germański szpieg i że muszą go zastrzelić. Później zobaczyli Jolę i też chcieli ją zastrzelić, bo to germańskie dziecko. Zrobiło się niebezpiecznie. Wtedy drugi syn gospodarzy ukradkiem wybiegł z domu i pobiegł do dowództwa. Przybiegł dowódca, zabrał pijanych żołnierzy i zamknął ich w jakiejś komórce, w której znajdowały się zapasy żywności. Po otrzeźwieniu dobrze sobie pojedli. I taka to była kara.

Jak tylko przeszedł front przez nasze okolice, mama postanowiła wracać do Warszawy. Razem z nami i panią Sidor, którą poznała na tym wysiedleniu. Gospodarze nas obdarowali, czym który mógł. Fasolą, kaszą i mąką. Mama poszyła nam i sobie takie plecaki z worków na sznurkach do zakładania na plecy. Nam mniejsze, a sobie największy. I tak wyruszyliśmy w drogę powrotną do domu. Któryś z gospodarzy podwiózł nas do jakiegoś kolejowego tunelu. Tunel był zburzony i trzeba było górą przejść na drugą stronę. Bo dopiero stamtąd odchodziły pociągi. Pani Sidor wykazała się dużym poświęceniem. Ponieważ mama musiała Jolę na rękach nieść, to nie mogła już dźwigać swojego plecaka. Więc pani Sidor przenosiła kilkadziesiąt metrów najpierw mamy plecak, a później wracała po swój i tak całą drogę.

Po pokonaniu tej góry z trudem udało nam się załadować do jakiegoś pociągu. I po dłuższej podróży dojechałyśmy do jakiejś miejscowości. Wszyscy musieliśmy wysiąść, bo pociąg dalej nie jechał. Koczowaliśmy w poczekalni dworcowej, zatłoczonej do granic możliwości. Nie wiem, ile

to czasu trwało, zanim mogliśmy dostać się do kolejnego pociągu i dojechać na Dworzec Wschodni na Pradze. Zaraz wyruszyliśmy w kierunku mostu pontonowego, aby przepłynąć na drugi brzeg Wisły. Niestety tego dnia przez most przepuszczano tylko wojsko. Trzeba było znaleźć jakiś nocleg. Idziemy ulicami Pragi i mama pyta się ludzi, czy by nas nie przenocowali. Wszędzie nam odmawiano. Dopiero na podwórku jakiegoś domu przy ulicy Inżynierskiej spotkałyśmy starszą kobietę, która rąbała drewno. I ona zaprosiła nas do swojej kuchenki, gdzieś na piętrze. Po przenocowaniu następnego dnia znowu wyszliśmy w kierunku tego mostu. Tłum był wielki, ale cywilów przepuszczają, więc jest nadzieja, że się dostaniemy. I dostałyśmy się na ten most. Obok nas szedł młody mężczyzna w wojskowym szynelu. Gdy zobaczył nasze zaciśnięte z zimna pięści, powiedział do nas słowa, które zapamiętałam, a których wtedy nie rozumiałam: Zaciskajcie je mocno, teraz oni nas ścisnęli, a później my ich ściśniemy.

Przeszliśmy na drugą stronę Wisły i szliśmy ścieżkami wśród zwałów gruzów przysypanych śniegiem, rzadko spotykając żywego człowieka. To było wymarłe miasto w gruzach.

Dopiero jak doszliśmy do ulicy Krasińskiego, od strony Wisły, i weszliśmy w osiedla willi żoliborskich, rozpoznałyśmy swoje okolice. Mijając „szklane domy”, słyszałyśmy z jakiejś piwnicy krzyk kobiety rannej od wybuchu miny. Gdy doszliśmy do skrzyżowania ulic Mickiewicza z Potocką, pożegnałyśmy panią Sidor. Poszła ulicą Potocką w stronę Wisły, bo tam gdzieś mieszkała. A my w kierunku ulicy Marii Kazimiery. Z niepokojem skręciłyśmy w ulicę Chryzostoma Paska, bo nie wiedziałyśmy, czy nasz dom ocalał.

Postrzelany, podziurawiony, ale stał! A radość nasza była jeszcze większa, gdy zastałyśmy w domu tatę, który wcześniej wrócił z Milanówka, bo chciał jakoś przygotować mieszkanie na nasz powrót. Był bardzo słaby i wymizerowany, gdyż chorował na ciężką gripę. Przeżył dzięki pani Czamańskiej, która się nim opiekowała i czym mogła dożywiała. Pani Czamańska chyba najpierwsza wróciła do naszego domu, już sama, bez Danusi. Danusię odnalazła i zabrała do siebie jej ciocia, pani Marysia Świaćkiewicz. Pani Marysia wydostała się z Warszawy wraz ze szpitalem powstańczym z ulicy Krechowickiej.

w moim życiu. Bo wszyscy przeżyliśmy, byliśmy razem i w naszym ocalałym domu.

ELŻBIETA GREMBLICKA-SOBCZYŃSKA ⁵⁶ **WYBUCH POWSTANIA WARSZAWSKIEGO**

Pierwszego sierpnia 1944 roku około południa mieliśmy całą trójką wybrać się po kartofle do rodziny mamy, Cecylii i Franciszka Windygów, zamieszkałych w Odolanach na obrzeżu dzielnicy Wola. Z jakichś przyczyn wyjście z domu się opóźniało. Kiedy byliśmy już gotowi, zaczął padać drobny przelotny deszczyk, który przeczekaliśmy, jedząc obiad. Gdy wyczerpały się wszelkie wstrzymujące nas przeszkody, to niespodziewanie na naszej ulicy Dzielnej rozległy się pierwsze strzały. Była na pewno godzina 16.00.

Potwierdza to powojenna lektura książek Antoniego Przygońskiego i Jerzego Kirchmayera na temat Powstania Warszawskiego, z których dopiero dowiedziałam się, że przy ulicy Dzielnej 72 w Zakładach Leopolda Kamlera była zlokalizowana kwatera dowodzenia Komendy Głównej Armii Krajowej. Niespodziewana próba wejścia Niemców na teren fabryki rzeczywiście doprowadziła do przedwczesnego starcia z plutonem stanowiącym jej ochronę, właśnie o godzinie 16.00.

Na odgłos przeciągającej się walki mieszkańcy schronili się do piwnicy, w której panujące ciemności rozpraszał nikły płomyk świecy, bo okienka dużo, dużo wcześniej pozatykano workami z piachem. Ale wnet za przyczyną zebranych światełko to oświetlało już także obraz Matki Bożej, której zawierzono ocalenie!

Niebawem do domowników dołączył, usiłujący wcześniej zaprzyjaźnić się ze mną, członek niemieckiej załogi wartowniczej strzegącej fabryki Monopolu Tytoniowego, zlokalizowanej naprzeciwko naszego domu. Dla obopólnego bezpieczeństwa tegoż unikającego udziału w walce żołnierza ulokowano w najdalszym ciemnym kącie.

Czas mijał. Walka trwała. Odgłosy strzałów dochodzące do wnętrza raczej się nasilały, dlatego nadal nikt nie opuszczał piwnicy.

Tylko pani Katarzyna razem z mamą, narażając się na postrzał, zaryzykowały i znosiły z pierwszego piętra naszą garderobę oraz pościel, zrzuca-

jąc ten ruchomy dobytek jak popadnie na stertę na małej powierzchni przynależącego nam boksu.

Było dobrze po północy, może druga lub trzecia nad ranem, już drugiego dnia sierpnia, gdy przyszli powstańcy z batalionu „Miotła”. Wtedy dowiedzieliśmy się, że w wyniku dotychczasowej walki zdobyty został Monopol Tytoniowy i nasza ulica jest już także wolna. Rozpytywali tylko, czy nie ma Niemców. Zapanowała konsternacja. Swoich nie mogliśmy oszukiwać. Przekazując chroniącego się pośród nas niemieckiego żołnierza, proszono, aby nie czyniono mu krzywdy. Zabierający go powstańcy solennie uspokojali, zapewniając, że jeńców nie zabijają. Po oświadczeniu tym, w które uwierzyłam, ulżyło mi niezmiernie. Był to bowiem ten żołnierz, wartownik, który zawiązywał mi kiedyś wstążkę. Mimo że wówczas potwornie się tego wstydziałam i miałam mu za złe, to chyba podświadomie go lubiłam. A teraz w sytuacji, w której się znalazł, było mi go naprawdę ogromnie żal.

Rano, korzystając z chwilowej ciszy po ustanych walkach w tej części ulicy, krocząc za mamą opuszczającą piwnicę, usłyszeliśmy jej ostrzegawczy okrzyk: „Dzieci nie patrzcie!”. Za późno! Nam wystarczył jeden błysk spojrzenia, aby ogarnąć i zachować na zawsze w pamięci obraz rzeczywistości.

Wzdłuż wysokiego muru odgradzającego naszą posesję od zachodniej części ulicy Dzielnej stały oparte o niego wysokie drabiny. Najwidoczniej służyły Niemcom broniącym dostępu do Monopoli Tytoniowego jako pozycje strzelnicze. Ale dopiero pod nimi widok był bardzo ponury, tam bowiem leżały zwalone ciała zabitych żołnierzy. Natomiast po przeciwnej stronie pod murem getta widniała jakby osunięta i skulona w kucki zastygła postać powstańca. W basenie przeciwpożarowym, który był w ciemnościach nocy niespodziewaną pułapką, znajdowały się dwie osoby z tragicznie rozrzuconymi rękoma.

Na te poruszające wyobraźnię widoki mnie i brata natychmiast opanował duch bojowy, który mama zaraz skutecznie zgasiała. Lecz nim ponownie przez nią zgarnięci trafiliśmy do piwnicy, bo znowu rozpoczął się ostrzał, zdążyłam te wszystkie makabryczne sceny dokładnie w pamięci zarejestrować i utrwalić.

Mimo że od minionej nocy byliśmy już wolni, a teren przez powstańców opanowany, walka z Niemcami nie ustawała. W naszym mieszkaniu na pierwszym piętrze, stanowiącym doskonały punkt obserwacyjny w kierunku południa i północy, powstańcy doraźnie urządzili bardzo im dogodne

stanowisko strzelnicze, wykorzystując w tym celu przysunięty do okien for-
tepien. Wprawdzie ich obecność i działanie na tym odcinku trwały zaledwie
chyba tylko dwa dni, nim przenieśli się w inny rejon, to mieszkanie uległo
już częściowej dewastacji, bo pociski padały i w tę stronę.

Z prawdziwym jednak zachwytem i zadziwieniem zdążyłam jeszcze
zobaczyć, jak zdobyczny czołg, którego nazywano „Tygrysem”, a może
była to „Pantera”, nieznacznie tylko wspinając ku górze gąsienice, mię-
ciutko rozwalił mur odgradzający ulicę Dzielną od getta i wjechał na jego
teren.

Po odejściu powstańców, czując się nieswojo w osamotnionym miejscu
otoczonym zewsząd murami, razem z garstką mieszkańców naszego domu
przenieśliśmy się do istniejącego obok ciągu wysokiej zabudowy ulicy
Dzielnej, a konkretnie pod numer 79. Ludzie z tych kamienic, razem z przy-
bywającymi z zewnątrz takimi jak my szukającymi schronienia, koczowali
przeważnie w piwnicach, z których ja ciągle uciekałam, gdyż było w nich
nudno, mroczno i bardzo przygnębiająco. Nawet niezbyt odległe bombardo-
wania wolałam przeczekać wśród rówieśników na podestach klatki schodo-
wej niż w ich czeluściach, gdzie starsze kobiety lamentowały i komento-
wały na bieżąco wszystkie aktualne zdarzenia.

Mimo usiłowań mamy podczas tych kilku, bo zaledwie dziesięciu
powstańczych dni, nie sposób było mnie i brata zupełnie odizolować od
przemieszanych z tragizmem i niecodziennością różnych przekazów oraz
samyh wydarzeń, których faktycznie poniekąd byliśmy świadkami. Gdy
uderzył gdzieś szrapnel, odłamki zabiły mężczyznę, a jego żonę tylko
dotkliwie raniły, podczas gdy oboje w tym samym czasie znajdowali się
w oddzielnych kabinach podwórkowej ubikacji. Tego samego jeszcze popo-
łudnia w wykopanym na podwórku jednym dole chowano tego człowieka
i kogoś jeszcze. Był to smutny widok. Żadnej ceremonii, żalu, tak
z konieczności, po prostu. Trumny zastąpiły prześcieradła.

Innym razem był jeszcze widny dzień. Za parkanem posesji, na pustej
przestrzeni porośniętej chwastami przyległej do ulicy Zegarmistrzowskiej
(dawna Wolność), ktoś usłyszał jęki. Wezwano sanitariuszki. Wtedy rozgo-
rzała dyskusja, czy aby się nie przesłyszano. I natychmiast zaczęto wątpić
w sens interwencji, biorąc pod uwagę bezpieczeństwo dziewcząt, które być
może niepotrzebnie narażono by na ryzyko. Z ulgą odeszły. Lecz kiedy
nocą przeszukano teren, stwierdzono, że wzywający pomocy już nie żył.

W tych dniach względnie bezpieczne było tylko poruszanie się wzdłuż całego ciągu budynków, bez potrzeby wychodzenia na ulicę, przez poprzekane w ścianach domów duże otwory. Przejścia te wykorzystywali nie tylko powstańcy, ale i nieliczni uciekinierzy z ulic Woli, przynoszący makabryczne relacje o bestialskim postępowaniu Niemców i Ukraińców z ludnością cywilną. [...]

Wypędzenie z Warszawy, 10 sierpnia 1944

Przed podobnymi relacjami mama skutecznie nas wtedy strzegła. Jednak sama pod wrażeniem innych, w poczuciu niepewności nadchodzących wydarzeń, postanowiła spakować ewakuacyjny toboł. Na tę okoliczność 10 sierpnia 1944 roku około południa wróciliśmy tylko we dwie z mamą, bez brata Leszka, do naszego opuszczonego domu pod numer 73, z zamiarem umycia mi głowy i posegregowania zwalonych wcześniej w piwnicy rzeczy.

Ledwie podjęliśmy działanie, gdy zdyszany brat przybiegł z wiadomością, że wszystkich ludzi z ulicy Dzielnej wypędzają Ukraińcy. Dopiero teraz mam świadomość, co on przeżył, biegnąc przez opustoszały otwarty teren w przeciwnym kierunku niż wskazany, aby nas, niczego nieprzeczuwające, o tym fakcie powiadomić, a jednocześnie uratować życie!

Tymczasem pomimo grozy sytuacja stała się wprost groteskowa. Mama pośpiesznie ze sterty zwalonej i pomieszanej z bielizną garderoby poczęła wygrzebywać potrzebne do zabrania rzeczy. Przede wszystkim zimowe buty oraz okrycia i nie tylko nasze, ale jako bardzo wartościowe, nieżyjącego już od miesiąca ojca. Przy tej czynności jak zacięta płyta gramofonowa powtarzała do siebie: „Mój Boże, mój Boże, już nigdy nie będę miała puchowej pościeli!”. Ja, stojąc obok, dziwiłam się niezmiernie tej rozpacz, nie zdając sobie sprawy, że bywa również inna niż puchowa pościel. I rzeczywiście, przewidywania mamy się ziściły! Późniejsze życie tak się potoczyło, że takie luksusy już nigdy nie były dla nas dostępne.

W tym czasie brat Leszek, bardzo zdenerwowany naszą zwłoką, świadomy ryzyka, stojąc na schodach piwnicy, nawoływał w jej głąb: „Chodźcie już, chodźcie szybko, co tak długo, chodźcie, już wszyscy poszli, chodźcie szybko, bo nas zastrzelą!”. My nie wiedziałyśmy, że Ukrainiec, który wypędzał ludzi, krzyczał: „Uchadyj, uchadyj, posledniego ubiju!” (wychodźcie,

wychodźcie, ostatniego zastrzelę). Toteż nie poddając się panice brata, spokojnie kończyliśmy wybieranie wszystkiego, co wydawało się niezbędne. Przejętej sugestią mamy, że możemy do domu już nie wrócić, zależało mi, aby jak najwięcej rzeczy zabrać. Próbowałam nawet z innymi sukienkami przemyścić tę od komunii, co mama samym wymownym spojrzeniem mi odradziła.

Nikt z nas nie pomyślał o fotografiach i dokumentach zgromadzonych w szufladzie kredensu na górze. Zresztą nie było czasu na myślenie, trzeba było szybko działać, gdyż wypędzenie było nagłym zaskoczeniem. Mama i tak była przytomna, zabierając dokument tożsamości, czyli kenkartę, oraz ocalałe, a bardzo nieliczne kosztowności, zachowane dotychczas jako cenne pamiątki rodzinne. Były to tylko dwa pierścionki z brylantami, obrączka i srebrny longines „cebula” – zegarek ojca. Z żywności resztki słoniny, cukru i suchary, poza tym także jedyny pięćsetzłotowy banknot, ówczesny „góral”, który tylko mamie został.

Nauczona bolesnym doświadczeniem z 1939 roku, gdy zablokowano konto bankowe, chcąc przechytryć los, wszystkie posiadane pieniądze zainwestowała w materiał do produkcji, którą aktualnie prowadziła. Lecz tym razem to, zdawałoby się, logiczne rozumowanie nie było trafnym zabezpieczeniem, ponieważ nie przewidziała Powstania Warszawskiego i jego konsekwencji.

Wypędzona z Warszawy nie miała już definitywnie NIC! To, co zdołaliśmy unieść i mieliśmy na sobie, było wszystkim, co udało się w ogóle uratować!

Kiedy wychodziliśmy z domu, pomimo sierpniowego upału odziani byliśmy w potrójnie nawarstwioną garderobę i palta, a zimowe buty związane sznurowadłami dyndały nam przerzucone na ramionach. Mama w futrze z lisem przewiązany w pasie i paltem ojca nałożonym na wierzch w rękę trzymała jeszcze tobolek z żywnością oraz w ostatniej chwili złapanym garniturem ojca i nowiutką zmianą bielizny pościelowej w nadziei, że podczas noclegu gdzieś w stodole się przyda.

Jako ostatni, z uniesionymi rękoma, nie oglądając się, opuszczaliśmy ulicę Dzielną, kierując się za oddalającymi się ludźmi na drugą stronę ulicy Okopowej.

Dopiero to poddańcze uniesienie rąk uświadomiło mi realne zagrożenie i wywołało strach!

Punktem zbornym, do którego zdążaliśmy, była spora przestrzeń utworzona pomiędzy prawie równoległymi do siebie ciągami kamienic ulic Okopowej i Gibalskiego, które od ulicy Żytniej zamykała barykada. W jej tle na trójnogu stał karabin maszynowy z obsługą gotową do strzału. Przeciwległym przejściem, od ulicy Okopowej, napływali bezbronni, nierzadko objuczeni tobołami ludzie, którzy po zlustrowaniu sytuacji rozpraszali się pod ścianami budynków. Przewornie zajęliśmy miejsce tuż przy prawej stronie barykady, z tyłu za stanowiskiem strzeleckim, pod oknem wysokiego parteru, gdzie dostrzegłam miotającego się w klatce kanarka. Było mi ogromnie żal, że został sam, choć nie wiedziałam wtedy, że już na zawsze.

Podczas oczekiwania nakazano rozebrać w barykadzie wąskie przejście, którym zaczęto wyprowadzać oddzielone od mężczyzn kobiety i dzieci. Skierowani na prawo w ulicę Żytnią minęliśmy ulicę Karolkową, aby dalej odbijając od jej lewej strony, na przełaj przez jakieś puste parcele dotrzeć do ulicy Leszno. Następnie po dobrnięciu i przecięciu ulicy Młynarskiej wkroczyliśmy w ulicę Górczewską.

Milczący tłum szedł jezdnią. My trzymaliśmy się prawego krawężnika, co umożliwiło obserwację tej strony ulicy. Niemal na samym jej początku przyciągnęła moją uwagę leżąca na jezdni tuż przy chodniku porzucona puchowa kołdra. Ogromnie zadziwił mnie i wprost zaskoczył koloryt jej pokrycia. Barwa nasyczonego seledynu, a na odwrocie heliotropu, była tak odmienna od znanego mi zestawienia odcieni starego złota i moreli na pozostałych kołdrach w domu, że aż nie mogłam uwierzyć w możliwość istnienia takiej różnorodności.

Z tych prozaicznych, aczkolwiek miłych rozważań wyrwało mnie raptem wywołujące zawsze odwrotny skutek ostrzeżenie mamy: „Dzieci, nie patrzcie!”. Tym bardziej chciałam zobaczyć, co takiego na początku ulicy Górczewskiej tak poruszyło tłum, że zafalowało w nim jęklwym pomrukiem. Wspięłam się na palce i ponad głowami idących ujrzałam po przeciwnej stronie ulicy na tle gruzowiska domu zwęglony stos przypominający czarne belki. Nie wiedziałam wówczas, co rzeczywiście było jego materiałem.

Obecnie w tym miejscu usytuowana jest upamiętniająca tablica głosząca, że „Tu dnia 5 sierpnia 1944 roku hitlerowcy rozstrzelali i spalili około 2000 Polaków”.

Nieco dalej, w okolicy placu Opolskiego, zbulwersowała idących innego typu rodzajowa scenka. Wprost na ulicy, przed cofniętym od trotuaru dom-

kiem, przy stoliku, na którym stał patefon, siedział w nonszalanckiej pozie oficer niemiecki słuchający muzyki, a przed nim defilował pochód wypędzanych ludzi.

Gdy mineliśmy to widowisko, zatrwożył mnie budzący przerażenie obrzmiały trup kobiety, leżący tuż za siatką w samym narożniku ogrodzenia sporego uprawnego pola. Lecz nim zdążyłam ochłonąć z wrażenia, a już skręciliśmy w lewo w dość wąską ulicę Działdowską, której zabudowa paliła się żywym ogniem. Żar był tak nieznośny, że z konieczności już rozciągnięci w kolumnę szliśmy osiłą jezdni, podczas gdy papiery unoszone gorącym podmuchem fruwały ponad dachami i całą ulicą.

Po skręceniu w prawo w ulicę Wolską i dobrnięciu do kościoła św. Wojciecha, który wcześniej był świadkiem ślubu moich rodziców, naszych chrztów i komunii, miesiąc wcześniej nabożeństwa żałobnego ojca, a teraz haniebnego wypędzenia z miasta, niezatrzymywani doszliśmy do ulicy Bema. Przed jej rogiem płonął ciąg domów, a wydobywające się z okien mieszkania szkolnego kolegi jęzory ognia lizały wyższe piętro. Widok ten przeogromnie poruszył mego brata Leszka.

Po wejściu w ulicę Bema posuwaliśmy się już chodnikiem, cały czas prowadzeni i nadzorowani przez idących poboczem jezdni, uzbrojonych niemieckich żołnierzy.

Upał, zmęczenie długim marszem i silnie działające na psychikę wrażenia sprawiły, że mój brat Leszek dostał ataku hysterii. Rozrzuciwszy na boki poły swej peliski na tchórzach, którą z konieczności miał na sobie, głośno protestował, krzycząc, że mu gorąco, że ma tego już dosyć i dalej nie pójdzie!

Mama, aby przerwać jego załamanie, wskazując Niemców, opanowanym głosem powiedziała: „Idź i im to powiedz”. Pomogło i otrzeźwiło. Natychmiast się uspokoił.

Ja natomiast, przeciwnie niż on, nie czułam wcale upału, ale już zupełnie nie pamiętam dalszej trasy, którą dotarliśmy do Dworca Zachodniego. Wiem tylko na pewno, że było jeszcze widno, gdy załadowywaliśmy się do podmiejskiej kolejki elektrycznej, choć opuszczaliśmy ją w Pruszkowie podczas panujących na dworze ciemności. Mama, korzystając z ich osłony, zamiast trzymać się tłumu, raczej się z niego wycofała, aż zostaliśmy na torach sami.

Pruszków – Durchgangslager 121

Nie domyślałam się wtedy, że mama, urodzona w Pruszkowie-Żbikowie, na którego terenie usytuowane były Kolejowe Warsztaty Naprawcze, miała zamiar uciec i schronić się z nami u rodziny swego ojca.

Przejęci naszym oddaleniem od ludzi, nie chcąc być na widoku, pociągnęliśmy mamę za załom muru biegnącego wzdłuż torowiska. Ale tu czyhała przykra pułapka, w którą nieświadomie daliśmy się złapać. Otóż od tego wschodniego szczytu, o czym nie wiedzieliśmy, prowadziło wejście i wjazd dla wagonów na teren, gdzie Niemcy zorganizowali przejściowy obóz dla wypędzonej ludności z Warszawy.

Zaskoczeni, bo przy otwartej bramie stała uzbrojona warta, nie mogąc się już wycofać, weszliśmy do środka. Posuwając się do przodu, pośród ciemności omal nie wpadliśmy na puste bydłące wagony, które stały na torze równoległym do muru, ale już po wewnętrznej stronie obozu. Potykając się, brnęliśmy drogą w głąb. Zatrzymano nas dopiero w załomie pomiędzy dwoma budynkami, gdzie w świetle reflektorów przeprowadzono wstępną selekcję. Najpierw wywoływano rodziny tramwajarzy i kolejarzy, następnie oddzielono kobiety i dzieci. Wtedy mama kazała nam ugiąć kolana, abyśmy sprawiali wrażenie jeszcze młodszych. Trafiliśmy do pierwszego budynku najbliższej rampy, który okazał się dużą halą pozbawioną jakichkolwiek warunków do odpoczynku, a tym bardziej spędzenia w niej nocy. Nierówności w betonowej podłodze i sterczące żelastwo po rozmontowanych urządzeniach stanowiły raczej zagrożenie. Mimo to zdrożeńi ludzie stopniowo wypełniali jej powierzchnię, siadając byle gdzie i jak popadło. Mama, usadzając nas na podłodze, nakazała, abyśmy nie zmieniali miejsca. Sama dokądś poszła, a my natychmiast zasnęliśmy.

Rano gruchnęła wieść, że wartowników u wyjścia na zewnątrz zmieniono z „zielonych” mundurów na „czarne” lub odwrotnie. W każdym razie na bardziej rygorystycznych, a więc wykupienie wolności za złoto stało się zupełnie nierealne.

Wczesnym popołudniem, a był już 11 sierpnia, rozdzielono tłum zalegający halę, kierując go do dwóch przeciwległych wyjść. Opuściliśmy ją przejściem od strony wschodniej i ruszyliśmy na lewo, w głąb porośniętego badyłami terenu. Zaniepokojeni, że nie było z nami nikogo ze znajomych, zawróciliśmy, ale hala była już pusta. W poszukiwaniu wyprowadzonych

ludzi przeszliśmy przez wyjście zachodnie i raptem znaleźliśmy się na rampie, gdzie załadowywano transport.

Dołączeni do wyjeżdżających, upchnięci w pełnym już bydłym wagonie, z konieczności usiedliśmy blisko drzwi, które zaryglowano. Nikt nie wiedział, dokąd mają nas wywieźć. Pociąg ruszył, aby niebawem zatrzymać się w Skierniewicach. Gdy otwarto wagon, na dworze było już ciemno, a my zaspani. Tymczasem służba PCK rozpytywała, czy są chorzy i małe dzieci. Nikt poza nami się nie zgłosił. Mamie polecono położyć się na noszach i udawać chorą. Kiedy zapytała, co z tobą, w który dopiero w Pruszkowie zdołała do reszty spakować cały wyniesiony dobytek, usłyszała: „Trzeba zostawić”. Zanim zdążyła dokonać błyskawicznej analizy sytuacji, co może się z nami stać przy braku pieniędzy i po wyzbyciu się nawet ciepłej odzieży, kiedy w nie tak odległym czasie miała nadejść zima, jakiś młody człowiek wykorzystał ten moment i zajął nosze, po czym natychmiast został na nich wyniesiony. Mam nadzieję, że ku wolności. My wsiedliśmy do wagonu, którego drzwi zatrzaśnięto z łoskotem.

Rozwarły się ponownie, kiedy było już widno, a pociąg stał na przedpolu. Jacyś okoliczni ludzie podawali wodę, można też było załatwić potrzeby fizjologiczne.

Dopiero chyba gdzieś pod Częstochową doszły nas wieści, że transport skierowany jest do Oświęcimia (KL Auschwitz-Birkenau). Mama doznała szoku. W rozpaczę biła głową o ścianę wagonu. Przeraziłam się jej stanem.

W tym momencie nie pamiętałam, że rok wcześniej podsłuchiłam rozmowę dorosłych na temat obozu oświęcimskiego i dziejących się tam potworności. Relacja była tak makabryczna, że wysłuchania jej do końca sama sobie zakazałam, uspokajając się w głębi ducha, że nie jest przecież możliwe, aby mnie coś takiego mogło spotkać, więc po co mam słuchać i wiedzieć. Toteż nazwę „Oświęcim” tak dalece wyparłam z pamięci, że usłyszanej nie kojarzyłam z tamtą złowieszczą opowieścią.

Obóz koncentracyjny Auschwitz-Birkenau

Było upalne słoneczne wczesne popołudnie, gdy zapowiedzi kolejarza się spełniły. Wbrew nadziei na wolność 12 sierpnia 1944 roku pociąg zatrzymał się na stacji Oświęcim (Auschwitz) lub jego bocznicy.

Przywiezionym ludziom pozwolono wysiąść i przebywać w okolicy wagonów. W poszukiwaniu wody, której odczuwaliśmy dotkliwy brak, wdrapałam się z bratem na zbiornik przy lokomotywie ustawiony pod wysokim słupem zwanym żurawiem wodnym. Rozczarowanie nasze było jednak ogromne, bo na jego dnie była tylko ruda breja. Poza tym nie działo się prawie nic godnego mojej uwagi. Rozeszła się tylko wieść, że nie należy mieć złotych pieniędzy, gdyż za ich posiadanie grozi kara śmierci. Informacja ta wystraszyła jakąś kobietę, która myśląc, że jej nikt nie obserwuje, sprytnie podłożyła spory rulonik pod koło wagonu. Lecz niebawem rozległ się krzyk jej rozpacz. Otóż, gdy wiedziona złym przeczuciem po ukryty „depozyt” wróciła, niestety już go tam nie było.

Spaliśmy, gdy wagony przetoczono na rampę Brzezinki (Birkenau). Ich otwarciu towarzyszył mrok nocy rozświetlony reflektorami, ujadające psy i wrzaski esesmanów.

Ruszyliśmy za tłumem w prawo od rampy, drogą pomiędzy dwoma, oddzielonymi drutami odcinkami lagrów BIIC i BIID (oznaczenia odcinków poznałam w trakcie pobytu w obozie). Wyłaniające się ostrożnie zza naroży widniejących baraków postacie pytały: „Ludzie, skąd jesteście?”. Na co nieliczni z rezygnacją odpowiadali: „Z Warszawy”. Droga wydawała się bardzo długa. Panujące ciemności uniemożliwiały obserwację mijanego terenu, ale na ich tle tym wyraźniej eksponowała się ogromna łuna widoczna w głębi po lewej stronie. To, co palono, wydzielało potwornie gryzący, mdławy odór. Dzięki temu, że miałam na sobie lisa mamy, mogłam się bronić przed wdychaniem tego fetoru, wachając perfumy, które przetrwały w futrze.

Wreszcie dotarliśmy do sporej grupy baraków „Kanady”. Pierwszy blok, do którego nas doprowadzono, był przepelniony, w drugim także nie było miejsca, a ludzi stale przybywało. Pod ścianą wypatrzyliśmy jednak niezajęty skrawek, a to tylko dlatego, że pokrywała go niewielka kałuża. Wprawdzie barak nie miał podłogi, lecz ciecz nie wsiąkła. Zdesperowana mama, nie zastanawiając się, nakryła to podmokłe miejsce swoim futrem, a na wierzch położyła palto ojca. Na powstałym legowisku przetrwaliliśmy wszyscy troje resztę nocy.

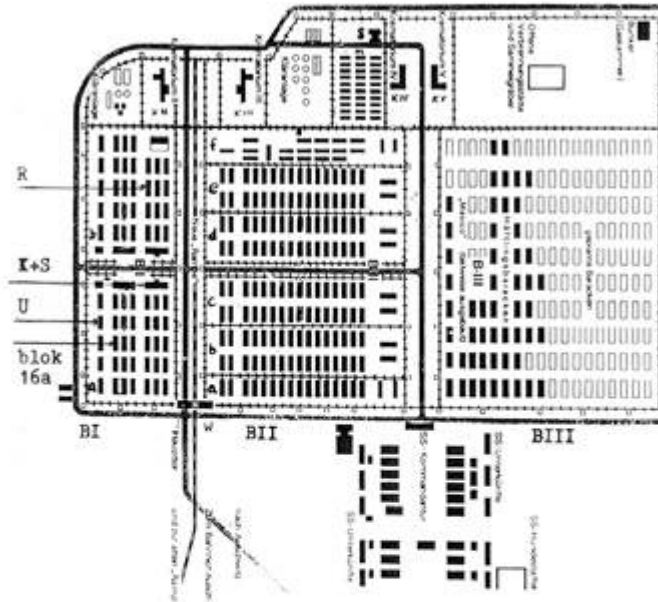
Rano w okolicy „sauny” (łaźni) ustawiono stoliki, przy których zaczęto od przybyłych przyjmować w depozyt: pieniądze, kosztowności i dokumenty. Znacznie później mama przyznała mi się, że posiadanych trzech sztuk biżuterii wyniesionych z Warszawy nie ujawniła, tylko ukryła, począt-

kowo w kawałku słoniny, a kiedy ta zjełczała – w sucharach chleba. Natomiast zegarek ojca przez cały czas pobytu w obozie miał przy sobie brat Leszek. Nigdy się już nie dowiem, w jaki sposób go przechowywał.

Podczas tych wstępnych czynności reakcje ludzi były całkiem rozmaite. Niektórzy, demonstrując protest, a może rozpacz, niszczyli banknoty. Pełna zgorszenia, śledząc porywane przez wiatr ich skrawki, z żalem przeliczałam je na cukierki. Lecz wnet, podobnie jak inni, poczułam się i ja, gdy pośród walających się śmieci znalazłam nowiutkie, jeszcze w nasiąkniętym wazeliną opakowaniu łożyska kulkowe. Był to przedmiot naszych dziecięcych marzeń do budowy podwozia drabiniastego wózecka. Długo ważyłam je w dłoniach, nim ze smutkiem odrzuciłam w przekonaniu, że w tej dziwnej rzeczywistości do niczego jednak już nie będą przydatne.

Tymczasem przedłużające się formalności związane z przyjęciem transportu w obozie wskutek ogromu przywiezionych ludzi sprawiły, że z nudów i ciekawości oboje z bratem zaczęliśmy dokładniej lustrować otoczenie. Ku naszemu zaskoczeniu u szczytu jednego z baraków dostrzegliśmy piętrzące się walizki, w których były same nożyczki. Dziwiłam się niepomernie, skąd taka ilość nożyczek mogła znaleźć się w jednym miejscu. Lecz jeszcze bardziej byliśmy zdumieni, gdy w baraku, do którego udało się nam zajrzeć, pod sufit ułożona była bielizna. Wtedy wyszła do nas kobieta i po polsku poprosiła, abyśmy odeszli, co też posłusznie uczyniliśmy.

OBÓZ KONCENTRACYJNY AUSCHWITZ II - BIRKENAU



- | | |
|--------------------|--|
| B I a, b | - obóz kobiety (FKL) |
| BII a | - kwarantanna więźniów |
| BII b | - obóz rodzinny dla Żydów z Teresina |
| BII c | - obóz przejściowy dla Żydów z Węgier |
| BII d | - obóz męski |
| BII e | - obóz rodzinny dla Cyganów |
| BII f | - „szpital” dla więźniów |
| BIII | - obóz przejściowy dla Żydówek z Węgier |
| R | - „szpital” dla więźniarek |
| K + S | - kuchnia i sauna na FKL |
| U | - ubikacje i umywalnie (ustawione przemiennie) |
| Blok 16a | - dziecięcy |
| W | - główna wartownia „Brama śmierci” |
| S | - Centralna Sauna (łaźnia) |
| M | - „Kanada” – magazyn zrabowanych rzeczy |
| KII, KIII, KIV, KV | - komory gazowe i krematoria |

Centralna sauna w obozie koncentracyjnym Auschwitz-Birkenau

Dopiero po południu, a był już 13 sierpnia, wprowadzono nas do budynku nazywanego „nową sauną”. Było to miejsce, które w bardzo brutalny sposób odkryło oblicze obozu.

Miałam wtedy dziesięć lat, brat dwanaście. Mamę ciągle uważałam za gwaranta mego bezpieczeństwa, więc byłam ufna i spokojna. Oni oboje mieli pełną świadomość co do miejsca naszego pobytu, lecz ciągle ukrywali to przede mną. A ja nadal nie kojarzyłam zasłyszanego wcześniej opowiadania dorosłych o obozie z sytuacją, w której się znalazłam. Tym większy był wstrząs doznany po przekroczeniu tego progu.

Zgromadzonemu w ogromnej sali tłumowi nakazano, bez względu na wiek i płeć, bo byli też chłopcy do szesnastu lat, rozebrać się do naga. Nie mogłam pogodzić się z koniecznością publicznego obnażenia. Nagość w mojej rodzinie nie była czymś zwyczajnym, lecz wstydliwym. Nigdy wcześniej nie widziałam rozebranej matki, toteż jej zażenowanie było dla mnie bardzo bolesne. Moja mama, moja świętość, została tak bardzo upokorzona na oczach własnych dzieci! Starłam się nie spoglądać poniżej jej twarzy.

Ponadto w saunie doświadczyłam pierwszej wizualnej lekcji anatomii ludzkiej. Dostrzegłam niezwykłość pewnych cech fizjologicznych dojrzałej kobiety oraz porównywałam piękno młodego z brzydotą starego, zdeformowanego przebytą otyłością ciała. Nadmiar obwisłych fałd skórnych budził zdziwienie i zainteresowanie, ale przede wszystkim współczucie.

W miarę gdy oswoiłam się z własną i cudzą nagością, kolejne upokorzenie wywoływali wmieszani w tę ciżbę umundurowani, w furazerkach na głowach esesmani. Sprawiali wrażenie, jakby przechadzali się wśród stada zwierząt.

W sali, w której rozbieraliśmy się, następowało stopniowe przemieszczanie się tłumu. W konsekwencji dotarliśmy do dużego wewnętrznego okna w ścianie przeciwległej do wejścia, gdzie każda rodzina przekazywała do depozytu duży papierowy worek wypełniony odzieżą i wszystkim, co mieli z sobą dorośli. Ubrania dzieci luzem przekazano do dezynfekcji, jako że miały im służyć w obozie. Obuwie pozostawiono chyba każdemu, nam na pewno.

Do niewielkiego pomieszczenia, w którym odbywało się strzyżenie wszelkiego owłosienia, doprowadzono nas korytarzem – łącznikiem. Jego przeciwległa do okien ściana stanowiła komory do dezynfekcji odzieży. Ale dopiero w tej „fryzjerni” oczekiwał mnie kolejny dramat. Świadomość, że mogą obciąć mi warkocze, a głowę ogolić do gołej skóry, była przerażająca. Uważałam, że tylko zawszenie mogłoby to uzasadnić. Z moich obserwacji jednak wynikało, że włosy obcinano wszystkim, a tym bardziej te, które

były ładne i dobrze utrzymane. Komando fryzjerek składało się z Żydówek. Strzygły, przejeżdżając brutalnie maszynką od czoła, jakby wyładowując pasję niechęci do ofiary.

Nie wierząc już w żadną sprawiedliwość, której w dodatku i moja mama nie mogła zapewnić ani mnie obronić, nie zwracając uwagi na miejsce i sytuację, z rozpaczyny wpadłam w histerię. Mama błagała: „Uspokój się, bo nas pozabijają”. Nic nie pomogło. Tupałam, krzyczałam i zalewając się łzami, broniłam czynnie swoich warkoczy. Harmider ten spowodował, że oczekujący przed „fryzjernią” zaczęli dobijać się do zamkniętych drzwi, myśląc, że nas mordują. Wtedy przybiegł esesman i wprost nie do wiary, ale kierowany chyba ludzkim odruchem nie pozwolił warkoczy obciąć, za co ogromnie byłam mu wdzięczna.

Gdy opadły moje emocje i poczułam się względnie bezpieczna, dopiero wtedy usłuchałam argumentów mamy, która radziła skrócić włosy do wysokości ucha, co dawało szansę na utrzymanie ich w czystości. Ona wiedziała, że grożą mi wszy. Zgodziłam się. Jednak podczas obcinania, pełna nieufności, przezornie obydwoma dłońmi i ramionami osłaniałam całą głowę. Z powstałego zamieszania skorzystała również mama. W przeciwieństwie do innych kobiet uniknęła oszpecenia i upokorzenia, gdyż jej włosy także zostały tylko podcięte.

Przed opuszczeniem „fryzjerni” w przejściu pomiędzy framugą drzwi stała na stołku miednica napełniona lizolem, w którym należało jeszcze zanurzyć głowę. Zrobiłam to w pośpiechu i z rozmachem, więc zachlapałam sobie oczy, które potem boleśnie piekły.

Podobną rolę przy dezynfekcji stóp pełnił basenik w podłodze przed wejściem do pomieszczenia, w którym zainstalowane były pryszniczki. Lała się z nich na przemian raz gorąca, raz zimna woda, a gęsta para zasnuwała wnętrze. Po tej niby kąpieli, która mogłaby być dla sponiewieranych warunkami podróży dobrodziejstwem, a okazała się zwyczajnym udręczeniem, przeszliśmy nadzy i mokrzy do „czystej” części sauny. Tam po długim oczekiwaniu mama odebrała moje i brata zdezynfekowane ubrania, z tym że na plecach naszych palt funkcyjna zaznaczyła czerwoną olejną farbą pionowe pasy – tzw. sztrajfe (*streifen*).

Kobietom nie przydzielono pasiaków. Zostały ubrane w zupełnie przypadkową cywilną garderobę. Były to nawet suknie balowe z dekolcami, falbanami, a nierzadko poplamione i podarte. Po prostu zwykłe szmaty! Powstał też bardzo uciążliwy problem z dobraniem rozmiaru, który to same

musiały rozwiązać pomiędzy sobą. Mama wspominała, że dla mniej zaradnych osób było to nad wyraz trudne zadanie.

Wreszcie, przy końcu tych organizacyjnych działań, w ostatnim pomieszczeniu sauny, po jej „czystej” stronie, gdzie znajdowały się też w wewnętrznej ścianie oszklone okienka, wydano nam dopiero pierwszy posiłek w obozie. Dostaliśmy chleb i żółty topiony gorzkawy, obrzydliwy, trudny do przełknięcia ser.

Po odbyciu tak zwanego przyjęcia transportu w nowej saunie, po jej opuszczeniu, ludzie wypędzeni z Warszawy wyglądali jak zbiorowisko zmaltretowanych przebierańców. Tych, których znałam, nie mogłam rozpoznać!

Kobięcy lager FKL – Bia

Zapanowała już noc, kiedy wyprowadzono nas z sauny, odartych ze złudzeń, gdzie jesteśmy, ale jeszcze nieświadomych, co niebawem wszystkim czeka. Tymczasem na dworze pomimo sierpnia zrobiło się bardzo zimno. W nieprzystosowanych do zaistniałych warunków, jeszcze wilgotnych po dezynfekcji ubiorach, drżąc z zimna, długo przed nią staliśmy. Wtedy oburzona mama, za tak nieludzkie nas traktowanie, półgłosem życzyła esesmanom piekła.

Ruszyliśmy, dopiero kiedy zebrali się wszyscy, którzy mieli przemierzać tę co poprzednio, ale w odwrotnym kierunku, drogę. Po przekroczeniu rampy kresem jej był kobięcy lager FKL – Bia.

Resztę nocy grupie, w której byliśmy, przyszło spędzić pod gołym niebem w załomie budynku lokalnej sauny tegoż odcinka. Siedząc w kucki, przytuleni do siebie, broniliśmy się przed przejmującym chłodem. Dwie następne noce pozwolono przybyłym, wśród nich mamie i bratu, przebywać już w obrębie tej sauny, której plagą okazały się szczury. Znacznie później mama wspominała, że krzyżącym z przerażenia kobietom funkcyjne, grożąc i używając ordynarnych wyzwisk, nakazały spokój.

Mnie i jeszcze jedną dziewczynkę na te dwa noclegi zabrała nieznana mi więźniarka do murowanego bloku mieszkalnego. Spałyśmy na najwyższej koi, odgródzonej od innych niskimi murkami. Gdy obudziłyśmy się, blok był opustoszały, a ja nie mogłam doszukać się jednej z trzech sukienek, naj-

bardziej ulubionej, granatowej w białe kropki. Ta pierwsza doznana osobista strata była nie tylko zaskakująca, ale i przykra.

Rano tuż za kuchnią, wzdłuż drutów, ustawiono stoły, do których miały zgłaszać się kobiety noszące nazwiska zaczynające się od wskazanej grupy liter. Lecz nim rozpoczęto spisywanie personaliów i nadawanie numerów, rozeszła się uspokajająca wieść, że dzieci do dziesiątego roku życia na pewno nie zostaną odłączone od matek. Z tej przyczyny i nadziei, że tak się stanie, mama odmłodziła nas oboje, podając mój rok urodzenia 1935 zamiast 1934, a bratu 1934 zamiast 1932, ciesząc się, że zmieścił się w tym wymaganym limicie. Lecz zapobiegliwość ta była całkowicie zbyteczna, bo pogłoska okazała się nieprawdziwa. Dzieci i tak oddzielono!

Mój numer, mający do końca pobytu w obozie zastępować nazwisko, był – 85536, mamy – 85535, a brata ujętego na liście mężczyzn – 192714. Ponieważ naszego transportu nie tatuowano, otrzymaliśmy identyfikatory z numerami, które przypięte do lewej piersi ubrania musiały być zawsze widoczne. Całe oznakowanie wyglądało następująco: na prostokacie białego płótna, po lewej jego stronie, na odwróconym do dołu czerwonym winklu (inaczej stożku) widniała czarna litera „P”, z prawej zaś znajdował się numer więźnia.

W czasie, gdy dokonywano spisów, podchodziły do naszej grupy starsze stażem w obozie więźniarki. Jedne oferowały pomoc, inne spragnione były wolnościowych wieści. Wówczas sporadycznie dochodziło do niesympatycznych zachowań i antagonizmów. Kobiety z transportu warszawskiego nieświadomie, co wynikało z niewiedzy, wyrządzały im krzywdę, mówiąc: „Nie zbliżajcie się, jesteście kryminalistkami, my z wami nie chcemy mieć nic wspólnego!”. Same bowiem wierzyły, że ich pobyt w obozie to przypadek albo przedziwne nieporozumienie, gdyż są tylko grupą cywilnej ludności wypędzonej z Warszawy podczas trwającego w niej zbrojnego powstania. Lecz to naiwne oburzenie kwitowane było wtedy bez zrozumienia, z humorystycznym pocieszeniem, że i tak mamy dużo szczęścia, bo przywieziono nas już nie do „piekła, lecz pensjonatu!”

W pewnej chwili nasza nadzieja się załamała. To, co było zgodną troską wszystkich i czego tak bardzo się obawiano, stało się niestety faktem. Rozłączono nas!

Kobiety i dzieci z naszego transportu podzielono na trzy części i rozlokowano w trzech murowanych blokach usytuowanych jeden za drugim w środkowej części lagru B1a. Blok najbliższej drogi lagrowej, równoległej

do rampy, zajęły osoby samotne, młode lub w podeszłym wieku. W następnym umieszczono matki oraz kobiety, które zgłosiły, że mają pod opieką dzieci. Trzeci z kolei blok numer 16a (obecnie 13) przeznaczono dla dzieci do piętnastu lat obojga płci i kobiet w zaawansowanej ciąży, które zajęły koje w prawym szczybie bloku, obok pomieszczenia z zamkniętymi drzwiami. Ostatnie, równoległe do drutów, były latryny i waschraumy.

Lecz dalsze bolesne rozłąki miały się dopiero rozpocząć. Po paru dniach wspólnego przebywania dzieci na bloku wszystkich chłopców powyżej dziesięciu lat, a wśród nich mego dwunastoletniego brata Leszka, uformowano w grupę mającą ponoć iść do budynku waschraumu. Faktycznie w ten podstępny sposób odprowadzono ich do obozu męskiego, na odległą, podzielaną licznymi drutami męską kwarantannę odcinka BIIa. Wtedy szalejącym z rozpaczyny matkom radzono spokój, grożąc „kominem”. Same trochę później, bo gdzieś chyba w drugiej dekadzie września, zostały przeniesione na inny lager. Wówczas straszono nas, że poszły w transport, a wśród matek rozpuszczano perfidną plotkę, że dzieci już nie ma! Były to cyniczne zachowania niektórych funkcyjnych, aby nas obopólnie bardziej udręczyć.

Samotne kobiety, poza staruszkami, w tym samym okresie ewakuowano w głąb Niemiec. Dopiero po wojnie stało się wiadome, że były to obozy koncentracyjne w Ravensbrück, Buchenwaldzie, Bergen-Belsen.

Niebawem i ciężarne kobiety zostały zabrane i ulokowane gdzie indziej. Z ich pobytem na naszym bloku dowiedziałam się, co oznacza słowo „ciąża”, choć nadal nie pojmowałam całej fizjologii poczęcia i rodzenia się człowieka. Aż tu nagle, już na jesieni, zobaczyłam i zetknęłam się osobiście, po raz pierwszy w życiu, z maleńkim noworodkiem. Stało się tak dlatego, że moje legowisko sąsiadowało z koją przy oknie udostępnioną kobiecie, której macierzyństwo miało się zrealizować w tym nieprawdopodobnym miejscu i czasie. Byłam też świadkiem jej bezsilnego borykania się o zabezpieczenie dziecku minimalnych potrzeb do przeżycia. Na szmatę, która służyła za pieluchę, wylał się jakiś płyn. Noc się zbliżała, a ona nie miała w co dziecka zawinąć. Jej rozpacz spowodowała, że uparcie suszyłam ten gałgan przy stygnącym piecyku. To wydarzenie nas zbliżyło. Spotkałyśmy się jeszcze potem zupełnie niespodziewanie w Berlinie przy odgruzowywaniu, choć wyjechała innym transportem. Wtedy dowiedziałam się, że przed opuszczeniem obozu podczas kąpieli w saunie najpierw rozgrzane, a potem nagle schłodzone dziecko dostało zapalenia płuc i zmarło w drodze!

Po odejściu brata Leszka na męski lager dla mnie i mamy miało być chwilową pociechą bliskie sąsiedztwo bloków rozdzielonych niewielką przestrzenią pozbawioną chociażby jednej trawki, za to w dni słotne przemieniającą się w błotne grzęzawisko.

Miejsce to przede wszystkim było moim placem apelowym, ale i „wybiegiem spacerowym”. Chodząc parami wkoło, z nudów wypatrywałam zgubionych guzików, dziwiąc się, że każdego dnia znajduję następne. Szukałam też okrągłych kamyków, które na koi służyły do zręcznościowej gry w „ciupy”.

Pewnego słonecznego dnia nadarzyła się okazja, że mama przyszła na mój placyk apelowy. Wtedy przycupnęła na jakiejś cegle, a ja usadowiona na jej kolanach wysłuchiwałam, że rodziny, z którą nie utrzymywaliśmy kontaktu, mogę szukać „tu a tu”, że jej panieńskie nazwisko brzmi Głogowska, że urodziła się w Pruszkowie-Żbikowie oraz wiele trudnych do spamiętania na poczekaniu dat urodzenia: mamy, taty, brata, a ponadto ćwiczyliśmy mój „olbrzymiasty”, pięciocyfrowy numer jako nowy znak tożsamości.

I choć wiedziałam już, gdzie jestem, bo słup ognia nad kominem krematoryjnym widniał, wprawdzie w głębi obozu, z dala, ale bardzo wyraźnie, to w bezpośrednim z mamą kontakcie czułam się bezpieczna. Dlatego też niechętna byłam tej lawinie zbytycznej w moim odczuciu edukacji na wypadek gdyby „co”. Ale tego „co” mama nigdy nie kończyła. Nie ujawniała także, co w głębi ducha przeżywała i jakie fale rozpaczyny ją targaly. A ja ciągle nie chciałam pojąć, że tak zawsze być nie musi lub niezależnie od mamy być nie może, mimo że ona w tej chwili jest w zasięgu ręki, tuż, tuż. Po prostu być z mamą i przy niej było mi dobrze i nic innego w tamtej chwili mnie nie obchodziło.

Gdzieś na przełomie września zabroniono nam z bloku wychodzić, a matkom przychodzić do nas. Zakaz tej blocksperry mama złamała, przybiegając ukradkiem pod moje okno. Później przyznała się, że zastosowano wobec niej represję. Musiała w swoim bloku klęczeć na betonie z rękoma uniesionymi i obciążonymi cegłami. Wiadomość o karze i upokorzeniu mamy nie mogła pomieścić się w mej głowie. Wielu rzeczy z życia obozowego nie potrafiłam sobie wytłumaczyć, gdyż burzyły one całkowicie moje wykrystalizowane poglądy na ludzi i ich postawy.

Tak samo niesłychanym było wydarzenie, zaraz po przybyciu do obozu, które spotkało mamę. Esesmanka na moich oczach wymierzyła mamie poli-

czek! Została uderzona tylko dlatego, że zbyt ostrożnie wchodziła do basenu z odkażającym płynem, chcąc uniknąć zamoczenia wnętrza butów.

Brutalność w ogóle, a tym bardziej skierowana wobec mojej mamy, była czymś niewybaczalnym! Gdyby to było możliwe, w odwecie i obronie rzuciłabym się na tę esesmankę, mimo że przy niej warował pies, jej obrońca!

Moje rozstanie z mamą, którego zawsze bałam się przeogromnie, nastąpiło nagle. Zachorowała na tyfus, więc nie przebywała już w bloku obok, lecz w szpitalu, tak zwanym rewirze lagru BIIa, gdzie, jak później wspominała, ochrzciła z wody umierającą Żydówkę.

Dzięki przypadkowemu spotkaniu koleżanki z byłej pracy, która dużo wcześniej trafiła do obozu, jej pomocy i opiece, mama łatwiej znosiła tę ciężką chorobę. Życzliwa interwencja tej pani, której imienia i nazwiska nie znam, wkrótce wywiezionej, spowodowała, że mnie i pewnej dziewczynce pozwolono na widzenie się z matkami na rewirze. Jeszcze dziś z tym faktem łączę bardzo denerwujące wspomnienie, do którego niechętnie powracam pamięcią.

Na odległy rewir poszliśmy pod opieką sztabowej, która miała przy okazji wstąpić także do innego bloku. Nam poleciła w określonym miejscu zaczekać. I tu powstało nieporozumienie. Czekaliśmy nie tam, gdzie według niej byłyśmy umówione. W efekcie zagubiłyśmy się, pozostając same na dworze długo w nocy pod rewirowym barakiem. Na samą myśl, że nie zdążymy na poranny apel, dostałam potężnego rozstroju żołądka. Dzięki temu, że Basia Bańkowska z tej samej koi powiadomiła o mojej nieobecności, sztabowa natychmiast wróciła na rewir i odszukała nas nawoływaniem. Była zresztą nie mniej przejęta grozą sytuacji niż my obie.

Przeciągająca się nieobecność mamy i brak wiadomości o niej wywołały u mnie poczucie osamotnienia. Ponadto uległam psychozie, że podczas selekcji mogę ją stracić na zawsze! To przeświadczenie spowodowało, że przestały mnie interesować wydarzenia mające miejsce obok, jak i bezpośrednio mnie dotyczące. Zaczęło być mi wszystko jedno, dokąd nas prowadzą i w jakim celu. Po prostu uległam apatii i całkowitemu zubożeniu na realia, które mnie otaczały.

Zwiastunem chwilowej nadziei, a tym samym ożywienia, były zaledwie dwa grypsy od mamy, pisane bardzo niewyraźnie na bandażu podobnym do papieru higienicznego. Z trudem odczytałam: „Kochana Elżuniu!”. Dalej było mało czytelne, ale wystarczyło! Nikt tak się do mnie nie zwracał. Wiedziałam, że pisze mama, że jest w obozie, a co najważniejsze, żyje!

Od tej chwili wszystko, co tak potwornie realne, łatwiejsze było w przetwarzaniu. Bardzo swędzący świerzb, który szerzył się zastraszająco, bo od przybycia do obozu nikt się nie mył, zaropiałe oczy, długie apele, nierzadko w deszczu, a potem i mrozie, głód, zimno, pluskwy, szczury, tęsknota, samotność oraz wszelkiego rodzaju lęki, od których nie byłam wolna!

Życie w bloku dziecięcym 16a – lager FKL – B1a

Blok „dzieci”, w którym oddzielonej od mamy i brata przyszło mi żyć, był murowany. Zresztą wszystkie inne widoczne dookoła, oprócz rewiru po przeciwnej stronie ulicy lagrowej, były takie same. Wnętrze jego, podzielone na cztery sztuby, całkowicie wypełniały ścianki trójpoziomowych koi zbudowanych z cegieł tylko pobielanych wapnem. Najniżej położone legowiska za podłozę miały wprost ceglana podłogę. Lecz podstawą dwóch wyższych kondygnacji były już deski i tylko te zasiedlono.

Na każdej koi o powierzchni około 4 m² leżały szczątki siennika wypełnionego chyba mialką sieczką i koc, który pełnił podwójną funkcję. W dzień wyścielał jej powierzchnię, a nocą okrywał wszystkich. Koja bowiem służyła jako „mieszkanie” pięciorgu lub sześciorgu dzieciom, będąc jednocześnie miejscem spania, jedzenia, „zabawy” i stałego przebywania. W późniejszym okresie, gdy wyczerpała się nadzieja, a wkradło zubożenie, stanowiła dla mnie coś więcej. Była symbolem „bezpieczeństwa” i „stabilizacji”, jakim w normalnym dawnym życiu, podczas dziecięcego buntu czy chwilowego rozgoryczenia, było mi własne łóżko.

Zawsze zamieszkiwałam koje w sztubie tylnej, przeciwległej do wejścia, i nawet parę razy je zmieniałam w miarę pustoszenia bloku. Z pobytom na każdej z nich kojarzę jakieś inne wydarzenie. W ten sposób mogę ustalić przybliżony czas i kolejność, w jakim one powstały. Niezmiennie przebywałyśmy we trzy, ale tylko jedną z tych dziewczynek pamiętam. Była to kuzynka Basia Bańkowska.

W pierwszym okresie koszmarem bloku były pluskwy. Wyłaziły z każdej szczeliny. Spadały na głowy z supremowej podsufitki. W nocy z powodu ukąszeń nie było można spać. Toteż za dnia polowałam na wyłaniające się z nieotynkowanych ścian koi i zabijałam obcasem buta.

Wreszcie wygazowano blok cyklonem B. Na te dwa dni wszystkie dzieci przeniesiono do sąsiedniego baraku matek. Nareszcie byłam blisko z mamą,

bo na jednej koi, i choć ogromnie stłoczone, ale razem!

Efekt dezynfekcji był zaskakujący. Gdy wróciliśmy do bloku, na każdej powierzchni leżały warstwy insektów. Wtedy dopiero nastął upragniony pod tym względem spokój.

Z myciem były ogromne kłopoty. W końcu dano sobie spokój i nie myliśmy się wcale!

Nie domyślałam się wówczas, że za stale zamkniętymi drzwiami w prawym szczyście bloku po lewej jego stronie znajdowało się pomieszczenie umywalni. Teraz dopiero wiem, że chociaż wyposażono je w kamionkowe rynny, nie mogło funkcjonować, gdyż nigdy nie zostało podłączone do instalacji wodno-kanalizacyjnej.

Toteż w początkowym okresie dwa lub może trzy razy próbowano doprowadzić wszystkie dzieci do niezbyt odległego budynku waschraumu. W jego wnętrzu funkcjonowały długie, sprzężone z sobą dwa koryta. Ponad nimi biegła rura, na której w odstępach rozmieszczono krany, a dostęp do nich umożliwiało dojście z obu przeciwległych stron.

Ale umycie się mimo najszczerszych chęci stawało się niemożliwe, tak z powodu niebywałego tłoku przy każdym zaworze, jak i krótkiego czasu dopływu rdzawej, śmierdzącej, zimnej wody. Jeśli udało mi się zamoczyć ręce, to już na pewno nie zdążyłam ich namydlić „glinianym”, zupełnie niepieniącym się mydłem, a następnie umyć. Wobec tych przeciwności, których doświadczali wszyscy, wyprawy do waschraumu zaniechano, a choroba skóry świerz (Krätze) zaczął szerzyć się zastraszająco.

W późniejszym czasie chyba aż dwukrotnie zorganizowano nam „kąpiel” w lokalnej saunie odcinka B1a. Tam pod prysznicami z gorącą wodą, bez użycia mydła i w wielkim pośpiechu, nareszcie mogliśmy umyć, a właściwie opłukać całe ciało. Ze względu na określoną przepustowość sauny dzieci wchodziły do niej grupami. Reszta zawsze pozostawała na dworze. W lepszej zatem sytuacji znajdowali się ci, którym oczekiwanie przypadło przed odbyciem kąpieli, a nie po niej. Z tej drugiej grupy wiele osób wskutek rozgrzania i nawilgocenia ciała ulegało przeziębieniu.

Zbiorowe korzystanie z ubikacji, w atmosferze ogromnego pośpiechu, tłoku i braku intymności, też było przykrym przeżyciem.

Podłużny, murowany budynek latryny stał opodal waschraumu. Wzdłuż wnętrza biegł kanał z nieczystościami, do którego dojście znajdowało się z obu stron. Na dość szerokiej powierzchni jego obudowy powycinano liczne, przeciwległe, okrągłe otwory. Były na tyle duże, że w obawie, aby

nie wpaść przez nie do środka, ostrożnie na nich siadałam. Sprowadzenie z bloku jednocześnie wszystkich dzieci powodowało, że do każdego ubikacyjnego „sedesu” ustawiała się gromada oczekujących. Ale problem powstawał, dopiero gdy ktoś chorował na *Durchfall* (biegunka głodowa) i lało się z niego bez przerwy. Taki nieszczęśnik najchętniej nie wstawałby z raz zajętego miejsca. Wtedy to tworzyły się zatory, a czas pobytu w ustępie znacznie przedłużał.

Toteż niebawem wypraw do latryny, tak zbiorowych, jak i indywidualnych – bo bez dozoru dzieciom nie wolno było chodzić po lagrze – po prostu zaniechano. Sytuację tę rozwiązało postawienie wewnątrz bloku dwóch wysokich „kibli” na fekalia. Od tego czasu za drzwiami pomieszczenia przylegającego do nieczynnej umywalni stała już zawsze kolejka dzieci.

„Kible” z nieczystościami wносиły do latryny starsze koleżanki, za co podobno dostawały „culagę”, czyli dodatkowy kawałek chleba. Pomimo przykrej funkcji chętnych było sporo.

„Kiblamy” były pojemniki w kształcie cylindra z grubszej niż kubek szarej ocynkowanej blachy, o wysokości około 60 cm i średnicy 30–35 cm, z dwoma płaskimi uchwytami przy górnym brzegu.

Inne podstawowe zabiegi higieniczne także były niemożliwe do zrealizowania. Otóż zupełnie nie przypominam sobie, abym podczas pobytu w obozie używała jakiegokolwiek papieru higienicznego, miała grzebień, myła zęby i kubek po zupie, zmieniała bieliznę lub przebierała się do snu!

Środek bloku w kształcie czworoboku, usytuowany na wprost frontowych drzwi, stanowił wolną przestrzeń. Powiedzmy, że był to „hol”, którego przeciwległe ściany później ozdobiły malowidła o tematyce dziecięcej. Powstawania jednego z nich byłam świadkiem. Położenie koi, na której mieszkałam, umożliwiała mi obserwację prawej ściany od strony wejścia.

Pewnego dnia przyszedł do bloku niezbyt wysoki, szczupły mężczyzna w pasiaku i takiej samej płaskiej czapeczce. Było to zdarzenie niezwykle, bo mężczyźni, poza esesmanami, chyba nigdy bloku nie odwiedzali, a on w dodatku zaczął malować. Twarzy jego ani identyfikatora nie widziałam, gdyż obserwowałam go odwróconego tyłem. Patrząc na ruchy ręki, starałam się odgadnąć, jaki obraz ma powstać. Narysował drzewa i budynek szkolny, do którego zmierzał chłopiec w bereciku z „antenką” i tornistrem na plecach. Zapamiętałam, że z tornistra zwisała na sznurku obła gąbka. Było to dość dziwne, gdyż w mojej szkole gąbki zawsze leżały przy tablicy i nikt nie nosił ich z sobą. Obraz ten utrwalił mi się dobrze w pamięci, bo

też i często z koi na niego spoglądałam. Wiedziałam, że i przeciwległą ścianę zdobi również prosty w formie rysunek, tylko nie pamiętałam, że przedstawia on troje dzieci z zabawkami.

Kto inspirował wykonanie tych malowideł, tego nie wiem, ale z całą pewnością powstały podczas mojego pobytu w bloku dziecięcym 16a późną jesienią 1944 roku.

W dniu moich urodzin 19 września zdobyłam się na odwagę i oświadczyłam sztubowej, że skończyłam dziesięć lat i proszę o przydział porcji dla starszych dzieci! Dotychczas w młodszej grupie otrzymywałam cienki plaśterek białego chleba oraz mały kawałek masła, wielkości mniej więcej 2 x 2 cm o grubości 0,5 cm. Uważałam, że jestem ogromnie pokrzywdzona. Inne dzieci dostawały wprawdzie chleb ciemny z formy, ale pajdka była przynajmniej dwa razy większa i z dodatkiem margaryny, której kawałek też był podwójny.

Taki przydział musiał starczyć na śniadanie i kolację, a pół litra nijakiej zupy o bliżej nieokreślonym składzie stanowiło obiad, choć nierzadko duży liść jarmużu, gdy wpadł do kubka, pomniejszał jego zawartość. „Kawy” czy ziółek było pod dostatkiem.

Nic więc dziwnego, że wyniszczająco skąpe jedzenie było częstym tematem rozmów, marzeń oraz rozpamiętywaniem spostrzeżeń z nim związanych. Bo nie tylko zachwycała mnie smakowita jedna jedyna kluska – pyza, podarowana przez sztubową, a zapamiętana z wdzięcznością do dziś, ale dziwiło istnienie w obozie kartofli i możliwości ich zdobycia. Próżne też było moje rozważanie nad jednorazowym przydziałem plastra kiełbasy z nadzieją, że się powtórzy. Ale sprawiedliwy jej rozdział pozostał już na zawsze niezapomniany, bo też i był bardzo oryginalny. Otóż najpierw wyprowadzono z bloku wszystkie dzieci, które następnie wpuszczano do niego pojedynczo i dopiero w przejściu wręczano ten pożądaną przysmak. Lecz osłupieniu uległam dopiero wówczas, gdy w przeddzień opuszczenia obozu, w styczniu 1945 roku, dostałam od mamy Basi Bańkowskiej miskę pysznej zupy mlecznej z kluskami zwanej „melką”! Nie mogłam wtedy uwierzyć, że tak dobre pożywienie w ogóle tutaj mogło się znajdować.

Początkowo blok był dziećmi przepelniony, lecz w miarę upływu czasu stale dokonywała się ich nieuchwytna rotacja i pozostawało nas coraz mniej. Ludzi i ich twarzy nie pamiętam. Byli wszyscy bezimienni, przez to blok jakby „pełen”, ale jednocześnie „pusty”.

Rządziła w nim blokowa Roma Ciesielska. Osoba niewysoka, korpulentna, o siwawych gładko zaczesanych włosach, ubrana w pasiak z przypiętym numerem więziarskim z czerwonym winklem i czarną literą „P”. Kobieta ta nie tylko dla mnie była postrachem. Lecz z represjami z jej strony się nie spotkałam, bo od dawna w życiu obozowym kierowałam się raczej instynktem samozachowawczym. Doskonale wiedziałam, że należy zachować spokój, dyscyplinę oraz dbać o schludny wygląd własny, zamieszkiwanej koi, a także bloku. Te absurdalne w tych warunkach wymagania musiały być spełnione. Przeto buty myłam w kałuży lub „ziólkach”. Ceglana podłogę, aby nabrała „koloru”, zmywano wodą z dodatkiem startej na miazgi proszek cegły. Natomiast zabrudzenia drewnianych obramowań koi zeskrobywało się kawałkiem szkła.

Starsze dziewczęta myły blok i to przed samym apelem, na który przychodził esesman. Wtedy szczególnie musiało być w nim czysto, tym bardziej że w okresie słoty zaniesiony bywał błotem.

Od pewnego czasu koi przy oknach celowo nie zasiedlano. Jednocześnie w trosce o ich schludny wygląd pilnowano, aby zawsze były równo zasłane kocami, a nic, co mogłoby spaść przez szpary wyżej położonych, nie miało prawa ich zaśmiecać. Dlaczego one musiały być puste, tego na pewno nie wiem, tylko się domyślam. Odkąd nastąpiły tak zwane blocksperry, nie tylko istniał zakaz opuszczania bloku, ale także podchodzenia do okien. Wtedy słychać było przemarsz dużej ilości ludzi, nierzadko krzyki i szczekanie psów. Działo się tak w okresie intensywnej ewakuacji więźniów, mówiono, że do innych obozów w głąb Niemiec lub do krematorium.

Między apelami, po wykonaniu przydzielonej pracy, był czas wolny. W początkowym okresie podczas odbywania kwarantanny przebywaliśmy na zewnątrz bloku, w obrębie placu apelowego, a w dni słotne, siedząc na kojach, dużo śpiewaliśmy. Później częstą i jedyną zabawą na mojej koi była zręcznościowa gra w „ciupy”, do której służyły znajdowane okrągłe nieduże kamyczki.

Prawdziwą udręką i ogromną emocją było dla mnie rozdawanie przez blokową czystych identyfikatorów z numerami. Działo się to sporadycznie po zakończeniu porannego apelu, gdy uformowani byliśmy jeszcze w piątkowym szyku. Wsłuchując się w wykrzykiwane numery, byłam owładnięta przemożnym strachem, że przeoczę własny. Stałam więc z napiętą uwagą jak przysłowiowa „struna”. Gdyby ktoś mnie wtedy trącił, tobym chyba „zadźwiewczała”!

Inną moją troską i prawdziwym kłopotem było posiadanie dwóch palt. Brat zostawił swoje, odchodząc niespodziewanie na męski lager. Mając świadomość, że posiadanie podwójnej garderoby jest regulaminowym wykroczeniem, żyłam w ciągłym niepokoju. Przy każdym zbiorowym wyjściu z bloku zapowiadana kontrola koi była równoznaczna z możliwością odkrycia mego „przestępstwa”. Na samą myśl drętwiałam z przerażenia, więc jedno z palt przezornie zostawiałam na najwyższej niezamieszkannej koi w nadziei, że nie zginie. Ale pewnego dnia przepadło! Wtedy odsapnęłam z ogromną ulgą. Nareszcie przestałam się bać, że zostanę ukarana. Ale wnet poczułam się bardzo winna wobec mamy, że nie potrafiłam upilnować mego paltka, za które czułam się odpowiedzialna. Poza tym straciłam rzecz, która służyła mi za dodatkowe okrycie podczas dokuczliwie zimnych nocy.

Wydawałoby się, że to takie właściwie NIC, epizod bez znaczenia, ale jednak bardzo ciężko było mi z tą nierozgrzeszoną winą samej się borykać!

Tymczasem mówiono, że konspiracyjny ruch oporu czuwał nad blokiem uwięzionych dzieci i nimi samymi. Takie wieści mimochodem rozchodziły się szybko i docierały wszędzie, chociaż nie zawsze były zrozumiałe. W każdym razie ktoś musiał podjąć działanie, gdyż z nastaniem jesiennych chłódów uzupełniono dzieciom garderobę. Ja przypadkowo miałam palto i spodnie brata zabrane z domu, ale większość z nas przybyła do obozu w letnich ubraniach i właśnie ci, tak jak Basia Bańkowska z mojej koi, zostali wyposażeni w swetry, płaszcze, czapki, pończochy i buty, które przeważnie były nie od pary. Kiedy dowiedziałam się, że w pomieszczeniu, w którym stały „kible”, złożono stos bucików, ucieszyłam się bardzo, gdyż moje sandały już się rozpadały. Długo cierpliwie grzebałam i wybierałam w tej stercie. I choć nie udało mi się dobrać stanowiących parę, to w noszeniu okazały się wygodne. Natomiast na moment nie przyszło mi wówczas do głowy, że ktoś do niedawna w nich chodził, bo przecież nie były nowe!

Następnym dobrodziejstwem tej „niewidzialnej ręki” było to, że poranne i wieczorne apele przeniesiono do bloku. Dla sprawniejszego liczenia siedzieliśmy na kojach po pięcioro, ze spuszczonej nogami.

Jednak nie ominęły nas dwa pamiętne apele, które były istnym koszmarem. Jeden miał miejsce na FKL-u, w deszczu i grząskim błocie, z którego trudno było wyciągnąć nogi, a potem wysuszyć przemoczone ubranie. Drugi odbył się na lagrze cygańskim BIIe, gdy w śniegu podczas siarczystego mrozu należało stać bez ruchu. Ten musiał być bardzo długi i uciąż-

liwy, skoro pod jego koniec zezwolono dzieciom krążyć parami dookoła własnego placu pomiędzy blokami.

Takie apele miały miejsce zwykle wtedy, gdy ktoś uciekł lub celowo się schował albo zasłabł i gdzieś się zawieruszył. Wówczas wszyscy więźniowie z całego obozu stali wiele godzin bez względu na aurę i porę roku, dopóki przyczyna nieobecności brakującej osoby nie została wyjaśniona.

Do dzisiaj w konsekwencji tamtych przeżyć przedłużające się oczekiwanie na środek komunikacji podczas niesprzyjającej pogody załamuje mnie psychicznie, bo wnet tracę nadzieję, że pojazd kiedykolwiek nadjedzie.

Chyba w połowie września 1944 roku, przebywając na FKL-u, z wielką radością i jeszcze większą nadzieją na wolność, przeżyliśmy wszyscy w bloku niespodziewane bombardowanie obozu. Ze strachu w pierwszym odruchu, zupełnie bez sensu, co natychmiast sobie uświadomiłam, weszłam pod koję. I choć skutki nalotu nic, a nic naszej wolności nie przybliżyły, to wcale nie przeszkadzało to w tym, że zaczęto śpiewać: „Oświęcim rozbili, więźniów wypuścili, na wolność, na wolność, na wolność już nam czas”.

Lager cygański BIIe

Odcinek Ia FKL-u (obozu kobiecego) stopniowo pustoszał. Mówiono, że dzieci z bloku 16a prawie ostatnie przenoszone są na lager cygański B IIe, który miał wśród więźniów złą sławę i niczego dobrego nie wróżył. Wiadomo było, że na początku sierpnia 1944 roku wymordowano wszystkie przebywające tam rodziny Cyganów.

Była połowa listopada 1944 roku. Przeprowadzce z FKL-u towarzyszył nieustannie siąpiący deszczyk i ołowiane chmury. Przekroczyliśmy rampę i ponownie pomiędzy odcinkami BIIc i BIIId tą samą bardzo długą drogą, którą wcześniej już dwukrotnie przemierzaliśmy, dobrnęliśmy do bramy lagru cygańskiego BIIe znajdującej się z przeciwnej niż rampa strony.

Bardzo zdrożone i zmoknięte dzieci wprowadzono na chwilę do baraku matek. Weszłam bez entuzjazmu, jako że nie spodziewałam się zastać w nim mojej mamy. Wiedziałam, że nadal jest na rewirze, który także miano tu przenieść.

Przysiadłam na podłużnym piecu biegnącym wzdłuż baraku i zaczęłam obserwować siedzącą na najwyższej pod sufitem koi siwiuteńką panią. Była to pani Aleksandra Nowik, babcia Krysi Zawadzkiej (obecnie Politow-

skiej). Płacząc, coś szyła, a siedząca przy niej kobieta uspokajała ją, mówiąc: „Niech pani nie płacze. Dzieci już są. Już się odnalazły”. Od razu zaczęłam się zastanawiać, gdzie miałyśmy się zgubić i skąd ta pani ma igłę!

Babcię Krysi widziałam później jeszcze raz, kiedy za przepierzeniem w tylnej części naszego baraku wrzucono sporo butów z cholewami. Zapragnęłam takie mieć i poszłam, aby coś wybrać. Właśnie w tym mrocznym miejscu zobaczyłam babcię Krysi, która trzymała pod pachą but prawy, z którym parę tworzył but lewy znaleziony wcześniej przeze mnie. Bojąc się, że mi go odbierze, niewiele myśląc, wycofałam się na koję, aby tam tę panią przeczekać. Wróciłam, kiedy zniechęcona bezskutecznym poszukiwaniem porzuciła but, na który ja czekałam.

Później dziwiłam się, skąd we mnie wzięło się tyle sprytu i przebiegłości, o które siebie wcześniej nie podejrzewałam. Ale też i nigdy nie musiałam walczyć o byt!

Wszystkie baraki na tym odcinku ustawione były szczytami do drutów i ulicy lagrowej. Ten, w którym zamieszkaliśmy, różnił się od pozostałych na FKL-u konstrukcją i wyposażeniem wnętrza. Były to stajnie końskie przystosowane do zamieszkania przez więźniów. Zarówno barak, jak i trzypiętrowe koje, odsunięte od ścian wąskim przejściem, były drewniane. Budynek nie posiadał okien, tylko wąskie świetliki wysoko pod dachem. Przez jego środek biegł murowany kanał dymny o szerokości i wysokości chyba około 80 centymetrów. Na obu jego przeciwległych wylotach znajdowały się paleniska. Od ulicy lagrowej było wejście i sień, a po jej lewej stronie mieściło się pomieszczenie blokowej. Przeciwny szczyt za przepierzeniem z desek stanowił zaplecze, gdzie znajdowała się ponura nieczynna umywalnia, w której stały dwa „kible”, oraz było wyjście na stronę drutów.

W tej to tylnej jego części po prawej stronie w samym rogu zgromadzone były koje tak zwanych „krecowatych”, gdzie i ja przez jakiś czas przebywałam po zarażeniu się świerzmem (*Krätze*). Tę bardzo swędzącą dolegliwość, rozszerzającą się na skutek braku higieny, usiłowano opanować odizolowaniem zakażonych dzieci, a leczyć, smarując chore miejsca jakąś maścią .

Gdy wysypka zniknęła, a świąd ustał, wydawało się, że choroba już minęła. Wtedy dla poświadczenia tego faktu polecono mnie i Basi pójść do jakiegoś pomieszczenia, którego lokalizacji ani funkcji nie jestem w stanie określić. Niemniej doskonale pamiętam, że w tym przestronnym, wysokim

wnętrzu stał tylko stół i były jakieś dwie funkcyjne kobiety. Natomiast na tle białego pomalowanego przepierzera bardzo wyraźnie eksponował się żywy ludzki „szkielet” obciągnięty pergaminową skórą. Dopóki postać stała nieruchomo, nie przejawiałam obawy, lecz zaciekawienie. Gorzej było, gdy ta kobieca zjawa poruszyła się. Wówczas z wielkim krzykiem i w panicznym popłochu uciekłam.

Plagą tego baraku były duże szczury. Pomimo zapalonego światła biegały nocą po najniżej położonych kojach, wywołując przerażenie wśród dzieci. Sama tego doświadczyłam. Obudziłam się, gdy zwierzak zatrzymał się na moich nogach okrytych paltem i kocem. Byłam wprost sparaliżowana ze strachu i obrzydzenia. Zdołałam się poruszyć, dopiero gdy dojrzał mi do ramienia. Wtedy spłoszony umknął.

Lager cygański BIIe sąsiadował przez druty z męskim odcinkiem BIIId, na którym przebywali też chłopcy z warszawskiego transportu. Wśród nich był mój brat Leszek. Zobaczyliśmy się z daleka po trzech miesiącach rozłąki. Wyglądał nędznie. Pomimo listopadowej pory roku był w kusej, przymałej na niego marynareczce, bez skarpet i czapki, co w moim pojęciu świadczyło o opuszczeniu i niezaradności życiowej, a pomocy żadnej i znikąd! Tym bardziej się zdziwiłam, kiedy w przerwie w podłączeniu prądu podał mi przez druty furazerkę soli. Było to cenne dobro, za które mama w drodze wymiany uzyskała cebulę i coś tam jeszcze.

Otóż chłopcy wiedli zupełnie inny tryb życia, gdyż zatrudnienie przy rolwadze umożliwiało im poruszanie się po całym obozie. Była to jednak bardzo ciężka praca. Załadowany, olbrzymi wóz ważył dużo, oni w kilkunastu musieli go pchać i ciągnąć, nierzadko po błocie. Za to mieli możliwość „organizowania” różnych przydatnych, a ogólnie niedostępnych przedmiotów. Kiedyś wrzucili do naszego baraku dużo ładnych scyzoryków, z których jeden zdołałam pochwycić. Innym razem dostarczyli buty z cholewami. Natomiast piłkę futbolową, która niefortunnie przeleciała ponad drutami na nasz lager, domagali się, aby zwrócić.

Największe jednak zagrożenie, o czym wszyscy doskonale wiedzieli, stanowiły druty podłączone do prądu. Jeden z chłopców o nazwisku Babańczyk dotknął ich nieopatrznie i został porażony. Koledzy, świadkowie wydarzenia, z trudem zdołali go odciągnąć i uratować, ale szpetna blizna na twarzy została na zawsze. Natomiast wieść o tym wypadku lotem błyskawicy rozeszła się po obu odcinkach lagru.

Tak samo do niebezpiecznych należało wkraczanie na wyźwirowany pas przed drutami, czego nagminnie nie przestrzegaliśmy podczas kontaktów z braćmi. Wtedy trzeba było mieć się na baczności, gdyż nudzący się w budkach strażniczych żołnierze (postowie), namierzając nas, strzelali do celu. Pamiętam taki wypadek, gdy zranieniu uległa mała dziewczynka w granatowym płaszczu.

Z drugiej strony naszego odcinka cygańskiego znajdował się męski rewir BIIf, za którym widoczne były baraki „Kanady”, a opodal nich krematoria. Jedno z nich zostało wysadzone w powietrze jeszcze za naszej bytności w obozie. Po przeciwnej stronie ulicy lagrowej, nieco na skos od naszego, mieścił się barak matek, natomiast bliżej rampy zlokalizowano rewir, na którym nadal przebywała mama.

Pod koniec grudnia nastąpiło jakby rozluźnienie dyscypliny. Postanowiłam to wykorzystać i na własną rękę, nikogo nie prosząc o zgodę, odwiedzić na rewirze mamę, której tak długo nie widziałam. Oprócz tęsknoty powodów, którymi się kierowałam, było wiele.

Bolał mnie tego dnia brzuch, miałam obtartą piętę i brzemieniem nierozgrzeszonej winy nadal ciążyła mi kradzież mego paltka. Wybrałam się, gdy było już ciemno, ale dość czasu do wieczornego apelu. Rewir był chyba przedostatnim w ulicy lagrowej, a za nim tylko trupiarnia.

Wiedziałam, że mogę wejść jedynie drzwiami od słabo oświetlonych drutów. Szłam zatem wzdłuż baraku. Blask światła pozostawał za moimi plecami. Wtedy ku memu przerażeniu dostrzegłam, że gdzieś przy jego końcu pod ścianą leżą jedne na drugich sterty nagich trupów, a w nich coś się rusza. Zawracałam trzykrotnie, nim przezwyciężyłam strach i dotarłam do mamy. W końcu mogłyśmy przytulić się do siebie, bo mama była już w trakcie rekonwalescencji.

Lecz radość spotkania stopniowo odpływała gaszona natrętnymi myślami. Co się stanie, gdy odkryją, że mnie nie ma w baraku? Jak wyjdę sama w te ciemności i przebrnę obok martwych ciał, w których buszują szczury? Jak zdążę przejść niezauważona przez cały długi lager, gdy nagle ogłoszą blocksperrę?

Boże! Gdzie podziało się to bezpieczeństwo, którego ostoją zawsze była mi mama! I wtedy, mimo że nadal siedziałam na jej kolanach, poczułam się nagle bardzo zagrożona i przeogromnie samotna, a miałam zaledwie dziesięć lat!

Zdarzało się jednak niekiedy, że to beznadziejne tkwienie w tym marazmie paskudnego baraku pełnego „osieroconych” i obcych mi dzieci oraz pokrzykującej blokowej rozpraszały bardzo rzadkie, ale wychwytywane natychmiast i utrwalane w pamięci jaśniejsze promyki, które składały się na obrazki.

Otóż dziewczynki mówiły, że podczas dobrej, przejrzystej pogody można obserwować zarysy gór. Nad morzem już byłam, gór jeszcze nie znałam, więc raptem do nich zatęskniłam. I choć bez skutku, ale bardzo wyteżałam wzrok, aby je koniecznie zobaczyć.

Nie wiedziałam także, że w obrębie lagru cygańskiego przebywały karły. Spotkanie z nimi było nad wyraz zaskakujące i bardzo sympatyczne. Dwie pary, siedząc na niskich stołeczkach, rozmawiały poprzez druty, gdyż mężczyźni przebywali na odcinku BIIIf. Z pewnością nie wypadło się gapić, ale widok tej sceny był tak niecodzienny, że trudno było się powstrzymać.

Później spotkałam jedną z tych kobiet pod obozową kuchnią, gdy środkiem oblodzonej ulicy lagrowej toczyła sporą brukiew. Znowu obraz był przezabawny, gdy zaokrągloną rączką laseczki popychała i nadawała jej właściwy kierunek. Stałam jak urzeczona, przyglądając się temu widowisku, choć pani ta wyglądała raczej na rozsierdzoną lub przestraszoną, że zdobycz mogę jej odebrać. Wykrzykiwała coś do mnie, czego nie rozumiałam, lecz z miny było widać, że nie były to wyrazy sympatii.

Inne zapamiętane wydarzenie to spór toczący się między dwiema dziewczynami, których nazwisk do dziś nie znam. Przy palenisku pieca w głębi baraku jedna z nich, mająca pod opieką małego chłopca, gotowała dla niego jednego kartofelka w półlitrowym garnuszku postawionym bezpośrednio na ruszcie wewnątrz paleniska. W pewnym momencie podeszła druga, starsza, i bezceremonialnie odstawiła jej garnek, wstawiając swój. Wtedy poszkodowana zaprotestowała, rzucając się na agresorkę z krzykiem: „Co robisz, kartofel mi zdębieje!”. Analizując całe wydarzenie, dziwiłam się, skąd ona go miała, poza tym co znaczy, że on „zdębieje”. Ale przede wszystkim pełne uznanie żywiłam dla jej determinacji wykazanej w obronie swych słusznych praw! Zgorszona, i to bardzo, byłam zachowaniem tej starszej.

Mnie waleczność opuściła po incydencie w nowej saunie podczas ratowania warkoczy, kiedy wreszcie pojęłam, gdzie się znajduję i że jestem sama. Stało się bowiem to, czego najbardziej w życiu się obawiałam. Lecz ten „sierociniec”, w którym przebywałam, przeszedł wszelkie najśmielsze moje wyobrażenia i oczekiwania!

Mniej więcej na przełomie grudnia zdarzyło się, że starsze dziewczęta w jakiś sposób „zorganizowały” przepiękne koce z wielbłądziej wełny w kolorach écru i beżowym. Rozdzielono je po kojach, a matki zaczęły z nich szyć dla dzieci ciepłe spodnie.

W tym też czasie oznajmiono, że można pisać listy, ale tylko w języku niemieckim.

Na początku stycznia 1945 roku barak zaczął pustoszeć. Nie tylko było w nim coraz mniej osób, ale zaczęły też znikać całe rzędy koi. Nie zauważyłam, kiedy je wynoszono, więc zjawisko było zagadką, lecz nie na długo. Wkrótce stało się jasne, że zaczęła się ewakuacja obozu.

Dopiero teraz wiem, że 11 stycznia 1945 roku, w pierwszym rzucie, do komand KL Sachsenhausen w Berlinie odjechały matki posiadające pod opieką jedno dziecko.

Niebawem i ja powiadomiona zostałam na apelu, że w dniu następnym, czyli 16 stycznia 1945 roku, rodzina moja przeznaczona jest do transportu.

W ten ostatni radosny dla mnie wieczór Basia ze wspólnej koi rzewnie płakała. Matka jej, pani Irena Bańkowska, będąca świadkiem tej sceny, uspokajała i pocieszała córkę, a mnie obdarowała miską smakowitej zupy „melki”, o istnieniu której w obozie nie miałam pojęcia. Płaczem Basi się nie przejmowałam. Zdawałam sobie sprawę, że rozpacz i smutek nie wynikają z naszego rozstania, lecz z zupełnie zrozumiałej zazdrości spowodowanej moim, a nie jej, opuszczeniem obozu.

Po wojnie dowiedziałam się, że rodzina Bańkowskich, Barbara, brat Stanisław i matka Irena, 17 stycznia 1945 roku przetransportowani zostali do Berlina-Reinickendorfu, komanda KL Sachsenhausen. Po powrocie do Polski u rodziny w Żyrardowie odnaleźli ojca Bogusława, który uciekłszy z transportu do Pruszkowa, uniknął represji, i osiedlili się tam na zawsze.

Okoliczności wyprowadzenia z obozu pamiętam w kilku oderwanych od siebie obrazach, jakby pomiędzy nimi była pustka.

W dniu 16 stycznia 1945 roku, w bardzo mroźny ranek, w kolumnie dzieci z mego baraku wyznaczonych do transportu zmierzałam do niedaleko usytuowanej bramy lagrowej. Pełna niedowierzania, ale i nadziei na uwolnienie szłam zgarbiona i skurczona w sobie z obawy, żeby lustrujący wymarsz esesman przypadkiem nie wycofał mnie z szeregu. Toteż tuż za bramą, po skręcie w lewo, za załomem zasłaniającego nas budynekczku wachy, odetchnęłam z prawdziwą ulgą.

Jednak całkowite rozluźnienie napięcia nastąpiło dopiero w trakcie ubierania się po kąpieli w saunie i wnet prysnęło jak bańka mydlana. Odprężonym i rozradowanym dzieciom funkcyjna z obsługi zaczęła odbierać „zorganizowane” przez matki poszczególne części garderoby, krzycząc, że to własność Trzeciej Rzeszy! Spokojnie przeżyłam stratę zdublowanej bielizny, choć było szkoda i żal, ale wpadłam w popłoch i rozpacz, gdy zabrała mi spodnie, i to nie tylko te uszyte z koca przez mamę, lecz i przywiezione z Warszawy, które przy 20-stopniowym mrozie chroniły moje gołe nogi.

Stałam i z bezradności głośno płakałam. Nawet widok mamy i brata w perspektywie ostatniej wyjściowej sali oraz świadomość, że nareszcie opuszczamy to piekielne miejsce, nie były w stanie mnie uspokoić. Dopiero inna litościwa osoba, widząc moje łzy, pomogła mi odnaleźć jedne z nich, grzebiąc w dużej stercie odebranych dzieciom rzeczy.

O ironio! Działo się to akurat wtedy, gdy godzinę wcześniej mamie opuszczającej saunę, ku jej wielkiemu zdziwieniu i radości, oddano depozyt zawarty w papierowym worku, a także pieniądze!

Transport ewakuacyjny z obozu Auschwitz-Birkenau

Nasze nagłe opuszczenie obozu, wprawdzie szczęśliwie nie przez komin krematoryjny, co nam ciągle przepowiadano, wymuszone zostało nadciągającym i bardzo już bliskim frontem wojsk Armii Czerwonej. Przejęta tym doniosłym wydarzeniem nie zdawałam sobie sprawy, że z tą chwilą ZWRÓCONO MI ŻYCIE! Ale i nie przypuszczałam, że upragniona i długo wyczekiwana wolność ponownie się oddała. Natomiast zagrożenie przybierze nieco inny charakter, o czym niebawem miałam się przekonać podczas niesłabnących bombardowań Berlina.

Tymczasem około stuosobową grupę kobiet z jednym lub dwojgiem dzieci bardzo pośpiesznie, wskutek wyjącego alarmu przeciwlotniczego, wyprowadziła z obozu eskorta esesmanów.

Ten dzień był wyjątkowo mroźny i bardzo słoneczny. Śnieg skrzypiał pod stopami idących, a słońce skrzyło jego biel i oślepiało swym blaskiem.

Podążając w szyku, uparcie wpatrywałam się w plecy beżowego palta idącej przede mną kobiety, na których widniała artystycznie wszyta prostokątna łata po wyprutym kawałku pasiaka. Idąc, nieustannie się zastanawiałam, w jaki sposób należałoby zatuszować ten szpecący akcent.

Na tych uporczywych rozmyślaniach, od których w żaden sposób nie mogłam się uwolnić, minęła niespostrzeżenie droga do stacji w Oświęcimiu. Tam załadowani do lokalnego osobowego pociągu składającego się z wagonów typu „C”, co zanotował w pamięci mój brat Leszek, dotarliśmy jeszcze długo przed szarówką dnia do Mysłowic. Wysadzeni na otwartym, wysokim peronie, chyba cztery godziny podczas ogromnego mrozu oczekiwaliśmy na nieznaną nam dalszy transport, choć panowała skryta nadzieja, że esesmani rozpuszczą nas wolno.

Mróz tężał coraz bardziej. Skupieni blisko siebie chroniliśmy się przed napierającym zimnem. Siedziałam na kolanach mamy, kiedy zaczęły występować objawy zamarzania. Czułam już ciepło i przemożną senność. Zrozpaczonej mamie nie udało się nakłonić mnie do ruchu, więc czyniła wszystko, abym nie zasnęła.

Zapadły już ciemności, gdy nareszcie nadjechał pociąg „wybawca”! Mama wraz z nadejściem ratunku odetchnęła z ulgą, a ja powoli tajałam, siedząc w jego ogrzonym pulmanowskim wagonie typu Bx.

Cel podróży był niewiadomy. Stopniowo ujawniał się tylko kierunek, gdy w Katowicach, a później we Wrocławiu (Breslau), podczas postoju na bocznym torze w obrębie tych stacji, przeczekiwaliśmy bardzo bliskie i długotrwałe bombardowania.

Berlin

Do Berlina dotarliśmy wczesnym popołudniem. Na jego dworcu, podczas gdy matki podpisywały oświadczenie, że będą milczały, skąd przybyły, my z bratem pełni zachwyty śledziliśmy funkcjonowanie ruchomych schodów widzianych pierwszy raz w życiu. Był to jedyny jasny akcent tej koszmarnej podróży, w trakcie której prawdziwie się rozchorowałam.

Wreszcie doczekaliśmy momentu, w którym konwojujący esesmani przekazali naszą grupę przybyłemu z miasta eleganckiemu oficerowi SS. Na jego tle czuliśmy się jak przebierańcy. Lecz w zderzeniu z normalnością cywilizowanej ulicy, poza wyglądem, ujawniło się także nasze zniewolenie. Gromada wynędzniałych kobiet i dzieci, pędząca za swym przewodnikiem w wojskowym uniformie, skupiała bowiem na sobie nie tylko uwagę, ale i zdziwienie przechodniów. Niektórzy aż przystawali. Czując ich ciekawskie spojrzenia, kurczyłam się ze wstydu i upokorzenia, gdyż wydawało mi

się, że mijający nas widzą tylko moje buty nie od pary i czerwoną krechę na plecach palta.

Ale to było nic w porównaniu z tym, czego nieco później doświadczyliśmy od rówieśników z Hitlerjugend, którzy na nasz widok z pogardą hardo wołali „ruskie świnie”! O, wtedy zawsze zaciskały się moje pięści, a wzrok szukał kamienia, bo urażona duma i niechęć do nich była przeogromna. Lecz wówczas brat Leszek, pełen rozważli i świadomy konsekwencji, na szczęście w porę hamował te bezsilne odwetowe zapędy.

Berlin-Hennigsdorf

Po opuszczeniu dworca, w wielkim pośpiechu, bo zapowiedziany alarm przeciwlotniczy porażał naszego konwojenta, z trudem za nim nadążając oraz zmieniając środki komunikacji, dotarliśmy do miejscowości Hennigsdorf. Było to północne przedmieście Berlina o niskiej zabudowie wolno stojących domków, przeważnie odgradzonych płotkami od ciągu ulicznego chodnika.

Ciemniało już, gdy rozwleczeni w długą kolumnę dobrnęliśmy do miejscowego kina, w którym na rozrzuconej słomie przygotowano nocleg. Jak później się okazało, mieliśmy wtedy dużo szczęścia, gdyż niebawem to tymczasowe przytulisko doszczętnie spłonęło podczas nalotu. Nie była to jednak nasza docelowa kwatera. Nazajutrz przeniesiono wszystkich do gospody pod lasem, a wkrótce zbyt liczny transport rozdzielono na trzy części. Dopiero po wojnie ujawniło się, że jedną grupę skierowano do Linzu w Austrii.

My z wielu innymi rodzinami pozostaliśmy na miejscu. Koczowaliśmy na zasłanej słomą podłodze w jednej z dwóch sal. Matki zatrudnione do pomocy w kuchni obierały kartofle.

Kiedy po jakimś czasie przed budynek zajęchały furmanki chyba z rodzinami Ukraińców, nie przypuszczaliśmy, że jest to zapowiedź zmiany naszego miejsca pobytu.

Berlin-Siemensstadt

Tym razem przetransportowani zostaliśmy do dzielnicy Siemensstadt. Poniżej nasypu stacji Jungfernheide ukazał się spory teren w kształcie czworoboku, całkiem spustoszony przez pożar. Widniały na nim dwa lub trzy bardzo głębokie leje po bombach oraz zarysy ław fundamentowych, ślady po licznych barakach obozowych.

Dopiero gdy stopniał śnieg, pogorzeliśmy dodatkowo odkryło stopione bryłki naczyń szklanych i fajansowych, które mnie i Krysię Zawadzką (Politowską) fascynowały, choć niczemu nie służyły.

Powierzchnia terenu była uprzątnięta, cegły z rozbiórki ustawione w kozłach, a nierozmontowane jeszcze szyny do transportu wagonika i on sam służyły niebawem nam, dzieciom, do wspaniałej zabawy. Ach, jak bardzo byliśmy jej spragnieni!

Otoczenie terenu było zróżnicowane. Za jednym jego bokiem widniał las lub park, za drugim nasyp kolejowy ze stacją Jungfernheide, za trzecim stała samotna kamienica zamieszkała chyba przez cywilną społeczność niemiecką, a za czwartym działka ogrodnicza. Na placu oznakę życia stanowił podłużny budynek kuchni obozowej oraz jedyny z częściowo wykończonym wnętrzem drewniany barak przeznaczony dla nas. W poszczególnych pomieszczeniach kwaterowały po trzy lub cztery rodziny. Limit zamieszkujących wyznaczały trzypiętrowe prycze z pojedynczymi legowiskami, wyposażone w sienniki i koce.

W moim pokoju mieszkała Krysię Zawadzka (Politowska) z babcią, panią Aleksandrą Nowik. Byłam świadkiem sporów pomiędzy nimi. Babcia w trosce o bezpieczeństwo wnuczki ograniczała jej swobodę w zabawach poza blokiem, a Krysię krzykiem wymuszała swoją niezależność. Ponadto była z nami liczna rodzina, której nazwiska nie pamiętam. Dorosły syn tej pani, będący chyba na przymusowych robotach w Berlinie, dowiedział się jakimś sposobem o naszym transporcie i dołączył do grupy za zezwoleniem esesmana, który zastrzegł, że kartek na aprowizację dla niego nie dostanie.

Z naszej około 30-osobowej grupy pamiętam też: Eugenię Krzywobłocką pełniącą rolę tłumaczki z racji znajomości języka niemieckiego, będącą z córkami Bożeną i Różą, Julianę Kobus z córką Feliksą, obecnie Śmiałkowską, Michalinę Aksamitowską z synem Januszem, Artura z matką, których nazwiska sobie nie przypominam, oraz panią kapitanową Marię Czaplicką, osobą bardzo delikatną i życiowo niezaradną.

Nim zaczęła funkcjonować obozowa kuchnia, przez parę kolejnych dni mama gotowała dla nas tak zwaną „wodziankę” na bazie minimalnej ilości

pokrojonego w kostkę chleba. Zbyt późno zdała sobie sprawę, jak naiwnie postąpiła, oddając do wspólnego użytku osób zamieszkałych w pokoju wszystkie „zorganizowane” w gospodzie kartofle, które zjedzono pierwszego dnia. Okazało się, że inni nie byli tak spontaniczni, lecz bardziej roztropni, i kiedy ukradkiem wyciągali swoje zapasy, my mieliśmy tylko „wodziankę”!

Uruchomienie zbiorowej aprowizacji wcale nie spełniło naszych oczekiwań. Przyznane racje żywnościowe były i tak niewystarczające, więc głód nadal włókł się za nami i nigdy nie opuszczał.

Tak samo działo się z zagrożeniem życia. Mimo że okolica wcześniej doznała licznych zniszczeń, to nadal nękana była conocnymi bombardowaniami. Wtedy wraz z esesmanami kryliśmy się w wykopanej prymitywnej ziemiance oszalowanej belkami i nakrytej ziemią. Nocnym nalotom zazwyczaj towarzyszyły widniejące na niebie i rozświetlające teren tak zwane flary. Wyglądały one jak rozgałęzione licznymi ramionami żyrandole, które długo nieruchomo zawieszane w powietrzu przerażały swą niesamowitością.

Najtrudniejsze jednak było przetrwanie świstu lecących bomb, gdyż na moment przed ich wybuchem nastawała złowieszcza cisza. W takich chwilach zgromadzeni w schronie albo trwali w absolutnym milczeniu, albo głośno się modlili.

W trakcie któregoś bardzo intensywnego nalotu podmuch bliskiego wybuchu spowodował, że jedna ze ścian naszego baraku runęła. Podczas innego ktoś skradł mamie pajdkę suchara, w którym przechowywała w KL Auschwitz-Birkenau ukryty cenny pierścionek. I choć każdy następny nalot nieodmiennie napawał lękiem, mieliśmy jednak nadzieję na ocalenie, sądząc, że ponowne niszczenie tego samego terenu może już się nie powtórzyć. Czepialiśmy się tego przeświadczenia i za każdym razem resztki nocnego niepokoju rozwiewał nadchodzący dzień. A podczas jego trwania głębokie leje, widomy znak po spadłych tu wcześniej bombach, już nie budziły w nas, dzieciach, grozy, lecz zainteresowanie i chęć ich penetracji w trakcie zabawy.

Kiedyś zaciekawieni zeszliśmy na dno dołu położonego bliżej lasu. Wtedy niespodziewanie zostaliśmy obrzuceni grudami ziemi przez chłopaków z Hitlerjugend stojących niczym Indianie na części jego korony. Przeżeni ich nagłym najściem uciekaliśmy w wielkim popłochu, kierując się do przeciwległego stoku.

Lecz wspinaczka po usypującym się piachu stromej ściany wcale nie była szybka ani łatwa. Toteż w tym panicznym odwróceniu, aby zmylić naszą tożsamość, o ironio, wzywaliśmy pomocy naszych niemieckich „opiekunów”, a ich dorosłych rodaków, wołając co sił: *Bitte hier, bitte hier*.

Berlin, Friedrich-Krause-Ufer, dzielnica Wedding

Nadeszło wczesne przedwiośnie, wraz z którym skierowano tu mężczyzn pochodzenia włoskiego. Ich przybycie było sygnałem, że nas wkrótce przeniosą. I tak się stało. Tym razem przetransportowani zostaliśmy do nieodległej dzielnicy Wedding, z docelową stacją S-Bahn Putlitzstrasse, w pobliżu której usytuowana była ośmiokominowa elektrownia.

Zamieszkaliśmy przy ulicy Friedrich-Krause-Ufer biegnącej wzdłuż kanału, przez który łagodnym łukiem przerzucony był szlak kolei naziemnej. Niespełna sto metrów dalej oba brzegi tego cieków łączył betonowy most, za którym widniała duża przystań przeładunkowa. Budynek naszego nowego lokum, dwu- lub trzypiętrowy, szary i brzydki, jednym bokiem przylegał do nasypu wiaduktu, podczas gdy jego tył sąsiedował z jakąś dużą fabryką. W głębi frontowej mrocznej dość szerokiej sieni, przy jej prawej ścianie, mieściły się kręte kamienne schody wiodące na górę.

Zajmowaliśmy pomieszczenia pierwszego piętra, którego powierzchnia podzielona była na mniejsze pokoje, wyposażone w dwu- lub trzypoziomowe pojedyncze drewniane prycze. Drugie piętro było niezamieszkane, mimo że w przestronnych salach rozlokowano bardzo dużo identycznych legowisk mających za podstawę niczym nienakryte, luźno ułożone deski, które zresztą bez skrupułów podbieraliśmy na opał.

Głód panował ogromny. Z wyżywienia objętego zbiorowym przydziałem pamiętam zaledwie: chleb, początkowo jakąś zupę, a potem tylko parowane kartofle w łupinach, których nie mogłam przełknąć, tak były paskudne.

W tej sytuacji, aby coś dogotować, mama wybierała wprost ze śmietników odpadki jarzyn albo usiłowała wchodzić na zaplecza restauracji, zebrząc o obierki. Czasami litościwe osoby wrzucały pośród nie po parę kartofli, brukiew lub cebulę. Na taką wyprawę zawsze zabierała mnie ze sobą jako żywy argument wzbudzający litość i mający zapobiec przepędzeniu. Chcąc wesprzeć mamę, nigdy jej nie odmawiałam i towarzyszyłam wszędzie, choć płonęłam z ogromnego wstydu i upokorzenia!

Dziś, gdy widzę człowieka wyciągającego rękę, jestem pełna współczucia, gdyż wiem, że przemożna potrzeba zdobycia czegoś najpierw musiała przewyciężyć jego własną godność.

Gotowanie jedzenia z tego, co udało się nam zdobyć, a przeważnie z powtórnie obranych kartoflanych obierek, odbywało się na płytce piecyka typu „koza”, który służył do ogrzania pokoju. Kiedyś przy takiej czynności nieoczekiwanie mama doznała rozległego oparzenia parą wierzchu dłoni. Widocznie więźniowie mieli zabezpieczoną opiekę medyczną, skoro wysłano ją do lekarza, który przyjmował na piętrze cywilnej kamienicy. Poszłyśmy znowu razem. Wyglądając przez okno poczekalni na ulicę, zobaczyłam niemieckie dzieci jeżdżące na wrotkach. Szczerze im wtedy zazdrościłam normalności życia, możliwości zabawy oraz pewności siebie, ale nie tego, że są Niemcami.

Na początku kwietnia 1945 roku ktoś odkrył, że nasze ocalałe z KL Birkenau złotówki można wymienić w berlińskim banku (Deutsche Reichsbank). Za 200 złotych mama otrzymała 100 marek. Odbyło się to przy pomocy pewnego osobnika, który całe przedsięwzięcie zorganizował i zrealizował. Transakcja dokonana dnia 4 kwietnia 1945 roku musiała być legalna, skoro została formalnie poświadczona wpisem w Kennkarcie mamy i podstemplowana okrągłą pieczęcią banku z widniejącą „gapą”.

Za marki te w niemieckich sklepach, gdzie żywność dostępna była tylko na kartki, można było nabyć wyłącznie pyszne sałatki sporządzane z kiszonych buraków i innych pospolitych warzyw doprawionych ślimakami lub mleczem śledziowym.

Intensywność nalotów na Berlin wcale nie słabła. Toteż i tu każdej nocy już zwyczajowo schodziliśmy do solidnego i fachowo urządzonego schronu w piwnicach domu, a może przyległej fabryki. W jego pomieszczeniu, chyba dla zabezpieczenia przed ewentualnym zawaleniem, w pewnych odstępach powierzchnię sufitu podpierały pionowe belki. W sumie było w nim przerażająco, tym bardziej że podczas nalotu dochodziły odgłosy eksplozji bomb i związane z tym drgania. Wkrótce jakoś przywykłam. Aby odwrócić uwagę od niebezpieczeństwa, wchodziłam w kwadratowy obręb ostemplowania na podłodze i zwinięta w kłębek, gdyż na tyle było miejsca, przeważnie natychmiast zasypiałam.

Rano wyprowadzano nas do pracy realizowanej na rzecz SS-Bau-Brigade, gdyż jak po wojnie stwierdzono, stanowiliśmy jedno z wielu komand KL Sachsenhausen. Zatrudnieni byliśmy w pobliżu stacji SBahn Tiergarten

przy odgruzowywaniu zburzonych domów, co podejmowano natychmiast po nalotach. Załadowane oczyszczonymi cegłami wagonetki toczyliśmy po torze na brzeg kanału. Tam albo zaraz przeładowywane były na oczekujące „berlinki” (płaskie barki), albo ustawiane w kozłach pozostawały na jego skraju. Te niby proste czynności też wcale nie były bezpieczne, gdyż gruzowisko ulegało obsunięciom, a ręce bez ochronnych rękawic obtarciom i skaleczeniom.

Sytuacja stawała się bardzo groźna, gdy podczas pracy zaskakiwały nas dzienne bombardowania – wtedy mówiono, że nadlatują Rosjanie lub Amerykanie, gdyż Anglicy działali nocą. Pilnujący esesmani uciekali znacznie wcześniej, powiadomieni przez radio o zbliżającym się nalocie. Nikt się nie troszczył, gdzie my się schronimy.

Za pierwszym razem podczas wyjącego alarmu zdążyliśmy tylko przebiec na drugą stronę ulicy, gdzie stał rząd wypalonych domów. Ich frontowe ściany były całe, lecz od strony podwórka zwalone, odsłaniały wyłożoną białymi kafelkami pralnię w suterenie czy piwnicy. Oficyny stanowiły sterujące zgliszcza. Małe podwórko ukazywało szczątek widocznego nieba, na którym z zapartym tchem wypatrywaliśmy „wiatraczków” odłączających się od zrzuconych bomb.

Kolejnym razem byliśmy już bardziej doświadczeni. Bacznie obserwowaliśmy zachowanie esesmanów oraz kolumnę ludności cywilnej zmierzającą do schronów z dużym wyprzedzeniem, bo wiedzącą z radia o zamierzonym nalocie. Wówczas w odpowiednim momencie przyłączyliśmy się do niej.

Schronem był budynek chyba piętrowy, w kształcie rotundy, o obłej i lekko spadzistej kopule dachu. Brat tłumaczył mi, że jego pokrycie jest z kauczuku, wobec czego upadające bomby się odbijają. Nie bardzo w to wierzyłam, ale skoro wielu ludzi tu ścigało, więc musiało być bezpiecznie. Wnętrze okazało się wyciszone i luksusowe. Nikt nas nie przepędzał. Ulokowaliśmy się na schodach biegnących łukiem w prawo od wejścia i przezornie nie odzywaliśmy do siebie, aby nie stwarzać pretekstu.

Innym razem skierowaliśmy się do schronu zamaskowanego pod gruzowiskiem wypalonych kwartałów budynków. Organizacja w jego wnętrzu była wzorowa. Poszczególne wąskie korytarze, przy których ścianach ustawiono ławeczki, miały przeznaczenie dla konkretnych grup osób.

Ten nalot trwał długo. Gdy wyszliśmy na zewnątrz, było wczesne popołudnie, lecz snujące się dymy nad płonącym miastem sprawiały wrażenie

zmierzchu. A rozżarzone uliczne drzewa wyglądały jak rozświetlone choinki w czasie świąt Bożego Narodzenia.

Kiedyś w drodze powrotnej z pracy zatrzymaliśmy się z całą grupą dzieci nieopodal naszego domu na przystani przeładunkowej kanału blisko mostu. Zainteresowały nas zgromadzone na pobrzeżu duże paki z ciuchami. Jako że nastało ciepło, a my nie mieliśmy się w co ubrać, niewiele myśląc, zaczęliśmy je rozrywać i wyszukiwać, co komu wydawało się przydatne. Nim zaskoczeni naszym działaniem Niemcy, grożąc i goniąc, skutecznie nas przepędzili, zdążyliśmy rozwłóczyć wiele tobołów, choć zdobycz okazała się bardzo mizerna, a uczyniony bałagan przeogromny.

Po pewnym czasie zaludniono drugie piętro naszego domu. Zamieszkali tam bardzo wynędzniali głodem i pracą mężczyźni pochodzenia żydowskiego. Ich przybycie wróżyło, że wkrótce nas przeniosą. Lecz zanim opuściliśmy to miejsce, pamiętam spotkanie z jednym z nich. Stałam w załomie schodów, gryząc kawałek brukwi. Nagle pojawił się „cień” człowieka, który gwałtownie wyrwał mi pozostały kęs. Do dziś widzę te pałające głęboko osadzone oczy. I mimo że bardzo się wystraszyłam, było mi go wtedy ogromnie żal. Często też myślałam, czy przeżył, bo jak się okazało, koniec wojny był tuż, tuż, niespełna za miesiąc.

Miejscowość Müggelheim

Przypuszczenie się sprawdziło. Otwartą ciężarówką odjechaliśmy na południowy wschód od Berlina, do Müggelheim, położonego trzy kilometry za Köpenick. Miejscowości niewielkiej, zabudowanej jednorodziennymi domkami i pięknie położonej pomiędzy ścianą dużego lasu a jeziorem czy może odnogą Sprewy.

Przy wyjeździe z głównego traktu, wiodącego pośród dorodnego starego mieszanego drzewostanu, zaraz po lewej stronie usytuowane były koszary Wehrmachtu. Dalej jezdnia stawała się dwukierunkowa, gdyż po jej środku stał kościół. Tuż za nim w prawo skręcała boczna ulica. Po jej lewej stronie znajdował się ciek wodny i cmentarz, a po prawej budynek Volkssturmu. W niewielkiej odległości za nim lekkim skosem biegła boczna ulica dochodząca do gęstego, wysokiego sosnowego gaju, do którego przylegał obóz otoczony drutami składający się z kilku drewnianych baraków. Vis à vis widniała rozpoczęta budowa małych, chyba jednoizbowych domków, które

dopiero miały podciągnięte murowane ściany. Przy bramie dyżurował niesympatyczny esesman.

Głód towarzyszył nam nadal, ale za to nie było nalotów. Matki zatrudniono w jakimś prywatnym przedsiębiorstwie.

W ostatnich dniach kwietnia, gdy coraz bliżej i potężniej słychać było działa Armii Czerwonej, esesmani wyprowadzili nas na trakt wiodący w kierunku Berlina. Przy kościele zatrzymali ciężarówkę i kazali się do niej ładować. Parę rodzin wsiadło, reszta się ociągała, więc zniecierpliwiony zwłoką kierowca gwałtownie ruszył. Z powojennej relacji Krysi Zawadzkiej (Politowskiej) wiadomo, że esesmani wrócili z nimi do dzielnicy Wedding na Friedrich-Krauze-Ufer, gdzie nie zastali już zamieszkujących drugie piętro żydowskich więźniów i wnet, pozostawieni bez aprowizacji przez niemieckich „opiekunów” z SS, doczekali wyzwolenia przez żołnierzy polskich.

My natomiast, porzuceni na drodze, czuliśmy się prawie wolni. Nadchodzącą noc, podczas której huczała kanonada artylerii, moja rodzina spędziła na jakiejś werandzie domu stojącego nieopodal kościoła.

Nazajutrz mama, poszukując pracy za jedzenie, poznała panią polskiego pochodzenia, która wraz z mężem i synkiem Peterem wyemigrowała z Wielkopolski jeszcze przed wojną. Kobieta ta przejęta naszym losem wyszukała dla nas mieszkanie w niemieckim domu stojącym nad jeziorem przy przystani kajakowej, prawie naprzeciw budynku Volkssturmu. Parkan posesji sąsiadował z cmentarzem. Na wprost kilku wejściowych schodków do domu od strony podwórka, oddalony o parę kroków, był drewniany ustęp. W głębi terenu na prawo widoczny był domek campingowy zajmowany przez niemiecką kobietę, a nad brzegiem jeziora w hangarze piętrzyły się kajaki. Do naszej dyspozycji oddano pokój z kuchnią na pięterku. Spadki dachu tworzyły dwie wnęki. W tej od strony ulicy był schowek, a od podwórka WC, gdzie odkryliśmy śliczny czerwony dziecięcy samochodzik na pedały. Kuchnia z oknem na ulicę mieściła się na wprost schodów.

Gospodarze, starsi ludzie, udostępniający lokum na przełomie wojny, może asekurowali się naszą obecnością, a jeśli nie, to okazali dużą odwagę wobec reżimu. Zresztą nieważne, jakimi pobudkami kierowali się ci Niemcy, przyjmując nas do swego domu. Chwała IM. A dobry Bóg niech ma ich także w swojej opiece!

Wyzwolenie

Nasze wyzwolenie następowało małymi kroczkami i w przedziwny sposób. Najpierw porzucono nas samotnych na ulicy, ale wnet ktoś podał pomocną rękę, a jeszcze inny udostępnił dach nad głową. Dopiero na samym końcu wkroczył faktyczny wyzwoliciel, rosyjski żołnierz, którego ku memu zdumieniu chlebem i solą wyszli witać nasi niemieccy gospodarze, a ja im w tym towarzyszyłam. Nie zwrócił na nas żadnej uwagi. Szedł samotny i czujny w kierunku, gdzie przedtem stacjonowały odwody wojsk SS w czarnych mundurach.

Tego wieczora i w nocy zmasowany ostrzał artyleryjski wprost rozsadzał okolicę, a my, nie zważając na to, pierwszy raz od dziewięciu miesięcy nareszcie spaliśmy w prawdziwym łóżku i prawdziwej pościeli, z której nikt i nic nie było w stanie nas wydobyć.

Na drugi dzień na dobre weszło wojsko rosyjskie z taborami. A gdy się już całkiem uspokoiło, dopiero wtedy poszliśmy z mamą do opustoszałego budynku Volkssturmu, gdzie chwilowo był lazaret, o czym świadczyła walająca się jeszcze pokrwawiona bielizna, którą pozbierałyśmy. Natomiast w jego piwnicy żołnierz rosyjski otworzył stojącą tam szafę i zgarniając z niej wszystko, podał mamie. Widząc zawahanie, powiedział: *Bieri, to zdobyczne*. Skoro tak, to ja poprosiłam o rower, który zaraz mi skradziono, ale wnet dostałam następnego.

Tymczasem dobiegały ostatnie chwile wojny na tym terenie, lecz wielu jeszcze poległo. Później u zbiegu naszej ulicy z głównym traktem, przy zbiorowej żołnierskiej mogile, postawiono im wszystkim upamiętniającą tablicę.

Gdzie w tym czasie przebywali pozostali nasi współwięźniowie, tego nie wiedzieliśmy. W pewnym momencie pojawiła się tylko Fela Kobus (obecnie Śmiałkowska). Jej mama była bardzo osłabiona i chora, więc na razie nadal pozostawały w opustoszałym lagrze (zmarła w listopadzie 1945 roku po powrocie do Warszawy).

Moja mama, spuchnięta do pachwin z głodu i po gwałtownym ataku serca, również nie wybierała się w drogę powrotną. Problem naszego wyżywienia samoistnie rozwiązało wojsko, rozbijając lokalny sklep spożywczy i ofiarując nam jego zapasy. Jezioro dostarczało ryb, które głuszone granatami wzbogacały nie tylko nasz jadłospis. W chleb i kartofle zaopatrywali-

śmy się, chodząc do byłych koszar Wehrmachtu, gdzie ulokował się garnizon Rosjan.

Wtedy mieliśmy możliwość poznania i zaprzyjaźnienia się z Siemionem, piętnastoletnim „synem pułku”, młodocianym rosyjskim żołnierzem. I choć wojna przedwcześnie uczyniła go twardym i doświadczonym człowiekiem, to poza służbą chętnie szukał naszego i Feli towarzystwa. Przeważnie pływaliśmy kajakami. Pomimo odmienności języka dużo opowiadał, nie krępując się nadużywania wulgarnych wyrazów, do których wnet przywykliśmy jak do reguły. Z tego, co pojęłam i zapamiętałam, jego pełne emocji wspomnienia dotyczyły nie tylko stoczonych bojów militarnych, ale i przemocy stosowanej wobec kobiet. Nie bardzo pojmowałam, co było powodem tych przechwałek, ale mnie, dziecku, te działania wydawały się niegodne i smutne.

Pozostali żołnierze, z którymi mieliśmy styczność, byli to prości, serdeczni ludzie chcący za wszelką cenę ukazać dobrobyt swego kraju, więc z zapałem opowiadali nawet o „fabrykach pomarańczy”.

Niebawem wybrałyśmy się z Felą do budynku Volkssturmu, który przyciągał nas swoją tajemniczością. Poprzednim razem dotarliśmy do pierwszego piętra, gdzie było pełno broni, a Leszek omal mnie nie zastrzelił, celując z karabinu, który okazał się naładowany. Tym razem poszłyśmy obie zbadać, co znajduje się na wyższym piętrze. Odkryłyśmy prywatne opuszczone mieszkanie.

Piętnastoletnią wówczas Felę zainteresowała zawartość szafy, jako że weszłyśmy do sypialni. Był to nieduży pokoik. Dwa łóżka małżeńskie obok siebie. Szafka nocna od strony okna swą szerokością wytyczała tyleż przestrzeni. Naprzeciw łóżek równiutko wzdłuż zasłanych pierzynami stała szafa.

Znalazłam dużego misia i lalkę, której wszystkie przeguby były ruchome, ponadto zamykała oczy i mówiła. Szczęśliwa zdobyczą właściwą memu wiekowi, w oczekiwaniu na Felę, położyłam się w poprzek łóżka bliższego drzwi i podziwiałam zabawkę. W pewnym momencie mimochodem odwróciłam głowę, a wtedy przy swej twarzy ujrzałam ludzką dłoń! Zamarłam ze strachu. W przerażeniu zostawiłam trofea, usiłując w panice odnaleźć wyjście. Fela spytała, dokąd idę. Zbyłam ją, mówiąc, że do ubikacji, a właściwie bałam się, żeby w tej ucieczce mnie nie wyprzedziła. Ze schodów zeskakiwałam susami. W domu nic nie wspominałam o wydarzeniu, którego doświadczyłam. Po jakimś czasie przyszła Fela z moimi

zabawkami, oznajmiając, że skoro je porzuciłam, to są jej. Dziwiła się tylko, dlaczego nie wróciłam. Wyjawiłam prawdę. Była całkiem zadowolona, że nie wiedziała.

Po tygodniu rozeszła się wieść, że tym trupem w łóżku miał być komendant Volkssturmu, który popełnił samobójstwo w chwili wejścia Rosjan. W brutalny sposób ściągano go potem z tego drugiego piętra.

W dniu kapitulacji, 8 czy 9 maja 1945 roku, zapragnęłyśmy z Felą obejrzeć mającą się podobno odbyć w Berlinie defiladę. Nie informując mamy o naszym pomysle, wyprawiłyśmy się obie na jednym rowerze. Dojechałyśmy zaledwie trzy kilometry do Köpenick. Żadnych spodziewanych uroczystości nigdzie nie było, więc wracałyśmy bardzo zawiedzione. W drodze powrotnej natknęłyśmy się na sporą grupę Niemców zdążających w kierunku Müggelheim, a za nimi usiłującego bezskutecznie je dogonić pijanego, uzbrojonego rosyjskiego żołnierza. Nim zdążyłyśmy ocenić sytuację, zatrzymał nas i zabrał rower, na którym dogonił uciekające. Wtedy wyszarpał jedną z nich jak ze stada i wtoczył do stojącej przydrożnej budki. Rower wprawdzie zostawił na zewnątrz, ale że miał broń, obawiałyśmy się próbować go odzyskać. Pozostałe bardzo zdenerwowane kobiety złorzeczyły po niemiecku, myślę, że i nam. Mimo że miałam dziesięć lat, zdawałam sobie sprawę, że tej schwytej osobie dzieje się naprawdę coś bardzo złego.

Dlatego po incydencie na drodze słowo „guliać” nabrało zupełnie innego znaczenia i przestało zapowiadać beztruską zabawę. Bo brutalna przemoc, której byłam świadkiem, sprawiła, że przed tym „guliać” razem z bratem już bardzo strzegliśmy mamy, bacząc, aby poza domem nie zostawiać jej samej, mimo że nasze układy z garnizonem rosyjskim były bardzo poprawne.

Z odzyskaniem wolności ogarnęła mnie przemożna tęsknota za krajem i Warszawą. Jednocześnie poczułam rozpierającą dumę z przynależności do narodu polskiego, co natychmiast uzewnętrzniłam przypiętą na piersi własnoręcznie uszytą biało-czerwoną kokardką. Obnosiłam się z nią jak z talizmanem, który dawał poczucie godności i pewności siebie. I dlatego że czułam się już w pełni niezależnym, wolnym człowiekiem, potrafiłam ze spokojem z własnej woli wykonać prośbę niemieckiego właściciela domu, aby posegregować wyrzucane śmieci. Mało, zwyczaj ten, którego wcześniej nie znałam, mimo że kłopotliwy w stosowaniu, uznałam nawet za wart naśladowania wszędzie, co czynię.

Wymieniony gospodarz domu był trzecim Niemcem, którego zapamiętałam i dobrze o nim myślę. Pierwszy, jeszcze w Warszawie, w odruchu serdeczności usiłował zawiązać mi wstążkę na warkoczach, drugi w KL Birkenau ocalił je od obcięcia, a ten trzeci w krytycznym momencie przyjął do własnego domu.

Chyba wspomnienie tych trzech mężczyzn sprawiło, że po zakończeniu wojny nie żywiłam niechętnego stosunku do całego narodu niemieckiego, tylko niszczycielskiego w swych założeniach systemu totalitarnego. I dobrze by było, aby nikt przez butne fałszowanie historii nie sprawił, żebym na końcówce życia musiała zmieniać swój pogląd zbudowany na pamięci o tamtych ludziach, od których nie zaznałam zła.

BARBARA MUSZYŃSKA-JOCHELSON ⁵⁷

WSPOMNIENIA Z OKUPACJI I POWSTANIA

Siedziałam przy stole w stołowym pokoju na parterze dwupiętrowego domu przy ul. Pogonowskiego 28 na Żoliborzu, gdzie mieszkałam z rodzicami. Był ciepły sierpniowy dzień i drzwi na taras wychodzący do małego ogrodu na tyłach domu były otwarte na oścież.

W domu była jeszcze tylko „ciocia” Irena – jadłyśmy zupę pomidorową, a więc była to wczesna pora obiadowa. Nagle usłyszałam odgłosy strzałów. Wiedziałam, co to mogło oznaczać – początek powstania na Żoliborzu. Powstanie na Żoliborzu zaczęło się wcześniej niż o godzinie „W” (czyli 17.00). Parę ulic od nas, na ulicy Suzina, w kotłowni był skład broni. Patrol niemiecki napatoczył się na chłopców, którzy stamtąd transportowali broń. Doszło do strzelaniny.

Pierwszy sierpnia 1944 roku.

Miałam skończone dopiero co osiem lat. [...]

Jak dalece sięgam własną pamięcią, to mieszkaliśmy na Żoliborzu, ale wiem, że zaraz po moim urodzeniu mieszkaliśmy na ulicy Kieleckiej, czyli wszyscy rodowici warszawiacy – reszta rodziny po obu stronach też warszawska. Ojciec mój był inżynierem mechanikiem, a że studiował w Gdańsku, więc mówił biegle po niemiecku. Mama trochę pracowała jako urzędniczka, ale głównie zajmowała się domem. Byłam jedynaczką.

Z mojej rodziny właściwie większość osób była zaangażowana w Armii Krajowej. W czasie okupacji moi rodzice prawie od początku działali

w batalionie „Kiliński”.

W dniu wybuchu powstania rodzice wrócili do domu koło piątej, szóstej i już zostali na Żoliborzu. Trzeba wziąć pod uwagę, że Żoliborz to była stosunkowo spokojna dzielnica. Działania zbrojne były tu na samym początku i dopiero pod sam koniec, ale były też bombardowania i duży ostrzał. Na torach Dworca Gdańskiego stał niemiecki pociąg pancerny i stamtąd ostrzeliwano kościół św. Stanisława Kostki (dziś ks. Jerzego Popiełuszki). Te pociski artyleryjskie przelatywały nad domkiem moich ciotecznych dziadków (nazywałam ich wujostwem) Stanisława i Stefanii Berentów przy ul. Niegolewskiego 5.

Na szczęście pocisk, który przeleciał „za nisko”, czyli przez pierwsze piętro domku, zrobił to, kiedy schroniliśmy się w piwnicach wysokiego bloku wzdłuż ul. Kozietulskiego. Dużo czasu spędzałam u cioci Stefy i wujka Stasia, ponieważ w naszym mieszkaniu na Pogonowskiego 28 mieściło się dowództwo „Żaglowca” (nie od samego początku, ale prawie przez cały czas powstania, co upamiętnia tablica na ścianie domu).

Doskonale pamiętam bombardowania. Na rogu ul. Pogonowskiego i Mierosławskiego stał dom, w którego solidnych piwnicach mieścił się magiel, a było to dosłownie parę kroków od nas. Ten dom został całkowicie rozbity i zginęli wszyscy, którzy tam byli. Lęk przed zasypaniem gruzami pozostał mi do dziś w postaci klaustrofobii, a dźwięk alarmu przeciwlotniczego z tamtych czasów powoduje, że krew mi dosłownie staje w żyłach – tego się nie da zapomnieć... W czasie wycieczki po Londynie (w 2014 roku) przewodnik włączył nagranie, żeby uczestnicy mogli sobie „odświeżyć” wrażenia z czasów nalotów na Londyn, równie intensywne jak na Warszawę. Dla mnie było to aż nazbyt realistyczne...

Moja mama od początku powstania miała m.in. za zadanie obserwowanie, co się dzieje na wiadukcie i na Dworcu Gdańskim. Punkt obserwacyjny był na strychu strategicznego domu, najwyższego na skrzyżowaniu ulic Zajęczka i Mickiewicza (okolice placu Inwalidów). Mnie posyłano: „Idź do mamusi i zapytaj, co u niej”.

To było bardzo proste dla mnie, chociaż nie szło się ulicami, a Żoliborz był cały pocięty przejściami przy barykadach, rowami w poprzek ulic. Jak się biegło tymi rowami, to były one ostrzeliwane, ale ja byłam mała i do tego skulona, więc nie czułam się bezpośrednio zagrożona. Tam było sporo ludzi, którzy też się poruszali w różne strony. Chodziło się także przez połączone piwnice pod domami. Cały czas chodziło o to, że chciano otworzyć

przejście na Starówkę i do Śródmieścia. Były dwa ataki na Dworzec Gdański, okupione wielkimi stratami, ale oba natarcia się nie powiodły.

W drugiej połowie września byłam już ciągle z rodzicami, nie brałam udziału w działaniach zbrojnych, ale je pamiętam. To było już pod koniec. Opuściliśmy nasze mieszkanie i byliśmy w trzy-, czteropiętrowym budynku, jeszcze niewykończonym (w stanie surowym), gdzieś w okolicy pl. Wilsona i Szklanego Domu na Mickiewicza. Tam była jakaś potyczka z Niemcami, bo nasza grupa miała przejść na Dolny Żoliborz. Pamiętam ojca strzelającego z okna, bo na podwórzu byli Niemcy. Nie bałam się i byłam z niego dumna.

Przeszliśmy na Dolny Żoliborz, nad Wisłę, bo była taka koncepcja (oczywiście dowiedziałam się o tym już z materiałów o powstaniu na Żoliborzu), żeby dwie grupy powstańców przerzucić na Pragę, na której już stali Rosjanie. Przyplłynęła barka i zabrała pierwszą grupę. Niestety wszyscy zginęli, i to nie z powodu ostrzału ze strony niemieckiej, tylko ze strony rosyjskiej. My byliśmy w grupie drugiej i tę zatrzymano.

To już było chyba niedługo przed kapitulacją.

Przed wyjściem z powstania mama poszła ostatni raz do naszego domu wziąć trochę rzeczy. Dla mnie wzięła jakieś spodnie i na szczęście solidniejsze buty. Sama była w starej jesionce ojca, w której chodził do warsztatu. Otworzyła szafę „cioci” Ireny, gdzie wisiało jej futro i bardzo porządny płaszcz. Mówiła mi potem, że nawet pomyślała: „Nie zapytałam przecież Ireny, czy mogę coś wziąć”, zamknęła szafę i poszła do niewoli w tej ojcowej oberwanej jesionce.

Potem szliśmy na miejsce zbiórki korytarzami piwnic, przez porozwalane przejścia, gdzie wałało się mnóstwo porzuconych rzeczy. Między innymi pamiętam, że leżały tam damskie filcowe kapcie, o, jakby się jej potem przydały, ale wziąć coś bez pytania?!

Kapitulację ogłosił pułkownik Niedzielski, ale myśmy nie byli w tej głównej grupie powstańców. Czytałam o tym później w dokumentach z powstania. Powstańcy, którzy kapitulowali na Żoliborzu (30 października 1944) zgromadzili się na tyłach domów przy ul. Mickiewicza, po czym długa kolumna licząca około 2000 żołnierzy oraz 250 sanitariuszek i łączniczek pomaszerowała w kierunku placu Wilsona. Kolumnę prowadziła komenda II Obwodu AK „Żoliborz”. Ranny dowódca, płk Mieczysław Niedzielski („Żywiciel”), niesiony był na noszach. Po złożeniu broni na tyłach placu Wilsona powstańcy pod eskortą esesmanów przeszli na Powązki na

teren „Pionier Parku” (okolice Fortu Bema), skąd następnego dnia przewieziono ich do obozu w Pruszkowie.

Sytuacja była bardzo niepewna i przejmująca. Padła propozycja, że kto chce, może przejść do cywila, natomiast reszta będzie formacją wojskową. Rodzice zdecydowali, że zostajemy w formacji wojskowej. Problem polegał na tym, że rozkaz o kapitulacji dotarł do nas po ustalonej godz. 18.00. W związku z tym oddział żołnierzy niemieckich, który przejął naszą grupę w pierwszym momencie, nie wiedział, co ma z nami zrobić. Mogli nas wszystkich rozstrzelać, bo nasza kapitulacja była spóźniona. Mogliśmy zostać potraktowani jak bandyci, a nie jeńcy wojenni.

Tak więc od jakiejś ósmej wieczorem do północy (kiedy oni kontaktowali się ze swoim dowództwem) naszą dużo mniej liczną grupę pędzono przez płonący Żoliborz, od placu Wilsona, ulicą Krasińskiego, do klasztoru zmartwychwstanek, tam i z powrotem. Szedł nad nami atak katuszy z Pragi. Byli ranni i nie było noszy. Ciężko rannych niesiono na kocach. Ludzie umierali.

To było trudne przeżycie dla ośmioletniej żołnierki i marudziłam, bo bardzo chciało mi się pić. Obok naszej kolumny szedł niemiecki żołnierz, który nas eskortował. Musiał rozumieć trochę po polsku (może był Ślązakiem), bo sięgnął po swoją manierkę i podając mi ją, powiedział: „Kawa”.

Popatrzyłam na niego i bez chwili wahania palnęłam: „Od Szkopa nie wezmę!”.

Miał prawo wyciągnąć pistolet i dać mi w łeb!

W końcu znaleźliśmy się na ul. Mickiewicza w piwnicach stojących tam niewykończonych bloków mieszkalnych.

Smutna historia Happy (Szczęśliwa). Szła też z nami na smyczy nasza spanielka Hepunia – bo gdzie ją było zostawić?

Jej historia była dla mnie głębokim i bolesnym osobistym przeżyciem przez wiele lat i jeszcze dzisiaj jest mi trudno o tym myśleć, chociaż wiem, jakie tragedie przeżywano w tamtych latach. Dla ośmioletniej dziewczynki było to takim strasznym, namacalnym dowodem, co to znaczy wojna – chociaż „to tylko był pies...” Była moją równolatką i ukochaną towarzyszką zabaw. Jak obie byłyśmy „małe”, to ubierałam ją w sukienki i woziałam w wózku dla lalek – zносиła to z anielską cierpliwością.

Następnego dnia rano popędzili nas w kierunku kościoła św. Wojciecha na Woli. W kościele na Woli była ludność cywilna. Naszą grupę – jakiegoś 100, może 150 osób – „przyjmował” niemiecki oficer w mundurze SS. I tu

rozegrała się ta historia. Jak zobaczył psa na smyczy i mnie, to rozwrzeszczał się potwornie: „To nie jest żołnierz, to dziecko! Zostawić w kościele z ludnością cywilną! Wy idziecie do obozu jenieckiego, a to nie przed szkole!”.

Byłam przerażona. Nie rozumiałam po niemiecku, ale doskonale wiedziałam, czego chce. Ryczał strasznie i dosłownie się pienił. W mojej obronie stanął wtedy jeden z dowódców, pan Jan Marczewski „Cap”, i ciocia Irena Wilczyńska „Stasia” – oboje mówiący po niemiecku – i po dłuższej i ostrej wymianie zdań zostałam. Nie wiem, co by się ze mną stało, gdyby mnie nie wybronili. Ojca nie było przy nas, bo należał do innego oddziału.

Psa kazał oczywiście zostawić. Mama oddała smycz jakiemuś zwykłemu żołdakowi, któremu podobno „dobrze patrzyło z oczu”. Pewnie w ramach „łaski” od razu ją zastrzelił (Niemcy podobno lubią psy rasowe, pocieszałam się). Stamtąd byliśmy przewiezieni do Pruszkowa – jak? – nie pamiętam, bo byłam tak zrozpaczona i roztrzęsiona, że całą noc zasypiałam ze zmęczenia i budziłam się z krzykiem: „Nie oddawajcie mnie!”.

Niewola

Znaleźliśmy się w obozie przejściowym na terenie Zakładów Naprawy Taboru Kolejowego w Pruszkowie. Spaliśmy na betonowej podłodze hali nr 7, mocno strzeżonej, odgradzonej od reszty obozu.

Z Pruszkowa w zaplombowanych wagonach towarowych przewieziono nas do Gross-Lübars Stalag XI A w Altengrabow, w pobliżu Magdeburga. Tam jeszcze miałyśmy kontakt z ojcem. Na początku pobytu mężczyźni byli umieszczeni w sąsiednich, oddzielonych drutami barakach i mogli nas odwiedzać, potem już nie, i nic nie wiedzieliśmy o sobie.

Byłyśmy z mamą w grupie kobiet żołnierzy AK, które umieszczono w stalagu oficerów różnych narodowości wziętych do niewoli wcześniej w czasie wojny. Pamiętam męża zaufania jeńców francuskich, pana Georges’a Verquina, który bardzo nam pomagał i dokonywał cudów w zdobywaniu żywności, dostawałam makaron z mlekiem!

Pobył w Altengrabow nie trwał długo, bo Niemcy potrzebowali wtedy rąk do pracy i przekraczając konwencję genewską, już 18 listopada 1944 naszą około pięćdziesięcioosobową grupę kobiet i dziewcząt przewieźli kolejką wąskotorową do Arbeitskommando Helgoland Feinmechanische

Werkstätte W. Lehman, fabryki amunicji (pocisków lotniczych i części do rakiet V) w Burgu k/Magdeburga. Podróż trwała około 2 godzin. (Potem po wojnie okazało się, że ojciec był wtedy bardzo blisko nas, w grupie, która trafiła do jakiejś fabryki w Magdeburgu). Pobyt w Burgu był bardzo dramatyczny.

„Ciocia” Irena była mężem zaufania i z narażeniem własnego życia cały czas protestowała, że Niemcy bezprawnie zatrudniają jeńców wojennych w przemyśle zbrojeniowym. Żeby nas zmusić do zrezygnowania ze statusu jeńców wojennych, kazano nam naszyć na ubrania literę „P” jak robotnikom na robotach przymusowych.

Praca była na trzy zmiany. Pierwsza zmiana wychodziła do pracy o 4.00 rano (praca zaczynała się o 6.00) i kończyła około 14.00. Ja nie byłam zmuszona do pracy, ale musiałam wędrować z grupą idącą na drugą zmianę, żeby dostać w fabryce jedzenie, i wracałam z pierwszą zmianą do obozu. Nie było to może specjalnie daleko, ale jednak szło się około dwóch godzin, późną jesienią, często w deszczu, po ciemku... Częste były też alianckie naloty. Ale wtedy do schronów uciekali tylko Niemcy, my zostawałyśmy w fabryce, bo było wiadomo, że alianci ich nie bombardują.

W fabryce też działy się różne groźne rzeczy – maszyny „same” się zapalały i psuły – bardzo ryzykowny sabotaż.

W naszej grupie była też nasza kuzynka, ciocia Irena Sitarzowa, która była w początkach ciąży. Dostała krwotoku w pracy, a Niemiec, dowódca, kuternoga ranny w czasie Powstania Warszawskiego i zionący nienawiścią do Polaków, nie dał noszy, żeby ją zanieść do obozu, gdzie były polskie lekarki. Dziewczęta próbowały nieść ją na kocu, ale krwawiła okropnie i pewnie by jej nie doniosły żywej. Wtedy moja dzielna mama wzięła ją po prostu na ręce i przyniosła do obozu! Dzięki temu ciocie Irenkę udało się uratować.

RELACJA BYŁEJ WIĘŹNIARKI HALINY STEMPNIAK [58](#)

Powstanie Warszawskie zastało mnie na Powiślu. Miałam wtedy piętnaście lat. Włączyłam się w nurt walczących powstańców w pobliżu zgrupowania AK przy ulicy Tamka – placówka mieściła się naprzeciw elektrowni na Powiślu – jako łączniczka pod pseudonimem „Lena” przenosiłam meldunki, rozkazy, pocztę.

10 sierpnia 1944 roku, przemykając się wykopami przez piwnice i podwórka z rozkazami na trasie Karowa–Topiel–Marienszdat, schwytana zostałam przez otaczających ulice i podwórka Niemców. Wraz z innymi kobietami zostałam wypędzona z piwnic, aresztowana i przetransportowana do obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka 12 sierpnia 1944 roku.

W obozie pozbawiono mnie nazwiska, zastępując go numerem 83260. Przebywałam na FKL-u. Życie było potworne, brak wody do picia i mycia. Wielogodzinne apele ranne i wieczorne wyczerpywały nogi po całodziennej pracy. Zimno dawało się we znaki, zwłaszcza nocami, gdzie na kojach spałyśmy po kilka, przykrywając się podartym kocem. Ubrane w pasiaki więzienne, tuliłyśmy się w grupach pod barakami, ogrzewając się własnym ciałem. Ciągłe wrzaski, bicie funkcyjnych, kapo, blokowych i esesmanek, które dokonywały okrutnych rzeczy, masakrując więźniarki. Mnie też dostawały się razy bykowca przy ustawianiu się na apele.

Po dwóch miesiącach pobytu w Brzezince przetransportowano mnie do obozu Ravensbrück 30 października 1944 roku. Tu otrzymałam nowy numer 73760. Po przejściu kwarantanny osadzono mnie w obozie Kuchenwald. Tu znowu nowy numer obozowy 32213. Zatrudniono nas w fabryce „Polte” przy produkcji amunicji, pracowałam przy tokarce. Ciągłe naloty i bombardowania aliantów czyniły pracę bardzo niepewną i niebezpieczną. Praca była bardzo wyczerpująca i trwała dwanaście godzin na dwie zmiany. Po przyjeździe z fabryki do obozu nie byłam pewna, co nowego przyniesie zły los i co dalej będzie ze mną. Częste bicie przez blokowe i kapo, stanie na apelach przez wiele godzin, bo stan zawsze musiał się zgadzać, bez należytego ubrania, w mroźne dni dawały się nam bardzo we znaki. Zmuszano nas do ciągnięcia walca betonowego, pod którym uginałyśmy się, pracując przy budowaniu obozowych dróg.

13 kwietnia 1945 roku ewakuowano nasz obóz. Zaprowadzono w kolumnie po ruinach miasta Magdeburg i przez zaminowany most na Łabie na polanę stadionu „NeueWelt”, gdzie zapewniono nam chwilowy odpoczynek. Niemcy, chcąc pozbyć się niewygodnego tłumu kobiet, ostrzelali polanę granatami z moździerzy i pociskami artyleryjskimi. Ze zgromadzonych około 5000 kobiet na stadionie niewiele zostało przy życiu. Udało mi się zmylić Niemców i zbiec z miejsca masakry, ukrywając się w pobliskich lasach i rowie.

RELACJA BYŁEGO WIĘZNIĄ OBOZU AUSCHWITZ-BIRKENAU

STEFANA SOTA ⁵⁹

Urodziłem się i mieszkałem w Warszawie przy ulicy Okopowej 22 mieszkania 32.

W czasie Powstania Warszawskiego 8 sierpnia w godzinach popołudniowych Niemcy zdobyli ulicę Okopową na odcinku, na którym mieszkałem. Mieszkańców z pobliskich domów zgrupowali na stronie nieparzystej ulicy Okopowej, między innymi byłem tam również ja z matką, stryjenką i jej synem Leszkiem. W przeważającej mierze były to kobiety, starcy i dzieci. Staliśmy dość długo. W tym czasie własowcy wyciągali dziewczęta i prowadzili je do pustych domów. Po pewnym czasie dziewczęta te wracały zrozpaczone. Jak wynikało z rozmów starszych, dokonano na nich gwałtów (Miałem wówczas trzynaście lat, urodziłem się 4 stycznia 1931 roku).

Po dwóch, trzech godzinach tych makabrycznych scen przyszedł oddział Niemców i zaczęli nas pędzić ulicami: Żytnią, Leszno, Działdowską, Wolską, Bema do Dworca Zachodniego. Po drodze leżało wiele trupów. Przy kościele Świętego Wojciecha na ulicy Wolskiej Niemcy wyciągali mężczyzn.

Na Dworcu Zachodnim załadowano nas do pociągu i przewieziono do Pruszkowa. Kolejnego dnia ogłoszono transport do Częstochowy. Pojechaliśmy tam pociągiem z matką, stryjenką i z wieloma znajomymi osobami. Zamiast w Częstochowie znaleźliśmy się w Oświęcimiu. Oświęcim był mi znany z opowiadań więźnia, któremu udało się z niego uciec (byłem u niego z kolegą w mieszkaniu na ulicy Młynarskiej i tam nam opowiadał o Oświęcimiu). Na bocznicę kolejowej w Oświęcimiu staliśmy do wieczora. Wieczorem wagony zostały zamknięte i pociąg ruszył. Po zatrzymaniu się pociągu i otwarciu wagonów stwierdziliśmy, że znajdujemy się w obozie Oświęcim-Brzezinka.

Przy wrzasku Niemców wychodziliśmy z wagonów. Pierwsze wrażenie było okropne. Krzyki Niemców, szybko poruszający się więźniowie w pasiakach, wokół baraki ogrodzone drutami kolczastymi i wieżyczki z posterunkami. Po oddzieleniu reszty mężczyzn szliśmy drogą między barakami.

Na noc zapędzono nas do pustego baraku. Na gołym klepisku spędziliśmy dzień albo dwa. Baraków takich było więcej. W tym też baraku zosta-

łem spisany i oznaczony numerem 192705 jako więzień polityczny. W mojej pamięci data przywiezienia do Oświęcimia utrwaliła się jako dzień 10 sierpnia 1944 roku.

Następnie zaprowadzono nas grupami do łaźni. Kąpiel odbywała się wspólnie. Około piętnastu małoletnich chłopców kąpało się razem z matkami, dziewczętami i starymi kobietami. Po kąpeli cały dzień przebywaliśmy na powietrzu, na noc znowu zapędzono nas do łaźni i kąpano w takich samych warunkach jak poprzednio. Tym razem w łaźni przebywaliśmy całą noc, ponieważ odzież nasza została oddana do parowania.

Żywiliśmy się tym, co kto mógł przywieźć z sobą z Warszawy, więźniowie przynosili nam tylko czarną kawę do picia. Myślę, że nie pochodziła ona z przydziału Niemców, lecz z własnej inicjatywy więźniów, ponieważ przynoszona była często w niewielkich ilościach.

Następnie zaprowadzono nas na obóz kobiecy (FKL). Oddzieleni od matek ulokowani zostaliśmy na jednym z bloków, chłopcy i dziewczęta na jednym bloku, w którym blokowa i szrajberka były Polkami. Wraz z grupą około dwudziestu chłopców po apelu zostaliśmy zesłani na obóz męski.

Stało się to dlatego, że na obiad dostaliśmy kartofle w mundurkach, i to w dość dużych ilościach. Po najedzeniu się każdy miał jeszcze kartofle. Zrobiono nam apel: chłopcy stali naprzeciwko dziewcząt i wtedy zaczęliśmy do nich rzucać kartoflami. Na nieszczęście jeden kartofel został rzucony zbyt daleko i trafił w głowę esesmankę, która wraz z blokową wyszła właśnie z bloku. Ponieważ nie było winnego, blokowa rozkazała wystąpić wszystkim chłopcom powyżej czternastu lat. W grupie tej znalazł się mój brat stryjeczny Leszek, a nie chcąc zostać bez brata, wystąpiłem i ja.

Zaprowadzono nas na obóz męski lager A. Po kilku dniach przyprowadzono jeszcze dużą grupę chłopców i umieszczono ich w sąsiednim bloku. Pewnego dnia przyszło do nich kilku pijanych Niemców. Po paru minutach słychać było tam piosenki wojskowe, a nawet hymn Polski. Jak się okazało, Niemcom zachciało się słuchać polskich piosenek.

Po kilku dniach przeniesiono nas na blok 13A. Było nas tam około dwustu siedemdziesięciu Polaków, wśród nas byli też Żydzi i Rosjanie. Na bloku tym przebywaliśmy gdzieś do połowy października. W międzyczasie prowadzono nas kilka razy do Oświęcimia, do łaźni i na zastrzyki przeciwtyfusowe. Jednego dnia zaprowadzono nas na rampę i tam kazano nam wziąć po dwie cegły i przynieść na blok. Ze względu na dużą wagę tych

cegieł zostawiliśmy je po drodze w rowie. Reszta została rzucona przy Lagerfilersztubie. Nie bacząc na konsekwencje, uciekliśmy na blok.

Na początku września został przywieziony mój brat Waldemar ze Starego Miasta. Po czterech, pięciu dniach został wywieziony do Mauthausen. Udęką było dla nas to, że często zamykano nas na bloku i nie wolno było nam wychodzić. Urządzaliśmy różne rozgrywki w postaci robienia szczyrów z pończoch, skakania przez piec i tak dalej. Przy tych naszych rozgrywkach mógł się wyżywać sztabowy Burhard, który przybył do Oświęcimia wiosną 1944 roku z Majdanka. Wyżywał się biciem nas laską i innymi podręcznymi przedmiotami. Mnie też to nie ominęło. Za żarty z kolegami kazał nam skakać żabką cztery razy wokoło pieca, przy czym szedł za nami z pasem w ręku i tego, który został w tyle, bił, najwięcej dostał kolega Mrówczyński, dlatego że miał szerokie spodnie i przewracał się.

Po zakończeniu skoków staliśmy pół godziny na piecu w kucki z wyciągniętymi do przodu rękami, a kto nie wytrzymał, był bity. [...]

Matka moja w Oświęcimiu miała złamaną nogę i leżała w izbie chorych w lagrze E. Tam też została wyzwolona, o czym dowiedziałem się po powrocie do kraju. Nadszedł dzień ewakuacji, zrobiono zbiórkę. Przyszedł blokowy i oznajmił, że będziemy długo szli, a kto nie czuje się na siłach, żeby wystąpił, bo będą samochody i zostaną nimi odwiezieni.

Znalazła się mała grupa ryzykantów, którzy wystąpili i oni zostali do wyzwolenia. Reszta w niemieckie obiecanki nie wierzyła. Wśród tej grupy byli tacy, którzy byli zdolni do marszu i szli razem z nami. Jednak gdy szli w stronę bramy, to wyglądali, jakby szli nie na swoich nogach. Wśród nas było dwóch chłopców z protezami, jeden był z Warszawy, drugi Rosjanin. Jak sobie przypominam, z naszej grupy pozostał na zawsze w Oświęcimiu jeden z naszych kolegów o nazwisku Wiśniewski, który prawdopodobnie zachorował na zapalenie opon mózgowych i poszedł na w rewir, skąd nie wrócił.

Pod koniec pobytu wywozili małymi grupkami chłopców z Oświęcimia w nieznanym kierunku. Pozostała nas grupa około sześćdziesięciu Polaków. Zapędzono nas do głównego obozu, tam rozdano na drogę bochenek chleba i puszkę konserw, kostkę margaryny na czterech.

Nocą wyruszyliśmy w drogę. Trasa wiodła wśród zabudowań gospodarskich i w pobliżu lasu. Z naszej grupy uciekło dwóch więźniów. Niemcy zaczęli strzelać kulami świetlnymi i czy się powiodła ucieczka tej dwójki, niestety nie wiem. Po całodziennym marszu nocowaliśmy w jakimś fol-

warku. Tu przebywały również kobiety, które pędzono przed nami. Kolejny postój odbył się już w Jastrzębiu. Po drodze leżały trupy mężczyzn i kobiet. W pewnym momencie rozpoznałem swoją matkę po włosach, ubraniu i butach. Byłem zrozpaczony i chciałem pozostać razem z nią. Jednak brat i koledzy do tego nie dopuścili. Kobieta ta leżała twarzą do ziemi. Nie była to moja matka. Jak już wspomniałem, mama została w Oświęcimiu do wyzwolenia.

Należy wspomnieć, że każde wystąpienie z kolumny marszowej lub pozostanie w tyle równało się śmierci. W czasie marszu silniejsi pomagali słabszym, szczególnie tym dwóm kolegom z protezami.

W Jastrzębiu wraz z Adamem Kłoskiem mieliśmy możliwość być wyprowadzeni przez jakąś kobietę, która chciała załatwić to z pilnującymi nas Niemcami. Ale nie chcąc rozstawać się z bratem i pozostałymi kolegami, zrezygnowaliśmy z ucieczki. Niech nas spotka taki los jak i innych. Przed wieczorem załadowano nas do wagonów towarowych. My trafiliśmy do wagonu otwartego po czterech czy pięciu dniach. Przyjechaliśmy do Mauthausen. Podróż nasza pieszo i pociągiem trwała osiem dni. W czasie podróży żywiliśmy się tym, co dostaliśmy na drogę i co dostaliśmy od ludzi. [...]

Po ośmiu dniach podróży przyjechaliśmy na stację Mauthausen. Tu wyładowano nas z wagonów i zapędzono do obozu. Na rampie pozostała masa trupów ludzi, którzy zmarli na skutek głodu i zimna. Marsz do obozu był bardzo ciężki. Droga prowadziła stale pod górę. W Mauthausen otrzymałem numer 118296. Przebywałem na lagrze II. Kolejnego dnia wieczorem przyszedł do mnie brat, który przebywał tu od września. Spotkaniem tym nie cieszyłem się długo, ponieważ nad ranem zostałem wywieziony do Melku. Tak że nie mogłem się z nim nawet pożegnać. W Mauthausen pozostało dwóch kolegów: Ryszard Zuchniewicz i Leszek Zenc. W Melku pracowaliśmy w kuchni przy obieraniu ziemniaków dla esesmanów. Praca nasza trwała dopóty, dopóki nie obraliśmy wyznaczonej porcji ziemniaków, zdarzało się często, że pracowaliśmy do późnych godzin wieczornych. Innym razem pracowaliśmy aż przez dwa dni i noc bez przerwy. Było to wtedy, gdy front się cofał i trzeba było wyżywić powracających Niemców. Tu też dostałem kijem od wartownika za to, że on szedł, a ja nie stanąłem i nie zdjąłem czapki. Przebywałem tu do kwietnia 1945 roku.

W kwietniu ewakuowano nas ponownie do Mauthausen. Spotkałem tu brata. W krótkim czasie przeniesiono mnie na blok 8, gdzie byłem razem

z nim, ponieważ byłem najmłodszym więźniem na bloku. Byłem bardzo lubiany przez starszych, zarówno Polaków, Jugosłowian, jak i Hiszpanów.

Pewnego dnia w czasie przelotu samolotów amerykańskich nad obozem w okolicach Linzu zostały strącone dwa samoloty. Czterech pilotów przyprowadzono do obozu; na teren obozu wjechał wóz konny, na którym leżał jeden pilot, a drugi, przywiązany za nogi do wozu, był ciągnięty. [...]

Wyzwolony zostałem 5 maja 1945 roku o godzinie czternastej.

RELACJA BYŁEJ WIĘZIARKI OBOZU AUSCHWITZ-BIRKENAU WANDY DRAMIRSKIEJ ⁶⁰

W 1929 roku rodzina moja przeniosła się z Wilna do Warszawy. W Warszawie uczęszczałam do szkoły powszechnej, potem do gimnazjum i liceum. Wybuch wojny zastał mnie w pierwszej klasie licealnej. W momencie wybuchu II wojny światowej znajdowałam się na Kresach Wschodnich, skąd jednak przedostałam się do Warszawy i odnalazłam matkę (ojciec zmarł przed wieloma laty). Zaczęłam pracę.

W 1941 roku wstąpiłam do ZWZ (później AK). W konspiracji przechodziłam przeszkolenie sanitarne, brałam także udział w normalnym szkoleniu bojowym, które przechodzili członkowie naszej organizacji.

Od grudnia 1939 roku pracowałam w aptece jako laborantka. Chodziło w tym przypadku o zdobycie karty pracy, bez której nie można się było swobodnie poruszać po ulicach okupowanej Warszawy, nie mówiąc już o możliwościach dalszych wyjazdów. Potem zaczęłam chodzić na tajne komplety, dzięki którym ukończyłam liceum imienia Marii Konopnickiej w Warszawie. W 1943 roku uzyskałam świadectwo dojrzałości, w tymże 1943 roku poślubiłam mojego rówieśnika Jurka Dramińskiego. W dalszym ciągu uczęszczałam na tajne komplety, studiując filologię słowiańską, języki czeski i serbski. Nie pracowałam wówczas zarobkowo, więc dzieliłam czas na studiowanie i nielegalną działalność w konspiracji.

W tym czasie mieszkałam w lokalu zajmowanym przez Edwarda Olszewskiego, który był wujem mojego męża. W tym samym lokalu mieszkała moja przyjaciółka Basia Olszewska i jej brat Zbyszek Olszewski. [...]

Powracając myślami do tamtych czasów, wspominam wspaniałą atmosferę, która panowała w naszym kolektywie. Wierzyliśmy we wspólne ideały, należeliśmy do tej samej organizacji konspiracyjnej (AK), wszyscy

uczyliśmy się na tajnych kompletach. Trzeba wyjaśnić, że właściciel mieszkania, Edward Olszewski, kiedy otwierał drzwi do jednego pokoju, to widział w nim paru młodych ludzi odbywających kurs podchorążych, w drugim i trzecim pokoju odbywały się jednocześnie tajne komplety. Faktycznie więc całe mieszkanie było jedną wielką „meliną”, w której spotykało się sporo młodzieży. Nasza paczka trzymała się razem od momentu aresztowania Mirki Jaszczak. O jej aresztowaniu dowiedziałam się w dniu moich imienin. W sprawie tej zadzwonił do mnie teść, ostrzegając, abyśmy przypadkiem nie dzwoniли do Mirki, obiecując wyjaśnić całą sprawę podczas bezpośredniej rozmowy.

Mirka Jaszczak aresztowana została w mieszkaniu swojej ciotki Losmanowej, wspaniałej kobiety. Oczywiście nie wiedzieliśmy o tym, że Mirkę przewieziono następnie do kobiecego obozu koncentracyjnego Ravensbrück. Pozostali przyjaciele z paczki brali udział w powstaniu. [...]

W czasie wybuchu powstania znajdowałam się w naszym mieszkaniu przy ulicy Filtrowej na Ochocie. W punkcie tym razem ze mną przebywało sporo młodzieży: sanitariuszki i żołnierze AK. Niestety nie było nam dane uczestniczyć w walce. Dlaczego tak się stało, dowiedziałam się dopiero po wojnie, czytając publikację pod tytułem *Ochota rok '44*.

6 sierpnia 1944 roku skoczyłam w łazience na trapez. Skok ten był dla mnie tragiczny, gdyż dojmujący ból, który poczułam, przyczynił się podczas badania do stwierdzenia, że właściwie zaczęło się poronienie – od trzech miesięcy byłam w ciąży, nic o tym nie wiedząc.

10 sierpnia 1944 roku hitlerowcy wypędzili nas z domu przez ulicę. Pędzono nas jak bydło, po drodze żołdacy hitlerowcy obrabowali nas ze wszystkiego. Zdzierano z nas dosłownie wszystko. W moim odczuciu Zieleniak, do którego nas prowadzono, powinien być miejscem uświęconym. Sceny, które tam się rozgrywały, nie mieszczą się w wyobraźni tego, który sam na własne oczy nie oglądał tych potwornych wydarzeń.

Dwa dni później, 12 sierpnia, w bydłowych wagonach przewieziono nas do hitlerowskiego obozu koncentracyjnego Birkenau w Brzezince. Po drodze w Skierniewicach, gdy przedstawiciele Polskiego Czerwonego Krzyża usiłowali zabrać z wagonów chorych, nie posłuchałam rad teściów i męża. Nie chciałam się z nimi rozstawać, więc pomimo mojego stanu pozostałam w wagonie. Muszę wyjaśnić, że w czasie całej okupacji, nie wiem dlaczego nie bałam się aresztowania i pobytu w więzieniu Pawiak, a nawet obozu na Majdanku. Ale przerażał mnie Oświęcim. Gdy minęliśmy granicę General-

nego Gubernatorstwa oraz Sosnowiec, byliśmy już pewni, dokąd podąża nasz transport. Naszym przeznaczeniem był jednak KL Auschwitz, którego tak się bałam.

Ludność cywilna jadąca w wagonach nie przyszła do siebie po szoku, który przeżyła podczas powstania i tego, co działo się z nami przed załadowaniem i w czasie transportu. Widziałam na przykład w naszym wagonie kobietę, która pod gruzami domu straciła dwoje dzieci. Pozostała jej tylko klatka z kanarkiem, którym opiekowała się w wagonie. Kobieta ta była nieszczęśliwa, gdyż w czasie przejazdu nie mogła kanarkowi dostarczyć ani odrobiny wody.

Po wyładowaniu w Birkenau bodaj przez jedną dobę przebywaliśmy razem, następnie oddzielono i odprowadzono mężczyzn. Pozostałam ze swoją teściową, która opiekowała się mną jak rodzona matka, oraz ciotką Janką. Była z nami także gospoia teściów Józefa Wojciechowska i jej siostra Zofia Pasoń.

W łaźni obozowej po raz pierwszy poznałyśmy oświęcimską rzeczywistość: bicie, popędzanie, wyzwiska. Kapo łaźni, gruba Niemka, trzymając pejcz w rękach, rozdawała nim razy na oślep, raz na lewo, raz na prawo. Trzeba się było błyskawicznie rozbierać i w biegu pochwycić jakieś szmaty, które miały nam służyć za okrycie. Makabryczne były także zabiegi polegające na stryżeniu owłosienia i dezynfekowaniu strzyżonych miejsc. Podczas tych czynności zemdlałam, jedyny zresztą raz w czasie ciąży.

Kiedy po skończeniu tych zabiegów wyprowadzono nas na teren obozu, zobaczyłyśmy szeregi istot, które z daleka wyglądały jak mężczyźni. Było to oczywiście tylko złudzenie, bo faktycznie to stały więźniarki z ogolonymi głowami.

Pierwsze zetknięcie się z więźniarkami dłużej przebywającymi w obozie nie należało do najprzyjemniejszych. Zachowywały się w stosunku do nas tak, jakby miały do nas pretensje o to, że znalazłyśmy się w obozie, i żał za to, co się stało w Warszawie. Dopiero po rozmowach, kiedy opowiedziałyśmy im, co przeżywała ludność Warszawy, poprawiła się atmosfera. Wiele z dłużej przebywających więźniarek pomagało nam lub przynajmniej pocieszało. Szczególną opieką otoczyły dzieci, które znajdowały się w transportach przywożonych z Warszawy.

Jeszcze dzisiaj po upływie tylu lat nie mogę spokojnie mówić, kiedy przed oczami stają sceny oglądane w obozie. Zdarzało się, że w obozie znalazło się po kilkoro dzieci z jednej rodziny. Te starsze, mając na przykład po

dziewięć lat, opiekowały się młodszymi. Widziałam to wszystko na własne oczy, bo umieszczono mnie jako ciężarną w bloku, gdzie przebywały dzieci. Był to barak murowany. Nie pamiętam jednak numeru. Nie pamiętam też nazwiska blokowej. [...] Nigdy nie zapomnę postaci sztabowej, nazwiska nie pomnę, która biła dzieci, nawet te najmłodsze, gdy któreś z nich zmoczyło się podczas snu. Opiekujące się maleństwami starsze dzieci, wiedząc o tym, sprowadzały dzieci z legowisk i sadzały na kiblu, byle tylko uchronić je od bicia.

Barak, w którym przebywałam, był niesamowicie zapluskwiony. Pamiętam, że z tego powodu była przeprowadzana nawet jakaś akcja dezynfekcji.

W baraku funkcyjne były za byle co, stosowały też różne kary, jak na przykład klęczenie. Blokowa właściwie nic o nas nie dbała; gdy ubrała się ciepło i najadła, potrafiła tylko na nas wrzeszczeć. Nie lepiej postępowały sztubowe. Trudno zapomnieć na przykład postać sztubowej Stasi. Nazwiska już nie pamiętam. Pochodziła w każdym razie ze Śląska. Nasza „znajomość” rozpoczęła się od przykrego dla mnie zdarzenia. Sztubowa ta poleciła mi nosić kotły z jedzeniem. Kotły były bardzo ciężkie i nic nie pomogły moje prośby, aby mnie oszczędziła ze względu na mój stan. Uderzyła mnie po głowie i musiałam rozkaz wykonać. Ale sztubowa Stasia nie omieszkała jednak wykorzystać moich umiejętności pisania.

Dowiedziała się o tym i od tej pory przychodziła do mnie, by pisać jej listy. Dla mnie przeżyciem było szczere wyznanie Stasi, gdy podczas jednej z rozmów przyznała się do tego, że nigdy w domu na wolności nie było jej tak dobrze jak w obozie! Niestety tak w obozie było, że na każdym kroku widziało się kontrasty, tak pod względem możliwości, jak również wrażliwości.

Przebywałyśmy w bloku murowanym. W sierpniu 1944 roku wywieziono z KL Birkenau mojego męża, teścia, szwagra, wujka Wacława Olszewskiego i Andrzeja Olszewskiego. Z początkiem września wywieziono moją mamę (teściową) i ciotkę Jankę. Z nich wszystkich przeżył obóz tylko wujek Wacław Olszewski, który był lekarzem. Świetnym specjalistą od chorób płucnych. On, jak również Andrzej Olszewski, przebywali w KL Flossenbürg, gdzie zostali zatrudnieni w obozowym szpitalu. Zginęli mój mąż, teść, ciotka Janka. Teściowa zmarła na tyfus w KL Bergen-Belsen. O tym wszystkim dowiedziałam się oczywiście już po wyzwoleniu.

Aby żyć, trzeba było w obozie zdobyć się na maksymalny wysiłek woli. Ja chciałam żyć, więc nie załamywałam się, ale nie wszystkie więźniarki

mogły się na to zdobyć. Przykładem tego może być moja była warszawska sąsiadka, artystka malarka, z domu Lipcówna. Była ona kobietą bardzo wrażliwą. W obozie przebywała ze swoją matką staruszką. Razem z młodszą Lipcówną znajdowałam się w jednym baraku, gdyż i ona była w ciąży. Od pewnego czasu Lipcówna przestała się myć, była w ogóle zrezygnowana. Mówiąc, że taka egzystencja nie ma sensu. Dużo z nią rozmawiałam, tłumacząc, że nie powinna się załamywać, bo ma obowiązek bronić nie tylko własnego życia, lecz również życia dziecka, które nosi w swoim łonie.

O tym samym mówiła jej matka. Lipcówna marzyła jednak o zjedzeniu kotleta. Podtrzymywałam ją na duchu, jak tylko mogłam, mówiąc, że musi zachować siły, aby szczęśliwie urodzić zdrowe dziecko. W obozie nikt nam przecież nie mógł pomóc, prócz lekarek więźniarek i pielęgniarek, które też niewiele mogły. Niestety Lipcówna zmarła po urodzeniu dziecka. Pamiętam, jak po wyzwoleniu obozu KL Auschwitz jej matka staruszka, trzymając w jakimś zawiniątku noworodka córki, rozmyślała zapewne o swoim losie. Przeżyła ona, staruszka, a zginęła jej córka.

Chyba w listopadzie 1944 roku zostałyśmy przeniesione z dotychczasowego odcinka do odcinka po drugiej stronie [BII]. Miałam szczęście, bo tym razem funkcję blokowej baraku, do którego otrzymałam przydział, pełniła więźniarka Polka o imieniu Roma. Nazwiska jej nie pamiętam. Nie pamiętam także numeru baraku ani nazwy odcinka, gdzie przebywałyśmy po przeniesieniu. Roma z zawodu była nauczycielką i bardzo dbała o więźniarki. W baraku tym przebywały tylko więźniarki ciężarne, dzieci już nie było, przebywały w innym baraku. Kobiety pochodziły z różnych krajów okupowanej przez Niemców Europy. Były wśród nich nawet Estonka i Włoszka. Włoszka nazywała się Eleonora Musina. Ciekawa była jej historia.

Wyszła za Jugosłowianina, więc dzieliła z nim los jako partyzantka oddziałów Tito. W baraku byłam jedyną osobą, z którą mogła się porozumieć po francusku. Była z tego ogromnie szczęśliwa, tyle tylko że mówiła bardzo szybko i musiałam jej stale powtarzać, aby mówiła wolniej. Eleonora urodził się synek, któremu nadała imię Andrea. Synek niestety zmarł. Prawdopodobnie przy porodzie wywiązało się zakażenie, gdyż maleństwo było pokryte krostami i wyrzutami. Po wyzwoleniu, gdy do obozu, a raczej naszego baraku wszedł jakiś radziecki pułkownik, byłam tłumaczką. Wiem,

że Eleonora została przetransportowana do Krakowa do punktu, skąd zabierano i wywożono do obozów obcokrajowców.

W obozie spotkałam także ludzi szlachetnych i ofiarnych. Niestety nie pamiętam nazwiska więźniarki Zosi pochodzącej z Radomia, która już była długoletnią więźniarką. Ta właśnie Zosia poznała mnie z nieżyjącą już profesor Wandą Moszczeńską, od której otrzymywałam dodatkowe porcje zupy. Dobra była także szrajberka Oleńka. Niektóre z więźniarek, nawet jeśli nic nie mogły pomóc, to przynajmniej pocieszały, co też miało swoją ogromną wartość, a dobre słowo niejednego powstrzymało od załamania. Pamiętam na przykład wieczór wigilijny 1944 roku i przemówienie naszej blokowej Romy. Mówiła o tym, abyśmy nie rozpaczały, bo kiedyś także Chrystus narodził się w ubogiej stajni. Roma mówiła to po polsku, ale jej słowa pocieszenia były zrozumiałe dla wszystkich kobiet, które ze szlochem słuchały jej przemówienia.

W obozie widziałam wiele okropnych rzeczy. Widziałam, jak więźniarki dosłownie topiły się i umierały w błocie. Najbiedniejsze i godne pożałowania były więźniarki Greczynki, które nie znały żadnego innego języka prócz ojczystego. Lamentując, wiecznie trzymały się razem i nawet nie można było z nimi zamienić paru słów, pocieszyć lub okazać życzliwości.

Na mojej pryczy oprócz mnie leżały jeszcze trzy więźniarki. Najstarsza była Marysia, która pochodziła z Warszawy, a mieszkała na Woli. Była to kobieta w wieku około trzydziestu pięciu lat, zaradna, dzielna i twarda. Ale i Marysię nachodziły chwile zwątpienia. Leżąca z nami więźniarka Kama była przeciwieństwem Marysi: cicha, spokojna, delikatna. Z zawodu była krawcową. Była jeszcze Zosia Trzcinińska, która miała ogoloną głowę i bardzo się tym martwiła. Stale pytała, czy już jej włosy odrastają. Marysia też marzyła o długich, splecionych w warkocze włosach. Mnie było zupełnie obojętne, jakie będę nosić włosy na wolności.

Broniąc się przed apatią, chwytalam się wszelkich sposobów. Z natury nie považam władzy, tym bardziej więc starałam się ignorować rozkazy niemieckie. Jeśli była u nas na przykład blocksperra, to akurat wykradałam się do waschraumu lub do bloku (był też taki), w którym przebywały starszki Polki przywiezione z Warszawy. Starszki te witały mnie zawsze z dużym ożywieniem, a ja na poczekaniu wymyślałam jakieś bajeczki o przemówieniu tego lub innego polityka, według których zbliżał się już koniec wojny.

Gdy odbywały się naloty, my, więźniarki z Warszawy, z radością patrzyłyśmy na przelot samolotów i aż podskakiwałyśmy mimo naszego stanu. Więźniarki Rosjanki dziwiły się temu niepomrotnie i brały nam nawet za złe, że nie staramy się w czasie alarmu szukać schronienia. No cóż, nie rozumiały, że po tym wszystkim, co przeżyłyśmy w Warszawie, byłyśmy o tyle bogatsze. Barak obozowy nie dał oczywiście absolutnie żadnej szansy wyjścia z życiem, gdyby doszło do bezpośredniego trafienia.

Muszę jeszcze wspomnieć o jednej obozowej koleżance, Dziuni Seweryn. Znałyśmy się jeszcze z czasów przedwojennych. Uczęszczałyśmy do tej samej szkoły powszechnej i w tym samym czasie Dziunia była dla mnie sztandarową i podziwianą postacią. Ponownie spotkałyśmy się dopiero w Oświęcimiu, dokąd przywieziono ją z matką. Utrzymujemy ze sobą kontakt do dnia dzisiejszego.

Jeśli chodzi o mnie, to pomimo wielu najokrutniejszych przeżyć i stanu, w jakim się znajdowałam, głęboko wierzyłam, że moje dziecko urodzi się już na wolności. Nie robiłam też żadnych starań, tak jak to robiły inne więźniarki, które wymieniały swoje niewielkie porcje chleba na kawałki szmat mające im zastąpić po urodzeniu dziecka w obozie pieluszki. Moje marzenia się spełniły. Urodziłam córeczkę Ewę na wolności w Krakowie, dokąd zostałam przeniesiona po wyzwoleniu obozu.

Pobyt w obozie był dla mnie ogromnym szokiem. Wychowałam się w domu, w którym zaszczepiono mi kult człowieczeństwa i człowieka. Nie można powiedzieć, że pobyt w obozie przekreślił to wszystko, co wpojono mi w domu i co nabyłam w swoim środowisku. Ale na pewno ta brutalna konfrontacja w jakiś sposób przewartościowała moją świadomość. Do czasu pobytu w obozie nie byłam wierząca. Po wyjściu z niego stałam się nią, ale moja wiara jest nieco odmienna od utartego pojęcia „wiara”. Przekonałam się, pomimo wszystkiego, że w ludzi należy jednak wierzyć. W moim osobistym odczuciu łatwiej było wierzyć w człowieka tam, w obozie; w obozie dostrzegało się samo dno nieszczęścia i upodlenia ludzkiego i musiało się albo wierzyć w istnienie człowieczeństwa, albo uznać człowieka za bydlę. A dzisiaj? Te gwałty i zabójstwa dla kilkudziesięciu złotych. Wreszcie ludzie, którzy niby są zgodni z paragrafem, lecz jest to tylko zgodność formalna.

Wspominając o niektórych obozowych postaciach, trzeba także parę słów powiedzieć o więźniarce pełniącej funkcję lagerältest, Steni. Stenia była kobietą, o której mówiono w obozie same złe rzeczy, a nawet to, że

spaliła w krematorium własną ciotkę. Sama byłam świadkiem następującego wydarzenia. Któregoś dnia Stenię ruszyło chyba sumienie, bo przysłała do baraku, w którym przebywały dzieci, i przyniosła im jeża. Cóż było jednak dzieciom z jeża, gdy one wołały, że chcą do rodziców, do domu, do Warszawy. Stenia w tej sytuacji nie potrafiła się zdobyć na nic innego, jak tylko trzaśnięcie drzwiami i gwałtowne opuszczenie baraku.

Była też w obozie więźniarka pełniąca funkcję lagerkapo, Marija, nazwiska nie pamiętam, narodowości czeskiej, która stale chodziła z kijem w ręce. Kijem tym waliła, kogo tylko napotkała na swojej drodze. Z Mariją też miałam kiedyś przypadkowe „spotkanie” i to w dodatku po ogłoszeniu blocksperry. Czasu brakuje, a ja akurat natknęłam się na lagerkapo. Niespeoszona tym spotkaniem oświadczyłam po niemiecku (uczyłam się tego języka, ale nienawidziłam się nim posługiwać), że jestem w ciąży, co zresztą było już widoczne, i idę do waschraumu. Marija, o dziwo, nawet mnie nie uderzyła laską, tylko trzepnęła ręką po barku i na tym skończył się incydent.

Paralizujący wzrok w sensie prawie dosłownym miała jedna z aufzjerek nazywana przez nas „Wroną”. Nie biła, lecz wystarczyło, że popatrzyła na kogoś tymi swoimi zimnymi, niezyczliwymi oczami.

Pamiętam też, jak pewnego dnia podczas apelu zjawiał się w obozie kobiecym komendant obozu oświęcimskiego. Patrząc na ciężarne kobiety, oświadczył, że przecież miałyśmy w obozie przeżyć najwyżej trzy miesiące. Był najwyraźniej zdziwiony, że ośmieliłyśmy się pozostać przy życiu.

Po przeniesieniu nas na nowy odcinek cierpiałyśmy głód. Każda z nas robiła wszystko, aby zdobyć cokolwiek do zjedzenia. Pamiętam, jak pewnego dnia przywieziono pod barak kuchni obozowej ziemniaki. Nasz barak stał niedaleko kuchni, więc pomimo niebezpieczeństwa starałyśmy się zdobyć bodaj parę ziemniaków, idąc za przykładem Marysi. Trzeba było się spieszyć, bo mogłyśmy to zrobić tylko w nocy, zanim ziemniaki zostały wniesione do kuchni. Jakkolwiek Niemki spojrzzeniami pilnowały ziemniaków, zdecydowałyśmy się na akcję. Pomimo śniegu, niskiej temperatury i wyszlizganej tej drogi, na której łatwo było się potknąć i upaść, szybko podbiegłyśmy w kierunku ziemniaków i złapawszy dwa lub trzy kartofle, biegiem powracałyśmy do baraków. Jedna z Niemek, widząc mnie, krzyknęła pod moim adresem: „Twoje dziecko będzie złodziejem”. Odwróciłam się wówczas i dodałam: „Ale nie niemieckim”.

Dokuczliwe uczucie głodu nie dawało nam spokoju nawet podczas snu. Mnie śnił się stale obszerny wigilijny stół u babci, na którym znajdowały się różne smakowite potrawy. Budziłam się zawsze w momencie, gdy miałam zasiadać do stołu.

Wszystkich ciężarnych kobiet było około dziewięćdziesięciu. Część z nich opuściła obóz w czasie ewakuacji. W dniu, kiedy odbywały się przygotowania do wymarszu, udałam się do bloku, w którym przebywała matka Dziuni Seweryn. Tak się jakoś zagadałam, że gdy powróciłam do swojego baraku, okazało się, że większość moich koleżanek przekroczyła bramę obozu z kolumną ewakuacyjną. Byłam tym faktem zmartwiona, więc natychmiast udałam się pod bramę i poprosiłam wartowników SS, aby mnie przepuścili, bo „ja dogonię koleżanki”.

Wartownicy moją prośbę skwitowali wybuchem śmiechu i odesłali mnie do baraku, mówiąc, że jeszcze następnego dnia odejdzie transport, do którego będę mogła dołączyć. Trzeba przyznać, że byłam bardzo przybita tą niespodziewaną rozłąką i zdawało mi się wówczas, że za bramą jest już wolność.

Te uczucia można tłumaczyć moją naiwnością, gdyż nie zdawałam sobie sprawy z tego, że za bramą było pędzenie i dobijanie słabszych, których zwłoki porzucono na poboczach drogi. Ze zwłok tych ściągano nawet ubranie cywilne, w które zaopatrzyły się więźniarki przed wymarszem, z magazynów „Kanady”.

Z dzieci urodzonych za moich czasów w obozie niewiele przeżyło. Matki nie miały pokarmu, w barakach było zimno, a w czasie apeli Niemka sprawdzająca liczbę więźniarek przybywających z baraków żądała, aby matki odwijaly dzieci z zawiniątek, bo sprawdzała płeć niemowląt. Dzieci przeziębially się przy tym, jednym słowem, trudno było w tych warunkach przeżyć niemowlęciu. Być może trochę odporniejsze były kobiety i dzieci rosyjskie. Pamiętam, że w baraku, gdzie przebywałam, znajdowały się Rosjanki pochodzące z Kaukazu, Kijowa, farmaceutka Ania pochodziła z Moskwy.

Okolo 20 stycznia 1945 roku skończyło się panowanie Niemców w obozie. Po tym terminie zjawiali się sporadycznie na terenie obozu, o czym jeszcze wspomnę. Przez kilka najbliższych dni po 20 stycznia 1945 roku słyhać było trwające w pobliżu walki frontowe. Od czasu do czasu w obozie zjawiali się esesmani. Niektórzy zrzucali nawet mundury i odchodzili w cywilnych ubraniach za bramę obozową. Raz widziałam taką scenę.

Pewnego dnia, słuchając kanonady dział, zostałam przytulona do Rosjanki pochodzącej z Ukrainy. Miała bardzo ładny głos i często śpiewała nam ukraińskie pieśni. Obserwując dalekie łuny, zastanawialiśmy się, czy dożyjemy wyzwolenia.

Po zbombardowaniu elektrowni w obozowym ogrodzeniu nie było już prądu. Więźniowie sąsiedniego odcinka szpitalnego przecinali ogrodzenia, więc i my, więźniarki, mogłyśmy się poruszać po odcinkach przyległych do naszego. W jednym z nich znalazłam pewnego dnia całą wyprawkę niemowlęcia, razem z poduszką. Krążył wówczas nade mną samolot, ale był to samolot wyzwolicieli, a nie wroga.

Do najtragiczniejszych momentów należy wydarzenie, które rozegrało się na którymś z sąsiednich odcinków. Pobiegłam tam do baraku kuchni. Po otrzymaniu informacji od jednego z więźniów, że w baraku tym znajdują się obrane ziemniaki. Byłam właśnie w środku tego baraku z więźniarką, Rosjanką o imieniu Katia, gdy nagle do środka wszedł esesman. Widząc go, przeraziłam się bardzo, a moje zdenerwowanie się powiększyło, gdy esesman kazał nam wyjść przed barak i zaczął wyjmować pistolet z kabury. Tym właśnie pistoletem zastrzelił Katię. Wystrzelił z bliskiej odległości tylko raz i Katia martwa osunęła się na ziemię, a ja do dnia dzisiejszego nie jestem w stanie wytłumaczyć sobie, czym kierował się ów esesman, strzelając właśnie do Katii, a nie do mnie. Zwłoki Katii pochowałyśmy już po wyzwoleniu obozu.

W dniu wyzwolenia w okolicy obozu zapanowała nerwowa atmosfera. I w pewnym momencie w oddali dostrzegłyśmy sylwetki na biało ubranych mężczyzn, którzy podążali w kierunku obozu. Nie byłyśmy pewne, kim są ci mężczyźni, a nawet obawiałyśmy się, że mogą to być Niemcy, którzy zechcą nas zlikwidować. Pogłoski o takiej możliwości uporczywie krążyły wśród więźniarek, więc każde pojawienie się w pobliżu esesmanów wzmagало nasze obawy. Całe szczęście, że zbliżający się mężczyźni stanowili szpicę patrolu zwiadowczego. Zaraz rozległy się okrzyki: *Zdrastwujtie towarzyszczi*. Żołnierze radzieccy uspokoili nas, mówiąc, abyśmy się nie bały, bo *Germańców niet*. Później zostałyśmy otoczone opieką, zorganizowano kuchnię i wydawanie posiłków.

Z ciężarnych kobiet pozostało nas niewiele, liczby nie potrafię określić. Było parę Rosjanek, a z Polek to chyba ja jedna. Eleonora już nie miała dziecka, gdyż jej Andrea zmarł. W moim baraku pozostało nie więcej jak około dziesięciu kobiet ciężarnych. Radziecki pułkownik, z którym rozma-

wiałam bezpośrednio po wyzwoleniu, powiedział, że rychło zostanie na miejscu zorganizowana pomoc, ale obecnie musi być zarządzona kwarantanna. Więc osobiście doradził mi, abym jak najszybciej opuściła teren wyzwolonego obozu.

Tak się szczęśliwie złożyło, że tego samego dnia po wyzwoleniu w obozie znajdowało się dwóch młodych ludzi. Byli to bracia. Jeden z nich był bodaj w partyzantce, drugi powrócił z jakiegoś obozu pracy, który znajdował się na wyzwolonych terenach. Kiedy dowiedzieli się, że w obozie są dzieci, przybyli, aby zabrać któreś z nich do siebie. Mieszkali w Oświęcimiu. Oni właśnie zaproponowali mi pomoc. Następnego dnia rzeczywiście zabrali mnie do swojego domu. Mieli piękny dom, który uprzednio zajmował jakiś dygnitarz z SS, komendant lub jego zastępca. Poprzedni użytkownicy domu musieli uciekać w dużym pośpiechu, bo pozostawiono w piecu niedopieczone ciasto i niedojedzone resztki jedzenia. W tej właśnie willi spędziłam noc. Następnego dnia moi gospodarze porozumieli się z akuszerką, która poradziła, aby mnie natychmiast przetransportować do Krakowa, bo przy rychłym spodziewanym porodzie mogły nastąpić komplikacje wynikłe z pobytu w obozie. W obozie rzeczywiście chorowałam. Jednego razu w gorączce opuściłam barak i nieprzytomna upadłam na ziemię do zaspy śnieżnej.

Za radą wspomnianej akuszerki przewieziono mnie do Krakowa samochodem ze znakami polskiej armii, na którym wieziono mięso. W Krakowie podczas badań lekarskich okazało się, że miałam zapalenie miedniczek nerkowych, zapalenie płuc, byłam także w stanie krańcowego wycieńczenia. Pomimo tego dnia 16 lutego 1945 roku poród odbył się szczęśliwie. Nawet nie było żadnych komplikacji. Na świat przyszła moja córeczka Ewa. Po porodzie bardzo chorowałam, miałam zapaść. Z tego okresu do dnia dzisiejszego zapamiętałam nazwisko doktora Żaczka, który otoczył mnie doskonałą opieką, ale najważniejsza była życzliwość, z jaką się mną zajmował. Gdy mogłam już opuścić szpital, dr Żaczek, wiedząc, że pochodzę z Warszawy, mówił: „Proszę pani, może pani jeszcze pozostać w szpitalu nawet pół roku. Przecież pani nie ma dokąd się udać, niech pani zostanie”.

Ja jednak miałam się dokąd udać. Pod Krakowem mieszkali krewni mojej rodziny, którzy mieli folwark. Tam się właśnie udałam.

Córeczka ważyła po urodzeniu niewiele ponad 2 kg. Krewni zaprosili do siebie znajomego lekarza, który mnie oczywiście zbadał i powiedział krewnym, że właściwie to ani ja, ani moje dziecko nie mamy szans na przeżycie.

Lekarz ten oczywiście nie brał pod uwagę tego, że byłam twarda, że bardzo chciałam żyć. Prócz tego Wilamowscy, tak nazywali się krewni mojej rodziny, dawali z siebie wszystko, byle mnie ratować. Najpierw podawano mi tylko mleko. Stopniowo przychodziłam do siebie.

Moja kruszynka Ewa była oczkiem w głowie całej rodziny Wilamowskich. Gdy ociepliło się, wynoszono ją na słońce. Dopiero po dłuższym upływie czasu, gdy nie było już obaw o mnie i o dziecko, powiedziano mi, jakie było zdanie lekarza odnośnie do naszych szans na utrzymanie się przy życiu.

Ewa, będąc małym dzieckiem, spała bardzo niespokojnie. Siadała we śnie i rączkami wodziła po ścianie. W okresie rozwoju wystąpiły u niej bóle głowy, które były tak silne, że podejrzewano nawet nowotwór mózgu. Przebywała na oddziale neurologicznym u profesor Nielubiczowej, a następnie w sanatorium, gdzie leczono nerwice. Wszystko to pozostało bez rezultatu. Próbowalam oczywiście wszelkich możliwości, nawet hipnozy. Dalsza rodzina męża zaprosiła moją córkę do Anglii, gdzie badali ją tamtejsi wybitni specjaliści. Ale nie pomagały żadne leki. Bóle głowy nadal występowały u Ewy w regularnych odstępach czasu na wiosnę i jesienią, a trwały po parę miesięcy. Były tak silne, że córka dosłownie krzyczała z bólu i gryzła palce. Prawie nic nie jadła w tych okresach, piła tylko minimalne ilości soków. Gdy mijały bóle, była bardzo osłabiona i trudno jej było cieszyć się życiem, gdyż wiedziała, że znów powrócą ataki. Powtarzało się to dosłownie jak w zegarku. Był taki okres, że ból utrzymywał się przez dwadzieścia cztery godziny. O godzinie dziesiątej co do minuty odczuwała najsilniejsze ataki.

Trudno sobie wyobrazić, co przechodziłam jako matka. Tego się nie da opisać. Nie da się opisać tego, jak cierpiało dziecko, krzyczało z bólu, a ja byłam bezradna. Lekarze opiniowali, że skutkiem głodu, który cierpiałam w obozie, płód nie otrzymał dostatecznej ilości białka i z tego względu uległ osłabieniu system nerwowy dziecka.

Skuteczne było skierowanie córki przez doktora Zajączkowskiego do sanatorium leczenia nerwic. Córka spotkała się tam z rówieśnikami i osobami starszymi, które też cierpiały. Ewa znalazła swoje miejsce w życiu, co jej bardzo pomogło. Powiedziano jej, że oczywiście nie ma gwarancji, iż bóle minęły na zawsze. Obecnie Ewa jest czynna, robi maturę w liceum korespondencyjnym, wyszła za mąż, pracuje. [...]

Jeśli chodzi o mnie, to po wojnie nie odwiedziłam terenu byłego obozu w Oświęcimiu, nawet kiedy nadarzała się ku temu okazja i nawet jeśli mnie o to proszono. Abyłam na przykład towarzyszyła wycieczce z Zarządu Aptek. Z filmu *Ostatni etap* wyszłam w trakcie projekcji po około dziesięciu minutach, nie mogłam go oglądać.

W pewnym stopniu jestem jakimś rozbitkiem życiowym. Jakkolwiek po wojnie zdobyłam wykształcenie i jakąś pozycję. Do żadnej walki nie jestem już zdolna, zrezygnowałam z jakiegoś dalszego układania sobie życia osobistego. Wymagania mam właściwie bardzo skromne. Chciałabym, aby dobrze się ułożyło mojemu dziecku. Zdobywszy wiarę, dziękuję Bogu za to, że dziecko moje lepiej się czuje.

Po powrocie z obozu zamieszkałam w Warszawie, zdałam na Wydział Farmaceutyczny Uniwersytetu Warszawskiego. Potem przeżyłam kryzys nerwowy o dużym nasileniu. Nie mogłam ani spać, ani jeść. Znajdowałam się w stanie silnej apatii. Widziałam stale to winkle, to pasiaki; potem widziałam wszystko w takich jakichś szarych kolorach. Skierowano mnie więc do Instytutu Higieny przy ulicy Chełmskiej, gdzie określono mój stan jako depresyjny. [...]

Po wyzwoleniu obozu stale miewałam i miewam sny. Śniło mi się, że jestem więźniarką KL Auschwitz, że jest ciepło, a na obozową rampę wjeżdża transport, że z wagonu wychodzą moja mama i córka Ewunia. Bałam się w takich momentach. Obecnie miewam trochę inne sny. Budzą mnie „dzwonki” u drzwi wejściowych. Nie odczuwam lęku, nie boję się być sama w mieszkaniu, ale ilekroć mam taki sen, rzeczywiście budzę się z uczuciem, że ktoś dzwonił; bardzo często śnią mi się esesmani. [...]

Byłam niedawno na konsultacji lekarskiej, gdzie stwierdzono, że są to typowe objawy poobozowe. Psycholog mówił, że wszystkie te moje sny związane są z pobytem w obozie. Myślę, że jeśli skończyłam studia, to tylko dzięki temu, że byłam po wojnie jeszcze młoda, ale przeżyć obozowych już nic nie wymaże, pozostaną we mnie aż do końca moich dni.

Oświęcim uczynił ze mnie osobę bardzo wierzącą w człowieka, lecz uczynił także ze mnie człowieka twardego, który wie, że w życiu musi sobie radzić. Bo jeśli się kocha życie, a ja bardzo je kocham, to tego życia trzeba się trzymać.

Pobyt w obozie wywarł też na mnie negatywny skutek. Nie przepadam obecnie za ludźmi, w tym znaczeniu, że nudzi mnie płytką rozmowa. Ja

uwazam, że człowiek powinien mówić wówczas, jeśli rzeczywiście ma coś do powiedzenia.

Jestem tolerancyjna, ale i bezkompromisowa. Tolerancyjna w stosunku do obcych lub znajomych, bezkompromisowa w stosunku do najbliższych i uważam, że jeśli chodzi o najbliższych, to wszystko może być albo czarne, albo białe, lecz nigdy szare.

To, że jestem fizycznym wrakiem człowieka, wynika z losu, który był przeznaczeniem mego pokolenia żyjącego właśnie pod tą szerokością geograficzną. Z tym się trzeba pogodzić. Trzeba tylko za żadną cenę nie dopuścić do tego, aby się ta sytuacja powtórzyła, aby nasze wnuki zamieszkujące tę naszą ziemię szumiącą wierzbami i rozśpiewaną skowronkami nigdy więcej tego nie przeżyły.

POWSTANIE WARSZAWSKIE 63 DNI [61](#)

Powstanie Warszawskie wiąże się dla mnie z podwójnym przeżyciem: wspaniałym, bohaterskim zrywem nieujarzmionego miasta i narodzinami mego drugiego dziecka. Tuż przed powstaniem wyczuwało się wielkie napięcie i niepokój. Rosjanie ostrzeliwali stolicę rakietami, co tworzyło lunę żarzących się pochodni. Nocami niebo nad Warszawą płonęło. W powietrzu wisiało przerażenie i zgroza. Nie wiedziałam, jakim celem miała służyć ta demonstracja siły i właściwie kogo zastraszyć. Na arenie historii, ponad nami, toczyła się śmiertelna gra o nową równowagę w świecie, której głównymi atutami stały się bezprawie i nienawiść do człowieka na nigdy dotąd niespotykaną skalę. Systemy totalitarne z butą czyniły się bogami, podczas gdy same ani bogów nie uznawały, ani żadnej odpowiedzialności nie zamierzały przyjąć, z zuchwałością sięgając po prawo decydowania o istnieniu ras.

Przeczuwałam odchodzenie jakiejś epoki i otwieranie się nowego rozdziału historii naszego kraju, z nowymi kanonami. Ze złymi przeczuciami patrzyłam w najbliższą przyszłość. Pierwsze strzały usłyszeliśmy po godzinie piętnastej. W obliczu niewiadomej, lękając się o przeżycie swoje i mającego lada chwila narodzić się dziecięcia, poprosiłam męża o zrobienie nam fotografii, aby zostawić jakąś pamiątkę po sobie w atmosferze tego czasu. Mieszkaliśmy przy ulicy 6 Sierpnia obok pl. Zbawiciela. W domu naszym w wielu mieszkaniach i piwnicach mieścił się istny arsenał, gdyż tu przygo-

towywany był atak na bastion gestapo na Szucha. Znałam tylko bohater-
skich zapaleńców! Zbierali się w mieszkaniu Wandy z Donimirskich Dzia-
łowskiej, aby pod dowództwem jej syna Leszka planować akcję uderzenia
na Niemców. Serce się ścisnęło, że idą na niechybną śmierć, ale byli tacy
młodzi i dzielni – kwiat polskiej młodzieży. Rozgorzała bitwa, której huk
usłyszeliśmy, ale nie trwało to długo, po czym nastąpiła pełna grozy cisza:
wiedzieliśmy, że to już koniec.

Należało spodziewać się uderzenia Niemców od strony pl. Zbawiciela.
Na apel mężczyźni z okolicznych domów rozpoczęli budowę barykady dla
zabezpieczenia tej strony. Niestety, zauważono te ruchy i poczęto ostrzeli-
wać ten punkt granatnikami, które rozpryskując się w powietrzu na wiele
odłamków, zabijały i dotkliwie raniły.

Wobec zbliżającego się rozwiązania postanowiliśmy z mężem, który
właśnie został ranny, przenieść się do kliniki mieszczącej się w pobliżu
naszego domu. Miałam tam wcześniej zamówione miejsce na czas porodu.

W mieszkaniu zostawiliśmy gosposię, a sami przez piwnice przedzierali-
śmy się do kliniki.

Aby możliwe było poruszanie się pomimo ostrzałów, istniał cały system
dróg przez piwnice, których ściany dla udrożnienia zostały poprzebijane.

Droga była uciążliwa, bo w piwnicach schroniło się wielu ludzi, do tego
skąpe oświetlenie pochodziło jedynie z migotliwych świec.

W klinice zajęłam duży, jasny pokój na piętrze, w którym spędziłam
większą część powstania do czasu, kiedy było to możliwe. W drugiej poło-
wie września dom był już bardzo zniszczony i nie było okien i drzwi.
W klinice była tylko jedna pielęgniarka, pani Stefania, a rodzących przyby-
wało. Na szczęście dołączyła, umówiona wcześniej, moja prywatna pielę-
gniarka p. Kazimiera Jakubowska, wspaniała człowiek.

I tak nader skąpy ten personel fachowy, dzielnie wspierany przez położ-
nice, które wcześniej powiły, ofiarnie roztaczał opiekę nad wciąż przyby-
wającymi kobietami, których bez naszego współdziałania nie można byłoby
przyjąć.

Znajdowaliśmy się w dzielnicy, gdzie nie było żadnych zapasów.
Niemcy racjonowali wodę, włączając instalację wodociągową na niezbyt
długo, dwa, trzy razy dziennie. Przy studzienkach szybko zbierali się
ludzie, tworząc kolejki, by co rychlej zaczerpnąć tak potrzebnej wody.

Niemcy z upodobaniem nekali te grupki ludzi ostrzałem z granatników,
a więc zdobycie wody należało do czynów bohaterskich. Pielęgniarka pani

Kazia dotarła do nas od strony Szucha, ze swą niedużą córką, unikając nie-szczęścia, ale opowiadała straszne rzeczy o tym, co dzieje się na mieście. Niemcy, rozprawiwszy się ze zorganizowanym oporem, m.in. z oddziałem z naszego domu, poczęli wyłapywać ludzi z ulicy i z pobliskich domów i dokonywali egzekucji.

Blaski i cienie tych sierpniowych ciepłych dni przeplatały się z uśmiechem i łzami, długie godziny niepewności i napięcia z komicznymi wręcz sytuacjami, groza i śmierć z cudem narodzin.

Na początku powstania doznawaliśmy radosnych chwil. Powiew wolności nieśli powstańcy walczący na barykadach. Dzięki daninie ich krwi wschodziła dla nas jutrzeńka nadziei. Gdy wieczorami cichły walki, śpiewali pieśni i piosenki religijne i patriotyczne, co bardzo podnosiło i wzmacniało ducha. Właśnie w takiej wielce wzruszającej atmosferze na świat przyszedł mój synek. Na początku powstania czynne były jeszcze telefony, toteż mogłam powiadomić bliskich o narodzeniu mego dziecka.

Lato tego roku było piękne, ciepłe i słoneczne, wszędzie snuły się nitki „babiego lata”.

Zadawaliśmy sobie pytanie: czy ten wielki, bohaterski zryw społeczeństwa będzie zwycięstwem? Czy powstanie ma szansę, przecież byliśmy ściśnięci dwiema potęgami: silną jeszcze armią niemiecką, z drugiej strony armią sowiecką z niejasnymi jej zamiarami... Nasze życie w klinice było bardzo trudne: brakowało wszystkiego, co konieczne, do tego ciągle ostrzał ulicy Szucha oraz świadomość niebezpiecznej bliskości Niemców, od których dzieliła nas ledwie jedna barykada... Szeptaliśmy pacierze, śpiewaliśmy suplikacje i nieustannie wzywałyśmy opieki Bożej: „Nie opuszczaj nas, nie opuszczaj nas, Matko, nie opuszczaj”. Wielką pomocą byli kapłani z kościoła Najświętszego Zbawiciela. Umacniali nas, pocieszając bożą posługą przez odprawianie mszy świętej, udzielając sakramentów świętych, pełni wiary i hartu ducha nieśli wyczekiwaną pomoc. W tych trudnych chwilach odczuwałam opiekę Matki Bożej. Przenosiłam się sercem i myślą do domu rodzinnego, raju mego dzieciństwa. Tam Bóg był wszechobecny: w stworzeniu i pięknie natury. Dom był położony malowniczo wśród jezior i stawów, oprawionych niczym szlachetne kamienie w głęboką zieleń lasów pachnących igliwiami i żywicą, rozbrzmiewających słodkim śpiewem ptaków.

Zmysły karmiły się tym sielskim obrazem, którego dopełniał aromat traw i zbóż, brzęczenie owadów w słońcu, ciężkich od nektaru miododaj-

nych łąk oraz odgłosy wsi: była idącego do wodopoju czy metaliczny dźwięk kos. Moja Arkadia brutalnie i bezwzględnie została zniszczona przez niemieckiego najeźdźcę w lipcu, tuż przed powstaniem, co odczuwałam jako ofiarę z mego dzieciństwa złożoną na ołtarzu Ojczyzny. Jednakże nic nie mogło wyrwać mi z serca i pamięci cudownych wspomnień, źródła mej duchowej mocy. Gdy rzeczywistość przerażała, a przyszłość rysowała się niepewnie, piękno, w jakim wzrastałam, tchnące głęboko odczuwalnym szczęściem i pokojem, dawało mi wielką siłę ducha i stymulowało do działania, a jednocześnie uwrażliwiała na otoczenie.

Miałam mocne przekonanie, że wobec dramatycznej sytuacji, w jakiej się znalazłyśmy, nie wolno mi nigdy pozwolić sobie na uczucie strachu czy wątpienia. Czułam się moralnie zobowiązana do podtrzymywania na duchu naszej małej społeczności, co komentował podczas obchodów oddziału w klinice dr Bryndanacki, mawiając: „Przychodzimy do pani nabrać sił, pani jedna podtrzymuje nas na duchu...”

A czekały nas jeszcze znacznie trudniejsze przejścia.

Najcięższym przeżyciem były walki o politechnikę, która przez około trzech tygodni przechodziła z rąk do rąk, działania trwały dniami i nocami, bez ustanku. Do tego silny atak Sowietów na siedzibę gestapo, a z racji tak bliskiego sąsiedztwa prawdziwie przeżywałyśmy apokalipsę.

Każdy atak artyleryjski siał w klinice przerażenie i panikę. Nie miałyśmy żadnych szans. Wystraszone w najwyższym stopniu kobiety były straszliwie nieludzkimi głosami. Brak mi słów na określenie dramatycznych scen, jakie się u nas działy. Były to tylko zagubione, bezbronne matki z noworodkami, których życie, z racji zaistniałych warunków, stałe było w niebezpieczeństwie. A wokół rozgorzało piekło. Znajdowaliśmy się w centrum zaciekłych ataków z obu stron. W najstraszniejszych chwilach, aby nie ulec panice, zamykałam się w miejscu, które uważałam za bezpieczniejsze, i tak próbowałam przetrwać i ochronić dziecko. Z powodu częstego bombardowania nocami nie dało się zmrużyć oka, a w dzień trzeba było pomagać naszym pielęgniarkom, inaczej nie dałoby się uratować tak wielu istnień.

W obliczu realnego zagrożenia i wobec nowych doświadczeń złożyłam wotum Matce Bożej, iż uczynię, co w mojej mocy, dla ratowania sierot.

Tak też się stało.

Ogromnie miłym momentem były odwiedziny w klinice szeregu życzliwych mi osób, zresztą walczących w powstaniu, które z narażeniem życia

docierały do mnie, często przedzierając się kanałami.

Byłam wówczas w stałym kontakcie z panią Działowską, od której dowiedziałam się o tragicznym losie jej syna Leszka i grupy powstańców atakujących gestapo na Szucha. Nikt z tej akcji nie ocalał – pozostał po nich smutek i żałoba.

To były trudne chwile, ale towarzyszyły im nieraz komiczne. Tak też było pewnego razu, gdy Niemcy zaczęli ostrzeliwać Warszawę pociskami zwanymi „gruba Berta”. Były to szafy jakiegoś ogromne, a siła pędu powietrza towarzysząca wystrzałowi była tak wielka, że zdawało się, iż zmiecie cały gmach, który chwiał się jak łądyga poruszana wiatrem. Dlatego też lekarz polecił matkom zejść z dziećmi do sutereny, gdzie znajdowały się kuchnia i inne pomieszczenia. Siła rozpędu drugiego pocisku wyrzuciła na nas sadze z dawno nieczyszczonych kominów. Zrobiło się ciemno i duszno. Dopiero po jakimś czasie, gdy można było cokolwiek widzieć, ujrzeliśmy siebie i nasze dzieci oblepione sadzami, co wyglądało bardzo zabawnie. Następne pociski przelatujące nad nami nie pozwoliły nam zadbać o siebie i dzieci.

Gdy już niemożliwe było przebywanie na piętrach z powodu dużych zniszczeń budynku kliniki, z konieczności zeszliśmy do suteren, choć było to dla mnie przykre, bo bezpieczniej czułam się na wyższym poziomie. Z obserwacji moich wynikało, że łatwiej uratować się z pięter. Niestety nawet schody były już zniszczone, co uniemożliwiało przebywanie gdzie indziej.

W piwnicy moje łóżko stało pod okienkiem. Którejś nocy było silne bombardowanie, a rano zrobił się wielki rumor. Okazało się, że tuż przy tym moim okienku piwnicznym wbita była w piasek wielka bomba – niewybuch... To kolejny cud, jakiego doznałam w owym czasie. Radosne były chwile, kiedy przylatywały samoloty ze zrzutami z zagranicy. Ludzie płakali, upadali na kolana i modlili się! Potem dochodziły już złe wieści. W miejscach, gdzie działali własowcy, domy były splądrowane, zrujnowane, popalone, a ludzie wypędzeni do obozu przejściowego na Zieleniaku na wywózkę do Pruszkowa. Powstanie dogorywało.

Głód, brak wody, wszawica, błyskawicznie rozprzestrzeniająca się w Warszawie czerwonka dawały się coraz bardziej we znaki. Brakowało leków. Byłam ciężko chora. Wreszcie dowiedzieliśmy się, że prowadzone są rozmowy z Niemcami o kapitulacji.

W południe zrobił się szum – sznur aut podjeżdżał pod wejście do szpitala im. Piłsudskiego. Na początku były to kryte limuzyny, potem kabriolety z oficerami. Miał to być sztab niemiecki i polski. Nasi generałowie byli w polskich mundurach, a gdy opuszczali szpital, mówiono, że byli pozbawieni oficerskich dystynkcji. Stałyśmy wśród szeregu oczekujących. W pewnym momencie tłum zachwiał się i usłyszeliśmy niesiony przez ludzi szept: „Bór-Komorowski”. Wszyscy Polacy dookoła płakali.

Rozmowy trwały długo, przez wiele godzin. Rokowania przedłużały się, bo sporną kwestią było uznanie powstańców, żołnierzy AK, za bohaterów, a nie *Banditen*, jak chcieli Niemcy. Strona polska nie ustąpiła. Ostatecznie rozwiązanie tej kwestii położyło kres powstaniu.

Wielkie zasługi w tej sprawie miała prezeska Polskiego Czerwonego Krzyża Maria Tarnowska, której tłumaczem był mąż jednej z naszych położnic, Jerzy Szturm. Głównie dzięki jej dyplomacji powstańcy otrzymali prawa diametralnie różne od proponowanych. Gorącymi łzami oblewałyśmy wieść o konieczności kapitulacji. Tyle nadziei było związanych z powstaniem. Jednakże cieszyłyśmy się, że żyjemy, a patrząc na nasze niemowlątka, które to piekło przeszły, czułyśmy radość, że i one przeżyją. Sprawę naszej ewakuacji załatwiał tłumacz, zwracając się z zapytaniem, jak mają opuścić miasto matki z niemowlętami, aby nie dostać się do obozu w Pruszkowie. Wówczas gen. von dem Bach ofiarował swój prywatny autobus.

Nie miałam wiadomości o moim ojcu i siostrach walczących w powstaniu.

Niemcy zaapelowali do kobiet, żeby zgłaszały się w fartuchach i czapczkach pielęgniarskich do obozu w Pruszkowie, aby pomóc w obsłudze wychodzących z Warszawy. Siostry moje szybko zauważyły w tym szansę ratowania ludzi z tego obozu. Jedna z nich dobrze znała niemiecki, dzięki czemu udało się jej ocalić wielu ludzi. Dziesiątki wyratowanych przeszło przez mój dom w Komorowie, gdzie zapewniano im pierwszą pomoc. Druga siostra z grupą osób zbierała zmarłych z obozu i wywoziła naszym wozem i końmi na cmentarz, aby zająć się ich godziwym pochówkiem.

Niemcy spędzili dziesiątki podwodów – wozy wiejskie zaprzężone w jednego, dwa konie – by przeprowadzić ewakuację ludzi opuszczających Warszawę w celu umieszczenia ich w obozie pruszkowskim. Byliśmy świadkami tragicznej sytuacji ewakuowanych ze zniszczonego miasta, inwalidów i chorych, między którymi przemycano rannych żołnierzy

z powstania. Był to obraz rozdzierający serce. Od szóstej rano, 3 października, czekałyśmy w ruinach politechniki naprzeciwko szpitala im. Piłsudskiego. Nagle dookoła nas pojawiły się pielęgniarki ze szkoły Fundacji Rockefellera z ulicy Koszykowej. Niosły wielkie sagany białej kawy i wory pieczywa.

O godzinie osiemnastej, z dwudziestogodzinnym opóźnieniem, został podstawiony obiecany autobus i dla nas była to chwila zakończenia powstania.

Ze smutkiem muszę dodać, że kiedy po wojnie poszłam odwiedzić klinikę, dowiedziałam się od pielęgniarki, która z nami spędziła powstanie, że większość dzieci nie przeżyła pierwszej zimy. Kobiety rozmieściły się u gospodarzy w okolicach Pruszkowa i Komorowa. Nie miały kontaktu z rodzinami, a więc nie posiadały pieniędzy, aby dzieci żywić i odziewać, a gospodarze nie mogli ich utrzymywać. Dzieci pomały z głodu i zimna.

Epilog. Złożone wotum przyszło mi wypełnić w Sopocie

W Ministerstwie Oświaty w Warszawie miałam przyjaciółkę, Krystynę Popiel, i przy jej pomocy oraz p. Strzałeckiej z ministerstwa na Wybrzeżu otrzymałam stosowne pozwolenia i upoważnienie do zorganizowania domu dla sierot. Dom był położony pięknie na wysokiej górze, skąd rozpościerała się wspaniała panorama na morze. Był to dawny domek myśliwski. Tworzenie tej placówki nie należało do zadań łatwych, ale podjęłam to wyzwanie z pasją, a wiele było do zrobienia. Należało przebudować instalację centralnego ogrzewania, umeblować pomieszczenia, przystosować je do nowego charakteru działalności.

Telefony nie działały, nie było transportu ani komunikacji poza przypadkową. Wszędzie trzeba było poruszać się per pedes... Naszą górę o wysokości kilkunastu pięter przychodziło mi „zdobywać” nieraz po kilka razy dziennie. Personel angażowałam częściowo sama. Wraz z domem przydzielono nam dozorcę, który nie budził mego zaufania. Jego odpychający wygląd i nadużywanie alkoholu przerażały nas. Toteż gdy pojawił się odpowiedni kandydat, autochton, człowiek dobry i uczciwy, skorzystałam z nadarzającej się okazji, aby pozbyć się poprzednika.

Naprawdę odetchnęliśmy z ulgą. Dowiedzieliśmy się później, że przesunięto go jako dozorcę do Domu Dziecka pod Gdynią, gdzie miejscowi roz-

poznali w nim wyjątkowo podłego kapo z obozu w Stutthofie. Wyszło na jaw, że miał na sumieniu wielu Polaków!

Otrzymałam dzieci z kieleckiego, których rodzice zostali pomordowani, a wsie popalone przez Niemców za pomoc partyzantom. Dzieci były w bardzo złym stanie i wymagały ogromnej pracy, aby doprowadzić je do zadowalającego stanu. Moje wysiłki zostały uwieńczone pełnym sukcesem, czego dowodem były wyrazy uznania ze strony Komisji z Ministerstwa Oświaty przybyłej na przegląd placówki.

Mój sukces był możliwy dzięki m.in. temu, że opiekę medyczną zapewniła mi Akademia Medyczna w Gdańsku, w czym pomogła mi moja siostra, która podjęła tam studia.

Placówka była urocza. Miałam ogromną satysfakcję z prowadzenia tego domu. Przyniósł mi wiele uznania, jednakże nie było mi dane długo go prowadzić. Przeżycia z okresu powstania w Warszawie i późniejsze oraz wysiłek, jaki włożyłam w organizowanie tego domu, wyczerpały mnie tak bardzo, że lekarz odradził mi kontynuowanie pracy.

Dom Dziecka w Sopocie za rok będzie obchodził pięćdziesięciolecie istnienia.

BEDNARCZYK JERZY [62](#)

Warszawa, sierpień 1944

Z perspektywy sześćdziesięciu lat niewiele można odtworzyć z tego, co widziałem wtedy, w pierwsze i następne dni Powstania Warszawskiego. Pamięć jest mechanizmem selektywnym, w dobrym sensie tego słowa. Zapomina się bowiem o małych, nieważnych sprawach, ale wszelkie wydarzenia zatrzymuje w pamięci na długo. Opisałem wyłącznie swoje osobiste doświadczenia i przeżycia. Nie ma ani jednej sceny czy zdarzenia, w których bym nie uczestniczył. A jednak to tylko część wydarzeń i przeżyć z wielkiego bagażu wspomnień z powstania. Nie ma tu świadectwa woli, uporów i męstwa. Pomijam sens polityczny tak dzisiaj widoczny. W tych kalekich zdaniach pragnę odtworzyć klimat powstania widzianego oczyma trzynastolatka. Uczucie strachu, przerażenia i zagubienia wobec potwornej nawały wypadków biegnących jak w koszmarnym śnie, wbrew naszej woli, chęci, ku nieznanemu, straszному końcowi. Myślę, że smak grozy, męki i koszmaru, jakich przyszło mi zaznać, uda mi się przekazać tym, którym

los szczęśliwy poznania tego oszczędził. Będą to dziecinne spostrzeżenia, ówczesny zasób wiedzy, sposób obserwacji i rozumowania może sprawić wrażenie, że jest to wypracowanie ze szkolnego zeszytu. Wszyscy wiemy, że Powstanie Warszawskie było narodową tragedią, że okazało się grobem setek tysięcy ludzi, w tym mojej rodziny, sąsiadów, koleżanek i kolegów z klasy i podwórka. Powstanie ma już swoją bibliografię. W ciągu minionych lat zajmowały się nim kolejno wszystkie gatunki piśmiennicze. Pisząc te moje wspomnienia, trudno więc na dobrą sprawę odnaleźć coś nowego, jeszcze nieznanego.

Mieszkałem przy ulicy Przyrynek 13, uliczka staromiejska wybrukowana kocimi łbami, cicha i spokojna. Po stronie numerów parzystych, od ulicy Kościelnej do ślepej uliczki Samborskiej, to ogrodzenie kościoła Najświętszej Marii Panny, w którym służyłem do mszy, i budynku „domu starców”. Kościół z czerwoną kwadratową wieżą to najstarsza świątynia naszej stolicy. Sięga on czasów bitwy pod Grunwaldem. Wzniesiony został przez Annę Jagiellonkę w 1411 roku dla upamiętnienia tego zwycięstwa. Cała ulica Przyrynek posiadała 15 posesji, kończyła się na ulicy Wójtowskiej. Wzdłuż ulicy Wójtowskiej przebiegało ogrodzenie Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych (PWPW). Tyle co do topografii mojego dzieciństwa.

Okupacyjne wakacje spędzaliśmy na podwórku, organizując różne zabawy: w chowanego, berka, komórki do wynajęcia, gry w klipę czy palanta. Dziewczyny skakały w klasę, grały w dwa ognie lub zbijanego. Chodziliśmy także kąpać się w Wiśle.

Był wtorek 1 sierpnia 1944 roku, całą zgrają z podwórka szliśmy Wisłostradą na kąpielisko, na przystań „Salomona”, tak nazywał się jej opiekun. Była to przystań pływająca należąca do PWPW, zakotwiczona za mostem Gdańskim. Między mostami Kierbedzia i Gdańskim do Wisły nie wolno się było zbliżać. Po drodze wyprzedziły nas dwie „budy”, tak nazywano niemieckie samochody ciężarowe. Wieziono w nich mężczyzn, ktoś powiedział, że z łapanki. Samochody zatrzymywały się przed mostem Gdańskim. Głośne *Alles raus, schnell, schnell* wykrzykiwane przez uzbrojonych Niemców z eskorty zmuszało przywiezionych cywilów do wchodzenia na nasyp – wał przed mostem, wprost na gniazdo dwóch dział przeciwlotniczych. Działa te miały bronić mostów w przypadku nalotu alianckich samolotów. Obsługa tych dział, oparta o balustradę otaczającą działa, spokojnie, z zaciekawieniem przyglądała się temu. Idący od strony mostu mężczyzna

w długim płaszczu zagroził nam drogę. Gdzie mieszkanie – zapytał. – Tu? – wskazał ręką w stronę ulicy Rybaki – czy tam?, wskazał w kierunku Żoliborza. Co pana to obchodzi, zapytał któryś z naszych i omijając go, dodał: – idziemy się kąpać. Mężczyzna odpiął płaszcz i chwycił pistolet maszynowy, który pod płaszczem wisiał na pasie na szyi. – Do domu smarkacze!, rozkazał. Widząc broń, zwątpiliśmy przez chwilę, w milczeniu zawróciliśmy. Ale do domu nie poszliśmy. W tym miejscu do Wisłostrady przylegał park otaczający Fort Legionów. Jakby wyczuwając, że coś się będzie działo, w alejce usiedliśmy na ławce. Od strony mostu rozlegały się strzały, serie z broni maszynowej. To nie byli ludzie z łapanki i prawdziwi Niemcy ich eskortujący, to był atak w celu zdobycia dział. Po chwili działa przyczepione były do samochodów, które wraz z atakującymi odjechały w kierunku mostu Kierbedzia. Zrezygnowaliśmy z kąpieli i szybko wróciliśmy na podwórko. Byliśmy bardzo podnieceni tym, co widzieliśmy, jeden przez drugiego opowiadaliśmy, jak fortem odebrano Niemcom działa. Tego dnia było słyhać odległe strzały pojedyncze i serie z broni maszynowej. Nikt nie wiedział, co się dzieje. Sąsiedzi zebrani na podwórku różnie to komentowali. Co znaczy ta strzelanina, wyjaśniło młode małżeństwo, Krysia i Marian Krawczykowie. Właśnie wyszli z mieszkania. Krysia ubrana w szary harcerski mundurek z wiszącą na ramieniu dużą zieloną torbą, na której widniał czerwony krzyż. Marian na marynarce miał zapięty pas, a przy pasie pistolet. Na ich widok wszyscy zaniemówili. Pierwszy odezwał się Maniuś. Tak do niego zwracaliśmy się wszyscy, nawet i my, mimo że był od nas dużo starszy. „Ludzie, cieszcie się: wolność, powstanie!”, radośnie krzyczał. Na podwórku zapanowała wielka radość, niektórzy się ścisnęli, a kobiety miały nawet łzy w oczach. Małżeństwo wszyscy otoczyli kołem. Ja właściwie nie zdawałem sobie sprawy, co to znaczy, jakie będą tego konsekwencje. Wypadki potoczyły się błyskawicznie! Przy bramach domu zawieszono biało-czerwone flagi. Dusza rosła, pierś rozpierała radość. Pięknie wyglądała ulica, na całej długości powiewały flagi. Po tylu latach znów biało-czerwone. Myślałem, że to koniec okupacji. Ale to był piękny sen, niedługo nastąpiło przebudzenie i zapodział się gdzieś radosny nastrój.

Nazajutrz dzień wstał pochmurny, siąpił przelotnie deszczyk. Około 11.00 powstańcy przypuścili atak na Państwową Wytwórnę Papierów Wartościowych. Główny atak szedł z ulicy Zakroczymskiej na boczną bramę. Ulica Wójtowska cała była pod ostrzałem niemieckim z okien Wytwórni.

Na naszej ulicy kilku powstańców zawołało mieszkańców z pobliskich domów, by głośno wołali „hura!”, kiedy oni po drabinach pokonywać będą ogrodzenie. Będąc już po drugiej stronie ogrodzenia, zaatakowali Niemców od środka. Atak z dwóch stron zakończył się sukcesem powstańców. Wzięto jeńców, zdobyto broń, amunicję, mundury i żywność. Całą żywność powstańcy zarekwirowali dla wojska. Były to nieduże zapasy, między innymi były tam suchary, suszone płatki ziemniaczane, czekolada, cukier w kostkach. Był też tytoń. Czekolada była w dużych płatach 40/40 cm i grubości 4 cm. Była twarda i gorzka. W jednym kartonie było 5 takich płyt. Uprosiłem jeden taki karton. Był ciężki, nie mogłem go unieść, przywiązałem do niego drut i ciągnąc go po chodniku, przyholowałem do domu. Pobiegłem jeszcze raz, dostałem całą teczkę batonów czekoladowych. Były nadziewane jakąś masą, która mi nie smakowała. Zjadłem tylko czekoladę, a nadzienie odkładałem na ciężkie czasy, które niebawem nadeszły. Tytoń były to całe liście prasowane, pakowane w płaskich workach, które wyglądały jak sienniki wypchane słomą. Raj dla palaczy: kroili je na deseczkach i skręcone w papier palili. Ulica Rybaki biegła równoległe do mojej ulicy, tylko poniżej skarpy na poziomie autostrady. Była tam szkoła, do której chodziłem. Kwaterowali w niej własowcy. Od rana powstańcy przygotowywali się do zdobycia szkoły. Przez podwórka domów przy ulicy Samborskiej z kolegą zeszliśmy ze skarpy na poziom ulicy Rybaki, doszliśmy do domu stojącego prawie naprzeciw szkoły i przez szparę w płocie obserwowaliśmy całą akcję. Powstańcy przeskoczyli ulicę, pod ścianą szkoły przez okno piwnicy wrzucali granaty. Potem przez nie weszli do środka. Po chwili otworzyło się główne wejście, kilku powstańców wbiegło przez nie do środka. Kolega trącił mnie w łokieć i szepnął: lecimy! Przebiegliśmy ulicę, parę schodów i już byliśmy wewnątrz. Panowała zupełna cisza, żadnych strzałów, krzyków. Własowcy przez boisko i Wisłostradę uciekli nad Wisłę. Kolega biegł po schodach do góry, ja za nim. Nie miałem pojęcia po co, ale biegłem. Wpadliśmy na strych, kolega powiedział, że może znajdziemy tu jakąś broń. Na strychu leżał wysoki stos mundurów, więcej nic nie było. Wtem zza tego stosu mundurów z podniesionymi rękoma wyszło dwóch własowców. Własowcy to oddział dowodzony przez Andrzeja Własowa, generała radzieckiego, który zdradził swój kraj i przeszedł na stronę Niemiec. Oddziały te odznaczały się szczególnym okrucieństwem w służbie SS i gestapo. Byli bez butów, w spodniach i w koszulach. Wyglądali na bardzo wystraszonych. Właściwie nie wiem, kto był bardziej wystraszony: my

czy oni... Powtarzali stale: *ne strelać, ne strelać*. Gdzie broń?, zapytał kolega. Jeden wskazał ręką miejsce, gdzie dach schodził się z podłogą. Był tam jeden pistolet parabellum. Dumni i bladzi wyprowadziliśmy jeńców ze szkoły. W pierwszych dniach powstania samoloty niemieckie latały dość wysoko i nie bombardowały. Natomiast Starówkę zaczęła nękać artyleria. Pociski spadały nieoczekiwanie w różne miejsca. Na torach obwodnicy kolejowej, łączącej Dworzec Gdański z elektrownią na Powiślu, Niemcy ustawili zestaw wagonów artylerii kolejowej. Stał on przy Forcie Legionów. Lufa tej armaty była dłuższa od wagonu. Kilka pocisków trafiło w domy stojące obok naszego. To były pierwsze wybuchy obok naszego domu. Wielka panika, strach, krzyki. Trafione domy zawaliły się do piwnicy. Pierwsi zabici obok nas. W całym naszym domu wyleciały szyby, cegły, gruz. Dachówki zasypały podwórko. W domach, w które trafiły pociski – tragedie, dużo zabitych. Między nimi moi koledzy i ich rodzice. Pojawiły się pierwsze mogiły na skwerach i trawnikach. Zaczęło się robić niebezpiecznie. Moi rodzice postanowili przenieść się na drugą stronę ulicy do „domu starców”. Gościnnie ulokowaliśmy się w piwnicy jednopiętrowego małego domu, willi. Dom ten stał blisko kościoła, tak że w razie większego zagrożenia to schowamy się w jego podziemie. Z tatą przynieśliśmy tapczan, trochę ciuchów, koce i naczynia do gotowania. Całymi dniami bez przerwy słyhać było strzelaninę, wybuchy granatów i potężne detonacje pocisków „grubej Berty”, tak nazywano działko kolejowe. Pociski te przelatywały nad nami bardzo nisko i głośno furgotały, ale nigdy nie mogłem ich dostrzec. Do „grubej Berty” dołączyła jeszcze kanonierka pływająca po Wiśle. Zakotwiczyła naprzeciwko ulicy Kościelnej, strzelała wzdłuż ulicy i w sąsiednie. Niebezpiecznie było wychodzić z piwnicy, ale i strach było w niej przebywać. Jeden pocisk trafił w sąsiedni parterowy domek po drugiej stronie podwórka, 20 metrów od naszego. Zmiotł cały, zostały fundament i odkryta piwnica bez stropu. Później ktoś wstawił w dół drabinę i to była nasza ubikacja z uwagi na to, że inne nie były czynne z braku wody. Była trochę niebezpieczna, nic nie chroniło przed odłamkami i zabłąkaną kulą. Pewnego dnia Tadek wbiegł do piwnicy, wołając: Chodźcie zobaczyć, jak się pali nasz dom! Mama głęboko westchnęła, nie poszła. Ja z tatą pobiegliśmy. Z okien naszego domu tańczyły długie języki ognia. Palił się nasz dobytek i moja hulajnoga na łóżyskach, którą sam sobie zrobiłem. Dom palił się w samotności, na podwórku nie było nikogo, tylko my dwaj, tata i ja. Wszyscy mieszkańcy już dawno przenieśli się w bardziej bez-

pieczne miejsca. Smutny to widok, słychać było tylko trzask płonącego drewna. Wydawało mi się, że to on skarżył się na swój los i żegnał się z nami. Gdzie teraz będziemy mieszkać, jak powstanie się skończy? – głośno pomyślałem. Tata pokiwał głową, chwilę milczał, potem powiedział: Tylko jak ono się skończy? Nie rozumiałem taty. Jak ma się skończyć? – wygramy, zwyciężymy. Front był już blisko.

Charakterystyczne punkty na mapie Warszawy z okresu Powstania Warszawskiego

Barykady: Bracka przy Żurawiej, Krucza róg Żurawiej (z obu stron), Marszałkowska róg Żurawiej, Marszałkowska za Żurawią (rozbita), Żurawia u wylotu na pl. Trzech Krzyży, Żurawia 6, Żurawia za Kruczą, Żurawia 22.

Żurawia 2 – kuchnia dla uciekinierów i pogorzalców.

Żurawia 3 – zorganizowana od 2 VIII 1944 roku kuchnia społeczna i punkt dożywiania ludności ubogiej. Składnica materiałów aptecznych.

Kamienica nr 4 – szpital zorganizowany przez harcerzy, po zbombardowaniu przestał istnieć. W piwnicach mieściła się centrala telefoniczna „Sokoła”.

Żurawia 4A – szpital dla ciężko rannych; gdy w budynek trafił pocisk, placówkę ewakuowano na Nowogrodzką 7.

Żurawia 6 – siedziba redakcji „Wiadomości Radiowych” – lokalnego pisma wydawanego przez oddział „Sokół” i Komitet Obywatelski. Był tu szpitalik, a także rusznikarnia. W laboratorium nazywanym „lokałem rozrywkowym” produkowano granaty i butelki zapalające. W drugim podwórzu trzymano kozę.

Kamienica nr 11 m. 16 – we wrześniu siedziba redakcji „Robotnika”, pisma PPS-WRN.

Żurawia 12 – kuchnia społeczna i punkt dożywiania ubogiej ludności.

Żurawia 13 – kuchnia zorganizowana dla uciekinierów i pogorzalców.

Żurawia 15 – kuchnia społeczna i punkt dożywiania ubogiej ludności.

Żurawia 16 m. 4 – kwatera ppor. „Bełta”, który praktycznie od podstaw organizował swój oddział. W sąsiedniej kamienicy pod nr 18 znajdował się punkt werbunkowy.

Żurawia 17 – kuchnia pracownicza, głównie dla ewakuowanych (wejście od Kruczej 36).

Żurawia 19 – punkt sanitarny, w budynku pod nr 20 przyjmował internista dr Waław Zaremba.

Żurawia 28 – dr Jan Roguski w swoim mieszkaniu udzielał pomocy chorym i rannym.

Żurawia 29 – punkt medyczny; w kamienicy nr 30 – kuchnia RGO (Rada Główna Opiekuńcza).

Żurawia 31 – punkt sanitarny przekształcony potem w szpital. Był tu oddział dla chorych na gruźlicę, którym kierował dr Michał Białokoz. Pacjentów leczyła też dr Apolonia Karaś-Brzozowska i dr Mozołowska.

Kamienica nr 34 – drukarnia „Robotnika”, centralnego organu PPS-Lewicy (14 września do 1 października).

Studnie: Żurawia 6, 10, 21.

Ujęcia wodne: Żurawia 7, 8, 24, 29.

Najważniejsze pojęcia

w tym także wyrażenia z KL Auschwitz-Birkenau

Arbeitsamt – urząd pracy w nazistowskiej administracji zajmujący się sprawami zatrudnienia. Na terenach okupowanych ziem polskich urzędy te zajmowały się głównie egzekwowaniem narzuconego Polakom przymusu pracy, najczęściej poprzez wysyłkę na roboty do Rzeszy. Czyniły to też urzędy z terenów włączonych do Rzeszy, o dużym odsetku ludności polskiej (np. Warthegau).

„Baszta” – zgrupowanie pułku „Baszta”, oddziału AK walczącego w powstaniu na Mokotowie, którego kryptonim pochodzi od zwrotu „batalion ochrony sztabowej”. Pułk „Baszta” stanowił główną siłę zgrupowania, w którego skład wchodziły również pułki „Waligóra” i „Szwolężerów” oraz dywizjon „Jeleń” wraz z grupą artyleryjską „Granat”.

BIP – Biuro Informacji i Propagandy Komendy Głównej ZWZ-AK (jako VI Oddział). Oddział utworzony na przełomie marca i kwietnia 1940 roku. Do jego zadań należało m.in. informowanie polskiego społeczeństwa o działalności polskiego rządu w Londynie, dokumentowanie działań okupanta czy walka psychologiczna z niemiecką propagandą. BIP wydawał pisma: „Biuletyn Informacyjny”, „Werble Wolności”, „Wiadomości Polskie” i „Insurekcję”. Oddział odpowiedzialny był również za uruchamianie konspiracyjnych radiostacji. Tylko w powstaniu działało 5 niezależnych rozgłośni radiowych Polskiego Państwa Podziemnego, w tym słynna „Błyskawica” oraz „Burza”.

Bibuła – ogólnie nazwa dot. wydawnictw podziemnych funkcjonujących w krajach kontrolujących swój rynek prasy poprzez cenzurę. W okresie okupacji były to wydawnictwa konspiracyjne – głównie prasa – kolportowane w zasadzie metodą „z ręki do ręki”.

„Błyskawica” – stacja nadawcza Armii Krajowej podczas Powstania Warszawskiego. Swe audycje emitowała od 8 sierpnia do 4 października

1944 roku. Nazwa była wyraźnym ukłonem w stronę polskiego niszczyciela *Błyskawica*, który jako jedyny bojowy aliancki okręt aktywnie uczestniczył w działaniach przez cały okres II wojny światowej. Nadajnik o mocy 200 watów (w powstaniu zasilany z generatorów prądu) zbudowali w 1943 roku w Częstochowie krótkofalowcy Antoni Zębik („Biegły”) i Bolesław Drożdż. Stacja miała bardzo duży zasięg obejmujący całą Europę, a jej sygnał sięgał nawet USA. Zaciekle tropiona i zwalczana przez Niemców musiała kilkakrotnie zmieniać miejsce nadawania. Obsługiwała dwa niezależne programy: 1/Biura Informacji i Propagandy AK oraz 2/Polskiego Radia, które nadawało również w języku angielskim.

Bojowe Szkoły (BS) – spośród Szarych Szeregów należeli do nich harcerze w wieku od 15 do 17 lat. Drużyny BS pełniły służbę w małym sabotażu będącym akcją propagandową skierowaną do Polaków. W Warszawie harcerski „Wawer” połączył się z podobną (nieharcerską) organizacją o nazwie „Palmiry” i wspólnie jako „Wawer–Palmiry” pełnił służbę w Szarych Szeregach. Spektakularne i bardziej znane działania to: napisy na murach, rozlepianie afiszy, rozdawanie ulotek, kolportaż fikcyjnych dodatków do gadzinówek, zrywanie flag czy jedna z najsłynniejszych akcji – odkręcenie niemieckich tablic z pomnika Mikołaja Kopernika. BS prowadziły też akcję „N” – destrukcyjną akcją propagandową skierowaną do Niemców. Uczestniczyły w akcji WISS (Wywiad – Informacja Szarych Szeregów), obserwując ruchy wojsk. BS-y przechodziły przeszkolenie wojskowe, dzięki czemu w powstaniu walczyły z Niemcami w Śródmieściu jako kompania, a w innych dzielnicach jako plutony piechoty.

„Broda 53” – kryptonim walczącego w powstaniu oddziału pochodził od nazwy „Brygada Dywersyjna”. Jednostka podlegała Kedywowi AK, a jej załączkiem był inny oddział noszący wiosną 1944 roku miano „Deska 81”. Podczas powstania dowodził nią kpt. Jan Kajus Andrzejewski („Jan”), a po jego śmierci 31 sierpnia 1944 roku słynny Ryszard Białous „Jerzy”. Oddział wchodził w skład zgrupowania „Radosław”, walczył na Woli, Starej Wsi i Czerniakowie.

„Czata 49” – kryptonim oddziału walczącego w powstaniu w ramach zgrupowania „Radosław”. Swoją akowski rodowód wywodzi od powstałej w 1942 roku Centrali Zaopatrzenia Terenu (CZT) o liczbowym kryptonimie z Komendy Głównej „49”. Centrala miała zaopatrywać Kedywy poszczególnych Okręgów AK, m.in. na Kresach. Sam batalion „Czata 49” utwo-

rzono z personelu Centrali, IV Oddziału Komendy Głównej, żołnierzy 27. Wołyńskiej DP oraz cichociemnych oczekujących w stolicy na przydział.

ersatz – popularne w okupowanej Polsce określenie „namiastek” żywnościowych. Braki żywnościowe dotyczyły większość polskiego społeczeństwa, powodując konieczność sięgania po artykuły zastępcze: sacharyna zastępowała cukier, kawę parzono ze zbóż lub żołądzi, herbatę z obierek lub mieszanek ziołowych, wreszcie gotowane ziemniaki zastępowały jajka. Modne dziś ciasto marchewkowe w tamtych latach było koniecznością, bo mąka była trudno dostępna.

filipinka (czasem nazywana też ET-40, perełką lub wańką) – w odróżnieniu od sidolówki produkowana była wyłącznie w Warszawie jako ręczny granat zaczepny konstrukcji Edwarda Tymoszaka (okupacyjne nazwisko Filip Tarło, pseud. „Filip” lub „Chmielnicki”). Nazwę filipinka zaczerpnięto od pseudonimu konstruktora, wańka zaś miała sugerować radzieckie pochodzenie granatu, bo od połowy 1941 roku Sowieci stosowali oznakowanie DUG (ДУГ – *diesantnaja udarnaja granata*). Granat wypełniany był konspiracyjnie wytwarzanym szedytem (na bazie chloranu potasu) wzbogacającym sproszkowanym trotylem lub plastikiem. Początkowo filipinkę produkowano w mieszkaniu konstruktora w Rembertowie, później w byłej szkole przy Królewskiej. Łącznie wytworzono 240 000 sztuk.

funkcyjni w KL Auschwitz – więźniowie desygnowani przez obozowe władze do wykonywania różnych prac w aparacie administracyjnym i sprawowania bezpośredniego nadzoru nad innymi więźniami w bloku lub w roboczych komandach. Na szczeblu obozowym byli to:

– Lagerältester – starszy obozu, najstarszy funkcyjny więzień, wyłącznie Niemiec,

– Lagerkapo – jego zastępca, tylko Niemiec,

– Lagerschreiber – pisarz obozowy kierujący kancelarią,

– Laüfer – goniec.

Na szczeblu bloku:

– Blockälteste (blokowy) – najstarszy więzień funkcyjny na bloku, dbał o porządek, nadzorował wydawanie jedzenia, paczek itp. Był odpowiedzialny za zgodność stanu na apelu. Inne dorywcze zajęcia: poszukiwanie zbiegłych więźniów (w obrębie wielkiej postenketty), wymierzanie kar cielesnych przy oficjalnych egzekucjach itp.,

– Blockschreiber, Schreiber – pisarz blokowy,

– Stubendienst – sztabowy, izbowy, członek więziarskiej służby porządkowej na bloku, zajmował się utrzymaniem porządku w sztabie, czyli w baraku mieszkalnym,

– Kostverteiler – więzień rozdzielający żywność na bloku.

Na szczeblu komanda:

– Kapo – nadzorował grupy robocze więźniów,

– Oberkapo – naczelną kapo komanda złożonego z kilku grup roboczych,

– Unterkapo (Kapo), Hilfskapo – pomocnik kapo nadzorujący wydzieloną grupę roboczą,

– Vorarbeiter – starszy więzień w grupie roboczej (komandzie).

gadzinówka (również pismo gadzinowe, gadzinowiec, szmata, szmatławiec i Ścierwoniak) – określenia nadawane polskojęzycznej prasie wprowadzonej przez okupantów (1939–1945) w miejsce przedwojennych polskich gazet. Do najbardziej znanych tytułów należały „Nowy Kurier Warszawski” czy „Goniec Codzienny”. Początek określeniu dała gazeta „Godzina Polski” wychodząca w latach 1915–1918 na terenie Warszawy i Łodzi, a wydawana przez proniemieckiego „króla prasy” ze Śląska Adama Napieralskiego. Gazeta ta w Warszawie była nazywana „Gadziną Polską”, a potem skrótowo gadzinówką.

goliat – niemiecka „mina”. Podczas Powstania Warszawskiego Niemcy używali wielu prototypowych i niekonwencjonalnych broni. Do niszczenia miasta stosowano najcięższe moździerz Karl-Gerät kalibru 600 mm lub rakiety z napalmem, a do walki bezpośredniej wykorzystywano zdalnie sterowane miny „Goliath”. Był to lekko opancerzony (ochrona przed ogniem ckm) samobieżny pojazd gaśnicowy. W przedniej części znajdował się ładunek wybuchowy, pośrodku napęd, a z tyłu umieszczano bęben z trójżyłowym telefonicznym kablem sterującym, we właściwym momencie detonującym **ładunek**. Goliaty wykorzystywano dość rzadko z uwagi na kosztowną produkcję. Niemcy stosowali je m.in. w Sewastopolu, w walkach pod Anzio (Włochy) i nagminnie w Powstaniu Warszawskim. Bardzo efektywnie użyto ich też podczas obrony Wrocławia w 1945 roku.

gołębiarze – niemieccy strzelcy wyborowi „polujący” z dachów domów nie tylko na walczących, ale i na ludność cywilną. Określenie ma swe źródło w warszawskiej gwarze, która w ten sposób nazywała złodziei kradnących ubrania i bieliznę suszącą się na strychach i dachach domów. Przyłapani na gorącym uczynku tłumaczyli, że przyszli obejrzyć lub nakarmić

gołębie. Podczas powstania miejsce złodziei zajęli niemieccy strzelcy wyborowi.

granatowi (granatowa policja) – potoczna nazwa Policji Polskiej Generalnego Gubernatorstwa funkcjonującej w latach okupacji 1939–1945. Była to policja komunalna podporządkowana niemieckiej policji porządkowej (tzw. Orpo – Ordnungspolizei). Granatowi uczestniczyli m.in. w deportacjach ludności, zwalczaniu czarnego rynku, izolowaniu Żydów w gettach, a przede wszystkim w utrzymywaniu porządku na terenie miast i wsi. Część granatowych należała do konspiracji, przekazywała informacje na temat działań służb niemieckich.

Grupy Szturmowe (GS) – spośród Szarych Szeregów należała do nich osiemnastoletnia młodzież. GS podporządkowane były Kedywowi, pełniąc służbę w tzw. wielkiej dywersji. W sierpniu 1943 roku utworzono z nich batalion „Zośka”, którego trzecia kompania została wydzielona do zadań specjalnych, „Agat” (później „Pegaz”). Wiosną 1944 roku powstał z niej batalion „Parasol”. Grupy Szturmowe wysadzały mosty, dokonywały zamachów, odbijały więźniów pod Arsenalem. Z ich ręki zginął m.in. Kutschera. Prowadziły Szkołę Podchorążych Rezerwy Piechoty „Agricola”. W Powstaniu Warszawskim walczyły wszędzie, choćby jako zwarte jednostki bataliony „Zośka”, „Parasol” i „Wigry”. Ponościły znaczne straty dochodzące niejednokrotnie do 80 procent stanu. Komenda Główna nazwała kompanię „Rudy” z batalionu „Zośka” najlepszą kompanią Armii Krajowej.

Häftling – w języku niemieckim określenie więźnia.

Himmelskommando – brygada niebios, potoczna nazwa Sonderkomanda obsługującego krematorium w KL Auschwitz II Birkenau. Więźniowie ci z góry skazani byli na zagładę.

holenderki (czołna, dłubaki, kaszuby, trepy) – więźniarskie buty wykonane z drewna.

Jugendlicher Block – blok młodzieżowy, zamieszkiwali go więźniowie w wieku do 17 lat.

„Kanada” – obozowy kompleks magazynów z mieniem odebranych więźniom przywiezionym na zagładę (głównie Żydom). Przedmioty te przeglądano, sortowano, pakowano i wysyłano do Rzeszy. Przedmioty wartościowe (złoto, dewizy, kamienie szlachetne itp. przesyłano do Banku III Rzeszy. Największy kompleks (30 baraków) tzw. Kanady II powstał w grudniu 1943 roku w pobliżu komory gazowej i krematorium IV na terenie Birkenau. Z uwagi na ogrom zagrabionych rzeczy przechowywano je

nie tylko na terenie „Kanady” I i II, ale i w innych barakach, a także poza terenem obozu, np. w nieczynnej fabryce samochodów czy w walcowni.

kanal – warszawskie kanały kanalizacyjne miały kształt odwróconego jaja. Wykonane z cegły lub rur krzemionkowych, w zależności od przekroju podzielone były na 11 klas. Najmniejszy z kanałów miał wymiary 60 x 90 cm, największy zaś 160 x 210 cm. Podczas powstania używano ich do łączności, transportu broni i amunicji, a także do ewakuacji żołnierzy oraz ludności cywilnej. Pierwsze przejście kanałami między Starówką a Śródmieściem odbyło się 10 sierpnia. Wkrótce udało się ułożyć w nich kabel telefoniczny. W rozpoznaniu podziemnych tras pomagali pracownicy Dyrekcji Wodociągów i Kanalizacji, a także nieliczni Żydzi, którzy przeżyli dzięki ukrywaniu się w kanałach podczas powstania w getcie i jego likwidacji.

karbidówka – w żargonie zwana też karbidką. Popularna lampa typu gazowego, w której jako paliwa używano acetylenu otrzymanego z reakcji chemicznej zachodzącej podczas łączenia (w zbiorniku lampy) karbidu z wodą.

karna kompania (Strafkompanie – SK) – męska karna kompania została utworzona w Auschwitz w sierpniu 1940 roku. Osadzenie w niej często kończyło się śmiercią, dlatego uważano, iż był to jeden z najsurowszych środków represyjnych. Powodami skierowania do karnej kompanii były m.in. kontakty z ludnością cywilną, próba ucieczki, posiadanie dodatkowej żywności, odzieży lub też zbyt powolna (w ocenie esesmana czy kapo) praca.

kary w KL Auschwitz – obozowe kary były dwojakiego rodzaju: regulaminowe lub doraźne. Regulaminowe orzekane były pisemnie przez obozowe władze. Do najczęściej stosowanych należały: chłosta, osadzenie w celach bloku 11, tzw. słupek czy skierowanie do karnej kompanii, ewentualnie dodatkowa praca. Kary doraźne zarządzane były niezwłocznie po „stwierdzeniu faktu winy” i polegały na brutalnym biciu, kopaniu lub zarządzeniu tzw. sportu.

Kedyw – Kierownictwo Dywersji Komendy Głównej Armii Krajowej. Dział AK zajmujący się organizacją i przeprowadzaniem akcji bojowych, zamachów, sabotażu oraz dywersji wymierzonych w okupanta. Formowanie Kedywu rozpoczęło się jesienią 1942 roku, kiedy dowództwo AK zamierzało uporządkować działalność dywersyjną Związku Odwetu (ZO) i wydzielonej organizacji dywersyjnej „Wachlarz”. Powstałe wówczas w KG AK Kierownictwo Dywersji (listopad 1942 rok) wiodło prym w tych

kwestiach już do końca okupacji. Powstałe po tym okresie oddziały Kedywu walczyły w Powstaniu Warszawskim w ramach zgrupowania „Radosław”, a bataliony „Zośka”, „Parasol” „Broda 53” czy „Wigry” zasłynęły bitnością i nieustępliwością.

KL – skrót od niemieckiej nazwy Konzentrationslager (obóz koncentracyjny). Miejsce, w którym gromadzono i przetrzymywano dużą liczbę ludzi uznanych przez władze za niewygodnych. Miały służyć różnym celom: jako miejsce odosobnienia na czas podejmowania decyzji (np. Żabikowo pod Poznaniem), jako obóz przymusowej niewolniczej pracy (głównie podobozы KL, np. Gross-Rosen, Monowitz, Dachau), aż po miejsce fizycznej eksterminacji zgromadzonych (Auschwitz II – Birkenau dla Żydów). Często (zwłaszcza po wojnie u byłych więźniów) funkcjonowała też nazwa kacet.

koktajl Mołotowa – butelka zapalająca powszechnie używana podczas walk w czasie Powstania Warszawskiego; rodzaj ręcznego granatu zapalającego w szklanej butelce wypełnionej łatwopalną cieczą. Nazwa wprawdzie nawiązuje do postaci ministra spraw zagranicznych ZSRR Wiaczesława Mołotowa, lecz do dziś jej pochodzenie pozostaje niepewne. Dość powszechnie jej wynalezienie przypisuje się żołnierzom fińskim masowo używającym „koktajli” do zwalczania radzieckich czołgów w latach 1939–1940.

komando – grupa więźniów wyznaczona do wykonywania określonej pracy (Arbeitskommando) pod nadzorem esesmana pełniącego funkcję Kommandoführera.

komora gazowa – po udanej próbie zagazowania cyklonem B więźniów w bloku 11 powstała pierwsza komora gazowa. Uruchomiono ją jesienią 1941 roku w zaadaptowanej kostnicy krematorium I w Auschwitz. Ostatnie zagazowanie w tym miejscu odbyło się w grudniu 1942 roku. Od wiosny 1942 (Czerwony Domek) i latem 1942 (Biały Domek) użytkowano dwie prowizoryczne komory w Birkenau. Od wiosny 1943 roku uruchamiano w Birkenau kolejno komory gazowe wraz z krematoriami II, III, IV i V. Komora gazowa IV uległa zniszczeniu podczas buntu Sonderkommanda w październiku 1944 roku. Pozostałe częściowo rozebrano w listopadzie 1944 roku. Wysadzono je w powietrze w styczniu 1945 roku. Ocalał jedynie budynek komory gazowej I w starym obozie.

Korpus Bezpieczeństwa (KB) – organizacja konspiracyjna działająca od końca 1943 roku, głównie na terenie GG. Początkowo podlegała Armii

Krajowej, jednak w lipcu 1944 roku uznała Krajową Radę Narodową (KRN) i Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego (PKWN), diametralnie zmieniając polityczny front. Oddziały KB (lub wywodzące się z niego jednostki) uczestniczyły w Powstaniu Warszawskim, jak choćby batalion szturmowy „Nałęcz” dowodzony przez Stefana Kaniewskiego.

krematorium – od połowy sierpnia 1940 roku istniało w Auschwitz krematorium do palenia ciał. Krematoria w Birkenau powstawały wraz z komorami gazowymi (patrz komora gazowa). Do dziś zachował się jedynie budynek krematorium I, który w 1944 roku pełnił funkcję magazynu i schronu przeciwlotniczego.

kwarantanna – czasowe odosobnienie więźniów. Rozróżniano jej dwa rodzaje: tzw. wejściową (dla nowo przybyłych do obozu) i wyjściową (dla zwalnianych lub przenoszonych do innych obozów). Kwarantanna wejściowa formalnie miała na celu wyszukanie i odizolowanie zakaźnie chorych, faktycznie miała nowo przybyłych sterroryzować. Kwarantanna wyjściowa miała na celu poprawę ich kondycji. Mieli odzyskać siły i przybrać na wadze, gdyż zwalniano z obozu jedynie zdrowych. Kwarantannie wyjściowej nie podlegali więźniowie przenoszeni w głąb Rzeszy w transportach liczących od kilkuset osób do kilku tysięcy.

Lagersperre – zakaz poruszania się po obozie.

Lagersprache – język obozowy, żargon mający na celu umożliwienie porozumiewania się więźniom mówiącym np. w Auschwitz ponad 20 językami. Żargon zawierał głównie elementy języka niemieckiego i powstawał w każdym nazistowskim obozie, obejmując całą specyfikę danego miejsca. Na przykład w Gross-Rosen zawierał elementy charakterystyczne dla pracy w kamieniołomie. Tworzony był też przez wszystkie więzione w obozach nacje.

Landwirtschaftskommando – grupa robocza pracująca w obozowym gospodarstwie rolnym.

lasek – przestrzeń w pobliżu krematoriów, przez którą przeganiano więźniów kierowanych do gazu, a także mordowano i palono zwłoki na stosach.

latryny – początkowo były to prowizoryczne sanitariaty polowe (Auschwitz I) lub wykopane rowy na zapleczu baraków (Birkenau). Później powstały na parterze każdego bloku ubikacje z pisuarami i 22 sedesami (Auschwitz), a w Birkenau istniało kilka baraków z latrynami i umywalniami. Wszystko to było kroplą w morzu potrzeb więźniarskiej rzeszy.

marsze śmierci – w dniach 17–21 stycznia 1945 roku esesmani wyprowadzili z kompleksu obozowego Auschwitz-Birkenau około 56 000 więźniów trasami wiodącymi do Wodzisławia Śląskiego i Gliwic. Zakładano wyjście tylko ludzi zdolnych do pracy, jednak sami więźniowie przyczynili się do tego (obawiano się likwidacji pozostałych na miejscu), że w kolumnach znaleźli się chorzy, wycieńczeni oraz dzieci. W drodze esesmani mordowali opadających z sił i niezdolnych do kontynuowania marszu. Ocenia się, że w trakcie tzw. marszów śmierci (jak po wojnie nazwano te więźniarskie kolumny) zginęło od 9000 do 15 000 więźniów Auschwitz.

młynarki – popularna nazwa środków płatniczych obowiązujących podczas drugiej wojny światowej w GG, wypuszczał je podporządkowany niemieckim władzom okupacyjnym Bank Emisyjny w Polsce. Młynarki zostały wycofane z obiegu w latach 1944–1945. Swą nazwę zawdzięczały nazwisku dyrektora banku Feliksowi Młynarskiemu.

muzułman – zniekształcone słowo muzułmanin. W żargonie obozowym określano tak więźnia skrajnie wycieńczonego fizycznie i psychicznie, głównie z powodu głodu. W końcowej fazie zmuzułmanienia więźniowie obojętnieli na bodźce zewnętrzne, popełniali samobójstwo (np. szli na druty), a w trakcie selekcji byli jako pierwsi wybierani na śmierć w komorach gazowych.

obóz macierzysty – pierwsza i najstarsza część obozowego kompleksu, tzw. Stammlager, czyli Auschwitz I.

Państwowy Korpus Bezpieczeństwa (PKB, określane też Polskim) – konspiracyjna formacja policyjna Delegatury Rządu na Kraj, działająca w latach 1940. Korpus miał stanowić załóżek przyszłej służby policyjnej, w terenie występował pod mianem Straży Samorządowej. Polski Korpus Bezpieczeństwa miał ujawnić się w momencie wybuchu przewidywanego powstania powszechnego.

Pawiak (jego część kobiecą zwano „Serbią”) – kompleks więzienny wzniesiony w latach 1830–1835 pomiędzy ulicami Dzielną, Pawią i Więzienną. Od ul. Pawiej wzięła się jego potoczna nazwa. Było to pierwsze nowoczesne więzienie w Warszawie. Podczas okupacji Pawiak był największym niemieckim więzieniem politycznym na terenach okupowanej Polski. Przyjmuje się, że w okresie 2 października 1939 – 21 sierpnia 1944 przez jego mury przeszło około 100 000 osób, z czego około 37 000 zamordowano, a około 60 000 w 95 transportach wywieziono do obozów koncentracyjnych, różnych innych miejsc odosobnienia i do przymusowej pracy.

Kompleks więzienny Niemcy wysadzili w czasie Powstania Warszawskiego 21 sierpnia 1944 roku.

podobóz KL – obóz filialny. W Auschwitz zakładane były od 1942 roku w pobliżu zakładów przemysłowych (kopalń, hut, także przy gospodarstwach rolno-hodowlanych) w celu dostarczania im siły roboczej. Do listopada 1943 roku podobozy podlegały bezpośrednio komendantowi KL Auschwitz. Po reorganizacji podobozy podlegały KL Auschwitz III – Monowitz, z wyłączeniem podobozów obsługujących gospodarstwa rolno-hodowlane. Te podlegały komendantowi KL Auschwitz II – Birkenau. W latach 1942–1945 funkcjonowało ponad 40 takich podobozów.

Post – wartownik, popularna nazwa w obozach koncentracyjnych.

Postenkette – kordon posterunków otaczających obozy i miejsca pracy więźniów. Kleine Postenkette (mały łańcuch straży) tworzyli esesmani na wieżach wartowniczych otaczających bezpośrednio sam obóz, natomiast Grosse Postenkette (duży łańcuch straży) obsadzany był w ciągu dnia wokół terenu, na którym pracowało najwięcej komand roboczych.

pucerka – sprzątaczką na sztubie lub bloku odpowiedzialna za porządek.

Raisko – niemiecka nazwa wsi Rajsko. Podobóz utworzony wiosną 1941 roku po wysiedleniu polskich mieszkańców. Pola zostały włączone w areal obozowego gospodarstwa rolnego SS. Od 1942 roku pracę na polach wykonywały też więźniarki, które od czerwca 1943 roku na stałe zamieszkały w podobozie. Zgrupowano je w dwóch komandach: ogrodniczym i hodowli roślin. W tym drugim więźniarki pracowały w tzw. stacji doświadczalnej, gdzie próbowano przeszczepić na europejski grunt uprawę azjatyckiej rośliny koksagiz, w której korzeniu znajdowała się substancja kauczukowa. Niemcy próbowali jej zawartość zintensyfikować, aby opłacalne stało się przemysłowe pozyskiwanie z niej kauczuku.

rampa – miejsce przywożenia i wywożenia więźniów transportem kolejowym, a także miejsce ich selekcji.

rewir – szpital obozowy. Od czerwca 1941 roku zaczęła działać tzw. izba chorych, która stała się zaczątkiem obozowego szpitala. Rozrastał się on systematycznie i ostatecznie zajmował bloki 19–21 i 28. Szpitale zostały też utworzone na terenie Birkenau oraz Monowitz. Początkowo warunki sanitarne były fatalne i dopiero groźba wybuchu epidemii tyfusu (połowa 1942 roku) je poprawiła. Najpoważniejszym zagrożeniem dla chorych stały się teraz tzw. selekcje przeprowadzane przez lekarzy SS.

Sammeltransport – transport zbiorowy.

sauna – dosłownie łaźnia. W KL Auschwitz słowo to miało wielorakie znaczenie. Sauną potocznie nazywano obozową łaźnię, głównie odnosząc się do obiektów znajdujących się na terenie Birkenau. Pierwsze dwa budynki łaźni wzniesiono w 1942 roku (Birkenau BIa i BIb) i oprócz łaźni z natryskami mieściły one też komory z urządzeniami do dezynfekcji odzieży cyklonem B, a także gorącym powietrzem czy parą wodną. W nich znajdowały się dwa pomieszczenia wyglądem przypominające klasyczną saunę, stąd prawdopodobnie wywodzi się nazwa budynków. W grudniu 1943 roku oddano do użytku kolejne obiekty z łaźnią oraz komorami dezynfekcyjnymi, które z racji wielkości nazwano centralną sauną. Oprócz nich istniały i działały mniejsze łaźnie (np. w tzw. obozie cygańskim). Głównym powodem ich wznoszenia była chęć uniknięcia epidemii, początkowo „niedocenianego” tyfusu plamistego (ze względu na zaraźliwość i śmiertelność). Esesmani uwrażliwili się na tyfus po śmierci naczelnego lekarza obozu. Uruchomienie łaźni i urządzeń dezynfekcyjnych miało wpływ na zmniejszenie się plagi wszy przenoszących tyfus, nie przyczyniło się jednak do poprawy warunków higienicznych samych więźniów. Dostęp do łaźni mieli bowiem ograniczony, czas korzystania krótki, a woda była zimna. Do łaźni doprowadzano ich nieregularnie, w ramach tzw. generalnego odwszawiania, a odzież dezynfekowano niesystematycznie. Na oddane ubrania więźniowie czekali nago (bez względu na pogodę), najczęściej na zewnątrz baraku, który w tym czasie też był dezynfekowany.

sauna centralna (zauna) – specjalny budynek, w którym odbywała się procedura przyjęć więźniów do obozu. W KL Auschwitz w budynku tym były zainstalowane również urządzenia dezynfekcyjne i dezynsekcyjne.

selekcja na rampie – od wiosny 1942 roku do obozu zaczęły docierać masowe transporty Żydów, spośród których wydzielano osoby niezdolne do pracy i mordowano je niezwłocznie w komorach gazowych.

selekcja w obozie – od pierwszych miesięcy trwania obozu pojawiały się przypadki niezdolności do pracy lub zbyt długiej rekonwalescencji chorych w obozowym szpitalu. Od lata 1941 roku problem ten zaczęto rozwiązywać radykalnie. Wyselekcjonowane osoby uśmiercano głównie poprzez wstrzykiwanie fenolu; proceder ten był różnie przez więźniów określany: oczyszczanie, odkurzanie bloków, przebieki, przeglądy, wybiórki, wykidki.

sidolówka (R-42) – to polski granat zaczepny produkowany przez AK w konspiracyjnych warunkach. Jego korpus stanowiła metalowa puszka

przypominająca opakowanie popularnego płynu „Sidel”, którym czyszczono metale. Granat wypełniony był szedytem, materiałem wybuchowym wytwarzanym w konspiracji na bazie chloranu potasu. W latach 1942–1945 w ośrodkach zlokalizowanych m.in. w Kielcach, Krakowie, Lwowie i pod Tarnowem wytworzono około 350 000 sztuk. Sidolówka była powszechnie używana przez oddziały AK przez cały okres wojny.

Sonderkommando – specjalna grupa robocza (oddział). W KL Auschwitz była to grupa złożona głównie z żydowskich więźniów wykorzystywanych do usuwania zwłok z komór gazowych, przeszukiwania ich (m.in. wyrywania złotych zębów), obcinania włosów itp., a następnie palenia w krematorium.

Stärkebuch – książka stanów dziennych obozu koncentracyjnego.

Stehzellen – cele do stania o rozmiarach 90 x 90 cm, w których karnie osadzano po 4 więźniów.

Schonung – ochrona przed pracą więźnia, który po przebytej chorobie nie doszedł jeszcze do pełni sił.

stare numery – więźniowie, którzy trafili do obozu w pierwszych transportach, przebywający w nim kilka lat. W obiegowym języku funkcjonowały też pojęcia wysokich i niskich numerów wskazujących na okres przebywania więźnia w obozie: wysokie oznaczały stosunkowo krótki pobyt, niskie długi okres pobytu.

Stawka – kierownictwo (główna kwatera) Najwyższego Naczelnego Dowództwa wojsk sowieckich (*Ставка Верховного Главнокомандования* – Stawka Wierchnowogo Gławnokomandownia). Była organem wojskowym kierującym (do 1945 roku) strategicznymi działaniami sił zbrojnych ZSRR. Utworzona decyzją Rady Komisarzy Ludowych i Komitetu Centralnego partii 23 czerwca 1941 roku. Na czele Stawki stanął ludowy komisarz obrony marszałek Siemion Timoszenko, a członkami byli: Gieorgij Żukow, Wiaczesław Mołotow, Klimient Woroszyłow, Siemion Budionny i Wasilij Kuzniecowa.

szafa (zwana też krową) – stworzona w okresie Powstania Warszawskiego polska potoczna nazwa niemieckiej wyrzutni raketowej Nebelwerferoku. Określenia odnosiły się do charakterystycznego dźwięku, jaki dobiegał podczas odpalania raketowej salwy. Była to wieloprowadnicowa wyrzutnia raketowa do prowadzenia szybkiego i zmasowanego ognia obezwładniającego cele naziemne przeciwnika. Prace nad nią prowadzono od lat 30. XX wieku. Odpalanie rakiet odbywało się elektrycznie. Zasięg był

różny i zależał od kalibru pocisku. Donośność Nebelwerfera 41 kalibru 150 mm wynosiła 3000 m przy zastosowaniu prochu dymnego oraz 6700 m przy prochu bezdymnym.

Szare Szeregi – kryptonim konspiracyjny organizacji harcerskiej, a potocznie także całego Związku Harcerstwa Polskiego (ZHP), w okresie okupacji niemieckiej. Powołane zostały 27 września 1939 roku w Warszawie przez grono członków Naczelnej Rady Harcerskiej. Współpracowały z Delegaturą Rządu RP na Kraj oraz KG AK. Stan liczebny organizacji był zmienny. Według stanu na dzień 1 maja 1944 roku wynosił 8359 harcerzy. Początkowo obejmował tylko młodzież w wieku powyżej 17 lat. Z czasem rozpiętość wieku zwiększono. Harcerstwo podzielono wówczas (najwcześniej w Warszawie – 3 listopada 1942) na 3 grupy: Zawiszaków od 12 do 14 lat, Bojowe Szkoły (BS) od 15 do 17 lat i Grupy Szturmowe (GS) powyżej 18 lat. Powszechnie nazwę Szare Szeregi przyjęto już w 1940 roku. Początkowo kryptonim funkcjonował tylko w Poznaniu. Jego geneza wiąże się z przeprowadzoną przez harcerzy akcją informacyjną, podczas której wieczorami i nocą roznoszono ulotki i wkładano je do skrzynek listowych mieszkań zasiedlonych przez rodziny niemieckie z Litwy, Łotwy i Estonii. Rodziny polskie były przymusowo wysiedlane do GG, a niemieckich przybyszów informowano o dobrowolnym opuszczeniu mieszkań przez Polaków. Ulotki, napisane w języku niemieckim i prostujące fakty, zostały podpisane inicjałami SS. Skrót ten rozwinęli w kryptonim Szare Szeregi harcmistrz dr Józef Wiza i harcmistrz Roman Łyczywek. Kryptonim szybko przyjął się w Poznaniu. Informację o przyjętej nazwie przywiózł do Warszawy podharcmistrz Witold Marcinkowski. Nazwę zaakceptowano z poleceniem wprowadzenia kryptonimu w całej podziemnej Organizacji Harcerzy ZHP.

szmalcownik – w czasie okupacji osoba szantażująca lub wymuszająca okup na ukrywających się Żydach lub pomagających im Polakach. Słowo to swój rodowód wywodzi ze złodziejskiej gwary, pośrednio od niemieckiego *Schmalz* – smalec. W polskim obiegu słowa smalec i szmal oznaczały pieniądze, co wiązało się z powiedzeniami „kto smaruje, ten jedzie” i „smarować”, czyli dawać łapówkę. Określenie „smarowanie” oznaczało łapówkarstwo. Dopiero w czasie okupacji zaczęto finansowy lub rzeczowy okup określać mianem „szmalec”, przy czym miał on ściśle żydowskie konotacje.

szmugiel – w języku potocznym oznaczał nielegalnie przewożony towar (czasem ludzi), a także przemyt, względnie potoczne określenie przedmiotu

przemytu.

szmugler (z niem. przemytnik) – człowiek uprawiający szmugiel, przemycający coś. Niezwykłym zjawiskiem w okupowanej Warszawie był czarny rynek, którego skala i charakter były niespotykane w innych okupowanych przez Niemców krajach europejskich. Pojawił się niespodziewanie i zaskakująco szybko wybił na samodzielność mimo brutalności niemieckich władz porządkowych. Przetrwał okupację, w swe tryby wciągając częstokroć samych Niemców, tak cywilnych, jak i wojskowych. Czarny rynek nie powstałby, gdyby nie postać nowego typu przedsiębiorcy – czyli szmuglera – w realiach wojny będącego dostawcą towaru.

szonungowe bloki – Schonungsblock. Jeden z zasadniczych bloków obozowego szpitala. W Auschwitz szpital wykształcił się z pierwotnej izby chorych, którą zorganizowano już w połowie czerwca 1940 roku, kilka dni po dotarciu pierwszego transportu z Tarnowa. Po jego ostatecznym ukształtowaniu się utworzono zasadnicze bloki: 19 (Schonungsblock) dla rekonwalescentów, 20 – blok zakaźny, 21 – blok chirurgiczny i 28 – blok chorób wewnętrznych.

szpilowanie – od sierpnia 1941 roku rozpoczęto eksperymentalne zabijanie poprzez dożylny wstrzykiwanie różnych trucizn. Ostatecznie za najlepszą uznano metodę polegającą na wstrzykiwaniu wprost w serce roztworu fenolu.

sztukasy lub stukasy – bombowce nurkujące Ju 87 powszechnie stosowane przez Niemców do nalotów na powstańczą Warszawę.

ściana śmierci – przez więźniów zwana też czarną ścianą lub ścianą straceń. Ustawiona była na dziedzińcu pomiędzy blokami 10 i 11 w Auschwitz I. Esesmani rozstrzeliwali pod nią z reguły pojedynczo (z broni krótkiej) w okresie od jesieni 1941 do jesieni 1943 roku, kiedy to zaniechano egzekucji w tym miejscu. W lutym 1944 roku drewnianą ścianę rozebrano. Byli więźniowie Auschwitz I, pracownicy powstającego wówczas Miejsca Pamięci, ścianę śmierci zrekonstruowali.

śmiertelność w obozie – na przestrzeni lat (po 1945 roku) liczbę pomordowanych w obozach Auschwitz-Birkenau różnie szacowano, co stawało się momentami przedmiotem politycznej gry. Dziś przyjmuje się (z dużą ostrożnością i dużą dozą prawdopodobieństwa), że było to od 1,1 mln do 1,3 mln osób około 20 narodowości. Na podstawie dostępnych materiałów ustalono, co następuje: w Auschwitz zarejestrowano około 400 000 więźniów, z których śmierć poniosło co najmniej 50 procent; do innych obozów

przeniesiono około 190 000; w 1945 roku oswobodzono 7500 osób. W okresie istnienia obozu zwolniono około 2000 więźniów, a uciekło co najmniej 180 osób.

tajne komplety, tajne nauczanie – rozpowszechnione w czasach II wojny światowej określenie nauczania prowadzonego w formie nielegalnych zajęć. Miało ono w Polsce spore tradycje, gdyż ten typ kształcenia młodzieży miał swe pierwowzory już w okresie dziewiętnastowiecznych zaborów. W czasach hitlerowskiej okupacji, według Heinricha Himmlera: „...dla polskiej ludności Wschodu nie mogą istnieć szkoły wyższe niż czteroklasowa szkoła ludowa”. Dlatego tajne komplety nie tylko kształciły młodzież, ale i wychowywały ją w duchu patriotycznym. Niemcy bezwzględnie zwalczali tajne nauczanie. W latach 1939–1945 życie straciło około 8500 nauczycieli, a wielu uczestników kompletów trafiło do obozów koncentracyjnych.

tatuowanie numerów – oświęcimski obóz był jedynym niemieckim obozem koncentracyjnym, w którym tatuowano ewidencyjne numery. Pierwszych oznakowano w ten sposób jesienią 1941 roku jeńców sowieckich. Numer tatuowano na lewej piersi. W podobny sposób tatuowano więźniów przeniesionych w marcu 1942 roku do Birkenau oraz Żydów przywożonych pierwszymi transportami z Francji i ze Słowacji. Od wiosny 1942 roku zaczęto tatuować numery na lewym przedramieniu. Nie tatuowano numerów Niemcom i Austriakom, tzw. więźniom wychowawczym i policyjnym, Polakom przywożonym latem 1944 roku z objętej powstaniem Warszawy, a także Żydom czasowo przetrzymywanym w Birkenau przed odesłaniem w głąb Rzeszy (Durchgangsjuden).

Totenmeldung – zgłoszenie zgonu.

tyfus plamisty – zakaźna choroba o ciężkim przebiegu wywoływana bakteriami przenoszonymi przez wszy pasożytujące na gryzoniach (szczury, myszy). Początkowo lekarze SS mieli trudności z rozpoznaniem choroby, przez co nie przywiązywali wagi do jej zwalczania. Dopiero zgon naczelnego lekarza obozu (SS-Hauptsturmführera Siegfrieda Schweli) w maju 1942 roku ten stan rzeczy zmienił.

ucieczki – obozowe rejestry odnotowują ponad 900 nazwisk usiłujących zbiec więźniów. Początkowo były to próby spontaniczne (np. z kolumny marszowej czy miejsca pracy), później nabrały one charakteru mniej lub bardziej zorganizowanego (przygotowanego). Do bardziej spektakularnych należały ucieczki w esesmańskich mundurach lub podkopem pod ogrodze-

niem. W dziejach Auschwitz-Birkenau doszło też do trzech zbiorowych ucieczek. W czerwcu 1942 uciekli więźniowie karnej kompanii, w listopadzie 1942 roku sowieccy jeńcy wojenni, a w październiku 1944 roku członkowie Sonderkommando przy krematorium IV.

ukraińscy strażnicy – wiosną 1943 roku do Auschwitz skierowano około 150 Ukraińców ze szkoleniowego obozu SS w Trawnikach. Sformowana z nich kompania obsadzała tzw. Grosse Postenkette, jednak nie dowierzano im i co drugi strażnik był niemieckim esesmanem. Ukraińcy również nie byli zbyt pewni swego losu, co ostatecznie zaowocowało ucieczką (nocą z 3 na 4 lipca 1943 roku) 15 z nich. Zorganizowany pościg otoczył uciekinierów 10 km od obozu (Chełm Mały), gdzie doszło do ostrej wymiany ognia. Zginęło 8 Ukraińców i 3 esesmanów. Pod koniec lipca 1943 roku kompanię rozformowano, a pozostałych Ukraińców rozesłano w charakterze strażników do różnych obozów w Rzeszy.

Volksdeutsch (folksdojcz) – określenie oznaczające w języku polskim etnicznego Niemca. Stosowano je (do 1945 roku) w stosunku do osób pochodzenia niemieckiego niezamieszkujących w granicach Niemiec z 1937 roku. Odróżniano ich tym samym od Reichsdeutsche, czyli Niemców zamieszkujących Rzeszę. Definicja Volksdeutsche po raz pierwszy została wyartykułowana w memorandum Kancelarii Rzeszy sygnowanym przez Adolfa Hitlera w 1938 roku.

winkiel – obozowe określenie trójkąta oznaczającego kategorię więźnia. Naszywano go wraz z numerem na pasiaku. Wyróżniał się kolorystyką: czerwony – polityczny, zielony – kryminalny, czarny – społeczny, różowy – homoseksualista, fioletowy – badacz Pisma Świętego. Na trójkąty nanoszono literowe oznaczenie narodowości, np. P – Polak, R – Rosjanin czy U – Ukraińiec. Oznaczeń tych nie stosowano wobec Niemców. Pod koniec istnienia Auschwitz system ten starano się uprościć, malując na skrawku materiału obok numerów trójkąty lub żydowską gwiazdę. Wprowadziło to duży zamęt w systemie znakowania więźniów.

zawał serca – jedna z najczęściej podawanych fikcyjnych przyczyn zgonu w obozowych rejestrach.

Zawiszacy – najmłodsza grupa harcerzy zrzeszająca chłopców i dziewczynki w wieku od 12 do 14 lat. Nie brali oni udziału w walce. Programowo przygotowywano ich do pełnienia służby pomocniczej, a nauczaniem na kompletach do odbudowy Polski po wojnie. Spośród akcji pomocni-

czych pełniących przez Zawiszków najbardziej znana jest zorganizowana w czasie powstania Harcerska Poczta Polowa.

Zugang – w obozowym żargonie obejmuje dwa pojęcia: transport więźniów, ale też nowo przybyły więzień.

Zugangliste – spis nowo przybyłych w jednym transporcie więźniów według nadawanych przybyłym obozowych numerów.

Kalendarium

Skrótowe kalendarium lat okupacji i Powstania Warszawskiego 1944 roku

Szacuje się, że w sierpniu 1939 roku mieszkało w Warszawie ponad 1,3 mln osób (4 procent ludności całej Polski), w tym 380 567 Żydów. Było to największe skupisko ówczesnej inteligencji. W stolicy mieściło się też:

1. 40 procent wszystkich sił naukowych oraz ogólnej liczby studentów w Polsce.
2. Około połowy polskich zbiorów bibliotecznych i archiwalnych.
3. Ponad połowa ogólnego nakładu krajowego czasopism.
4. Ponad 900 szkół i uczelni różnych typów i stopni.
5. Ponad 900 świątyń wszystkich wyznań oraz historycznych i zabytkowych budowli.
6. Około 200 muzeów, archiwów, bibliotek, sal teatralnych, kinowych itp.

Straty poniesione w wyniku wojny obronnej 1939 roku:

- ogólna liczba poległych i rannych sięgała 60 000 osób,
- liczba poległych i rannych żołnierzy sięgała 18 000,
- zniszczeniu uległo około 12 procent budynków, wliczając w to obiekty użyteczności publicznej,
- straty oszacowano na blisko 3 miliardy ówczesnych złotych, tj. około 570 mln dolarów.

Straty oszacowane po powstaniu oraz rabunku i niszczeniu miasta przez Niemców:

- ogólna liczba poległych osób cywilnych to 150 000 do 200 000,
 - liczba poległych żołnierzy powstańców to około 16 000,
 - ogólna liczba rannych żołnierzy powstańców to około 25 000.
- Łącznie do 17 stycznia 1945 roku zniszczono około 85 procent całkowitej zabudowy miasta.

Spośród 24 724 budynków legło w gruzach aż 10 455.

Większość pozostałych stanowiły wypalone szkielety murów.

Z ziemi zmiecione zostały 923 budynki o wartości historycznej, w tym 25 kościołów i synagog, 14 bibliotek, 81 szkół podstawowych, 64 licea, Uniwersytet Warszawski i Politechnika Warszawska.

Straty oszacowano na 45,3 miliarda dolarów. Według zachowanych źródeł od sierpnia 1944 do stycznia 1945 roku wyekspediowano do Niemiec 45 000 wagonów zawierających wszystko, od rozmontowanych fabryk po dzieła sztuki.

1939

30 września i 1 października

Niemcy wkraczają do Śródmieścia Warszawy.

1940

od 18 lipca

Żydom nie wolno wchodzić do parków, siadać na ławkach i chodzić po niektórych ulicach Śródmieścia. Później władze niemieckie ogłosiły nakaz opuszczenia przez Żydów rejonu Nowego Świata, pl. Trzech Krzyży i Al. Ujazdowskich (czyli m.in. ulic: Koszykowej, Wilczej, Wspólnej, Żurawiej, Nowogrodzkiej) w związku z planami utworzenia w tym rejonie dzielnicy niemieckiej.

12 października

Obwieszczenie gubernatora Fischera o utworzeniu w Warszawie trzech dzielnic mieszkalnych: niemieckiej, polskiej i żydowskiej (getto). Ludność zobowiązana jest przesiedlić się do końca miesiąca. Dużą część Śródmieścia Południowego zaplanowano jako dzielnicę niemiecką.

15 listopada

Niemcy zamykają getto po uprzednim odgródzeniu go od reszty miasta trzymetrowym murem. Szacuje się, iż zamknięto wówczas około 400 000–410 000 osób.

1941

22 września

Z Warszawy wywieziono pierwszą większą grupę kobiet, kierując ją do KL Ravensbrück. Kolejny duży kobiecy transport odszedł do tego obozu 30 maja 1942 roku.

1942

23 lipca do 21 września

Zagłada getta. Niemcy wywożą do Trebłinki II (wg oceny Jürgena Stroopa) łącznie 310 000 osób, przy czym na ulicach samego getta ginie co najmniej 5961 ludzi.

1943

19 kwietnia do 16 maja

Powstanie w warszawskim getcie.

1944

luty

Po udanym zamachu na Kutscherę Niemcy rezygnują ze stosowania na ulicach Warszawy publicznych masowych egzekucji.

20 lipca

Rozpoczyna się masowy exodus niemieckiej ludności cywilnej z Warszawy.

27 lipca

Podane zostaje do powszechnej wiadomości zarządzenie gubernatora Fischera wzywające 100 000 mężczyzn do kopania rowów na przedmieściach Warszawy.

30 lipca – niedziela

Alejami Jerozolimskimi (z Woli na Pragę) przeciąga Dywizja Pancerna „Hermann Göring”, demonstrując swą pełną bojową gotowość. Konspira-

cyjna „Rzeczpospolita Polska” pojawia się w jawnym kolportażu na ulicach miasta.

Rosjanie zdobywają Radzymin i Wołomin, podchodzą pod Starą Miłosną. Są 5 km od mostu na Narwi w Zegrzu, próbując uchwycić przeprawy na Bugu i Narwi. W Warszawie słychać huk artyleryjskiej palby. Kontratak niemieckich czołgów rozpoczyna się bitwa na przedpolach stolicy, w której starło się około tysiąca czołgów. To trzecia co do wielkości bitwa pancerna drugiej wojny światowej. Rosjanie ponieśli w niej klęskę. 2. Armia Pancerna została z frontu wycofana, a jej straty sięgały 340 czołgów i dział pancernych (wobec 100 do 150 niemieckich);

Porucznik Jan Nowak-Jeziorański spotyka się z komendantem głównym AK, gen. T. Komorowskim „Borem” i przekazuje posiadane informacje. Warszawa na przerzut brygady spadochronowej oraz masowe zrzuty broni nie ma co liczyć. Dla zachodnich rządów powstanie w Warszawie będzie „burzą w szklance wody”.

Nadająca z Moskwy radiostacja im. Tadeusza Kościuszki czterokrotnie podaje (godz. 15.00, 20.55, 21.55 i 23.00) wiadomość będącą niemal dosłownym powtórzeniem apelu Związku Patriotów Polskich nadanego przez Radio Moskwa 29 lipca 1944 roku: „Warszawa drży w posadach od ryku dział. Wojska sowieckie nacierają gwałtownie i zbliżają się do Pragi. Nadchodzą, aby przynieść nam wolność. Niemcy wyparci z Pragi będą usiłowali bronić się w Warszawie. Zechcą zniszczyć wszystko. W Białymstoku burzyli wszystko przez sześć dni. Wymordowali tysiące naszych braci. Uczynimy, co tylko w naszej mocy, by nie zdołali powtórzyć tego samego w Warszawie. Ludu Warszawy! Do broni! Niech cała ludność stanie murem wokół Krajowej Rady Narodowej, wokół warszawskiej Armii Podziemnej. Uderzcie na Niemców! Udaremnijcie ich plany zburzenia budowli publicznych. Pomóżcie Czerwonej Armii w przeprawie przez Wisłę. Przysyłajcie wiadomości, pokazujcie drogi. Milion ludności Warszawy niech stanie się milionem żołnierzy, którzy wypędzą niemieckich najeźdźców i zdobędą wolność!”.

31 lipca – poniedziałek

Rosjanie osiągają Międzylesie i zdobywają Radość, na przedpolach Pragi kontratakują Niemcy. Do Moskwy przylatuje polski premier na uchodźstwie Stanisław Mikołajczyk.

Rankiem pododdziały AK likwidują we wsi Aleksandrów kompanię Wehrmachtu. Fakt ten powszechnie przyjmuje się za początek powstania w Puszczy Kampinoskiej.

Na Pańskiej 67 o godzinie 17.00 rozpoczęto drugą tego dnia odprawę KG AK. Choć przed południem zdecydowano o niepodejmowaniu walki 1 sierpnia (nierozpoznana do końca sytuacja na froncie pod Warszawą), teraz sprawy toczą się inaczej. Z alarmowo wezwanym delegatem rządu Janem Jankowskim wysłuchano nieprawdziwego meldunku dowódcy Okręgu AK płk. Antoniego Chruściela („Montera”) o pojawieniu się rosyjskich czołgów na Pradze. W tej sytuacji gen. T. Komorowski „Bór” wydaje rozkaz „Monterowi” o rozpoczęciu akcji zbrojnej 1 sierpnia 1944 roku, Godzina „W” – 17.00.

Po powrocie z odprawy w lokalu przy ul. Filtrowej 68 płk „Monter” wydaje brzemienny w skutki rozkaz: Alarm do rąk własnych Komendantów Obwodów. Dnia 31 lipca godzina 19.00 nakazuję godzinę „W” dnia 1 sierpnia godzina 17.00. Adres m. p. Okręgu: Jasna 22 m. 20 czynny od godziny „W”. Otrzymanie rozkazu natychmiast kwitować. (-) „X”. Ze względu na godzinę policyjną (20.00) rozkaz ten jest dostarczony pododdziałom dopiero następnego dnia.

1 sierpnia – wtorek, godz. 17.00

Wybucho Powstanie Warszawskie. O godzinie 7.00 łączniczki przejmują rozkaz „Montera” o wybuchu powstania. Pierwsze strzały padają około godz. 13.50 na Żoliborzu. O 16.30 niemiecki dowódca wojskowy Warszawy gen. Reiner Stahel zarządza alarm garnizonu.

2 sierpnia

W kończącej się bitwie pancernej na przedpolach Warszawy niemiecka 4. Dywizja Pancerna odbija z rosyjskich rąk Radzymin.

Powstańcze sukcesy nadal przeplatają się z dotkliwymi porażkami: Starówka zostaje całkowicie opanowane przez Polaków, a Śródmieście w dużej części znajduje się w ich rękach. Na Woli powstańcy przechodzą do obrony wobec ustawicznie ponawianych ataków wroga. Na Mokotowie i Żoliborzu nie zdołano opanować kluczowych pozycji.

Ukazuje się pierwszy numer „Biuletynu Informacyjnego”, głównego powstańczego pisma AK.

Hitlerowcy rozpoczynają akcję eksterminacyjną cywilnej ludności Warszawy. Na Mokotowie rozstrzelano około 600 osób przetrzymywanych w więzieniu na Rakowieckiej i kilkadziesiąt osób zabranych z pobliskiego domu jezuitów. W Śródmieściu kilkaset osób ginie w ruinach GISZ oraz w Ogródku Jordanowskim na rogu Al. Ujazdowskich i Bagateli.

3 sierpnia

Oddziały rosyjskie opuszczają Wołomin. W Moskwie dochodzi do pierwszej rozmowy Stalina z Mikołajczykiem. Na polski apel o pomoc dla powstańców następuje enigmatyczne przyrzeczenie wydania odpowiedniego polecenia – jednak sprawa kończy się na obietnicy.

Niemcy wprowadzają do walki bombowce nurkujące Ju 87, które szybko stają się postrachem ludności. Powstańcy zajmują pałac Blanka, Arsenał i pałac Mostowskich, Dworzec Pocztowy i Dom Turystyczny. Odtąd Aleje Jerozolimskie i przylegająca linia kolejowa zostają zablokowane. Około 13.00 od strony mostu Poniatowskiego rusza silne niemieckie natarcie w kierunku Dworca Głównego. W związku z niepowodzeniem powstańczej akcji na Pradze dochodzi tam do demobilizacji oddziałów i rozproszenia akowców wśród ludności cywilnej.

4 sierpnia

Nocą nad Warszawą pojawiają się samoloty RAF (2 liberatory i Halifax), dokonując zrzutów nad cmentarzami żydowskim i Powązkowskim. Powstaje Harcerska Poczta Polowa. Pod pałacem Blanka (na placu Teatralnym) ginie żołnierz batalionu „Parasol” pchor. Krzysztof Kamil Baczyński.

Na rozkaz SS-Reichsführera Heinricha Himmlera w Warszawie przejmuje dowodzenie SS-Obergruppenführer Erich von dem Bach-Zelewski ⁶³. Dowodzenie jednostkami nacierającymi spoza Warszawy obejmuje SS-Gruppenführer Heinz Reinefarth. Przybywają także główni sprawcy rzezi ludności cywilnej: Brygada SS RONA (Russkaja Oswoboditielnaja Narodnaja Armia) dowodzona przez SS-Brigadeführera Bronisława Kaminskiego oraz SS-Sturmbrigade (jednostka składająca się głównie z niemieckich kryminalistów), dowodzona przez SS-Oberführera Oskara Dirlewangera.

Niemcy rozpoczynają akcję ulotkową zachęcającą ludność do opuszczania miasta. Na utworzonym przy ul. Grójeckiej tzw. Zieleniaku powstaje obóz przejściowy dla polskiej ludności, w którym żołdacy z brygady

RONA okradali i mordowali więzionych cywilów. Rozpoczyna się rzeź Ochoty. Na zajętych przez hitlerowców Mokotowie trwa mordowanie cywilnej ludności.

5 sierpnia

Rozpoczyna się niemiecka akcja mająca na celu przebicie się z Woli w kierunku Ogrodu Saskiego i pałacu Brühla, aby dalej pójść ku wiślanej przeprawie przez most Kierbedzia.

Żołnierze batalionu „Zośka”, wspierani przez batalion „Wacek” zdobywają przy ul. Gęsiej obóz koncentracyjny Warschau (tzw. Gęsiówkę). Uwolniono około 350 Żydów.

Rozpoczyna się rzeź Woli później nazwana „Czarną Sobotą”: brutalna likwidacja szpitali.

6 sierpnia

Na terenie warsztatów naprawczych taboru kolejowego w Pruszkowie powstaje obóz przejściowy Durchgangslager 121 (Dulag 121). Wieczorem przybywają pierwsi warszawiacy. W ciągu trzech miesięcy (od sierpnia do października) przez Pruszków przewija się około 550 000 mieszkańców samej stolicy i około 100 000 osób wysiedlonych z najbliższych okolic miasta;

Stalin wydaje rozkaz o przejściu do „aktywnej obrony”. Taka właśnie informacja pojawia się w warszawskiej gazecie AK „Świt Polski”.

W odpowiedzi Radio Moskwa nadaje 8 sierpnia komunikat: „...aby nikt nie wierzył «Świtowi», który kłamie, mówiąc, iż ustały pod Warszawą wszelkie działania Armii Czerwonej”. W dalszej części komunikatu podano kolejne nieprawdziwe informacje o rzekomym zaangażowaniu Armii Czerwonej w walkach: „Nie wierzcie temu, warszawiacy, nie wierzcie, bohaterowie [...] setki tysięcy żołnierzy sprzymierzonej Armii Czerwonej, a z nią studwudziestotysięczna armia gen. Berlinga walczy u wrót Warszawy [...] kwestią dni jest wyzwolenie wasze”.

7 sierpnia

Napływające z Warszawy do Londynu informacje o dokonywanej przez Niemców rzezi Woli powodują, iż W. Churchill odwołuje zakaz lotów nad Warszawą. Latać mogą, w ograniczonym zakresie, tylko polskie załogi.

Hitlerowcy rozpoczynają zmasowany atak ogniem artyleryjskim na Starówkę. Na osi Wola – Ogród Saski – Krakowskie Przedmieście – most Kierbedzia powstaje korytarz kontrolowany przez Niemców. Odtąd powstańcy działają w trzech odizolowanych ośrodkach: Mokotów, Śródmieście (z Powiślem i Czerniakowem) oraz Starówka wraz z Żoliborzem i Kampinosem.

8 sierpnia

Nocne zrzuty w Śródmieściu z nadlatujących 7 halifaxów i liberatorów z polskimi załogami.

Zostaje nadana pierwsza audycja akowskiej radiostacji „Błyskawica”.

Moskwa zaś nadaje: „Armia Ludowa ofiarowała swoje młode życie, swoje dusze i serca, aby pokazać światu, że stać ją zawsze na czyn bohater-ski, o jakim inne narody świata słuchać tylko mogą. Gen. Sosnkowski i gen. Bór, prowokatorzy, twierdząc, że wyzwolenie Warszawy to krwawy trud Armii Krajowej, reklamują się, budząc śmiech i pogardę”.

9 sierpnia

W Moskwie kontynuowane są rozmowy Mikołajczyka ze Stalinem i przedstawicielami polskiego PKWN-u. Mikołajczyk odrzuca ciągle ponawiane propozycje Stalina w sprawie uznania Linii Curzona za wschodnią granicę Polski. Nie zgadza się też na proponowaną przez niego fuzję z PKWN, który domagał się w nowym rządzie 75 procent ministerialnych tek. Kurtuazyjny i zaskakująco przyjazny tego dnia Stalin składa oświadczenie, iż celem sowieckiej polityki jest „przyjaźń między nami”, dlatego „postaramy się zrobić wszystko [...] aby pomóc Warszawie”. Mikołajczyk wyjeżdża z Moskwy z przeświadczeniem o uzyskaniu realnej pomocy dla powstańców. Życie to przeświadczenie szybko zweryfikowało. Już 12 sierpnia odnotowano wypowiedź Stalina: „...powstanie warszawskie jest bezsensowną i przerażającą awanturą, a dowództwo sowieckie musi odgrodzić się od awantury warszawskiej”.

10 sierpnia

We wszystkich językach europejskich BBC nadaje ostrzeżenie skierowane do hitlerowców oraz osób pracujących w aparacie III Rzeszy. W nocy

nad Śródmieściem i Mokotowem samoloty brytyjskie dokonują udanych zrzutów broni i amunicji podjętych przez powstańców.

11 sierpnia

Dramatyczne pytanie warszawiaków zawarte w artykule brytyjskiego dziennika „Daily Mirror” *Warsaw Tragedy: Gdzie są nasi przyjaciele?* Moskiewska radiostacja kolejny raz kłamliwie zapewnia, że armia radziecka nadchodzi warszawiakom z odsieczą.

Nasilają się naloty i bombardowania Starówki. W dzienniku PPS „Warszawianka” Żydowska Organizacja Bojowa wzywa żyjących obrońców getta i wszystkich ocalałych Żydów do wstępowania w powstańcze szeregi.

12 sierpnia

Ukazuje się rozkaz nr 15 „Montera”: „W związku z nieporozumieniami na temat udziału kobiet w służbie wojskowej wyjaśnia się, iż kobiety, które w okresie konspiracji złożyły przysięgę i zostały zaliczone w stan formacji AK, są żołnierzami AK”.

Churchill po raz kolejny depezuje do Stalina z pytaniem o pomoc dla walczących Polaków.

13 sierpnia

W kinie Palladium przy Złotej odbywa się pokaz filmu Referatu Filmowego Biura Informacji i Propagandy KG AK. Fragmentarycznie pokazano walki w Śródmieściu, pożar domów w Alejach Jerozolimskich oraz pracę pozafrontowego zaplecza.

W nocy kilkanaście halifaxów dokonuje zrzutów broni i amunicji.

Upadek Stawek powoduje, że Starówka znajduje się w stanie okrążenia. Po raz kolejny (wobec rosnącej aktywności nieprzyjaciela w rejonie Ogrodu Krasińskich) KG AK przenosi się do pałacu Raczyńskich.

Na Starówce dochodzi do zbrodniczej masakry. Żołnierze z batalionu „Gustaw” wprowadzają na ul. Kilińskiego porzucony przez niemiecką załogę ciągnik czołgowy Borgward IV. Nie zdają sobie sprawy, że pojazd jest wypełniony trotylem. W wyniku potężnej eksplozji ginie kilkaset osób. Wśród rannych jest też gen. T. Komorowski „Bór”.

14 sierpnia

Przestają działać wodociągi. Powstańcy podejmują próby nawiązania łączności pomiędzy Starówką a Żoliborzem. Rozkaz „Bora” skierowany do jednostek AK poza Warszawą nakazuje wszystkim jednostkom na peryferiach wkroczenie do walki wewnątrz miasta.

15 sierpnia

W kawiarni U Aktorek (Mazowiecka 5) odbywa się premiera *Kantaty* na otwarcie Teatru Narodowego przerwana niemieckim bombardowaniem.

Odbywają się uroczystości związane z przypadającymi w tym dniu świętami Matki Boskiej Zielnej, Żołnierza Polskiego i rocznicą Cudu nad Wisłą.

Ambasador USA zwraca się do Rosjan z prośbą o zezwolenie na lądowanie po ich stronie samolotów dokonujących zrzutów broni dla Warszawy. Rosjanie odmawiają.

Nasila się, wroga do AK i Polskiego Państwa Podziemnego, propaganda polskich komunistów. Komitet Centralny PPR wydaje odezwę: „[...] banda sanacyjnych i oenerowskich awanturników i warchołów podnosi dziś swą brudną łapę przeciw Polskiemu Komitetowi Wyzwolenia Narodowego, przeciwko Wojsku Polskiemu, które toczy bohaterską i ofiarną walkę o wyzwolenie ojczyzny. Garstka niepoczytalnych przywódców Armii Krajowej, na rozkaz Sosnkowskiego, w imię nędznych kombinacji politycznych klikki sanacyjnej pchnęła ludność Warszawy do walki wbrew elementarnym zasadom wojskowym i wbrew uczciwości politycznej”.

16 sierpnia

Docierają pierwsze oddziały odsieczy przybyłe z Puszczy Kampinoskiej. Niemieckie Radio Berlin po raz kolejny podaje fałszywą informację o „zlikwidowaniu” powstania.

17 sierpnia

Ukazuje się zarządzenie Okręgowego Delegata Rządu nakazujące powoływanie obwodowych i domowych komitetów samopomocy, które zajmą się ochroną przeciwlotniczą i przeciwpożarową.

18 sierpnia

Erich von dem Bach podejmuje próbę nakłonienia dowództwa powstania do kapitulacji. Wysłani w tym celu z białą flagą parlamentariusze wracają

z niczym. Po latach Komorowski „Bór” wspominał, iż kapitulacja w ich przekonaniu była równoczesna ze zbiorową masakrą ludności i wojska.

19 sierpnia

Berlińskie radio ponownie emituje fałszywą informację o stłumieniu powstania w Warszawie.

Grupa bojowa Reinefartha rozpoczyna generalne natarcie na Starówkę. Powstańcy z trudem odpierają szturmujących.

20 sierpnia

Ludność coraz częściej przebywa wyłącznie w piwnicach. Powstańcy walczą czasami po kilkadziesiąt godzin bez snu i zmiany. Coraz trudniej o ich wyżywienie.

Batalion „Kiliński” podejmuje ostateczne natarcie na gmach Dyrekcji Telefonów przy Zielnej, tzw. PAST-ę. Zdobyta pozycja pozostaje w polskich rękach do końca powstania.

21 sierpnia

Niemcy wysadzają w powietrze kompleks więzienny Pawiaka.

22 sierpnia

Moskiewska radiostacja im. T. Kościuszki przestaje nadawać. W ostatniej audycji nawołuje do słuchania Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego i Radia Lublin uruchomionego 10 sierpnia w Lublinie. O 21.30 rusza z Żoliborza natarcie w kierunku Starówki. Element zaskoczenia nie zadziałał, a Niemcy otworzyli huraganowy ogień zaporowy.

23 sierpnia

Meldunek dowódcy Grupy „Północ” broniącej Starówki: „Bez zmian. Duże zmęczenie fizyczne i psychiczne. Poszczególne jednostki wykazują załamanie się”.

Sukcesy oddziałów powstańczych w południowej i północnej części Śródmieścia. Zdobyto kościół św. Krzyża i sąsiadujące z nim budynki Komendy Głównej Policji i Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w pałacu Zamoyskich przy Nowym Świecie oraz Krakowskim Przedmieściu. Uwol-

niono kilkudziesięciu cywilów, wzięto do niewoli 80 niemieckich żandar-mów. Zdobyto 3 pojazdy, dużo broni i odbito zakładników. Nad Starówką z ckm-u zestrzelono niemiecki samolot, który spadł na ul. Hipoteczną. Zdo-byto podstację telefonów (tzw. małą PAST-ę) przy Piusa XI. Wzięto do nie-woli 76 Niemców.

Ciężkie walki na Starówce.

24 sierpnia

Radość mieszkańców Warszawy wzbudza informacja prasowa o wyzwoleniu Paryża.

25 sierpnia

Staje się jasne, iż Starówka jest skazana na samotną walkę. Następuje ewakuacja do Śródmieścia Komendy Głównej AK wraz z kierownictwem cywilnym. W miarę możliwości przenosi się kanałami do Śródmieścia ran-nych powstańców i ludność cywilną.

Boje o gmach PWPW. Z części zdobytej przez powstańców ewakuują się cywile.

26 sierpnia

W dzielnicach, które są w stanie organizować msze polowe, odprawiane są uroczystości Matki Boskiej Jasnogórskiej.

Około 5.00 zakończono rozpoczętą w nocy ewakuację władz wojsko-wych ze Starówki.

Starówka niezmiennie stanowi cel najsilniejszych ataków wroga. Poważne straty ponosi walcząca w powstaniu Armia Ludowa, ginie m.in. dowódca Obwodu Warszawskiego.

27 sierpnia

Reorganizacja obrony Starówki. Tymczasem około 300 żołnierzy AL samowolnie przechodzi kanałami ze Starego Miasta na Żoliborz. Podczas walk w katedrze powstańcy zdobywają 100 kg materiałów wybuchowych.

28 sierpnia

Upada PWPW – najbardziej na północ wysunięta powstańcza reduta na Starówce. Na Mokotowie kontynuowane są bezowocne ataki w kierunku Łazienek. Niemcy z kolei nacierają na Sadybę.

W Puszczy Kampinoskiej grupa AK „Kampinos” podejmuje próbę obrony mieszkańców Małocic przed niemieckimi rekwizycjami. Niewielka początkowo potyczka przeradza się w twardy bój, do którego Niemcy wprowadzają lotnictwo, artylerię i broń pancerną.

29 sierpnia

Trwają ciężkie walki o katedrę św. Jana. Choć nieprzyjaciel traci 30 żołnierzy, ruiny świątyni nadal pozostają w jego rękach. Niemiecka artyleria burzy zakłady Fiata i kościół NMP. Nieprzyjaciel dostaje się do Ratusza, pałacu Blanka i klasztoru kanoniczek. Powstańcy ponoszą dotkliwe straty na Mokotowie w wyniku ostrzału.

30 sierpnia

Londyńskie radio (odbierane w Warszawie) podaje tekst deklaracji rządów brytyjskiego i amerykańskiego o uznaniu AK za organizację kombatantką, stanowiącą integralną część Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Podano też, że Niemcy uczestniczący w wojennych zbrodniach i naruszający przepisy wojenne poniosą pełną odpowiedzialność prawną.

31 sierpnia

Stare Miasto jest w krytycznym położeniu.

1 września

Dzień ten zostaje ogłoszony dniem hołdu dla Polski przez kilku gubernatorów USA. 52 duże sklepy Nowego Jorku przy 5th Avenue prezentują wystawy dotyczące Polski Walczącej. Prasa powstańcza w Warszawie gremialnie pisze tego dnia o wybuchu i początkach II wojny światowej. Prezydent Władysław Raczkiewicz w radiowej audycji zauważa, że: „Na progu szóstego roku wojny powtarza się tragiczna sytuacja Polski w jej walce o wolność. Warszawa walczy sama”.

Kończy się ewakuacja żołnierzy i części ludności cywilnej ze Starówki do Śródmieścia w rejonie Nowego Świata i placu Napoleona. Przez Ogród

Saski do Śródmieścia dociera grupa 50 żołnierzy „Zośki” . Jako jedynym udało im się górą wydostać ze Starówki, nie przechodzili kanałami.

2 września

We wszystkich brytyjskich synagogach odprawiono modły w intencji wyzwolenia Warszawy, a także za polskich Żydów i polsko-żydowskich żołnierzy. Nocą z 1 na 2 września na skutek uderzenia czołgowego pocisku upada Kolumna Zygmunta.

Niemiecki korespondent wojenny Deutsches Nachrichtenbüro donosi: „Żadne miasto nie doświadczyło podobnego piekła. Nasze samoloty rzucały bomby na domy północnej dzielnicy. Nasze moździerze strzelały, goliaty rzucono na barykady, zastosowano ciężką artylerię, stworzono piekło, jakiego nie doznało żadne z miast”.

Dobiega końca ewakuacja obrońców Starówki. Do Śródmieścia kanałami przedostaje się od 4500 do 5000 osób – w większości żołnierzy. Opuszczone przez powstańców ruiny Starówki zaczynają zajmować oddziały Grupy Bojowej „Reinefarth”. W ich ręce dostają się przede wszystkim powstańcze szpitale, gdzie przebywa blisko 1500 ciężko rannych (głównie żołnierzy), których nie zdołano ewakuować kanałami. Oprawcy Reinefartha równocześnie przystępują do wysiedlania ludności cywilnej. Mnożą się gwałty i grabieże. Po upadku Starówki do obozu pruszkowskiego trafia 75 000 osób. Niemcy opanowują Sadybę.

3 września

Niemcy atakują Powiśle w celu oskrzydlenia Warszawy.

4 września

Zmasowane bombardowania wzbudzają panikę ludności cywilnej.

5 września

Dowódca obrony Powiśla, korzystając z pomocy władz cywilnych, zaczyna zachęcać mieszkańców do przejścia przez linię Nowego Świata na teren Śródmieścia.

6 września

Niemcy podejmują ostateczny szturm na Powiśle, uderzają z trzech stron. Natarciu towarzyszą naloty i silny ostrzał artyleryjski.

7 września

Wydano pozwolenie, aby Zarząd Polskiego Czerwonego Krzyża mógł porozumiewać się z dowództwem wojsk niemieckich w sprawie ewakuacji osób starszych, chorych i dzieci. Ustalono czas, w którym ludność ta mogła, na własne ryzyko, opuścić stolicę. Głód. Wyraźne pogorszenie nastrojów ludności. Zniechęcenie zarówno wobec polskich żołnierzy, jak i z powodu ogólnej ciężkiej sytuacji. Niewielkie zrzuty alianckie. Większość zasobników wiatr poniósł na stronę niemiecką. Polacy podjęli jedynie te, które spadły na Żelazną i Emilii Plater. Pada Powiśle.

8 września

Naloty samolotów radzieckich na niemieckie stanowiska. Kilka tysięcy osób dobrowolnie opuszcza miasto. W godzinach 12.00–14.00 artyleria niemiecka cichnie.

9 września

Uzgodniona z Niemcami, dla cywilnej ludności dobrowolna, ewakuacja z miasta 8000 mieszkańców. KG AK uznaje dalszą walkę za bezsensowną. Kryzys w gronie dowodzących powstaniem trwa do 11 września 1944 roku. Erich von dem Bach przekazuje arcybiskupowi Antoniemu Szlagowskiemu szkatułę z sercem Fryderyka Chopina wydobytym z bazyliki św. Krzyża w Warszawie. Silne niemieckie ataki skierowane na północne Śródmieście i Czerniaków.

10 września

Z meldunku płk. Antoniego Chruściela „Montera”: „Według obliczenia amunicji przy średnim zużyciu Śródmieście posiada na 1 dzień”. Z Londynu premier Mikołajczyk depekuje, że w najbliższym czasie zostanie podjęta decyzja w sprawie wyprawy lotniczej do powstańczej Warszawy. Nad miastem dochodzi do powietrznych walk samolotów rosyjskich z niemieckimi. Armia Czerwona ponawia natarcie na przedmieście Warszawy.

11 września

Aliancki zrzut broni i środków medycznych na terenie Śródmieścia wyraźnie poprawia nastroje warszawiaków. Rosyjska 47. Armia prowadzi z Niemcami walki na przedpolach Pragi. Nocą przez Wisłę przeprawiają się dwie łączniczki AL w celu nawiązania łączności z PKWN-em i przekazania informacji o zakresie uczestnictwa sił komunistycznych w toczonych walkach.

12 września

Niemcy atakują Górny Czerniaków, próbując zdobyć Solec. Ostrzał artyleryjski z miotaczy min i granatników trwa aż do wieczora. Zerwana zostaje łączność Śródmieścia z Czerniakowem. Toczą się walki o gazownię przy ul. Ludnej.

13 września

Wojska sowieckie zaczynają zajmować Pragę. Po raz pierwszy od rozpoczęcia powstania Rosjanie zrzucają broń i żywność na terenie Śródmieścia. Niemcy wysadzają mosty na Wiśle: Poniatowskiego, Średnicowy, Kierbedzia i obydwie pod Cytadelą. Istotne dla walki Niemców z Sowietami brzozy Wisły nadal pozostają w polskich rękach, choć powstańcy opuścili port Czerniakowski, jedną stronę Łazienkowskiej i szpital św. Łazarza przy Książęcej. Esesmani Dirlewangera szturmują gmach ZUS przy Czerniakowskiej. Mimo wsparcia lotnictwa i działań szturmowych nie mogą przełamać obrony plutonu ppor. Andrzeja Samsonowicza („Xięcia”) z batalionu „Zośka”. W ogarniętym pożarami budynku płonie blisko 60 rannych zgromadzonych w powstańczym szpitalu. Resztę wynosi się wprost na ulicę pośród toczonych walk, co powoduje dodatkowe straty wśród rannych i personelu medycznego. Do gmachu ZUS Niemcy przedostają się dopiero nocą.

14 września

Formalne zakończenie rosyjskiej operacji wojskowej. Z meldunku gen. Komorowskiego „Bora”: „Ponosimy duże, krwawe straty i wystrzeliliśmy ostatnie naboje. Od kilku dni nie jemy chleba, głodujemy. Obietnice i ich odwoływanie załamują ducha u żołnierzy i ludności”. Nadająca z Lublina stacja przekazuje odezwę PKWN-u, w której warszawiacy słyszą

m.in.: „Chwila wyzwolenia jest bliska. Kończą się wasze męki i cierpienia. Niemcy drogo zapłacą za krew przelaną i ruiny Warszawy”, a w zakończeniu: „Pomoc nadchodzi! Wyteżcie wszystkie siły”. Zwodnicze obietniki nie pierwszy już raz kierowano do warszawiaków. Owo zapowiadane „wyzwolenie” przyszło do opustoszałego i zburzonego miasta dopiero 17 stycznia 1945 roku. Natarcie na Górny Czerniaków zmusza powstańców do odwrotu z Czerniakowskiej. Równocześnie Niemcy zajmują ul. Przemysłową, a po dwugodzinnym przygotowaniu artyleryjskim i ze wsparciem czołgów Niemcy z dwóch stron atakują pozycje powstańcze na Marymoncie. Skrwawione oddziały polskie wycofują się na Żoliborz. Niemcy mordują 500 cywilów, a także rannych wraz z personelem medycznym szpitala przy Rudzkiej 4.

15 września

Oddziały niemieckie zostają całkowicie wyparte z Pragi.

W dniach 14 i 15 września dochodzi do porozumienia pomiędzy Armią Ludową, Polską Armią Ludową i Korpusem Bezpieczeństwa. W trakcie powstania pojawia się w Warszawie nowa siła wojskowa – Połączone Siły Zbrojne.

Papież Pius XII w Watykanie udziela audiencji alianckim żołnierzom, podczas której zwraca się do Polaków następującymi słowami: „Serce nasze zakrwawiło się wobec ruin waszej wielkiej stolicy Warszawy, w murach której rozegrała się jedna z najboleśniejszych – ale także jedna z najbardziej bohaterskich – tragedii całej historii waszego narodu”.

16 września

Lotnictwo sowieckie dokonuje zrzutów broni na Śródmieście, Mokotów i Żoliborz. Nocą 15/16 na lewym brzegu ląduje około 420 żołnierzy. Większego desantu nie udaje się przez Wisłę przerzucić. Śródmieście znajduje się pod ciężkim ostrzałem artyleryjskim, oddziały powstańcze wycofują się z części Dolnego Żoliborza.

17 września

W nocy 16/17 z Saskiej Kępy przeprawia się na lewy brzeg III batalion 9. pp z 3. DP WP. Lądują w rejonie ulicy Czerniakowskiej. Trwające od 13 września walki na Czerniakowie stają się niezwykle krwawe. Jak melduje

tego dnia „Bór”: „Czerniaków podobny jest już do Starówki”. Żoliborz i Mokotów cały dzień znajdują się pod ogniem artyleryjskim.

18 września

Akcja „Frantic”, czyli przylot do Warszawy 110 bombowców amerykańskich. Miały one dostarczyć istotnej pomocy w początkowym okresie powstania, jednak teraz misja jest spóźniona. Dokonane zrzuty w większości spadają na tereny zajęte przez Niemców. Powstańcy przejmują około 16 ton ładunku, czyli niewiele ponad 20 procent całości zrzutu.

Nocą 17/18 następuje próba desantu 4. kompanii II batalionu 6. pp z 2. DP WP na Żoliborz. Ostatecznie przez Wisłę przedostaje się zaledwie 78 żołnierzy.

Krwawe walki na Czerniakowie. Nieprzyjaciel mocno bombarduje ulice Wilanowską i Okrąg. Powstańcy tracą całą Czerniakowską. Podczas walk Niemcy podpalają szpital (Solec 41), nie pozwalając ewakuować rannych. W płomieniach i od kul ginie około 60 rannych oraz kilka sanitariuszek próbujących iść im z pomocą.

Niemcy wysadzają w powietrze Stację Pomp Rzecznych przy Czerniakowskiej.

19 września

Wieczorem rozpoczyna się ewakuacja z Czerniakowa na Mokotów. Grupa 200 żołnierzy przeprowia się kanałami, wchodząc do wjazdu u zbiegu ulic Solec i Zagórna. Nocą 18/19 na Żoliborz przeprowia się pozostała część 4. kompanii II batalionu 6. pp z 2. DP WP. Desant w tym miejscu i takimi siłami jest zdecydowanie chybionym pomysłem.

W rejon Czerniakowa przedostaje się 63 żołnierzy. W drodze powrotnej pontony zabierają chorych i ciężko rannych powstańców.

Na czerniakowskim Powiślu toczą się ciężkie walki. Niemcy przy wsparciu lotniczym nacierają Wilanowską i Zagórna. Tylko we fragmentach wybrzeże Wisły znajduje się w polskich rękach. Najpoważniejsza próba desantowa WP: dwa bataliony wraz z rosyjską kompanią lądują w rejonie mostu Poniatowskiego. Ocenia się, że Wisłę przekracza ponad tysiąc żołnierzy, z których niewielu wraca na Pragę.

20 września

Zapoczątkowano wycofywanie sił WP desantowanych na lewy brzeg Wisły. Akcja mająca na celu niesienie pomocy Warszawie okazuje się logistycznym i wojskowym nieporozumieniem. Niektórzy historycy oceniają, że WP (a tak naprawdę jedną dywizję) desantowanie żołnierzy kosztowało aż 4892 poległych, rannych i zaginionych. Dla porównania Korpus Polski we Włoszech stracił pod Monte Cassino 1571 ludzi.

Zaciekle boje o ulicę Wilanowską. Ze zdobytych domów esesmani Dirlewangera wypędzają około 1000 osób i gromadzą ich w magazynach „Społem”. Rozstrzelano tam wszystkich młodych mężczyzn i kobiety, którzy w ocenie Niemców mogli brać udział w powstaniu.

21 września

Pokaz w kinie Palladium (Złota 7/9) drugiej części kroniki filmowej pt. *Warszawa walczy*. Pokazano w niej m.in. sceny zdobycia PAST-y (20 sierpnia) oraz wysadzenie przez Niemców Pawiaka wraz z „Serbią”.

Alianci dokonują zrzutów nad Warszawą, Kampinosem i Lasem Kabackim. Stolica odebrała ich 45. Załogi lotnicze poniosły bardzo duże straty. Warszawa głoduje.

Centralny Komitet Ludowy uznaje PKWN za Rząd Tymczasowy. Z meldunku gen. Komorowskiego „Bora”: „Sytuacja w rejonie Starego Miasta poważna. Amunicja na wyczerpaniu. Żołnierz bardzo zmęczony. Druzgocąca przewaga techniczna nieprzyjaciela wystawiła na ciężką próbę odporność naszego żołnierza i społeczeństwa”.

Zaciekle walki na Solcu (określanym jako Górny Czerniaków). Resztki Kedywu i „berlingowców” odpierają ataki wzdłuż Wilanowskiej. Obrońcom brakuje wszystkiego: żywności, amunicji, wody, po którą wieczorami organizują ryzykowne wyprawy do Wisły.

22 września

Lotnictwo i artyleria bombardują oraz ostrzeliwują punkty obsadzone przez Niemców: Dworzec Gdański, Cytadelę, lotnisko na Bielanach. Organizowane są zrzuty żywności nad Warszawą, które nie mają jednak większego wpływu na poziom aprowizacji.

Marszałek K. Rokossowski wydaje rozkaz o przejściu do defensywy w rejonie Warszawy.

Stefan Jędrychowski i Stefan Wierbłowski na polecenie Mołotowa opracowują tzw. *Tezy dla propagandy o powstaniu warszawskim*, które zostają mu doręczone 25 września. Stwierdzano w nich m.in., że Gwardia Ludowa, później Armia Ludowa, były jedynymi organizacjami walczącymi z Niemcami. Powstanie Warszawskie nie było spowodowane wojenną koniecznością, ale wybuchło jedynie w interesie „reakcyjnych elementów”.

Niezłomna obrona brzegu Wisły w rejonie Solca przez resztki batalionu „Zośka”. W celu przeprawy na praski brzeg przynoszeni są tam ranni i gromadzą się cywile. Całkowita ewakuacja jednak się nie udaje. Łodziami odprawiono zaledwie 94 osoby. Niektórzy samodzielnie przepłynęli Wisłę.

23 września

Z meldunku komendanta Okręgu Warszawa AK: „Oddziały węgierskie rozlokowane na południu od Mokotowa okazują dużą życzliwość ludności polskiej, ostrzegają i nie przeszkadzają w naszej akcji. Wśród własnych oddziałów w rejonach najcięższych walk spostrzega się przemęczenie, duch bojowy jednak bardzo dobry. Duży brak broni i amunicji”.

Wyraźne pogorszenie (efekt bombardowań) sytuacji cywilów i wojskowych na Żoliborzu.

Niemcy silnie atakują al. Niepodległości na Mokotowie. Ciężkie walki na Solcu. Niektóre oddziały przechodzą stamtąd do Śródmieścia. Ciężkie walki o przyczółek czerniakowski.

W ocenie niektórych historyków tego dnia padają ostatnie strzały na Górnym Czerniakowie.

24 września

Armia Ludowa i Polska Armia Ludowa (AL i PAL), korzystając z zaistniałej trudnej sytuacji mieszkańców Warszawy, przystępują do wzmożonej akcji propagandowej, drukując gazetki krytykujące m.in. powstańcze władze.

Po upadku Górnego Czerniakowa powstaje zwarty pierścień zaciskający się wokół trzech głównych ośrodków powstańczego oporu: północnego Żoliborza, południowego Mokotowa i Śródmieścia. Najcięższe walki toczą się teraz na Mokotowie.

25 września

Nocą wycofują się kanałami z Mokotowa do Śródmieścia żołnierze, cywile oraz władze.

Do dowództwa powstania przybywa dwóch parlamentarzysty ze strony niemieckiej, to wzięci do niewoli żołnierze AK. Przyniesiona przez nich propozycja kapitulacji Mokotowa nie doczeka się odpowiedzi. Powstańcy utrzymują swe pozycje w warsztatach Opla przy Włociańskiej, a także nadal bronią Bieniewickiej i Gdańskiej.

Niemcy mordują rannych oraz personel szpitali przy Czczota oraz Lenartowicza.

26 września

Ewakuacja Mokotowa. Najpierw dzielnicę opuszczają żołnierze „Radosława”, a następnie kilkudziesięciu żołnierzy AL i ludność cywilna – około 4500 osób.

27 września

Na terenie południowego Śródmieścia działa około 120 punktów dożywiania. Przy Kruczej 9 otwarto punkt wymiany najniezbędniejszych artykułów.

Kontynuowana jest ewakuacja Mokotowa. Kanały są jednak zdradliwe. Około 140 żołnierzy myli drogę i zamiast w Śródmieściu Południowym wychodzi z kanałów na ul. Dworkowej, wprost w ręce czekających tam Niemców. Zostają rozstrzelani przez Schutzpolizei. Wielu błędzi – do upragnionego Śródmieścia dociera zaledwie 800 osób.

W związku ze zbliżającą się kapitulacją Polacy o 7.00 wysyłają parlamentarzysty w celu ustalenia warunków ewakuacji ludności cywilnej. Mimo to o 8.00 rusza niemieckie natarcie. Około 13.30 Mokotów kapituluje. Do niewoli idzie ponad 1000 żołnierzy (von dem Bach podaje liczbę 2000) oraz około 5000 ludności cywilnej.

Z niemieckiej ulotki propagandowej: „Teraz powstańcy z Mokotowa będą mieli okazję jako jeńcy wojenni pomyśleć o tym, jak wspaniałomyślna jest decyzja niemieckiego dowództwa uznająca ich za jeńców wojennych i nakazująca odpowiednie traktowanie”.

28 września

Od tego dnia w Warszawie pozostają tylko dwa punkty oporu – Żoliborz i Śródmieście. Po kapitulacji Mokotowa cały wysiłek bojowy Niemcy kon-

centrują na Żoliborzu. Przygotowują generalne uderzenie na dzielnicę. Od rana trwa silny ostrzał artyleryjski, zwłaszcza rejonu ul. Krasińskiego i pl. Wilsona.

Przed południem polscy parlamentariusze, w imieniu Komendy Głównej AK, prowadzą rozmowy z von dem Bachem w jego kwaterze w Ożarowie. Niemiecki dowódca przedstawia warunki kapitulacji Warszawy. Wieczorem w kwaterze Komendy Głównej AK zapada decyzja, by rozmowy kontynuować. Tematem jest też wysłuchanie postulatów strony niemieckiej w kwestii kapitulacji, praw kombatanckich i ewakuacji ludności.

Przegrupowanie wojsk niemieckich na przedpolu Żoliborza. Przeciwko 2500 żołnierzy AK staje około 8000 Niemców wspieranych dywizją pancerną Wehrmachtu, artylerią i lotnictwem.

Hitlerowcy pacyfikują i palą wsie: Pociechę, Wiersze, Janówek, Brzózówkę, Krogulec i inne.

29 września

Pertraktacje Polaków z von dem Bachem. Niektóre powstańcze dzienniki podają, że na Mokotowie walki trwają nadal (mimo kapitulacji 27 września).

Kolejna depesza premiera Mikołajczyka do Stalina o podjęcie działań mających na celu pomoc Warszawie.

Rano rozpoczyna się generalny szturm na Żoliborz. Przeważające siły wroga kilkakrotnie nacierają od południa i zachodu.

Z depeszy gen. Komorowskiego „Bora” do gen. Kazimierza Sosnkowskiego: „Dalsza walka w izolowanych kotłach [Śródmieście, Żoliborz] może stać się niemożliwa. Głód. Jeśli nie otrzymamy skutecznej pomocy przez uderzenie Sowietów do 1 października, będziemy zmuszeni zaprzestać walki”.

Do obozu koncentracyjnego w Stutthofie trafia 1258 warszawiaków, w tym żołnierze i 40 kobiet z AK.

30 września

Z Niemcami prowadzone są pertraktacje w sprawie zawieszenia broni w dniach 1 i 2 października 1944 roku. Ma ono umożliwić bezpieczną ewakuację ludności. Prezydent Władysław Raczkiewicz mianuje gen. Komorowskiego „Bora” Naczelnym Wodzem Polskich Sił Zbrojnych.

Ciężkie walki o każdy dom przy ulicach Mickiewicza i Krasińskiego (Żoliborz). Równolegle toczą się też rozmowy w sprawie wstrzymania działań wojennych. Dzielnica kapituluje o 18.19, a walczące dotąd oddziały do 23.00 składają broń. Ponad 1500 żołnierzy, 60 oficerów i około 440 rannych trafia do niemieckiej niewoli.

1 października

Podczas tymczasowego zawieszenia broni następuje ewakuacja 8000 osób, w większości kobiet i dzieci. W zasadzie ludność, pomimo niezwykle ciężkich warunków bytowych, chce pozostać w mieście tak długo jak AK. Według obliczeń von dem Bacha stolicę miało opuścić w dniach 1 i 2 października około 200 000 – 250 000 ludzi, tymczasem wyszło około 3–4 procent.

Wobec beznadziejnej sytuacji po upadku Mokotowa i Żoliborza oraz z braku jakiegokolwiek realnej pomocy Komenda Główna AK i Delegatura Rządu decydują się kontynuować rozmowy kapitulacyjne. Gen. Tadeusz Komorowski „Bór” wyznacza komisję do prowadzenia rokowań kapitulacyjnych: przewodniczący – płk Kazimierz Iranek-Osmecki „Heller”, ppłk Zygmunt Dobrowolski „Zyndram”, ppłk Franciszek Herman „Bogusławski” i kpt. Alfred Korczyński „Sas” – tłumacz. W nocy zostaje opracowany z udziałem płk. Antoniego Chruściela „Montera” polski projekt umowy o zaprzestaniu działań bojowych w Warszawie. Ma on stanowić podstawę do rozmów ze stroną niemiecką. Po godzinie 19.00, po upływie terminu rozejmu, Niemcy wznawiają gwałtowny ostrzał artyleryjski Śródmieścia.

2 października

Cały dzień ludność cywilna opuszcza Warszawę. Wychodzi około 16 000 osób, jednak około 80 procent mieszkańców Śródmieścia pozostaje w mieście. Do godziny 20.00–21.00 walki w stolicy ustają. Około godziny 2.00 (w nocy z drugiego na trzeci października) podpisano honorowy akt kapitulacyjny. W akcie tym żołnierze AK uznani zostają za jeńców wojennych i przyznaje się im prawa kombatancie. Ludność cywilna ma być chroniona i traktowana zgodnie z konwencjami wojennymi. Warunki te zostały przez Niemców złamane, gdyż osadzono ją w obozie w Pruszkowie, skąd masowo wywożono do obozów koncentracyjnych i na przymusowe roboty.

W Ożarowie zostaje podpisany układ o zaprzestaniu działań wojennych w Warszawie. Sygnatariuszami są ze strony niemieckiej gen. Erich von dem Bach, ze strony polskiej zaś płk Kazimierz Iranek-Osmecki „Heller” i ppłk Zygmunt Dobrowolski „Zyndram”.

Najważniejsze ustalenia umowy kapitulacyjnej obejmują:

– przyznanie powstańcom, także tym, którzy dostali się do niewoli od 1 sierpnia 1944 roku poczynając, uprawnień wynikających z konwencji genewskiej z 27 sierpnia 1929 roku, dotyczącej postępowania z jeńcami wojennymi;

– powstańcy nie będą ponosić odpowiedzialności za działalność wojskową i polityczną przed powstaniem;

– oddziały Armii Krajowej mają opuszczać miasto w celu złożenia broni w dniach 4 i 5 października;

– wobec ludności cywilnej ewakuowanej z Warszawy nie będą wyciągane żadne konsekwencje w związku z działalnością we władzach i w administracji cywilnej.

3 października

O 2.00 w nocy, po długich negocjacjach prowadzonych w dworku Reicherów w Ożarowie Mazowieckim, upoważnieni przez komendanta głównego Armii Krajowej gen. dyw. Tadeusza Komorowskiego „Bora”, płk Kazimierz Iranek-Osmecki „Heller” i ppłk Zygmunt Dobrowolski „Zyndram” podpisują „Układ o zaprzestaniu działań wojennych w Warszawie”. Generał Komorowski „Bór” podpisuje rozkaz o zakończeniu walki.

Ludność Warszawy masowo opuszcza miasto. Z obozu w Pruszkowie droga prowadzi do obozów, na roboty przymusowe do Niemiec bądź w głąb kraju.

Zgodnie z postanowieniami układu kapitulacyjnego od rana trwa usuwanie barykad znajdujących się najbliżej linii niemieckich. Powstańcy przygotowują się do złożenia broni. Odbywają się ostatnie odprawy oficerów i zbiórki żołnierzy. Odczytywane są rozkazy dowódców zgrupowań z wiadomością o kapitulacji oraz pożegnalny rozkaz dowódcy Warszawskiego Korpusu AK, płk. Antoniego Chruściela „Montera”. Trwa porządkowanie spraw kancelaryjnych, nadawanie odznaczeń i awansów.

Wyplącony zostaje pierwszy żołd. Dowódcy oddziałów powierzają zaufanym żołnierzom ukrycie części broni i amunicji oraz dokumentów. Zgodnie z postanowieniami umowy kapitulacyjnej przez kilka dni, w celach

porządkowych, pozostaje w mieście wyznaczony batalion osłonowy (asystencyjny). Składa się z trzech uzbrojonych kompanii AK w sile około 300 żołnierzy z batalionu „Kiliński” i około 120 z batalionu „Miłosz”.

4 października

Rada Ministrów podejmuje uchwałę o dwutygodniowej żałobie narodowej, która rozpoczyna się tego samego dnia. Powodem jest klęska Warszawy.

Zostaje nadany ostatni (dziesięciominutowy) komunikat radiostacji „Błyskawica”, po czym urządzenia zostają zniszczone przez kierownika zespołu Jana Gieorgicę „Grzegorzewicza”.

5 października

Z Warszawy wychodzą ostatnie oddziały żołnierzy AK zebrane na placu Politechniki. Ze Śródmieścia odmaszerowują do niewoli oddziały 28. Dywizji Piechoty AK oraz sztab Komendy Głównej i Korpusu AK, 6 generałów: : Tadeusz Komorowski, Tadeusz Pełczyński, Antoni Chruściel, Tadeusz Kossakowski, Kazimierz Sawicki, Albin Skroczyński. Ogółem zgodnie z raportem dowodzącego wzięto do niewoli 17 443 powstańców, w tym 2028 oficerów. Kilka tysięcy powstańców wychodzi z Warszawy wraz z ludnością cywilną.

Erich von dem Bach w raporcie dla Himmlera wstępnie podaje także straty swoich sił: 73 zabitych oficerów, 1453 podoficerów i żołnierzy, 44 obcokrajowców w służbie niemieckiej – razem 1570. Rannych 242 oficerów, 7054 podoficerów i żołnierzy, 178 obcokrajowców – razem 7474. Zabitych i rannych ogółem – 9044. Trzeba jednak pamiętać, że nie znał strat niemieckich w pierwszych dniach powstania, gdyż dowodzenie objął wieczorem 5 sierpnia, a także dlatego, że na początku powstania zniszczone zostały całe jednostki hitlerowców, o których później nie udało się dowiedzieć. Straty w pierwszym dniu powstania dowódca garnizonu generał Stahel w raporcie z 28 sierpnia określił na około 500 zabitych i rannych. Raport dowództwa 9. Armii z 18 września określił straty niemieckie od 1 sierpnia na 8951 zabitych lub rannych.

Ostatni komendant Armii Krajowej gen. Leopold Okulicki „Niedźwiadek” po opuszczeniu Warszawy z ludnością cywilną przedostaje się do Częstochowy, która staje się stolicą Polskiego Państwa Podziemnego.

1945

17 stycznia

Do całkowicie zrujnowanej i opustoszałej lewobrzeżnej Warszawy wkraczają żołnierze 1. Armii Wojska Polskiego.

Aneks do przypisów

Ulica Żurawia

Dzisiejsza ulica Żurawia (niegdyś pisana przez „ó”) biegnie od Brackiej po Poznańską. W latach 1935–1945 jej odcinek pomiędzy Marszałkowską a Poznańską nazwano imieniem Tadeusza Żulińskiego, działacza POW z lat pierwszej wojny światowej. Położona na południe od jednej z najważniejszych arterii Warszawy – Alei Jerozolimskich – podczas Powstania Warszawskiego została nazwana Śródmieściem Południowym.

W okresie międzywojennym rejon ten zyskał sobie bezapelacyjne miano warszawskich salonów. Wynikało to z charakteru zabudowy, którą stanowiły eleganckie, w większości secesyjne kamienice, a wśród jej mieszkańców dominowała inteligencja, urzędnicy, pracownicy państwowi. Również lekarze przepadali za tą lokalizacją. Południowa część Śródmieścia stanowiła mekkę dobrych sklepów i restauracji. W rejonie Alej Ujazdowskich, od placu Trzech Krzyży po Belweder i plac Unii Lubelskiej, w licznych budynkach znalazły swe siedziby prestiżowe urzędy i instytucje państwowe, z gmachem Sejmu i wieloma ministerstwami włącznie. W okolicach placu Trzech Krzyży zbudowano też Muzeum Narodowe, w którym przechowywano najcenniejsze zabytki sztuki i kultury polskiej.

Z historycznego punktu widzenia Żurawia swą nazwę wywodzi „od rosnących na sposobnym do tego gruncie żurawin”. Żurawińcem niegdyś zwano okolice dzisiejszej Nowogrodzkiej, Poznańskiej i Wspólnej, skąd jeszcze w XIX wieku wypływała rzeczka Żurawka. W 1766 roku nazywano ją Ulicą do Stawu i choć w 1770 roku otrzymała urzędową nazwę „Żurawia”, to około 1780 roku zwano ją też ulicą Żórawieńców, ze względu na staw Żórawieniec położony w pobliżu obecnych ulic Poznańskiej, Wspólnej, Świętej Barbary i Żurawiej.

Wielkemiejską historię Żurawia rozpoczęła w 1766 roku, kiedy to wytyczył ją geometra Maciej Deutsch, parcelując włość należącą do Zgromadzenia Misjonarzy. Ulicy nadano znaczną szerokość – 31 staropolskich łokci (18,4 m) – tak że była na głowę sąsiednie Nowogrodzką i Wspólną. Zabudowano ją (w latach 1766–1784) domami drewnianymi i około 20 dworkami (w tym jednym murowanym), na których zapleczu rozciągały się ogrody. Na rogu Żurawiej i Kruczej stanął browar, który zlikwidowano w połowie XIX wieku. Ulicę, pierwotnie dochodzącą do Nowego Świata, skrócono w 1818 roku przez powiększenie placu Trzech Krzyży. Bruk, położony pierwotnie tylko w pobliżu placu, rozciągnięto w 1847 roku na całą długość.

Murowaną zabudowę ulicy rozpoczęto dopiero w czasach Królestwa Kongresowego. W 1832 roku stanął dom Krzemińskiego (późniejszy nr 1, architekt A. Corazzi). Do 1844 roku powstało ich jeszcze sześć. Kiedy w 1858 roku po stronie północnej ulicę poszerzono, nastąpiła kolejna faza zabudowy, trwająca do lat siedemdziesiątych XIX w. Kolejno powstały kamienice: pod nr 7 (1862); na narożniku z Marszałkowską, o fasadzie nawiązującej do włoskiego klasycyzmu (1864 roku, architekt L. Rakowski); w 1865 – nr 21; około 1870 – nr 2 przy rogu Brackiej (klasycyzująca fasada, architekt A. Woliński); w 1879 – nr 11, neorenesansowa ozdobiona kariatydami.

Po 1880 roku Żurawią doprowadzono do ulicy Wielkiej (obecna Poznańska). Na miejscu dawnych drewnianych, otoczonych ogrodami domów powstały obiekty murowane. Rozbudowa przypadła na koniec XIX i początek XX wieku. Na rogu Wielkiej (obecnie nr 44) wybudowano siedzibę biur żandarmerii funkcjonującej przy generał gubernatorze warszawskim (z fasadą w stylu neorenesansu rosyjskiego, architekt rosyjski W.P. Fedders). Kamienice wówczas budowane miały charakter secesyjny: np. nr 22 z 1903 roku, nr 3 z 1905 roku, dość oryginalnie udekorowana rzeźbami i płaskorzeźbami, nr 4 z 1906 roku bogato ornamentowana (architekt L. Panczakiewicz).

Około roku 1910 wybudowano przy Żurawiej kilka kamienic o fasadach modernistycznych. Najciekawsza architektonicznie była pięciopiętrowa kamienica nr 4a, chyba najbardziej interesująca w Warszawie tego okresu, będąca połączeniem modernizmu i stylu empire, z doryckimi pilastrami, korynckimi kolumnami, empirowymi gryfami i orłami napoleońskimi, dzieło architektów H. Stifelmana i S. Weissa). Oprócz niej w latach 1910–

1911 wybudowano istniejące do dziś kamienice o numerach 24, 24a (architekt E. Eber) i 26 o monumentalnych fasadach wzorowanych na berlińskim modernizmie.

W dwudziestoleciu międzywojennym zabudowa Żurawiej nie podlegała większym zmianom. Niestety w roku 1944 większość kamienic przy Żurawiej uległa zniszczeniu.

W odbudowującej się Warszawie wprowadzono zmiany. W 1950 roku ulicę znacznie poszerzono po stronie południowej (nieparzystej). Pod nr 1 odbudowano dom nawiązujący do architektury Corazziego i odrestaurowano kamienicę nr 2 przy rogu Brackiej. Między Kruczą i Marszałkowską po stronie nieparzystej wzniesiono gmach Ministerstwa Rolnictwa, a przy drugim rogu Kruczej – Ministerstwa Górnictwa i Energetyki. W latach 1959–1960 stronę parzystą ulicy od Kruczej w stronę Marszałkowskiej zabudowano wolno stojącymi domami mieszkalnymi osiedla „Żurawia”, usytuowanymi szczytem do Żurawiej, i pawilonami sklepów.

Pod numerem 4a utworzono szpital dla ciężko rannych, w którym operowało czterech chirurgów. Bombardowania i artyleryjski ostrzał tej części Żurawiej bynajmniej nie omijały. 8 września w budynki trafiły pociski (około 8.00 i 15.00). Kolejne bezpośrednie trafienia nastąpiły 12 i 16 września i spowodowały, że „szpitalna” kamienica straciła piąte i szóste piętro. Rannych ewakuowano na Mokotowską i Nowogrodzką. Nastroje w tej części Żurawiej przedstawiały się różnorodnie, jak zresztą w całej Warszawie, i zależały od wielu subiektywnych czynników. Wewnętrzny meldunek sytuacyjny placówki informacyjno-radiowej BIP KG AK (stacja „Anna”) o nastrojach wśród ludności i jednostek wojskowych na terenie Śródmieścia Południe (21 sierpnia) podawał: „W środowiskach ostatnio ewakuowanych z zagrożonych domów przy ul. Noakowskiego i Lwowskiej obserwuje się wzrost defetyzmu. [...]; na ogół nastroje uległy pewnej poprawie, malkontenci trochę przycichli. Rozmowy «krytykujące» prowadzone ostrożnie i w ścisłych gronach. [...]. O poziomie nastrojów decyduje jednak głównie osobisty wpływ komendanta domu, np. dwa domy o tym samym mniej więcej składzie społecznym i tym samym położeniu sytuacyjnym na ul. Żurawiej mają różne nastroje: nr 4 bardzo dobre, a dom nr 4a znacznie gorsze. Zwłaszcza duże znaczenie mają tzw. «lektorzy» prasy. [...]”.

Dzielnice policyjna i rządowa w Warszawie (1939–1945)

Nazwa dzielnica policyjna została nadana przez władze okupacyjne fragmentowi Śródmieścia Południe (w rejonie al. Szucha), gdzie hitlerowcy ulokowali najważniejsze placówki swojej policji i służb bezpieczeństwa. Mianem dzielnicy rządowej zaś władze okupacyjne określały fragment Śródmieścia Północ (w rejonie placu Piłsudskiego), gdzie znalazły się siedziby niemieckich władz partyjnych, administracyjnych i wojskowych. Były to dwa rejony Warszawy o statusie „Nur für Deutsche”. Obie dzielnice łączyła specjalna linia tramwajowa 0 zarezerwowana tylko dla Niemców.

Dzielnica policyjna obejmowała kilka kwartałów Śródmieścia Południowego, zamkniętych ulicami: Al. Ujazdowskie – 6 Sierpnia – Klonowa – Flory. Jej centrum stanowiła al. Szucha, której nazwę Niemcy zmienili na Strasse der Polizei (ul. Policyjna). Większość znajdujących się w tym rejonie budynków została zajęta przez Niemców na biura i mieszkania dla funkcjonariuszy aparatu okupacyjnego. Najważniejszym obiektem był gmach przedwojennego Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego przy al. Szucha 25, gdzie ulokowana została siedziba niemieckiej policji bezpieczeństwa (Sicherheitspolizei). Miejsce to cieszyło się ponurą sławą w okupowanej Warszawie. W zamierzeniach okupanta dzielnica policyjna miała stanowić jedynie element wyodrębnionej „niemieckiej dzielnicy mieszkaniowej”, która miała obejmować niemal całe Śródmieście Południowe oraz dużą część Mokotowa. Ostatecznie stworzenie takiej odrębnej dzielnicy nie doszło do skutku ze względu na niechęć Niemców do osiedlania się w jej obrębie. Siły niemieckie były rozmieszczone w bezpośrednim otoczeniu dzielnicy, m.in. dwa bataliony Schutzpolizei stacjonowały w kompleksie sejmowym przy Wiejskiej. Jesienią 1943 roku, w związku z rosnącą liczbą zamachów na Niemców, zagrodzono szlabanami wszystkie wyloty al. Szucha oraz praktycznie uniemożliwiono osobom postronnym wstęp na teren dzielnicy policyjnej.

Do ważnych obiektów znajdujących się w obrębie tej dzielnicy można zaliczyć także:

– siedzibę komendanta niemieckiej policji porządkowej (Ordnungspolizei) na dystrykt warszawski, w dawnym gmachu NIK przy al. Szucha 23;

- siedzibę dowódcy SS i Policji na dystrykt warszawski, znajdującą się w pałacyku Leszczyńskich przy Al. Ujazdowskich 23;
- siedzibę niemieckiej policji kryminalnej (Kriminalpolizei) przy Al. Ujazdowskich 7/9 (obecnie nr 11);
- oficerskie kasyno garnizonowe przy al. Szucha 29 (od 1940 roku mieściło się tam kasyno dla Polaków);
- wychowawczy obóz pracy policji bezpieczeństwa przy ul. Litewskiej 14 (od jesieni 1943 roku).

Ze względu na liczbę zlokalizowanych w tym rejonie placówek niemieckiej policji i służb bezpieczeństwa dzielnic policyjna była penetrowana przez polskie podziemie.

AK przeprowadziła tam kilka akcji bojowych. M.in. zamach bombowy na kasyno garnizonowe przy al. Szucha (19 maja 1942); akcja „Milke” – nieudany zamach żołnierzy oddziału „Agat” na folksdojczę Alfreda Milkego, groźnego konfidenta i funkcjonariusza gestapo. Zamach nie doszedł do skutku, jednak w trakcie przypadkowej strzelaniny w al. Szucha zastrzelono SS-Obersturmführera Josepha Lechnera, szefa referatu w urzędzie komendanta SD i policji bezpieczeństwa na dystrykt warszawski (5 października 1943); akcja „Kutschera” harcerskiego oddziału „Pegaz” (dawniej „Agat”) na Franza Kutschere, dowódcę SS i Policji na dystrykt warszawski, odpowiedzialnego za masowe egzekucje polskich zakładników (1 lutego 1944); akcja „Stamm” – nieudany zamach członków oddziału „Pegaz” na SS-Sturmbannführera Waltera Stamma, szefa Wydziału IV (gestapo) w urzędzie komendanta SD i policji bezpieczeństwa na dystrykt warszawski (6 maja 1944).

W pierwszych dniach powstania żołnierze AK uderzyli na niemieckie obiekty w dzielnicy policyjnej. Słabo uzbrojeni powstańcy nie byli w stanie zdobyć siedziby Sipo w al. Szucha, której broniło blisko 800 dobrze uzbrojonych policjantów i gestapowców. Za cenę ogromnych strat udało się jedynie przejściowo opanować kasyno garnizonowe, część ruin Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych (GISZ) przy Al. Ujazdowskich 1/3 oraz warsztaty samochodowe przy ul. Bagatela. Po odparciu polskiego ataku Niemcy przystąpili do eksterminacji mieszkańców pobliskich kwartałów. Do końca września 1944 roku na terenie Ogródka Jordanowskiego przy ul. Bagatela oraz w ruinach gmachu GISZ zostało zamordowanych od 5000 do 10 000 Polaków.

Dzielnica rządowa obejmowała kilka kwartałów Śródmieścia Północnego, rozciągających się od Ogrodu Saskiego po Krakowskie Przedmieście. Centrum stanowił plac marszałka Józefa Piłsudskiego, którego nazwę Niemcy zmienili na Adolf-Hitler-Platz. W dzielnicy ulokowane zostały siedziby niemieckich władz partyjnych, administracyjnych i wojskowych sprawujących rządy w okupowanej Warszawie. Przede wszystkim:

– urząd gubernatora dystryktu warszawskiego, w pałacu Brühla przy pl. Piłsudskiego róg ul. Wierzbowej (przed wojną siedziba Ministerstwa Spraw Zagranicznych);

– siedziba 225. Nadkomendantury Polowej (Oberfeldkommandantur 225), w Pałacu Saskim przy placu Piłsudskiego (przed wojną siedziba Sztabu Głównego WP);

– urząd starosty miejskiego (Stadthauptmann), w pałacu Blanka przy ul. Senatorskiej;

– tzw. Deutsches Haus („Dom Niemiecki”), w Pałacu Namiestnikowskim przy Krakowskim Przedmieściu.

Rejon placu Piłsudskiego i Krakowskiego Przedmieścia już w pierwszych tygodniach okupacji został zajęty przez Niemców na siedziby rozmaitych urzędów administracyjnych, partyjnych i wojskowych. Zadecydowały o tym takie czynniki, jak funkcjonalność i wysoki standard architektoniczny znajdujących się tam budynków oraz lokalizacja w najbardziej reprezentacyjnej części miasta.

W okresie okupacji na placu Piłsudskiego lub w pobliskim Deutsches Haus przy Krakowskim Przedmieściu Niemcy urządzali najważniejsze uroczystości organizowane przy okazji świąt partyjnych lub państwowych.

W pierwszym dniu powstania, 1 sierpnia 1944 roku, żołnierze AK uderzyli na niemieckie obiekty w dzielnicy rządowej, lecz nie zdołali opanować rejonu placu Piłsudskiego, którego broniły znaczne siły okupanta dysponujące wsparciem broni pancernej. Powstańcom udało się zdobyć jedynie pałac Blanka (3 sierpnia). Dzielnica rządowa broniła się w okrążeniu do 7 sierpnia, kiedy to odblokowała ją niemiecka odsiecz od strony Woli.

Śródmieście Południe

Do momentu wybuchu Powstania Warszawskiego teren ten był integralnie związany z pozostałą częścią Śródmieścia. Powstańcza rzeczywistość

sprawiła, że linia Al. Jerozolimskich, będąca pod stałym ostrzałem, rozdzieliła dzielnicę śródmiejską na dwie części, połączone jedynie wąską nitką przekopu i barykady od kamienic nr 17 do 22, co spowodowało oficjalne wydzielenie Śródmieścia Południe jako podobwodu. Ta część Śródmieścia, poza linią Marszałkowskiej i okolic obecnego placu Konstytucji oraz ulicą Kruczą, w znacznym stopniu zachowała do dziś podobny układ ulic i zabudowy.

Latem 1939 roku w kawiarniach i parkach toczono długie dyskusje na temat coraz groźniejszej sytuacji politycznej; ogólnie nastroje były optymistyczne i przeważał pogląd, że wojny uda się uniknąć.

O świcie 1 września 1939 roku pierwsze bomby spadły na przedmieścia Warszawy: Okęcie, Rakowiec i Koło. Pomimo ofiar nie było paniki. Od 11 września Śródmieście zaczęło być ostrzeliwane przez ciężką artylerię. Pociiski uszkodziły m.in. Belweder oraz wiele kamienic w tej części miasta.

17 września Śródmieście przeżyło jedno z najcięższych bombardowań. Główne place i skwery miasta zamieniono w cmentarze. Setki ludzi pogrzebano m.in. na placu Trzech Krzyży i na skwerze przy ul. Frascati. Były to dwa największe cmentarze w Śródmieściu Południe.

20 września przyniósł bardzo wiele ofiar i poważne zniszczenia w południowej części Śródmieścia. Uszkodzone bombami zostało Muzeum Narodowe, pod ostrzałem artyleryjskim zawaliło się wiele domów. Trwały naloty.

Po bombardowaniu 24 września spłonęła część politechniki, zniszczeniu uległ Szpital Dzieciątka Jezus. Znaczne ofiary Śródmieście Południe poniosło też w całodziennym nalocie 25 września nazwanym „krwawym lanym poniedziałkiem”.

27 września ukazał się pierwszy numer „Gazety Wspólnej” wydawanej przez redaktorów głównych tytułów prasowych. Gazeta informowała o rozpoczęciu rozmów na temat kapitulacji miasta. Tego samego dnia utworzono pierwszą wojskową organizację konspiracyjną pod auspicjami Naczelnego Wodza. Na czele Służby Zwycięstwu Polski stanął Michał Karaszewicz-Tokarzewski. Członkowie Naczelnej Rady Harcerskiej podjęli decyzję o przejściu ZHP do konspiracji. Na czele Głównej Kwatery Męskiej (późniejszych Szarych Szeregów) stanął hm. Florian Marciniak. Pogotowiem Harcerki kierowała hm. Józefa Łapińska.

Po podpisaniu aktu kapitulacji polscy obrońcy stolicy 30 września i 1 października opuścili miasto w dwóch kierunkach, ulicami Puławską i Wol-

ską. Do Warszawy wkroczyły pierwsze oddziały niemieckie.

5 października Hitler przyjął defiladę wojsk niemieckich z trybuny ustawionej po parzystej stronie Al. Ujazdowskich, między placem Na Rozdrożu a Piusa XI, potem udał się do centrum miasta. Z niektórych domów na trasie jego przejazdu usunięto mieszkańców. Mimo to właśnie tego dnia na trasie przejazdu Hitlera przy ulicy Nowy Świat 7 odbyło się ważne zebranie. Przy dowództwie Służby Zwycięstwu Polski ukonstytuowała się Główna Rada Polityczna złożona z przedstawicieli partii politycznych. Na jej czele stanął Mieczysław Niedziałkowski.

10 października w Warszawie ukazał się pierwszy numer konspiracyjnego pisma „Polska Żyje”, a dzień później „Nowy Kurier Warszawski” (pismo wydawano pod auspicjami niemieckimi).

Wstrząsające wrażenie na mieszkańcach zrobiły pierwsze obwieszczenia o wykonaniu wyroków śmierci na skazanych za posiadanie broni. Miejscem kaźni stały się Ogrody Sejmowe; jedna z hipotez zakłada, że właśnie tam zginął legendarny prezydent Warszawy Stefan Starzyński.

Pod koniec października na ulicach Warszawy pojawiły się plakaty informujące o utworzeniu Generalnego Gubernatorstwa ze stolicą w Krakowie. W planach niemieckich Warszawa miała stać się mało ważnym, podupadającym miastem prowincjonalnym.

5 listopada ukazał się pierwszy numer „Biuletynu Informacyjnego”, który jako organ kolejno SZP – ZWZ – AK stał się najważniejszym pismem nie tylko podziemnej Polski, ale również Europy.

Pod koniec grudnia 1939 roku Niemcy rozpoczęli systematyczną grabież zbiorów Muzeum Narodowego. Tylko część eksponatów udało się ukryć.

30 grudnia 1939 roku Służba Zwycięstwu Polski została zreorganizowana i w kolejny, 1940 rok weszła pod nazwą Związek Walki Zbrojnej oraz z nowym komendantem płk. Stefanem Roweckim – ps. „Grot”, „Rakoń”.

Akcja określana przez Niemców kryptonimem „A-B”, skierowana przeciwko polskiej inteligencji i znanym osobistościom życia publicznego, zataczała coraz szersze kręgi. Kolejni zatrzymani zostali rozstrzelani w Palmirach.

Warszawiakami wstrząsnęło w dniach 30–31 maja 1940 roku zdemontowanie pomnika Fryderyka Chopina w Łazienkach. Poszczególne jego części Niemcy wywieźli na złom.

Niemal jednocześnie na ulicach miasta pojawiły się niemieckie tabliczki z nowymi nazwami ulic. W Śródmieściu Południowym – pl. Trzech Krzyży

to odtąd Dreikreuzplatz, Al. Ujazdowskie – Lindenallee, park Ujazdowski – Alleepark, Łazienki – Seegarten, Belwederska – Sonnenstrasse, Wiejska – Dorfstrasse, Prusa – Marsstrasse, Marii Konopnickiej – Friedenstrasse. Park Łazienkowski został przeznaczony wyłącznie dla Niemców, w późniejszym okresie dla Polaków stał się niedostępny również park Ujazdowski.

Od 18 lipca 1940 roku obywatelom narodowości żydowskiej nie wolno było wchodzić do parków publicznych, siadać na ławkach oraz chodzić po niektórych ulicach w Śródmieściu.

Władze niemieckie ogłosiły nakaz opuszczenia przez Żydów rejonu Nowego Świata, pl. Trzech Krzyży i Al. Ujazdowskich (m.in. ul. Koszykowa, Wilcza, Wspólna, Żurawia, Nowogrodzka) w związku z planami utworzenia tam dzielnicy niemieckiej.

W „Biuletynie Informacyjnym” ukazał się artykuł autorstwa redaktora naczelnego Aleksandra Kamińskiego z wezwaniem społeczeństwa do udziału w tzw. małym sabotażu. Artykuł zaowocował powstaniem 12 grudnia 1941 roku organizacji Małego Sabotażu „Wawer”, która do końca okupacji nie pozwoliła społeczeństwu ani na chwilę pogodzić się z warunkami niewoli, a Niemcom na każdym kroku przypominała, że są w Warszawie tylko chwilowymi i to bardzo niepożądanymi „gośćmi”.

1942 rok był też początkiem wielkiej akcji malowania na murach kotwic jako symbolu Polski Walczącej. Znaki te pojawiały się również na najpilniej strzeżonych gmachach w dzielnicy niemieckiej.

22 maja w prasie okupacyjnej pojawiły się dokładniejsze dane na temat dzielnicy niemieckiej. Tylko dla Niemców miały być przeznaczone kamienice na Nowym Świecie nr 1–15 i 2–16, pl. Trzech Krzyży 1–30 i 2–18, w Al. Ujazdowskich 25, 27, 41, 43, na ul. Chopina 1–19 i 2–18, Mokotowskiej nr 35–41 i 26–32, Koszykowej nr 1–29 i 2–24, Służewskiej 1–9, 2a, 2, 4, 6 oraz 6 Sierpnia 1–3 i 2–16, na al. Szucha 1–29 i 2–16, wreszcie na pl. Unii Lubelskiej i ul. Puławskiej. Tym samym znaczna i najpiękniejsza część Śródmieścia Południowego została przeznaczona wyłącznie dla Niemców.

Po 20 lipca 1944 roku warszawiacy z satysfakcją obserwowali masową ucieczkę cywilnych Niemców z Warszawy. Niemieckie zarządzenie wzywające 100 000 mężczyzn do kopania rowów strzeleckich na przedpolach Warszawy zostało całkowicie zignorowane.

30 lipca konspiracyjna „Rzeczpospolita Polska” pojawiła się w jawnym kolportażu na ulicach miasta. W obliczu zbliżającej się Armii Czerwonej 31

lipca zapadła decyzja wyznaczająca godzinę „W” – rozpoczęcia działań zbrojnych w Warszawie – na 17.00 1 sierpnia.

W tym czasie siły niemieckie stacjonujące w stolicy wynosiły około 20 000 żołnierzy, w tym około 11 000 stanowiły regularne jednostki Wehrmachtu, a pozostałe to formacje SS i SA, Schutzpolizei i żandarmerii oraz kolaboranckie.

Armia Krajowa dysponowała około 40 000 członków, jednak bardzo słabo uzbrojonych. Śródmieście Południowe stanowiło część składową jednego z 7 Obwodów AK – Śródmieście pod dowództwem płk. „Radwana” – Edwarda Pfeiffera. Oddziałom mobilizowanym w południowej części Śródmieścia wyznaczono na godzinę „W” bardzo ambitne zadania, m.in. zdobycie gmachów dzielnicy policyjnej w al. Szucha, na pl. Zbawiciela i w Al. Ujazdowskich, umocnionych budynków przy Chałubińskiego i w Al. Niepodległości. Niemal nieuzbrojonym oddziałom powstańczym większości tych placówek nie udało się zająć; nie opanowały też mostu Poniatowskiego, co wywarło zasadniczy wpływ na podział dzielnicy śródmiejskiej.

Sukcesy powstańczych oddziałów z tej części Śródmieścia były nieznaczne, a straty własne (zwłaszcza w nieudanych akcjach) wręcz olbrzymie. Bilansem godziny „W” w Śródmieściu Południowym było wiele placówek czy fragmentów ulic obsadzonych przez oddziały, które w dużej mierze nie miały ze sobą łączności. Następne dni musiały ten stan rzeczy zmienić i uporządkować.

W Śródmieściu Południowym Niemcy nadal obsadzali najważniejsze obiekty, m.in. Stację Telefonów przy Piusa XI, budynki w Al. Ujazdowskich i na Wiejskiej, w tym gmach YMCA, budynki w al. Szucha, przy Chałubińskiego czy BGK na rogu Al. Jerozolimskich i Nowego Świata. Zajmowali też gmach Muzeum Narodowego, a pod ostrzałem trzymali ul. Marszałkowską i Al. Jerozolimskie.

Od 2 sierpnia oddziały obsadzające poszczególne obszary w Śródmieściu Południowym zaczęły się reorganizować i nawiązywać łączność z sąsiadami. W kolportażu pojawił się pierwszy powstańczy numer „Biuletynu Informacyjnego”, ukazała się też gazeta polowa „Warszawa Walczy”. Na murach umieszczono pierwszy apel porządkowy władz cywilnych Polskiego Państwa Podziemnego. Dotyczył on grzebania zmarłych (zarówno Polaków, jak i Niemców), zakazywał samosądów, nakazywał zatrzymywanie Niemców i folksdojczów do dyspozycji władz i zabezpieczanie mienia

poniemieckiego. Atmosfera pierwszych dni powstania była pełna nadziei i entuzjazmu.

6 sierpnia dowodzącej Składnicą Meldunkową por. „Eli” udało się kanałami nawiązać łączność z Mokotowem. Przez najbliższe tygodnie tę trasę przemierzać będą łącznicy i łączniczki obu dzielnic, a nawet listonosze Poczty Harcerskiej, z głównej kwatery poczty przy Wilczej 41.

Na czele władz cywilnych Śródmieścia Południowego, czyli Rejonu IV, stał powołany na to stanowisko 9 sierpnia delegat rejonowy o uprawnieniach przedwojennego starosty, sędzieja Edward Quirini „Stanisław Kulesza”. Biuro znajdowało się przy Kruczej 15 i zatrudniało kilkanaście osób, zajmujących się kwestiami bezpieczeństwa, obroną przeciwpożarową i OPL, wyżywieniem, zdrowiem, mieszkaniami, opieką społeczną, sprawami technicznymi, informacją i propagandą.

W Rejonie IV w końcu sierpnia przebywało około 150 000 osób cywilnych, w tym 60 000 uchodźców z innych dzielnic, nic też dziwnego, że problemy były olbrzymie. Delegatowi rejonowemu podlegali komendanci domów, a im Komitety Domowe OPL.

Życie codzienne cywilnych mieszkańców kamienicy w dużym stopniu zależało od energii i operatywności komendanta. Do jego zadań należało zorganizowanie dyżurów OPL, zgromadzenie zapasów wody i piasku, zatrzymywanie, legitymowanie i przekazywanie władzom osób podejrzanych. Komendant miał prawo rekwizycji towarów i przedmiotów na rzecz wojska lub innych mieszkańców, sprawował nadzór nad mieniem mieszkańców i ponemieckim. Jego obowiązkiem było wyszukiwanie i przydzielanie kwater uchodźcom i bezdomnym; mógł w tym celu dokonywać rekwizycji lokali. Komendant miał też czuwać nad organizacją wyżywienia dla wszystkich mieszkańców kamienicy, sporządzać listę zapasów poszczególnych lokatorów. Odpowiadał za utrzymanie czystości, nadzorował budowę przejść podziemnych, co pozwoliło w znacznym stopniu poruszać się po całych kwartałach ulicy bez wychodzenia na powierzchnię, a to w rejonie nękanym ostrzałem miało kluczowe znaczenie. Komendant nadzorował też dystrybucję wody, organizował pochówki poległych, do niego należała także kontrola nad przekazywaniem do dowództwa zasobników zrzutowych podjętych na posesji.

Władze cywilne dzielnicy dobrze wywiązywały się ze swych zadań. Zorganizowano sieć kuchni blokowych, do 24 sierpnia w Śródmieściu Południowym uruchomiono 23 studnie i 31 ujęć wodnych, opracowano harmo-

nogramy poboru wody, aby uniknąć konfliktów między wojskiem, służbą zdrowia a cywilami. Mimo tragicznych warunków sanitarnych i aprowizacyjnych nie doszło do wybuchu epidemii. Przeprowadzono nawet szczepienia przeciwko tyfusowi i dyzenterii.

7 września Niemcy kontynuowali ataki na przejście przez Al. Jerozolimskie. Żołnierze „Bełta” nie wytrzymali naporu wroga i wycofali się z kilku domów wzdłuż Alei i Nowogrodzkiej.

Tego samego dnia do Ericha von dem Bacha-Zelewskiego, głównodowodzącego wojsk niemieckich, udała się delegacja Polskiego Czerwonego Krzyża, aby wynegocjować możliwość opuszczenia miasta przez osoby cywilne. Niemcy zgodzili się na ich wyjście w dniach 8 i 9 września.

Zdecydowało się jednak na to niecałe 10 procent ludności cywilnej, reszta wolała do końca dzielić losy miasta i jego obrońców. W obliczu tragicznej sytuacji żywnościowej cywilów w Komendzie Głównej zaczęły dominować nastroje kapitulacyjne. Sytuacja uległa zmianie po informacji o zdobyciu Pragi przez Armię Czerwoną.

Nie ustawał też ostrzał artylerii i granatników na Kruczej, Mokotowskiej, Koszykowej, Żurawiej i w rejonie pl. Trzech Krzyży. W ciągu kolejnych dni zostało odparte jeszcze jedno natarcie w kierunku górnego odcinka Książęcej. Nocą z 26 na 27 września udało się zniszczyć kilka niemieckich stanowisk ogniowych w Al. Ujazdowskich. Widmo głodu (od 14 września oddziały nie dostawały przydziałów żywności) zmusiło dowództwo Armii Krajowej do podjęcia rozmów kapitulacyjnych.

28 września o 19.00 w kwaterze dowódcy AK w budynku nr 19 przy Piusa XI zwołana została konferencja z udziałem wicepremiera, inż. Jana Stanisława Jankowskiego, gen. Tadeusza Komorowskiego „Bora” – Komendanta Głównego AK, gen. Tadeusza Pełczyńskiego – szefa sztabu AK, gen. Antoniego Chruściela – dowódcy Warszawskiego Korpusu Armii Krajowej. Obecni też byli płk Kazimierz Iranek-Osmecki, płk Józef Szostak i płk Jan Rzepecki. Zebrani zgodzili się, że wobec biernej postawy Armii Czerwonej osamotniona Warszawa musi podjąć rozmowy kapitulacyjne.

W końcu września trwały ostatnie potyczki. Niemcy usiłujący w nocy z 28 na 29 września opanować wylot Książęcej i pl. Trzech Krzyży zostali ponownie odparci, a w rejonie politechniki powstańcy zniszczyli ich bunkier i dwa stanowiska cekaemów.

1 października nastąpiło zawieszenie broni w celu wynegocjowania warunków kapitulacji. Polscy parlamentariusze udali się na rozmowy przez

barykadę przy 6 Sierpnia. Toczyły się one w kwaterze von dem Bacha-Zelewskiego w Ożarowie.

Niemcy zgodzili się na respektowanie konwencji genewskiej wobec jeńców, członków Armii Krajowej, którzy 28 sierpnia zostali uznani przez aliantów za kombatantów. Nie udało się natomiast polskim parlamentariuszom zmienić niemieckiego postanowienia o opuszczeniu miasta przez całą ludność cywilną. Zapisy umowy kapitulacyjnej w zakresie opieki i humanitarnego traktowania opuszczających stolicę cywilów zostały przez Niemców wielokrotnie podeptane. Warszawiaków czekały poniżenie i poniewierka.

Ludność cywilna jako pierwsza musiała opuścić miasto. Od 2 października rozpoczął się exodus warszawiaków. Ostatni program nadała rozgłośnia wojskowa „Błyskawica”. Przemawiał konstruktor radiostacji inż. Jan Gieorgica „Grzegorzewicz”. Na koniec zabrzmiały dźwięki *Warszawianki*, po czym aparatura została zniszczona. Inżynier do końca życia przechowywał kawałek kryształu – serce powstańczej radiostacji.

5 października przez barykadę na Śniadeckich wyszedł do niewoli gen. Komorowski „Bór” – Naczelną Wódz wojsk polskich. Żegnał go gen. Antoni Chruściel „Monter”, a na placyku przy pomniku Sopera kompania Ochrony Sztabu KG. Przed gen. „Monterem” przedefilowali obrońcy Śródmieścia Południe, teraz 72. pułk piechoty Warszawskiego Korpusu AK.

Szare Szeregi

Określenie „Szare Szeregi” było kryptonimem konspiracyjnym harcerzy obejmującym cały związek. Szare Szeregi powołano 27 września 1939 roku w gronie członków Naczelnej Rady Harcerskiej, w warszawskim mieszkaniu Stanisława Borowieckiego, szefa Głównej Kwatery Męskiej. Ścisłe współpracowały z Delegaturą Rządu Rzeczypospolitej Polskiej na Kraj oraz Komendą Główną AK.

Konspiracyjna organizacja opierała się na strukturze przedwojennego ZHP, posługując się kryptonimami: Główna Kwatera – pasieka, chorągwie – ule, hufce – roje, drużyny – rodziny, zastępy – pszczoły.

Główna Kwatera kierowała w okresie najpełniejszego rozwoju pracą 20 chorągwi harcerskich, wśród nich 5 obejmowało tereny zachodnie włączone do Rzeszy.

Nazwa Szare Szeregi została przyjęta w całym kraju dopiero w 1940 roku. Początkowo kryptonim ten funkcjonował wyłącznie w Poznaniu. Geneza kryptonimu związana jest z przeprowadzoną przez poznańskich harcerzy akcją informacyjną, podczas której roznoszono ulotki do skrzynek listowych mieszkań zasiedlonych przez niemieckie rodziny z Litwy, Łotwy i Estonii. Wcześniej rodziny polskie zostały przymusowo wysiedlone do GG, a rodziny niemieckie informowano o dobrowolnym opuszczeniu mieszkań przez Polaków. Ulotki zredagowano w języku niemieckim, podając w nich stosowne sprostowanie, i podpisano inicjałami SS. Skrót rozwinięli w kryptonim Szare Szeregi harcmistrz dr Józef Wiza i harcmistrz Roman Łyczywek. Kryptonim błyskawicznie przyjął się w poznańskiej chorągwi „Ul Przemysław”. Informację o przyjętej nazwie przywiózł do Warszawy podharcmistrz Witold Marcinkowski. Nazwę zaakceptowano z poleceniem wprowadzenia kryptonimu w całej podziemnej Organizacji Harcerzy ZHP.

Powstanie

Przed wybuchem wojny Warszawę zamieszkiwało 1,3 mln osób (blisko 4 procent ludności Polski) i było to największe skupisko ówczesnej inteligencji. Nic dziwnego, że konspiracyjną walkę z najeźdźcą podjęto niemal natychmiast po rozpoczęciu okupacji ziem polskich.

Samą walną rozprawę z wrogiem planowano już w roku 1940, myśląc o ogólnokrajowym wystąpieniu zbrojnym w momencie załamania się militarnego III Rzeszy. Po rozpracowaniu założeń taktycznych sformułowano plan, który w 1942 roku zyskał aprobatę Naczelnego Wodza w Londynie i rządu na emigracji. Swoje miejsce w tym planie miała też stolica.

Warszawski Okręg AK miał opanować miasto nocnym uderzeniem na obiekty strategiczne – lotniska, dworce, mosty, pocztę, centrale telefoniczne, magazyny, koszary policji i wojska, wreszcie urzędy niemieckie.

W ramach organizacyjnych przygotowań miasto zostało podzielone na 7 obwodów, te zaś na rejony, które na polu walki reprezentowały zgrupowania. Całość działań na terenie stolicy podporządkowana była operacyjnie dowództwu Obszaru Warszawskiego, obejmującego obszary od dawnej granicy Prus Wschodnich na północy, po dolinę Pilicy na południu i od Bugu na wschodzie, po Bzurę na zachodzie. Osłonę działań, czyli w ramach

Obszaru Warszawskiego opanowania miasta, stanowiły okalające je podokręgi. Chodziło tu o osłonę Warszawy (po 1941 roku) przed niemieckimi oddziałami cofającymi się z linii frontu wschodniego, czy przed wroga odsieczą od zachodu lub z północy. Podokręgi miały też stanowić pomoc dla walczącego miasta, służąc zaopatrzeniem i odwodami na wypadek przedłużających się walk, które w Warszawie przewidywano zaledwie na 3 do 4 dni. Metodycznie przygotowywane plany, uwzględniające i możliwości bojowe, i zasoby uzbrojenia, przewidywały długofalową mobilizację sił powstańczych – od stanu czujności aż po pogotowie i koncentrację. Zakładany niemal dwutygodniowy tryb przygotowawczy nikogo nie dziwił. Biorąc pod uwagę zasady konspiracji i zrozumiałe trudności natury łącznościowej, przewidywano, że rozkaz ogłaszający godzinę „W” nie może być wydany później aniżeli 36 godzin przed rozpoczęciem walk. Według autorów planu zapewniało to prawie całkowite zgromadzenie rozrzuconych po mieście konspiratorów, uzbrojenie ich i wyruszenie na pozycje wyjściowe.

Takie były plany, które zweryfikował czas. Opracowano zatem konkretne działania w ramach walki ograniczonej, inicjowanej wraz z przesuwaniem się linii frontu przez ziemie polskie. Akcja „Burza”, bo taki kryptonim zyskał ów plan, zakładała atakowanie cofających się sił niemieckich, współdziałanie z oddziałami armii radzieckiej i tworzenie regularnych jednostek Wojska Polskiego, które brałyby udział w dalszych działaniach zbrojnych wraz z Armią Czerwoną. I te plany szybko zweryfikował czas oraz postępowanie „sojuszników”.

Biorąc pod uwagę szybko następujące zmiany na scenie politycznej, już w marcu 1944 roku. Warszawę wyłączono z udziału w planie „Burza”. Aby „uniknąć zniszczeń i zaoszczędzić cierpień ludności cywilnej”, działania sił konspiracyjnych AK miały się ograniczyć tylko do ochrony cywilów przed trudnościami ewentualnej ewakuacji miasta w wypadku próby przekształcenia Warszawy w twierdzę. Dlatego powszechne oczekiwanie wybuchu walk nie może dziwić, a dyskusje – czy raczej dywagacje – na ten temat prowadzone przez młodszą część ludności stolicy tylko nielicznych zaskakiwały.

Jan Roguski

Jan Roguski (ur. 18 czerwca 1900 roku w Warszawie, zm. 7 września 1971 roku w Poznaniu – naukowiec, lekarz, internista, wieloletni kierownik

II Kliniki Chorób Wewnętrznych, rektor Akademii Medycznej w Poznaniu w latach 1953–1955. Po złożeniu egzaminu dojrzałości w Gimnazjum im. Władysława IV w 1919 roku rozpoczął studia na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Warszawskiego. Tytuł doktora wszechnauk lekarskich uzyskał 10 lipca 1926 roku. Po odbyciu służby wojskowej w Szkole Podchorążych Sanitarnych Rezerwy w 1928 roku został starszym asystentem II Kliniki Chorób Wewnętrznych Uniwersytetu Warszawskiego, kierowanej przez profesora Witolda Orłowskiego. W 1938 roku został ordynatorem Oddziału Chorób Wewnętrznych Szpitala Wolskiego. 15 marca 1939 roku uzyskał habilitację i stopień docenta.

Przez cały okres okupacji pełnił funkcję ordynatora, prowadząc jednocześnie tajne nauczanie dla studentów Tajnego Uniwersytetu Warszawskiego i Tajnego Uniwersytetu Ziemi Zachodnich. Jesienią 1941 roku opiekował się chorym Edwardem Rydzem-Śmigłym. Podczas powstania warszawskiego przebywał w stolicy na ulicy Żurawiej 28, udzielając pomocy lekarskiej powstańcom i ludności cywilnej.

W lutym 1946 roku został powołany na stanowisko kierownika II Kliniki Chorób Wewnętrznych i profesora nadzwyczajnego Uniwersytetu Poznańskiego. Po wydzieleniu Akademii Medycznej został jej wykładowcą, w latach 1953–1955 pełnił funkcję rektora. Od 1951 roku był członkiem Rady Naukowej przy ministrze zdrowia, w latach 1951–1957 członkiem Rady Naukowej i dyrektorem do spraw naukowych Instytutu Balneoklimatycznego w Poznaniu. W 1958 roku uzyskał tytuł profesora zwyczajnego. Był autorem około 150 publikacji naukowych i sześciu podręczników akademickich. Pełnił funkcję przewodniczącego Komitetu Nauk Klinicznych Niezabiegowych Polskiej Akademii Nauk, był członkiem rad naukowych Instytutu Leków, Instytutu Hematologii oraz Instytutu Żywności i Żywnienia, od 1951 roku członkiem korespondentem Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, członkiem Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, członkiem Towarzystwa Internistów Polskich, w latach 1957–1963 prezesem jego Zarządu Głównego, a od 1963 roku członkiem honorowym. Odznaczony między innymi Krzyżem Kawalerskim i Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

Jego żona, Jadwiga, również była lekarką i naukowcem.

Zmarł 7 września 1971 roku i został pochowany na cmentarzu Junikowskim w Poznaniu.

Podjęcie decyzji o powstaniu

31 lipca około 18.00 Komendant Główny AK gen. Tadeusz Komorowski „Bór” wydał rozkaz o rozpoczęciu 1 sierpnia 1944 roku o 17.00 powstania w Warszawie. Jeszcze w pierwszej połowie lipca kierownictwo Armii Krajowej nie zakładało działań zbrojnych w stolicy, mając na uwadze zniszczenia i cierpienia ludności cywilnej.

W ramach akcji „Burza” polskie oddziały miały koncentrować się poza stolicą i wkroczyć do niej po wycofaniu się Niemców lub w natarciu wraz z Armią Czerwoną. W ten sposób postąpiono podczas wyzwolenia Wilna i Lwowa. Jak pokazały te dwie akcje, oddziały AK nie były zdolne do samodzielnego zajmowania większych miast, jednak tam współpraca z Armią Czerwoną układała się dobrze i wspólnymi siłami zdobyto najważniejsze kresowe ośrodki.

Tragedia rozpoczynała się po zakończeniu działań zbrojnych. Oficerowie AK byli aresztowani przez NKWD, oddziały rozbijane lub włączane do armii Berlinga. Jeszcze w lipcu Komenda Główna AK kierowała transporty broni do wschodniej Polski, uszczuplając warszawskie zapasy.

14 lipca głównodowodzący gen. Komorowski „Bór” pisał: „Przy obecnym stanie sił niemieckich w Polsce i ich przygotowaniach przeciwpowstańczych, polegających na rozbudowie każdego budynku zajętego przez oddziały, a nawet urzędy, w obronne fortece z bunkrami i drutem kolczastym, powstanie nie ma widoków powodzenia”.

Tydzień później generał zmienił jednak zdanie i 22 lipca zakomunikował swojemu sztabowi decyzję o podjęciu walki z Niemcami w Warszawie. Głównym pomysłodawcą takiego rozwiązania był gen. Leopold Okulicki „Niedźwiadek”. Argumentował, że prowadzenie walki poza stolicą jest nie-realne. Wyprowadzenie z niej po kryjomu wielu uzbrojonych żołnierzy AK zajęłoby za dużo czasu wobec szybko rozwijających się wydarzeń na froncie. Ponadto Okulickiemu bardzo zależało na zajęciu Warszawy przez AK, zanim zjawią się w niej Rosjanie.

Według relacji Komorowskiego „Bora” mówił on, że „Przez zdobycie Warszawy przez Polaków, nim zajmą ją Rosjanie, będzie musiała się Rosja zdecydować: albo uznać nas, albo siłą złamać na oczach świata”. Innymi słowy, chciał osiągnąć to, co nie udało się podczas poprzednich wystąpień

w ramach akcji „Burza”: sprawić, by ZSRR zaczął traktować AK i rząd w Londynie poważnie.

Samodzielne pokonanie garnizonu niemieckiego w Warszawie władze AK uznały za zadanie wykonalne, a kolejne wydarzenia zdawały się potwierdzać tę tezę.

20 lipca dokonano zamachu na Adolfa Hitlera w Wilczym Szańcu, co pozwalało przypuszczać, że władze Trzeciej Rzeszy tracą kontrolę nad sytuacją wewnętrzną. Front na terytorium Polski posuwał się stosunkowo szybko i po 20 lipca Warszawę zapełniały tłumy zdemoralizowanych niemieckich żołnierzy uchodzących przed Armią Czerwoną. Dawało to nadzieję, że Niemcy nie będą twardo się bronić w Warszawie, a być może ich morale zupełnie się załame, tak jak działo się to w 1918 roku.

Decyzji o podjęciu walki zbrojnej w Warszawie, wbrew uprzednim planom, właściwie nie konsultowano z rządem w Londynie ani z Naczelnym Wodzem gen. Kazimierzem Sosnkowskim.

Było to błędem, gdyż rezydujący w Londynie Polacy mieli lepsze pojęcie o aktualnym układzie sił i stosunku mocarstw do kwestii polskiej. O planach powstańczych powiadomiono Londyn dopiero 25 lipca, nie pozostawiając wiele czasu na reakcję. Ponadto Naczelnny Wódz od 11 lipca przebywał we Włoszech, wizytując polski II Korpus, i decyzję co do akcji zbrojnych w Polsce pozostawiał w gestii władz krajowych. Tak samo postąpił premier Stanisław Mikołajczyk.

Komenda Główna AK w Warszawie nie miała również żadnego kontaktu z wojskami radzieckimi ani wiedzy o ich dokładnych planach. Powstanie w zamyśle miało zaskoczyć Rosjan i było w gruncie rzeczy skierowane przeciwko nim, nie uważano więc za stosowne informować Stalina o powstańczych zamiarach. Niemal wszyscy w sztabie AK byli przekonani, że Armia Czerwona wkrótce zajmie Warszawę.

Po podjęciu decyzji o powstaniu w stolicy do ustalenia pozostawał tylko termin jego wybuchu. Władze cywilne – Rada Jedności Narodowej – prosiła gen. Komorowskiego „Bora” o dwanaście godzin na zorganizowanie administracji państwowej w wyzwolonej Warszawie, do czego generał się przychylił.

W ostatnich dniach lipca w Komendzie AK zapanowała nerwowa atmosfera. Było to spowodowane tym, że Niemcy, także cywile, po początkowej ucieczce wracali do miasta. A głównie wracali niemieccy żołnierze. W Warszawie i okolicach koncentrowała się niemiecka 9. Armia. Chaos i demora-

lizację na ulicach zastąpiły równe szeregi żołnierzy i czołgi. W dzienniku 9. Armii zanotowano: „Polski nacjonalistyczny ruch podziemny ogłosił dla swoich oddziałów stan pogotowia, trzeba więc liczyć się ze wzmożoną akcją sabotażową i innymi wrogimi wystąpieniami. Wskutek tego zarządzono większy nadzór nad wszystkimi obiektami. Ruchy naszych wojsk ze wschodu zaniepokoiły ludność. By ją przekonać o mocnym zamiarze utrzymania miasta, dowódca 9. Armii zarządził, aby wszystkie nowe oddziały przybywające z zachodu i wylądowywane w Warszawie przemaszerowały w jak najlepszym porządku przez miasto”.

To spowodowało, że gen. Komorowski „Bór” odkładał wybuch powstania na moment rozpoczęcia się radzieckiego natarcia na Warszawę, mimo nacisku niektórych podkomendnych na energiczniejsze działanie. Istotne jest to, że radziecka 2. Armia Pancerna prowadziła już natarcie na stolicę szosą lubelską. 30 lipca zdobyła Radzymin i Wołomin oraz Starą Miłosną.

Następnego dnia jednak zostało przeprowadzone przeciwnatarcie niemieckie, w którego wyniku radziecki 3. Korpus Pancerny o mało nie został odcięty na zdobytych pozycjach w Radzyminie i Wołominie.

1 sierpnia o 4.10 dowódca radzieckiej armii wydał rozkaz przejścia do obrony.

Na spotkaniu w sztabie gen. Komorowskiego „Bora” o 10.00 31 lipca zdania oficerów były podzielone. Trzy osoby, z gen. Okulickim na czele, głosowały za jak najszybszym podjęciem walki, tak by władze cywilne miały owe dwanaście godzin na zorganizowanie się przed nadejściem Sowietów.

Cztery osoby były przeciwne, w tym bezpośredni dowódca sił AK w Warszawie. Antoni Chruściel „Monter” przypominał o poważnych brakach w uzbrojeniu żołnierzy AK i uważał, że uderzenie na jeszcze niezdeorganizowanych Niemców nie ma szans powodzenia. Wobec tego znów odłożono termin rozpoczęcia walki. Następne spotkanie wyznaczono na godzinę 18.00.

W ciągu dnia pojawiły się wieści, że niemiecki garnizon w Legionowie w panice opuścił koszary, które następnie zajęli akowcy, zdobywając też broń. Komunikat niemiecki informował o rozpoczęciu radzieckiego natarcia na Warszawę.

Wreszcie z Londynu nadeszła wiadomość o wyjeździe premiera Mikołajczyka do Moskwy na rozmowy ze Stalinem. O 17.00 w sztabie pojawił się Antoni Chruściel, donosząc, że radzieckie oddziały pancerne wdarły się

na teren praskiego przedmieścia i zdeorganizowały niemiecką obronę. Wyraził opinię, że walkę należy podjąć natychmiast, by nie okazało się, że jest już za późno.

Gen. Komorowski po konsultacji z szefem sztabu gen. Pełczyńskim, szefem operacji gen. Okulickim, komendantem okręgu płk. Chruścieniem i delegatem rządu na kraj Janem Jankowskim podjął decyzję o rozpoczęciu powstania w Warszawie o godzinie 17.00 następnego dnia – 1 sierpnia 1944 roku.

Jak widać z powyższego opisu sytuacji, dowództwo AK popełniło straszliwy w skutkach błąd w ocenie sytuacji wojskowej pod Warszawą. Wszyscy byli zgodni co do tego, że podstawowym warunkiem powodzenia powstania w stolicy będzie załamanie się sił niemieckich i rychłe wkroczenie Armii Czerwonej do miasta. Gen. Komorowski opierał się naciskom wcześniejszego rozpoczęcia akcji zbrojnej, postulowanego zarówno przez jego podkomendnych, jak i propagandę komunistyczną. Trzeźwo oceniał szanse rozpaczliwie niedozbrojonej AK (na 20 000 żołnierzy zaledwie 15–25 proc. dysponowało użyteczną bronią) w walce z Wehrmachtem. W sztabie szacowano, że AK będzie w stanie kontrolować miasto przez parę dni, najwyżej tydzień.

A jednak powstanie wybuchło. W fatalnym momencie. Rosjanie nie kwapili się z pomocą.

Niemcy, choćby ze względów strategicznych, nie mogli Warszawy po prostu opuścić, gdy front przebiegał na południowy wschód od Pragi. W otwartej walce AK nie miała szans, co zresztą pokazał już pierwszy tydzień powstania. Udało się opanować znaczne obszary miasta, lecz większość najważniejszych obiektów (koszary, mosty, dzielnica rządowa, AL. Jerozolimskie, linie kolejowe) pozostała pod kontrolą niemiecką.

Mimo ogromnego heroizmu polskich żołnierzy, w większości niespełna dwudziestoletniej młodzieży, wyznaczone cele polityczne powstania nie zostały osiągnięte.

Obsada personalna sztabu Komendy Głównej AK na 1 sierpnia 1944 roku

W momencie wybuchu powstania Komenda Główna AK ulokowała swoją siedzibę w fabryce mebli Kamlera na Woli. Był to kolejny niewypał

w całej serii decyzyjnych wolt KG AK. Lokalizację komendy przewidziano w Śródmieściu Południowym z obstawą batalionu „Zośka”. Przenosiny w ostatniej chwili (w warunkach konspiracji!!!) spowodowały olbrzymi mętlik, gdyż nie można było sztabu po prostu załadować na samochód i przewieźć. A co z obstawą i jej uzbrojeniem? Wszak przemieścić się musiało kilkaset osób, szacuje się, że około 2000.

Obsada personalna najważniejszych elementów sztabu Komendy Głównej (stan na 1 sierpnia 1944):

- gen. Tadeusz Komorowski „Bór” – komendant główny AK
- gen. Tadeusz Pełczyński „Grzegorz” – szef sztabu KG AK
- gen. Leopold Okulicki „Niedźwiadek” – I zastępca szefa sztabu KG AK
- płk Janusz Bokszczanin „Sęk” – II zastępca szefa sztabu KG AK
- ppłk Antoni Sanojca „Kortum” – szef oddziału I (organizacyjnego)
- płk Kazimierz Iranek-Osmecki „Heller” – szef oddziału II (wywiadowczego)
- płk Józef Szostak „Filip” – szef oddziału III (operacyjnego)
- płk Kazimierz Pluta-Czachowski „Kuczaba” – szef oddziału V (łączność)
- płk Jan Rzepecki „Prezes” – szef oddziału VI (Biuro Informacji i Propagandy)
- ppłk Stefan Górnisiewicz „Góra” – szef oddziału IV (kwatermistrzostwo)

O ile KG AK stanowiła najwyższy organ dowódczy armii podziemnej, o tyle na poziomie taktycznym działaniami oddziałów w trakcie powstania kierował dowódca Okręgu Warszawskiego AK – płk Antoni Chruściel „Monter”. Funkcję szefa sztabu okręgu pełnił mjr Stanisław Weber „Chirurg”.

Grupa zwolenników powstania

- gen. Tadeusz Pełczyński „Grzegorz” – szef sztabu ZWZ, a później KG AK
- gen. Leopold Okulicki „Niedźwiadek” – I zastępca szefa sztabu KG AK
- płk Antoni Chruściel „Monter” – dowódca Okręgu Warszawskiego AK
- płk Jan Rzepecki „Prezes” – szef Biura Informacji i Propagandy (BIP) KG AK

– płk Józef Szostak „Filip” – szef oddziału III (operacyjnego) AK. Od 27 lipca 1944 roku (po zranieniu Okulickiego) pełnił funkcję I zastępcy szefa sztabu KG AK

Grupa przeciwników powstania

- gen. Tadeusz Bór-Komorowski „Bór” – komendant główny AK
- Jan Stanisław Jankowski – delegat rządu na kraj
- płk Janusz Bokszczanin „Sęk” – II zastępca szefa sztabu KG AK, szef akcji „Burza”
- płk Kazimierz Iranek-Osmecki „Heller” – szef oddziału II (wywiad) KG AK
- gen. Albin Skroczyński – komendant rezerw i komendant Okręgu Warszawskiego
- płk Kazimierz Pluta-Czachowski „Kuczaba” – szef oddziału V (łączność)
- płk August Emil Fieldorf „Nil” – dowódca Kedywu (Kierownictwo Dywersji) A.K. Zdecydowany przeciwnik powstania, nie uczestniczył w nim, gdyż formował w terenie organizację „NIE”.

Grupa decyzyjnie niepewna

- kpt. Józef Rybicki – w stopniu kapitana szef warszawskiego Kedywu KG AK
- ppłk Jerzy Kirchmayer – współautor planu akcji „Burza”; po wojnie gen. brygady LWP i propagandzista władzy ludowej, negujący sens powstania.

MOBILIZACJA ⁶⁴

Poranna odprawa Komendy Głównej AK kończy się postanowieniem, że walka nie zostanie podjęta 1 sierpnia. Podczas popołudniowej odprawy sztabowej przeprowadzona zostaje ocena sytuacji w związku z informacjami o dostaniu się do niewoli dowódcy niemieckiej 73. Dywizji broniącej przedmościa oraz o ruchach wojsk sowieckich okrążających Warszawę.

Dociera też meldunek płk. dypl. Kazimierza Iranka-Osmeckiego „Hallera” o przerzuceniu na Pragę niemieckiej dywizji pancerniej „Hermann

Göring”. Około 17.30 na naradę przybywa płk Antoni Chruściel „Monter”, dysponujący doniesieniami o wkroczeniu Armii Czerwonej na Pragę. Po przeanalizowaniu sytuacji gen. „Bór”, w obecności i za zgodą delegata rządu na kraj, wicepremiera Jana Stanisława Jankowskiego „Sobola”, wydaje płk. „Monterowi” rozkaz rozpoczęcia akcji zbrojnej w Warszawie następnego dnia o godzinie 17.00.

Zaszyfrowany rozkaz o wybuchu powstania gotowy jest o godzinie 20.00. Nie dociera tego dnia do adresatów ze względu na godzinę policyjną. Mobilizacja sił powstańczych dotyczy 40 000 – 45 000 osób zorganizowanych w ośmiu obwodach podległych komendzie Okręgu Warszawskiego AK oraz w oddziałach wydzielonych.

Mobilizacja napotyka trudności w postaci braku broni, czasu na jej wydobywanie i zebranie plutonów.

Godzina „W” – w Warszawie wybucha powstanie nazywane początkowo sierpniowym. W niektórych dzielnicach walki rozpoczynają się jeszcze przed godziną „W” – najwcześniej około 14.00 na Żoliborzu, a w Śródmieściu Północ i na Woli przed 16.00.

Do walki przystępuje około 30 000 żołnierzy Okręgu Warszawskiego AK. Stan uzbrojenia powstańców przedstawia się wręcz tragicznie – tylko około 10 proc. w ogóle ma broń. Przeciw sobie mają stały garnizon niemiecki w sile około 20 000 w pełni uzbrojonych ludzi, z czego połowę stanowi regularne wojsko.

Niemcy mają ponadto pancerne jednostki frontowe skoncentrowane na obu brzegach Wisły, artylerię i lotnictwo. Sztab Okręgu Warszawskiego AK z płk. „Monterem” zostaje ulokowany w zdobytym przez powstańców hotelu Victoria przy ulicy Jasnej. Garnizon niemiecki odiera szturm. Z ważniejszych obiektów powstańcy zdobywają tylko magazyny żywności i umundurowania przy Stawkach, koszary w budynku szkoły Świętej Kingi przy ul. Okopowej, Wojskowy Instytut Geograficzny w Al. Jerozolimskich, Gmach Miejskich Zakładów Komunikacyjnych na rogu Świętokrzyskiej i Marszałkowskiej, najwyższy budynek w mieście, czyli Prudential na pl. Napoleona, oraz budynek Dyrekcji Kolei u zbiegu Targowej i Wileńskiej na Pradze. Mniejszą przestrzeń powstańcom udaje się uzyskać jedynie na Starym Mieście. Powstańcza Warszawa to kilka odrębnych ognisk walki rozdzielonych siłami nieprzyjaciela. W rękach wroga pozostają tak ważne obiekty, jak mosty na Wiśle, dworce, lotnisko, liczne niemieckie budynki koszarowe. Z powodu braku łączności miasto opuszcza kilka tysięcy

powstańców z Żoliborza, Woli, Ochoty i Mokotowa, którzy nocą udają się do pobliskich lasów.

Do akcji spontanicznie przyłącza się ludność cywilna, pomagając w budowaniu barykad i umocnień, kopaniu rowów przeciwczołgowych, dostarczając żywność itp.

Według dowódcy niemieckiego garnizonu Warszawy gen. por. lotn. Reinera Stahla straty w ludziach 1 sierpnia wynoszą 2000 żołnierzy po stronie polskiej i 500 żołnierzy po stronie niemieckiej.

PIERWSZE DNI [65](#)

1 sierpnia 1944, wtorek

Godzina 7.00 – łączniczki alarmowe otrzymują rozkaz komendanta Okręgu Warszawskiego AK płk. Antoniego Chruściela „Montera” wyznaczeniu godziny „W” na 17.00 1 sierpnia.

2 sierpnia 1944, środa

Około godziny 9.00 zaczyna działać radiostacja w fabryce Kamlera na rogu Okopowej i Dzielnej na Woli. Komenda Główna AK wysłała szereg depesz do Londynu, donosząc o wybuchu powstania i ciężkich walkach. Z apelami o pomoc.

Powstańcy całkowicie opanowują Stare Miasto. Zdobywają kluczowy obiekt w tej części stolicy – Polską Wytwórnę Papierów Wartościowych przy ul. Sanguszki. W Śródmieściu Północ zdobywają kolejne ważne punkty oporu niemieckiego, m.in. Poczta Główną przy pl. Napoleona i budynek Arbeitsamtu przy pl. Małachowskiego.

W Śródmieściu Południe panuje jeszcze chaos pierwszych godzin walki. Powstańcy opanowują budynki elektrowni na Powiślu, a na Czerniakowie gmach Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. Na Żoliborzu powstańcom nie udaje się zająć kluczowych pozycji niemieckich.

W nocy z 1 na 2 sierpnia komendant Okręgu Warszawskiego wycofuje oddziały do Puszczy Kampinoskiej. O świcie oddziały VIII rejonu Obwodu VII „Obroża” pod dowództwem kpt. Józefa Krzyczkowskiego „Szymona” przeprowadzają nieudany atak na lotnisko Bielany. Na Woli nieprzyjaciel stara się zepchnąć powstańców i wtargnąć w głąb miasta od zachodu i od strony Powązek. Powstańcy stawiają skuteczny opór. Żołnierze batalionu „Zośka” zdobywają dwa czołgi typu Panther. Na Ochocie w nocy z 1 na 2

sierpnia, wobec braku możliwości opanowania dzielnicy i nawiązania kontaktu z Wolą i Śródmieściem, komendant obwodu ppłk Mieczysław Sokółowski „Grzymała” wyprowadza znaczną część oddziałów do pobliskich lasów. Niektóre staczają nad ranem, okupioną dużymi stratami, walkę z nieprzyjacielem pod Pęcunami. Oddziały, które nie opuściły dzielnicy, prowadzą działania zabezpieczające.

Na Mokotowie w nocy z 1 na 2 sierpnia większość oddziałów V Obwodu wycofuje się do Lasu Kabackiego. Pozostałe przewyciężają kryzys pierwszych godzin walki i opanowują południową część dzielnicy. Powstańcy zdobywają m.in. szkoły przy ul. Woronicza, pozyskując sporo broni i amunicji. Na Pradze powstańcy zostają wyparci z gmachu Dyrekcji Kolei u zbiegu Wileńskiej i Targowej.

Rada Główna Opiekuńcza

Rada Główna Opiekuńcza (RGO) – polska organizacja charytatywna działająca podczas II wojny światowej, nawiązująca formami działalności do istniejącej w latach 1916–1921 organizacji pod tą samą nazwą. RGO działała za zgodą władz okupacyjnych od lutego 1940 roku, kiedy to Adam Ronikier za zgodą gubernatora Hansa Franka wznowił jej działalność z centralą w Krakowie, do stycznia 1945 roku. Z pomocy RGO korzystało wówczas około 700 000–900 000 osób rocznie. Następcą Ronikiera na stanowisku prezesa RGO był od października 1943 do 1944 roku Konstanty Tchorznicki.

RGO prowadziła m.in. sierocińce, punkty pomocy medycznej, kuchnie ludowe dla ubogich (w 1942 roku ponad 1700 dla prawie 300 000 osób), kursy zawodowe i warsztaty rzemieślnicze, wydawała zapomogi pieniężne, rozdawała odzież, obuwie, żywność (tzw. suchy prowiant, tam, gdzie nie było punktów dożywiania), wysyłała paczki dla jeńców wojennych i więźniów, pomagała w rozlokowaniu na terenie Generalnego Gubernatorstwa Polaków wysiedlanych z terenów włączonych do Rzeszy (głównie Wielkopolski i Pomorza), udzielała pomocy wysiedlonym mieszkańcom Zamojszczyzny, uchodźcom z Wołynia, organizowała prowizoryczne szpitale dla ludności polskiej w czasie epidemii ospy i w czasie Powstania Warszawskiego, a także po jego upadku, pomagała mieszkańcom Warszawy podczas powstania i po wypędzeniu z miasta.

RGO uzyskiwała środki (finansowe oraz w naturze) na prowadzenie działalności, m.in. od władz okupacyjnych, pozyskiwała pomoc zagraniczną, głównie od rządu USA, z tajnych dotacji Rządu RP na uchodźstwie, z ofiarności społeczeństwa (zbiórki, tzw. zsyпки, deklaracje stałe). RGO współpracowała ze szwajcarskim Czerwonym Krzyżem. Pracowało w niej, z reguły bez wynagrodzenia, około 15 000 osób.

Rada Pomocy Żydom

Rada Pomocy Żydom przy Delegaturze Rządu RP na Kraj – polska humanitarna organizacja podziemna działająca w latach 1942–1945 jako organ polskiego rządu na uchodźstwie. Jej zadaniem było organizowanie wszelkiej pomocy dla Żydów w gettach oraz poza nimi.

Rada działała pod konspiracyjnym kryptonimem „Konrad Żegota”, w skrócie „Żegota”. Nazwę wymyśliła powieściopisarka Zofia Kossak-Szczucka i pochodzi ona od imion dwóch konspiratorów z III części *Dziadów*.

W grudniu 1941 roku Niemcy rozpoczęli masową eksterminację ludności żydowskiej w obozach koncentracyjnych (tzw. Akcja Reinhardt). 22 lipca 1942 roku rozpoczęto deportacje ludności żydowskiej z getta warszawskiego do obozu zagłady w Treblince.

Referat Żydowski w Wydziale Informacji Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej Armii Krajowej od 1941 roku systematycznie zbierał informacje o losach polskich Żydów. Pomoc udzielana Żydom w tym okresie miała charakter spontaniczny, nie była organizowana przez państwo podziemne.

11 sierpnia 1942 roku, podczas wywózki Żydów z warszawskiego getta do obozów koncentracyjnych, Zofia Kossak-Szczucka będąca wówczas przewodniczącą Frontu Odrodzenia Polski (kontynuacji przedwojennej Akcji Katolickiej) wystosowała publiczną odezwę przeciwko prześladowaniom Żydów pod tytułem „Protest!”. Wyrażała ona zdecydowaną niezgodę polskich środowisk katolickich na Holokaust Żydów odbywający się na terenie okupowanej Polski. Protest wydano konspiracyjnie w nakładzie 5000 egzemplarzy.

27 września 1942 roku powołano Tymczasowy Komitet Pomocy Żydom im. Konrada Żegoty, założony przez Zofię Kossak-Szczucką i Wandę Kra-

helską-Filipowicz. 4 grudnia 1942 roku w jego miejsce powstała Rada Pomocy Żydom przy Delegaturze Rządu RP na Kraj. Kossak-Szczucka nie weszła w końcu w jej skład. Uważała, że organizacja powinna być prowadzona wyłącznie przez Polaków, a nie wspólnie przez Polaków i Żydów. Twierdziła także, że lepsza jest pomoc spontaniczna, bez rygorów organizacyjnych.

Zofia Kossak-Szczucka była córką Tadeusza Kossaka (brata bliźniaka Wojciecha) i Anny Kisielnickiej-Kossak, siostrą stryjeczną satyryczki Magdaleny Samozwaniec, poetki Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej i malarza Jerzego Kossaka oraz wnuczką Juliusza Kossaka.

Zofia Kossak, później Kossak-Szczucka, następnie Kossak-Szatkowska, de domo Kossak, primo voto Szczucka, secundo voto Szatkowska (ur. 10 sierpnia 1889 w Kośminie), zm. 9 kwietnia 1968 w Bielsku-Białej), polska powieściopisarka, współzałożycielka dwóch tajnych organizacji w okupowanej Polsce: Frontu Odrodzenia Polski oraz Rady Pomocy Żydom „Żegota”. Odznaczona Orderem Orła Białego (pośmiertnie, 11 listopada 2018), Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski (1963), Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski (11 listopada 1937), Złotym Krzyżem Zasługi (9 listopada 1932), Złotym Wawrzynem Akademickim (7 listopada 1936), Honorową Odznaką Związku Szlachty Zagrodowej (styczeń 1939), Wielkim Krzyżem Zasługi Zakonu Rycerzy Św. Łazarza (1938), Medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata (pośmiertnie, 1982).

OBÓZ W PRUSZKOWIE ⁶⁶

Obóz przejściowy w Pruszkowie był centralnym ogniwem całej sieci zorganizowanych przez Niemców punktów zbornych i obozów przesiedleńczych. Miały one na celu sprawne rozproszenie całej ludności Warszawy nie tylko na terenach Generalnego Gubernatorstwa, ale też znacznych obszarach Niemiec. Obóz w Pruszkowie utworzono na podstawie zarządzenia Ericha von dem Bacha-Zelewskiego, uzgodnionego wcześniej z władzami administracyjnymi GG. Został zorganizowany na około pięćdziesięciohektarowym terenie dawnych warsztatów kolejowych w dziesięciu olbrzymich halach opróżnionych z maszyn. Obszar ten odgradzony był od reszty miasta wysokim betonowym murem. Wzdłuż murów znajdowały się

wieże strażnicze i bunkry ze stanowiskami karabinów maszynowych. Poszczególne hale oddzielono zasiekami z drutu kolczastego.

W niedzielę 6 sierpnia niemiecki komisarz Pruszkowa, Walter Bock, wezwał przedstawicieli miejscowej delegatury Rady Głównej Opiekuńczej (RGO), których poinformował o utworzeniu obozu dla wysiedleńców z Warszawy i polecił zorganizowanie dla nich pomocy. Pozwolono przynosić koce, bieliznę, pościel, naczynia, kuchenne, żywność.

7 sierpnia w godzinach porannych przybyła pieszo do obozu pierwsza kolumna licząca około 3000 wysiedleńców z Woli, wyprowadzonych w nocy z 6 na 7 sierpnia z kościoła św. Wojciecha. Musieli oni przebyć około 18 km. Po kilku godzinach przybyły kolejne dwie kolumny wysiedleńców, a w godzinach popołudniowych do Pruszkowa przyjechały pierwsze transporty formowane na Dworcu Zachodnim i przewożone podmiejską koleją elektryczną. Już następnego dnia wieczorem, to jest 8 sierpnia, w obozie przebywało około 40 000 osób. Umieszczono je w pustych, nieuporządkowanych halach fabrycznych, zarzuconych żelastwem, szczątkami desek, a także brudnymi od smarów i oleju szmatami zmieszanyymi z trocinami i śmieciami.

Dwa dni później do Pruszkowa skierowano ludność z Zieleniaka, punktu zbornego dla mieszkańców Ochoty. W następnej kolejności nadchodziły transporty ze Starówki, z Powiśla i kolejnych dzielnic, w miarę zajmowania ich przez Niemców.

Ludzi dowożono głównie pociągami, zarówno Elektrycznej Kolei Dojazdowej (EKD), jak i kolei skierniewickiej. Pierwszych uchodźców (z Ochoty, głównie z Zieleniaka) prowadzono pieszo ze stacji przez cały Pruszków (około 3 km), natomiast przywożonych koleją skierniewicką wyładowywano przeważnie przy bramie numer 14 od strony wschodniej i prowadzono dalej do hali numer 5, największej z dziewięciu przygotowanych hal fabrycznych. W niej to najczęściej przeprowadzano selekcje, po których jednych przeznaczano na roboty do Rzeszy, innych na wysiedlenie do GG, a jeszcze innych na deportację do obozów koncentracyjnych.

Poszczególne budynki mieściły od 2000 do 5000 osób, a w okresie nasilenia ewakuacji nawet do 10 000. Ludzie spali na brudnej betonowej posadzce. Początkowo, kiedy obóz funkcjonował w warunkach całkowitej improwizacji i chaosu, brakowało bieżącej wody i choćby prymitywnych sanitariatów. Dopiero od połowy sierpnia zaczęto budować przy halach prowizoryczne latryny.

Wśród wysiedleńców znajdowało się wielu ludzi starszych, a także kobiet z dziećmi i niemowlętami na rękach. Wielu też było ciężko rannych czy poparzonych, częstokroć obłąkanych, gdyż na ich oczach zginęli bestialsko mordowani znajomi oraz członkowie rodzin. Ludzie ci byli przeżeni grozą otaczającego ich okrucieństwa. Wyrzuceni brutalnie z mieszkań, często rozdzieleni z bliskimi, ograbieni ze wszystkiego, nieraz w piżmach czy nocnych koszulach lub tylko w letnim ubraniu, gdyż wypędzeni niespodziewanie z domów lub piwnic nie zdążyli się do drogi przygotować. Przybywali w stanie skrajnego wyczerpania, przez kilka dni pozbawieni wody i pożywienia.

Organizacją kuchni i wyżywienia dla wysiedleńców zajęła się miejscowa Delegatura RGO i okoliczna ludność. Pomimo wysiłków nie udało się zapewnić dostatecznej ilości pożywienia dla wszystkich. Zdarzały się przypadki śmierci z głodu, zwłaszcza ludzi starszych i niemowląt. Śmiertelność w obozie wrosła w miarę napływu nowych transportów deportowanych, ponieważ im dłużej ukrywali się oni w płonąącym i walczącym mieście, pozbawieni wody i żywności, tym słabsi przybywali do obozu.

Początkowo uchodźcy praktycznie pozbawieni byli pomocy lekarskiej. Do prymitywnie wyposażonej izby chorych zorganizowanej w hali numer 2 dostali się jedynie nieliczni spośród najciężej chorych i rannych. O ich przyjęciu decydowało ledwie 2 niemieckich lekarzy, a liczba zgłaszających się dochodziła nieraz do kilku tysięcy dziennie. Dopiero we wrześniu zorganizowano w hali numer 8 tymczasowy szpital obozowy. Warunki w nim niewiele się różniły od tych w pozostałych halach. Założono go jedynie w celu kontrolowania rozprzestrzeniania się chorób zakaźnych i zaleczania lekkich ran, aby zyskać jak najwięcej ludzi zdolnych do pracy. Za zgodą niemieckich władz dopuszczono do obozu polski personel lekarski i pielęgniarki do pomocy lekarzom niemieckim.

Kierownictwo w obozie przez pierwsze pięć dni sprawował August Poland, kierownik niemieckiego Urzędu Pracy – Arbeitsamtu z Pruszkowa, i miejscowa żandarmeria. Stosunek niemieckich władz obozowych do ewakuowanych mieszkańców Warszawy był wówczas wyjątkowo brutalny. Wypadki bicia, maltretowania, strzelania do bezbronnych były na porządku dziennym. Dopiero 11 sierpnia władzę nad obozem przejął Wehrmacht, a komendantem mianowano płk. Kurta Siebera. Zajmował się on jednak głównie sprawami organizacyjnymi i gospodarczymi. Nadal o losie wysiedlonych warszawiaków decydowała głównie policja bezpieczeństwa

z dowódcą SS-Sturmbannführerem Gustawem Diehlem na czele. Urzędował on w tak zwanym zielonym wagonie ustawionym na boczniczy w centrum obozu, w pobliżu znajdowały się też dwa wagony towarowe zamienione w obozowe więzienie. To on nadzorował śledztwa, w których wyniku podejrzanych o czynny udział w walkach powstańczych rozstrzeliwano w pobliskich dołach po wydobywanej glinie lub wywożono do obozów koncentracyjnych.

W sierpniu, wrześniu i październiku przez obóz w Pruszkowie przeszło około 550 000 mieszkańców Warszawy i około 100 000 Polaków wysiedlonych z najbliższych okolic: Anina, Zielonek, Kobyłki, Rembertowa, Włoch, Łomianek. Spośród nich ponad 150 000 osób wywieziono na roboty przymusowe do Rzeszy, ponad 50 000 do obozów koncentracyjnych (Auschwitz, Buchenwald, Dachau, Flossenbürg, Gross-Rosen, Mauthausen, Ravensbrück, Sachsenhausen, Stutthof), a 350 000 zostało skierowanych do różnych miejscowości Generalnego Gubernatorstwa. Około 100 000 osób dzięki staraniom RGO, PCK i miejscowej ludności Pruszkowa oraz okolic zwolniono z obozu lub zostały nielegalnie wyprowadzone przez polski personel sanitarny i gospodarczy zatrudniony w obozie.

Dulag 121 funkcjonował jako obóz przejściowy do 10 października, gdy zakończono wysiedlanie ludności lewobrzeżnej Warszawy.

Najwięcej spośród 55 000 osób deportowanych do obozów koncentracyjnych skierowano do KL Auschwitz. Ogólna liczba wypędzonych warszawiaków, którzy w sierpniu i wrześniu 1944 roku trafili do tego obozu, wynosiła co najmniej 12 868 mężczyzn, kobiet i dzieci.

TRANSPORT DO AUSCHWITZ ⁶⁷

Pierwsze transporty ludności cywilnej z Dulagu 121 wysłano do KL Auschwitz 10 sierpnia 1944 roku (patrz Aneks do przypisów s. 480). Z Pruszkowa wyjechały wówczas najprawdopodobniej dwa transporty: pierwszy po południu, drugi późnym wieczorem lub nocą. Trzeci transport wyjechał następnego dnia w godzinach przedpołudniowych. W transportach tych przeważali mieszkańcy Woli i Ochoty. Niemal w ostatniej chwili na stacji w Pruszkowie dołączono do jednego z transportów grupę warszawiaków ewakuowanych ze Starówki, którym zaraz po przybyciu kazano przejść ze składu kolejki elektrycznej do podstawionych wagonów towaro-

wych. Ludzi tych siłą wepchnięto do krytych wagonów towarowych wyposażonych w niewielkie zakratowane okienka. W wielu przypadkach rozdzielano rodziny. Przez następne godziny musieli stać w wagonach stłoczeni do granic wytrzymałości, bez jedzenia i picia, kompletnie zdezorientowani co do celu podróży. Niektórzy byli przekonani, że jadą do Niemiec na przymusowe roboty. Inni, usłyszawszy w obozie w Pruszkowie pogłoskę, że Niemcy formują transporty do Częstochowy, sami się zgłosili. Jeden z transportów skierowano trasą na Katowice, drugi na Kraków. Po drodze na kilku postojach członkowie miejscowego PCK oraz okoliczni mieszkańcy wciskali do wagonów przez szpary w kratkach okiennych chleb, owoce i butelki z wodą. Już za Częstochową rozeszła się wśród wysiedlonych wieść o faktycznym celu podróży. Zapanowały wówczas wśród nich trwoga i rozpacz. Pojedyncze osoby próbowały ratować się ucieczką. Niektórym się to udało.

Do KL Auschwitz oba transporty przybyły 11 sierpnia. Pierwszy skład, który przyjechał popołudniową porą, odstawiono na bocznice dworca kolejowego i zatrzymano tam do zmroku. Następnie pociąg skierowano już na rampę w obozie Auschwitz II Birkenau. Drugi transport, który dotarł do Auschwitz późnym wieczorem lub nocą, skierowano z dworca kolejowego wprost na rampę obozową, gdzie esesmani z załogi obozu i niemieccy więźniowie funkcyjni brutalnie wyrzucili ludzi z wagonów, bijąc i wyzywając od „przeklętych polskich bandytów z Warszawy”. Od razu oddzielono mężczyzn i starszych chłopców od kobiet z dziećmi. Zarówno wśród kobiet, jak i mężczyzn wiele było starszych osób, w wieku nawet powyżej 80 lat, chorych i rannych. Były także kobiety z kilkutygodniowymi dziećmi. [...]

Warszawiacy przybyli w transportach do Auschwitz pochodzili z różnych środowisk społecznych, reprezentowali też różne zawody. Byli wśród nich ludzie sztuki, artyści, malarze, urzędnicy państwowi. Prokuratorzy, naukowcy, nauczyciele, lekarze, ale także sprzedawcy, robotnicy, rzemieślnicy oraz rolnicy. W nielicznych przypadkach z Polakami przywieziono również osoby innych narodowości, w tym najwięcej Żydów ukrywających się na tak zwanych aryjskich papierach. O przypadkowości aresztowań świadczyć może fakt, iż do Auschwitz deportowano wówczas nawet ludzi lojalnych wobec okupanta, zabranych omyłkowo podczas ewakuacji Warszawy razem z polską ludnością cywilną, jak na przykład trzynastoletniego Marka Korganowa, syna Ormianina z proniemieckiego Armeńskiego

Komitetu Narodowego, który jako jedyny spośród przybyłych tymi transportami został w październiku 1944 roku zwolniony z KL Auschwitz. [...]

Mężczyźni i chłopcy, których w sumie w transportach sierpniowych było 1984 (w tym ponad 400 poniżej 18 lat), otrzymali numery z ogólnej serii numerów męskich od 190912 do 192895, kobiety i dziewczynki zaś numery z ogólnej serii dla kobiet od 83085 do 86938. Z meldunku obozowego ruchu oporu wysłanego poza obóz 14 września 1944 roku wynika, iż dla ludności cywilnej z Warszawy wprowadzono podczas rejestracji nową kategorię więźniów w obozie, tak zwanych Zivil-Häftlinge. Potwierdzeniem tego są wpisy w niektórych ocalałych dokumentach obozowych, kartach personalnych więźniów (Häftlings-Personal-Bogen), gdzie w rubryce Podstawa aresztowania wpisano Zivilpole. Natomiast według więźniarek zatrudnionych przy rejestracji tych transportów warszawiaków zaliczono do kategorii politycznych – Schutzhäftlinge. Traktowani też byli podobnie jak pozostali więźniowie polityczni w obozie, z tą jednak różnicą, że nie wytatuowano im przydzielonych numerów, lecz otrzymali je wymalowane na kawałku płótna wraz z czerwonym trójkątem, tak zwanym winklem, z wymalowaną dużą literą P w środku. W ubrania cywilne, które otrzymali po kąpieli, wszyte były na plecach prostokątne łaty z obozowego „pasiaka” uzupełnione grubą linią wymalowaną czerwoną olejną farbą.

Po zarejestrowaniu i wydaniu numerów obozowych mężczyzn i starszych chłopców skierowano na teren odcinka kwarantanny (sektor BIIa) w Birkenau do baraków oznaczonych numerami od 5 do 8. Wcześniej oddzielono od nich osoby chore i ranne i umieszczono w szpitalu dla więźniów (sektor BIIf).

Zdecydowaną większość w transportach sierpniowych stanowiły kobiety i dziewczynki. W sumie ponad 3800, w tym ponad 600 w wieku od kilku miesięcy do 16, 17 lat oraz co najmniej 86 starszych, ponad sześćdziesięcioletnich kobiet. Najstarsza była Maria Kalacińska (nr 84487), lat 88, która zmarła w obozie tuż przed jego wyzwoleniem w styczniu 1945 roku. Wśród deportowanych znajdowało się także wiele matek z dziećmi, w tym niemowlętami. Najmłodsza dziewczynka odnotowana w dokumentacji obozowej, Władysława Lutek (nr 86897), miała kilka tygodni (zmarła w grudniu 1944 roku), natomiast najmłodszy chłopiec, Lesław Nodzyński (nr 192878), miał zaledwie 23 dni (również zmarł w obozie). [...]

Liczba ludności cywilnej aresztowanej masowo podczas Powstania Warszawskiego, a następnie deportowana w sierpniu i wrześniu 1944 roku do

KL Auschwitz, wynosiła prawie 13 000. Transporty obejmowały wszystkie kategorie wiekowe, obok dorosłych przywieziono wiele dzieci. Wprawdzie nie tatuowano im na rękach numerów obozowych (mieli je na odzieży), to jednak traktowano tak samo jak pozostałych więźniów.

Spośród osób przywiezionych w krótkim czasie (bo już po kilku, kilkunastu dniach pobytu) do innych obozów wywieziono ponad 12 300 osób. Przybyły bowiem do Auschwitz w czasie, gdy rozpoczęła się wstępna ewakuacja więźniów do innych obozów koncentracyjnych w Niemczech, gdzie większość (zarówno mężczyźni, jak i kobiety, a także kilkunastoletnie dzieci) zatrudniona została w niemieckim przemyśle zbrojeniowym.

Ze względu na brak danych odnośnie do losów 2500 osób (w tym 320 mężczyzn oraz prawie 2180 kobiet) nie można podać liczby deportowanych warszawiaków, którzy zmarli lub zginęli w Auschwitz. Natomiast wyzwolenia obozu, głównie w Auschwitz II-Birkenau, doczekało co najmniej 400 osób.

Podziękowania

Dziękuję losowi, że kolejny raz zetknął mnie z niezwykłymi ludźmi, którzy podzielili się ze mną bolesną rodzinną historią. Dziękuję Józefowi Roguskiemu „Grzesiowi”, że po latach próśb i namawiania podzielił się historią swojej rodziny. Wiem, jak bolesne były te wspomnienia, więc tym bardziej doceniam to, że chciałeś do nich powrócić.

Szczególnie nisko kłaniam się wszystkim tym, którzy przyczynili się do powstania książki, dzieląc się swoją wiedzą i pasją. Dziękuję Jarkowi Maliniakowi za godziny poszukiwań dokumentów, sugestie i podpowiedzi. Panu Szymonowi Kowalskiemu za to, że jak zwykle był nieocenionym przewodnikiem po archiwach, za przygotowane materiały i czas spędzony na rozmowach.

Wyrazy szczególnej wdzięczności należą się Jackowi Olesiejukowi za to, jak dobrą otula mnie energią, dopinguje do pracy i jak wielkim jest wsparciem. Jacku, bardzo to doceniam i cieszę się, że nasze drogi się przecięły.

Jestem wdzięczna Joannie Laprus-Mikulskiej za wsparcie i cenne uwagi, redaktorce Agnieszce Horzowskiej za pomoc we wszystkim. Szczególne wyrazy wdzięczności kieruję w stronę historyka – Zbigniewa Józwiaka, za długie dyskusje, za to, że stał się moją podporą i sprawił, że wspólne poszukiwania przeszłości stały się tak interesujące i intrygujące.

Ale przede wszystkim dziękuję Tobie, drogi Czytelniku, że sięgnąłeś po kolejną historię, która wyszła spod mojego pióra. Dzięki Tobie mogę spełniać swoje marzenia i zajmować się tym, co kocham najbardziej – pisanie. Bardzo dziękuję!

Przypisy

1. Park Ujazdowski – dziewiętnastowieczne założenie w śródmieściu Warszawy, rozciągające się między Al. Ujazdowskimi a ul. Piękną i pl. Na Rozdrożu. Ostatecznie urządzony w latach 1893–1896 dzięki staraniom Komitetu Plantacyjnego, cieszył się dużą popularnością wśród dzieci i młodzieży, stał się też ulubionym miejscem spacerów dla młodych matek, także w latach okupacji hitlerowskiej. We wrześniu 1939 roku w parku pochowano osoby, które zginęły podczas oblężenia. W okresie okupacji nadano mu nazwę Alleepark. Wiosną 1944 roku Polakom zabroniono do niego wstępu. W 1965 roku został wpisany do rejestru zabytków (wszystkie przypisy pochodzą od autorki). [\[wróć\]](#)
2. Dzisiejsza ul. Żurawia (niegdyś pisana przez „ó”) biegnie od Brackiej po Poznańską. Patrz Aneks do przypisów s. 437. [\[wróć\]](#)
3. Dzielnicze policyjna i rządowa w Warszawie (1939–1945). Patrz Aneks do przypisów s. 441. [\[wróć\]](#)
4. Jedną z takich osób był Władysław Bartoszewski („Ludwik”, „Teofil”), ur. 19 lutego 1922 roku w Warszawie i zm. tamże 24 kwietnia 2015 roku. Historyk, publicysta i dziennikarz, pisarz, działacz społeczny, polityk, dyplomata. Więzień Auschwitz, działacz Polskiego Państwa Podziemnego, członek prezydium Rady Pomocy Żydom, uczestnik Powstania Warszawskiego. Od maja 1940 roku pracował w administracji Przychodni Społecznej nr 1 Polskiego Czerwonego Krzyża w Warszawie. Zatrzymany 19 września 1940 roku w masowej obławie na Żoliborzu trafił do Auschwitz (nr obozowy 4427). Zwolniony z obozu 8 kwietnia 1941 roku w wyniku licznych działań podejmowanych przez Polski Czerwony Krzyż wrócił do Warszawy i aktywnie włączył się w działalność konspiracyjną. [\[wróć\]](#)
5. Kamienice oznaczone numerami 4 oraz 4a należały do piękniejszych na i tak eleganckiej ul. Żurawiej. Niestety, powstanie nie obeszło się z nimi najlepiej. Patrz Aneks do przypisów s. 437. [\[wróć\]](#)
6. Określenie „Szare Szeregi” było kryptonimem konspiracyjnym harcerzy obejmującym cały związek. Szare Szeregi powołano 27 września 1939 roku w gronie członków Naczelnej Rady Harcerskiej, w warszawskim mieszkaniu Stanisława Borowieckiego, szefa Głównej Kwatery Męskiej. Ścisłe współpracowały z Delegaturą Rządu Rzeczypospolitej Polskiej na Kraj oraz Komendą Główną AK. Patrz Aneks do przypisów s. 454. [\[wróć\]](#)

7. Przed wybuchem wojny Warszawę zamieszkiwało 1,3 mln osób (blisko 4 procent ludności Polski) i było to największe skupisko ówczesnej inteligencji. Nic dziwnego, że konspiracyjną walkę z najeźdźcą podjęto niemal natychmiast po rozpoczęciu okupacji ziem polskich. Patrz Aneks do przypisów s. 456. [\[wróć\]](#)
8. Cukiernia mieściła się na skrzyżowaniu ulic Żurawiej 34 i Marszałkowskiej 88 i słynęła z bardzo smacznych wypieków. [\[wróć\]](#)
9. Żurawia 41 – pierwsza siedziba Biblioteki Publicznej m.st. Warszawy. Kamienica pod numerem 41 miała w latach 1935–1945 adres Żulińskiego 3. Rozebrano ją w 1954 roku podczas prac związanych z poszerzaniem ul. Marszałkowskiej. [\[wróć\]](#)
10. Słyszają. [\[wróć\]](#)
11. Jan Roguski (ur. 18 czerwca 1900 roku w Warszawie, zm. 7 września 1971 w Poznaniu) – naukowiec, lekarz, internista, wieloletni kierownik II Kliniki Chorób Wewnętrznych, rektor Akademii Medycznej w Poznaniu w latach 1953–1955. Patrz Aneks do przypisów s. 458. [\[wróć\]](#)
12. Syn Jana i Jadwigi Roguskich miał na imię Józef, ale w domu nazywany był Grzesiem. [\[wróć\]](#)
13. *Umówiłem się z nią na dziewiątą* (1937 rok), piosenka w wykonaniu Eugeniusza Bodo, tekst Emanuel Schlechter, muzyka Henryk Wars. [\[wróć\]](#)
14. 31 lipca około 18.00 Komendant Główny AK gen. Tadeusz Komorowski „Bór” wydał rozkaz o rozpoczęciu 1 sierpnia 1944 roku o 17.00 powstania w Warszawie. Jeszcze w pierwszej połowie lipca kierownictwo Armii Krajowej nie zakładało działań zbrojnych w stolicy, mając na uwadze zniszczenia i cierpienie ludności cywilnej. Patrz Aneks do przypisów s. 459. [\[wróć\]](#)
15. Powstanie Warszawskie zostało rozpoczęte z inicjatywy dowództwa Armii Krajowej, a oddziały AK stanowiły trzon oddziałów powstańczych przez cały czas walk o stolicę. Patrz Aneks do przypisów s. 467. [\[wróć\]](#)
16. „Kurier Dziennik Informacyjny Polskiej Partii Ludowej”, Warszawa, 29 lipca 1944. [\[wróć\]](#)
17. Tamże. [\[wróć\]](#)
18. Pod numerem 6 na Żurawiej mieściła się siedziba redakcji „Wiadomości Radiowych” – lokalnego pisma wydawanego przez oddział „Sokół” i Komitet Obywatelski. Były tu szpitalik, a także rusznikarnia. W laboratorium nazywanym „lokałem rozrywkowym” produkowano granaty i butelki zapalające. W drugim podwórzu trzymano kozę. [\[wróć\]](#)
19. 31 lipca 1944 roku, poniedziałek. Do stolicy przybywa gen. por. lotn. Reiner Stahel, mianowany przez Hitlera dowódcą wojskowym garnizonu Warszawy. Ma rozkaz obrony węzła warszawskiego przed ewentualnym powstaniem wszystkimi dostępnymi siłami i środkami. Patrz Aneks do przypisów s. 467. [\[wróć\]](#)
20. 1 sierpnia 1944, wtorek
Godzina 7.00 – łączniczki alarmowe otrzymują rozkaz komendanta Okręgu Warszawskiego AK płk. Antoniego Chruściela „Montera” wyznaczeniu godziny „W” na 17.00 1 sierpnia. Patrz Aneks do przypisów s. 469. [\[wróć\]](#)
21. „Biuletyn Informacyjny. Wydanie Codzienne”, Warszawa, 31 lipca 1944. [\[wróć\]](#)

22. 2 sierpnia 1944, środa

Około godziny 9.00 zaczyna działać radiostacja w fabryce Kamlera na rogu Okopowej i Dzielnej na Woli. Komenda Główna AK wysłała szereg depech do Londynu, donosząc o wybuchu powstania i ciężkich walkach. Z apelami o pomoc. Patrz Aneks do przypisów s. 469. [\[wróć\]](#)

23. „Biuletyn Informacyjny. Wydanie Codzienne”, Warszawa, 2 sierpnia 1944. [\[wróć\]](#)

24. Rada Główna Opiekuńcza (RGO) – polska organizacja charytatywna działająca podczas II wojny światowej, nawiązująca formami działalności do istniejącej w latach 1916–1921 organizacji pod tą samą nazwą. Patrz Aneks do przypisów s. 471. [\[wróć\]](#)

25. Szpital Zakaźny św. Stanisława ocalał dzięki odważnej postawie personelu. Szpital Wolski po kilku dniach wznowił działalność. [\[wróć\]](#)

26. Jan Roguski w 1938 roku został ordynatorem Oddziału Chorób Wewnętrznych Szpitala Wolskiego. [\[wróć\]](#)

27. Służba Zwycięstwu Polski (SZP) – polska organizacja konspiracyjna podczas II wojny światowej, powołana do życia 27 września 1939 roku. [\[wróć\]](#)

28. Okręg Warszawski AK, kryptonimy: „40”, „XX”, „Wydra”. „Drapacz”, „Prom” – jednostka terytorialno-organizacyjna Armii Krajowej obejmująca teren Warszawy i powiatu warszawskiego. [\[wróć\]](#)

29. Prof. Janusz Zeyland, któremu towarzyszył dr Leon Manteuffel. [\[wróć\]](#)

30. Dyrektor Józef Marian Piasecki. [\[wróć\]](#)

31. Chodzi o hale kolejowe przy ul. Moczydło, gdzie zgromadzono tysiące mieszkańców Woli. Miejscem masowych egzekucji stały się okolice warsztatów, teren fabryki „Simplex”, podwórka okolicznych domów, m.in. przy ul. Górczewskiej 51 i budynku na skrzyżowaniu ul. Górczewskiej z ul. Zagłoby. Jedną z wypełnionych tłumnie hal podpalamo, ludzie spłonęli żywcem. Szacuje się, że zginęło od około 4500 do 12 000 mieszkańców Woli. Likwidacja Szpitala Wolskiego pochłonęła 380 ofiar, zginęli m.in. dr Józef Marian Piasecki i prof. Janusz Zeyland, prof. Józef Grzybowski, dr med. Olgierd Sokołowski, dr Stanisław Chwojka oraz dr Kazimierz Drozdowski. [\[wróć\]](#)

32. Około 4000 osób. [\[wróć\]](#)

33. Dr Janina Misiewicz w dwudziestolecu międzywojennym piastowała m.in. stanowisko dyrektora Szpitala Sanatorium Gruźliczego św. Józefa w podwarszawskiej Mieni oraz była wicedyrektorem i ordynatorem w Szpitalu Wolskim w Warszawie. W latach 1939–1945 współpracowała z ruchem oporu i prowadziła tajne nauczanie medycyny. Przy wsparciu sołtysa Jelonek, który zagwarantował wikt i dach nad głową chorym, wybłągała u komendanta wypuszczenie 140 najbardziej chorych i 92 pracownic szpitala, w tym 4 lekarek, 4 pielęgniarek i 8 studentek. [\[wróć\]](#)

34. Na Żurawiej 31 mieścił się w czasie powstania punkt sanitarny przekształcony następnie w szpital. Znajdował się tu m.in. oddział dla chorych na gruźlicę, którym kierował dr Michał Białokoz. Pacjentów leczyły też dr Apolonia Karaś-Brzozowska i dr Mozołowska.

Zachował się następujący dokument:

Szpital Polowy, ul. Żurawia 31 (kmdt dr Mikołaj Białokur)

Zaświadczenie (w języku polskim i niemieckim) Polskiego Czerwonego Krzyża

(datowane na 20 sierpnia 1944 roku) stwierdzające, że: „Punkt Sanitarny – Szpital Pomocniczy przy ul. Żurawiej 31 stoi pod opieką i kierownictwem Polskiego Czerwonego Krzyża. Władze wojskowe i cywilne proszone są o okazywanie Punktowi Sanitarnemu – Szpitalowi Pomocniczemu – pomocy w razie potrzeby. Zaświadczenie ważne do 31 grudnia 1944”.

Okrągła pieczętka pełnomocnika Zarządu Głównego PCK na Okręg Warszawski.

[\[wróć\]](#)

35. Rada Pomocy Żydom przy Delegaturze Rządu RP na Kraj – polska humanitarna organizacja podziemna działająca w latach 1942–1945 jako organ polskiego rządu na uchodźstwie. Jej zadaniem było organizowanie wszelkiej pomocy dla Żydów w gettach oraz poza nimi. Patrz Aneks do przypisów s. 472. [\[wróć\]](#)
36. „Nowy Kurier Warszawski”, 7 września 1944. [\[wróć\]](#)
37. Budynek przypominający średniowieczną wieżę zamkową (modernistyczny nowy historyzm inspirowany średniowieczem), o nowoczesnych secesyjnych wnętrzach, zbudowany został przy ul. Zielnej przez firmę Władysława Czosnowskiego w latach 1906–1908 dla szwedzkiego Towarzystwa Akcyjnego Telefonów „Cedergren” (nosił wtedy także jego nazwę) jako drugi budynek centrali telefonicznej. [\[wróć\]](#)
38. Ujęcia wody były m.in. pod numerami 7, 8, 24, 27. [\[wróć\]](#)
39. Na Żurawiej pod numerem 21 m. 3 stacjonowała Komenda Odcinka II, natomiast Dział OPL i Ppoż. mieścił się przy ul. Mokotowskiej 34. [\[wróć\]](#)
40. „Nowy Kurier Warszawski”, środa, 20 września 1944. [\[wróć\]](#)
41. 2 października od godziny 5.00 obowiązuje zawieszenie broni. Do 19.00 Warszawę opuszcza około 16 000 mieszkańców. Po dwóch dniach ewakuacji w Śródmieściu pozostaje nadal ponad 80 procent ludności cywilnej. Przez cały dzień toczą się pertraktacje polsko-niemieckie w siedzibie gen. von dem Bacha w Ożarowie. O godzinie 20.00 czasu niemieckiego, a 21.00 czasu polskiego ustają działania wojenne w stolicy. Obie strony podpisują formalny układ o zaprzestaniu działań wojennych w Warszawie. Sygnatariuszem ze strony niemieckiej jest gen. Erich von dem Bach-Zelewski, ze strony polskiej zaś – płk Kazimierz Iranek-Osmecki „Heller” i ppłk Zygmunt Dobrowolski „Zyndram”. Najważniejsze ustalenia umowy kapitulacyjnej obejmują: przyznanie powstańcom, także tym, którzy dostali się do niewoli od 1 sierpnia 1944 roku poczynając, uprawnień wynikających z konwencji genewskiej z 27 sierpnia 1929 roku, dotyczącej postępowania z jeńcami wojennymi; powstańcy nie będą ponosić odpowiedzialności za działalność wojskową i polityczną przed powstaniem; oddziały Armii Krajowej mają opuszczać miasto w celu złożenia broni w dniach 4 i 5 października; wobec ludności cywilnej ewakuowanej z Warszawy nie będą wyciągane żadne konsekwencje w związku z działalnością we władzach i w administracji cywilnej. [\[wróć\]](#)
42. 1 października podczas zawieszenia broni Śródmieście opuszcza zaledwie 8000 osób. Liczbę ludności podlegającej ewakuacji strona niemiecka określa na 200 000 do 250 000. Wobec beznadziejnej sytuacji po upadku Mokotowa i Żoliborza oraz z braku realnej pomocy Komenda Główna AK i Delegatura Rządu decydują się kontynuować rozmowy kapitulacyjne.

Gen. Tadeusz Komorowski „Bór” wyznacza komisję do prowadzenia rokowań. W jej skład wchodzi: przewodniczący płk Kazimierz Iranek-Osmecki „Heller”, ppłk Zygmunt Dobrowolski „Zyndram”, ppłk Franciszek Herman „Bogusławski” i kpt. Alfred Korczyński „Sas” – tłumacz. W nocy opracowany zostaje, z udziałem płk. Antoniego Chruściela „Montera”, polski projekt umowy o zaprzestaniu działań bojowych w Warszawie. Ma on stanowić podstawę do rozmów ze stroną niemiecką. Po godzinie 19.00, po upływie terminu rozejmu, Niemcy wznawiają gwałtowny ostrzał artyleryjski Śródmieścia. [\[wróć\]](#)

43. Obóz przejściowy w Pruszkowie był centralnym ogniwem całej sieci zorganizowanych przez Niemców punktów zbornych i obozów przesiedleńczych. Miały one na celu sprawne rozproszenie całej ludności Warszawy nie tylko na terenach Generalnego Gubernatorstwa, ale też znacznych obszarach Niemiec. Patrz Aneks do przypisów s. 474. [\[wróć\]](#)
44. 3 października ludność Warszawy masowo opuszcza miasto. Do obozu przejściowego w Pruszkowie wychodzi ul. Śniadeckich i 6 Sierpnia w kierunku Filtrowej, Żelazną i Al. Jerozolimskimi w kierunku Grójeckiej oraz Grzybowską i Chłodną w kierunku Wolskiej. Z Pruszkowa droga prowadzi do obozów lub na roboty przymusowe do Niemiec bądź w głąb kraju. Zgodnie z postanowieniami układu kapitulacyjnego od rana trwa usuwanie barykad znajdujących się najbliżej linii niemieckich. Powstańcy przygotowują się do złożenia broni. Odbywają się ostatnie odprawy oficerów i zbiórki żołnierzy. Odczytywane są rozkazy dowódców zgrupowań z wiadomością o kapitulacji oraz pożegnalny rozkaz dowódcy Warszawskiego Korpusu AK, płk. Antoniego Chruściela „Montera”. Trwa porządkowanie spraw kancelaryjnych, nadawanie odznaczeń i awansów. Wypłacony zostaje pierwszy żołd. Dowódcy poszczególnych oddziałów powierzają zaufanym żołnierzom ukrycie części broni i amunicji oraz dokumentów. Zgodnie z postanowieniami umowy kapitulacyjnej przez kilka dni, w celach porządkowych, pozostaje w mieście wyznaczony batalion osłony (asystencyjny). Składa się z trzech uzbrojonych kompanii AK w sile około 300 żołnierzy z batalionu „Kiliński” i około 120 z batalionu „Miłosz”. [\[wróć\]](#)
45. Pierwsze transporty ludności cywilnej z Dulagu 121 wysłano do KL Auschwitz 10 sierpnia 1944 roku. Patrz Aneks do przypisów s. 478. [\[wróć\]](#)
46. Obozowy szpital. [\[wróć\]](#)
47. Zofia do końca życia przyjaźniła się z Jadwigą Roguską i jej rodziną. Jedynie im powierzyła swoją historię. [\[wróć\]](#)
48. Źródło: Muzeum Powstania Warszawskiego (sygn. MPW-A-W-8). [\[wróć\]](#)
49. Józef Marian Piasecki (ur. 17 marca 1894 roku w Stanisławowie, zm. 5 sierpnia 1944 roku w Warszawie, doktor medycyny, w latach 1936–1944 (do śmierci) dyrektor Szpitala Wolskiego przy ul. Płockiej 26 w Warszawie. Zamordowany przez hitlerowców wraz z prof. Januszem Zeylandem i kapłanem ks. Kazimierzem Ciecierskim we własnym gabinecie 5 sierpnia 1944 roku podczas rzezi Woli. Pochowany na cmentarzu Powązkowskim. [\[wróć\]](#)
50. W „czarną sobotę” 5 sierpnia 1944 roku Niemcy wymordowali personel i pacjentów Szpitala Wolskiego oraz Szpitala św. Łazarza. Dzień później ofiarami masakry padli

także pacjenci Szpitala Dziecięcego Karola i Marii. Dzięki odważnej postawie personelu zagłady uniknął natomiast Szpital Zakaźny św. Stanisława. Po kilku dniach udało się także doprowadzić do wznowienia działalności Szpitala Wolskiego. Personel obu placówek aż do końca października 1944 roku niósł pomoc polskiej ludności cywilnej wypędzanej przez Niemców z Warszawy. [\[wróć\]](#)

51. „Nowy Kurier Warszawski”, środa, 20 września 1944. [\[wróć\]](#)
52. Źródło: Muzeum Powstania Warszawskiego (nr akc. P/9245, P/9356, P/9368). [\[wróć\]](#)
53. APMA-B, relacja byłej więźniarki Ireny Jeruszki, Zespół Oświadczenia, t. 161, s. 58–64. [\[wróć\]](#)
54. Źródło: Muzeum Powstania Warszawskiego (sygn. MPW-A-W-16). [\[wróć\]](#)
55. Kukurużnik – radziecki dwupłatowy samolot szkolny i wielozadaniowy. [\[wróć\]](#)
56. Źródło: Muzeum Powstania Warszawskiego (nr akc. P/7061). [\[wróć\]](#)
57. Źródło: Muzeum Powstania Warszawskiego (nr akc. P/9284). [\[wróć\]](#)
58. APMA-B, relacja byłej więźniarki Haliny Stempniak, Zespół Oświadczenia, t. 110, s. 105–106. [\[wróć\]](#)
59. APMA-B, relacja byłego więźnia Stefana Sota, Zespół Oświadczenia, t. 90, s. 90–95. [\[wróć\]](#)
60. APMA-B, Relacja byłej więźniarki Wandy Dramińskiej, Zespół Oświadczenia, t. 83, s. 171–188. [\[wróć\]](#)
61. Źródło: Muzeum Powstania Warszawskiego. [\[wróć\]](#)
62. Źródło: Muzeum Powstania Warszawskiego (nr akc. P/7702). [\[wróć\]](#)
63. W historiografii przyjęło się używać nazwiska von dem Bach-Zelewski. Tymczasem na własny wniosek Obergruppenführera 28 listopada 1940 roku uzyskał on oficjalną zgodę na posługiwanie się wyłącznie nazwiskiem von dem Bach, eliminując tym samym wszelkie przypuszczenia co do swego słowiańsko-polskiego pochodzenia. [\[wróć\]](#)
64. Źródło: Muzeum Powstania Warszawskiego. [\[wróć\]](#)
65. Źródło: Muzeum Powstania Warszawskiego. [\[wróć\]](#)
66. Źródło: Helena Kubica, *Z powstańczej Warszawy do KL Auschwitz*, „Głosy Pamięci”, 10, Oświęcim 2014. [\[wróć\]](#)
67. Źródło: Helena Kubica, *Z powstańczej Warszawy do KL Auschwitz*, „Głosy Pamięci”, 10, Oświęcim 2014. [\[wróć\]](#)

PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA WYDAWNICZA

 **Helion SA**